

LITERACKI ODPOWIEDNIK FILMU

"TOP GUN"

RICHARD
HERMAN, JR.

BARBARA

DC
DIZIEN

W obliczu nieschrononej ligi Irak szykuje zupełnie nową, straszliwą broń, która zamierza raz na zawsze unicestwić Izrael. Tel Awiw nie znajduje innego wyjścia, jak zrzuć na Teheran bomby atomowe.
Aby zapobiec egzotycznej zapładzinie, prezydent USA wysyła do Izraela eskadrę najnowocześniejszych myśliwców bombardujących F-15 „Eagle” ...



Kapitałna historia!

Dale Brown

**Czytając opisy walki w powietrzu miałem wrażenie,
że znów siedzę w fotelu pilota.**

General Curtis E. LeMay

**Richard Herman, Jr. uczynił dla naszych Sił Powietrznych
więcej niż Tom Clancy dla Marynarki swoim „Polowaniem na
Czerwony Październik”. Więcej... i lepiej.**

„Richmond News Leader”

Absolutny perfekcjonista!

Clive Cussler



Richard Herman, Jr. wycodził się z czynnej służby w stopniu majora, mając za sobą ponad dwa tysiące godzin za sterami wszystkich najnowocześniejszych samolotów bojowych USA, jak F-4, C-130 i F-15, oraz ponad dwieście misji bojowych w Laosie i Wietnamie.

Doświadczenie wojenne wykorzystał w swych książkach, które przyniosły mu światową sławę i opinię najwybitniejszego autora sensacyjnego, piszącego o współczesnej walce w powietrzu. Bariera to jego trzecia książka.

ISSN 83-85373-85-3

DC
Dziękuję

Cena 60 000 zł

Richard Herman, Jr.

BARIERA

Tłumaczył
Jarosław Kotarski



Wydawnictwo Da Capo Warszawa 1993

Tytuł oryginału *FIREBREAK*

Copyright © 1991 by R. Herman, Jr.

Redaktor Marta Staszewska

Projekt graficzny okładki Adam Olchowik

Opracowanie graficzne,

skład i łamanie

PELBERG

For the Polish translation Copyright © 1993 by Jarosław Kotarski

For the Polish edition Copyright © 1993 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie I ISBN 83-85373-85-3

DRUK I OPRAWA

Zakłady Graficzne w Gdańsku

fax (058) 32-58-43

*Mojej matce - Mildred Leonie,
która nauczyła mnie, jak stawić życiu czoło
nie tracąc przy tym marzeń*

Podziękowanie

Powieść ta jest fikcją, którą starałem się osadzić w realiach otaczającego nas świata. By dobrze tego dokonać, wykroczyłem znacznie poza granice własnej wiedzy i wiele zawdzięczam tym, którzy podzielili się ze mną swoim doświadczeniem i wiadomościami, nie wspominając już o czasie. Szczególne podziękowania należą się zwłaszcza panu Randy'emu Jayne'owi i założycielce McDonnell Aircraft Company, którzy pokazali mi, jak skomplikowanym tworem jest współczesny odrzutowiec wojсковy F-15E. John York, Gary Jennings, Mike Boss, Bill Kittle, Gary McDonald i Dave Vitale - jestem waszym dłużnikiem.

Na moją wdzięczność zasłużyli też: pułkownik Dave „Bull” Baker, podpułkownik Skip Bennett, major Keith Turnbull i kapitan Steve Farrow z 405 Taktycznego Skrzydła Treningowego, stacjonującego w bazie lotniczej Luke, w Arizonie. Pokazali mi, do czego zdolny jest F-15E i jak można na nim latać.

Do chwili zawarcia znajomości z 1 Batalionem 149 Pułku Pancernego Gwardii Narodowej Kalifornii tak naprawdę nie miałem pojęcia, co to znaczy nowoczesny czołg. Mogę tylko żywić nadzieję, że niczego nie pomyliłem, i jeszcze raz podziękować moim nauczycielom, którymi byli: Master Sergeant* Doug Krelle, sierżant sztabowy Lee Harner, starszy sierżant David Hooper i starszy sierżant Kerry Harris.

* Brak polskiego odpowiednika (przyp. tłum.).

Jeszcze jedno o F-15: samolot ten może zostać bardzo poważnie uszkodzony i nadal będzie w stanie latać - opis zniszczeń z Rozdziału 27 ma swoje źródło w autentycznym wydaniu. Podczas ostatniej tury w Air Force zaliczyłem sporo

godzin w kabinie F-15 Eagle przystosowanego do roli myśliwca. Byłem i jestem pod wrażeniem możliwości tego samolotu, ale to, co potrafi wersja E jako maszyna wsparcia naziemnego, oraz szybkość, z jaką może przechodzić z tej roli do roli pełnowartościowego myśliwca (i odwrotnie), przekracza granice wyobraźni. Starłem się właśnie ów imponujący fenomen oddać w tej książce. Na zakończenie jedna uwaga: odrzutowce nie są oczywiście pozbawione wad, ale podobnie rzecz ma się ze wszystkimi samolotami.

PROLOG

Pięć jednostek unosiło się na falach południowego Atlantyku. Łagodne kołysanie było miłą odmianą po trzydniowym sztormie, który się niedawno skończył. Avi Tamir wysunął głowę z centrali, osobiście sprawdzając zmianę pogody - był kiepskim marynarzem i nadal czuł, że ma żołądek, choć najprzykrzejsze objawy choroby morskiej, która męczyła go przez cały sztorm, zaczynały powoli ustępować. Na szczęście jego nos potwierdzał wskazania przyrządów - w tym rejonie sztorm się skończył, przenosząc się na wschód, a to oznaczało, że za kilka godzin żołądek powinien wrócić do normy. Avi wyszedł na pokład, naciągając na głowę kaptur, i z początku ostrożnie, potem coraz pewniejszym krokiem skierował się ku zewnętrznej schodni prowadzącej na mostek.

Wspiął się na mostek, klnąc po hebrajsku pod nosem i zastanawiając się, nie po raz pierwszy zresztą, po jakie лихо zaniosło go w to zapomniane przez Boga miejsce, w połowie drogi między południowym krańcem Afryki a Antarktydą. To, że doskonale wiedział, po co tu jest, nie zmniejszało w niczym potrzeby regularnego przypominania o tym samemu sobie: doniosłe zadania wykluczają bujanie w obłokach. Zatrzymał się na lewym skrzydle mostka i przez lornetkę zlustrował horyzont. Dwa południowoafrykańskie kutry były na stanowiskach, trzeci pewnikiem także, tyle że skryty za linią horyzontu. Wraz z jednostką, na której przebywał, tworzyły gigantyczne koło, w centrum którego znajdował się stary frachtowiec.

- Ostatnia noc musiała im się dać we znaki - odezwał się Harm Van Dagens, wychodząc na skrzydło i szerokim gestem wskazując kutry. - Wypadłem z koi, a przecież ta łajba jest większa! Czterdziestostopniowe fale i wiatr wiejący sześćdziesiąt

mil na godzinę to za dużo na takiego starego łobuza jak ja. Chodź do środka: tam cieplej, a poza tym jest kawa.

Obaj weszli na mostek, gdzie faktycznie było znacznie cieplej i gdzie czekał steward z dwoma kubkami parującej kawy. Tamir pracował z Van Dagensem od trzech lat i przez ten czas polubił już starego zrzęde. Obliczył sobie, że jeżeli próba się powiedzie, to zdąży wrócić do Izraela na święto Jom Kippur, i prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy Van Dagensa - czego w duchu żałował: południowoafrykański naukowiec, choć gderliwy, wzbudzał sympatię.

- Czas zabrać się za robotę - oznajmił Van Dagens, podchodząc do ekranu radaru usytuowanego przed sternikiem.

Tamir nałożył słuchawki połączone z mikrofonem i zajął się ostatnim sprawdzeniem gotowości. Van Dagens natomiast przyjrzał się dokładnie ekranowi, by mieć pewność, że nikt się nie kręci w pobliżu ich minifloty złożonej z pięciu jednostek.

- Jaki jest stan frachtowca? - spytał.

- Powoli, ale stale nabiera wody. Przechył siedem stopni - poinformował go pierwszy oficer. - Mieli ciężką noc, stracili jedną z pomp. Całe szczęście, że ta balia nie zatonała.

- Nie byłoby to miłe - mruknął Van Dagens, nie spuszczać wzroku z ekranu. - Chyba wytrzyma do przybycia „paczki”... Pogoda?

- Doskonała - odparł Tamir, przeglądając spięte ze sobą meldunki meteo. - Widoczność ponad trzydzieści mil morskich, stały wiatr z zachodu, o sile szesnastu węzłów, pułap chmur wysoki. Sztorm pozostawił lekką powłokę chmur na dwunastu tysiącach stóp w kwadracie południowo-wschodnim, ale już się tam przejaśnia.

- Stacje? - spytał Van Dagens, przyglądając się koledze spod krzaczastych brwi.

Tamir skonsultował się przez radio i po chwili odparł:

- Wszystkie stacje gotowe i sprawne. Już transmitują dane, aparatura zapisująca działa bez zarzutu.

Na pokładzie okrętu dowodzenia i trzech kutrów znajdowało się łącznie siedemdziesięciu czterech izraelskich i południowoafrykańskich naukowców i techników, nieustannie obserwujących frachtowiec, znajdujący się w centrum kręgu utworzonego

przez owe cztery jednostki. Stanowili zgrany zespół, toteż ostatnie przygotowania nie trwały długo.

- Wszystko gotowe - obwieścił Tamir. - Ewakuować frachtowiec, wysłać polecenie startu i zabezpieczyć jednostki. Po starcie rozpocząć odliczanie.

Sześćset mil na północ, z silnie strzeżonego bunkra wykłówały dwa samoloty typu F-4 Phantom, pozbawione jednak oznaczeń. Maszyny były izraelskie, lotnisko zaś leżało w pobliżu Port Elizabeth, na terenie RPA. Oba samoloty zachowywały całkowitą ciszę radiową zarówno przy próbie silników, jak i w czasie startu na sygnał zapalonego na wieży kontrolnej zielonego światła. Po starcie wzięły kurs na południe, kierując się nad morze i nabierając wysokości.

Robotnik budowlany z plemienia Bantu zanotował czas ich startu oraz fakt, że każdy z samolotów miał po trzy dodatkowe zbiorniki paliwa: jeden pod kadłubem i po jednym pod skrzydłami. Sfotografował też pierwszy F-4, mający pod lewym skrzydłem podczepiony srebrzystoszary pocisk, który, jak sądził, był pięćsetfuntową bombą o długości dziesięciu stóp. W rzeczywistości pocisk ważył siedemset sześćdziesiąt pięć funtów, miał średnicę czternastu cali i długość dwunastu stóp. Bantu wołał nie ryzykować dalszych zdjęć, zapamiętał natomiast, że drugi Phantom uzbrojony był w osiem rakiet klasy powietrze-powietrze i sprawiał wrażenie maszyny osłaniającej pierwszą. Taki też meldunek złożył swojemu oficerowi prowadzącemu po wyjściu z pracy.

Było to typowe *party* w Washington D.C, i ostatni goście właśnie czekali przy drzwiach na szoferów, kolejno podjeżdżających przed elegancki dom. Gospodarz - senator Matthew Zachary Pontowski - stał w drzwiach wraz z żoną, żegnając się z przewodniczącym Izby.

- Przemyśl to, Zack - zakończył gość. - Możemy do tego doprowadzić, jeśli zaczniemy działać teraz.

Po czym uśmiechnął się zachęcająco i szedł po stopniach prowadzących na podjazd, gdzie czekał na niego czarny Lincoln.

Zack Pontowski w zamyśleniu patrzył na odjeżdżającą limuzynę, a agent Secret Service przydzielony do pilnowania drzwi obserwował go, dochodząc do wniosku, że gospodarz wygląda dokładnie tak, jak przeciętny Amerykanin wyobraża sobie senatora.

Sześćdziesięcioletni Zack był szczupły, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, lekko pochylone ramiona, szopę dość długich szpakowatych włosów, których celowo nie przycinał, i jastrzębi nos. Senator pociągnął nim, wdychając balsamiczne powietrze, jakby w obawie, że zanoszi się na zmianę pogody. Skinął głową agentowi i zamknął drzwi.

- Druga trzydzieści - oznajmiła jego żona. - Naprawdę nie-spotykane, by przewodniczący tak długo został na przyjęciu, dzięki czemu zresztą był to całkiem udany wieczór.

Zack bez słowa szedł za nią, gdy sprawdzała, jak przebiega sprzątanie sali bankietowej przez wynajętych kelnerów.

- Emil faktycznie zna się na rzeczy. Następnym razem także weźmiemy jego ludzi - zauważyła z zadowoleniem i rozejrzała się zaniepokojona. - Melissa?

Z kuchni wyszła wysoka brunetka nieco po trzydziestce, wycierając dłonie w ręcznik. Na lewe oko opadł jej niesforny kosmyk włosów, prosta czarna suknia ukazywała smukłe nogi i podkreślała zgrabną figurę, nienaznaczoną śladami macierzyństwa.

- Prawie skończyliśmy, *madam*. Jeszcze pięć minut i będzie po wszystkim - powiedziała dźwięcznym głosem.

Melissa Courtney-Smith była jedną z najefektywniejszych i najwierniej służących asystentek senatora.

- Dziękuję ci, pomogłaś zmienić to przyjęcie w sukces i zrezygnowałaś z własnych planów na wieczór.

Melissa uśmiechnęła się, odgarniając kosmyk włosów z czoła.

- Cieszę się, że się udało. Poza tym podobało mi się tutaj. Zanim wyjdę, sprawdzę jeszcze, czy wszystko jest pozamykane.

- Matt ci się dzisiaj nie naprzykrzał? - spytał Zack. - Widziałem, że kręcił się w pobliżu.

- Nie. - Melissa opanowała uśmiech. - Znalazłam go czającego się na tylnych schodach, całego na czarno, z magnetofonem kasetowym w garści. Wygoniłam go do łóżka.

- Co też mu strzeliło do głowy? - westchnęła gospodyni, zatrzymując się na schodach. - Ten chłopak zawsze ma jakieś zwariowane pomysły!

- Tym razem pewnikiem Bondomania - wyjaśnił Zack. - Ostatnio rozczytywał się w powieściach szpiegowskich. Rano z nim porozmawiam.

W ślad za żoną zaczął wspinać się na schody, gdy nagle dobiegł go głos Melissy:

- Myślę, że odkrył istnienie dziewcząt.

Taktownie nie wspomniała o tym, że Matt poklepał ją po pośladku, gnając do sypialni, ani o tym, że odwdzieczyła mu się lekkim nadwerżeniem prawego ucha.

- Trochę wcześniej jak na dwunastolatka - mruknął zaskoczony Zack. - W takim razie rano na pewno z nim pomówię.

- Zupełnie jak jego ojciec i dziadek - stwierdziła z uśmiechem żona Zacka.

- W moim wieku to już przeszłość.

- Panna Courtney-Smith najwyraźniej tak nie sądzi. Ale dla twego własnego dobra mam nadzieję, że to prawda. - Tym razem uśmiechnęła się porozumiewawczo: w podobny sposób zaczynały się zawsze ich miłosne igraszki.

- A jeśli nie?

- To lepiej chodź do łóżka, bo zacznę cię skubać i ciągnąć tu i teraz.

Objął ją wpół i przytulił z rozbawieniem.

- O ile dobrze pamiętam, bardziej przypomina to szarpanie i przeżuwanie, ale to pewnie kwestia nazewnictwa.

Oboje ruszyli korytarzem prowadzącym do sypialni.

- W pokoju Matta pali się światło - zauważył Zack. - Lepiej sprawdzę, co u niego słychać.

Począł, aż żona zniknie w sypialni, zanim cicho otworzył drzwi do pokoju wnuka.

- Dziadek? - spytał chłopięcy głos z górnego posłania piętrowego łóżka.

Pontowski podszedł do dziecka i rozwichrzył jego kasztanowe włosy, po czym ułożył się wygodnie na dolnym łóżku.

- I co, Matt, już masz podsłuch w całym domu? - spytał.

- Skądże. Sprawdzałem tylko, co zdołam nagrzać.

- I co?

- Nic. Byłem za daleko, żeby coś się nagrało. Potrzebuję innego mikrofonu, ale słyszałem parę naprawdę świetnych rzeczy. Byłby ze mnie niezły szpieg.

- A co, zamierzasz zostać szpiegiem?

- Nie. Zamierzam wstąpić do Air Force Academy i zostać pilotem myśliwskim, jak ojciec.

Senatorowi na chwilę odebrało mowę - nie tyle to, co usłyszał, ale sposób, w jaki zostało to powiedziane. W głosie chłopca brzmiał taki sam entuzjazm jak w głosie jego ojca, gdy oznajmiał rodzicom taką samą wiadomość kilkanaście lat wcześniej. Zack zebrał się w sobie, nieco zaskoczony tym, że aż tak mocno kocha wnuka, i stwierdził:

- Co do przyszłego zawodu, to masz jeszcze sporo czasu do namysłu. A wracając do szpiegostwa: czego się dziś dowiedziałeś?

Matt wychylił głowę ponad krawędź łóżka, przyglądając się dziadkowi z łobuzerskim uśmieszkiem i miną dobitnie świadczącą o tym, że cały aż się pali do podzielenia się sekretem.

- Jak się bardziej wychylisz, będziesz potrzebował szelek - ostrzegł go Zack.

- Nie zmieniaj tematu! Wiem, dlaczego chcę, żebyś w następnych wyborach kandydował na fotel gubernatora, a nie do Senatu.

- Matt, to musi pozostać naszą wspólną tajemnicą - uprzedził go Pontowski.

- Jasne - zgodził się chłopak, cofając głowę.

Zapadła cisza.

Senator wstał powoli i podszedł do drzwi, przy których zatrzymał się, przypominając sobie ową pamiętną noc w 1957 roku, kiedy ojciec Matta obwieścił im, że chce wstąpić do nowo utworzonej Air Force Academy i latać na myśliwcach odrzutowych. Zdecydowanie i upór, z jakimi dążył do tego celu, zaskoczyły ich oboje. Dopiął swego - w 1964 ukończył szkołę. W klasie, która zainaugurowała udział amerykańskich pilotów w wojnie w Wietnamie.

Zack zgasił światło.

- Dobranoc, dziadku - dobiegło z łóżka.

- Śpij mocno, Matt.
- Dziadku, naprawdę będziesz prezydentem Stanów Zjednoczonych?

Lata oczekiwań i opóźnień, frustracji i porażek dobiegały końca. Avi Tamir opuścił mostek okrętu dowodzenia i zajął swoje stanowisko w pokoju kontrolnym. Spoglądał na wiszący na ścianie chronometr, tak jakby to była główna siła napędowa jego postępowania. W pewnym sensie czas rzeczywiście był taką siłą, gdyż Tamir rozpoczął realizację tego projektu pewnego wieczora w 1967 roku, w Tel Awiwie, i od tej pory prowadził wyścig z czasem.

Jak większość współrodaków, dwudziestego czwartego czerwca 1967 roku Tamir rozkoszował się smakiem zwycięstwa, jakie Izrael odniósł w zakończonej dwa tygodnie wcześniej wojnie sześciodniowej. Życie nabrało więc nowej wartości, a przy odrobinie szczęścia jutro zdoła wyrwać się z laboratorium i spotkać z żoną, będącą w ósmym miesiącu ciąży. Roboty było co niemiara - zdobyto takie ilości nowego sprzętu, że trzeba było śpieszyć się z badaniem przykładów sowieckiej technologii, zanim egzemplarze zostaną uszkodzone czy przez nieostrożność zagubione. Zwyczaj tak stary jak państwo Izrael - od początku uczono się i wykorzystywano technikę i broń zdobytą na wrogu. Zapoznawanie się z tą techniką i odkrywanie jej tajemnic stanowiło zadanie Tamira i jego zespołu.

Czuł się winny, gdyż nie wziął aktywnego udziału w walkach. Naturalnie, zgłosił się do swej jednostki w czasie mobilizacji, ale ponieważ cieszył się opinią jednego z najlepszych naukowców w kraju, czekały już tam na niego instrukcje nakazujące mu powrót do laboratorium. Jakby w zadośćuczynieniu, pracował teraz bez przerwy, zmuszając do tego samego swój zespół.

Przepracował też cały szabas, chcąc wyrwać się na dwa dni, by zobaczyć żonę.

Wieczorny telefon nieco go zdenerwował, ale ponieważ dzwonił sekretarz ministra obrony, nie mógł zignorować zaproszenia. Pięć minut później wsiadł do podstawionego samochodu, gdzie ze zdumieniem powitał swego byłego zwierzchnika, Ahrele Yariva, szefa wywiadu wojskowego. Jadąc przez Tel

Awiw, nie zamienili słowa, ale kierunek podróży mówił sam za siebie: jechali do mieszkania premiera Leviego Eshkola.

Premier oczekiwał ich w salonie, w bamboszach i domowym stroju. Ale nie to zaskoczyło Tamira, tylko widok dwóch innych gości: Meira Amita, szefa Mossadu, i Mosze Dajana, ministra obrony. Izrael był niewielkim i egalitarnym państwem, w którym nieformalność stanowiła zasadę. Bez dwóch zdań było to jednak spotkanie na wysokim szczeblu i Tamir błyskawicznie zdał sobie sprawę, że zanosi się na coś poważnego. Zamiast wszakże przejść do rzeczy, Eshkol wygłosił wykład o saperach i technikach rozbrajania bomb, konkludując tezą, że sytuacja Izraela, jako państwa, jest bardzo zbliżona do sytuacji sapera: pierwsza pomyłka będzie równocześnie ostatnią w dziejach tego kraju. A przy takim natężeniu ataków ze strony sąsiadów Izrael, prędzej czy później, popełni tę pomyłkę. Premier chciał porozmawiać o zabezpieczeniu na wypadek owego zagrożenia, jako że los sapera, który się pomylił, niezbyt mu odpowiadał.

Tamir w pełnym napięcia milczeniu przysłuchiwał się tej rozmowie. Zdawał sobie sprawę z wniosków, do których prowadziła, i w końcu doczekał się: opierając łokcie na kolanach, Eshkol pochylił się ku niemu ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi i spojrzał mu prosto w oczy.

- Obecnie w reaktorze w Dimonie produkujemy pluton nadający się do wykorzystania militarnego. Chcielibyśmy, żebyś z niego skonstruował bombę nuklearną.

W pomieszczeniu kontrolnym panowała cisza; było tak doskonale wytlumione, że ledwie docierał tam szum silników okrętowych, utrzymujących jednostkę w pozycji oddalonej dokładnie o dwadzieścia mil morskich od starego frachtowca.

Tamir zauważył na ekranie radaru szybko poruszający się punkt. Odruchowo przyjrzał się monitorom aparatury rejestrującej, pokrywającym ściany obszernej kajuty. Ale jego wzrok, jak przyklejony, powracał do wiszącego na ścianie chronometru. Według wskazań radaru, samolot dzieliło od punktu zrzutu dokładnie czterdzieści mil. A więc jeszcze pięć minut.

Siedzący z boku operator radaru rozmawiał z członkami załogi F-4, naprowadzając ich nad punkt, w którym mieli zwolnić

wyposażoną w spadochron bombę. Miało to nastąpić dokładnie nad opuszczonym frachtowcem. Zgodnie ze wskazaniem radaru, F-4 był na kursie i trzymał się wyznaczonego czasu.

Odetchnąwszy głęboko, Tamir wydał polecenie:

- Wysłać kod odbezpieczający.

Van Dagens podał żadaną sekwencję, którą potwierdzili obaj lotnicy prowadzącego Phantoma. Pilot siedzący z przodu przekręcił pokrętkę oznaczone BOMBA na pozycję POWIETRZE, a obserwator, zajmujący tylny fotel, przestawił swój przełącznik na ZRZUT.

- System odpalenia gotów - oznajmił Van Dagens.

Teraz mogli już tylko czekać. Gdy do zrzutu pozostało pięć sekund, operator radaru włączył sygnał ostrzegawczy. Jego umilknięcie oznaczało, że maszyna jest dokładnie nad celem, gdzie zrzut powinien nastąpić automatycznie.

Sygnał zamilkł, a na radarze echo gwałtownie skreśliło i zawróciło. Tamir spojrzął na monitor ukazujący obraz z kamery telewizyjnej, zaopatrzonej w teleobiektyw: widać na nim było opadający na spadochronie srebrzystoszary kształt. Przeniósł wzrok na chronometr, wstał i podszedł do monitora przekazującego obraz z kamery zamontowanej na pokładzie frachtowca: spadochron i pocisk były wyraźnie widoczne.

Ekran rozjarzył się nagle jaskrawym blaskiem, skontrowanym prawie natychmiast przez automatyczne filtry, chroniące obiektyw i obwody, po czym zgasł: kamera została zniszczona wraz ze statkiem. Kolejny monitor ukazywał obraz rejestrowany przez kamerę zamontowaną na pokładzie jednostki dowodzenia. Ognista kula miała ponad pół mili średnicy. Dwie sekundy po wybuchu szczyt kuli zaczął się wznosić, w trzeciej pojawiła się pod nią lewoskrętna kolumna, a szczyt zmienił się w kapelusz ogromnego grzyba. Tworzyły go warstwy powietrza, dotychczas jasnoblękitne, ale ogrzane wybuchem, kondensujące się w wyższych i chłodniejszych pokładach atmosfery. Nie był to potężny, opierający się na grubym pniu grzyb wybuchu termonuklearnego, lecz drobniejszy, powstały w wyniku wybuchu atomowego. Ale i tak słup pary unosił się wyżej niż dwanaście mil ponad poziom morza.

- Fala uderzeniowa - powiedział Van Dagens, wskazując na inny monitor, na którym błyskawicznie zbliżała się ściana poruszonego powietrza.

Byli jednak wystarczająco daleko - gdy fala dotarła do okrętu, odczuli ją jedynie jako gwałtowny podmuch wiatru.

- Boże... - szepnął Tamir, czując to, czego nie mogła zapisać żadna kamera: strach, szok i przerażenie.

Frachtowiec zniknął, nie pozostawiając śladu: Avi był pod wrażeniem potęgi, jaką wyzwolił.

- Nie miałem pojęcia...

Urządzenia szumiały, połączone telemetryczną pajęczyną instrumentów pomiarowych umieszczonych na kutrach i bojach, w coraz szerszych kręgach od miejsca wybuchu. Dla Tamira cyfry i wykresy były jasne i wiele mówiące.

- Kula dotknęła powierzchni - oznajmił, spoglądając na nowe dane. - Myliliśmy się co do jej wielkości.

Pytaniem najistotniejszym w tej chwili było: jak bardzo?

- Wobec tego będzie większy opad - mruknął Van Dagens. - Musimy to wziąć pod uwagę. Jaka powinna być moc wybuchu według twoich obliczeń?

- Musimy sprawdzić dane i... - Tamir rozejrzał się półprzytomnie, nadal wstrząśnięty tym, co przed chwilą zobaczył.

Van Dagens podszedł do kolegi i poklepał go po ramieniu.

- Nie przejmuj się: najważniejsze, że mamy w pełni sprawny broń.

Był drugi września 1979 roku.

Shoshana westchnęła zerkając w lustro i pragnąc, by to, co w nim widziała, uległo zmianie; ale naturalnie nic się nie stało: spoglądała na nią ta sama co zwykle, krągła buzia cherubinka, ozdobiona parą dużych brązowych oczu i okolona długimi czarnymi włosami. To była ona, bez dwóch zdań. Z niesmakiem wyszperała nożyczki z rumowiska, jakim była toaletka ciotki, i nie zastanawiając się ani sekundy, zaczęła ścinać włosy, odrzucając na podłogę pukle, dotychczas sięgające pasa.

- Shoshe - w ustach babki imię brzmiało „Showshe” - pospiesz się. Wujek poszedł już po samochód.

- Ta dziewczyna zawsze śni przed lustrem - dodała babka,

kierując te słowa do ciotki, którą dziewczynka lubiła od zawsze i z którą wolałaby mieszkać. Ciocia miała gust, co było widać po ubiorze, figurze czy mieszkaniu w Jerozolimie: po wszystkim.

- To nie jest zabronione - odezwała się ciotka, wyrażając własne zdanie, ale nie kłóć się ze starszą kobietą.

Na nieszczęście jej mieszkanie było zbyt małe, by obie mogły w nim zamieszkać, a zresztą Shoshana, prawdę mówiąc, lubiła przestronne mieszkanie babki, położone na wzgórzu w Hajfie. Teraz odłożyła nożyczki i weszła do saloniku.

Obie kobiety westchnęły, ale, wbrew oczekiwaniom dziewczynki, babci nie odebrało głosu.

- Shoshe - jęknęła cichutko, nawet nie próbując powstrzymać łez.

Ciotka pierwsza przysła do siebie i objęła kierownictwo akcji ratowniczej.

- Nic jej nie będzie, mamó - oświadczyła. - Ma dwanaście lat i najwyższy czas, by jej skrócić włosy. Idź, proszę, do Dorona i powiedz mu, że się trochę spóźnimy. I posiedz z nim, dobrze?

Nie czekając na odpowiedź, zgrnęła dziewczynkę i wróciła z nią do sypialni.

- Cóż, panno Tamir, już czas zobaczyć twoje nowe wcielenie. - Z tymi słowy złapała za nożyczki z zamiarem przeobrażenia szalonego wytworu radosnej twórczości dwunastolatki w dość krótką, ale za to fikuśną i zgrabną fryzurkę.

- Ciociu Lillian, czy kiedyś będę taka smukła i ładna jak ty? - spytała Shoshana, roniąc spóźnione łzy nad własnym pośpiechem w posłужeniu się nożyczkami.

- Cicho, dziecko. Masz przed sobą długi okres dorastania i choć wątpię, abyś była, jak to określiłaś, smukła, to ładna będziesz na pewno.

Piętnaście minut później obie wsiadły rozchichotane do samochodu, szczebiocząc o „nowym wcieleniu”.

Doron - mąż Lillian - powitał je uśmiechem i płynnie włączył się do ruchu. W ciągu kilku minut minęli uniwersytet, gdzie wykładał historię, i zbliżyli się do celu podróży - Yad Vashem, muzeum poświęconego ofiarom Holocaustu. Twarze

im spoważniały, a gdy wysiadali, były już całkiem poważne. Doron ujął dłoń dziewczynki, wchodząc w Aleję Sprawiedliwych, prowadzącą od parkingu do muzeum.

- To drzewa szarańczynu* - wyjaśnił. - Każde ma plakietkę z nazwiskiem osoby, która pomogła naszemu ludowi w czasie Holocaustu. Wiele z nich zostało za to zabitych przez hitlerowców.

* Według tego, co udało mi się sprawdzić, autor popełnił błąd: aleja ta wysadzona jest drzewami oliwnymi (przyp. tłum.).

- Wiem, uczyłam się o tym w szkole i pamiętam z ostatniego pobytu tutaj - odparła, starając się zachowywać jak dorosła i odpowiedzialna osoba.

Dołączyli do kolejki, powoli i dostojnie wchodzącej do środka. Pierwszą salę wypełniały chronologicznie rozmieszczone fotografie, ukazujące owe dwanaście lat od chwili dojścia Hitlera do władzy aż do ostatnich tragicznych dni 1945 roku.

- Ironią historii jest, że prezydentem USA w tamtych dniach był Franklin Delano Roosevelt. Historia zapamiętała go jako wielkiego człowieka. Hitler przeszedł do niej jako wielki zbrodniarz, a wszystko splatało się tak, jakby przeznaczenie postawiło ich przeciwko sobie - wyjaśnił wuj. - Obaj doszli do władzy w 1933, a zmarli w 1945 roku.

Do Shoshany najbardziej przemawiała inna część muzeum - galeria sztuki, a zwłaszcza szkic przedstawiający dzieci o pustych oczach. Został on przemycony z Terezina, pokazowego obozu koncentracyjnego założonego w Czechach. Przez dłuższą chwilę stała przed nim jak zahipnotyzowana, zanim pozwoliła wujowi poprowadzić się dalej.

- Dlaczego oni musieli zginąć? - spytała.

- Ponieważ zbyt wielu porządnych ludzi nie wierzyło, że coś takiego może mieć miejsce. Nikt nie powstrzymał Hitlera, gdy jeszcze można było to zrobić bez ofiar w ludziach, a potem było już za późno. - To najlepsza odpowiedź, jaką mógł dać dwunastoletniemu dziecku; rzeczywistość była tak skomplikowana, że sam nie miał pewności, jak wygląda cała prawda.

Na dziedzińcu dołączyli do innej kolejki, prowadzącej do Sali Pamięci - ciężkiej i ponurej krypty z bazaltu i betonu,

będącej pomnikiem sześciu milionów ofiar Holocaustu. Po odwiedzeniu jej wrócili na parking.

- Mamy sporo czasu do odjazdu waszego pociągu do Hajfy - stwierdził wuj.

Shoshana nie odpowiedziała, tylko wdrapała się na tylne siedzenie, gdzie znieruchomiała pogrążona w milczeniu. Dorosli przyjęli to jako kolejną zmianę nastroju dorastającej dziewczyny, toteż zaskoczyło ich z nagłą zadane pytanie.

- To właśnie robi ojciec, prawda?

- To znaczy co? - zdziwiła się babcia.

- Stara się, aby to się już więcej nie powtórzyło - odparła z dumą dziewczynka.

- Nie wiemy dokładnie, czym się zajmuje, ale można by to tak określić - zgodził się Doron. - Dlatego tyle czasu przebywa poza domem.

- Wiem, że nigdy nie będę ładna - oznajmiła Shoshana.

- Ale...

- Och, Shoshe - zniecierpliwiła się babcia.

- Ale właśnie to zamierzam robić... starać się, by to się już nigdy nie powtórzyło.

Cholera - mruknął sam do siebie pilot zwiadowczego U-2 - jeszcze nigdy nie widziałem tak wysokich odczytów!

Sprawdził zawór, by się upewnić, czy wszystko gra. Ale urządzenie do pobierania próbek z atmosfery było sprawne, zaś próbka powietrza na wysokości siedemdziesięciu tysięcy stóp zawierała tak wysoką dawkę radioaktywności, z jaką dotąd zetknął się jedynie w teorii.

Zanotował pozycję i czas w przymocowanym do nogi notesie i sprawdził plan lotu: czas do domu. Wyłączył autopilota i położył maszynę w zgrabny skręt na północ, kierując się do bazy w Australii. Wciągnął w kadłub próbki i zaczął delikatnie zmniejszać wysokość, mimo że od bazy dzieliło go jeszcze dwieście mil. Jednocześnie przeszukiwał wzrokiem horyzont, by znaleźć jakąś chmurę, przez którą dałoby się przelecieć - zamierzał poprosić o odkażenie maszyny zaraz po wylądowaniu, ale swoją drogą taka dekontaminacja w trakcie lotu też byłaby mile widziana. Jęknął odruchowo: proces odkażania

oznaczał dodatkowe dwadzieścia minut w ciasnej kabinie; ale mówi się trudno. Tym razem ci z wywiadu mieli rację - ten jasny rozblysk, jaki wczoraj zanotował jeden z satelitów, to faktycznie był próbny wybuch nuklearny. Tylko kto do diabła testuje bomby atomowe na południowym Atlantyku? Nie miał o tym pojęcia, a na przedstartowej odprawie także nic na ten temat nie wspomiano.

Zbyt wiele jest tu jeszcze domysłów - stwierdził Tamir, nadal niezadowolony z najnowszych analiz, i cisnął wydruk na stertę wcześniejszych.

Podchodząc do iluminatora, zauważył, iż wody są nadal spokojne, mimo że od wybuchu minęły dwadzieścia cztery godziny, natomiast na zachodzie zaczynają się gromadzić chmury. Zbliżał się kolejny sztorm - najwyższy czas wracać do portu.

- Nie więcej niż dwadzieścia kiloton - upierał się Van Dagens. - Siła eksplozji była o jeden koma trzy większa, niż oczekiwaliśmy.

- Więcej, Harm - sprzeciwił się Tamir, odwracając się od iluminatora. - Co najmniej dwadzieścia dwie, a nawet dwadzieścia trzy kilotony.

- Cały czas się człowiek, cholera, uczy - sarknął Van Dagens.

- Co myśmy stworzyli? - spytał Tamir, tak naprawdę nie oczekując odpowiedzi.

- Tylko to co niezbędne, by zapewnić bezpieczeństwo naszemu ludowi - odparł Van Dagens, który poświęciwszy tej kwestii wiele czasu doszedł do powyższego wniosku.

- Chcę wierzyć, że masz rację i że to jest właśnie bariera, której potrzebowaliśmy.

- Co proszę? - zdumiał się Van Dagens. - Jaka znów bariera?

- Bariera stworzona ludzką ręką po to, by utrzymać ogień na niewielkim obszarze i uniemożliwić jego rozprzestrzenianie się do rozmiarów, przy których mógłby się on wyrwać spod kontroli - odparł Tamir, wpatrując się w stojącą na biurku fotografię swojej dwunastoletniej córki. - To jest ta bariera, której Arabowie nie przekroczą.

1.

Gad Habish dołączył do tłumu śpieszących do pracy urzędników. Niczym się nie wyróżniał spośród dziesiątków wchodzących do budynku ludzi: miał metr siedemdziesiąt wzrostu, przerzedzone kasztanowate włosy, brązowe oczy i lekką nadwagę - słowem, typowa głowa rodziny martwiąca się o naukowe osiągnięcia dzieci i terminową spłatę rachunków. Kolejny bezduszny urzędnik pośród mrowia bezdusznych urzędników zaludniających Tel Awiw. Jako że zdążył na drugie piętro, nie skorzystał z windy. Ze schodów skręcił w korytarz i wszedł do ostatniego z biur. Wewnątrz sekretarka wskazała mu z uśmiechem następne drzwi, prowadzące - jak się należało domyślić - nie do innego biura, ale ku stromym, biegnącym do piwnicy schodom.

Para pancernych drzwi i dokładna kontrola były pierwszymi oznakami świadczącymi, iż nie jest on jednym z przekładających papierki darmożjadów. Habish pracował bowiem dla Izraelskiego Centralnego Instytutu Wywiadu i Zadań Specjalnych znanego na świecie jako Mossad.

Za ostatnimi drzwiami oczekiwała nań sekretarka, która, unosząc pytająco brwi, bez słowa wskazała mu drzwi na końcu korytarza; oznaczało to, że szef Mossadu chciał się z nim widzieć. Gad wyjął z sejfów niezbyt grubą teczkę i podążył do pokoju, w którym urzędował stary, zasuszony jak śliwka generał - bo takie właśnie nieodparte skojarzenie nasuwał mu widok szefa. Ten nie zareagował na jego wejście, zajęty dokładnym studiowaniem wykazu wydatków; Habish usiadł, czekając na powitanie.

- I co, robisz postępy? - spytał wreszcie siedzący za biurkiem, poprawiając okulary o grubych, mocnych szklach, osadzone na wydatnym czerwonym nosie.

Jego oblane rumieńcem policzki i spłoszające płatki uszne wskazywały niezbicie, że któryś z agentów za dużo wydał w trakcie operacji: w Mossadzie szefa określano przydomkiem „Ganef”, co w jidysz znaczy „złodziej” - z uwagi na patologiczne zamiłowanie do nieuznawania podwładnym poniesionych w czasie akcji wydatków. Powodowało to konieczność pokrywania ich przez agenta z własnej kieszeni, uważaną tym samym za czyste złodziejstwo.

- Myślę, że to jest klucz. - Habish wręczył mu cienkie akta. - Właśnie ukończyła sześciomiesięczny trening i otrzymała przydział do firmy eksportującej cytrusy.

- A niby dlaczego ma być kluczem?

- Bo ten Irakijczyk Is'Al Nassir Mana kupuje pisma z aktami pańienek w jej typie urody. - Habish wręczył mu następną teczkę i poczekał, aż stary zapozna się z jej treścią.

Mana po raz pierwszy pojawił się w kręgu zainteresowań Habisha zaledwie w zeszłym tygodniu, gdy szefowa stacji w Bagdadzie składała okresowe sprawozdanie. Miało to miejsce w Delhi i jedna z informacji dotyczyła przypadkowego kontaktu pewnego agenta z tym młodzieńcem. Po sprawdzeniu okazało się, że z punktu widzenia Mossadu ma on trzy zalety: pochodził z możnego i wpływowego rodu, był inżynierem chemikiem i był odpowiedzialny za budowę nowych zakładów chemicznych w pobliżu Kirkuku. Zakłady w Kirkuku zostały zniszczone w trakcie wojny w Zatoce, gdyż produkowano w nich broń chemiczną, a obecnie rząd Iraku ukrywał budowę nowych pod pozorem odbudowy i rozbudowy starych. Wszystko to było dokładnie udokumentowane i tym właśnie zajmował się Habish.

- Może być celem - wyjaśnił staremu. - Ma, łagodnie mówiąc, fioła na punkcie Europejek o klasycznej figurze i dużym biuście.

- I co? - warknął Ganef.

- Wyjeżdża w interesach do Marbelli na Costa del Sol w Hiszpanii, ma negocjować zakup urządzeń petrochemicznych, które oficjalnie potrzebne są do produkcji środków owadobójczych. Część z nich jest dość interesująca, bo można je wykozystać do produkcji nie tylko owadobójczych specyfików.

Rozmowy mają być prowadzone z WisslerChemFabrik, która zainteresowała się ofertą. Trzeba przyznać, że jest ona atrakcyjna.

- To zadziwiające - mruknął Ganef, wpatrując się w ścianę nad głową swego najlepszego oficera polowego - jak gładko nasi zachodni sprzymierzeńcy przestawili się z walki na interesy. Ta wojna niczego ich nie nauczyła.

Habish przyznał mu rację: Europa zbyt szybko wróciła do starych nawyków sprzedaży Irakowi technologii i urządzeń mogących mieć zastosowanie militarne. Chwilowe zażegnanie zagrożenia dla bliskowschodnich złóż ropy, jakim było zajęcie Kuwejtu, nie oznaczało ani zlikwidowania tej groźby, ani likwidacji przeciwnika czyli Iraku.

- Cóż, przecież obiecali, że nigdy, ale to nigdy na nikogo nie napadną - odparł z wisielczym humorem, lecz Ganef zignorował ironię. - Ten wyjazd daje nam sposobność nawiązania kontaktu, ale chcąc podstawić mu agentkę, musimy działać szybko.

- Dlaczego właśnie ją? - Ganef po raz pierwszy się ożywił.

- Oprócz, jak widać, oczywistych kwalifikacji fizycznych mówi po angielsku z kanadyjskim akcentem, gdyż jej matka pochodzi z Kanady. Możemy wokół tego zbudować jej legendę. Poza tym jej profil psychologiczny wskazuje, że jest zdolna właściwie wykonać takie zadanie. - To był jeden z najsurowiej przestrzeganych zwyczajów: Ganef musiał zostać przekonany, że zadanie przydzielono właściwemu agentowi.

Było to o tyle skomplikowane, że „prawdziwie wierzący”, którzy po prostu nienawidzili Arabów, byli dlań nie do przyjęcia. Ganef uważał, że agent powinien być wyszkolony, by wykorzystać, zdradzić, a w razie potrzeby zabić cel, a wszystko to z ukrytym, ale obecnym uczuciem awersji do tego, co robi. Tak wyglądał jego prywatny przepis na dobrego agenta.

- Ona jest córką Aviego Tamira - dodał Ganef. - Jeśli wpadnie, mogą być kłopoty.

- Tym razem nie mam zamiaru posyłać jej do Iraku. A zresztą jeśliby została zatrzymana przez właściwych ludzi, mogłoby to stworzyć kilka interesujących okazji...

- Twoje „okazje” są zbyt niebezpieczne.

- Ale przeważnie kończą się sukcesem - stwierdził zgodnie z prawdą Habish.

- Na razie możesz ją tam wysłać. Tylko przedstaw mi budżet tej akcji - zdecydował Ganef.

Habish zabrał akta i wyszedł; właśnie stał się oficerem prowadzącym nową operację.

Kombinacja świateł na dolnej części kadłuba KC-10 wskazywała, że F-15E jest w pozycji odpowiedniej do tankowania w locie. Pilot podleciał jednak kilka stóp wyżej, kierując się wyznacznikami wizualnymi. Operator węża wysunął go na dziesięć stóp - byli gotowi.

- Mike, chcesz spróbować? - spytał pilot, porucznik Matt Pontowski.

- Jasne. - Nawigator, kapitan Mike Haney, przejął stery, a Matt uśmiechnął się w duchu.

„Pasażerowie” często przejawiali chęć do latania, była ona już przysłowiowa, a Mike należał do tych niewielu, którzy, podobnie jak Matt, lubili „naginać” przepisy US Air Force. Było to o tyle ciekawe, że lotnictwo starannie dobrało załogi samolotów najnowszej generacji F-15 Super Eagle, osobnikom podejrzany nie pozwalając się nawet zbliżyć do tych cudów techniki. Obaj też zdawali sobie sprawę, że przekazanie sterów podczas tankowania w powietrzu *wizzo*, jak popularnie określano nawigatorów i operatorów broni zajmujących tylny fotel w F-15, było już czymś więcej niż tylko naginaniem przepisów.

- *Wizzos* są gorsi od ekshibicjonistów - oznajmił Matt.

- Wszystko, czego chcecie, to pokazać światu, że naprawdę jesteście kimś podobnie godnym szacunku jak, na przykład, ucziwy pilot.

Mógł sobie pozwolić na żarty, bo podczas poprzednich lotów zrobił z Haneya pilota zdolnego bezpiecznie poprowadzić maszynę, gdyby jemu samemu coś się stało.

- Odczep się - odpalił Mike - zgłosiłem się na pilota, ale kiedy lotnictwo stwierdziło, że mój stary ucziwie się ożenił z moją matką, przenieśli mnie na kurs nawigatorów.

Zamilkli, gdyż operator tankowca wypuścił więcej węża, starając się dotrzeć jego zakończoną grzybkim końcówką w

okolice wlotu do zbiornika F-15E usytuowanego przy połączeniu lewego skrzydła z kadłubem. Udało mu się to za trzecim razem, przy dźwiękach pogwizdywanej przez Matta melodyjki „Trochę więcej delikatności”.

- Sprawdźcie wlot - rozległ się w słuchawkach kobiecy głos.
- Cholera - jęknął Matt - jakaś cizia dorabia jako operator.

Przełączył wlot na pozycję ZAMKNIĘTY i z powrotem na OTWARTY; wskaźniki na tablicy działały prawidłowo, Mike utrzymywał samolot we właściwym szyku: to nie była ich wina.

- Daj więcej węża - polecił i tym razem wszystko zagrało: sześć tysięcy funtów paliwa zostało przepompowane do zbiorników F-15E.

Haney skompensował zmianę wagi i odłączył od tankowca.

- Ładnie ci poszło - przyznał Matt, znów przejmując stery.

Mike bez słowa wziął się do roboty - zaczęli lot na małej wysokości, co było dzisiejszym zadaniem treningowym. Program lotu osobiście załadował przed startem do pokładowego komputera tak, że teraz wystarczyło go przełączyć na niski lot i na TSD* w obu kabinach wyświetliły się elektroniczne mapy ukazujące ich pozycję i kurs. Kursor przesuwający się po ekranie HUD przed Mattem wskazywał punkt, w którym wchodzili na kurs bojowy, wijący się przez pustynie i góry północnej Arizony i Newady.

* Patrz słownik na końcu książki, gdzie wyjaśnione są używane w tekście skrótowce i terminy specjalistyczne (przyj. tłum.).

Opadli na sto stóp i Matt przełączył autopilota na TFR, podczas gdy Haney sprawdzał ich pozycję na radarze. Lasery żyroskop w bezwładnościowym systemie nawigacyjnym działał bez zarzutu i byli na wskazywanej przez przyrządy pozycji. Zadowolony, Mike włączył EMIS i zajął się obserwacją krajobrazu.

Przelecieli nad punktem startowym i system zaczął działać automatycznie, przejmując pilotowanie. Czterogeowe przeciążenie wcisnęło ich w fotele, gdy autopilot zmienił kurs, przeżykając między skałami. Matt odruchowo sprawdzał przyrządy, gotów do natychmiastowego przejścia na ręczne sterowanie

przy pierwszych oznakach, że automatyka zawodzi. Gdyby go ktoś przycisnął, Matt bez entuzjazmu, ale przyznałby, że nie darzy zbyt dużym zaufaniem TFR i że bardzo niechętnie zdaje się nań poniżej dwustu stóp.

Na wszelki wypadek obaj mieli przygotowane mapy z naniesionymi trasami, ale jak dotąd potrzeba ich użycia wystąpiła tylko w symulatorze; w normalnym locie treningowym elektronika działała jak na pokazach reklamowych i Matt siedząc w automatycznie pilotowanym samolocie czuł się pasażerem, a nie pilotem. Na dłuższą metę strasznie go to zresztą nudziło - nienawidził bowiem rutyny.

W ustalonych wcześniej miejscach Haney wyłączał EMIS i badał teren radarem APG-70, który, jako bardzo dokładne urządzenie, w krótkim czasie dawał komputerowi wystarczającą ilość danych, by uzyskać dokładny obraz okolicy, który można było bez trudu przetworzyć w elektroniczne mapy, porównywalne z mapami wprowadzonymi wcześniej. Przy okazji sprawdzało to pozycję samolotu i w efekcie *wizzo* był zdecydowanie bardziej zajęty niż pilot.

Podczas trzeciej takiej kontroli, gdy przelatywali ponad jedenastomilową pustynną doliną, Haney zameldował:

- Dwa cele na kursie 1-3-5, odległość pięćdziesiąt pięć mil!

Matt sklął się w duchu za nieuwagę - przeoczenie dwóch celów powietrznych było, według jego prywatnych zasad, niedopuszczalne dla pilota. Na TSD pojawiły się czerwone symbole oznaczające dwa samoloty lecące na wysokości trzech tysięcy stóp. Zaraz potem Eagle skręcił na nowy kurs, wchodząc w kanion prowadzący do kolejnej doliny.

- Nie sądziłem, że będziemy mieli towarzystwo - przyznał Matt, rozbudzony z rozleniwienia. Całe szczęście, że podpułkownik Jack Locke, dowódca dywizjonu, przydzielił mu najlepszego *wizzo* w jednostce. Jakoś jednak nigdy nie przyszło Mattowi do głowy, że być może zrobił to celowo...

Przemknęli ponad granią i opadli w dół, trzymając się dwieście stóp nad ziemią. Teraz lecieli długą doliną na południe, czyli w kierunku pary niezidentyfikowanych maszyn.

- Poszukam ich - odezwał się Matt - nie miałem kontaktu wzrokowego.

Nawet przy locie na tej wysokości żaden nie chciał meldować o kontakcie z nierozpoznanymi samolotami. Tym razem na ekranie pojawiły się trzy cele.

- Mam trzeciego nad tą parą - oznajmił Matt - leci doliną prosto na nas.

- Jasna cholera! - jęknął Haney. - On jest pod nami!

Jeden z ekranów był tak zaprogramowany, by ukazywać mu obraz HUD z kabiny pilota - zgodnie z odczytem, trzeci samolot leciał na wysokości mniejszej niż sto stóp.

- Racja - przyznał spokojnie Matt, wyłączając autopilota i wznosząc maszynę na siedemset stóp. - Nadal go nie widzę. Przeleć radarem okolicę, nie lubię tłoku.

- To już nie zabawa, wyłączam EMIS - zdecydował Haney.

- Nie będę ryzykował kraksy z jakimś zdurniałym turystą!

Przy włączonym na stałe radarze obaj mieli wystarczającą ilość danych, by ocenić sytuację, i Matt przełączył komputer na wersję myśliwską. Ta właśnie zdolność natychmiastowego przejścia z roli maszyny wsparcia naziemnego do roli pełnosprawnego myśliwca czyniła z F-15E tak groźnego przeciwnika. Zblokował radar na pierwszym samolocie i przyjrzał mu się na ekranie HUD.

- Mam go, tylko pilnuj, żebyśmy nie przelecieli punktu kontrolnego.

- Nie jesteś tu po to, żeby z kimkolwiek walczyć - ostrzegł Haney.

- Jak mawia stary: „Traktować każdy nierozpoznany cel jako potencjalnego wroga, a nie będzie się narzekać na pecha” - odparł Matt, kładąc maszynę na prawe skrzydło, gdy przelatowali nad lecącym z niewielką szybkością samolotem. - Cholera, on faktycznie leci w krzakach! Ciekawe, czy nas w ogóle widział... Zidentyfikowałeś go?

- Cywilny, dwusilnikowy. Wygląda jak Cessna 4-0-6. Co on tu do cholery robi?

- Za duży jak na 406. - Wzrok Matta i jego zdolność rozpoznawania maszyn były legendarne. - *Tallyho* dwa pozostałe... Jasny szlag, to F-15-stki! Czego ci tu chcą?!

Opadli na pięćset stóp i Haney zadał sobie dokładnie to samo pytanie, analizując dane na ekranach.

- Mają radary nastawione na śledzenie i na małej szybkości latają nożycami za tym cywilem... zupełnie jakby go obserwowali. O cholera, oni...

- Podejmuję wyzwanie - rzucił Matt, obserwując obie maszyny przelatujące dwa tysiące pięćset stóp nad nimi.

- Żadne takie! - zdenerwował się Haney.

Matt już nie nagiął przepisów, po prostu łamał jeden z najważniejszych: F-15E, kosztujący dwadzieścia dziewięć milionów dolarów, mógł ćwiczyć walkę powietrzną tylko w sytuacji dokładnie zaplanowanej i uzgodnionej. Teoretycznie...

Tymczasem pojedynek rozwinął się błyskawicznie. Matt wyprysnął świecą na dopalaczu i z sześciogeowym przyspieszeniem, wyrównując za parą F-15. Słuchawki wypełnił świergot Sidewindera łapiącego namiar. Pocisk był ćwiczebny, ale naprowadzanie na podczerwień działało jak w bojowym. Rozbłysło światelko namiaru. Matt kciukiem lewej dłoni włączył nadawanie.

- Fox dwa na prawego F-15 lecącego na północ. - Było to standardowe ostrzeżenie o pozorowanym odpaleniu Sidewindera.

Oba samoloty podejmując wyzwanie rozdzieliły się w uniku. Wywołany przez radio wystrzelił w górę świecą, przeszedł w półpętlę i powrócił na kurs śledzący dwusilnikowy samolot w dole. Jego boczny odbił w lewo, kładąc maszynę na kurs prowadzący na południe, a gdy przyjrzał się maszynie Matta, zawrócił i dołączył do dowódcy. Matt skręcił na wschód, a Haney ogłosił zakończenie walki, po czym wrócili na kurs, znów w roli maszyny bombardującej. Cała dywersja trwała krócej niż minutę, ale znacznie poprawiła pilotowi samopoczucie.

- Nadal śledzą tę Cessnę - oznajmił Haney. - Jezu, widziałeś ich Sidewindery?

Pod każdym płatem obu myśliwców wisiały po dwie śnieżnobiałe rakiety. Ich własne ćwiczebne Sidewindery były błękitne.

- Cholera, naskoczyliśmy dwie maszyny w autentycznym alarmie. Prawdopodobnie śledzili narkotyki. Ładny paszтет!

- Myślałem, że tak jak my po prostu mieszają powietrze - jęknął Matt. - Myślisz, że mają nasz numer?

- Po to właśnie zawrócili, ale to bez znaczenia. Jak myślisz, ile F-15 typu E lata teraz w okolicy?

Pytanie było retoryczne, jako że US Air Force dysponowały chwilowo zaledwie dwustoma egzemplarzami tej wersji.

- Tym razem oberwiemy - stwierdził żałośnie Mike.

- Prawdopodobnie - zachichotał Matt - ale nie ma się czym martwić.

Tamir wszedł do mieszkania i postawił przy drzwiach teczkę, zastanawiając się, po co w ogóle bierze ją ze sobą do pracy - i tak nie był w stanie zabrać roboty do domu, a podniszczona teczka zawierała jedynie śniadanie i gazetę.

- Shoshe? - zawołał.

Odpowiedziała mu cisza, a więc córki nie było w domu. Po chwili poszukiwań znalazł kartkę w kuchni przy lodówce. Nigdy nie zostawiała wiadomości w tym samym miejscu, ale jakoś tak, by bez kłopotu je odnalazł, gdy po tygodniowej nieobecności wróci do rutyny życia w domu. Jak dotąd zresztą zawsze trafiała w dziesiątkę.

Wiadomość była krótka: „Plaża z Yoelem. Wrócę o piątej”.

- Pewnie w nowym kostiumie kąpielowym - mruknął do siebie. - Yoel będzie zachwycony.

Nalał sobie szklankę wody sodowej, dołożył plasterek cytryny i dwie kostki lodu i wyszedł na balkon, skąd rozpościerał się doskonały widok na Hajfę. Mieszkanie położone było w „Hadar”, starej dzielnicy mieszkalnej leżącej w połowie wzgórza górującego nad resztą miasta nad zatoką. Avi bardzo je lubił.

Spróbował wyobrazić sobie córkę w nowym kostiumie, który kupiła w zeszłym tygodniu. W pierwszej chwili był zadowolony, gdy usłyszał, że jest jednoczęściowy. Ale gdy zobaczył nabytek na córce, zadowolenie zniknęło. Cóż, starzał się i zaczynał zrzedzić - mając pięćdziesiąt dwa lata stracił większość włosów i poczucie humoru. Chciał zostać dziadkiem i jedyną nadzieją w tym, że kostium skłoni wreszcie Yoela do działania...

- Taato, jestem! - wyrwał go z zamyślenia głos córki.

Dołączyła do niego ubrana w starą koszulę, której używała

zamiast ręcznika kąpielowego. Pocałowała go w policzek i usiadła w wiklinowym fotelu, wyciągając przed siebie długie nogi. Rozmowa kręciła się wokół jej nowego zajęcia w firmie eksportującej cytrusy i jego wyjazdu na cały niemal tydzień.

- Miałaś na sobie dzisiaj ten nowy kostium? - spytał w końcu Avi.

- Oczywiście - roześmiała się wstając i zdejmując koszulę. - Przyznasz, że niezły?

Był to najmodniejszy obecnie kostium kąpielowy: głęboko wycięty na plecach i wysoko wcięty z przodu, co podkreślało smukłość nóg. Odślaniał całe plecy i (według Aviego) zdecydowanie za dużo biustu. Wszystko to uświadomiło mu, że spogląda na dwudziestosześcioletnią kobietę, a nie na dziesięcioletnią tłuściutką dziewczynkę, którą odruchowo przywoływał z pamięci na myśl o córce. Teraz była dokładnie jego wzrostu: sto siedemdziesiąt osiem centymetrów, i choć bezsprzecznie była dobrze zbudowana, nie miała ani grama tłuszczu. Na modelkę się nie nadawała, ale była zgrabna; miała atrakcyjną figurę z wąską talią i bujnym biustem. Obróciła się na pięcie i dodała z uśmiechem:

- Yoelowi się podobał.

- Nie wątpię - westchnął. - Kiedy się pobierzecie?

Temat był stary, toteż oboje nauczyli się trzymać nerwy na wodzy. Tamir wiedział, że Yoel spędzał tu wszystkie noce, gdy jego nie było, i zniknął, gdy ojciec wracał, by nie zaognić sytuacji.

- Wkrótce - odparła, wkładając koszulę i uśmiechając się tak, że kompletnie go rozbroiła. - Wkrótce, tato.

Jej twarz była twarzą Miriam i główną bronią w sporach z ojcem: wysokie kości policzkowe, pełne usta i wyraziste brązowe oczy w połączeniu z doskonałymi zębami i spływającymi do ramion czarnymi włosami dawały obraz piękna. Była typem rubensowskim, a nie kobietą z magazynów mody, ale i tak idąc ulicą skupiała na sobie spojrzenia. Była też typową *sabraq*: inteligentną, niezależną i wytrzymałą. No i Avi ją kochał; gdyby Miriam żyła, jego życie byłoby doskonałe.

- Gdzie Yoel? - spytał, nie chcąc myśleć o żonie.

- W domu; ma dziś uroczystą kolację rodzinną - odparła siadając. - Jesteśmy zaproszeni.

- Musimy tam iść? - jęknął, obserwując, jak Shoshana zabiera się za szczotkowanie włosów, które też odziedziczyła po matce.

To właśnie owe kruczoczarne długie włosy przykuły jego uwagę, gdy jako młodzieniec poznał Miriam w kibucu. Dziś wolałby zjeść spokojny posiłek w domu, z córką, a nie w restauracji, na oficjalnym przyjęciu.

- Taaato! - westchnęła. - To ty ciągle mówisz o małżeństwie. To się wiąże z umacnianiem kontaktów międzynarodowych, prawda?

- O której? - spytał, wiedząc, że przegrał.

Młodzieniec pełniący w nocy obowiązki szefa kancelarii prezydenckiej zostawił korespondencję i wiadomości nadesłane w tym czasie do Białego Domu posegregowane na trzy sterty. Ponieważ była sobota, wiadomości napłynęło niewiele, toteż Melissa szybko je przejrzała i najważniejsze zaniósła do biura szefa kancelarii, żegnając po drodze Tima. Młodzieniec wyszedł, a ona wzięła się za rutynowe układanie dokumentów i akt na mahoniowym biurku, uważając, by lewa kraweźdź wierzchniego dokumentu idealnie pasowała do lewego marginesu tego, który leżał pod nim. Kretyńskie zajęcie, ale Thomas Fraser, zajmujący to stanowisko i tym samym będący jej szefem, należał do pedantów. Rozejrzała się odruchowo po pomieszczeniu: wszystko było na swoim miejscu, a na biurku panował wzorowy wręcz ład. Zupełnie przypadkowo spojrzała na kolekcję żołnierzyków w szklanej gablocie i zaskoczona stwierdziła, że nie stoją w równych odstępach; czym prędzej wróciła do siebie, wygrzebała z szuflady linijkę i pobiegła z powrotem. Była siódma pięćdziesiąt dziewięć, czyli miała minutę na zmierzenie odległości między figurkami i uporządkowanie ich. Któraś ze sprzątarek musiała je w nocy poprzestawiać, a to było coś, czego Fraser by nie puścił płazem. Przy takim szefie pracownicy musieli wzajemnie dbać o swoje interesy, więc Melissa postanowiła porozmawiać z szefową sprzątarek: szkoda, by któraś z kobiet straciła pracę przez taką bzdurę.

Ledwie zdążyła wrócić do swego pokoju i schować linijkę, a już w drzwiach wejściowych pojawił się Thomas Patrick Fraser,

bąkając w biegu powitanie. Podeszła do srebrnego ekspresu do kawy, wlała dwie trzecie płynu do filizanki, dodała płaską łyżeczkę cukru i zaniosiła całość do gabinetu. Sobota czy nie sobota, codzienna rutyna obowiązywała.

Westchnęła, mając ochotę na przejażdżkę rowerową, ale za bycie zastępczynią szefa kancelarii prezydenckiej trzeba płacić! A było to najwyższe stanowisko, jakie mogła mieć przy kimś takim jak Fraser. I najbliższe, oczywiście nie Frasera, tylko prezydenta USA, Matthew Zachary'ego Pontowskiego.

Gdy weszła, Fraser przeglądał najważniejszy ze wszystkich dokument, czyli PBD - Prezydencki Biuletyn Dzienny.

- Niech to najjaśniejsza cholera trafi! - warknął. - Powiedz tym zasranym analitykom, że jak nie napiszą tego główna po ludzku, to ich wyleją na zbity pysk! Nie poślę Zackowi analizy wywiadowczej bazującej na samych spekulacjach.

Cisnął ku niej dwunastostronicowy dokument. Był jednym z niewielu nadal używających tej poufalej formy w odniesieniu do prezydenta, co niezmiennie działało Melissie na nerwy.

Bez słowa przejrzała wydrukowane podsumowanie danych wszystkich agencji wywiadowczych, jakimi dysponowały Stany Zjednoczone. Dokument taki sporządzano codziennie, biorąc pod uwagę nowe informacje, analizy i wnioski, i był on uważany za tak istotny, że dostarczano go do Białego Domu w opieczętowanym pojemniku, a zapoznać się z jego treścią miało prawo jedynie dwanaście osób. Melissa i Fraser wchodzili w skład tego grona. W części dotyczącej Bliskiego Wschodu znalazła wściekle czerwone znaki pozostawione przez cienkopis Frasera, i przeczytała podkreśloną analizę pióra Williama Gibbonsa Carrola.

- Carroll jest naszym najlepszym specjalistą od Bliskiego Wschodu - poinformowała Frasera. - Ma naprawdę imponujące osiągnięcia, o których prezydent zresztą wie. Poza tym prezydent sam jest dobrze zorientowany w problematyce bliskowschodniej, a przecież oboje wiemy, jak ma zwyczaj pracować.

Umilkła, dając mu czas na przetrwanie informacji i starym maskując przy tym niechęć, jaką żywiła do tego pięćdziesięcioośmioletniego mężczyzny. Podczas kampanii wyborczej zrozumiwała, jaką wartość stanowił dla Pontowskiego, ale to

w niczym nie zmieniło jej uczuć. Z szerokimi koneksjami politycznymi i zdolnością zorganizowania praktycznie nieograniczonych środków na fundusz wyborczy, nie wspominając już o doskonałych kontaktach w świecie interesów, Fraser był po prostu niezastąpiony. Lepiej by się jednak stało, gdyby w nagrodę został ambasadorem na jakimś zadupiu w Afryce czy Polinezji niż szefem prezydenckiej kancelarii. Wieść gminna głosiła, że Fraser wahał się ubiegać o funkcję ambasadora gdziekolwiek, mając świadomość, iż jego kandydatura nie zostałaby przyjęta przez Senat. Melissa Courtney-Smith była jednak zbyt doświadczona, by w to uwierzyć. Według niej Fraser chciał tego właśnie stanowiska tutaj, bo uwielbiał władzę i manipulowanie ludźmi; żaden zaś ambasador nie miał ku temu takich możliwości jak skromny na pozór szef kancelarii. Fraser z kolei miał ochotę pozbyć się Melissy, tylko nie bardzo wiedział, jak to zrobić.

- Do czego zmierzasz? - spytał ostrożnie.

- To proste: jeśli przeczyta w PBD coś, co nie zgadza się z tym, co czytał czy słyszał z innych źródeł, to po prostu wezwie Carrola, żeby sprawdzić.

Fraser bez słowa wyjął jej z ręki analizę i, już spokojniejszy, przeczytał ją.

- Toż to czysty nonsens - jęknął. - Twierdzenie, że masy arabskie widzą w Saddampie Jak Mu Tam męczennika i zmuszają swoje rządy, by zjednoczyły się i dokończyły jego dzieła.

Podobnie zresztą jak i to, że Irak w tajemnicy odbudowuje swój przemysł zbrojeniowy. Do diabła, oni nadal sprzątają to rumowisko, jakie z nich zrobiliśmy przy okazji Kuwejtu. A już na pewno nie ma żadnych oznak wzrostu napięcia między Syrią a Izraelem... Jak Zack to przeczyta, gotów dojść do wniosku, że Izrael nie potrafi sobie z tym wszystkim poradzić i że sytuacja wymyka się spod kontroli.

- Świat jest iluzją - poinformowała go złośliwie a sentencjonalnie Melissa - sytuacja zmienia się z dnia na dzień, a sprawą wywiadu jest być w tym wszystkim na bieżąco.

- Postaraj się o świeży egzemplarz, tym razem to puszcę - mruknął Fraser wkładając okulary i biorąc się za następne papiery.

Odprowadził wzrokiem wychodzącą Melissę i obiecał sobie dwie rzeczy: zwolnić tę zarozumiałą babę, jak tylko nadarzy się pierwsza okazja, i uzgodnić z DCI, żeby do prezydenta docierały sprawdzone informacje.

Odruchowo ostrzegł też w duchu sam siebie: ta dupa musiała mieć na Pontowskiego jakiegoś haka. Wielokrotnie próbował dowiedzieć się jakiego, ale jak dotąd bez powodzenia. W pierwszej chwili był pewien, że to seks, gdyż przy pięknych kobietach była to reguła, a mimo czterdziestu pięciu lat, jakie Melissa miała na karku, nie można jej było odmówić ani urody, ani figury. Jednak w miarę upływu czasu musiał zmienić opinię: nigdy bowiem nie wykrył najmniejszych nawet pozamałżeńskich ciągót Zacka. Prezydent lubił kobiety i łatwo nawiązywał z nimi znajomości, a gdy znalazł jakąś kompetentną przedstawicielkę płci pięknej, to polegał na jej wiedzy i zasięgał jej rady, ale na tym się zawsze kończyło. Takie traktowanie, będące praktycznym zastosowaniem zasady równouprawnienia, było dla Frasera czymś nienormalnym, ale wiedział, że Pontowski tak właśnie postępuje. Nie rozwiązywało to problemu haka, a najprostsze i zgodne z prawdą wytłumaczenie, że Pontowski po prostu ceni Melissę za lata lojalnej i doskonałej pracy, nigdy by nie przyszło Fraserowi do głowy.

- Jasna cholera! - ryknął, otwierając kolejną teczkę. - Melissa, łap dowódcę bazy lotniczej w Luke! Matt znowu narozrabiał!

Shoshe, dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? - jęknął Tamir, obserwując pakującą się pociechę.

Instynkt rodzicielski podpowiadał mu, że córka łże i że zrobi się z tego awantura.

- Bo dłużej byłbyś zdenerwowany - odparła zgodnie z prawdą, kręcąc się po mieszkaniu w starej, na wpół rozpiętej koszuli i w majtkach, jak to miała w zwyczaju.

- Musisz się tak ubierać? - spytał odruchowo.

Podobne pytania padały od chwili, gdy skończyła siedemnaście lat, i niezmiennie prowadziły do sprzeczki.

- Tato! - jęknęła z rozpaczą. - Jesteśmy tylko my dwoje, a w dodatku ja się pakuję!

- Powinnaś mi o tym wcześniej powiedzieć - powtórzył. - Wyjazd na wakacje bez uprzedzenia... to mi się wcale nie podoba.

- Mówiłam ci już, że to nie są wakacje. Owszem, jadę do Hiszpanii, ale wcale nie na wakacje. To naprawdę jest wyjazd służbowy finansowany przez firmę. Przecież wiesz, że za moją pensję nie wyżyłabym tam nawet dwóch dni.

- A jakież to interesy w południowej Hiszpanii może mieć firma eksportująca owoce?

Wzięła głębszy oddech, by się uspokoić, i odparła najspokojniej, jak umiała:

- Mam zapoznać się z nowymi urządzeniami do przetwarzania i pakowania. Jeśli chcemy być konkurencyjni na światowym rynku, musimy iść z postępem.

- Shoshe... - Chciał się z nią podzielić podejrzeniami, gdyż dzięki pracy dla rządu wiedział, że firma, dla której pracuje córka, służy często za przykrywkę Mossadowi, i podejrzewał, że jego ukochane dziecko także może dla nich pracować. Jednak nie zdobył się na szczerość. - Shoshe...

- Zabrzmiałeś jak pęknięta płyta - stwierdziła z uśmiechem. - Nie złość się, już się spakowałam i zaraz się przebiorę. A potem przygotuję obiad. Tato, podrzucisz mnie rano na lotnisko, jak będziesz jechał do pracy? Dobrze?

Kwadrans później Shoshe, już w bluzce i spódnicy, śpiewywała w kuchni, przygotowując obiad, a Tamir siedział w swoim ulubionym fotelu i rozmyślał, wyglądając przez balkon na migoczącą światłami Hajfę: zbliżał się koniec szabasu. Avi musiał przyznać, że córka doskonale opanowała sztukę unikania awantur i uspokajania go. A poza tym i tak nie miało sensu liczyć na jej szczerość co do pracy: pierwszą zasadą, jaką wpajano na kursie Mossadu było: „Nigdy i nikomu nie wolno się przyznawać, że należy się do tej organizacji”.

Ja poprowadzę - oznajmiła Shoshana, ładując obie walizki do bagażnika rodzinnego Volvo.

Tamir chrząknął i siadł w fotelu obok miejsca dla kierowcy. Sprawiał wrażenie niedźwiedzia przedwcześnie obudzonego ze snu zimowego. Bez słowa zjechali w dół i włączyli się w nie wielki

ruch niedzielnego poranka. Avi był zaskoczony łatwością, z jaką prowadziła.

- Lepiej ci idzie - przyznał niechętnie. - Gdy ostatnio prowadziłaś... - Nie dokończył i odprężył się; do Lotniska Ben Guriona było siedemdziesiąt mil i lepiej było spędzić podróż drzemiąc niż klócąc się. - Wóz też lepiej chodzi - dodał ziewając.

- Dałam go do przeglądu. Zdrzemnij się, tato.

Dodała gazu i Hajfa pozostała za nimi.

Tamira obudził ostry trzask AK-47. Gdy otworzył oczy, zobaczył, jak dwa jadące przed nimi wozy zderzają się blokując szosę. Shoshana, zamiast nacisnąć na hamulec, grzała prosto na nie, mierząc w lukę pomiędzy autobusem stojącym na lewym pasie i jasnozielonym samochodem osobowym zaparkowanym na prawym poboczu. Nagle szarpnęła kierownicą w lewo, naciskając równocześnie na gaz: wóz wpadł w poślizg i bokiem przemknął między tymi dwoma pojazdami. Tamirowi zdawało się, że ktoś strzela z zaparkowanego samochodu.

- Cooo... - zdołał wykrztusić, gdy szczipione ze sobą samochody przed nimi eksplodowały, a tył Volvo przyozdobiły dwie dziury po kulach. Był pewien, że albo będą dachować, albo usmażą się w piekle szalejącym przed nimi.

- Schył się! - krzyknęła Shoshana puszczając gaz, ale nie wyprowadzając wozu z poślizgu.

Zwolnili, lecz natychmiast dodała gazu i wjechała za zmierzający ku Hajfie autobus, kończąc kontrolowany poślizg. Jechali równo z autobusem, który osłaniał ich przed strzałami z zaparkowanego samochodu. Tamir dostrzegł szkło i fragmenty metalu sypiące się z autobusu ostrzeliwanego seriami z kalasznikowa; nagle wszystko ucichło.

- Terrorysty - wyjaśniła spokojnie Shoshana, podjeżdżając na stację benzynową.

Zanim Tamir wygramolił się z wozu, łapiąc z trudem oddech i nie bardzo nad sobą panując, Shoshana już była przy telefonie. Dotychczas przypadkowe zamachy, będące ostatnią plagą Izraela, należały wyłącznie do odległego świata radia czy telewizji, teraz jednak stały się namacalną rzeczywistością. Avi

obejrzał przestrzeliny w tylnej szybie i w prawej bocznej, które wyleciały kule, i dotarło do niego, że owym kontrolowanym poślizgiem córka uratowała mu właśnie przed chwilą życie. Gdyby jechała prosto, kule trafiłyby w drzwi po jego stronie. Roztrzęsiony do reszty, wszedł do środka i stwierdził, że po pierwsze chce mu się pić, a po drugie córka w dziwnie rzeczowy sposób melduje o ataku.

- Było ich troje: dwóch mężczyzn i kobieta. Ogólne wrażenie: młodzi, typ arabski, nie europejski. Widziałam dwa AK47. Byli w jasnozielonym Renault. - Ku zaskoczeniu ojca podała siedmiocyfrową rejestrację. - Z przodu była inna tablica, ale zapamiętałam tylko dwie pierwsze cyfry: cztery, siedem...

Tak. - Odłożyła słuchawkę i oznajmiła: - Możemy jechać. Zadzwoń do ciebie, jak będą potrzebować więcej informacji.

Tamir bez słowa wszedł do samochodu i dopiero po chwili odzyskał głos.

- Kiedy ty to wszystko zobaczyłaś? I skąd umiesz tak jeździć jak zawodowy kierowca?

- Och, taato, po prostu miałam szczęście - oznajmiła nonszalanckim tonem nastolatki. - W poślizgu byłam tylko raz, w czasie nauki jazdy. Pamiętasz, opowiadałam ci o tym.

Chciał jej wierzyć. Chciał być pewien, że mówi prawdę i wyjeżdża do Hiszpanii po prostu w interesach... Ale lata pracy naukowej uwarunkowały go, by oceniał to, co widzi, bez uczuć i pragnień, kierując się wyłącznie logiką. W tym momencie spojrział na nią: akurat odrzucała włosy z czoła gestem tak charakterystycznym dla Miriam i, widząc jego spojrzenie, uśmiechnęła się. Przeważały uczucia ojcowskie i uwierzył.

Zatroskana, skoncentrowała się na prowadzeniu wozu i dotarciu bocznymi drogami do autostrady, z dala od miejsca zamachu. Przez cały czas miała nadzieję, że ojciec nie będzie jej o nic więcej wypytywać, więc na wszelki wypadek wołała nie przerywać ciszy. Przecież robiła to samo co on, tylko w inny sposób... Pomyślała o swym pierwszym zadaniu: nawiązać znajomość z niejakim Is'alem Nassirem Mana, o którym wiedziała tylko, dlaczego Mossad się nim interesuje. Nikt jej nie mówił, co robić, by do maksimum wykorzystać ową znajomość, ale też i nie musiał - wiedziała, czego się od niej oczekuje.

Nieźle - ocenił Haney. - Moja żona właśnie kończy trzeciego. Jak toto się nazywa? - spytał, dolewając sobie ponczu, który Matt przygotował przed przyjęciem.

- Powiedz jej, żeby spauzowała - ostrzegł gospodarz. - To „francuska siedemdziesiątka piątka”, jest naprawdę zdradliwa.

Zgodnie z moimi informacjami, trunek powstał w czasie pierwszej wojny, a nazwa wzięła się od najsłynniejszej francuskiej armaty tego okresu.

Miał na końcu języka, że historię i przepis zna od dziadka, ale wolał go nie wspominać, żeby nie wyglądało, że się chwali. Dziadek godzinami mógł opowiadać ciekawostki z okresu „Wielkiej Wojny”, jak ją nazywał. Zainteresowanie to było o tyle zrozumiałe, że Zack urodził się jedenastego listopada 1918 roku, czyli w dniu zakończenia tejże wojny.

Miał na wszelki wypadek sprawdził bar, ale trunków było pod dostatkiem; zadowolony rozejrzał się po sali - pierwsza impreza dywizjonowa, jaką urządził, rozwijała się właściwie. Pierwszy raz robił *party* w sali rekreacyjnej domku, który dzierżawił w Phoenix, i okazało się, że miejsce jest doskonałe. Sala wychodziła na ogród i basen, mając obok saunę i wolno stojący kominek, tworzący filar na środku pomieszczenia.

- Miłe przyjęcie. - Dowódca jednostki, podpułkownik Jack Locke, właśnie wychodził wraz z małżonką i przyszli się pożegnać.

- Chciałabym zostać, ale nie udało się załatwić niani na całą noc - dodała Gillian z brytyjskim akcentem, który zawsze się Mattowi podobał.

Locke też miał ochotę zostać, ale widać było jak na dłoni, że impreza niebezpiecznie się rozkręca: niektórych uczestników utrzymywała w ryzach wyłącznie jego obecność. Był to jeden z powodów, dla których dowódcy wcześniej opuszczali tego typu przyjęcia, i to od początku istnienia US Air Force. Gdy Locke był porucznikiem, wodził rej na takich spotkaniach, teraz zaś musiał się dostosować do żony i stopnia.

- Zaopiekuj się mniej wytrzymałymi. - Z uśmiechem uciekł się do eufemizmu, oznaczającego, że nie wolno dopuścić, by jakakolwiek oferma wracała samochodem po pijanemu.

- Yes, sir. Mamy wyznaczonych kierowców i trzymam ich biedaków trzeźwych jak niemowlęta - zameldował Matt.

Locke wymienił pożegnania i oboje wyszli. Matt odetchnął z ulgą.

- Oho - mruknął Haney - chyba pierwszy raz się zdecydowała.

Przy narożniku kominka zgromadził się mały tłumek obserwujący dziewczynę w opiętej spódnicy, taksującą drewniany strop, znajdujący się jakieś trzy i pół metra nad głowami obecnych. Cegły, z których zbudowano kominiek, nie były ułożone równo, stanowiąc dość dobre oparcie dla nóg i tworząc coś w rodzaju drabiny. Dziewczyna podkasała spódnice i zaczęła się wdrapywać po narożniku niczym mucha.

- Hurra! - wrzasnęła, dotykając dłonią sufitu, i ruszyła w drogę powrotną.

- Mam nadzieję, że ktoś ją złapie, zanim zleci na twarz i zrobi sobie krzywdę - rozległ się za plecami Matta miękki głos.

W drzwiach stała właścicielka tego i kilku okolicznych domków.

- Wykluczone - oświadczył Haney - za nic w świecie tam nie pójde: żona by mnie żywcem oskalpowała za zagładanie pod cudze spódnice.

- Myślę, że jakby co, to ochotników nie zabraknie, pani Mado - dodał Matt, wręczając nowo przybyłej damie czarkę ponczu.

Barbara Mado odwzajemniła uśmiech i skosztowała mikstury.

- Francuska siedemdziesiątka piątka. Zdradliwa.

Matt dostrzegł znajomy błysk w jej oczach.

- Proszę zostać i pobawić się z nami, pani Mado - zaproponował.

Znał ją ze słyszenia (głównie z plotek), ale na pierwszy rzut oka bez pudła rozpoznał istotę towarzyską. Do tego nie potrzebował żadnych informacji. Barbara Mado bez wątpienia przepadała za przyjęciami.

- Proszę mi mówić po imieniu. A z zaproszenia chętnie skorzystam: zabawnie tu. - I uśmiechnąwszy się z wdziękiem, zniknęła pośród biesiadników.

- Ona faktycznie jest żoną generała? - spytał Mike.

- Owszem. Żoną generała-porucznika Simona Mado. Prawdziwej patentowanej dupy z uszami. Kilka lat temu wymienił na nią pierwszą żonę po dojściu do wniosku, że może mu to pomóc w karierze.

- Nawet go rozumiem. Mogłaby pozować do „Playboya”. Jak myślisz, ile ona ma lat?

- Trzydzieści parę. Lokalna wieść gminna niesie, że zanim wzięła się za nieruchomości, była panienką w Las Vegas i wychodząc za Mado miała odłożone sporo grosza. Pokazuje się tu co jakiś czas, by dopilnować mieszkańców.

Przyjätko tymczasem nabrało rozmachu, toteż Mike pomógł gospodarzowi za barem, do którego zaczęły ciągnąć pielgrzymki. Sądząc z regularnych wędrówek do wazy z ponczem, Barbara Mado albo miała fenomenalną głowę, albo olbrzymią ochotę zalać się w rekordowym tempie. Większość małżeństw już wyszła; ktoś podkreślił muzykę, gdy nagle od strony baru dobiegł najpierw przeraźliwy pisk, a po sekundzie plusk. Matt kątem oka dostrzegł, jak dwóch poruczników wrzuciło Barbarę do wody. Moment później nastąpiły trzy kolejne pluski.

Po kilku chwilach do baru zbliżyła się zdobywczyni kominika, zbierając po drodze zasłużone pochwały. Miała na sobie jedynie mokre figi, nie pozostawiające miejsca dla wyobraźni. Wręczyła gospodarzowi ociekającą suknię z komentarzem:

- Zrób coś z tym, jeśli możesz.

Kolejny chór wiwatów powitał wyjście z basenu Barbary. Była ubrana i ociekała wodą, aż przykro było patrzeć.

- Rozepnij to z łaski swojej - poprosiła Haneya stając tyłem do niego.

Ten grzecznie rozpiął suwak i ze słowami:

- Chłopie, to zaczyna być niebezpieczne dla żonatego faceta - udał się na poszukiwanie żony.

- Mięczak - skomentowała Barbara, wychodząc z sukni i posyłając ją celnym kopniakiem pod bar.

Odruchowo porównała się z półnągą panienką i Matt przyznał, że wygrała - pomimo staniczka i majteczek z czarnej kotonki była tamtą na głowę.

- No, no - mruknął - ktoś, kto tak pije i tak wygląda, może być całkiem fajny.

- Chcesz sprawdzić? - spytała z obietnicą w głosie i pomaszerowała ku wazie z ponczem.

- Nigdy jeszcze nie miałem generalowej - szepnął pod nosem Matt.

Kilka minut później zjawił się Haney z żoną na holu.

- Znalazłem ją w łazience - wyjaśnił. - Za dużo łakoci w płynie...

Przerwały mu wiwaty od strony kominka.

- O, cholera - jęknął Mike. - Czas się ewakuować, i to natychmiast!

Barbara była w połowie drogi do sufitu i właśnie skopała z nóg buty, by łatwiej jej było wchodzić. Po paru sekundach stanęła na górze, poklepała belkę stropową i rozpięła biustonosz, rzucając go prosto na uniesione w zachwycie twarze lotników. Aplauz przybrał na sile. Matt odwrócił się do Haneya szukając pomocy, ale Mike i jego żona zdążyli się już ulotnić, za to w drzwiach stało dwóch policjantów, wpatrzonych z podziwem w Barbarę, która właśnie zdejmowała majteczki.

- Mamy skargę o zakłócanie spokoju - odezwał się jeden nie spuszczać wzroku z prezentującej swoje wdzięki niewiasty. - Pańska impreza?

Tamir znalazł sobie wygodne miejsce w kącie, z dala od innych obserwatorów, ale to i tak nie zapewniło mu spokoju.

- Premier słyszał o twoich akrobacjach na szosie - poinformował go najbliższy stojący.

- Zawsze mówiłem, że to strasznie plotkarski kraj - mruknął Avi, szukając wzrokiem nowo wybranego premiera.

W końcu odnalazł niskiego, łysiejącego Yaira Ben Davida.

- On tu kiedyś był? - spytał Avi, mając na myśli wizytę w betonowym bunkrze stanowiska dowodzenia.

Bunkier ukryty był pod dwustumetrową warstwą ziemi w jednym ze wzgórz koło Tel Awiwu i stanowił, wraz z systemem korytarzy i hermetycznych śluz, najlepiej strzeżony kompleks budowli w całym Izraelu. Lepiej nawet niż podziemna elektrownia atomowa w Dimonie, gdzie Tamir spędzał większość czasu.

- Nie był - poinformował go sąsiad. - I coś mi się wydaje, że

naszemu premierowi otworzą się dzisiaj oczy na wiele spraw.

- Przecież wie, że mamy bomby.

- Ale nie wie, jakie i ile - odparł złośliwie sąsiad, najwyraźniej nieprzepadający za politykami.

Po trzech godzinach, w czasie których Tamir jako bierny obserwator przyglądał się scenariuszowi przyszłego konfliktu, przypominającemu strategiczną grę komputerową, tyle że zbyt wiernie osadzoną w realiach - doszli do chwili, w której strona przeciwna, czyli Syria użyła broni chemicznej. Z sektorów OC napływały meldunki o stratach wśród ludności i efektach działania użytych gazów parzących i paraliżujących. Jeden z ekranów ukazywał, jak powinna wyglądać dystrybucja odzieży ochronnej, masek i lekarstw, drugi wyświetlał problemy w tejże związane ze zniszczeniami i zamieszaniem wywołanym przez walki. Straty wśród ludności zaczęły błyskawicznie rosnąć.

- Zatrzymać to! - Ben David zerwał się na równe nogi. - Wojsko tym razem posunęło się za daleko: to przerost wyobraźni nad praktyką. Irak nie użył broni chemicznej podczas wojny w Zatoce i wątpię, by Arabowie kiedykolwiek jej użyli przeciwko nam. Zdają sobie sprawę, jaka byłaby nasza reakcja.

- Yair - Benjamin Yuriden, minister obrony, położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu - wojny nie da się zatrzymać, gdy już wybuchnie. Jeśli nie będziemy brali pod uwagę najgorszych scenariuszy, to nie będziemy do niej przygotowani. A właśnie po to się tu dziś zebraliśmy. Wiemy, że Syria, Irak i Libia mają broń chemiczną i szkołę wojska w jej używaniu. Logicznym więc jest założenie, że przegrywając, tak jak tu symulujemy, użyją jej przeciwko nam.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy ofiarami własnego sukcesu? Nie możemy wygrać w konwencjonalnej wojnie, gdyż Arabowie w odwecie zaatakują środkami masowej zagłady ludność cywilną?

- Jest to możliwość, z którą musimy się liczyć i którą musimy rozważyć.

- W takim razie odpowiedź jest prosta. - Ben David wyprostował się gotów do walki. - Oni posłużą się chemią, a my eskalacją. Proszę kontynuować i załadować bomby na samoloty.

Z wysuniętą dolną szczęką i zaciśniętymi ustami wyglądał naprawdę bojowo, ale Yuriden niespecjalnie się tym przejął: to były ćwiczenia.

- Chcesz użyć wszystkich ładunków przystosowanych do zrzutu z samolotów? Wygrywamy tę wojnę, jak by nie patrzeć.

- Wszystkich.

- Wycofanie z akcji tyłu naszych maszyn poważnie osłabi naszą obronę powietrzną - wtrącił dowódca lotnictwa.

- A ilu potrzebujemy samolotów? - spytał podejrzliwie premier.

- Osiemdziesięciu siedmiu.

Ben David usiadł bez słowa.

- Mamy aż tyle bomb atomowych? - wykrztusił po chwili z niedowierzaniem.

- Osiemdziesiąt siedem przystosowanych jako bomby lotnicze. Trzydzieści pięć pocisków taktycznych, które można wystrzelić z haubic sto pięćdziesiąt pięć milimetrów, i piętnaście głowic do rakiet typu Jerycho Dwa - odparł spokojnie Yuriden.

Zapadła długa cisza, którą przerwał dopiero premier, ale już znacznie spokojniejszym głosem.

- Jaka jest najsłabsza?

- Pociski artyleryjskie. Mają po dwie kilotony.

- A najsilniejsza? - Widać było, że Ben David jest zafascynowany: podobnie jak większość izraelskich polityków wiedział, iż jego kraj dysponuje bronią atomową, ale nie miał pojęcia o szczegółach.

- Bomby lotnicze. Trzydzieści kiloton.

- Może nie wygramy, ale oni też nie odniosą zwycięstwa - zdecydował premier. - Chcę zobaczyć, co będzie. Zrzucimy największą na Damaszek. Niech nasz ambasador w ONZ ogłosi ostrzeżenie, że użyjemy następnych, jeśli nie skończą ze stosowaniem gazów. Nie damy się zepchnąć do morza! Jakie mogą być straty w Syrii?

- Mniej więcej tysiąc razy większe niż nasze w wyniku użycia

gazów - odpowiedział cicho Tamir, nie wysuwając się z kąta.

W sali zapanowała pełna zaskoczenia cisza.

- Za wysoka ocena - premiera aż odwróciło na obrotowym fotelu.

- Prawdopodobnie za niska.

- Skąd ta pewność? - zdziwił się Ben David.

- Testowałem tę broń - odparł Tamir z prostotą eksperta.

- W takim razie użyjemy mniejszego ładunku, by pokazać, że nie zawahamy się na przyszłość - oznajmił Ben David.

- Arabowie doskonale rozumieją wymowę siły.

- Zniszczenia i straty w Damaszku będą i tak olbrzymie - odezwał się Tamir. - Nie wiem, czy Izrael zdoła przetrwać konsekwencje polityczne.

- Na tym też się znasz?

- Syryjska obrona cywilna to burdel na wrotkach, o którym nawet nie warto wspominać. - Avi opuścił głowę i wyjaśnił cicho: - Nie są w stanie ani ratować, ani udzielać opieki medycznej ofiarom broni atomowej. Większość mieszkańców Damaszku nie ma nawet pojęcia, co trzeba zrobić w przypadku wybuchu. Zaproszą do siebie każdego, kto będzie chciał i pokażą światu zniszczenia i masakrę, której będziemy sprawcami. To będzie holocaust naszego własnego wyrobu; Rosja i te państwa arabskie, które dotąd nie brały udziału w walkach, wystąpią przeciw nam. Wojna zmieni się w niekontrolowaną rzeź, w której zginiemy.

- Tamir, zbyt czarno na to patrzysz.

- Testowałem tę broń. - To była jedyna odpowiedź.

Ben David odwrócił się wraz z fotelem do ekranów i spytał:

- Jaki jest najmniejszy ładunek?

- Dwie kilotony.

- W takim razie zrzucić go na Damaszek.

Tamir wyszedł z sali dowodzenia. Zbierało mu się na wymioty. W korytarzu oparł się ciężko o ścianę i próbował się uspokoić.

- To tylko manewry, ale nigdy nie myślałem... - szepnął do siebie - nigdy nie sądziłem... że mogą zajść tak daleko.

2

Przerażliwy ryk klaksonu poderwał Matta i Haneya do akcji; biegiem ruszyli ku maszynie.

- Jestem - rozległ się w intercomie spokojny głos Haneya, w chwili gdy Matt zakładał kask.

Połączeni byli przewodami spuszczoneymi z sufitu bunkra i prowadzącymi do stanowiska dowodzenia o kryptonimie „Dogpatch”. Po włączeniu silników i przejściu na własne zasilanie przewody zostawały odłączone, a łączność utrzymywali drogą radiową.

Nad otwartymi drzwiami bunkra zamocowane były na suficie trzy lampki, w tej chwili płonące czerwienią. Gdyby najniższa zmieniła barwę na zieloną, należałoby włączyć silniki; zielone światło środkowej oznaczało kołowanie na pas i oczekiwanie na start; ostatnia oznaczała start i wejście na orbitę, gdzie należało poczekać na zakodowaną wiadomość, która miała posłać ich obu na wojnę nuklearną.

- Dogpatch, tu Romeo 0-4 - zameldował dziwnie spokojnie Matt. - Czekam na rozkazy.

- *Roger*, Romeo 0-4. Czekaj. - W tle słychać było przytłumione rozmowy z innymi pilotami.

Skrzydło, w skład którego wchodził ich dywizjon, zostało przeniesione do Colocated Operating Base na lotnisko RAF w Stonewood w ramach równoczesnych ćwiczeń „Reforger”, obejmujących całą armię Stanów Zjednoczonych. Pod koniec ćwiczeń sytuacja polityczna Rosji zmieniła się w wolnoamerykanę, w której rozmaite frakcje używały wszelkich możliwych sposobów, by uzyskać kontrolę nad ginącym imperium. Wreszcie udało się to twardogłowym wojskowym, którzy zaczęli od

ponownej okupacji państw nadbałtyckich i Polski. W odpowiedzi NATO podniosło stopień gotowości, na co Rosja zareagowała tym samym i w efekcie Matt i Mike siedzieli w kabinach F-15E w stanie alarmu „Victor” w Stonewood z bombą nuklearną na pokładzie, czekając na rozkaz startu, mający nadejść ze wzmocnionego bunkra zdolnego wytrzymać falę uderzeniową pobliskiej eksplozji atomowej. Gorączkowe wysiłki polityczne nieco zredukowały napięcie i dzień zaczął się jako kolejne rutynowe pogotowie bojowe.

Najniższe światło zmieniło się na zielone i Matt szarpnął dźwignię rozrusznika umieszczoną przy prawym kolanie. Zanim silnik startowy zdołał odpalić turbinę, sprzed otwartych drzwi bunkra odjechała ciężarówka Military Police, stojąca tam dotychczas, by uniemożliwić start bez zezwolenia.

- No to zaczynamy - mruknął, spoglądając na rozjarzoną tablicę kontrolną.

Ostatnia lampka rozbłysła zielenią, a w słuchawkach usłyszał:

- Wszystkie maszyny „Victor”, tu Dogpatch. Wiadomość Zulu Yankee, powtarzam...

Obaj zapisali podany kod.

- Mam ważną wiadomość ataku - zameldował Mike, znacznie szybciej dekodując ją na ludzki język.

- Jasne. - Matt nie zawracał sobie głowy dokończeniem dekodacji: ufał Haneyowi, a liczyła się każda sekunda.

Powoli wykołował na pas startowy.

Czterdzieści minut później byli nad Danią i rozpoczęli zadanie. Przebili się przez grubą powłokę chmur, by nad terytorium wroga wlecieć niewysoko. Z chmur wyszli na wysokość pięciuset stóp, mając widoczność około pięciu mil.

- Ślicznie - mruknął Matt, sprawdzając trasę na mapie i TSD. - Jesteśmy na kursie i o czasie.

- Zgadza się - potwierdził Haney.

Jaskrawy błysk po lewej momentalnie przyciemnił ich bursztynowe wizjery, ratując oczy przed oślepiającym blaskiem wybuchu nuklearnego. Po kilku sekundach wizjery wróciły do normy i Matt sprawdził przyrządy.

- Cholera! - zaklął i czym prędzej położył maszynę w nurkowanie.

Gdy z boku wybuchło, sterował ręcznie i odruchowo nabral wysokości - byli na siedmiuset stopach, gdy wizjer przejaśniał na tyle, by Matt mógł dostrzec przyrządy. Znurkował na czas, bo obok przeleciały dwie rakiety klasy ziemia-powietrze, gubiąc ich namiar i eksplodując w górze.

- Cholera! - ryknął Haney. - Pali się! OSTRZEŻENIE!

Czymś musieli oberwać pomimo odległości.

- Ogień w silniku numer dwa - poinformował go Matt.

Haney zabrał się za sprawdzenie czynności w przypadku zapalenia silnika lub przegrzania. Ledwie skończył, uprzedził:

- Za dwie minuty zaczynamy dolot nad cel.

Teraz obaj sprawdzili uzbrojenie bomby i wyłączyli prawy silnik.

- Skręt w prawo! - wrzasnął nagle Haney. - Bandyta na godzinie czwartej.

Nie sprawdzając informacji, Matt położył maszynę w ciasny skręt, przełączając HUD na walkę powietrzną i uzbrajając Sidewindera. Z przodu zamajaczyła sylwetka MiG-a 29, sowieckiego odpowiednika F-16, toteż Matt ruszył za nim. Pięć „G” wcisnęło ich w fotele, ale w słuchawkach rozległo się ćwierkanie Sidewindera mającego namiar. Matt odpalił rakietę i znurkował, wyrównując na dwustu stopach.

- W lewo! - krzyknął Haney. - Bandyta...

Przerwał mu ogłuszający huk i wstrząs, który targnął maszyną. Kabinę wypełnił dym. Matt włączył awaryjny wentylator i po kilku sekundach wewnątrz się przejaśniło.

- Co za... - sapnął Matt, zaskoczony ilością dymu, rozglądając się jednocześnie wokół.

Po napastniku nie było śladu, należał widać do tych z serii „strzelać i w nogi”. Prawdopodobnie oberwali rakietą klasy powietrze-powietrze typu Aphid, która była zadziwiająco skuteczna jak na poziom rosyjskich rakiet.

- Trzymaj skręt w lewo, a zaraz będziemy nad IP - poinformował go Mike.

Przed nimi widać było most kolejowy, będący ich IP w tej

misji - od celu, którym była Kwatera Główna Dowództwa Armii Sowieckiej* dzieliło ich siedem mil. Wizjery ściemniały pod wpływem kolejnej eksplozji i znów Matt odruchowo zwiększył wysokość, ale tym razem nie było żadnej reakcji z ziemi. Eksplozja była zbyt blisko, by ktoś pod nimi miał czas martwić się pojedynczym F-15. Samolotem zatrzęsała fala uderzeniowa dochodząc do trzech „G”.

* Bzdura! Powinno być „sztab jednej z sowieckich Grup Armii” - gdyby chodziło o Kwaterę Główną, musiałby lecieć B-52 albo B-1 z pełnym ładunkiem, a nie F-15 z jedną bombką (przyp. tłum.).

- Kurwa! - jęknął Matt. - CAS zgłupiał!

Elektroniczny cud techniki automatycznie sterujący ustawieniem i płozami odmówił posłuszeństwa i teraz cały pilotaż spadł na barki człowieka. Jak zwykle w najmniej odpowiednim momencie.

- Moje ekrany zdechły - dodał Haney, wyciągając mapę.

- Znaczący dołot optyczny i ręczny zrzut.

Ze zdumieniem Mike stwierdził, że potwornie chce mu się pić, ale nie przestawał mówić, prowadząc Matta w dolicie nad cel. Lecieli slalomem, by utrudnić życie obronie przeciwlotniczej, i jak dotąd skutecznie: maszyna otoczona była rojem wielobarwnych paciorków ognia artylerii przeciwlotniczej, ale nie została trafiona.

- Zrzut! - ryknął Mike.

Matt pociągnął drążek na siebie i wcisnął przycisk awaryjnego zrzutu bomby. Poczuli lekki wstrząs i bomba poszybowała wysokim łukiem w górę, co było normalne przy bombardowaniu mającym się skończyć eksplozją w powietrzu, a nie w chwili zetknięcia z gruntem. Matt położył maszynę w ciasny skręt w lewo, zmniejszając jednocześnie wysokość. Dał pełen ciąg lewego silnika i włączył dopalacz, desperacko próbując zwiększyć odległość od miejsca wybuchu.

Wizjery ponownie ściemniały, gdy z tyłu eksplodowała ich bomba, a F-15 zadygotał pod wpływem fali uderzeniowej. Tablica przyrządów zajaśniała niczym choinka, błyskiem lampek awaryjnych meldując, że Eagle już długo nie pociągnie. Zadanie jednak wykonali i to było najważniejsze.

- Matt - głos Haneya był zrezygnowany - musimy się katapultować.
- Zaraz! A procedura przedkatapultowa?
- Coo...? - jęknął Mike, słysząc o czymś takim po raz pierwszy.
- Zdjąć kask. Rozstawić nogi. Schylić się. Pocałować własną dupę na pożegnanie - wyrecytował Matt.

Symulator w bazie lotniczej Luke podskoczył, kończąc program zetknięciem z ziemią. Ekrany otaczające kabinę F-15 zgasły, a oświetlające betonową salę lampy rozbłysły. Zza konsoli sterującej wychylił się pilot z sekcji Standaryzacji i Oceny i oznajmił bez śladu wesołości:

- Zabawne jak cholera, poruczniku. To był całkiem przyzwoity lot do tej ostatniej odzywki.

Panno Temple! - Głos Gada Habisha przebił się przez zamieszanie panujące wokół karuzeli z bagażem na lotnisku w Maladze. - Tędy, proszę.

Shoshana odwróciła się i zobaczyła łysiejącego grubaska w średnim wieku, trzymającego jej dwie walizy. Spotkała Habisha wcześniej, więc teraz rozpoznała go bez większych trudności.

- Lazi Daze Travel zajęło się pani transportem - dodał kończąc hasło i ruszył przodem.

Dotarli do czekającego samochodu, zanim reszta pasażerów KLM z Montrealu uporała się z odszukaniem własnych bagaży.

- Jak lot? - spytał Gad, kierując wóz na południe ku miejscowości Marbella na Costa del Sol.

- Długi i męczący, ale bez problemów.

Habish bez słowa skinął głową - nie musiał więcej pytać. Shoshana leciała przez Paryż i Montreal, gdzie, zgodnie z planem, spotkała się z agentem Mossadu i wymieniła izraelskie papiery na kanadyjski paszport, karty kredytowe, polisę, kalifornijskie prawo jazdy i zezwolenie na stały pobyt. Wszystkie te dokumenty zgodnie potwierdzały, że panna Rose Temple jest obywatelką Kanady, mieszkającą i pracującą w Kalifornii.

- Dlaczego Rose Temple? - spytała, niezbyt zachwycona swoim nowym nazwiskiem.

- Bo łatwo zapamiętać - odparł Habish, ukrywając zniecierpliwienie. - Shoshana to „róża”, a Temple brzmi trochę podobnie do twego prawdziwego nazwiska.

Nie dodał, bo i po co, że zaskoczony rozwojem wydarzeń, nawet doświadczony agent może pomylić lub zapomnieć nazwisko z legendy. Nie było sensu straszyć dziewczyny - była nowa i wystarczająco niepewna bez jego komentarzy.

W milczeniu zajechali przed hotel Atalaya Park.

- Naucz się miasta - polecił Habish, zostawiając ją przed wejściem. - Hotel ma umowę z Marbella Beach Club, więc tam się kąp i opalaj. Dlatego właśnie tu załatwiliśmy ci rezerwację.

Pamiętaj, że jesteś w delegacji: gdzie się tylko da, używaj kart kredytowych, a na resztę bierz rachunki. Będziesz musiała się wyliczyć z każdego grosza. Skontaktuję się z tobą za kilka dni.

Gdy znalazła się w swoim pokoju na czwartym piętrze, humor jej się poprawił, i to zdecydowanie. Choć niewielkie, pomieszczenie miało balkon, z doskonałym widokiem na hotelowy ogród i Morze Śródziemne. Rozpakowała się i włożyła kostium kąpielowy, który tak denerwował ojca. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wziąć koszuli, ale przypomniała sobie gości hotelowych paradujących po hallu w strojach kąpielowych i zostawiła koszulę na łóżku.

Gdy w recepcji pytała o drogę do Marbella Beach Club, wlepione były w nią oczy wszystkich obecnych, niezależnie od wieku i płci. Uznała to za niezły początek.

Stary nas ochrzani - ostrzegł Haney, gdy czekali przed biurem dowódcy na wezwanie podpułkownika Locke'a. - Te testy w symulatorze są traktowane cholernie poważnie.

- Przecież zbombardowaliśmy cel, a to chyba najważniejsze, nie? - zdziwił się Matt.

- „Celem szkoleń Standaryzacji i Oceny jest sprawdzenie, czy wszystkie załogi przestrzegają zasad lotu i wykonują zleczone

zadania” - zacytował Haney. - Dlatego każda załoga musi się pocić w symulowanym nalocie nuklearnym, zanim uzyska ocenę w pełni zdolnej do akcji.

- Pieprzenie. Jakie mamy szanse na faktyczne zrzućenie prawdziwej bomby?

Matt nie otrzymał odpowiedzi, gdyż otworzyły się drzwi gabinetu i Locke gestem zaprosił ich do wnętrza, po czym starannie zamknął je za sobą.

Usiadł i zabrał się za raporty z testu, pozostawiając obu lotników wyprężonych przed biurkiem.

- Ciekawe - zaczął. - Przebiliście się przez wyjątkowo ciężką obronę i zdołaliście o czasie zbombardować cel...

Uniósł głowę, przypatrując się Pontowskiemu. Faktycznie był podobny do dziadka: wysoki, smukły, z nieco zakrzywionym nosem, kasztanowatymi włosami i jasnobłękitnymi oczyma.

- Ale nie ustrześliście się błędów... - dodał.

- *Yes, sir* - zgodził się Matt. - Zostaliśmy trafieni rakietą przeciwlotniczą, kiedy za bardzo zwiększyłem wysokość po wybuchu którejś z bomb. Ale to błąd operatora: żadna rakietka w takich warunkach nie zdołałaby utrzymać namiaru.

- Być może... - Locke miał ochotę podyskutować o broni i taktyce, ale nie był to czas ani miejsce po temu.

Pontowski przypominał mu jego samego z czasów, gdy był młodym, pewnym siebie i rozwydrzonym porucznikiem. Tylko czy Pontowski miał owo nieuchwytnie „coś”, co z główniarza robiło dobrego pilota? Czy wart był ratowania?

Matt wziął - niesłusznie - wahanie Locke'a za słabość i postanowił wykorzystać przewagę.

- *Sir*, zrobiliśmy, co nam kazano, a przecież to było celem treningu, prawda?

- Byłoby miłe, gdybyście przy tej okazji nie stracili samolotu i nie dali się zabić - zauważył łagodnie Locke.

- Matt, zamknij się - warknął Haney, chcąc uprzedzić odpowiedź kolegi, ale ten go zignorował:

- Niech to szlag, *sir*. Powinniśmy zdać. Ci faceci ze Standaryzacji nie...

- Pudło - przerwał mu Locke. - Założyłeś, że nie zdaliście, tymczasem wynik jest pozytywny z oceną „marginalnie”. Mieli

natomiast sporo zastrzeżeń do twojego nastawienia, i właśnie to mnie martwi. Dlatego zresztą obaj tu jesteście. Haney, dostałeś wysokie noty za szybkie rozkodowanie rozkazu i za przeprowadzenie na cel. Operator stwierdził, że nie widział jeszcze lepszego. Ty, Matt, nawet nie dokończyłeś dekodacji, co było głupim posunięciem, bo w przypadku broni nuklearnej podstawą jest zgodność deszyfrażu obu członków załogi, o czym zresztą doskonale wiesz. Na szczęście Haney się nie pomylił. Haney, bądź miły sprawdź, czy nie ma cię na korytarzu, a ja sobie pogawędzę z twoim strzelcem dziobowym. Kapitanowi nie trzeba było tego powtarzać dwa razy.

- Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz, Pontowski - zaczął Locke. - Zdałeś dzięki *wizzo* i dzięki temu, że potrzebujemy wszystkich załóg dopuszczonych do przenoszenia broni nuklearnej.

- Nie proszę o prezenty, *sir*.

- Ale dostałeś go, bo w ramach rotacji jednostek przebazowujemy się do Anglii i potrzebujemy każdej załogi. Zostałeś zakwalifikowany; z ledwością, ale zostałeś. W normalnych warunkach wróciłibyście do szkolenia, dopóki ocena nie byłaby „zadowolająca”.

- Nie wiedziałem, że się przebazowujemy... - wykrztusił zaskoczony Matt.

- Bo oficjalnie będzie to wiadome od jutra, w związku z czym bądź uprzejmy zachować tę nowinę dla siebie. Teraz następna sprawa...

Locke, doskonale pamiętając czasy, gdy on sam dostawał podobne rugania, wcale nie miał ochoty mówić tego, co powiedzieć musiał. Tyle że sprawy wyglądały nieco inaczej - stojący przed nim pilot miał poparcie, i to najlepsze z możliwych: samego prezydenta. Dostatecznie jasno uświadomił to Locke'owi dowódca skrzydła, niecałe dwie godziny wcześniej zwalając na niego sprawę wybryków Matthew Zachary'ego Pontowskiego III. Komentarz dowódcy brzmiał: „Ustaw chłopaka raz na jutro i nie zwracaj mi tym głowy”.

- Jak ci się wydaje, jak daleko możesz się jeszcze posunąć? - spytał Locke, niespodziewanie zmieniając podejście.

- Słucham, *sir*?...

- Ujmijmy to inaczej. Gdyby jakiś inny cwaniak w tej

jednostce zaczął dwa samoloty w alarmie, śledzące handlarza narkotyków, albo miał na swojej imprezie striptiz w wykonaniu żony generała, to byłby już zamierzłą przeszłością. Twoją dupę ratują twoje polityczne koneksje... - Nagle Locke poczuł się zmęczony stojącym przed biurkiem porucznikiem.

Zmęczony jego pewnością siebie i obojętnością, cechami dobitnie świadczącymi, że nie boi się niczego, co może mu zrobić dowódca. A najgorsze było to, iż obaj wiedzieli, że Matt zna swoje atuty.

- Parę lat temu twoja teczka miałaby ładny stempel PI na okładce. Teraz się tego nie praktykuje, ale w twoim przypadku to i tak bez znaczenia.

- To nie fair, *sir*...

- Posłuchaj, młodzieńcze: uchodzi ci płazem zaczepienie pary F-15, bo PI w postaci niejakiego Frasera, szefa kancelarii twojego dziadka, naciska na dowódcę naszego skrzydła, który tego nie lubi. A ja mam na głowie ważniejsze rzeczy, jak na przykład przebazowanie, niż zawracać sobie głowę tobą. - Matta najwyraźniej ubodły te słowa, bo chciał zaprotestować, ale Locke nie dopuścił go do słowa. - Masz w dodatku problemy ze słuchem? Postaraj się choć o jedno: spróbuj zachowywać się odpowiedzialnie i nikogo nie zabić przez swoje wygłupy. Aha, jeszcze coś - dodał spokojnie Locke. - Ani PI, ani doskonały *wizzo*, ani pieprzona poza nie uratują twojej dupy, gdy jakiś pilot MiG-a będzie lepszy, sprytniejszy i szybszy, siedząc za tobą i robiąc z twojej maszyny sitko.

- Biorąc poprawkę na to, że w Iraku się uspokoiło, nie jest to zbyt prawdopodobne, prawda, *sir*? - spytał Matt z uśmiechem świadczącym o znudzeniu.

- Nadzieja matką głupich - odparł wymijająco Locke, myśląc o własnych doświadczeniach z tej wojny. - Ale w Anglii i tak będziecie znacznie bliżej MiG-ów niż tu, zgadza się? A teraz zabieraj się stąd, żebym mógł się wreszcie zająć czymś naprawdę pożytecznym.

Matt zasalutował i wyszedł.

Haney czekał przed drzwiami z niezbyt pewną siebie miną.

- I co? - spytał.

- I nic. - Mattowi jak zwykle nie brakło rezonu. - Niewiele

mogą mi zrobić, więc trzymaj się mnie, a będzie w porządku. Myślę, że dobrze byłoby stąd zniknąć na chwilę, a akurat wiem, gdzie jest niezła impreza...

Na twarzy Matta wykwitł radosny uśmiech, gdy odwrócił się na pięcie, zdążając do administracji.

Podpułkownik Locke musi zatwierdzić wyjazd zagraniczny - poinformowała Matta panią w administracji, oglądając wypełniony formularz prośby o urlop.

- Bez obaw, na pewno go podpisze. Pewnie przy okazji się ucieszy, że na jakiś czas zniknę mu z oczu.

- Gdzie cię niesie? - spytał Haney.

- Do Hiszpanii. - Pontowski uśmiechnął się wychodząc. - Zobaczmy się w Anglii.

Shoshana siedziała przy stoliku w jednej z kawiarenek na rynku, z przyjemnością pijąc popołudniową kawę i czytając „The New York Timesa” sprzed dwóch dni. Zafascynowała ją starówka: wąskie uliczki, małe sklepiki i wszechobecne kwiaty. Właśnie tu spędzała większość czasu, głównie zresztą w sklepikach z odzieżą.

- Nie odwracaj się - przywołał ją do rzeczywistości znajomy głos Habisha.

Pomimo ostrzeżenia odwróciła się powoli, sprawdzając, co ma za plecami: Gad siedział przy sąsiednim stoliku pochłonięty gazetą, z pozoru ignorując otoczenie.

- Nie jesteś na wakacjach - przypomniał - spędzaj więcej czasu w klubie. Dziś odbywa się tam przyjęcie, na które jesteś zaproszona.

Habish przez wszystkie te dni zajęty był znajdowaniem dojsć umożliwiających dziewczynie wstęp do węższego kręgu życia towarzyskiego w Marbelli. Mossad z zasady nie używał lokalnej populacji żydowskiej, nie chcąc ich kompromitować w razie wpadki, jak też nie chcąc zostawiać zbyt wyraźnych wskazówek, kto zorganizował daną akcję. Spowodowało to potrzebę ściągnięcia jeszcze dwóch agentów i wyteżone poszukiwanie kontaktów; na szczęście Marbella była miejscem nastawionym na turystów (choć najwyższej kategorii) i wymagała sztabu

fryzjerów, kelnerów czy recepcjonistów płynnie władających wieloma językami.

Habish znalazł młodego Marokańczyka, pracującego jako zastępca dyrektora jednego z hoteli z uwagi na to, że znał arabski. Młodzian był Żydem, i do tego syjonistą. Na ochotnika zgłosił się do pomocy, nie domagając się żadnych szczegółów czy wyjaśnień. Prywatnie miał nadzieję, że chodzi o następnego Eichmanna, ale wolał o nic nie pytać. Łącznie trzech agentów przygotowywało grunt i ochraniało dziewczynę, sypiając mniej niż po pięć godzin na dobę. Gad Habish zaczynał być zmęczony.

- Butik, w którym byłaś wczoraj, ten koło fontanny - przypomniail. - Idź tam i porozmawiaj z Gabrielle. Pomoże ci wybrać suknię na wieczór.

Sprzedawczyni była kolejnym miejscowym nabytkiem jednego z agentów.

- Nie stać mnie na takie ceny!

- Użyj karty kredytowej - warknął Gad, ucinając dyskusję.

Dwadzieścia minut później Shoshana, zszokowana samym faktem zakupu sukni za takie pieniądze, przymierzała kolejną kreację pod czujnym okiem Gabrielle.

- Musisz być bardziej odprężona i naturalna, a najlepiej ci w czerni... Przymierz to... - Wręczyła jej długą czarną suknię o bardzo prostym kroju, trzymającą się na dwóch cieniutkich ramiączkach i z rozcięciem do połowy prawego uda.

- Pasuje idealnie - oceniła.

Suknia migotała zdając się przelewać na ciele dziewczyny.

- Wygląda jak koszula nocna... - wykrztusiła zaskoczona Shoshana, przeglądając się w lustrze.

- Nie całkiem, ale o to mniej wziętej chodzi.

- Jaki stanik mam pod to włożyć? Każde majtki będą się odznaczać!

- Nie wkładaj niczego.

Shoshana była gotowa do walki.

Od morza wiała łagodna bryza, chłodząc przestronne patio, na którym klub organizował przyjęcie. Bryza kołysała lampionami, wywołując ruchome cienie osłaniające lub odsłaniające

śmietankę towarzyską kurortu. Matt obserwował to wszystko siedząc przy barze, usytuowanym tuż przy drzwiach prowadzących do hallu, gdy w tychże drzwiach pojawił się młodzieniec o zdecydowanie nordyckim typie urody.

- Helmut - powitał go Matt - już myślałam, że nie przyjdiesz.

- Mój drogi, takie przyjęcie szkoda stracić - zapewnił go Helmut Wisser, syn dyrektora generalnego WisserChemFabrik.

Kilka minut spędzili na wymianie informacji, czym też każdy się zajmował od ich ostatniego spotkania w Gstaad w Szwajcarii, gdzie spędzili tydzień na nartach. Ich przyjaźń sięgała czasów, gdy Matt był jeszcze kadetem w US Air Force Academy i na życzenie dziadka (wówczas senatora) towarzyszył mu w trakcie wizytacji baz NATO w Europie. Poznali się z Helmutem na jakimś potwornie nudnym przyjęciu i zaprzyjaźnili, gdy okazało się, że mają te same zainteresowania: ładne dziewczyny, szybkie wozy, narciarstwo i imprezy, niekoniecznie w takiej kolejności. Prysnęli też natychmiast z zamku, zbudowanego na zboczu górującego nad Bonn wzgórza, i przez trzy następne dni z pasją oddawali się trzem spośród czterech zainteresowań, żałując, że jest środek lata.

Przyjaźń utrwaliła się w miarę upływu lat, mając pełne wsparcie ze strony rodziny Helmuta, od chwili gdy dowiedziano się, że Pontowski senior może zostać prezydentem USA. Przez jedno krótkie lato istniały w dodatku szanse, iż coś więcej niż przyjaźń może wykluczyć się ze związku Matta z Lisi, młodszą siostrą Helmuta. Poza jednak dziką fantazją erotyczną nic z tego nie wyszło, ale od tamtego czasu ci dwoje sypiali ze sobą, kiedy tylko mogli.

Matt i Helmut rozprawiali właśnie o nartach, gdy na patio weszła Shoshana.

- O! - zainteresował się Matt. - Któż to taki?

- Nowa twarz. Pierwszy raz w tym roku.

- I nowe ciało - dodał Matt.

- Nazywa się Rose Temple. Kazałem ją sprawdzić, gdy jeden z naszych... - Helmut przerwał, szukając właściwego określenia - ciekawych klientów wyraził zainteresowanie nią. Kanadyjka

pracująca w Kalifornii. Tu jest na wakacjach i mieszka w Atalaya Park. Rodzina z pieniędzmi, jak widać - rancza i drewno.

- Mam nadzieję, że to jedna z tych, przed którymi ostrzegali mnie dziadek.

Helmut, rozbawiony, potrząsnął głową, wiedząc doskonale, kiedy Mattowi wpada w oko nowy obiekt zainteresowań.

- Wolelibyśmy, żebyś... hmm... dał sobie spokój. Jest tu ktoś, kto bardzo chce poznać pannę Temple. - Ruchem głowy wskazał młodego, pulchnego Araba stojącego obok starego Wissera.

- Interes? - spytał rzeczowo Matt.

- Naturalnie. - Helmut nie widział powodu, dla którego miałby dodawać, że Mana jest z Iraku i że chodzi o urządzenia do produkcji pestycydów.

Amerykianie byli czasem zbyt naiwni i zdecydowanie zbyt uparci w niektórych sprawach.

- A więc będzie musiał spróbować swoich szans z resztą - zdecydował Matt i ruszył ku dziewczynie.

- Matt, Lisi jest tutaj! - zawołał Helmut, ale to nie odwiodło pilota od rekonesansu.

Shoshana posłała Irakijczykowi powłóczyście spojrzenie i odwróciła wzrok. Dostrzegła, że połknął przynętę. Powoli odwróciła głowę, tym razem z lekkim uśmiechem, w klasycznym zaproszeniu. Teraz była jego kolej. Jeśli podejście i zagadnie, nieważne zresztą na jaki temat, początek będzie zrobiony i spotka go miłe przyjęcie. Mana powiedział coś staremu Wisserowi i ruszył ku niej.

- To facet nie dla ciebie - rozległ się niespodziewanie głos za jej plecami.

Odwróciła się i zobaczyła Matta. Mana skrzywił w bok, intuicyjnie wyczuwając, że przegrał. Matt roztaczał atmosferę siły i pewności siebie, przyciągając kobiety i deprymującą konkurencję. Na moment zarumieniła się, nie wiedząc, jak zareagować, i czując dziwną słabość do przybysza.

- Cześć - dodał tenże. - Jestem Matt Pontowski.

Spojrzała na Araba, obserwującego z dala całą scenę, i wzruszyła ramionami, posyłając mu bezradne spojrzenie.

Uśmiechnął się i dołączył do Wisserów. Nie wszystko było stracone.

- Ach, tak... Rose Temple - odparła machinalnie, rozglądając się i dając jednoznacznie do zrozumienia, że nie jest zainteresowana.

W tej kwestii została dokładnie wytrenowana, ale Matt tak łatwo nie rezygnował.

- Przepraszam, nie chciałem odstraszyć twojego śniadego przyjaciela, ale jakoś tak samo z siebie wyszło. - Ustalał swoje prawa oferując jej ochronę, jeśli miała ochotę.

Skłonność zaczęła dawać znać o swym istnieniu. Shoshanę uratowało zbliżenie się do nich smukłej blondynki.

- Matt! - Głos był ciepły i miły. - Helmut powiedział mi, że tu jesteś.

Lisi Wisser zatrzymała się o jakieś piętnaście centymetrów od Matta, dotykając dłonią jego policzka. Teraz ona potwierdziła swoje prawa. Przez chwilę wszyscy obecni przypatrywali się im, czekając na rozwój wydarzeń. Obie kobiety były piękne i reprezentowały odmienne typy urody: jedna smukła, złocisto-włosa, w typie modelki, druga kruczoczarna, o pełnym, dojrzałym ciele. Większość gości wiedziała, kim jest Matt, część znała Lisi - i ci wiedzieli, że Matt nie będzie musiał wybierać: jeśli będzie miał szczęście.

Spekulacje zakończyła Shoshana, przepaszając i odchodząc. Była zdecydowana uratować, ile się da. Matt odprowadził ją wzrokiem, a Lisi lekko pogłaskała go po policzku, odzyskując jego uwagę.

- Dziś w nocy? - spytała, starając się, by usłyszała ją odchodząca.

Shoshana poprosiła portiera o taksówkę i podjechał wóz prowadzony przez Habisha. Ledwie ruszyli, zdała mu błyskawiczną relację z przebiegu przyjęcia.

- Dobrze zrobiłaś wychodząc - ocenił. - Masz na jutro zaproszenie na narty wodne w Porta Banus. Mana tam będzie, więc ubierz się w czarny kostium kąpielowy.

- Nie mogę w nim jeździć na nartach wodnych. Wypadnę z niego na pierwszym zakręcie.

Gad bez słowa spoglądał na nią, aż dotarło do niej, o co mu chodzi.

- Podjadę po ciebie o jedenastej. - Po raz pierwszy miał perspektywę całonocnego snu. - I unikaj Matta Pontowskiego.

- Kto to jest, tak w ogóle?

- Zaczynj wreszcie przygotowywać się do zadań i dowiadywać czegoś o otoczeniu. Jego dziadek jest prezydentem USA.

Ponownie poczuła ową dziwną skłonność.

3

Czarny Mercedes, którego Habish wysłał po Shoshanę, doskonale pasował do pozostałych wozów parkujących przy nabrzeżu Porta Banus, rojącym się od jachtów rozmaitej klasy i wielkości. Na molo dołączyła do grupki oczekujących. Po surowych uwagach Habisha zwracała baczniejszą uwagę na szczegóły, toteż bez trudu stwierdziła, że większość towarzystwa stanowiło młode pokolenie gości z wczorajszego przyjęcia. Po nabrzeżu spacerowali uzbrojeni i umundurowani strażnicy; z przyzwyczajenia zapamiętała rodzaj i stan ich broni.

Dwie luksusowe motorówki przewoziły oczekujących na pokład jachtu, stojącego u wejścia do portu. Gabaryty uniemożliwiały mu wpłynięcie do basenu. Oficer w białym mundurze podał jej nazwisko przez radiotelefon, sprawdzając, czy jest ono na liście zaproszonych, po czym skierował ją na pokład jednej z motorówek.

Na pokładzie stwierdziła, że luźne białe wdzianko, jakie nałożyła na kostium kąpielowy, współgra z ubiorami pozostałych uczestników zabawy. Nie włożyła swojego czarnego kostiumu, wychodząc z założenia, że skoro ma jeździć na nartach wodnych, to powinna mieć coś, co się do tego celu nadaje, a nie seksowny kawałek szmatki przeznaczony do opalania się na plaży. Strój, na który się zdecydowała, był mniej prowokacyjny, więc Matt Pontowski nie powinien na jej widok zbyt żywiołowo reagować.

- Panno Temple - wyrwał ją z rozmyślań głos Helmuta. - Cieszę się, że pani przyszła.

Podprowadziwszy dziewczynę do grupki goszczącej na ocienionej markizą rufie, przedstawił ją i poczęstował Bloody

Mary. Mana entuzjastycznie potrząsnął jej dłonią, mamrocząc powitanie i przywodząc na myśl pluszowego misia z czasów dzieciństwa. Nie przypominał stereotypu, jaki sobie stworzyła, studiując jego akta.

Śmiechy i okrzyki towarzyszyły odbiciu pierwszej partii narciarzy z pływającej platformy, trapez połączony z jachtem. Oparta o reling Shoshana rozmawiała z Arabem i ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że konwersacja sprawia jej przyjemność, gdy nagle ich uwagę zwrócił nasilający się ryk pary silników - do jachtu zbliżały się dwa skutery wodne, obryzgując się wzajemnie wodą przy zgrabnych nożycach. Pasażerem pierwszego był Matt, a drugiego - Lisi; oboje byli półnady.

- Widzę, że pani przyjaciół ma wszechstronne zainteresowania, ale też tego właśnie należało się spodziewać po pilocie myśliwskim - zauważył Mana.

- Tylko nie pilot! - jęknęła, zauważając przy okazji, że Mana pożera wzrokiem Lisi.

Shoshana miała więc na sobie zdecydowanie nieodpowiedni strój kąpielowy. Lisi narzuciła obowiązującą modę i już w kilka minut po jej przybyciu większość przedstawicielek płci pięknej paradowała toples. Na przednim pokładzie dwie dziewczyny opalały się nago. Mana łaził za Lisi niczym dobrze ułożony psiak. Postawiło to Shoshanę w niezręcznej sytuacji, bo zgodnie z informacjami, z jakimi ją zapoznano, zdecydowanie preferował kobiety o jej typie urody, a nie w typie Lisi.

- Brudasy lubią blondynki - oświecił ją Matt, podchodząc - ale nie ma obawy: Lisi nie cierpi brudasów.

To ją jeszcze bardziej zdenerwowało: czyżby jej zainteresowanie było aż tak widoczne, że wystarczyło kilka sekund, by je zauważyć? W dodatku Matt kontrastował z Maną, i to na niekorzyść Irakijczyka: proporcjonalnie zbudowany, muskularny, co dopiero teraz, po zdjęciu ubrania, było wyraźnie widoczne: pewnie spędzał wiele czasu w siłowni. Nie przypuszczam, byś był równie godny uwagi w łóżku - zauważyła kąśliwie w myślach, Poirytowana jego atrakcyjnością. W końcu jednak zdecydowała się na przejażdżkę, zsuwając z ramion białe wdzianko.

- Jak długo Lisi będzie zwodzić tego biedaka, zanim go rozdepcze? - spytała.

- W tym przypadku sędzę, że nie dłużej niż pół godziny. - Przyjrzał się jej z namysłem i dodał poważnie: - Podoba mi się twój kostium, jest doskonały na narty wodne. Chcesz go wypróbować?

Wzruszyła ramionami i zesła na pływający pomost. Matt podążył za nią i po paru minutach byli już na wodzie, pędząc w ślad za ciągnącym ich ślizgaczem. Matt zanosił się śmiechem przy każdym udanym manewrze, a Shoshana ze zdumieniem stwierdziła, że przejażdżka sprawia jej autentyczną frajdę.

Przepluwając koło jachtu Shoshana dostrzegła Manę stojącego samotnie przy relingu - Matt miał rację: Lisi szybciotko odstawiła go od piersi. Dała znak prowadzącemu motorówkę, że ma dość. Łódź zwolniła, Shoshana puściła linę i przyhamowała przy platformie.

- Miło było! - wrzasnął Matt i motorówka pognęła do przodu, ciągnąc go za sobą. Zdziwiło to Shoshanę: Matt miał tylko ochotę poszaleć na nartach, wcale nie ciągnęło go na pokład...

Teraz wiedziała, że jest górą: doskonale umiała koić urażoną męską dumę. Mana obserwował dziewczynę, jak przemyka przez parkiet, na którym tańczyło kilka par, i podchodzi do niego.

- Och, ci Amerykanie - westchnęła - nie mogłam się go pozbyć.

Uśmiech na śniadej twarzy dowodził, że uderzyła we właściwą strunę.

- Potrafią być szkodliwi - odparł szczerząc zęby.

- Wolałabym, żeby byli nieszkodliwi i nietoksyczni. - Czekala na reakcję.

Mana nie zawiódł jej oczekiwań i zamilkł zaskoczony - te słowa miały dla niego specjalną wymowę.

- No proszę - jęknęła - znów odbija mi się praca! Pracuję w firmie produkującej środki owadobójcze i jak się zdenerwuję, przechodzę na zawodowy żargon.

- Ja też - ucieszył się Mana. To znaczy nie przechodzę na żargon, ale pracuję w pestycydach, przynajmniej w pewnym zakresie.

- To dlatego zna pan Wissarów. - Skinął głową, więc skorzystała

z okazji. - Odwiezie mnie pan do portu? Inaczej ten Amerykanin znów się do mnie przylepi.

Znacząco zerknęła w stronę Matta, który wspinał się właśnie po trapie.

- Z największą przyjemnością - uroczyście zapewnił Mana.

Shoshana dopilnowała, by mijając Matta byli pogrążeni w rozmowie, dzięki czemu mogła go zignorować.

- Cholera - mruknął pilot obserwując oddalającą się parę. - Kosz na korzyść brudasa! Cóż, zdarza się raz na pięćset.

Roześmiał się i udał na poszukiwanie Lisi. Znalazł ją opalającą się nago na dziobie.

Wdrodze do portu Shoshana siedziała blisko Many i tak kierowała rozmową, by mówił on o sobie. Poczekali, aż podjedzie jej Mercedes z Habishem za kierownicą, i dopiero wtedy Mana zebrał się na odwagę:

- Czy wyświadczyłaby mi pani ten zaszczyt i zjadła dziś ze mną kolację? - spytał tak oficjalnie, że na chwilę aż zaniemówiła.

- Z przyjemnością - wyjąkała w końcu. - Mieszkam w Atalaya Park.

- Wiem. Czy mogę przyjechać o ósmej? - Skinęła głową, więc dodał, niemal się przy tym rumieniąc: - Proszę włożyć tę czarną suknię.

- Jak pan sobie życzy. - Uśmiechając się obiecująco, wsiadła do auta.

Ledwie odjechali kilkanaście metrów, Gad warknął:

- Włożyłaś zły kostium: masz złapać Araba, nie Amerykani-
na.

- Przecież zaprosił mnie na kolację!

- Przypadek i szczęście. Amerykanów pociąga wpierw prowokacyjność, a potem rezerwa; to ten ich cholerny purytyzizm. Arabom trzeba pokazywać cały czas. Niech się zaczną ślinić, a wtedy są twoi.

- Ależ... Mana to okaz dżentelmena... powściągliwy... uprzejmy...

- Najczęstsza poza przybierana przez Arabów na Zachodzie. W domu to egoistyczne skurwiele, cały czas dominujące nad

kobietą. Następnym razem mnie słuchaj, a oszczędzisz sobie masy kłopotów.

Bez słowa kiwnęła głową.

Generał brygady Leo Cox ze złośliwym uśmiechem na ustach maszerował korytarzem Arlington Hall Station, czyli siedziby DIA, usytuowanej o trzy mile od Pentagonu.

- Bill, jesteś zajęty? - spytał, stając w drzwiach pokoju najlepszego analityka od spraw Bliskiego Wschodu, jakiego znał.

Był nim podpułkownik William G. Carroll.

Zapytany zerwał się na równe nogi i strzelił obcasami. W przeciwieństwie do wielu pracowników Arlington Hall, lubił Coxa, głównie za to, że zaraz po objęciu stanowiska szefa stacji wymiótł wszystkich dekonników, ramoli i urzędasów, zastępując ich świeżymi ludźmi, znającymi się na tym, co robią. Z ciepłej posadki dla pociotków, z której nikt inny nie miał pożytku, Cox zrobił doskonałą organizację analizującą fakty, dane i prognozy z całego świata. Carroll był jednym z nowych nabytków i obu im dobrze się współpracowało.

- Komu tym razem nadepnąłem na odcisk, sir? - spytał Carroll, znający metody działania Coxa.

Generał uwielbiał wpadać bez uprzedzenia do podwładnych, ignorując hierarchię służbową, dzięki czemu tutejsi milikraci (to wojskowa wersja biurokracji) nie byli pewni dnia ani godziny i wylatywali z regularnością zegarka. Ci, którzy pracowali, a nie zajmowali się przekładaniem papierków, byli zachwyceni generalskimi metodami.

Cox potrząsnął głową i zamknął za sobą drzwi.

- Siadaj i przestań się wygłupiać, Bill. Mamy problem.

- Cox wyciągnął w jedynym w tym pomieszczeniu uczciwym fotelu sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry swej kościstej osoby i wyjaśnił: - Posłałem twoją ostatnią analizę o tym, że Irak i Syria zaczynają się obmacywać, wbrew temu, co twierdzi CIA. Została włączona do codziennego raportu przedstawianego prezydentowi i wróciła z jakimiś kretyńskimi uwagami półinteligenta na urlopie. Nie powtórzę ci, co Hogan powiedział o twoim powiązaniu Iraku z negocjacjami ekonomicznymi, jakie

toczą się między Syrią i Egiptem, bo w młodości odebrałem staranne wychowanie.

Carroll skrzywił się domyślnie - Hogan był z ramienia CIA odpowiedzialny za treść PBD i, jak wieść niosła, pisałby go najchętniej czystą wazeliną. PBD teoretycznie był wyciągiem z najlepszych danych wywiadowczych, jakimi dysponowały Stany Zjednoczone, ale ponieważ CIA jako jedyna miała bezpośredni kontakt z prezydentem, to wszystkie dane musiały wprawdzie trafić do niego. I tu zaczynały się problemy, zwłaszcza jeśli dane innych wywiadów nie pokrywały się z informacjami czy analizami CIA.

- Oni tam myślą, że jesteśmy za bardzo proizraelscy - mruknął.

- Nie musisz mi tego mówić - uśmiechnął się Cox - żaden z tych półgłówków nawet nie mówi po arabsku.

Carroll doskonale znał arabski i farski, a od biedy mógł się porozumieć i po berberyjsku.

- Lepiej niech ktoś powie prezydentowi, co się tam naprawdę dzieje, albo znowu utoniemy w gównie po uszy. - Carroll oprócz doskonałych zdolności lingwistycznych i analitycznych miał też rzadko spotykany przebieg służby: wielokrotnie odznaczony, był jednym z niewielu posiadaczy Air Force Cross, który dostał za udział w uratowaniu dwustu osiemdziesięciu jeńców.

- Święte słowa - przyznał Cox - tylko że nikt więcej, a zwłaszcza CIA, nie interpretuje tego tak jak ty. Podsunąłem twoje analizy generałowi Howardowi, a ten prawie wyrzucił mnie z gabinetu.

Generał-porucznik Gerald Howard dowodził DIA i był bezpośrednim przełożonym Coxa.

- Nikt nie wierzy, że Saddam stał się dla Arabów ofiarą martyrologii i uosobieniem walki z Zachodem. Chłopcy z CIA są przekonani, że dokopaliśmy mu wystarczająco mocno, by reszta się nie wychylała, i że oświadczenia Arabów, że mają i ludzi, i pieniądze potrzebne na to, żeby przestać być Trzecim Światem, a brak im jedynie woli, to pieprzenie głodnych kawałków. - Cox uniósł dłoń, widząc, że Carroll ma ochotę mu przerwać. - Bill, mnie nie musisz przekonywać! Wiem, że Irak

po cichu odbudowuje i armię, i przemysł zbrojeniowy, podobnie jak robił to w latach trzydziestych Hitler. Naród bardziej się uczy na przegranej wojnie niż na wygranej, ale nie każdy to rozumie. Wiemy, że od Irańczyków dostali z powrotem wszystkie samoloty, i co z tego? Oficjalna wersja głosi, że zmądrzeli i że Bliski Wschód się stabilizuje.

- Jak dotąd to nic nowego, prawda?

- Nowe jest to, że muszę zwrócić uwagę prezydenta albo NSC na rozwój wypadków, a nie mam pojęcia, jak to zrobić. Jeśli w najbliższym czasie nie przepchnę się przez normalne kanały, to pozostaje tylko przeciek do prasy.

- Niedobrze... - mruknął Carroll, wpatrując się uważnie w ołówki.

Doskonale rozumiał problem Coxa: wszyscy w administracji wynosili obecnie pod niebiosa negocjacje wzajemnej pokojowej pomocy ekonomicznej, toczące się między Syrią i Egipsem, jako wyraz ostatecznej stabilizacji w tym rejonie świata. Carroll znalazł coś, co niezbyt pasowało do tego hurraoptymizmu: prywatny kontakt z Mossadu przesłał mu ściśle tajny protokół będący częścią owego traktatu. Protokół ten omawiał zasady połączenia dowództw syryjskiego i egipskiego oraz ustalał zasady łączności tegoż połączonego dowództwa z Irakiem. Po porównaniu z innymi danymi wniosek był prosty: Egipt i Syria, a najprawdopodobniej także Irak, wykorzystywały traktat jako przykrywkę dla przygotowań do dużej i rychłej wojny. Celem tych działań mógł być tylko Izrael.

Cox miał swoje kontakty w Mossadzie i uzyskał od nich dokładnie takie same informacje co podwładny.

- Izrael wie, co jest grane, dlaczego więc ich ambasador nie ostrzeże Departamentu Stanu? - spytał Carroll.

- Z wielu powodów: zbyt wielu kongresmanów i senatorów podniesie wrzask, że to pretekst, by wyciągnąć od nas więcej broni i zaognić sytuację na Bliskim Wschodzie. Poza tym ich nowy premier jest przekonany, że Izrael poradzi sobie z dowolną kombinacją arabskich ataków, o ile tamci ograniczą się do broni konwencjonalnej. On się nie martwi, a więc i ambasador nie ma powodów do zmartwień. Nam to odpowiada, bo Izrael kontrolujący sytuację w tym rejonie wzmacnia pozycję

naszej administracji. Irak przestał sięgać po ropę sąsiadów, a spokój i dobrobyt są tuż za najbliższym rogiem... Idylla jak cholera, krótko mówiąc. Ludzie widzą tylko to, co chcą zobaczyć. Mamy do czynienia z poważną anomalią anatomiczną: każdy patrzy w cudzą dupę i widzi dalekie światło w tunelu.

- I czuje się rześko, bo wiatr mu wieje prosto w twarz
 - dodał Carroll.
 - Bill - Cox wstał - ja nie mogę być źródłem przecieku.
 - Pozostaję więc tylko ja?
- Bez odpowiedzi Cox zniknął za drzwiami.

Sam widok idącej przez hotelowy hall Shoshany podniecił Manę, a gdy się z nią przywitał, poczuł pierwsze oznaki erekcji. Na szczęście z bliska trudniej było mu obserwować jej wszystko obiecujący strój, dzięki czemu zdołał się uspokoić. Natomiast przy wsiadaniu do wozu ledwie udało mu się opanować, gdyż wreszcie do niego dotarło, że przy takim kroju sukni niemożliwe jest, by dziewczyna miała na sobie jakąkolwiek, nawet najdelikatniejszą bieliznę. Gdy usiadła, wydawało się, że jej suknia nagle ożyła, na przemian odsłaniając i skrywając fragmenty ciała. To już do reszty wytrąciło go z równowagi.

- Mam... mam nadzieję, że spodoba się pani restauracja - wykrztusił. - Jest niewielka, bardzo kameralna.

- Doskonale. Będziemy mogli spokojnie porozmawiać - odparła, delikatnie muskając jego dłoń. Postępowała dokładnie według instrukcji Habisha i żal jej było Many: nie miał żadnych szans.

Przejście dwóch przecznic, jakie dzieliły przystanek służbowego autobusu od domu, pozwoliło się Carrollowi odprężyć i oderwać od tego, co działo się w DIA. Gdy znalazł się przed furtką, ogarnął go typowy nastrój spokoju, charakteryzujący wirginijskie przedmieście. Bill pomachał sąsiadowi pracującemu w Departamencie Spraw Wewnętrznych, który wracał z pracy znacznie wcześniej niż on, i wparł się w ziemię stojąc na lekko ugiętych nogach. Jak zwykle, od czasu gdy nauczył się biegać, żywy pocisk w postaci dwuipółletniego synka wpadł na

niego, oczekując z niezachwianą pewnością, że tato go, jak zawsze zresztą, złapie.

- Tato, wiesz co to? - spytał Brett, pokazując miniaturkę znaku „stop”.

- Wygląda mi na znak „stop” - odparł ostrożnie Carroll, nie chcąc dać się złapać na konkrety.

- To ośmiobok, tato - oznajmił poważnie malec i wysliznął się z objęć ojca, biorąc kurs na mamę w jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie, którą mógłby zrozumieć jedynie inny równie duży brzdąc.

- Dziś na tapecie są kształty - wyjaśniła na powitanie Mary.

Wysoka i smukła, eks-oficer US Air Force, była jednym z jeńców, których Carroll pomagał odbić parę lat wcześniej. Razem weszli do domu. Mary natychmiast spostrzegła, że coś jest nie tak, ale знаła męża i wiedziała, że nie należy go naciskać. Spokojnie podała obiad, wiedząc, że gdy zostaną sami i tak dowie się, o co chodzi.

O siódmej trzydzięci Brett miał w końcu dość i przy zaskakująco słabych protestach wylądował w łóżku. W domu zapanował nienaturalny wręcz spokój i cisza. Mary usiadła na sofie obok męża i czekała. Nie musiała czekać zbyt długo.

- Mam problem - zaczął Bill i streścił rozmowę z Coxem.

- Nie musi to być przeciek, jeśli uda ci się dotrzeć do prezydenta tylnymi schodami, prawda? - spytała po chwili namysłu.

- Znam kogoś, kto może znać kogoś, kto może nam pomóc. Dlaczego nie spróbować najpierw tego?

- Jeśli mnie nakryją, to moja kariera weźmie w łeb tak szybko, że nie zdążymy się nawet obejrzeć, a to oznacza koniec tego domku i paru innych rzeczy... Ale Cox uważa, że to naprawdę ważne.

- Dlaczego więc sam tego nie załatwi? Dlaczego zwałił to na ciebie?

- Bo jest postacią zbyt znaną i zbyt kontrowersyjną i nie ukrywa swoich proizraelskich sympatii. Jeśliby informacja pochodziła od niego, to albo powoływano by się na niego jako źródło informacji, albo by ją zignorowano. W obu przypadkach

nic to nie da, a ja stracę rozsądnego szefa. Rzecz w tym, że ja myślę dokładnie tak samo jak on...

Mary westchnęła i podeszła do telefonu. Nie chciała wystawiać na takie ryzyko domu i rodziny, wiedząc doskonale, jak może się to skończyć dla w sumie niskiego rangą oficera. Wiedziała też, że tak naprawdę to nie ma wyboru.

Dwie godziny później Bill Carroll siedział w samochodzie Melissy Courtney-Smith i przedstawiał jej pełną wersję swojej analizy sytuacji na Bliskim Wschodzie.

Uwielbiam plażę w nocy - oznajmiła Shoshana, zdejmując pantofle.

Zatoczyła się przy tej okazji i wsparła na ramieniu Many.

- Przepraszam, zbyt wiele wina.

- Nigdy dotąd tego nie robiłem - uśmiechnął się zdejmując buty. - Zupełnie jak w filmie.

Poprowadziła go nad wodę, trzymając się jego ręki. Kolacja była zgodna z obietnicami i dziewczyna stwierdziła, że powoli zaczyna lubić tego Irakijczyka. Był nieśmiały, wstydlivy i pragnął za wszelką cenę sprawić jej przyjemność, zupełnie jak młodzieńcy z Izraela. Przeszli na „ty” i ostrzeżenia Gada o zachowaniu Arabów na ich własnym terenie wydały się jej zdecydowanie przesadzone i mało realne.

- Powiedziałaś, że pracujesz w Kalifornii nad środkami owadobójczymi - odezwał się niespodziewanie, gdy dotarli nad wodę.

- Nie rozmawiajmy o tym, proszę. Zajmuję się tylko pilnowaniem, by majster używał odpowiednich komponentów w odpowiednim stosunku. - Jej wiedza o produkcji pestycydów była powierzchowna i ograniczona. - To takie nudne zajęcie.

- Wiesz, ja też pracuję w przemyśle chemicznym. Pomyślałem, że możemy mieć wspólne zainteresowania.

Wsparła się na jego ramieniu.

- Mamy - roześmiała się obiecująco - ale nie rozmawiajmy o interesach. Prawie świta. Odprowadź mnie, proszę, do hotelu.

Recepcjonistka kompletnie zignorowała ich spacer do wind, ułatwiając w ten sposób Manie sprawę - tak się starał właściwie zachowywać, że nawet włożył buty. Shoshana pocałowała go w windzie, zdając sobie sprawę, że nawet na bosaka jest od niego wyższa.

- Dobrze całujesz - przyznała, ocierając się o niego i wyczuwając jego mimowolną reakcję.

Winda zatrzymała się i Mana czym prędzej odskoczył od i dziewczyny, oblewając się potężnym rumieńcem, zupełnie jakby ktoś mógł ich o tej porze zobaczyć.

- Och, nie wyglupiaj się! - Ze śmiechem ujęła dłoń towarzysza i pociągnęła go za sobą opustoszałym korytarzem.

Szukając klucza przed drzwiami, pozwoliła, by osunęło się jedno z ramiączek, podtrzymujących suknię. Potem jeszcze celowo upuściła klucz. Gdy schylała się po niego, słyszała przyspieszony oddech Many.

- Dzięki za wspaniały wieczór. - Objęła go za szyję i pocałowała, długo i namiętnie.

Odsunawszy się odrobine, delikatnie rozpięła mu guzik koszuli, głaskając go po piersiach. Ponownie go pocałowała, tym razem z języczkiem, ocierając się o niego i rozpinając następne guziki. Przez materiał spodni poczuła nagle pulsowanie jego członka. Przerażone spojrzenie Many mówiło samo za siebie: przedwczesny wytrysk. Nagle zmienawidziła i siebie, i to, co zrobiła.

- Chodź do środka - poleciła Arabowi, który stał bezradnie nie wiedząc, co ze sobą począć. - Możesz umyć się u mnie.

Zamykając drzwi, dostrzegła głowę Habisha w uchylonych drzwiach po drugiej stronie korytarza.

Obsługując, jak dziewczyna przyrządza kawę, Fraser doszedł do budującego wniosku, że najwyższy czas się jej pozbyć; choć z drugiej strony, w łóżku była naprawdę doskonała... Rozsiadł się wygodnie w fotelu równie eleganckim jak reszta apartamentu, i w końcu zdecydował, że panienska ma przynajmniej o jedną klasę mniej niż mieszkanie, czas więc znaleźć kogoś bardziej odpowiedniego. Jak się ma taką władzę i pieniądze jak on, to należy z tego korzystać póki czas...

Rozmyślenia przerwał mu brzęczyk do drzwi wejściowych. Dziewczę sprawdziło monitor systemu zabezpieczającego i oznajmiło:

- Szofer.

- No to otwórz, do diabła - polecił, ignorując fakt, że jej delikatna koszulka praktycznie niczego nie skrywa.

- Panie Fraser, jest do pana telefon z biura. Połączyli się z samochodem, bo nie reaguje pan na sygnały bipera, a sprawa jest pilna - zameldował kierowca.

- Kto dzwonił?

- Nie wiem. Kobieta.

- Pewnie ta cała Courtney-Smith - warknął Fraser, szukając bipera.

Był pod kanapą, gdzie Fraser umieścił go w nocy celnym kopniakiem, bo zaczął bipać w najmniej odpowiednim momencie.

- Kurwa mać! - ryknął. - Kto ci pozwolił, idiotko, bawić się biperem? Zmiataj stąd, i żebym cię więcej nie widział!

To rozwiązywało jeden problem, toteż huknął drzwiami i wyszedł z uczuciem zadowolenia z siebie.

Gdy Fraser wpadł do biura, znajdującego się w zachodnim skrzydle Białego Domu, była siódma pięćdziesiąt osiem, a więc był o dwie minuty za wcześnie. Tym niemniej Melissa stała już przy biurku, dzierżąc w dłoniach starannie ułożone akta.

- Co się po wyrabiało, do diabła?

- Prezydent zwołał na ósmą spotkanie National Security Council - odparła spokojnie.

- Dlaczego nie zostałem o tym powiadomiony? - warknął wściekły i wyrwał jej akta.

- Od godziny próbujemy się z panem skontaktować - zapewniła dotrzymując mu kroku, gdy wypadł z biura.

- A co się do cholery stało?

- Przykro mi, ale prezydent mi się nie zwierza - zełgała gładko.

Nie miała najmniejszej ochoty informować Frasera o tym, że do dokumentów, które Pontowski miał rankiem przeczytać, dołączyła jednostronicową analizę Billa Carrola. Do analizy

przyczepiła kartkę: „Sądzę, że to może być interesujące” - podpisana charakterystycznym inicjałem „M”, który Zack znał od dawna. Ale tego też nie zamierzała mówić Fraserowi. Jak się spodziewała, Pontowski przeczytał całość przy pierwszej filiżance kawy i o siódmej rano znalazł się w jej pokoju: wręczył jej analizę wraz z wiadomością i zarządził spotkanie NSC na ósmą. Osobiście zniszczyła oba papiery.

Fraser był ostatnim wchodzącym do pomieszczenia, toteż stojący na warcie *marines* zamknęli za nim drzwi, odcinając nie zaproszonym dostęp do pozbawionej okien sali o wymiarach cztery i pół metra na sześć.

- Przepraszam, panie prezydencie, ale dopiero się o wszystkim dowiedziałem. - Fraser znów był grzecznym i spokojnym urzędnikiem, jakim wszyscy go znali. - I tak znaleziono mnie bardzo szybko.

- Dobrze, że zdążyłeś, Tom. Panowie, chcę się dokładnie przyjrzeć temu, co dzieje się na Bliskim Wschodzie. Coś mi mówi, że wbrew pozorom wcale nie jest tam tak spokojnie. Choć wołałbym się mylić, nie możemy dopuścić, by wyłoniły się tam problemy, na które nie jesteśmy przygotowani. Być może będziemy musieli pomyśleć o nowych inicjatywach politycznych.

DCI i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, będący jednocześnie głową NSC, wymienili zaskoczone spojrzenia: żaden nie wiedział o niczym, co zaczęło się rzekomo dziać na Bliskim Wschodzie, a prezydent wyraźnie powiedział, że dzieje się tam coś, co go martwi. Ponieważ szef wywiadu (DCI) był koordynatorem wszystkich gałęzi wywiadu amerykańskiego, zabrał on głos jako pierwszy.

- Nie natknęliśmy się ostatnio na nic nienormalnego czy groźnego. Być może gdyby nam pan powiedział, co pana niepokoi, panie prezydencie...

- Chcę dokładnie wiedzieć, co się dzieje między Syrią a Egiptem. Podejrzewam, że to coś więcej niż wzajemny traktat o pomocy i pokojowej współpracy. Chcę wiedzieć, czy Irak ma z tym coś wspólnego... Zbyt wiele nas kosztowało stworzenie stabilnego Iraku, niestanowiącego zagrożenia dla sąsiadów... I chcę mieć pierwsze odpowiedzi dziś po południu.

- Nasz obserwator przy negocjacjach nie doniósł o niczym podejrzanym - zaczął sekretarz stanu, ale wystarczyło wymowne spojrzenie prezydenta, by zmienił kurs. - Zaraz go zagonię do roboty, *sir*.

Fraser z najwyższym trudem powstrzymywał się od zgrzytania zębami: na Bliskim Wschodzie nie działo się nic, co wymagaloby aż takiej uwagi. Chyba że on sam miał niepełne informacje, co było przecież nie do pomyślenia. Znacznie pewniejsze było to, że ktoś zdołał dotrzeć do prezydenta bez jego, Fräsera, wiedzy. Z drugiej strony, Pontowski czytał co rano trzy do czterech gazet i owo coś, co zwróciło jego uwagę, mogło pochodzić właśnie z któregoś z artykułów. Zdecydował się poczekać, aż pozostali naprowadzą go na jakiś trop.

- *Sir*, natychmiast każe się tym zająć DIA - odezwał się admirał Scoville, szef Połączonych Sztabów.

- Bez przesady - zaprotestował DCI - DIA dostaje informacje z CIA i NSA, dlaczego niby mieliby znaleźć coś, czego nie znaleźli pozostali?

- Właśnie mam zamiar się tego dowiedzieć - odpalił admirał, szczególnie wyczulony na sprawy bliskowschodnie.

Odegrał on bowiem kluczową rolę w logistycznej stronie oswobodzenia Kuwejtu i głośno twierdził, że przerwanie działań i wycofanie wojsk z Arabii Saudyjskiej było przedwczesne. Poza tym na pustyni pozostały pełne magazyny, osłaniane przez szczątkowe ilości wojsk amerykańskich, mających za zadanie dać znać o nowym ataku, a nie bronić własności US Army. Świat i Stany Zjednoczone były aż nazbyt chętne, by opuścić ruchome piaski polityki bliskowschodniej na korzyść solidnego gruntu polityki europejskiej. Czyli jak zwykle - sytuacja dokładnie spieprzona.

- Czy chciałby pan wysłuchać czyjejś konkretnej opinii? - spytał nagle Fraser. - Jakiegoś znanego lub nieznanego eksperta?

Pontowski potrząsnął głową i wstał, co było widowym znakiem podenerwowania.

- Chcę pokoju i spokoju na Bliskim Wschodzie - odparł zgodnie. - Najpewniejszym sposobem, by do tego doprowadzić, jest dążenie do stabilności i stworzenie temu rejonowi szans na

rozwój ekonomiczny. Dlatego tyle nadziei pokładałam w zbliżeniu syryjsko-egipskim. Mając tam stabilną sytuację, możemy nakłonić wszystkich zainteresowanych, w tym Irak i Izrael, do rozmów i próby znalezienia pokojowego rozwiązania ich problemów. Ale na razie musimy przede wszystkim bronić naszych dotychczasowych osiągnięć na tym polu, bo inaczej znajdziemy się z powrotem w punkcie wyjścia. Poza tym dobrze pamiętam, że ostatnie zbliżenie Syrii i Egiptu w siedemdziesiątym trzecim zaowocowało nie wzajemną pomocą ekonomiczną, tylko rozpoczęciem wojny Jom Kippur. Nie chcę, by ta sytuacja się powtórzyła.

- Mając do czynienia z Arabami czy Izraelem, zawsze trzeba sobie zdawać sprawę z pewnego stopnia niepewności - odezwał się cicho DCI. - Mam tu na myśli ostatnie próby, jakie Izrael i RPA przeprowadziły wspólnie na pustyni Kalahari.

Fraser odetchnął - DCI rozszerzył zagadnienie, co powinno oderwać uwagę Pontowskiego od kwestii dogadzania kaprysom Izraela.

- Nie znamy ani zasad, ani zakresu współpracy obu tych państw, ani też nie wiemy, co faktycznie miało miejsce na Kalahari. Teraz należy się skupić na problemie Egiptu, Syrii i Iraku.

- Myślę, że RPA używa lobby izraelskiego do przepchnięcia swoich spraw w Kongresie - Fraser niełatwo się poddawał.

- Widzieliśmy już, jakie to daje rezultaty - uśmiechnął się prezydent. - Tom, chcę, abyś zajął się tą sprawą, i chcę mieć po południu pierwsze odpowiedzi. - Po czym wyszedł, ucinając dalszą dyskusję i zostawiając zaskoczoną grupę ekspertów sam na sam z problemem.

Ciszę przerwał sekretarz stanu:

- Martwi go to.

- Oczywiście - odpalił Fraser wstając - i dlatego musimy szybko uporać się z tym pasztetem. - Przez następny kwadrans demonstrował swe talenty organizatorskie, dzięki którym był taki niezastąpiony podczas kampanii wyborczej.

- Pięknie - podsumował admirał, gdy Fraser skończył. - Tylko kto to zreferuje prezydentowi? Proponuję generała Coxa; to najlepszy, jakiego znam, specjalista do spraw Bliskiego Wschodu.

Wszyscy się zgodzili - z ulgą, że to nie ich firmy mają być odpowiedzialne za analizę. Wszyscy poza Fraserem.

- Nie! Chcę, żeby to zrobiło CIA! - Ostatnią rzeczą, na którą mógł się zgodzić, było dopuszczenie Coxa przed oblicze prezydenta.

W sekretariacie Fraser rzucił dokumenty na biurko Melissy i zamknął drzwi do swego gabinetu. Dopiero wtedy poczuł, że zalewa go nagła krew. Miotał się po pokoju niczym lew po klatce i długą chwilę trwało, zanim zdołał wyszeptać na tyle cicho, by mieć pewność, że nikt go nie usłyszy:

- Kurwa! To ja kontroluję dostęp do prezydenta i nikt nie będzie mnie bezkarnie omijał!

Nagły atak bólu promieniującego z żołądka pomógł mu odzyskać panowanie nad sobą: wrzody źle znoszą stres.

Rozbłysła kontrolka jego prywatnej linii; z niechęcią odebrał telefon. Jak się spodziewał, była to B.J. Allison, właścicielka jednej z największych korporacji naftowych w USA, a także źródło poważnych wpływów na każdą kampanię czy sprawę pilotowaną przez Fräsera. Naturalnie ktoś taki musiał być wybitnie zainteresowany sytuacją na Bliskim Wschodzie, zwłaszcza że korporacja poważnie zainwestowała w tamtejszą ropę.

- B.J. - powitał ją z wymuszoną radością - musimy się spotkać, proponuję lunch lub kolację... Tak, pozbyłem się jej... Doskonale, a więc jutro wieczorem.

4

Zack Pontowski siedział przy łóżku żony pijąc kawę i czytając, gdy Tosh obudziła się. Przez kilkanaście sekund leżała bez ruchu, przyglądając się mężowi spod przymkniętych powiek i próbując opanować łzy: przez tyle lat byli razem, że doskonale rozumiała, co Zack musi czuć mogąc tylko bezsilnie patrzeć, jak ona umiera. Najgorsze jednak było to, że teraz, w tym szczytowym momencie jego kariery, nie była już w stanie mu pomagać. Gdy udało jej się w pełni opanować, poruszyła się na znak, że nie śpi.

- Dobrze spałaś, Tosh? - Od kiedy byli razem, zawsze zadawał to samo pytanie.

Odłożył okulary i akta, które studiował, i pogładził jej dłoń. Dostrzegł, że się budzi, i udawał, że koncentruje się na czytaniu, dając jej czas na zapanowanie nad sobą.

- Dlaczego nie pozwalasz obcym oglądać się w okularach?

Odpowiedzią było wymijające chrząknięcie, a od dalszego ciągu uratowało go wejście pielęgniarki, która przystosowała łóżko do pozycji umożliwiającej siedzenie, a następnie podała chorej filiżankę kawy.

- I co? - spytała Tosh. - Rozwiązałeś już problemy tego świata czy zejdziesz ci na tym do lunchu?

- Powinno się udać do jutra - uśmiechnął się Zack. - Wygląda na to, że w Rosji doszło w końcu do otwartej konfrontacji z władzą.

Zawsze mówił jej o tym, co go najbardziej zaprzętało, a ona w jakiś sposób była w stanie skierować jego uwagę na to co najważniejsze.

- Czy to będzie miało wpływ na Bliski Wschód? - Oboje czytali notatkę od Melissy.

- Trudno powiedzieć. Zdaje się, że Rokossowski jest w opalach. Stara gwardia ma dość jego reform politycznych i ekonomicznych. Poza tym dostaliśmy list od Matta: jest na urlopie w Marbelli i bawi się do upadłego.

- Zupełnie jak ojciec. - Uśmiechnęła się biorąc list.

Korespondencja w jego wykonaniu była zaiste czymś niezwykłym, jako że Matt, podobnie jak jego ojciec, odznaczał się organicznym wstrętem do słowa pisanego. Uwielbiał za to latać, bawić się i uwodzić dziewczyny, kiedy tylko była po temu okazja. Zack i Tosh mieli tylko nadzieję, że nie zginie w walce, jak ojciec, i że zasili ród Pontowskich młodym pokoleniem następców.

- Tym razem coś się zmieniło - powiedziała Tosh. - Pisze o dziewczynie z Kanady. Czyżby nasz postrzelony wnuk po raz pierwszy w życiu myślał o czymś poważnie?

- Cóż, napisał list...

Oboje się roześmieli.

Cierpliwość nie była jedną z cnót Frasera, toteż fakt, że ktoś się spóźnił na spotkanie, zawsze go denerwował. Tym razem jednak siedział potulnie w salonie posiadłości - położonej na wzgórzu w zachodniej Wirginii - którą B.J. Allison nazywała domem. Znając tę damę, wiedział, że nawet na kolację w domu przygotowuje się starannie. „Dom” według jego szacunku wart był jakieś dziewiętnaście i pół miliona dolarów i przyznać należy, że pomylił się zaledwie o dwieście tysięcy.

Pięć minut później B.J. Allison spłynęła ze spiralnych schodów ubrana w prostą długą suknię i diamentowy naszyjnik, stanowiący komplet z kolczykami. Fraser był pod wrażeniem, i to nie stroju, który trafnie ocenił na dwa miliony, ale owych pięciu minut oczekiwania: wobec gubernatorów i senatorów B.J., pozwalała sobie na spóźnienia siedmiominutowe. Jedyne wobec prezydenta USA lub osób krwi królewskiej zdobywała się na punktualność.

- Tom! - powitała go ciepłym kontraltem. - Zbyt mnie unikasz!

Fraser nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy ujęła go pod ramię i poprowadziła do salonu, przybliżając ich tym samym do ceremonii posiłku. Świadomie i skutecznie unikali Barbary

Jo Allison tylko najpotężniejsi tego świata albo ekscentrycy o ewidentnych skłonnościach autodestrukcyjnych. Wieść niosła, że jedną z tych zjawiskowych postaci był Charles de Gaulle. Nikt też nie znał nawet w przybliżeniu wieku B.J. Tematu tego nie poruszano zresztą publicznie, gdyż na tym właśnie punkcie ta drobna, elegancka i wpływowa osoba była wybitnie uczulona. Dziennikarze mogli o niej natomiast pisać, że jest wiedźmą, dziwką albo czymkolwiek innym, jak to dziennikarze zwykle wypisują. Jeden z młodszych pismaków napisał kiedyś, iż jest tak konserwatywna, że Attylę uważa za radykała, a na prawym policzku swej niani kazała wytatuować swastykę. B.J. wysłała list do jego wydawcy z wyjaśnieniem, iż swastyka była na lewym policzku, gdyż faszyzm to filozofia liberalna, choć niezbyt dobrze stosowana w praktyce. W ten oto sposób rozstrzygnięto o reputacji i karierze owego młodego dziennikarza.

Innym razem pewien komentator telewizyjny spekulował nad jej wiekiem i w ciągu trzech dni zniknął z branży, jakby nigdy nie istniał. Fraser ocenił ją na sześćdziesiąt sześć lat i mylił się o dwucyfrową liczbę.

Posiłkiem delektowali się w miłej atmosferze, gdyż B.J. nauczyła się od swej matki w Tidewater, jak być uroczą i pełną wdzięku gospodynią. Wymieniwszy krążące po stolicy plotki i ciekawostki ruszyli do biblioteki na kawę i dopiero wówczas rozmowa zeszała na tematy najbardziej istotne dla gospodyni, którymi były ropa i polityka.

- Słyszałam, że prezydent chce zmusić Kongres do zmniejszenia wydobycia ropy z dna morskiego. Myślę, że byłoby to naprawdę niezbyt rozsądne posunięcie. A jak ty sądzisz?

Fraser zgodził się z nią i obiecał, że zrobi, co będzie mógł, by zmienić podejście Pontowskiego do tego zagadnienia. Żadne z nich nie wspomniało nawet o tym, że w czasie kampanii wyborczej Allison użyła swych wpływów i pieniędzy oraz wykorzystwała swą pozycję, by poprzeć kandydaturę obecnego prezydenta. Żadne też nie wspomniało o długach wdzięczności, ale było zrozumiałe, że Fraser musi postąpić zgodnie z jej życzeniem. W końcu to przez niego wszystko było załatwiane i przekazywane, a pośrednik musi wykonywać polecenia; choć wydawano je w formie delikatnych sugestii, miały wagę rozkazów.

- Poza tym martwi mnie Bliski Wschód, a ciebie?

Fraser ponownie przytaknął, zastanawiając się w duchu, o co konkretnie chodzi.

- Czy to prawda, że ktoś naopowiadał prezydentowi bzdur w stylu, że traktat syryjsko-egipski to rzekomo coś innego niż dwustronna umowa mająca przyspieszyć rozwój ekonomiczny tych dwóch biednych państw?

Z wrażenia omal nie upuścił filiżanki: wczorajsze spotkanie było przecież ściśle tajne! Ta kobieta miała wprost niesamowite źródła informacji i lepiej było nie próbować jej okłamywać.

- To prawda. Wywiad izraelski...

- Ten przekłety Mossad! - Tupnęła zirytowana. - Może by się wreszcie przestali mieszać w moje sprawy. Można by pomyśleć, że jestem jakimś zagrożeniem dla ich kraju.

- Nonsens. Jeśli chcesz, powiem prezydentowi, że szykanują amerykańskie spółki akcyjne.

- Nie ma sensu zawracać mu głowy takimi błahostkami - odparła z południowym akcentem, stwarzając wrażenie bezradności. - Nie należy słuchać gderania starej baby.

- Żebym ja dożył tego wieku - mruknął Fraser i pośpiesznie zmienił temat. - Mossad przesłał nam ostrzeżenie, że traktat jest parawanem unii wojskowej Egiptu, Syrii i być może Iraku. Część ekspertów jest przekonana, że celem takiej unii może być jedynie Izrael.

- Oburzające! Znam wielu Arabów i wszyscy chcą pokoju. Nie dalej jak wczoraj rozmawiałam z szejkiem Mohammedem al-Khatub, tym uroczym przedstawicielem OPEC, który solennie mnie o tym zapewnił. Izrael używa tej taktyki, by wyciągnąć od nas więcej pieniędzy i broni... - Położyła mu dłoń na ramieniu, przechodząc do sedna sprawy. - Tom, chciałabym, aby prezydent i Kongres zrozumieli, że na Bliskim Wschodzie mamy nie tylko Izrael, ale i innych przyjaciół. Poza tym, czy nie sądzisz, że najwyższy czas, by Izrael zaczął sobie radzić sam?

Lądując w Maladze, Habish był zmęczony. Podróż powrotna z Izraela przebiegała przez cztery kraje i trwała kilkanaście godzin.

- Wszystko po to, żeby przez dwadzieścia minut pogadać z

Ganefem - jęknął spotkawszy się na lotnisku ze swoim zastępcą w tej akcji, Zeevem Avidarem.

Zeev nic nie odpowiedział - wszyscy w Mossadzie wiedzieli, że Ganef miał humory, był kutwą i cholerykiem; wiedzieli też, że był wywiadowczym geniuszem, który stawiał pierwsze kroki jako dzieciak w warszawskim getcie.

- Co go tym razem najbardziej interesowało? - spytał po chwili Avidar.

- Pieniądze, a cóż by innego? Twierdzi, że za dużo wydajemy. Podobno dostał ataku, jak zobaczył rachunek za suknię - parsknął Gad. - Jak mu pokazałem zdjęcia, to się zamknął. Założę się, że mu stanął.

- Niemożliwe?!

Przez resztę drogi do Marbelli obaj siedzieli cicho.

Shoshana, chcąc nawiązać kontakt, postępowała zgodnie z poleceniami Habisha: zaczęła od wizyty w sklepie z pamiątkami, wypila kawę na rynku i mniej więcej pół godziny później zawitała do sklepu Gabrielle. Ktoś tam zawsze na nią czekał. Tym razem był to niewyspany Habish.

- Co z Maną? - zapytał na wstępie.

- W porządku - odparła chłodno, ale Gada trudno było zniechęcić.

- O co ci chodzi?

- Nie lubię być podglądana. - Ton jej głosu był teraz lodowaty. - Nie podoba mi się to, co robię.

- Powiedz po ludzku: „Nie znoszę się z nim pieprzyć”.

- Nie doszliśmy jeszcze do tego - warknęła. - Ma pewien problem...

- Tak, wiem. Przedwczesny wytrysk.

- Musimy mu to robić? - spytała, nagle zupełnie innym tonem.

- Jezusie Maryjo! Zakochałaś się w nim?!

- Nie, ale go lubię. Jest taki speszony i miły.

Habish bez słowa wskazał jej krzesło i wyrzwał na korytarz. Stał tam samotny Zeev Avidar, wszystko więc było w porządku.

- Obserwujemy cię, to prawda - wyjaśnił jej cicho. - I to przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie jest to łatwe, ale

jest konieczne, gdyż jedynie w ten sposób możemy ci zapewnić bezpieczeństwo. Wiedziałaś, że Mana ma obstawę? No to już wiesz. Poza tym mają ładną kolekcję waszych zdjęć, łącznie z tą czułą scenką na korytarzu.

Dziewczynie mowę odebrało, co Habish natychmiast wykorzystał.

- Is'al Mana to inżynier chemik, obecnie negocjujący w imieniu Iraku z WisserChemFabrik zakup wysoko specjalistycznej aparatury, którą można wykorzystać do produkcji gazu paraliżującego. Znasz najbardziej prawdopodobny cel zastosowania tego gazu: Izrael. Dziewczyno, wszyscy robimy, co możemy, by chronić własny naród, by nic podobnego do Holocaustu nie miało już nigdy miejsca. Ani mnie, ani nikomu nie podoba się to, co należy robić, ale nie ma wyboru: albo tacy jak Mana, albo nasze rodziny.

Jego słowa przypomniały jej pamiętną niedzielę, kiedy to najpierw obcięła włosy, a potem z babcią, wujem i ciotką była w Yad Vashem.

- Masz rację - powiedziała przeprasząc. - Pozwoliłam, by uczucia wzięły górę nad rozsądkiem. To się już nie powtórzy.

- W naszej pracy trzeba nauczyć się ignorować uczucia, ale należy pamiętać, że one nadal istnieją. Będą ci potrzebne, gdy skończysz zadanie. Dzięki nim bowiem pozostaniesz istotą ludzką. Nie ma innych możliwości.

Zamilkł, dając jej czas na przemyślenie tych słów i przygotowując ją na nowe informacje, które przywiózł z Izraela. Po chwili skinęła głową, przeszedł więc do rzeczy:

- Jeden z naszych agentów zameldował, że w Iraku trwa budowa zakładów mających produkować nowy rodzaj gazu. Z jego meldunku wynika, że nie mamy przed tym gazem żadnej możliwości obrony. Ów agent zapłacił za tę informację swoim życiem. Między Maną a tym zakładem istnieje ścisły związek i dlatego chcemy, żebyś pojechała do Iraku i dowiedziała się, jaki to gaz.

„Przepity, przepocony i przejebany” - te trzy określenia wiernie opisywały stan Matta i tłukły mu się po głowie niczym

zawodzenie pękniętej płyty. Leżał nagi na pokładzie trzydziestostopowej żaglówki, będącej własnością Wisserów, zakotwiczonej u wybrzeża greckiej wyspy Santoryn. Ostrożnie (by nie narażać krocza na najmniejszy nawet wstrząs czy ucisk) usiadł i rozejrzał się, szukając wzrokiem Lisi. Znalazł ją bez trudu: złotowłosa, opalona i naga zbiegała właśnie z plaży.

- Ekshibicjonistka - mruknął do siebie.

Helmut wyczuł rosnące zainteresowanie Matta Shoshaną, które mogło skomplikować negocjacje z Maną, wobec czego zaproponował, by oboje z Lisi polecieć do Grecji i popłynąć na żaglówce firmy. Matt zgodził się, widząc w tym sposób na łatwe rozwiązanie trójkąta, który działał mu na nerwy: dziewczyna była fajna, ale przegrać z Arabem to już wstyd.

Stwierdził, że jest głodny, i szedł pod pokład. Chybotanie łodzi, oznaczające, że Lisi wspina się na pokład, zastało go w kuchni.

- Byle nie to - jęknął i wypadł na pokład, zaklinając się w duchu, że skończy z tym gadaniem do siebie.

W tej chwili nie miał najmniejszej ochoty dać się złapać pod pokładem i zostać zaciągniętym na kolejną sesję miłosną. Lisi machała radośnie do kotwiczącej właśnie obok żaglówki, pogrążona w ożywionej dyskusji po niemiecku z dwiema parami stanowiącymi jej załogę.

- Przyjdą do nas, jak zakotwiczą - poinformowała Matta, obserwując, jak obie pasażerki zdejmują ubranie.

Matt stłumił jęk, zastanawiając się, co mu się stało: był w rajach, gdzie było co pić i co rżnąć, i miał dość. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał różnicę między kochaniem się i pieprzeniem i zdał sobie sprawę, że to, co robią z Lisi, nie jest uprawianiem miłości.

- Lisi, który dziś jest? - spytał niespodziewanie.

Wzruszyła ramionami i spytała o coś sąsiadów. Matt znalazł niemiecki wystarczająco dobrze, by zrozumieć odpowiedź.

- Scheisse! - To zwróciło jej uwagę. - Urlop mi się skończył. Muszę wracać do jednostki, albo będę po uszy w gównie.

Lisi niespecjalnie to obeszło: czworo nowych znajomych oznaczało kilka dni rozrywki, a po łódź ojciec i tak kogoś przysła.

Dwie godziny później Matt był na niewielkim lotnisku Santorynu i prawie zamówił lot przez Malagę. Opanował się jednak na czas: kolejne dwa dni, stracone na szukanie dziewczyny, mogły skończyć się oskarżeniem o dezerccję. Gdyby nie popłynął z Lisi i nie stracił poczucia czasu... „Gdyby.” Próbował zapomnieć Rose, ale jej twarz majaczyła mu przed oczyma w najmniej oczekiwanych momentach.

Poranna rosa nadawała powietrzu świeżość, gdy Habish zapuścił silnik. Zeev, specjalista od fałszywych papierów, zapakował do bagażnika swój unikatowy sprzęt i ruszyli w stronę lotniska. Habish był zmęczony, ale ostatni z jego ludzi pilnował dziewczyny, więc Gad sam musiał towarzyszyć Avidarowi w okrężnej, choć pilnej podróży do Bagdadu.

W Iraku miał za zadanie zaopatrzyć zespół w fałszywe dokumenty, co nie było łatwe, jako że nie mógł zabrać ze sobą wzorów - wszystko musiało zostać wykonane na miejscu: kontrola celna była zbyt drobiazgowa, by opłacało się ryzykować. Oficjalnie występował jako akwizytor i specjalista od naprawy komputerów, usiłujący znaleźć zbyt w Iraku. Jak każdy porządny akwizytor, miał próbki towaru, a jako technik - narzędzia i części. Miał otworzyć firmę komputerową i, nie śpiesząc się, uzyskać zezwolenie na tę działalność, co w irackim gąszczu papierów, stempli i labiryntach biurokracji wcale nie było takie proste.

Inny z agentów, występujący jako artysta, był już w Iraku z unikatowymi rodzajami papieru i tuszu, których potrzebowali do fałszowania dokumentów. Avidar był twórcą programu, dzięki któremu drukarka laserowa jego komputera zmieniała się w doskonałą maszynę drukarską. Dawało to tak rewelacyjną jakość, iż często przy porównywaniu jego dokumentów z autentycznymi za fałszywe uznawano te ostatnie. Owa maestia wymagała jednak czasu.

„Artyście” przydzielono jeszcze jedno zadanie: do przybycia Avidara nawiązać kontakt z agentem współpracującym z Kurdami (mniejszością walczącą o wolność). Od niego miał otrzymać specjalnie zmodyfikowane pistolety Walther kaliber dwadzieścia dwa, do których stosowano specjalną amunicję produkcji

niemieckiej, o zmniejszonym ładunku miotającym. Łącznie dawało to efekt strzału z tłumikiem, bez konieczności używania tego niezbyt poręcznego dodatku. Naturalnie broń miała niewielki zasięg i ograniczoną celność, ale do zabicia z bliska nadawała się doskonale, a do tego właśnie była potrzebna. To była zresztą najbardziej niebezpieczna część operacji, a złapanie artysty oznaczało kompromitację akcji i śmierć człowieka. Dlatego broń musiała zostać ukryta po przejściu od Kurdów, zanim którykolwiek z pozostałych członków grupy znajdzie się w Iraku.

Habish i dwaj inni agenci mieli przedostać się tam nielegalnie mniej więcej w tym samym momencie co Shoshana z Maną. Oznaczało to, że przez pewien czas dziewczyna będzie zdana na samą siebie, ale trudno: próba legalnego przekroczenia granicy tym samym co ona samolotem niosła ze sobą zbyt wielkie ryzyko. Już na miejscu należało w pierwszej kolejności sprawdzić zmiany w zwyczajach policji, celników, w przepisach na lotniskach i w portach - wszelkie innowacje, jakie nastąpiły od czasu wyjazdu z tego kraju ostatniej grupy agentów. Potem trzeba kupić lub wynająć kilka domów i samochodów, co w Iraku było dość trudne, i wreszcie - ustalić systemy łączności i drogi ucieczki, kryjówek i alarmy. Dla Avidara oznaczało to dwadzieścia godzin pracy na dobę, jako że podstawowa zasada bezpieczeństwa głosiła, że agent nigdy nie powinien używać tych samych dokumentów przy dwóch różnych zadaniach: wynajmując i prowadząc samochód legitymował się tym samym prawem jazdy, ale idąc pieszo na spotkanie z innym agentem nie miał prawa mieć go przy sobie.

Kontakt z dziewczyną miał nawiązać Habish poprzez szkołę języków, w której miała pobierać lekcje arabskiego. Od tej chwili zaczynała się właściwa część akcji, przy czym Shoshana naturalnie wiedziała tylko tyle, ile powiedział jej Gad, który, jako prowadzący, był najważniejszy tak dla sukcesu, jak i dla bezpieczeństwa operacji i zespołu. Wiele lat temu Habish dał sobie słowo, że jeśli nie zdoła uniknąć schwytania, zabije się. Wtedy Avidar musiałby ratować, kogo się da, i pryskać z Iraku, ale miałby na to jakieś realne szanse.

Przez kilka najbliższych dni Gad i ostatni z agentów będą

musieli obstawiać dziewczynę, a Habish wcale się do tego nie palił.

Na szczęście Shoshana nie miała jeszcze od Many zaproszenia do Bagdadu, więc na razie zanosilo się na chwilę względnego spokoju.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Mana jest w niej zadurzony po uszy: łąził za nią jak cień, odgadywał jej życzenia z oczu i wytrwale zasypywał prezentami, które odsyłała mu z równie konsekwentnym uporem, umiejętnie jednak podtrzymując stan adoracji. Po paru dniach Habish zauważył, że obstawa Many przestała mu towarzyszyć na spotkaniach z dziewczyną, toteż sam zaczął wykorzystywać czas tych spotkań jako przerwę w obowiązkach.

Mana uporczywie próbował mówić o pracy, by zrobić dobre wrażenie - jaki to on jest utalentowany i jak wielkie ma możliwości - ale Shoshana regularnie zmieniała temat, twierdząc, że rozmowa o pracy w czasie wakacji to nonsens. Jeśli stawał się nieznośny, bez skrupułów doprowadzała go do wytrysku i wysyłała do domu, by się umył i przebrał.

Mana był zakochany.

Habish opieprzył Shoshanę za unikanie tematów zawodowych, ale Manę lubiła znacznie bardziej niż Gada.

W końcu negocjacje z WisserChemFabrik zostały uwieńczone sukcesem i Irak stał się właścicielem urządzeń do produkcji gazów bojowych. W trakcie kolejnego spotkania przy kawie Habish przekazał Shoshanie tę wiadomość, co oznaczało, że Mana za dzień lub dwa będzie wracał do Iraku.

- Wiem - odparła płacąc rachunek. - Dziś jemy u niego kolację.

- A więc dziś musi cię zaprosić.

- Zaprosi.

- Skąd ta pewność?

- Odrobiłam zadanie i chyba wiem, jak rozwiązać jego mały problem. - Uśmiechnęła się i odeszła.

Od chwili spotkania w hotelu, gdy po nią przyjechał, Mana nie mógł od Shoshany oczu oderwać, o co jej zresztą chodziło.

Kusząco rozpięta u góry biała bluzka obiecywała kształtne piersi, a obcisłe czarne spodnie podkreślały smukłość talii i bujną pełnię pośladków.

Kolację zjedli na balkonie, wychodzącym na Morze Śródziemne. Do środka weszli dopiero, gdy Shoshana uznała to za stosowne. Mana nauczył się wypełniać jej polecenia bez głupich pytań.

- Zabawne lustro - stwierdziła poprawiając włosy. - Is'al, co z nim jest nie tak?

Zapytany zaczerwił się jak piwonია, informując, że za lustrem jest kamera wideo.

- Filmowałeś nas? - spytała.

Bez słowa przytaknął głową.

- Podobały ci się zdjęcia?

Ponowne skinęciem.

- Wobec tego nie mam nic przeciwko temu, by ci o mnie przypominały. - Jeszcze raz przyjrzała się lustru i poleciła: - Każ służbie przynieść wiaderko z lodem i zwolnij ich na resztę wieczoru.

Wykonał polecenie, a gdy służąca wyszła, Shoshana zdjęła buty i kręcąc prowokacyjnie biodrami podeszła do niego. Stała na środku pokoju, rozpięła wszystkie guziki jedwabnej bluzki i wydała następne polecenie:

- Podaj mi lód.

Odebrała od niego naczynie, postawiła je na podłodze i odwróciła się tyłem do lustra. Następnie błyskawicznie go rozebrała. Jak przypuszczała, Mana zdążył już oklapnąć. Szybko zdjęła bluzkę i spodnie - nie miała na sobie żadnej bielizny, co natychmiast spowodowało wzrost podniecenia u partnera. Klęknęła, ujmując w dłoń członek i czując jego pulsowanie: zdążyła w ostatniej chwili. Zaczepnęła garść lodu i przyłożyła do penisa. Mana jęknął i wyraźnie ochłódł.

- Myślę, że rozwiąaliśmy twój problem - oznajmiła z uśmiechem.

Wzięła wiaderko z lodem i zaprowadziła go do sypialni.

Czując się jak ostatnia kurwa, Shoshana wstała z łóżka i spojrzała na Manę: spał jak dziecko, zadowolony z siebie. Nie

czuła doń nienawiści - nie mogła się na nią zdobyć. W nocy był tak wdzięczny, że aż się niedobrze robiło. Kochali się skutecznie trzy razy, choć dla niej w niczym nie przypominało to uprawiania miłości. Za drugim razem musiała użyć lodu tylko raz, za trzecim wcale. Było to pierwsze w pełni udane doświadczenie seksualne Many.

Podeszła do okna i odsunęła ciężkie kotary, wpuszczając poranne słońce i spoglądając na wschód, gdzie o dwa tysiące mil za morzem leżał Izrael.

- Rose - szepnął do niej Mana, obudzony światłem, które zalało pokój.

Czując gorzki smak w ustach, wróciła do łóżka - skoro już została dziwką, to należało sprawę doprowadzić do końca.

- No i już po wakacjach - westchnęła, drapiąc go jednocześnie po brzuchu. - Będzie mi ciebie brakować.

- Rose, nie chcę, żeby między nami się skończyło... Wyjdiesz za mnie?

Cholera, było gorzej, niż się spodziewała.

- Nie mogę.

- Dlaczego? Kocham cię.

- Och, wiesz, co do ciebie czuję - pogładziła go po policzku - ale jest tyle problemów... twoja religia i to, że jestem nikim... nie znam twojego języka... I co najważniejsze: wysłabym za ciebie tylko za zgodą twojej rodziny!

- Pokochają cię! - obiecał, ale zamknęła mu usta pocałunkiem.

Nie musieli używać lodu.

Kiedy po godzinie wstali, Mana wykrztusił w końcu to, na co czekała:

- Proszę, pojedź ze mną do Bagdadu poznać moją rodzinę.

5

Byla to powtórka ostatniego spotkania z podpułkownikiem Locke'em, tylko miejsce się zmieniło - spartańskie biuro w Arizonie zastąpił gabinet w Stonewood, przez który przeszedł tajfun. Jednostka dopiero się tu wprowadzała i sterty pudeł, skrzyń i papierów, jak też dochodzące zza drzwi czy okien hałas dobitnie o tym przypominały.

Wyprężony przed biurkiem Matt zastanawiał się, jak długo ma tak jeszcze stać, zanim Locke go opieprzy, chociaż i tak nic mu nie może zrobić. Spóźnił się ledwie osiem dni, a zresztą nikt go tu do niczego nie potrzebował.

Nie byłby tak pewny siebie, gdyby wiedział, co oznacza wyraz twarzy dowódcy. Ostatnim razem, gdy Locke miał takie kamienne oblicze, zabił siedmiu ludzi, tyle że żaden z nich nie widział jego twarzy: w walce powietrznej jest to bowiem raczej niemożliwe.

- Poruczniku - odezwał się w końcu Locke dziwnie spokojnym głosem.

Matt z trudem stłumił uśmiezek satysfakcji, nie na tyle jednak szybko, by Locke go nie zauważył i nie zinterpretował. Interpretacja była właściwa.

- Szkoda, że tak lekko traktuje pan przysięgę, którą składał pan wstępując w szeregi sił zbrojnych USA. Może ta wiadomość pana zaszokuje, ale prezydent USA pokłada w panu specjalne zaufanie i nadzieję.

- Sądę, że wiem nieco lepiej niż większość pilotów, czego oczekuje ode mnie prezydent - wtrącił Matt.

- Prawda - zgodził się Locke, nie zmieniając ani tonu, ani wyrazu twarzy. - Przedłużył pan swój urlop o osiem dni bez zezwolenia czy zawiadomienia. Należało zadzwonić i poprosić o przedłużenie, wątpię, by spotkał się pan z odmową.

- Przepraszam, *sir*, ale pod jaki numer miałem dzwonić? Jednostka się przenosiła.

- Najwyraźniej oprócz tego, że nie potrafi pan przestrzegać rozkazów, nie umie pan także czytać. Na zezwoleniu urlopowym jest podany numer, pod który dzwoni się w przypadkach alarmowych lub też chcąc przedłużyć sobie urlop. - Locke podał mu zezwolenie i Matt poczuł, jak jego pewność siebie zaczyna kruszeć. - Teraz, skoro wyjaśniliśmy ten drobiazg, czy jest jeszcze coś, co chce pan powiedzieć na swoją obronę, zanim przejdziemy do sedna?

- Tak pan to powiedział, jakbym miał iść pod sąd polowy. - Matt nadal próbował przejąć inicjatywę.

- O tej możliwości porozmawiamy za kilka minut. - Po raz pierwszy Mattowi przeszło przez myśl, że Locke nie żartuje.

- Tak na początek to jest pan zawieszony w lotach, dopóki nie przygotuję papierów z artykułu piętnastego.

Artykuł piętnasty, czyli kara dyscyplinarna zgodna z Kodeksem Prawa Wojskowego, był wojskowym odpowiednikiem mandatu drogowego. Każdy dobry sierżant powinien mieć na koncie minimum jeden, ale dla oficera był to pocałunek śmierci. Artykułem piętnastym karał dowódca jednostki za przewinienia przeciwko dyscyplinie, a oficerowie powinni „piętnastki” rozdzielać, a nie dostawać. Ten, kto miał coś takiego w aktach, z zasady nie awansował.

- To chyba lekka przesada, *sir*. - Matt mocno się zaniepokoił.

- Nie musi pan go przyjmując, poruczniku.

Matt odetchnął z ulgą; zapomniał, że artykuł piętnasty musiał być przyjęty przez karanego jako wyrażenie zgody na rezygnację z sądu.

- Jeśli zdecyduje się pan go nie przyjmując, zostają mi dwie możliwości - dodał Locke, mając dość pilota, który uważał, że przepisy obowiązują wszystkich prócz niego samego. - Mogę odstąpić od karania oficjalnego i wracamy do punktu wyjścia albo mogę wszczać postępowanie sądowe.

Wyraz twarzy Matta świadczył o tym, że nie wierzy w tę ostatnią możliwość.

- Poza tym, jest pan na liście promocyjnej na kapitana. Może

pan z niej zostać skreślony i to na długo: dopóty, dopóki nie zaczniesz się pan wreszcie zachowywać jak oficer, a nie jak gówniarz. Jeśli uważa pan to za niesprawiedliwe, to proszę wystąpić do sądu.

Do Matta wreszcie dotarło.

- Jeśli przyjmę artykuł piętnasty, to jakie będą konsekwencje?

- Sześć tygodni zakazu opuszczania bazy.

- To wszystko?

- I szefowanie projektu przystosowania budynku jednostki do życia własnymi siłami. Odstąpię od wykreślenia z listy promocyjnej.

- Własnymi siłami? A od czego są służby pomocnicze? To bez sensu, *sir*.

- Poruczniku Pontowski, coś się chyba stało z pana słuchem. Powtórzę wolno i wyraźnie: zostanie pan najlepszym budowlańcem w US Air Force w Europie. Może pan odejść.

- *Sir*, ja...

- Powiedziałem, że może pan odejść. I zgłosić się do lekarza; jeśli te problemy ze słuchem są aż tak poważne, to być może trzeba będzie pana uziemić na stałe.

Matt pośpiesznie zasalutował i czym prędzej wyszedł.

Dwadzieścia minut później dodzwonił się do Melissy.

- Przykro mi, Matt, ale to Fraser decyduje o tym, kogo połączyć z prezydentem, a jeszcze go nie ma. Zresztą twój dziadka też jeszcze nie ma. Jest wcześniej rano.

- Muszę porozmawiać z dziadkiem.

Melissa ustąpiła, w pełni świadoma, że Fraser może spróbować wylać ją za to z pracy. Połączyła Matta z aparatem w pokoju Tosh.

Zack z lekkim uśmiechem spokojnie wysłuchał litanii kłopotów wnuka: chłopak zachowywał się tak samo jak ojciec.

- Matt, chciałeś być pilotem wojskowym i latać. Według moich reguł to znaczy, że zgodziłeś się na wszystkie przyjemności i obowiązki, jakie z tego wynikają; związałeś się ze służbą na dobre i na złe. Z tego, co mówisz, wychodzi, że teraz przyszła pora na to „złe” ... Pamiętasz, jak kiedyś wróciłeś ze szkoły,

bodajże w siódmej klasie, twierdząc, że nauczyciel niesprawiedliwie cię ukarał za zlanie wodą jakiejś dziewczyny? Matt pamiętał aż za dobrze: Zack stwierdził wtedy, że skoro chłopak sam się wpakował w kłopoty, to niech sam się z nich wykarska, i na dodatek dołożył mu miesiąc aresztu domowego, gdy dowiedział się o faktycznym przebiegu wydarzeń i o innych wyczynach dwunastolatka, które przy tej okazji wyszły na jaw.

- Twoja babcia jest chora i chciałaby z tobą porozmawiać - dodał Zack, przekazując żonie słuchawkę i obiecując sobie w duchu, że pogada z Fraserem, by nie robił nic w interesie Matta. Najwyższy czas, by chłopak nauczył się radzić sobie sam.

Paszport! - warknął iracki celnik.

Shoshana posłusznie podała mu kanadyjski paszport, starając się wyglądać naturalnie: był to jej pierwszy test na lewych papierach i nie czuła się zbyt pewnie. Celnik przejrzał paszport, spojrzał na nią groźnie i znów warknął:

- Nazwisko!

- Rose Louise Temple - odparła, czując, jak wzrasta jej pewność siebie.

- Wyznanie?

- Protestantkie.

- Adres w Iraku?

- Nie znam - odparła zgodnie z prawdą.

Celnik zgłupiał, ale zanim zdążył wrzasnąć, obok dziewczyny zjawił się Mana. Celnik zamknął z trzaskiem usta, czym prędzej przystawił pieczętkę zezwalającą na wjazd i machnął na niej autograf.

- Witamy w Iraku, panno Temple - powiedział uprzejmie. - Mam nadzieję, że będzie się tu pani podobało. - Mówiąc to patrzył nie na nią, ale na Manę; warczenie na kogoś, kto był gościem rodu Mana, mogło mieć fatalne wręcz skutki.

Widok Bagdadu nie zaskoczył Shoshany - ulice były brudne, budynki odrapane, tak jak i na lotnisku, a wokół królowała podobnie wrzaskliwa co w Izraelu muzyka arabska. Na dobrą sprawę mogłaby być we wschodniej części Jerozolimy, nawet

napisy i reklamy były podobne. Zmienił się natomiast Mana: był znacznie bardziej agresywny, choć w limuzynie z szoferem, która na nich czekała na lotnisku, starał się trzymać swego hiszpańskiego wcielenia.

- Jesteśmy na ulicy Sa'adon - oznajmił, gdy stanęli przed eleganckim budynkiem w starym stylu. - A oto hotel Bagdad.

Wnętrze przypominało scenerię starych filmów i wyglądało dokładnie tak, jak wyobrażała sobie arabski hotel. Pokój także wyglądał jak z marzeń: wysoki, przestronny, z dużymi oknami wychodzącymi na ulicę; łazienka również w starym stylu, ale ze wszystkimi wygodami.

- Jak tu ślicznie! - zachwyciła się.

- Rose, kilka najbliższych dni spędzisz beze mnie. Muszę przygotować spotkanie, na którym poznasz moją rodzinę. - Znów był oficjalny. - Zadzwoń, jak tylko będę mógł.

- Nie ma sprawy, tylko żeby to nie trwało zbyt długo. Zabrałam trochę książek, ale... - zastanowiła się chwilę - czy mógłbyś zorganizować mi jakiegoś nauczyciela? Przecież muszę się nauczyć twojego języka.

Skinął głową, uśmiechając się z zadowoleniem.

- I jakiegoś przewodnika, żebyśmy mogła zwiedzić miasto i zrobić zakupy.

Na widok gniewnego błysku w oczach Many i zmarszczonych surowo brwi Shoshana stwierdziła, że czas ustalić, kto tu rządzi, bo inaczej nie zdoła nawiązać kontaktu z Habishem.

- Och, wiesz, jaka będę samotna. Proszę, potrzebuję rozrywki. W innym razie pozostanie mi tylko basen hotelowy.

Manie prawie odebrało mowę: doskonale zdawał sobie sprawę, jakie zamieszanie powstałoby wśród śmietanki towarzyskiej Bagdadu, gdyby ktokolwiek zobaczył ją w tym czarnym kostiumie kąpielowym. Jemu podobał się ogromnie, ale to nie znaczy, że inni mogą ją w nim oglądać.

- Chcę poszukać jakiegoś fikuśnego naczynia na lód - szepnęła i Mana czym prędzej się wycofał, obiecując, że coś załatwi.

Mana zadzwonił nazajutrz z informacją, że jego siostra Nardia zgodziła się być jej przewodniczką i nauczycielką arabskiego,

ale oficjalne lekcje nie wchodzą w grę. Siostra wraz z ciotką zjawia się w hotelu w porze lunchu.

Przez następne dwie godziny Shoshana starannie się przygotowywała, wybierając najbardziej konserwatywny strój, jaki miała. Była pewna, że oprócz przewodnictwa główną rolą, jeśli nie siostry, to z pewnością ciotki, będzie pilnowanie jej, co stanowiło kolejny problem wymagający zastanowienia.

Dokładnie o pierwszej zadzwonił telefon i recepcjonista poinformował Shoshanę, że w hotelu czeka Nadia Mana. Przygotowana na najgorsze, wyszła i zjechała windą.

- Panna Temple? - rozległ się dziewczęcy głos, ledwie drzwi windy otworzyły się na parterze.

Głos należał do ślicznej dziewczyny, najwyżej dwudziestoletniej, czekającej wraz ze starszą matroną, będącą najwyraźniej zapowiedzianą ciotką. Droga paryska kreacja pozwalała przypuszczać, że Nadia była ukochanym i rozpieszczanym dzieckiem rodu. Starła się zachowywać po europejsku: na powitanie wyciągnęła dłoń zamiast giąć się w uklonach.

Lunch okazał się doskonały, a obie dziewczyny polubiły się niemal od pierwszego wejrzenia. Po posiłku wróciły do pokoju Shoshany, żeby dokonać inspekcji jej garderoby.

- Is'al powinien ci kupić całą masę ubrań - stwierdziła zdegustowana Nadia. - Te są prześliczne, ale to niczego nie zmienia.

- Chciał - wyjaśniła Shoshana - ale mu nie pozwoliłam.

- Dlaczego? - zdumiała się Nadia.

- Jak się domyślasz, bardzo kocham twego brata, czego mu naturalnie nie mogę powiedzieć. - Nadia ze zrozumieniem skinęła głową. - W moim kraju kobieta przyjmuje od mężczyzny kosztowne prezenty tylko wtedy, gdy jest jego żoną lub kochanką. Nie będę kochanką twojego brata.

Nadia ponownie skinęła głową.

- Ale tutaj jest inaczej. Tu mężczyzna musi pokazać, że jest bogaty i że mu na tobie zależy. Chodź, pójdziemy kupić ci wiele rzeczy, a Is'al za wszystkie zapłaci!

Wyszły ze śmiechem i z ciotką na holu.

Zanim dotarły do pierwszego sklepu, ciotka zaczęła chrapać, zostawiły ją więc w samochodzie. Na widok Nadii obie sprzedawczynie wygoniły resztę klientów i zamknęły sklep. Shoshana została błyskawicznie zarzucona lawiną sukien, bluzek i innych części garderoby, po czym zabrała się za przymierzanie. Po pewnym czasie stwierdziła, że jedna z sukien wybitnie jej się podoba, i chciała usłyszeć opinię Nadii, ale nie mogła jej znaleźć. Co dziwniejsze, obie sprzedawczynie nagle przestały znać angielski. Zaskoczona wracała do przymierzalni, gdy od strony położonego za przymierzalnią korytarzyka usłyszała cichy jęk. Ostrożnie, by nie narobić hałasu, poszła w kierunku, z którego dochodził. Korytarzyk prowadził do niewielkiego pokoiku. Przez uchylone drzwi Shoshana dostrzegła Nadię nieprzytomnie kochającą się na stojąco z jakimś gówniarzem.

„**K**rańcowo sfrustrowany” - było to jedyne zgodne z prawdą określenie stanu duchowego Matta. Chłopak uparł się bowiem udowodnić swojemu dowódcy, że nie zostanie najlepszym w US Air Force specjalistą od budownictwa. Najgorsze było to, że Locke uziemił go na czas czterdziestopięciodniowego zakazu opuszczania bazy i Matt po prostu nie miał nic do roboty. Po rozmowie z prawnikiem przyjął artykuł piętnasty; prawnik bowiem po zapoznaniu się ze sprawą stwierdził po prostu, że w czasie procesu wołałby reprezentować lotnictwo. Matt słusznie ocenił, że Locke nie żartuje.

Pierwszego dnia kary o siódmej trzydzieści zjawił się ogolony i pachnący w budynku dywizjonu i wziął udział w odprawie, co było najgłupszym z możliwych posunięć: słuchanie o tym, jak inni planują lot, gdy samemu nie można się ruszyć, było torturą, która niemal doprowadziła go do rozpacz. Następnie wypił w barku morze kawy, obserwując starty, co jeszcze pogorszyło jego samopoczucie.

Przez kolejne dwa dni powtarzał owe czynności, pograżając się w żalu i goryczy; czwartego dnia zatrzymał go na korytarzu Locke:

- I jak tam budownictwo, poruczniku?
- Nie mam pojęcia.

- W rzeczy samej - przyznał Locke, rozglądając się po baraku. - To będą długie czterdzieści dwa dni.

Matt miał ochotę go udusić.

Po południu Matt zameldował się w gabinecie dowódcy, zdeterminowany załatwić sprawę tak, by zdjęto mu zakaz latania.

- Cholera, *sir* - nie wytrzymał w pewnym momencie oficjalnej wymiany poglądów. - Wieść niesie, że jako porucznik rozrabiał pan nie gorzej niż ja. To dlaczego teraz tak mnie pan prześladowuje?

Locke niespodziewanie wskazał mu krzesło i odparł ze smutnym uśmiechem:

- Bo staczałem się po takiej samej równi pochyłej, na jakiej ty teraz jesteś. - Matt utworzył usta, by wykorzystać to na swoją obronę, ale pułkownik powstrzymał go gestem i wyjaśnił: - Uratowałem mnie najlepszy pilot, jaki kiedykolwiek latał na Phantomach, i to dzięki temu, co przeszedłem w trakcie przygotowywanego procesu. Wiedział, że nic mi nie grozi, bo przez drobną formalność musieli mnie uniewinnić, ale ja o tym nie wiedziałem. Poza tym byłem winny tego, co mi zarzucano. Tym pilotem był Muddy Waters.

W pokoju zapadła cisza: Waters był legendą US Air Force. Był tym, który dowodził Czterdziestym Piątym Taktycznym Skrzydłem Myśliwskim w czasie wojny w Zatoce, i zginął, by jednostka ta mogła się uratować. Dywizjon, którym dowodził teraz Locke, był częścią Czterdziestego Piątego Skrzydła.

- Waters nauczył mnie znaczenia pojęcia „dowodzenie” - dodał po chwili Locke - bez którego żaden pilot nie staje się dobrym pilotem. A podstawą jest poczucie odpowiedzialności, którego wtedy nie miałem, a którego ty nie masz teraz.

Znów zapadła cisza.

- *Sir* - zaczął po chwili Matt - czy mogę o coś spytać odnośnie Watersa? To prawda, że przed śmiercią przekazał panu swój kryptonim?

Locke milczał - od tamtego dnia minęło sporo czasu, ale wspomnienia nadal były bolesne.

- Tak - odezwał się wreszcie - tuż przed poddaniem bazy

zrobił ze mnie Wolfa Zero-Jeden... I zaszczyił odpowiedzialnością sprowadzenia Czterdziestego Piątego Skrzydła do domu. Co też uczyniłem.

- Wtedy było inaczej - mruknął Matt. - Teraz na świecie jest spokój. Nigdy nie będę walczył w prawdziwej wojnie...

- Dokładnie to samo powiedziałem kiedyś Watersowi.

Coś przeskoczyło: Locke wrócił z piekła zmieniony, a poszedł tam za Watersem. Matt przyznawał, że Locke jest najlepszym pilotem, jakiego miał okazję spotkać w życiu, a teraz przekonał się, że jest jeszcze prawdziwą rzadkością: urodzonym przywódcą.

- *Sir*, chciałbym być taki jak pan, ale co może porucznik?

- Najlepiej, jak umie, wykonywać rozkazy i troszczyć się o podwładnych.

- Przecież ja nie mam żadnych podwładnych - jęknął Matt.

- A Haney? Postaraj się go nie zabić; tak się składa, że go lubię.

- A mnie nie.

- Bo nie ma za co cię lubić. Pewnie, jesteś inteligentny i panienki uważają, że - po prezerwatywie - jesteś najgenialniejszą rzeczą pod słońcem, ale poza tym nie ma nic.

Stwierdzenie to zabolalo, ale jednocześnie zamiast załamać wkurzyło Matta.

- *Sir*, co do tego zagospodarowania własnymi siłami... nawet nie wiem, od czego zacząć.

- Od rozmowy z najlepszym sierżantem, jakiego znasz w tej jednostce - odparł Locke, wskazując mu głową drzwi.

Matt zasalutował i wyszedł.

Następnego ranka Matt udał się na poszukiwanie starszego» sierżanta Charlie'ego Fergusona, najwyższego rangą podoficera w jednostce, który jednocześnie czuł się prywatnie odpowiedzialny za problemy dywizjonu. Przy jego znajomości zasad działania lotnictwa, w ciągu kilku godzin do jednostki zaczęły napływać deski, farby, tapety i cała reszta niezbędna do wykończenia baraku dywizjonu. W charakterze pomocników Ferguson wykorzystał sześciu ukaranych dyscyplinarnie żołnierzy, siedzących dotąd beczynnie w więzieniu garnizonowym.

Matt uczył się równie wiele o pracach budowlanych, co o zasadach działania lotnictwa amerykańskiego, czyli o tym, jak omijać większość bzdurnych przepisów lub też unikać wypisywania góry kwitów, by dostać paczkę gwoździ. W zasadzie gdyby nie sufit kasyna, to wszystko poszłoby gładko i bez emocji.

Kasyno wraz z kuchnią i barem było gotowe i Ferguson zbierał się do montowania lamp, które miały oświetlać pomieszczenie światłem odbitym od sufitu, gdy Matt doszedł do słusznego skądinąd wniosku, że sufit baraku jest za wysoki i trzeba by go nieco obniżyć czyli podwiesić inny. Obaj z Fergusonem udali się więc na wyprawę w celu „odzyskania odpadów”. System pracy kontraktowej, gdyż tak wojsko zatrudniało firmy cywilne, owocował tonami śmieci i odpadów, toteż bez większego trudu wśród sterty rozmaitych gratów znaleźli to, czego potrzebowali. Gdy wracali ze wspornikami i płytami do baraku, zatrzymał ich szef zapasów bazy w stopniu pułkownika. Wyjaśnienia, do czego są im potrzebne owe oficjalnie przeznaczone na szmelc elementy, na nic się nie zdały, gdyż żaden nie miał odpowiedniego zaświadczenia. Musieli odnieść wszystko z powrotem pod czujnym okiem nerwowego pułkownika.

Rano Ferguson zdobył potrzebne dokumenty, a Matt zaniósł je do biura szefa zapasów do podpisu. Nie był jednak w stanie się z nim zobaczyć, gdyż ekipa robotników instalowała właśnie w jego gabinecie podwieszany sufit, wykorzystując do tego te same materiały, które w dniu poprzednim wykopali z Fergusonem ze sterty odpadów.

Matta zalała nagła krew.

W nocy porucznik, sierżant i jego pomocnicy złożyli wizytę w tymże gabinecie i „zagospodarowali surowce wtórne”. Do rana sufit wraz z oświetleniem był już zainstalowany w kasynie.

Przed ósmą rano w kasynie zjawił się rzeczony pułkownik, pełen podejrzeń dotyczących losu rzeczonego sufitu, i przez chwilę Matt był pewien, że faceta trafi apopleksja. Przed samym bowiem montażem ostatecznym spasowanego już sufitu dwaj pomocnicy Fergusona spuścili spodnie, a dwaj inni

pokryli im pośladki farbami w barwach dywizjonu: jednemu na czarno, drugiemu na złocisto. Owe stemple domowej produkcji zostały następnie przyłożone do płyt przygotowanego sufitu, według uznania i gustu artystycznego pozostałych członków ekipy, a całość zamontowano. Dzięki tej pomysłowej czynności sufit zdobiły fantazyjnie porozmieszczane odciski półdupków w barwach jednostki. Pułkownik nie dostał zawału, ale nie mogąc wydobyć z siebie głosu, wypadł na dwór niczym ukłuty ostrogą.

Kilka minut później do kasyna wszedł Locke i tłumiąc śmiech kazał Mattowi zameldować się u siebie. Po krótkiej a treściwej wymianie poglądów za zamkniętymi drzwiami obaj uważali sprawę za załatwioną, ale nie wzięli poprawki na złośliwość zawodowych urzędasów: w ciągu kilku godzin Matt stał się obiektem dochodzenia ze strony Office of Special Investigations jako oskarżony o kradzież własności rządowej. Dopiero następnego dnia Ferguson ukręcił temu łeb, przedstawiając komisji rachunek od cywilnego dostawcy na sporne elementy budowlane. Dzięki temu Matt był czysty, choć zyskał złą sławę wśród wszystkich pułkowników skrzydła, kasyno dywizjonu zaś miało najoryginalniejszy, nie licząc mesy podoficerskiej, wystrój wnętrza w całej bazie.

Nadię Manę interesowały wyłącznie stroje i romanse. Shoshanę zaskoczyła wieść o zbliżających się osiemnastych urodzinach dziewczyny. Uzmysłowała sobie, że ma do czynienia z kapryśną i rozbuchaną nastolatką, w pewnych sprawach infantylną, w innych zaś - aż zanadto wprowadzoną w życie. Wychodząc spotykały się przeważnie z którąś lub ze wszystkimi trzema przyjaciółkami Nadii. Każda miała obstawę starej ciotki i każda kombinowała na potęgę, jak by tu przechytryć ciotkę i spotkać się z chłopakiem.

Dopiero po kilku dniach Shoshana zrozumiała, że ta dziecinna konspiracja udaje im się wyłącznie dlatego, że ciotki w myśl jakiejś niepisanej umowy, pozwalają na to. Jednakże jej ta umowa nie obejmowała i ciotka Nadii trzymała się Shoshany niczym pijawka.

Dziewczynę zaczynała ogarniać panika, gdyż uniemożliwiało

to nawiązanie kontaktu z resztą zespołu. Na szczęście klucza do rozwiązania tej sytuacji dostarczył jej Mana w trakcie kolejnej wizyty. Oznajmił jej mianowicie, że nie będzie spotkania z rodziną.

- Nie zostanę twoją kochanką! - wrzasnęła, wyskakując z łóżka i zabierając się natychmiast za pakowanie.

Mana próbował ją powstrzymać i ku swemu szczeremu zaskoczeniu odkryła w trakcie szamotaniny, że jest od niego silniejsza. Jak wielu dobrze urodzonych Arabów, Mana nigdy nie uprawiał żadnego sportu, nie mówiąc już o paraniu się pracą fizyczną, więc jego mięśnie były równie miękkie jak reszta ciała.

Okazało się także, że ból może skutecznie zastąpić lód - Mana wrzeszczał o litość i prosił o jeszcze. Zanim wyszedł, ustalili warunki dalszej koegzystencji; między innymi wyraził zgodę na lekcje arabskiego, pod warunkiem że pobierane będą w towarzystwie siostry i ciotki.

W czasie lekcji w szkole języków, prowadzonej przez drobną i szczupłą kobietę w średnim wieku, Nadia nudziła się śmiertelnie, a ciotka chrapała, aż się ściany trzęsły. Rozwiązanie problemu podsunęła Shoshana proponując, by dziewczyna na czas lekcji odwiedzała którąś z przyjaciółek - przecież ciotka doprowadzi Shoshanę gdzie trzeba, jeśli wizyta by się przedłużyła i Nadia nie wróci przed końcem zajęć.

Okazało się to doskonałym wyjściem: Nadia miała okazję w spokoju spotykać się z chłopakiem, Shoshana w spokoju uczyła się arabskiego, a ciotka spała spokojnie w poczekalni. Przed końcem lekcji zjawiała się Nadia - z odświeżonym makijażem i starannie uczesanymi włosami - i wszyscy byli zadowoleni.

Pewnego dnia nauczycielka zachorowała i zjawił się zastępca: Gad Habish. Drobną i niepozorną nauczycielką była bowiem szefem stacji Mossadu w Bagdadzie.

Nic w wyrazie twarzy czy zachowaniu Frasera nie zdradzało szewskiej pasji, jaka targała nim, gdy sprawdził komputerowo wydruk wszystkich telefonów wykonanych lub odebranych

przez prezydenta w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Na te pierwsze nie miał żadnego wpływu, ale te drugie kontrolował starannie, a tymczasem na wydruku stało jak byk, że ktoś dodzwonił się do prezydenta bez jego zgody. Stwierdził, że dyżur miała wtedy Melissa, i złość mu przeszła: wreszcie miał powód, żeby się jej pozbyć!

- Melisso - oznajmił spokojnie, naciskając przycisk intercomu - mogłabyś pozwolić na chwilę?

Gdy weszła, nadal był opanowany:

- Zauważyłem, że ktoś dodzwonił się do prezydenta bez uzyskania mojej zgody. Wiesz coś o tym?

Melissa spojrzała na zapis i zadumała się marszcząc brwi.

- Ach, tak: to osobisty telefon od Matta. Nie było pana, więc sama go przełączyłam.

Teraz z kolei zamyślił się Fraser: Melissa postąpiła właściwie, sam zresztą też połączyłby Matta bez problemów - gdyby Zack dowiedział się, że kiedykolwiek próbował wstrzymać jego prywatne rozmowy... O tej możliwości wołał nawet nie myśleć. Zack niemal nigdy nie okazywał wściekłości, ale jej skutki zawsze były boleśnie odczuwalne dla tego, kto ją spowodował.

- Jasne, dobrze zrobiłaś. Tylko następnym razem zostaw mi notatkę, że coś takiego miało miejsce.

- Przecież... przecież to zrobiłam. Zaraz sprawdzę. - Wybiegła z pokoju i po kilkunastu minutach wróciła z notatką podpisaną przez Fräsera.

Zgodnie z wolą Zacka Pontowskiego administracja za jego rządów zachowywała wszystkie dokumenty i zaświadczenia. Co było nowego to to, że żądał on, by panował w nich porządek, i jakimś cudem udawało mu się zmusić współpracowników do zaprowadzenia i utrzymywania go. Melissa naturalnie nie uznała za stosowne uświadomić Fraserowi, że notkę wcisnęła w stertę mniej ważnych papierów, które ten odruchowo podpisywał i najczęściej przekazywał jej do załatwienia, wcale ich nie czytając.

- Wiesz dobrze, że skuteczne działanie prezydenckiej administracji zależy od przepływu informacji. Nie mogę pozwolić, by głowę państwa zasypywała lawina nieistotnych drobiazgów.
- Mówił sensownie, ale Melissa i tak wiedziała swoje.

Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi: nadal byli w sytuacji patowej - Fraser chciał się jej pozbyć i przejąć całkowitą kontrolę nad dostępem informacji do prezydenta; Melissa miała inną niż on hierarchię ważności, a w rzadkich przyływach szczerości przyznawała, że kocha Pontowskiego i chce go chronić.

Thomas Patrick Fraser pożądał władzy tak jak inni pieniądze czy sławy. Pieniądze miał dzięki udanym spekulacjom i grom korporacyjnym, ale zawsze chciał mieć władzę, by móc kierować poczynaniami innych. A to oznaczało politykę. Był realistą i zdawał sobie sprawę, że chociaż miał pieniądze i kontakty wystarczające, by zostać senatorem, to celu ostatecznego, czyli prezydentury, nie osiągnie z powodu braku pozycji i charyzmy. Dlatego też wybrał inną drogę: został twórcą prezydenta i jego głównym doradcą. Wybrał sobie Zacka Pontowskiego, tylko że teraz naszyły go wątpliwości, czy aby na pewno był to właściwy wybór. Normalnie bowiem szef kancelarii był zarazem głównym doradcą prezydenta. Jednak w przypadku Zacka ktoś taki nie istniał - Zack słuchał wielu osób, a postępował po swojemu. Praktycznie rolę podobną doradcy spełniała jego żona, ale to, że słuchał jej opinii, nie oznaczało, że postępował zgodnie z nimi. Wszystko to psuło szyki Fraserowi, który był przekonany, że skoro zrobił Pontowskiego prezydentem, to będzie nim sterował.

Rozmyślenia przerwał mu brzęczyk telefonu.

- Tom, chcę się widzieć z delegacją Kongresu, jak tylko się zjawi, i chcę, żeby wiedzieli, że to przyjacielskie spotkanie - zarządził prezydent.

Polecenia dotyczyły mającej się zjawić za kwadrans grupy trzech kongresmanów i dwóch senatorów zwanej popularnie izraelskim lobby.

- Mam się też zjawić przy wejściu? - spytał Fraser.

- Nie ma potrzeby, ale chcę, żebyś wziął udział w spotkaniu; i przynieś kapowniki.

„Kapownikami” potocznie zwano uaktualniane na bieżąco kołonotatniki zawierające tematycznie posegregowane informacje, niezbędne przy rozmowach czy podejmowaniu decyzji. Na to spotkanie potrzebne były dwa: Izrael i traktat egipsko-syryjski.

Fraser był już na miejscu, gdy Pontowski i delegaci zjawili się w Gabinetcie Owalnym. Przez całe spotkanie nie zabierał głosu, tylko notował i myślał, badając konsekwencje tego, co słyszał. Delegaci byli zaniepokojeni najnowszymi oznakami kooperacji egipsko-syryjskiej i uważali, że traktat stanowi zagrożenie dla Izraela, i to bynajmniej nie przyszłościowe. Zack zgodził się z nimi i odpalił bombę:

- Mamy raporty wywiadu mówiące, że traktat zawiera tajny protokół o połączeniu systemów łączności i dowództw Egiptu i Syrii.

O powiązaniu z Irakiem wolał nie wspominać, bo delegacja mogłaby wpaść w panikę. I tak była wstrząśnięta, że potwierdziły się ich najgorsze obawy. Naturalnie natychmiast padło pytanie, co też zamierza z tym zrobić. Pontowski odparł, że Departament Stanu jest w kontakcie z rządem Izraela i że premier Izraela niezbyt się martwi rozwojem wydarzeń.

- Jest jeszcze jeden problem: Irak - przemówił najmłodszy z delegatów. - Dowiedzieliśmy się, że zakupił on od niemieckiej firmy WisserChemFabrik urządzenia mogące służyć do wytwarzania broni masowego rażenia.

Fraser czym prędzej podał prezydentowi otwarty na temacie „siły zbrojne” kapownik, który przezornie wziął ze sobą, i poinformował:

- Urządzenia te są przeznaczone dla zakładów petrochemicznych w pobliżu Kirkuku i nie naruszają embarga nałożonego na Irak odnośnie produkcji broni atomowej czy innej broni masowej zagłady.

Zack sprawdził, czy w pobliżu nie ma informacji dotyczących działalności CIA w Iraku, i podał pytającemu kapownik ze słowami:

- Starannie pilnujemy, aby Irak nie był w stanie dysponować bronią atomową. Rząd Iraku otrzymuje zresztą regularnie ostrzeżenia w tej sprawie.

- Panie prezydencie, gazy bojowe to „bomba atomowa biedaka”... - nie poddawał się kongresman.

- W której użycie nie wierzymy ani my, ani Izrael - dodał Pontowski.

- Można spytać dlaczego?

- Dlatego, że oznaczałoby to zaproszenie Izraela do użycia broni chemicznych, albo nawet broni atomowej. - Zack przeczekał protesty sprowadzające się do tego, że Izrael nigdy nie dysponował bronią tych typów, a gdyby nawet, to na pewno by ich nie użył. - Jeśli chcecie, panowie, być na bieżąco w tych sprawach, to przyśle do was generała Coxa z DIA.

Fraser ledwo ugryzł się w język, by nie polecić kogoś z CIA, ale to oznaczałoby przekroczenie kompetencji i zdenerwowanie Pontowskiego. Zastanowiło go natomiast, dlaczego padło nazwisko Coxa...

- Co myślisz, Tom? - spytał prezydent, gdy delegaci wyszli i zmusił go tym samym do zmiany tematu przemyśleń; Zack tak rzadko o coś pytał, że nierozsądnym było mówić nieprawdę.

- Nie sądzę, żeby Irak tym razem był istotny, ale musimy uważnie obserwować rozwój wydarzeń i zacząć rozważać rozmaite scenariusze. - Krótko mówiąc, sugerował, by powołać sztab kryzysowy, który zająłby się opracowaniem możliwych reakcji USA na różne wersje wydarzeń. - I powinniśmy wysłuchać drugiej strony.

- A kogo konkretnie?

- Przedstawiciele korporacji naftowych. Chcą się spotkać już od tygodnia, ale ich zwodziłem. Rozmowa z nimi może być dobrym sposobem pokazania, że zależy nam na utrzymaniu obecnego *status quo* na Bliskim Wschodzie.

- Ropa. Prędzej czy później zawsze się na tym kończy - mruknął Zack, nie oczekując zresztą żadnej odpowiedzi na tę uwagę.

Zdawał sobie sprawę, że USA importują ponad połowę potrzebnej ropy, i to w większości z Bliskiego Wschodu. Przemysł naftowy po prostu nie życzył sobie żadnych przerw w dostawach w stylu embarga z siedemdziesiątego czwartego roku.

- Dobra, umów ich - polecił.

Fraser poczuł miłe ciepło tryumfu: nadal stawał na swoim.

- Przypuszczam - uśmiechnął się nagle Zack - że pani B.J. Allison będzie w tej grupie.

- Przewodniczy jej, prawdę mówiąc.

- Wobec tego przypomnij jej, żeby się nie spóźniła.

6

Po miesiącu Shoshana zaczęła się uważać za stały dodatek do hotelu Bagdad. Ułożyła sobie wygodnie dzień i choć nikt nie nazwał jej kochanką Many, nie nazwano jej także jego narzeczoną. Stopniowo udało jej się skłonić Manę do ustępstw, dzięki czemu zyskała więcej swobody, i to bez przewodnika, choć zawsze woził ją któryś z szoferów rodu. Poznała też starszego brata Is'ala, generała brygady odbudowującego irackie lotnictwo, i miała szansę poznać w przyszłości ojca. Nuda była nieodłączną towarzyszką pobytu w hotelu, toteż Shoshana zadzwoniła do recepcji i poleciła zawiadomić szofera, że wychodzi: zbliżała się pora codziennej lekcji.

Gad został regularnym bywalcem kawiarenki przy ulicy Rashid, gdzie kelner bez pytania przynosił mu kawę, a ponieważ gość dawał sute napiwki i upierał się, by mówić po arabsku, został zaakceptowany bez większych problemów. Tego ranka miał tu umówione spotkanie z Artystą.

- Fabryka koło Kirkuku jest gotowa - poinformował go Artysta. - Technik z WisserChemFabrik twierdzi, że za tydzień czy dwa będą testowali nowy środek owadobójczy.

Habish dokończył wykład o pogodzie, pożegnał się i wrócił do samochodu. Pojechał do domu, który załatwił Avidar, zmienił dokumenty i już jako nauczyciel arabskiego dotarł odrapany autobusem do szkoły. W Iraku nauczyciele nie rozbijają się samochodami. Gdy Shoshana przyszła, czekał już na nią.

- Kiedy go ostatni raz widziałaś? - spytał.

- W zeszłym tygodniu. Spędza wiele czasu w Kirkuku, gdzie kończą te zakłady chemiczne. Powinien przyjechać dziś lub jutro.

- Nadal opowiada ci o pracy?
- Teraz tylko o tym. Strasznie się stara wyrzucić na mnie wrażenie.
- Dlaczego? - zdziwił się Gad.
Zawahała się, nie chcąc opowiadać mu o szczegółach, ale wyznała w końcu, że w łóżku to ona jest stroną dominującą. Habish wypytał ją dogłębniej i zamyślił się.
- Jeśli zaczniesz ci znowu opowiadać o tych zakładach, okaż zainteresowanie - zdecydował wreszcie.
- Dlaczego? Taka zmiana może mu się wydać podejrzana.
- Dlatego, że zakład jest gotowy i za tydzień będą testować nowy gaz. Dowiedz się tyle, ile zdołasz.
- Jeśli będę naciskać, stanie się nieufny.
- Wątpię, żeby to było konieczne. Jeśli tylko pozwolisz mu się wygadać, to wystarczy.
- A co potem? - spytała.
- Pojedziesz z nim do Kirkuku następnym razem i dowiesz się, ile się da - polecił i wyszedł.
Na zewnątrz zgubił się w tłumie i sprawdzając, czy nikt go nie śledzi, dotarł do domu.

Shoshana wróciła prosto do hotelu i wzięła kąpiel. Czuli się skalana sposobem, w jaki wykorzystywała Manę, i niechętnie przyznała się wreszcie przed sobą, że go lubi, i że nie chciałyby go skrzywdzić. Wzbudziła w sobie, niespodziewanie dla siebie samej zresztą, silne uczucia opiekuńcze wobec niego i bała się tego, co mógł z nim zrobić Habish.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Wskoczyła z wanny i czym prędzej go odebrała - to był Mana. Właśnie wrócił z Kirkuku; był na lotnisku i chciał się z nią zobaczyć natychmiast. Kazała mu się pośpieszyć, powiedziała, że za nim tęskniła, i odłożyła słuchawkę.

A potem się rozpląkała.

Matt pławił się w komplementach lotników (zwłaszcza za wystrój kasyna), a Ferguson, znając takie sytuacje, pozwolił mu zebrać całą sławę wśród oficerów. W kilka dni po zakończeniu remontu Matt został wpisany na lot w symulatorze, by odświeżyć

sobie pamięć i odruchy. Przyjął to jako zapowiedź szybkiego odwieszenia i zakończenia kłopotów.

Z rzadko spotykaną więc ochotą zabrał się za podręczniki, instrukcje i wydruki, przypominając sobie parametry i kolejność czynności. Wbrew bowiem rozpowszechnionej wśród lotników opinii, pilotowanie odrzutowego myśliwca (innego typu maszyny zresztą też) to nie wskoczenie z marszu do kabiny, start i zabawa w powietrzu, którą każdy raz wyszkolony pilot może wykonać obudzony po latach w środku nocy. Faktem jest, że umiejętności latania, podobnie jak jazdy na rowerze, nigdy się nie zapomina, ale by być dobrym pilotem, trzeba stale odświeżać pamięć, planować loty na ziemi i zapoznawać się z nowinkami technicznymi, tak swoimi, jak i nieprzyjaciela. Pilot myśliwski bowiem albo stale się uczy, albo ginie.

Po symulatorze poleciał na lot kwalifikacyjny z Locke'em w tylnej kabine, po czym dowódca uznał go za zdolnego do latania. Połączony w parę z Haneyem, Matt w opinii Locke'a rokował nadzieję na zostanie jednym z lepszych myśliwców, jakich ten widział. Poza tym Locke zdecydował, że Matt zasłużył na awans.

Po nocnym locie Matt spał snem sprawiedliwego, gdy na bazę spadło tornado w postaci zespołu inspektorów z Generalnego Inspektoratu Lotnictwa, dokonujących niespodziewanej kontroli. ORI była w czasach pokoju krytycznym sprawdzianem dla jednostki: albo wychodziło się z tarczą, albo nieprzyjemności ciągnęły się latami. ORI trwała cztery dni, w czasie których inspektorzy wymyślali, co tylko mogli, sprawdzając przygotowanie jednostki do działań na wypadek wojny: od lotów na rozmaite zadania poczynawszy, na akcji ratunkowej w wypadku zbombardowania bazy skończywszy.

Matt dowiedział się o zamieszaniu słysząc łomot do drzwi i głos polecający mu piorunem zjawić się w jednostce, bo w bazie grasuje lotna. Pognał więc, podobnie jak pozostali, nie goląc się i nie myjąc, gdyż zaprzeczałoby to „poczuci pośpiechu”, jak to ładnie nazwano. Dla inspektorów świeżo ogolony pilot,

zjawiający się na odprawie, nie wykazywał właściwego „poczucia pośpiechu”. Zespół, który nawiedził Stonewood, był żywcem wyjęty z *Paragrafu 22* i objawiał podobnie kretyńskie poczucie humoru: skrzydło przeszło próbę na „poczucie pośpiechu”, ale dostało punkty karne za „brak wojskowego wyglądu”.

W mniej niż godzinę od rozpoczęcia inspekcji dywizjon był w pełni gotów do wykonania pierwszego zadania w pozorowanej wojnie. Załogi cierpliwie czekały w sali odpraw, a obsługa podwieszała ostre uzbrojenie pod samoloty. Następnie załogi miały dobiec do maszyn i zrobić wszystko tak, jakby startowały, bez rzeczywistego startu naturalnie: żaden samolot nie miał prawa wystartować z ostrą amunicją dla widzimisiej jakiegos inspektora. Ponieważ Matt i Haney tego dnia nie mieli przydzielonego samolotu, oglądali to pandemonium w baraku jednostki, a nie w bunkrze, gdzie przygotowywano maszyny. Dlatego też byli jednymi z pierwszych, do których dotarła pogłoska, że skrzydło już zawałilo inspekcje.

Powoli fakty zaczęły potwierdzać pogłoski - jeden z inspektorów zauważył bład w dekodowaniu pierwszej wiadomości alarmowej. Dyżurny postawił skrzydło w stan alarmu o jeden stopień wyższy, niż glosił rozkaz. Dowódca skrzydła rozsądnie argumentował, że oznacza to jedynie szybszą gotowość do wykonania zadania, gdyby faktycznie była wojna, inspektorzy zaś uparli się, że pomyłka ta decyduje o nie zaliczeniu kontroli. ORI została zawieszona, a jako arbitra w sporze ściągnięto generała ze sztabu.

Charlie Ferguson wyjaśnił Mattowi sytuację pogładowo:

- Pomyłka pomyłką i legalnie są kryci, ale takie duperele nigdy nie decydują o wyniku kontroli. Przysłali nam gówniany zespół, który wszystkiego się czepia.

Potem Matt zapytał o to dowódcę, choć w nieco innej formie:

- Co to wszystko ma wspólne z gotowością do walki, *sir*?

- Nic, kapitanie - odparł Locke, wręczając mu awans. - Absolutnie nic.

I wyszedł.

Kwatera Główna US Air Force w Europie przysłała do

Stonewood generała brygady Donalda Heatha zwanego „Bull”, by zdecydował, czy Czterdzieste Piąte Skrzydło w rzeczy samej zawaliło ORI. General Heath dostał piany na ustach, dowiedziawszy się, na jakiej podstawie zespół inspekcyjny oparł swoją decyzję, a następnie udowodnił, że „Bykiem” zwano go nie bez podstaw. Poinformował mianowicie pułkownika dowodzącego zespołem w tyleż zwięzły co dosadny sposób, że ma on głowę tak głęboko w dupie, iż potrzebuje pleksiglasowego okienka w brzuchu, aby widział, gdzie lezie. Zanim Heath opuścił bazę (co nastąpiło po około pięciu minutach), butelka środka do czyszczenia pleksi, popularnie zwanego „wielorybią spermą”, cudownie zmaterializowała się w pokoju zajęтым na czas inspekcji przez zespół. Starszy sierżant Charlie Ferguson będący w okolicy miał ze trzy legalne powody, by tam przebywać i był urażony, że ktoś śmie go o cokolwiek podejrzewać. Morale skrzydła sięgnęło niebios, a inspekcja ruszyła z kopyta, tylko coś nie szła, albowiem gdziekolwiek zjawiał się któryś z inspektorów, musiał się napatoczyć na pojemnik „wielorybiej spermy”.

Ostatniego dnia pogoda się zepsuła i trzeba było odwołać przewidziane na ten termin loty na niskim pułapie i ćwiczenia na strzelnicy. Inspektorzy, pod ciągłym wpływem środka czyszczącego, nie pragnęli niczego więcej, jak tylko oblać skrzydło i wynieść się z bazy. Zarządzili więc serię lotów na dużej wysokości, licząc na to, że obsługa albo kontrola coś sknocą. Zawiedli się. W końcu ostatnie zadanie zlecono dywizjonowi Matta - mieli wykonać lot dwoma samolotami na pozorowaną walkę powietrzną o podstawowym stopniu trudności. Locke, jak to zobaczył, zwątpił we własne zmysły i skontaktował się z zastępcą operacyjnym skrzydła.

- Szefie, naprawdę w pierwszej maszynie ma lecieć ta ofiara, pułkownik Roger Raider, zwany „Ramjet”?

- Tenże dupek, osobiście - potwierdził zastępca operacyjny.

- Za co mnie to spotyka?! Facet nie dość że dupa, to jeszcze tchórz.

- Niezapowiedziany lot sprawdzający. Inspektorzy nadal chcą nas udupić i dlatego ja chcę, żebyś ty poleciał i poprowadził

walkę. Na przeciwnika weź najlepszego, jakiego masz, załatw sprawę według regulaminu i będziemy to mieli z głowy.

Locke zastanawiał się, kogo by wyznaczyć, a w baraku zjawiał się Ramjet. Zadanie było proste, ale właśnie przy prostych czynnościach najłatwiej popełnić błąd. Po namyśle Locke polecił dyżurnemu ściągnąć do sali odpraw Matta i Haneya.

Odprawa była majstersztykiem standaryzacji i począwszy od zgrania czasowego przebiegała absolutnie zgodnie z listą pozycji przewidzianych regulaminem. Matt i Haney spoglądali na siebie zszokowani, widząc ilość notatek sporządzanych na karcie lotu przez Ramjeta, który zapisywał dane zapamiętywane zwykle automatycznie. Narzędziem podstawowym każdego lotnika jest jego umysł, a Ramjet najwyraźniej takowego nie posiadał.

Lot do strefy, w której miała się odbyć walka, był nudniejszy, niż można sobie wyobrazić: Haney nie miał nic do roboty, a Matt wykręcił wymagane przez komisję manewry podstawowe niemal z zamkniętymi oczyma. Pozostało im ostatnie zadanie - dać się zestrzelić dowódcy.

- Tym razem jesteśmy atakowanymi - przypomniał koledze Haney. - Stary atakuje zaczynając z boku, zrobi przewrót, zjedzie w dół i siądzie nam na ogon. Jak go znam, to przegoni nas ze dwa razy po niebie, żeby nie wyglądało za łatwo.

Sądząc z tonu, *wizzo* wcale nie odpowiadała rola celu, obojętne, ruchomego czy nie.

- Zanim mu się uda, może byś wykręcił parę manewrów, jak będzie się ustawiał, powiedzmy zmusił go do nożyc albo coś w tym stylu. To powinno zwrócić uwagę Ramjeta.

- Cholera wie, może lepiej rozegrać to prosto i pozwolić się sprać.

- „Nożyce” są podstawowym manewrem walki myśliwskiej. Locke wyraźnie to powtórzył na odprawie. Powiedział też, żeby wykorzystać okazję, jeśli tylko taka się nadarzy.

- No to ją wykorzystamy - ucieszył się Matt.

Pułkownik Raider, zamierzam atakować z boku i z góry, ale przy podchodzeniu na pozycję chcę zrobić błąd i dać atakowanemu okazję do zwrotu i zmuszenia nas do nożyc. - Locke

starał się uspokoić pasażera, którego ciężki oddech wyraźnie słyszał w intercomie. - Nie wiem, czy z tego skorzysta, bo błąd będzie niewielki, ale proszę nie być zaskoczonym, gdy zamiast ogona F-15 zobaczy pan jego dziób.

Zajęli uzgodnione na odprawie pozycje i Locke ruszył do ataku. Miał jednak zbyt dużą szybkość, był więc zmuszony ją wytracić, co zrobił nabierając wysokości; Matt natychmiast z tego skorzystał, kładąc maszynę w zwrot i również się wznosząc. Obie maszyny kręcąc się po niebie leciały w górę, próbując wejść jedna drugiej na ogon.

- Cholera! - mruknął z podziwem Locke. - Dobry jest!

Z intercomu dochodził przyspieszony oddech Ramjeta, coraz szybszy od chwili, w której prędkość spadła poniżej dwustu węzłów.

- Teraz proszę uważać: wejdziemy z nim do budki telefonicznej.

Znaleźli się w odległości tysiąca stóp od maszyny Matta, ale ten przewidział manewr i z doskonałym wyczuciem czasu skontrolował go, zyskując nawet lekką przewagę nad dowódcą.

- Za blisko! - wrzasnął Ramjet.

- Tysiąc stóp - starał się go uspokoić Locke. - Regulamin głosi, że można zejść do pięciuset. Pontowski sobie poradzi.

Locke zwolnił do stu sześćdziesięciu węzłów, zacieśniając nożyce i wznosząc nieco nos maszyny, by zwiększyć kąt ataku.

- Pieprzyć budkę, robimy monetę - mruknął przez zaciśnięte zęby i zbliżył się na sześćset stóp.

Ramjet stracił z oczu samolot Matta i zaczął się pocić: tylny fotel F-15E definitywnie nie był właściwym dla niego miejscem, a walka kołowa - właściwym przeżyciem.

Locke był zadowolony z reakcji Matta i zdecydował się zakończyć walkę. Wyrównał lot i spokojnie rzucił w mikrofon:

- Przerzywamy!

Uśmiechał się przy tym z zadowoleniem.

Ale w tym samym momencie Ramjet spanikował: chcąc koniecznie zobaczyć, gdzie jest drugi samolot, napał na drążek, sprzężony z drążkiem pilota; było to tak niespodziewane, że pilot nawet nie zdążył wzmocnić chwytu. Spokojne oświadczenie Locke'a zagłuszył przeraźliwy wrzask:

- Przerywamy! Przerywamy!

Efektem jego paniki było zderzenie obu maszyn.

Każda ważyła ponad dwadzieścia ton, a zderzyły się z siłą, którą łatwo sobie wyobrazić: wskaźniki przeciążeń zamaryły w maksymalnym położeniu, niezdolne do pomiaru pełnych obciążeń. Końcówka lewego skrzydła samolotu Matta trafiła w kabinę drugiego F-15, roznosząc ją w drzazgi i zabijając obu oficerów na miejscu. Większość lewego płata i lewy statecznik odłamały się przy zetknięciu z płatowcem drugiego samolotu. Przez wloty powietrza do turbin dostała się cała masa szczątków, zmieniając łopatki turbin w odłamki szrapnela, od których zapaliło się paliwo, nadal pompowane do silników. Tył F-15 Pontowskiego eksplodował.

F-15 Eagle umierał, ale walczył do końca: inżynierowie i mechanicy McDonnell Aircraft Company dobrze wykonali swoją robotę - tytanowy kadłub i termoutwardzalne nity nadal trzymały, a Matt i Haney byli żywi. Haney zareagował pierwszy: pociągnął obie dźwignie po bokach fotela, uruchamiając tym samym podwójne katapultowanie. Wpierw odpadła odstrzelana kabina, jako drugi odłączył się fotel *wizzo*, a po sekundzie płonący wrak opuścił fotel Matta. Fotel Haneya trafił pechowo - wprost na spadający ku ziemi fragment skrzydła. Wyglądało to niewinnie, jakby ów fragment zaledwie musnął szczyt oparcia, ale ponownie dały o sobie znać siły, z jakimi zderzają się przy katastrofie różne rzeczy: fotel stracił stabilizację i spadochron i runął jak kamień w dół.

Haney odłączył się od niego ręcznie i pociągnął rączkę spadochronu, który się jednak nie otworzył. Haney do końca trwającego trzy minuty lotu w dół nie stracił przytomności.

Fraser powitał obu oficerów lotnictwa wprowadzonych przez Melisę, nie zdradzając ani śladu wściekłości, jaka nim targła.

- Generale Cox, miło pana znowu widzieć. - Uśmiechnął się wstając i z trudem tłumiąc chęć, by kazać swemu gościowi iść do diabła i nigdy nie ważyć się nawet zbliżyć do Białego Domu.

- Chciałbym panu przedstawić podpułkownika Williama

Carrolla, naszego najlepszego eksperta od spraw Bliskiego Wschodu.

- A więc to pańskie analizy zwróciły uwagę prezydenta.

- Fraser uściskał Carrollowi dłoń i wskazał obu gościom fotele.

- Generale Cox, czy pan już kiedyś referował prezydentowi sytuację?

Nie mogąc ocenzurować informacji, Fraser chciał wiedzieć, co DIA zamierza powiedzieć prezydentowi, by móc jak najszybciej zneutralizować zagrożenie.

- Nie, dlatego wziąłem Billa: żeby prezydent otrzymał informację z pierwszej ręki, że tak powiem.

- To dość nietypowe, ale admirał Scovili uprzedził prezydenta, że używacie w DIA nietypowych metod. - Fraser ponownie poprzysiął sobie w duchu, że rozliczy się z admirałem, który nigdy nie uważał za stosowne uprzedzić go o tym, co chce powiedzieć prezydentowi. - Co konkretnie przedstawić dziś prezydentowi?

- W skrócie rzecz ujmując, szczegółową i aktualną analizę, której pierwotną wersję widział pan w PBD. Jeśli nie będzie pytań, powinno to zająć kwadrans.

Było to mało prawdopodobne, gdyż Pontowski zawsze miał pytania, podobnie jak denerwujący Frasera zwyczaj osobistego wysłuchiwanie różnych punktów widzenia w każdej poważniejszej sprawie. Fraser czuł, jak kontrola wymyka mu się z rąk...

Od dalszej dyskusji - a raczej wypytywanki - uratowało obu oficerów wejście doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, Michaela Cagliari.

- Panowie, czas na was - uśmiechnął się szeroko Fraser - tylko postarajcie się o zwięzłość. Prezydent ma dziś raczej pracowity dzień.

Wszyscy czterej pomaszrowali do Gabinetu Ovalnego, gdzie Fraser usiadł pod ścianą, próbując zignorować wrzody, które dość natarczywie dawały o sobie znać.

Cox przedstawił Carrolla i zamilkł. Wszyscy poza Billem milczeli przez najbliższe piętnaście minut. To zaś, co mówił Carroll, sprowadzało się do udowodnienia tezy, że Irak i Syria kończą długoletnią waśń, co w połączeniu z traktatem egipsko-

syryjskim daje solidny front arabski, przygotowujący się do poważnej wojny. Taki też był wniosek końcowy analizy.

- Wojny przeciw komu? - spytał Cagliari.

- Izraelowi - odparł krótko Carroll.

- Nie bardzo wierzę w tę nagłą miłość Syrii i Iraku po tylu latach walki. - Cagliari był sceptycznie nastawiony do wniosków DIA.

- Irak zawsze stał na stanowisku konfrontacji zbrojnej i uważał, że jest w stanie stałej wojny z Izraelem - wyjaśnił Carroll - ale dzieląca ich odległość i błyskawiczny przebieg walk uniemożliwił mu jak dotąd wzięcie w nich udziału. Zanim zdolali dotrzeć do linii frontu, wojna się skończyła. A głównym punktem spornym z Syrią było poparcie tej ostatniej udzielone Izraelowi w czasie wojny z Irakiem oraz aktywny udział w wyzwoleniu Kuwejtu w dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Teraz Syria przewartościowała swoją postawę i próbuje dojść z Irakiem do porozumienia.

- Więc obecnie oba te kraje współpracują pod względem militarnym? - spytał Pontowski.

- I to ściśle. Poza tym Irak pragnie wyrównać rachunki z Izraelem.

- Jakie znów rachunki? - nie wytrzymał Fraser.

- Tom, Izrael od lat wspomaga Kurdów, którzy od wieków walczą z rządem irackim. Jednym z podstawowych kanonów wiary wszystkich przywódców Iraku jest chęć ukarania za to Izraela - wyjaśnił Zack z uśmiechem. - Ci, którzy nawoływali do pokojowych rozwiązań tego problemu, zniknęli w kazamatkach Al Mukhabaret.

- Czego? - Fraser nigdy dotąd nie słyszał tej nazwy.

- Tajnej policji i kontrwywiadu irackiego - wyjaśnił Pontowski, już bez uśmiechu. - Mike, zmontuj zespół, który by nadzorował rozwój wydarzeń i opracował konkretne propozycje pomocy dla Izraela.

Fraser miał na końcu języka stwierdzenie, że w gruncie rzeczy nie dysponują dowodami potwierdzającymi całe to rozumowanie i że powinni się raczej skupić na tym, co jest najważniejsze dla USA: na stałym dopływie ropy z Bliskiego Wschodu. Zdołał się jednak pohamować - taka wypowiedź oznaczałaby

otwartą wojnę z Pontowskim, a na tym mógł tylko stracić.

- Poza tym musimy mieć plan, jak poradzić sobie z nowym embargiem naftowym, gdyby do tego doszło - dodał prezydent.
- I proszę uprzedzić towarzystwa naftowe, że rząd nie będzie tolerował wykorzystywania embarga do dodatkowych zarobków, a takie nadużycia miały miejsce w roku siedemdziesiątym trzecim. Pułkownikowi Carroll, chciałbym, by przeniósł się pan do biura pana Cagliari i współpracował z nim. Wiem, generale, że kradnę panu najlepszego człowieka, ale chcę trzymać rękę na pulsie. Tom, dopilnuj formalności.

W tym momencie bez pukania czy jakiegokolwiek uprzedzenia do pokoju weszła Melissa. Fraser na ten widok zerwał się na równe nogi, rozjątrzony do żywego. Zanim jednak zdążył otworzyć usta, usłyszał wiadomość, która, podobnie jak pozostałych, dosłownie go zamurowała.

- Panie prezydencie, właśnie odebrałam telefon z Pentagonu... Matt miał wypadek lotniczy... Na razie brak dokładniejszych informacji...

7

Tamir złożył kolejny list od córki i schował go do teczki, w której trzymał całą korespondencję, jaką od niej dostał. Powinien by się skupić na rozłożonych na biurku projektach stworzenia bomby wodorowej z posiadanych przez Izrael atomowych, ale nie był w stanie się skoncentrować. Z niechęcią wyjął z teczki pozostałe listy i pocztówki i kolejno je czytając, porzekał na stole. Jako ojciec chciał wierzyć w to, co opisywały - że wyjazd się przedłużył, że dziewczyna ma okazję łączyć pracę z rozrywką i że obecnie jest w południowej Hiszpanii, gdzie wypróbowuje nowe sposoby pakowania owoców. Jako naukowiec jednak wiedział zupełnie co innego, i tym razem zwyciężył w nim naukowiec. Wszystkie listy i kartki zostały napisane w tym samym czasie i tym samym długopisem, daty natomiast wpisano innym, nieco zmieniając pismo, co wyraźnie było widać pod lupą.

A to oznaczało tylko jedno: jego córka była agentką Mossadu, dla którego wykonywała właśnie jakieś zadanie. A co najgorsze: raczej nie w Hiszpanii...

Jedyne, co mu pozostało, to modlić się, by cała i zdrowa bezpiecznie wróciła do domu.

Nie martw się, willa jest naprawdę wygodna - uspokoił ją po raz kolejny Mana.

Shoshana nie bardzo w to wierzyła. Obserwowała jednopasmową jezdnię i parterowe domki pojawiające się od czasu do czasu wśród zapiaszczonych pól: cała droga z lotniska w Kirkuku wyglądała tak samo. Do tych monottonnych i mizernych widoczków obraz luksusowej willi jakoś nie bardzo pasował. Wszędzie wokół widać było nędzę i zniszczenie, a nie przepych.

Nagle skręcili w nowo ułożoną drogę i po pokonaniu kolejnego zakrętu wjechali w cień drzew. Przed maską pojawiła się śnieżnobiała ściana i solidna, kuta brama; za nią rozciągał się starannie utrzymany ogród, w centrum którego królowała willa.

Przy drzwiach stał lokaj, który zaprowadził ich do pokoi na drugim piętrze, a wokół kręciła się cała masa dyskretnej, ale zawsze gotowej do usług służby. Mana uśmiechnął się z zadowoleniem - wszystko było tak, jak obiecał.

Po południu Mana zabrał Shoshanę na wycieczkę po nowo otwartych zakładach chemicznych, będących własnością Irackiej Kompanii Paliwowej i usytuowanych o trzydzieści kilometrów na zachód od Kirkuku. Rozpierała go zawodowa duma. Wycieczka nie obejmowała wprawdzie przysadzistego budynku z żelbetu, przed wejściem którego stało dwóch wartowników, ale i tak dostarczała wielu mocnych wrażeń, więc Shoshana musiała solidnie wyteżać wzrok, słuch i umysł, by jak najwięcej zapamiętać.

Przy śniadaniu Mana z ubolewaniem oznajmił Shoshanie, że przez większość dnia będzie musiała obejść się bez niego, gdyż jest potrzebny w fabryce przy testowaniu nowego środka.

- Wszyscy myślą, że to gaz, podczas gdy naprawdę jest to ciecz rozpylana w postaci kropli i bardzo żrąca.

Shoshana dwa razy usiłowała zmienić temat, ale tego dnia Mana miał głowę jedynie do nowego środka owadobójczego, choć każda nowa informacja tylko utwierdzała dziewczynę w przekonaniu, że jest to gaz bojowy. Na zakończenie zaś Mana zakazał jej opuszczać teren willi i po czułym pożegnaniu wyszedł.

Zostawił ją pogrążoną w myślach i wściekłą: siedząc w czterech ścianach nie była w stanie niczego się dowiedzieć.

Zespół techników i inżynierów czekał na Manę w budynku, który tak starannie omijał poprzedniego dnia, pokazując zakład Shoshanie. Budowla miała kilka pięter, z których tylko dwa wystawały ponad powierzchnię ziemi, i służyła do produkcji

binarnego gazu paraliżującego. Pomysł jest prosty: gaz taki składa się z dwóch składników, które do momentu zmieszania ze sobą są niegroźne, a łącznie stanowią mieszanę śmiertelną. Zmieszanie ich następuje tuż przed użyciem w zależności od sposobu przeniesienia. Koncepcja prosta, produkcja natomiast z zasady skomplikowana. Tym razem jednakże Irak nie miał wyboru, gdyż jedynie takie rozwiązanie dawało broń zdolną przeniknąć filtry masek i powierzchnię strojów przeciwchemicznych używanych przez armię izraelską.

Po lunchu i południowej modlitwie grupa naukowców zaprowadziła Manę na trzeci poziom podziemny, gdzie miano przeprowadzić test. Sześciu strażników czekało na nich z parą więźniów.

- Ona jest agentką Mossadu, a on jej kurdyjskim łącznikiem - wyjaśnił dyrektor zakładów. - Złapaliśmy ich trzy miesiące temu. Oboje ubrani są w standardowe ubiory ochronne NBC armii izraelskiej.

Na rozkaz dyrektora strażnicy rozkuli więźniów i podali im maski przeciwgazowe, także izraelskie. Z wprawą założywszy swoją, Zakia pomogła Kamalowi szczelnie dopasować jego maskę, gdyż Kamal nigdy się z czymś podobnym nie zetknął. Oboje pchnięto w stronę drzwi ciśnieniowych, gdy nagle Kamal pięknie wymierzonym ciosem przetarcił kark najbliższemu strażnikowi, wyzywając pozostałych - dość kwieciste i niecenzuralnie: „niewyskrobany knur” było najłagodniejszym z użytych przez niego określeń. Pozostali wartownicy wkopali go jednak do środka i zahermetyzowali komorę, starannie sprawdzając, czy gdzieś nie ma przecieków. Pod sufitem w ścianach umieszczone były szyby z pancernego szkła, przez które naukowcy mogli obserwować przebieg próby, jeśli któryś wolał okno od ekranu monitora.

- Teraz wpuścimy gaz. - Dyrektor podszedł do pomalowanego na czerwono zaworu i spojrzął na Manę. - Jeśli pan chce...

Mana zzieleniał i przecząco potrząsał głową. Dyrektor przekreślił zawór, a jeden z naukowców zaczął udzielać wyjaśnień:

- Normalnie obiekty testu ubrane w odzież ochronną byłyby całkowicie bezpieczne. Proszę jednak zwrócić uwagę, jak drobiny formują się w krople na powierzchni płaszczy czy masek. - Wygląda to tak, jakby wyparowywały, a w rzeczywistości przenikają one przez materiał do skóry.

Żołądek Many zaprotestował - naukowiec mówił o tym jak o szkolnym eksperymencie produkcji niegroźnej substancji.

Gaz wolno przenikał ubiór ochronny, toteż na kilka pierwszych minut w więźniach odżyła nadzieja. Rozwiała się z chwilą, gdy gaz dotarł do skóry Zakii i został błyskawicznie wchłonięty do krwiobiegu, gdzie jął poszukiwać celu: związku chemicznego zwanego cholinesterazą, którego zadaniem w ludzkim organizmie jest rozkładanie innego związku acetylocholinowego, wywołującego skurcze mięśni. Gaz wiązał pierwszy związek, uniemożliwiając mu niszczenie drugiego i w efekcie powodując śmierć ofiary.

Zakia oddychała coraz głębiej, czując ciasną obręcz dławiącą piersi; zaczęło jej kapać z nosa i resztką woli powstrzymała się przed zdjęciem maski i wytarciem go. Była z wykształcenia lekarzem i wiedziała, że to koniec, ale nie chciała się poddać.

- Zakia... nie mogę oddychać... - wykrztusił Kamal.

Obserwujący to Mana poczuł mdłości, lecz nie mógł odebrać wzroku od konających.

- Ślepnę! - zawył Kamal, wstrząsany drgawkami, których nie mógł opanować.

Zakia, jako drobniejsza, była w gorszym stanie. Tocząc z ust ślinę oboje zerwali maski, ułatwiając działanie truciznie. Kobieta zaczęła wymiotować, a Mana nieomal poszedł w jej ślady. Odwrócił się od okna.

- Teraz puściły zwieracze... ach, oto ostateczne objawy...

- W głosie referującego naukowca można było wyczuć zadowolenie.

Mana nie mógł nic na to poradzić: ciekawość wzięła górę nad obrzydzeniem. Odwrócił się ku szybie: kobieta leżała w kałuży wydaliny, wstrząsana przedśmiertnymi drgawkami. Koniec Kamala też się już zbliżał, ale chłopak jeszcze kontaktował.

- Teraz antidotum - oznajmił naukowiec, naciskając przycisk.

Na podłodze komory ciśnieniowej wylądował zielony przedmiot, długością i kształtem przypominający długopis.

- Zdejmij nakrętkę - rozkazującym tonem polecił przez mikrofon ten sam naukowiec - przyciśnij otwarty koniec do skóry i naduś kciukiem przycisk z drugiej strony. Zrobisz sobie zastrzyk, który uratuje ci życie.

Kamał zrobił to, co mu kazano, i po kilkunastu sekundach drgawki faktycznie ustąpiły.

- Strzykawka jest automatyczna i na wszelki wypadek dwuigłowa, wzorowana na duńskim modelu używanym przez NATO do atropiny - obojętnie wyjaśnił referujący. - Naturalnie w tym przypadku atropina jest całkowicie nieskuteczna.

Proszę, by każdy z obecnych wziął strzykawkę i był gotów jej użyć, gdy otworzymy śluzę. Komora była testowana, więc chyba jesteście bezpieczni, ale przecież nigdy nic nie wiadomo.

Przy pierwszych objawach proszę sobie zrobić zastrzyk.

Przefiltrowano powietrze w komorze badawczej, a następnie otwarto hermetyczne drzwi. Pierwszy wszedł strażnik z pistoletem gotowym do strzału i dobił leżącego na podłodze Kamala, zanim ten zdołał wykrztusić słowo; potem strzelił w głowę Zakii.

- Musimy zrobić sekcję zwłok obojga, by uzyskać pełny obraz działania gazu - oznajmił referent.

Mana nie zdążył zapanować nad swoim organizmem - zaczął wymiotować w korytarzu, a dokończył w toalecie, w której też zemdlał.

Shoshana usłyszała nagłe zamieszanie i pobiegła do hallu. Widok Many odebrał jej mowę: zawsze nienagannie ubrany młodzieniec był zarzygany jak nieboskie stworzenie, a pion utrzymywał tylko dzięki pomocy służącego, choć i tak zataczał się jak pijany. Przegoniła czym prędzej służbę, niemalże zaniósła go do sypialni i położyła w olbrzymim łóżu. Następnie rozebrała go i delikatnie wytarła gąbką, wysłuchując rwanej relacji z przebiegu testu.

- To było gorsze, niż się obawiałem... - wykrztusił na koniec. - A ja tylko chciałem chronić swój kraj... przed syjonistycznym zagrożeniem... - I rozplakał się.

W Shoshanie zaszła nagła przemiana, która ją samą zaskoczyła: troskę i litość, jakie dominowały w niej dotąd wobec Is'ala, zastąpiło obrzydzenie pomieszane z nienawiścią. Nie przeszkadzało jej to utulić go do snu, co na szczęście krótko trwało.

Gdy zasnął, przeszukała kieszenie jego ubrania, odnalazła strzykawkę, o której jej opowiedział, i ukryła ją w jednej ze swoich walizek. Później rozebrała się i poszła spać.

Następnego dnia wrócili do Bagdadu.

Hassan Derhally przedstawił się za pomocą wizytówki, jak każdy zachodni biznesmen, zanim wszedł do gabinetu Mana. Usiadł na krześle przy rzeźbionym stoliku i spokojnie czekał, całkowicie odprężony. W końcu odezwał się głosem cichym i łagodnym, zabarwionym chwilami nutką uniżonego szacunku, ale Mana nie dał się zwieść pozorom. Hassan nie był bowiem biznesmenem, i to nie on liczył się z ludźmi, tylko z nim się liczone. Interlokutorzy Derhally'ego dziwnie często ulatniali się jak kamfora i nawet potężny ród Mana nie mógłby ochronić Is'ala, gdyby efektem tej rozmowy miało być i jego zniknięcie. Derhally był bowiem szefem Al Mukhabaret - Departamentu Wywiadu, jak oficjalnie zwała się tajna policja.

- Czym mogę służyć? - spytał Mana nie mogąc ukryć drżenia głosu.

- Drobnostką. - Hassan z przyjemnością obserwował poruszającą się nerwowo grdykę rozmówcy. - Czasami musimy bawić się w biuro rzeczy zagubionych, co jest kompletną stratą czasu, ale podobno jest to niezbędne. Jak rozumiem, był pan obecny przy ostatnim teście nowego wyrobu zakładów chemicznych w Kirkuku, gdzie, na wypadek niebezpieczeństwa, otrzymał pan wraz z innymi uczestnikami strzykawkę automatyczną. Wszystkie pozostałe zostały zwrócone i jestem tu wyłączenie po to, by poprosić pana o zwrot tego drobiazgu. Jak sam pan widzi, zupełna błahostka.

- Nie... - Mana zastanowił się chwilę. - A, tak. Włożyłem ją do kieszeni marynarki, ale źle się poczułem i musiałem biec do ubikacji... Musiała mi tam wypaść.

Derhally spojrział na niego przeciągle i potrzęsął głową.

- To co w takim razie... - Zaskoczenie Many było autentyczne. - Musi więc być nadal w kieszeni marynarki. Może znalazł ją służący i ukradł. Wie pan, ta banda okrada mnie na milion sposobów.

Derhally wstał i Mana poczuł panikę.

- Proszę bardzo - łaskawie zgodził się gość - przepytamy służbę i zakończymy całą sprawę. Jeśli to nic nie da, może panna Temple będzie w stanie nam pomóc. Zakładam, że jest w hotelu.

- Nigdy go nie opuszcza bez mojej zgody. - Mana spróbował udowodnić, że nadal kieruje swoim życiem prywatnym.

- Doprawdy? - zdziwił się Hassan, obracając ową próbę wniwecz. - Mocno w to wątpię.

W domu Many strzykawki nie znaleziono, a gorliwość, z jaką służba jej szukała i odpowiadała na pytania Hassana, dowodziła, że wykopaliby ją spod ziemi, gdyby tylko wiedzieli, gdzie kopać. Służbę ogarnęło perfidne podekscytowanie, gdy Derhally kazał Manie zawieźć się do kochanki - ich pan został w końcu upokorzony. Ale złośliwa satysfakcja szybko zmieniła się w przerażenie: wiedzieli, jak głęboko potrafi szukać Al Mukhabaret.

Shoshana była w hotelowym sklepie z upominkami, gdy zobaczyła Manę zmierzającego do windy w eskorcie trzech mężczyzn. Derhally'ego rozpoznała natychmiast: rysopis dostarczony przez Habisha był dokładny. Pozostali dwaj wyglądali na typowych bezpieczeniaków.

Stłumiła panikę i odwróciła się plecami do wyjścia, zmuszając umysł do wytężonej pracy. Jasne było, że chodziło im o nią. Gdzie więc popełniła błąd? Nieważne, nad tym zacznie się zastanawiać później; to co najważniejsze leżało na dnie torebki: automatyczna strzykawka, którą owinęła w folię po batoniku popularnej marki, by nie wzbudzać podejrzeń.

Spojrzała machinalnie w bok i doznała olśnienia: kwiaciar-
nia!

Spokojnie wybrała dobrze rozwinięty kwiat w ozdobnej doniczce i wsunęła między liście batonik. Następnie wypisała na

bileciku stereotypowe życzenia urodzinowe i wsunęła go obok batonika. Podała sprzedawczyni adres z prośbą, by doręczono jeszcze tego samego dnia. Potem wyszła z hotelu i ruszyła w dół ulicą Sa'adan.

Dwadzieścia minut później była w sklepie, który regularnie odwiedzała z Nadią; przejrzała kilka nowych sukien i zapytała, czy może zadzwonić. Naturalnie pozwolono jej skorzystać z telefonu. Wybrała numer, odczekała cztery sygnały i odłożyła słuchawkę. Natychmiast ponownie wybrała numer i po pierwszym sygnale przerwała połączenie - razem stanowiło to wiadomość o niebezpieczeństwie, z podaniem miejsca spotkania: ulica Rashid.

Opuściła sklep, dotarła na umówione miejsce, podeszła do krawężnika i założyła torbę na ramię, co było znakiem, by zdejmowali ją natychmiast, jak tylko się zjawią. Po kilkunastu sekundach przy krawężniku zatrzymał się samochód; otworzyły się drzwi i zanim się zorientowała, co się dzieje, już była w środku. Siedzący na przednim siedzeniu Derhally uśmiechnął się drugi raz tego dnia.

Habish i Avidar podjechali w chwili, gdy Shoshana zniknęła wewnątrz policyjnego wozu na cywilnych numerach.

- Jak myślisz, dokąd ją zabierają? - spytał Avidar.

Gad wzruszył ramionami i uplasował się o trzy samochody za śledzonym pojazdem.

- Na pierwszych światłach wysiądziesz i zaczniesz zwijać interes - polecił. - Twój dom będzie skrzynką kontaktową, siedź więc na dupie. Jeśli nie odbijemy jej do wieczora, to przyskamy bez niej.

Nie powiedział Avidarowi, że w takim wypadku do akcji wejdzie dwuosobowa grupa niemająca żadnego kontaktu z resztą zespołu - znali tylko jego. Ich zadanie było proste: albo odbić, albo zabić Shoshanę - biorąc pod uwagę to, czym zajmował się jej ojciec, nie mogła żywa pozostać w rękach wroga: stanowiłaby zbyt cenną kartę przetargową.

Avidar wyskoczył z wozu na pierwszym czerwonym świetle i zniknął w tłumie, a Habish zajął się odszukaniem zapasowego

wozu tajniaków przeciwnika. Nie sprawiło mu to większego kłopotu - pojedynczy agent siedział za kierownicą nowej szarej Łady stojącej za nim. Sądząc po reakcji, nie miał zielonego pojęcia, że ktoś śledzi pierwszy samochód. Było to korzystne dla Habisha, choć stwarzało dodatkowy problem: nie mógł nie dać się zauważyć i jednocześnie nie zgubić samochodu, w którym była Shoshana. Doświadczenie podpowiadało mu, by odbić ją jak najszybciej, zanim wróg zorientuje się, kogo złapał, i zacznie działać metodycznie.

Problem rozwiązał się sam: pierwszy wóz stanął przed sklepem, a w lusterku wstecznym Gad dostrzegł agenta mówiącego coś do mikrofonu. Habish skrzył za najbliższy narożnik i zwolnił, ciekaw, co zrobi Łada. Też skrzyła i stanęła przy krawężniku. Gad uśmiechnął się i zaparkował w zaśmieconej alejce. Wysiadł i spokojnie podszedł do Łady. Otworzył przednie drzwi i wsiadł, zanim zaskoczony agent zdążył zareagować. Następną rzeczą, którą biedak dostrzegł, był wylot lufy Gadowego walthera. Znów nie zdążył zareagować i wyzionął ducha z bardzo zaskoczonym wyrazem twarzy.

Habish wysiadł, obszedł wóz i otworzył drzwi od strony kierowcy. Bezceremonialnie zepchnął trupa na sąsiedni fotel i podjechał do alejki, w której zaparkował swój wóz. Przeniósł trupa do bagażnika, zostawił kluczyki w stacyjce, by nie utrudniać życia złodziejom (choć kluczyk do bagażnika wyrzucił), i wrócił do swojego wozu.

Nałożył ciemne okulary i marynarkę, a także zmienił uczesanie - na pierwszy rzut oka przypominał miejscowego bezpieczniaka; objechał pobliski kwadrat ulic i zaparkował przed drzwiami sklepu za pierwszym wozem kontrwywiadu.

Obie kobiety prowadzące sklep obrzuciły go zaniepokojonym spojrzeniem, gdy bezceremonialnie rozejrzał się po pomieszczeniu. Gdyby bezpieczniacy byli w samym sklepie, udawałby przypadkowego klienta i czym prędzej by się wyniósł. Ponieważ jednak pomieszczenie było puste (widocznie urzędowali na zapleczu), przeobraził się w jednego z nich.

- Jest tu inspektor Derhally? - spytał, wskazując głową za plecze.

Przytaknęły chórem.

- Dobrze. Zamknijcie sklep i idźcie do domu. Nie mówcie nikomu, że tu jesteśmy, jasne?

Wszystko było wręcz kryształowo jasne i nie minęła minuta, a już został sam na froncie sklepu. Wyjął broń, przeładował i starając się nie hałasować wśliznął się do korytarzyka za przy-mierzalnią. Z ostatniego pokoju doszedł go męski głos:

- Panno Temple, proszę przestać się wygłupiać. To i tak nie da.

- Chcę zadzwonić do mojej ambasady - odezwała się Shos-hana.

- Wszystko w swoim czasie. A jak pani zamierza udowod-nić, że jest Kanadyjką? Nie ma pani paszportu.

- Doskonale pan wie, że hotel zatrzymuje paszporty wszyst-kich cudzoziemców do chwili otrzymania przez nich zgody na wyjazd. Jestem obywatelką Kanady!

Dziewczyna dokładnie trzymała się legendy; po kilku minu-tach Habish zorientował się, że w pokoju są trzy osoby, i z grubsza ustalił, kto się gdzie znajduje. Schowawszy pistolet, wyjął swój fałszywy paszport kanadyjski, a następnie zapukał i nie czekając na zaproszenie wszedł.

- Jestem z ambasady kanadyjskiej - oznajmił stanowczo. - Powiedziano mi, że przebywa tu obywatelka Kanady, panna Rose Temple, która potrzebuje mojej pomocy.

Tak zbił z tropu Derhally'ego, że ten odruchowo wyciągnął rękę po paszport.

- To nie jest paszport dyplomatyczny - warknął.

- O, przepraszam. Pomyliłem dokumenty. - Habish sięgnął do kieszeni i wyjął broń.

Jednym płynnym ruchem zrobił krok w bok, przeszedł do dwuręcznej pozycji strzeleckiej na ugiętych nogach i strzelił Derhally'emu w czoło. Dłoń towarzyszącego szefowi agenta wędrowała właśnie po broń, gdy Gad z półobrotu wpakował mu kulę w ucho. Dla pewności strzelił jeszcze każdemu z leżą-cych w głowę i dopiero wtedy zainteresował się dziewczyną.

- To wszystko? - spytał.

Przytaknęła głową, nie ruszając się z krzesła. Ręce w nad-garstkach miała ciasno ściągnięte plastikowymi kajdankami, więc dłonie zaczynały czerwienieć i puchnąć z braku krążenia.

Był to standardowy wstęp do wszystkich irackich przesłuchań. Gad przeciął szczytami twardego plastiku i spytał:

- Kontaktowali się z kimś?

- Dwa razy przez radio. Pierwszy raz z facetem o imieniu Fahad, który jest na zewnątrz, sądzę, że w szarej Ładzie. Drugi raz z bazą, słyszałam, że podali moje nazwisko i nazwę hotelu, ale mówili za szybko, żebym mogła wszystko wyłapać.

Zrobiła na nim wrażenie: nie spanikowała i zebrała sporo istotnych danych.

- Gdzie Mana? - spytał.

- Nie mam pojęcia. - Roztarła dłonie, chcąc przyspieszyć cyrkulację krwi, i opowiedziała mu, co zaszło.

- Więc wysłałeś strzykawkę nauczycielce arabskiego jako prezent urodzinowy? - upewnił się, podziwiając pomysłowość i szybkość jej reakcji.

Zadzwońszy do Avidara z nowymi instrukcjami, znów zwrócił się do Shoshany:

- Pomóż mi pozbyć się ciała i uprzątać ten bajzel. Dziś w nocy wynosimy się z Bagdadu.

Czekanie zawsze było najgorsze. Shoshana zazdrościła agentce, która prowadziła szkołę, gdyż ta miała coś do roboty: z zewnątrz wszystko musiało wyglądać normalnie, toteż lekcje odbywały się jak co dzień.

- Kwiaty na pewno zostaną przyniesione - uspokajała dziewczynę, widząc jej zdenerwowanie.

- Gdzie Habish? Myślałam, że wyszedł na krótko.

- Też się zjawi...

Habish zjawił się dokładnie o piątej trzydzieści dwie.

- Avidar kończy nasze paszporty i zezwolenia na wyjazd - poinformował. - Zwijamy interes. Hotel spalony, bo skoro Hassan kontaktował się z bazą, to musieli zabrać twój paszport i poinstruować recepcjonistę, co ma robić, gdybyś wróciła lub gdyby ktoś o ciebie pytał.

Zastanowił się chwilę.

- Możesz się wydostać własnymi kanałami? - spytał gospodynię.

Filigranowa nauczycielka bez słowa skinęła głową i wyszła. Ani Gad, ani Shoshana nie wiedzieli, jak zamierza wyjechać z Iraku, nie mogli jej więc sypnąć. Podobnie zresztą jak ona ich. Prawdopodobnie chciała wykorzystać swoje kontakty z Kurdami, by dotrzeć do północnego Iraku, a dalej do Turcji; ale to były jedynie ich przypuszczenia, a w razie tortur przypuszczenia są mniej groźne od wiedzy.

- Musimy działać szybko - poinformował dziewczynę Gad, wręczając jej takiego samego jak jego własny walthera, który włożyła do torebki. - Za trzy godziny odlatuje jedyny dziś samolot SwissAir, na który zresztą masz bilet. Tylko, cholera, trzeba najpierw dostać tę strzykawkę...

Minuty ciągnęły się, czas odlotu zbliżał, a strzykawki ani śladu.

- Ta sprzedawczyni przyniesie je pewnie po zamknięciu kwaciarni - nie wytrzymał w końcu Habish. - Niech to diabli: za późno.

- Mogę odebrać kwiaty pod pretekstem, że się rozmyśliłam.

- To zbyt niebezpieczne: oni mogą tam na ciebie czekać.

- Może tak, a może nie; Derhally faktycznie sądził, że jestem z Kanady. Słyszałam, jak trzy razy mówił „Kanada” przez radio, a gdy ty wszedłeś, twierdząc, że jesteś z ambasady, wziął to za dobrą monetę. Z tego, co zrozumiałam, ta sprawa wyszła im tak niespodziewanie, że sami nie bardzo wiedzieli, o co chodzi.

Habish zamyślił się.

- Warto spróbować - zdecydował po chwili. - Zeev będzie tu za chwilę, kažemy mu poczekać i odebrać kwiaty, gdybyśmy minęli się po drodze ze sprzedawczynią. Ja zajmę recepcjonistę jako kanadyjski dyplomata, a ty spróbujesz odzyskać kwiaty.

Dziesięć minut później Shoshana opuściła hotelową kwaciarnię z doniczką w dłoniach, w której oprócz rośliny był bilecik urodzinowy i strzykawka udająca batonik. Habish nadal rozmawiał z recepcjonistą, za to tuż obok dziewczyny wyrósł jak spod ziemi Mana.

- Gdzieś ty była?! - Cały aż się trząsł z podniecenia.

Na widok batonika oczy nagle mu się rozszerzyły; schwytywszy go, pośpiesznie zdarł folię.

- Co to wszystko znaczy? - syknął, boleśnie ściskając Shoshanę.

Był wzburzony, a więc pewnie nie rozumował zbyt logicznie.

- Is'al, to nie tak, jak myślisz!... - Spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Pracuję dla firmy specjalizującej się w sprawdzaniu zabezpieczeń i zwalczaniu szpiegostwa przemysłowego. Wasz rząd zlecił nam... Ale nigdy nie sądziłam, że się w tobie zakocham... W pokoju mam dokumenty...

Mana był zaskoczony, ale najwyraźniej chciał jej uwierzyć, bo bez protestu ruszył z nią do windy. Shoshana zdołała zwrócić uwagę Habisha dopiero w ostatniej chwili, ale Gad i tak zorientował się, co się święci. Wjechali na górę w milczeniu.

Ledwie wysiedli, Mana pognał jak ukłuty ostrogą i wpadł do pokoju. Shoshana sprawdziła, czy nikt ich nie widział, i zamknęła za sobą drzwi. Budzik stojący na nocnym stoliku wskazywał, że na dotarcie do lotniska ma mniej niż godzinę.

- Dokumenty są w kasetce, w szufladzie - powiedziała i Mana wyszarpnął pierwszą z brzegu, wysypując zawartość na podłogę. - Nie w tej, w następnej...

Przez skórę torebki wymacała kolbę walthera i zbliżyła się do zajętego kolejną szufladą Many. Wyjęła broń, przeładowała i wycelowała trzymając oburącz, tak jak na treningu. W uszach dźwięczały jej słowa instruktora:

„Wyjęcie broni to koniec twojej legendy - należy więc strzelać. A kiedy się strzela, należy zabić”.

Ostatnim dźwiękiem, jaki Is'al Mana usłyszał w życiu, było ciche „phut”. Ponieważ nauczono ją strzelać zawsze dwa razy, po sekundzie odgłos się powtórzył.

Habish czekał przed drzwiami.

- Gdzie ukryłaś ciało?

- W szafie, pod ubraniami. - Nie dodała, że także pod tą samą czarną suknią, którą go uwiodła.

- Dobrze - pochwalił ją Gad i widząc w jej oczach łzy, dodał: - Jeszcze nie teraz!

Z hallu zadzwonili do Avidara i używając szyfru umówili się na bocznej drodze przy lotnisku. Avidar miał ze sobą wziąć dokumenty i bagaże potrzebne Shoshanie przy odprawie celnej.

Wszyscy usiłowali przedostać się jak najprędzej przez most Jumhuiya, przez co powstał zator na dwie przecznice. Gad objechał go, kierując się ku położonemu o kilometr w górze rzeki mostowi Ahrar, gdzie poszło mu szybciej, choć i tam panował nieziemski tłok. Zresztą nie było czemu się dziwić, gdyż po wojnie w Zatoce w całym Bagdadzie naprawiono jedynie te dwa mosty. Na drugim brzegu Tygrysu musieli wykonać pętlę, by dostać się na umówione miejsce, gdzie miał czekać Avidar. Pół kilometra od lotniska znów napotkali korek, za to Avidara ani śladu.

- Mamy pół godziny - mruknął ponuro Habish.

- Jest! - Shoshana dostrzegła Avidara w bocznym lusterku.

Wysiadła i podbiegła do jego wozu, stojącego za nimi - zdążyła wsiąść, gdy korek się częściowo rozładował i powoli ruszyli w stronę portu lotniczego. Zanim dotarli do wejścia, przebrała się i przejrzała nowe papiery: teraz była Abigail Peterson.

- Przyjechała tu trzy dni temu - wyjaśnił Avidar - a celnicy i kontrola paszportów mogą już mieć rozkaz zatrzymania niejakej Rose Temple.

Avidar doniósł jej walizki do trzyosobowej kolejki przed stanowiskiem SwissAir i zniknął.

Shoshana wyprostowała się z bagażem, podchodząc do odprawy, ale nagle nogi się pod nią ugięły - czekał tam ten sam celnik, który wpuszczał ją do Iraku.

- Panna Temple - rozpoznał ją natychmiast - czekamy na panią. Dokumenty proszę.

Teraz on był górą: Is'al Mana nic nie mógł zrobić komuś, kto wypełniał rozkazy Al Mukhabaret, a to właśnie stamtąd nadeszło polecenie niewypuszczania jej z Iraku.

- Oczywiście. - Ze spokojem sięgnęła do torebki, spoglądając ukradkiem ku wyjściu.

Może się uda, a jeśli nie, cóż, może zdoła choć przekazać strzykawkę Avidarowi i odciągnąć od niego pościg. Nie w ten sposób wyobrażała sobie własną śmierć, ale żyje się tylko raz...

- *Sir!* - Celnik strzelił nagle kopytami i wyprężył się jak struna, wpatrując się w Habisha, stojącego za Shoshana.

Gad miał okulary przeciwsłoneczne i ciemną marynarkę, a

w rękę trzymał legitymację inspektora tajnej policji. Złapał zaskoczoną dziewczynę za ramię i szarpnął, wyrывая ją z osłupienia. Tyle że trochę za mocno: torebka wysunęła się jej z rąk i poleciała na podłogę, ujawniając zawartość. Habish celnym kopniakiem wsunął walthera pod kontuar, opieprzając jednocześnie celnika:

- Widzisz, kretynie? Zastrzełiłaby cię jak syna osła, którym zresztą jesteś. Może powinienem jej być na to pozwolić. Pozbieraj wszystko i daj mi torebkę.

Zabrał celnikowi torebkę z pośpiesznie wrzuconymi do niej rzeczami i popchnął Shoshanę w stronę wyjścia. Avidar podążył za nimi z walizkami dziewczyny.

- Szybciej - mruknął ostrzegawczo Avidar - zbliża się dwóch prawdziwych tajniaków.

Komisja Bezpieczeństwa zebrała się w Stonewood w czasie krótszym niż dwadzieścia cztery godziny, co było swoistym rekordem. Matta zaskoczyła ta efektywność i szybkość działania; przez pierwsze godziny po wypadku, kiedy nie bardzo do niego docierało, co się wokół dzieje, sprawował nad nim opiekę Safety Officer Czterdziestego Piątego Skrzydła. On też wyjaśnił mu, że komisja nie ma na celu karania kogokolwiek i wyniki jej badań nie będą użyte w rozprawie. Zadaniem komisji jest ustalenie przyczyny wypadku, by zapobiec podobnym w przyszłości. Jeśli Air Force miały zamiar ukarać Matta, to dopiero Komisja Wypadkowa mogła podjąć taką decyzję, i to opierając się na wynikach własnego dochodzenia, niezależnego od tego, które się właśnie toczyło.

Siedemdziesiąt dwie godziny po wypadku Komisja Bezpieczeństwa sporządziła wstępny raport, w którym stwierdzono, że przyczyna wypadku jest jeszcze nieznana. Dla każdego doświadczonego pilota końcowy wynik był jednak oczywisty: błąd pilota, czyli - innymi słowy - błąd Matta. Dobitnie uświadomiła mu to zasłyszana w kabinie rozmowa jednego z pilotów z nawigatorem.

- Myślisz, że Locke coś spieprzył? - spytał *wizzo*.

- W życiu! Locke był na to za dobry.

Pogrzeb trzech ofiar katastrofy był dla Matta ostatnim stopniem samoudręczenia. Mszę, którą odprawiono w kaplicy bazy, przesiedział samotnie, omijany przez wszystkich pilotów jednostki. Z tego, co mówił kapelan, a potem generał Rupert Stansell, nie zrozumiał nic poza ostatnim zdaniem: „Proszę, osądź go sprawiedliwie, Panie, bo był najlepszym wśród nas”.

Po mszy żałobnicy wyszli przed kaplicę, a powietrze wypełnił ryk silników: w górze przeleciały trzy F-15 w formacji „zagniony”, a potem trzy Phantomy z RAF, w tej samej formacji. Ten drugi przelot zarządził dowódca RAF, sir David Childs.

Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, Matt zdał się na instykt i podszedł do żony Locke’a stojącej z przyjaciółmi i trzymającej za rękę dzieci.

- Proszę przyjąć moje kondolencje... - Powtarzając tę formułkę, czuł się jak ostatni krety.

Spojrzała na niego suchymi oczami: wyplakała się w samotności.

- Dziękuję.

Odszedł, ale i tak dotarł doń wypowiedziany półgłosem komentarz:

- Dupek...

- Taa, ale rodzinka go wyciągnie...

Rozpoznał oba głosy i wiedział, że chcieli, by to usłyszał.

Tydzień później Komisja Wypadkowa sporządziła wstępny raport: przyczyna wypadku nieustalona, zalecane dalsze badania wraków. Matt stwierdził, że nikt w jednostce nie odzywa się do niego. Kupił butelkę szkockiej i wydudlił ją w całości na kwaterze.

Następnego ranka zjawiał się w baraku dywizjonu na tak gigantycznym kacu, że mu się żyć odechciewało. Spróbował prześliznąć się niezauważenie obok rozkładu zajęć, przy którym jakiś major rozmawiał z dyżurnym sierżantem, co mu się naturalnie nie udało.

- Kapitan Pontowski - ucieszył się dziwnie sierżant. - Major Furry chce z panem porozmawiać.

Matt stłumił jęk: major Ambler Furry był nawigatorem

Czterdziestego Piątego Skrzydła, wyróżnionym absolwentem Air Force Fighter Weapons School i niegdysiejszym *wizzo* Locke'a. Jego kariera sięgała czasów, gdy Czterdzieste Piąte Skrzydło latało na maszynach F-4 Phantom, i był jednym z tych, którzy służyli pod pułkownikiem Muddym Watersem. Matt kłął w żywy kamień powiązania łączące go z legendami US Air Force. W każdej innej jednostce mógłby się rozpląnąć we mgłę błogosławionej anonimowości...

Furry gestem zaprosił Matta do pustego biura i chłopak, zrezygnowany, wszedł za nim. Normalnie ludzie tuszy majora mają zwyczaj się kołysać, gdy chodzą, Furry jednakże przemieszczał się w specyficzny, płynny sposób, nieuchwytny, acz nieomylnie wskazujący na dużą pewność siebie. Zamknął drzwi, wskazał Mattowi krzesło i spytał:

- Jak leci?

- Źle. Wychodzi, że mam adidasa, którego można złapać stojąc bliżej niż dziewięć metrów ode mnie.

- Chyba się nad sobą rozczulasz. - Furry nie czekał na odpowiedź. - Zawsze trudno jest dojść do siebie po kraksie.

Matt odwrócił wzrok, wpatrując się w jakiś wykres na ścianie.

- Nie wiem, czy będę jeszcze w stanie latać... Nie siedziałem za sterami od wypadku i nie chcę tam usiąść... Patrzę na F-15 i widzę kłopoty... Cholera, ja nawet nie wiem, dlaczego się zdeżyliśmy!

- Wątpię, żeby ci to zostało na zawsze.

Furry widział już przedtem podobne przypadki nagłej utraty wiary we własne możliwości i wiedział, że jeśli z chłopaka ma być jeszcze pilot, to będzie musiał jakoś odnaleźć tę pewność siebie oraz przekonanie, że jest najlepszy i najtwardszy i może to udowodnić.

- Jak rozumiem, nie masz nowego *wizzo* - stwierdził po chwili Furry. - Chcesz, żebym z tobą latał?

Matt nie wierzył własnym uszom: najlepszy przyjaciel Locke'a, jego dawny *wizzo* i najlepszy nawigator nawet nie w dywizjonie, ale w całym skrzydle, na ochotnika chce być jego partnerem! Jak? Co? Dlaczego?... Dopiero po chwili go olśniło: wpływy dziadka! Tylko tym razem Matt miał ich dość.

- Niby czemu? - spytał zaczepnie. - Telefon z Pentagonu?
- Myślisz, że to na mnie działa? To spierdalaj!
- Furry odwrócił się na pięcie.
- Dlaczego? Ja muszę to wiedzieć!
- Rozmawiałem z Jackiem w dniu poprzedzającym wypadek
- odparł cicho Furry. - Powiedział, że jesteś cholernie dobry. Powiedział, że jesteś jakby jego młodszą wersją i żywym dowodem na to, jaka faktycznie jest esencja lotnictwa taktycznego.
- A jaka ona jest?
- „Latanie i jebanie, reszta to namiastki.”
- Locke tak powiedział? - zdziwił się Matt.
- Może nie tymi słowami, ale o to mu chodziło. - Furry uśmiechnął się smutno na wspomnienie przyjaciela. - Poza tym nie można pominąć jeszcze jednej rzeczy: Jack nie wybrałby ciebie mając tego durnia za plecami, gdyby w jakikolwiek sposób wątpił w twoje umiejętności.
- Ale ja naprawdę nie mam pojęcia, co się tam stało, a wszyscy twierdzą, że to moja wina.
- Ja tak nie twierdę - odparł Furry z kamienną twarzą.

8

Panie Fraser! - Głos Melissy wmurował go w podłogę. - B.J. Allison dzwoniła dziesięć minut temu i prosiła, by się pan z nią skontaktował, jak tylko pan wróci.

Gdy Fraser spojrział na zegarek, twarz stężała mu ze strachu: była szósta trzydzieści dwie.

- Czego ona może chcieć w środku nocy? - mruknął pod nosem, wchodząc do biura.

Wiedział, że B.J. jest nocnym markiem i często pracuje do czwartej rano, by wstać dopiero w południe, ale telefon o tej porze mógł zwiastować tylko kłopoty.

Melissa zauważyła światelko sygnalizujące, iż prywatna linia Frasera jest zajęta, co zgodnie z jego poleceniami oznaczało, że nie wolno mu przeszkadzać pod żadnym pozorem.

Gdy sześć minut później zadzwonił prezydent, światelko nadal się paliło.

- Czy ty nigdy nie śpisz? - zdziwił się Zack.

- Dopiero co przyszedłem, *sir*. - Było to wierutne łgarstwo, bo w pracy gościła już od ponad godziny.

Zarabiała rocznie pięćdziesiąt trzy tysiące dolarów, nie miała czasu dla siebie ani wakacji i zaczynała odczuwać pierwsze objawy cynizmu, uświadamiając sobie powoli, że nigdy nie będzie miała rodziny. Mimo to w rzadkich chwilach szczerości przyznawała, że nie zmieniłaby nic w swoim życiu: kochała Zacka Pontowskiego i dawno temu stał się on obiektem jej lojalności i dobrowolnego poświęcenia. Gdy była młodsza, często w marzeniach dodawała do tego kwestię łóżkową, ale te zapędy należały już do przeszłości: pociągał ją między innymi dlatego, że był absolutnie wierny żonie.

- Tom już jest? - Pytanie prezydenta przerwało jej rozmyślenia. - Nie odpowiada przez intercom.

- Jest, ale często gdy pracuje, wyłącza sygnał. Pewnie się zamyślił i nie zauważył lampki, zaraz mu powiem. - Mając w nosie zakazy, wmaszerowała do jego biura, świadomie nie pukając: w ten sposób miała okazję dowiedzieć się, co też tak ostatnio zaprzęta uwagę Frasera.

- Cholera, B.J., robię, co mogę... - Siedział tyłem do drzwi, więc nie zauważył jej wejścia.

- Przepraszam.

Odwrócił się jak ukłuty, a Melissa pokazała palcem na intercom, na którym błyskała lampka sygnalizująca połączenie z apartamentem prezydenta.

- Prezydent próbuje się do pana dodzwonić - dodała wychodząc.

- Zaraz zadzwonię - rzucił Fraser w słuchawkę i przerwał połączenie.

No, no - to było coś nowego: B.J. Allison dzwoniła do niego trzeci raz w tym tygodniu. Siadając przy swoim biurku, Melissa miała zadumaną minę.

Furry bynajmniej nie był zachwycony przygotowaniem Matta do lotu, mimo iż lot był prosty: pojedyncza maszyna i niski pułap.

- To wszystko? - spytał, gdy Matt skończył.

- Wszystko. Teraz do roboty. - Matt miał ochotę na kawę, no i potrzebował chwili spokoju, by zebrać się na odwagę i stłumić wątpliwości. - To głupota robić całe przygotowanie, skoro lecimy sami. Wiemy, co mamy zrobić, i detale możemy uzgodnić w powietrzu.

- „Jeśli to co głupie jest skuteczne, to wcale nie jest to głupie” - uśmiechnął się tryumfalnie Furry. - To jedna z „Zasad Przetrvania” Furry’ego.

- Co proszę?

- Mam ich całą listę, pomagają przeżyć.

- A jaka jest pierwsza? - zaciekawiał się Matt.

- „Zawsze pamiętaj, że twój samolot został zbudowany przez najtańszego producenta.”

- Dobra, pies trącał kawę. Twoja kolej.

Przez następne dwadzieścia minut Furry zasypywał go technikami, procedurami i możliwościami na wszelki wypadek, recytowanymi z pamięci. Gdy wyszli z sali odpraw, Matt uświadomił sobie, że ma do czynienia z doświadczonym zawodowcem, który o użyciu skomplikowanego narzędzia zwanego F-15 Eagle wie prawdopodobnie więcej niż jego konstruktorzy.

- W twoim wykonaniu brzmiało to tak prosto... - zaczął Matt.

- „To co ważne jest zawsze proste.”

- Kolejna „Zasada Przetrwania”?

- Owszem, ale ta łączy się z inną: „To co proste jest zawsze trudne”.

Gdy znaleźli się we wzmocnionym bunkrze, w którym stał ich samolot, Matt odczuł zmianę w zachowaniu *wizzo*: zniknęła nonszalancja, zmieniło się tempo kroków. Powoli zrozumiał, że ma do czynienia z zawodowym wojownikiem, którym kieruje coś więcej niż chęć wzięcia udziału w walce, gotowość zaryzykowania życia i wola zniszczenia przeciwnika. Dziwne, ale to go uspokoiło: zupełnie jakby wreszcie odkrył sens tego, co robi.

Dobra maszyna - orzekł z uznaniem Matt, gdy wreszcie odłączyli się od tankowca i skierowali w dół na drugi lot na małej wysokości.

Tym razem udawali się na południe, gdzie między wzgórzami północnej Anglii znajdował się poligon RAF z symulowaną sowiecką obroną przeciwlotniczą. Ich zadaniem było przebić się przez symulowany ogień artylerii przeciwlotniczej i rakiet wspomaganych realnymi radarami i zagłuszaniem elektronicznym, a następnie zrzucić sterowaną laserem bombę na atrapę bunkra sztabowego.

- Wszystkie systemy sprawne - poinformował go Furry.

- Przełącz autopilota na TFR.

Matt ustalił wysokość lotu na pięćset stóp, nadal nie dowierając TFR; sprzął autopilota z radarem i włączył całość. Następnie puścił drążek, choć nie przestał uważać, gotów przejść stery, gdyby coś w elektronice zawiodło.

- To ma być niski lot - jęknął Furry - zejźdź przynajmniej na trzysta stóp. Zaraz będzie ładniejszy obraz na FLIR.

Matt zerknął na ekran wielofunkcyjny, na którym miał obraz z LANTIRN podwieszzonego w zasobniku pod prawym płatem; w lewym zasobniku był TFR i FLIR nawigacyjny i celowniczy. To właśnie te zasobniki powodowały, że F-15E był maszyną zdolną do skutecznego działania przy każdej pogodzie, zarówno w dzień, jak i w nocy - dzięki temu królował na irackim niebie. Obraz na ekranie był w podczerwieni i na trzystu stopach faktycznie był tak wyraźny jak normalny widok, jaki miał na HUD. Żeby się upewnić, Matt sprawdził prawy monitor, na którym był obraz z TFR - wszystko pasowało do siebie wręcz idealnie.

Furry najwyraźniej próbował mu przypomnieć, co potrafi Eagle, i odbudować jego pewność siebie, nadszarpniętą przez wypadek.

- Pojeździłeś sobie, to teraz do roboty... - polecił. - Musimy faktycznie zejść w krzaki, jeśli mamy nadlecieć niezauważeni.

Jakby na potwierdzenie, w słuchawkach rozległ się delikatny ćwierkot TEWS informujący o aktywności radarowej z przodu.

- Amb, nie wiem, czy TFR będzie działał tak nisko, a jeśli zawiedzie...

- To nie będziesz miał czasu się tym martwić - warknął *wiz- zo*. - Zaczynj wreszcie wykorzystywać możliwości tej maszyny, albo ktoś nam faktycznie zrabie dupę.

- Jezu, Amb! To tylko ćwiczenia.

- „Trenuj tak, jak chcesz walczyć.”

- Cholernie oryginalne. Następna zasada?

- Właśnie! - szczeękęło w słuchawkach.

Matt powoli się odprężał: Eagle działał bez zarzutu i jego zaufanie do F-15 zaczynało wracać.

Furry tymczasem sprawdzał wykryte zagrożenia przed nimi i zmienił zaprogramowany przed lotem kurs tak, by ominąć koncentrację pelotek przelatując wewnątrz wąwozu. Obraz TSD na jednym z monitorów mrugnął i pojawiła się na nim poprawiona trasa. TSD była to bezustannie się przesuująca elektroniczna mapa, sprzężona z żyroskopem laserowym systemu

nawigacyjnego i komputerem nawigacyjnym. Oprócz terenu wokół ukazywała też ich pozycję i całą masę informacji nawigacyjnych.

- W tej dolinie musimy zejść niżej - oznajmił Furry i Matt posłusznie zmniejszył wysokość lotu na dwieście stóp.

Nie mógł wyjść z podziwu nad szybkością, z jaką Furry włączył EMIS, omiatał teren radarem, przełączał go na sprawdzanie przestrzeni powietrznej, sprawdzał ją i wyłączał EMIS. Wszystko to trwało sekundy i znów lecieli w elektronicznym zaciemnieniu, mając uzupełnione dane o tym, co ich otacza.

- Szkoda, że nie możemy użyć TEWS do zagłuszania - westchnął Furry.

Aktywne wykorzystanie TEWS, to znaczy zagłuszanie, było bowiem dozwolone tylko w czasie działań wojennych; podczas pokoju, niezależnie od stopnia manewrów, używano tylko biernych możliwości, czyli systemu wczesnego ostrzegania.

Ćwierkanie w słuchawkach zmieniło ton i stało się bardziej natarczywe.

- Myśliwce - mruknął Furry. - Słuchaj, naszą pozycję mam dokładną, więc jak wyłączę EMIS, przeszukaj powietrze i znikamy.

Była to jedna z rzeczy, o których mówił przed lotem, tak że zgrali się doskonale.

- Dwa cele z przodu o czterdzieści dwie mile.

- Pewnie Tornada z Piątego Dywizjonu RAF w Coningsby - wyjaśnił Furry. - Słyszałem, że to ich poligon. Są niezli, ale ich radary pokładowe są głównie warte. Spróbuj prześlizgnąć się bokiem.

Matt w pierwszym odruchu postanowił spytać *wizzo* po powrocie, skąd tyle wie o RAF, ale w końcu zdecydował, że lepiej nie, bo znów usłyszy którąś z tych jego zasad, pewnikiem w stylu: „Znaj wroga lepiej niż żonę”, czy coś w tym guście.

- A, co tam. - Furry zaczął pokazywać kły. - Nawet jeśli nas nie widzą, można zaryzykować. Zestrzelenie jest zestrzeleniem.

- Zrobimy tak. - Matt poczuł, jak wzrasta jego pewność siebie. - Najpierw wykorzystamy AMRAAM, a potem Side-windera.

Furry chrząknął potakująco: im więcej ze sobą latali, tym mniej słów musieli używać, by się zrozumieć. AMRAAM, inaczej AIM-120, była rakieta średniego zasięgu, samonaprowadzająca się w końcowej fazie lotu; na początku naprowadzała ją odbita wiązka radaru F-15. Pomysł Matta polegał na tym, by po tym, jak AMRAAM przejdzie na samonaprowadzanie, odpalić Sidewindera, czyli samonaprowadzający się na źródło ciepła pocisk bliskiego zasięgu. Oba dotarłyby do celu w tym samym czasie i gdyby rzecz działa się w prawdziwej walce, pilot Tornada miałyby niewielkie szanse ujęcia obu.

- Potem zabieramy się za bocznego Sidewindera i działko.

- Nie da się - zmartwił się Furry. - Jeśli nie było odprawy bezpośredniej przed walką, zgodnie z ROE tylko jedno podejście i nie bliżej niż jedną milę, a to za daleko na działko.

ROE, czyli zasady walki, były zbiorem przepisów dokładnie olewanym w czasie wojny, ale respektowanym w czasie pokoju, choć psioczono na nie niesamowicie. Były one bowiem pomyslane tak, by zachować pilota przy życiu.

- Spróbujemy - uparł się Matt. - Teraz!

Furry wyłączył EMIS, Matt namierzył maszynę prowadzącą i zasymulował odpalenie AMRAAM, a następnie zameldował na częstotliwości używanej przez wszystkie samoloty nad poligonem.

- Fox jeden, cel: lecący na północ Tornado na dwunastu tysiącach stóp.

I czekał, obserwując na radarze, jak formacja rozdziela się w uniku. Zbliżył się i gdy komputer dał znać, że pocisk przeszedłby na własne naprowadzanie, namierzył Sidewindera i zasymulował odpalenie.

- Fox dwa, ten sam samolot!

Teraz poszukał drugiej maszyny, przestawiając jednocześnie przełącznik uzbrojenia maksymalnie w lewo, co spowodowało trzy rzeczy: radar został przełączony na poszukiwanie najbliższego celu i automatyczne namierzanie, wielolufowe działko kaliber dwadzieścia zostało uaktywnione, a na ekranie HUD pojawił się celownik. Dzięki tej kombinacji nie musiał się rozglądać po niebie, by wprawdzie dojrzeć, a dopiero potem namierzyć przeciwnika - elektronika załatwiała to za niego.

Następnie przerwał kontakt i prysnął w słońce - była to technika oglupienia przeciwnika, którą Furry zaproponował na odprawie. Pilot namierzanego samolotu dostał bowiem ostrzeżenie, iż jest w wiązce radarowej F-15, a gdy sygnał zniknął, pilot, nie bardzo wiedząc, co się dzieje, skupił się na odszukaniu napastnika, który był już skryty w słońcu.

- *Tallyho* boczny! - wrzasnął Matt, przestawiając przełącznik uzbrojenia na średnie położenie, uaktywniające Sidewindery.

- *Tallyho* prowadzący - odezwał się spokojnie Furry - siedzi nam na ogonie, ale możesz go olać. Już go zrobiliśmy.

Gdyby walka rozgrywała się naprawdę, to prowadzące Tornado byłoby już kulą ognia, toteż Furry potraktował maszynę, zresztą słusznie, jako zestrzeloną.

Matt przeszedł w nurkowanie pod kątem czterdziestu pięciu stopni, kierując nos F-15 dokładnie na ocalały samolot.

- Tylko jedno podejście - przypomniał *wizzo*.

Zgodnie z ROE nie musiało ono być równoległe do powierzchni ziemi. Matt wybrał pionowe. W słuchawkach rozległo się ćwierkanie Sidewindera mającego zamiar.

- Fox dwa, cel: Tornado w ostrym lewym skręcie - nadał Matt i włączył dopalacz, nie wychodząc z nurkowania.

Para silników marki Pratt and Whitney F-100-229, napędzająca F-15, ożyła i goniący ich Tornado został w tyle.

- Fox jeden, cel: Eagle - rozległ się w słuchawkach głos z brytyjskim akcentem.

- Nieźle jak na trupa - skomentował Furry.

- Dzięki za zabawę - włączył się Matt. - Musimy lecieć, panowie.

Wyrównał i wrócił do pierwotnego zadania, biorąc kurs na cel.

- Chcę sprawdzić naszą pozycję - oznajmił niespodziewanie Furry, włączając funkcję sprawdzającą komputera.

Ekran rozjarzył się elektroniczną mapą i symbolami nawigacyjnymi. Jeśli komputer nawigacyjny i system żyroskopów były całkowicie dokładne, to dane takie, jak na przykład punkty, w których trzeba zmienić kurs, czy zaprogramowane przed lotem cele, powinny pokryć się z ich radarowymi odbiciami rzeczywistości. W życiu rzadko się to jednak zdarzało.

Furry umieścił kursor na jednym z celów, którym było skrzyżowanie niewielkich dróg, następnie wcisnął Auto Acq i zamroził obraz. Mówiąc krótko, zaczął sobie ręcznie robić mapę z odczytu radarowego. Komputer odmroził obraz po kilku sekundach. Furry powtórzył operację trzykrotnie, a następnie nałożył na obraz radarowy mapę i umieścił kursor na skrzyżowaniu obranym jako cel pierwszej poprawki. Wcisnął Enter, przeniósł kursor na drugi i powtórzył operację. W praktyce oznaczało to powiedzenie komputerowi, że cel taki a taki powinien być w tym i w tym miejscu, gdyby system nawigacyjny pracował idealnie. Komputer porównał obie pozycje, odejmując ruch samolotu, jaki nastąpił między poszczególnymi operacjami, i skorygował mapę. Obraz na ekranie TSD zamigotał i przeskoczył na nowe dane. Autopilot lekko zmienił kurs i wszystko wróciło do normy. Cały czas samolot leciał z prędkością czterystu osiemdziesięciu węzłów na wysokości dwustu stóp nad ziemią.

Operacja zajęła czterdzieści pięć sekund.

- Najlepsza gra na świecie - roześmiał się Furry. - No to się pobawimy.

Cisza.

- Matt, trzeba się trochę rozruszać, bo robi się nudno. Powiedzmy na przykład, że w ostatniej walce doznaliśmy uszkodzeń... dajmy na to, straciliśmy radar, laser i FLIR i zrzutu musimy dokonać ręcznie.

- Amb, uspokój się, nie robiłem czegoś takiego sześć miesięcy!

- No to najwyższy czas!

- Daj mi odsapnąć, co?

- Dobra, dobra, nie może sobie człowiek pomarzyć?! Zrobimy to następnym razem.

- Stokrotne dzięki - odsapnął Matt, nie mogąc wyjść ze zdumienia: Furry właśnie chciał doprowadzić maszynę i ich samych do granic, o których Matt wołał nawet nie myśleć.

Matt przejął stery, gdy minęli ostatni punkt kontrolny na drodze do celu. Obleciał niewysokie wzgórza, zmniejszając wysokość do stu stóp i używając rzeźby terenu jako osłony przed

wykryciem. Furry przełączył FLIR na celowanie i choć byli o jedenaście mil od celu, na ekranie ukazał się niewiarygodnie czysty obraz w podczerwieni. Betonowy bunkier otoczony był kwadratem celownika komputerowego, który *wizzo* natychmiast zmienił na trójkąt - symbol celu. Kolejny przycisk uruchomił komputer bombardujący, którego zadaniem było takie ułożenie trajektorii, by zwolnić bombę we właściwym momencie, zapewniającym trafienie w oznaczony cel.

- Przetwarzacz - oznajmił Furry.

Ponieważ Matt także miał uzbrojenie przełączone na w pełni automatyczne, wcisnął przycisk spustu i czekał. Gdy osiągnęli pozycję wyliczoną przez komputer, bomba została automatycznie odłączona, co odczuli jako lekki wstrząs maszyny.

- Oznaczam. - Furry wcisnął przycisk na dole lewej dźwigni, a Matt położył samolot w skręt, by mu ułatwić zadanie.

Dzięki FLIR zobaczyli na ekranach, jak bomba wlatuje do bunkra przez drzwi oznaczone laserem obsługiwanym przez Furry'ego.

- Dziwny sposób zarabiania na życie - stwierdził Matt, sprzegając TFR z autopilotem.

Zmęczenie lotem dawało o sobie znać i Matt miał ochotę się przekimnąć zamiast brać udział w odprawie, ale Furry się uparł, że po locie powinni o nim porozmawiać. Matt zgodził się - po trosze dlatego, że nie chciał robić mu przykrości, po trosze zaś dlatego, że mimo wyczerpania ogarnęło go uczucie dziwnej satysfakcji, w które zachciało mu się nieco zagłębić.

W drodze do sali odpraw minęli dwóch pilotów próbujących wycyganić od dyżurnego ekstra lot.

- Hej, zabiłeś dziś kogoś? - spytał jeden.

W przypływie naglej furii Matt odwrócił się ku niemu jak oparzony.

- Jeszcze nie, ale skoro się, kurwa, prosisz... - Urwał, gdyż jego prawa ręka znalazła się w żelaznym uścisku.

Furry.

- „Wiedz, kiedy trzeba pryskać” - warknął *wizzo*, siłą ciągnąc go do sali odpraw.

- A co to ma do cholery znaczyć?
- Że dziś nie jest dobry dzień na mordobicie - wyjaśnił Furry, zamykając za sobą drzwi.
- Aha, następna z twoich zasad?
- Właśnie!

Znów szarpiące nerwy oczekiwanie. Shoshana chciała spytać, kiedy Habish wróci, ale ugryzła się w język i zajęła studioowaniem czterech ścian piwnicy domu Avidara, do którego udali się po ucieczce z lotniska. Zeev uniósł głowę znad klawiatury, jakby wyczuwając, co ją trapi.

- Zajęcie pomaga nie myśleć - wyjaśnił, uruchamiając drukarkę laserową.

Po kilkunastu sekundach wyjechały z niej nowe dokumenty dziewczyny. Avidar obejrzał je krytycznie, skinął głową i włożył do podajnika chemicznie postarzoną kartkę cienkiej tektury. Drukarka zaszumiała i wypluła całkiem prawdziwie wyglądający iracki dowód tożsamości.

- Teraz potrzebujemy zdjęcia. - Avidar usadził dziewczynę, drapując jej czarny szal na głowie i zrobił serię fotografii Polaroidem, po każdym zdjęciu zmieniając jej makijaż.

Na jednym wyglądała jak wieśniaczka, więc obrobił je chemicznie, postarzając odpowiednio do wyglądu dokumentów, przyciął i nakleił. Drobnym retusz, pieczęć i wręczył jej gotowy zestaw papierów. Następnie powtórzył całą operację, tyle że tym razem była uczennicą.

Obserwowała go z podziwem tym większym, że nie przypominał jej światowej klasy fałszerza (sama zresztą nie wiedziała, jak ktoś taki powinien wyglądać), tylko przekupnia z dowolnie wybranego bazaru bliskowschodniego: śniady, chudy, o lekko zaokrąglonych ramionach. Jedyne wyraziste brązowe oczy zdradzały, że na prawdę jest artystą.

- Gdy będziemy wyjeżdżali, muszę to wszystko zniszczyć. - Ze smutkiem wskazał komputer i resztę sprzętu. - Gad i ja dysponujemy czterema zestawami dokumentów, ale nigdy nie miałem okazji zrobić tyłu dla ciebie.

- Kiedy Habish wróci? - spytała, nie mogąc dłużej ukryć niepokoju.

- Wkrótce. - Avidar znów pracował. - Zadzwoni, gdy będzie gotów.

- Co on tam tak długo robi?

- Nie powinnaś o to pytać - warknął odruchowo i dopiero po chwili dodał: - Kończymy akcję, więc musi skontaktować się ze wszystkimi, przekazać instrukcje, pieniądze i nowe dokumenty. To wymaga czasu.

- Myślisz, że Mukhabaret szuka nas wszystkich?

- Jeżeli jeszcze tego nie robi, to wkrótce zacznie.

Dzwonek telefonu w niewielkim betonowym pomieszczeniu brzmiał wręcz przeraźliwie. Rozległy się dwa dzwonki i cisza. Gdy po chwili rozległ się kolejny, Avidar odebrał, wysłuchał rozmówcy nie odzywając się słowem i odłożył słuchawkę.

- Habish - wyjaśnił. - Niedobrze, śledzą go i musiał się pozbyć samochodu. Mamy go zgarnąć w pobliżu uniwersytetu. Musimy się pośpieszyć.

Weszli na górę, zasuwając na miejsce szafę zasłaniającą drzwi do piwnicy, i tylnymi drzwiami wydostali się na podwórze, gdzie stały samochody załatwione przez Avidara. Wsiadli do jednego z nich i ruszyli.

Korek przy Jumhuiya był wyjątkowy nawet jak na Bagdad, toteż Avidar kłął na czym świat stoi. W końcu przebili się i koło placu Antar ruch był już normalny.

- Objedziemy okolicę tylko jeden raz - uprzedził. - Albo Gad już jest, albo przyskamy sami.

- Nie możemy go tak po prostu zostawić...

- Możemy i zostawimy. Najważniejsze jest wywiezienie strzykawki z tego cholernego kraju. Dziś w nocy musimy opuścić Bagdad. Sięgnij pod deskę rozdzielczą, jest tam przymocowany uzi... znalazłaś? Doskonale, bądź gotowa go użyć.

Skręcili w wąską uliczkę prowadzącą w bok od placu.

- Widzę go! - ucieszyła się Shoshana. - Na prawo, przy tym budynku. Zauważył nas.

- Widzę. Po drugiej stronie ulicy jest dwóch tajniaków. - Avidar nacisnął na gaz. - Bierz uzi!

Używając samochodu jako barykady między tajniakami i Gadem, podjechał do tego ostatniego i gwałtownie zahamował

w kontrolowanym poślizgu. Shoshana boleśnie uderzyła czołem o deskę rozdzielczą, ale uzi nie puściła. Zanim jednak zdążyła unieść broń, rozległy się cztery strzały i jęk Avidara. Habish gwałtownym szarpnięciem otworzył prawe drzwi i wskoczył na tylne siedzenie; Shoshana wysunęła lufę uzi przez okienko kierowcy i omiotła uliczkę krótką serią.

- Jazda! - wrzasnął Gad.

Weisnęła rannego w kąt pomiędzy drzwiami i oparciem, by mieć jakiś dostęp do kierownicy i biegów, i wrzuciła - jak sądziła - jedynkę dusząc równocześnie gaz do dechy. Okazało się, że był to trzeci bieg i silnik prawie zgasł z gwałtownym szarpnięciem. Z tyłu huknęły dwa następne strzały i dziewczyna poczuła gorąco na szyi. Habish odpowiedział ogniem i wrzasnął:

- Dostałem drania!

Z piskiem opon minęli narożnik.

- Zatrzymaj wóz! - polecił Gad i zanim zahamowała, wyskoczył, znikając za rogami.

Nie wiedząc, co będzie dalej, zrobiła to co oczywiste: obiegła samochód, otworzyła drzwi od strony kierowcy i wyciągnęła rannego. Udało jej się umieścić go na tylnym siedzeniu, gdy wrócił Habish. Bez słowa siadł za kierownicą i ruszyli.

- Obaj martwi - oznajmił, podając jej radiotelefon. - Słuchaj komunikatów o ruchu drogowym, a gdyby nas śledzili, od razu mnie informuj.

Nie musiał wyjaśniać, że wyskoczył, by upewnić się, czy obaj agenci nie żyją i w razie potrzeby dobić ich - to była rutyna.

Jakoś udało się jej opatrzeć Avidara na tyle, że zatamowany został upływ krwi. A potem byli już w wynajętym przez niego domu - nikt ich nie ścigał, nie ogłoszono też żadnego alarmu przez radio. Razem wynieśli rannego z wozu i ułożyli go na pace poobijanej ciężarówce, którą kupił od celników, po czym zajęli się uprzątnięciem śladów swego pobytu w domu.

Shoshana paliła wszystkie, nawet z pozoru nieistotne papiery, a Habish podłączył dwa druty do zasilania komputera i kontaktu w ścianie: zaiskrzyło i ze stopionych obwodów poszedł dym. Powtórzył tę operację z drukarką i uniósł okrągłą pokrywę w podłodze.

- Studnia - wyjaśnił, wrzucając tam dymiący jeszcze sprzęt.
- Kiedyś pewnie to znajdą.

Następnie zaprowadził ją na piętro do sypialni i wskazał rozłożone na łóżku ubranie.

- Czas na żonę rolnika. Strzykawkę powieś między piersiami i przyklej taśmą - polecił.

W czasie gdy się przebierała, Gad załadował ciężarówkę żywnością, wodą i kanistrami z benzyną ze zgromadzonych w piwnicy zapasów.

- Gdzie apteczka? - spytała schodząc ze schodów, już w nowym ubraniu.

- W ciężarówce - odparł, przebierając się w chłopski strój - koło Avidara.

Shoshana wspięła się na pakę - faktycznie, obok rannego była apteczka i latarka.

- Avidar, muszę cię obejrzyć. Czy oprócz boku jeszcze gdzieś dostałeś?

Oslabiony, potrząsnął nieznacznie głową.

- Wpierw zatamuj krwawienie - szepnął. - Potem starannie oczyść ranę.

Jak na ironię, ranny został właśnie ten członek grupy, który najlepiej się znał na opatrywaniu ran. Shoshana rozcięła mu koszulę i obejrzała ranę - w lewym boku był okrągły otwór wlotowy, z którego sączyła się krew, przeciekając przez chusteczkę - prowizoryczny opatrunek, jaki zrobiła na miejscu wypadku. Rany wylotowej nie było, a więc kula tkwiła w ciele.

Habish wspiął się obok niej i odebrał jej latarkę, oświetlając rannego i z niesmakiem obserwując jej nieporadne poczynania w roli pielęgniarce.

- Odsuń się - polecił po chwili.

Z wprawą opatrzył ranę i oznajmił łagodnie:

- Nie powinieneś być się zatrzymywać, powiedziałem ci, żebyś mnie zabrał tylko wtedy, gdy to będzie bezpieczne. Zawsze byłeś durkiem - dodał, widząc słaby uśmiech rannego.

- Dobra, zbieramy się.

Po otuleniu Avidara kocem wsiedli do szoferki i ku zdumieniu Shoshany silnik zaskoczył od pierwszego przekręcenia kluczyka.

- Avidar go podrasował - wyjaśnił Gad. - Powinnaś umieć zajmować się rannymi - dodał z wyrzutem w głosie.

Miał rację, więc nie odezwała się słowem.

- Dokąd? - spytała dopiero po chwili.

- Kirkuk.

Czterej obecni czekali na reakcję prezydenta. Cagliari spoglądając tępo w notatki, admirał Scovili rozpierając się wygodnie w fotelu, Bobby Burke wpatrując się ponuro w sufit (nie lubił przynosić złych nowin, zwłaszcza gdy nie wiedział, co na nie poradzić), Fraser zaś - odczuwając ulgę: to powinno zająć uwagę Zacka i zepchnąć Bliski Wschód i ropę na bardzo daleki plan.

- A jeśli się mylimy? - spytał w końcu Pontowski.

- Należy to brać pod uwagę, ale zbyt wiele źródeł i zbyt wiele detali pokrywa się w tym przypadku - odparł Burke.

- Poza tym nie słyszeliśmy i nie widzieliśmy Rokossowskiego od ponad trzech tygodni.

- Jak dotąd nie zrobili żadnych postępów w rozwiązywaniu swoich problemów ekonomicznych - dodał Cagliari. - Niezadowolone przybiera na sile, zwłaszcza w Mołdawii i Azerbejdżanie, nawet w Krajach Bałtyckich, co, biorąc pod uwagę sposób, w jaki się wobec nich zachowywała armia od chwili ogłoszenia niepodległości, jest wyraźnym objawem pogorszenia się sytuacji.

- Terry, co ty o tym sądzisz?

- Wojska sowieckie przegrupowują się, ale głównie do miejsc, o których wspomniał Mike; żadne z tych ruchów nie mogą być uznane za zagrażające NATO czy nawet Krajom Bałtyckim. Dają nam to jasno do zrozumienia, chcą, abyśmy wiedzieli, że nie zagrażają i nawet nie próbują zagrażać NATO - podkreślił Scovili.

Pontowski skinął głową, zadowolony, że przejął tę trójkę i pozostawił na stanowiskach, jakie wyznaczył im jego poprzednik. Okazali się najlepszymi doradcami ze wszystkich, pomimo głośnych obaw Fräsera.

- Wobec tego wygląda na to, że Wiktor Rokossowski straci posadę sekretarza generalnego partii komunistycznej - stwierdził.

- Co samo w sobie nie jest specjalną tragedią - zauważył Cagliari. - Natomiast groźny jest sposób, w jaki to się odbywa: sądziliśmy, że stary, dobry pucz przeszedł już do sowieckiej historii. A tymczasem właśnie na to się teraz zanosi.

- Co gorsza, sprawy się komplikują, bo nie wiemy, po czyjej stronie jest wojsko - dodał Burke.

- Wobec tego, co radzicie? - spytał prezydent, i tak zdecydowany podjąć decyzję dopiero po rozmowie z sekretarzem stanu.

- W tej chwili nie robić nic. - Cagliari pierwszy zdobył się na odwagę. - Nie wolno nam zrobić nic, co Rosjanie mogliby odebrać jako groźbę czy próbę ingerencji w ich wewnętrzne sprawy.

Scovili i Burke zgodzili się z nim.

- W takim razie dziękuję wam, panowie, to wszystko. Tom, poczekaj chwilę - dodał i po wyjściu pozostałych spytał: - A co ty o tym myślisz?

Fraser zawahał się: w kwestiach polityki zagranicznej takie pytania były prawdziwą rzadkością, toteż należało być uczciwym, co z założenia przychodziło mu z trudem.

- Zgadzam się z Mike'em: musimy spokojnie poczekać, aż sami załatwią swoje problemy.

- To wszystko?

Fraser zaprzeczył głową.

- Bliski Wschód. Sytuacja w tym rejonie może przestraszyć Rosjan, co nie byłoby wskazane. Naszą reakcją na zajęcie Kuwejtu wykorzystali jako pretekst do załamania systemu; trudno przewidzieć, jak zareagują, gdy ten obszar utraci stabilność.

- Jaki rodzaj destabilizacji mógłby pchnąć ich do działania?

- To nie moja działka. Dlaczego nie spytać specjalistów? Jest Cox i to jego cudowne dziecko: Carroll.

- Tom, mam dziwne wrażenie, że się z nimi nie zgadzasz - uśmiechnął się Pontowski, całkowicie zaskakując Frasera.

- Cóż... - wykrztusił. - Nie zgadzam się. Jestem zwolennikiem wyważonego podejścia do Bliskiego Wschodu i sądzę, że oni są zbyt proizraelscy. Potrzebujemy przyjaciół po obu stronach, a nie tylko po jednej... Ale to nie moja sprawa, więc się nie odzywam i wykonuję swoje obowiązki.

- To jest?

- Utrzymywać stały przepływ informacji, faktów, opinii i pomysłów i zajmować się całą resztą tych przeklętych papierów.

- I niech tak zostanie, Tom, doskonale ci to idzie - stwierdził Pontowski z uśmiechem.

Fraser wiedział, że to koniec rozmowy, i wycofał się pośpiesznie do swego gabinetu rekreacyjnego, zastanawiając się przez całą drogę, czy Zack nie chciał dać mu czegoś do zrozumienia; a jeśli tak to czego?

B.J. Allison dzwoniła, gdy pana nie było - powitała go Melissa.

Fraser zdecydował się zignorować ten telefon.

9

Dyskrecja i takt to pojęcia względne, zwłaszcza w takim miejscu jak Waszyngton D.C., gdzie wszyscy są w pewnej mierze ich zwolennikami, a im wyżej kręgów władzy ktoś się znajduje, tym istotniejsze jest praktykowanie owych cnót dla własnego dobra. Fraser rozumiał to instynktownie, co znacznie ułatwiło mu mistrzowskie opanowanie zasad gry. Polegał na swym irlandzkim wdzięku i inteligencji, pozwalającej mu z reguły wyprzedzać potencjalnego przeciwnika o co najmniej dwa ruchy, dokładnie maskując przy tym swą prawdziwą naturę.

Kiedy jednakże Thomas Patrick Fraser tracił opanowanie, wyłaziło na wierzch jego południowobostońskie pochodzenie i można było o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest taktowny i dyskretny wobec ludzi o niższym statusie społecznym. Ponieważ jednak nigdy nie miał skłonności samobójczych, nie pozwolił ujrzeć tej strony swej osobowości nikomu z będących wyżej. A B.J. Allison była w konstelacji zdecydowanie wyższej.

- Doprawdy, Tom... - B.J., spojrzała na Frasera znad filiżanki. - Nie sądzę, by prezydent honorował swoje zobowiązania wobec mnie. Jak by nie patrzeć, w czasie ostatnich wyborów udostępniłam ci spore finanse.

Lodowaty ton dobitnie świadczył, iż była zła, że nie zareagował na pierwszy telefon, przez co musiała fatygować się ponownie.

- Wiesz doskonale, że trzeba było wyprać te pieniądze i że Pontowski nie ma o niczym pojęcia.

- Dałeś mi do zrozumienia, że będziesz moim przyjacielem na dworze - dodała, upijając łyk ziołowego napoju, który spożywała przed snem.

Fraser skorzystał z okazji i opróżnił swoją filiżankę: telefon

o trzeciej rano wyrwał go z głębokiego snu - pić mu się chciało jak diabli. Poza tym jeszcze nie całkiem się obudził i kłął w duchu na czym świat stoi, że w środku nocy zmusza się go do wysiłku umysłowego.

- Jeśli kiedykolwiek by się dowiedział prawdy, to sam znacznie śledztwo przed osobiście utworzoną komisją - ostrzegł ją.

- A ja będę pierwszą ofiarą.

- I skandal zaćmi Watergate - uśmiechnęła się B.J. - To będzie jego koniec.

Miała w kieszeni wystarczająco wielu polityków, by móc być pewną reakcji Kongresu. Fraser ugryzł się w język: nie było sensu z nią dyskutować.

- Nie popełniaj błędu, Pontowski to groźny przeciwnik - powiedział tylko.

- Tom, tyle czasu byliśmy przyjaciółmi... nie będziemy się przecież spierać o taki drobiazg. - Dotknęła jego ręki dłonią brązową od plam wątrobianych. - Chcę tylko, by skończyły się te głupie pogłoski o dodatkowym podatku od dochodów z handlu ropą. No i pomysły w stylu kontroli przez państwo działalności towarzystw naftowych w przypadku kolejnego arabskiego embarga. Pomyślałby kto, że nie leży nam na sercu dobro naszego własnego kraju!

Fraser doskonale wiedział, co jej leży na sercu: dochody. Wiedział, że nawet on sam miałby sporo kłopotów ze zrozumieniem tego, co robili jej pomysłowi księgowi, ale prywatnie oceniał, że B.J. podwajała swe zyski za każdym razem, gdy były jakieś poważniejsze podwyżki światowych cen ropy. Nie wiedział, że jeszcze lepiej wychodziła na obniżkach, jeśli wcześniej o nich wiedziała. Głównym i jedynym jej zmartwieniem była reputacja: gdyby metody jej postępowania dostały się do wiadomości publicznej, podniósłby się taki wrzask, że rząd nie miałby wyboru: musiałby znacjonalizować przemysł naftowy.

- Robię, co mogę, ale cuda nie są moją specjalnością - odparł, zastanawiając się, kogo z osób najbliższych prezydentowi gospodyni kupiła jako źródło informacji. - Miarą mojej wartości w jego oczach jest to, jak dobrze prowadzę jego kancelarię, tak naprawdę jestem administratorem, nie politykiem. Wczoraj całkiem wyraźnie dał mi to do zrozumienia...

- Tom! - Allison poderwała się na równe nogi. - Nie słuchasz mnie! Zainwestowałam w ciebie i w tego człowieka. Teraz chcę odzyskać swoje pieniądze.

Fraser z trudem się opanował: zazwyczaj ci, którzy w ten sposób go traktowali, stawali się obiektami jego srogiej zemsty, ale ta starucha była zbyt wpływowa i zbyt bogata.

- Musisz spojrzeć na ten problem także z jego punktu widzenia: wojna arabsko-izraelska oznacza następne embargo - tłumaczył cierpliwie Fraser.

- Wobec tego rozwiązanie jest proste, prawda?

- Przyznam, że jakoś go nie widzę.

- Och, wy, mężczyźni, potraficie czasem być tacy tępi, że aż strach bierze! Każda kobieta od dawna wiedziałaby, co zrobić: nie dopuścić do wybuchu tej wojny.

- Łatwo powiedzieć. Z wykonaniem to zupełnie inna sprawa.

- Nieprawda! - Oznajmiła stanowczo Allison. - Wystarczy pomóc naszym arabskim przyjaciółom i przestać pozwalać, by Izrael kierował naszą polityką zagraniczną. Równanie jest proste: ile ropy mają do dyspozycji Żydzi? Zastanów się, Tom, i pomóż starej przyjaciółce, która o tej porze powinna odpoczywać, a nie tracić nerwy.

Fraser wstał, ciesząc się, że to koniec rozmowy.

- Zrobię, co tylko będę mógł.

- Obyś mógł jak najwięcej. - Tym razem groźba nie była zawałowana.

Melissa sortowała właśnie papiery, gdy Fraser wpadł do pokoju.

- Dlaczego, do cholery, na moim biurku jest taki bajzel? - warknął od progu.

- Bo nie uprzedził pan, że przyjdzie dziś tak wcześnie - odpaliła.

- Cholera jasna! Słuchaj, jeśli nie umiesz porządnie robić tego, co do ciebie należy, to znajdę kogoś, kto to potrafi.

- Fraser zdjął marynarkę i krawat i rzucił je na fotel. - Daj no mi nowe ubranie i świeżą koszulę. - I zniknął w łazience, skąd po sekundzie dobiegło stłumione: - I pośpiesz się, do diabła!

- No, no, ale ktoś cię dzisiaj obsztorcował - mruknęła do siebie Melissa. - Dalej, spróbuj mnie zwolnić, ty dupku. Zobaczmy, kto wygra.

Rozmyślnie dobrała mu zły krawat do garnituru i zaniósła świeżą garderobę do łazienki. Następnie wróciła do siebie, odszukała numer do garażu i poprosiła do telefonu kierowcę Frasera.

Hej, zobacz sam - zdenerwował się młody inżynier. - Trzeci raz to modeluję i za każdym razem wychodzi to samo.

Szef zespołu zajmującego się wypadkiem w Stonewood pochylił się nad najnowszy komputer projektującym - własnością McDonnell Aircraft Company - i przyjrzał się czynnikom, do których miał pretensję jego podwładny.

- Zmień kąt uderzenia o dziesięć stopni i sprawdź - polecił.

Był to ósmy wypadek F-15, jaki sprawdzał, i zaczynał podejrzewać, co mogło spowodować tę fatalną w skutkach katastrofę, którą przeżył tylko jeden z czterech lotników.

- Wynik i tak się nie zmieni - upierał się podwładny, ale wpisał nowe dane. - Nie mówiłem? Takie rozdarcie jak na skrzydle maszyny Pontowskiego może powstać tylko w przypadku, gdy drugi samolot wpadł na nie wykonując przewrót w dół.

- Dobra, czas na próbę.

Obaj zebrali wydruki i taśmę, która ocalała z maszyny Matta, i poszli do sekcji oblatywaczy.

Pilot, z którym się zobaczyli, mógł być programistą koncernu IBM: żadnych uśmieszków i amatoropodobnej brawury, którą szeroka publiczność łączy z lotnikiem. Był bardzo inteligentnym i rozsądnym inżynierem, który okazał się doskonałym pilotem myśliwskim i miał szczerzy zamiar umrzeć ze starości we własnym łóżku.

Zanim się odezwał, wysłuchał obu inżynierów, zapoznał się z taśmą i obejrzał wydruki.

- Ostatni przekaz z maszyny Locke'a... - powiedział w końcu. - Słyszę dwa okrzyki: „Przerwać!” Musimy je przeanalizować.

Już w trójkę pojechali do budynku, w którym mieściło się laboratorium akustyczne. Technik wysłuchał najpierw ich, potem taśmy, następnie przepuścił nagranie przez komputer rozdzielając oba głosy i zaprezentował im rezultat, zaczynając od głosu Locke'a.

- Żadnej paniki, facet był zupełnie spokojny - ocenił oblatywacz.

- Teraz Ramjet...

- To on spanikował.

Cała czwórka wymieniła spojrzenia.

- Myślę, że to oznacza „Upiorny Duecik” - ocenił najstarszy z inżynierów.

Teraz już we czwórkę (technik nie miał zamiaru przepuścić finału) wsiedli do wozu i pojechali do symulatora lotów.

Wybudowany przez McDonnella symulator działał na innej zasadzie niż zwykle, znajdujące się w jednostkach. Kabina zawieszona była wewnątrz planetarium, na którego wewnętrzne ściany wyświetlano sterowane komputerowo obrazy. I to one, a nie kabina przesuwały się zgodnie z poleceniami pilota, co dawało niewiarygodnie realistyczny efekt.

Było to królestwo dwóch ekspertów komputerowych, którym firma płaciła słono, głównie za wymyślanie nowych trudnień. Byli doskonali w swoim fachu i z prawdziwą przyjemnością pokazywali przemądrzałym pilotom F-15, kto jest lepszy w symulowanej walce. Starszy nazywał się Larry Stigler (miał dwadzieścia osiem lat, a wyglądał na osiemnaście). Z natury był milczkiem i wyglądem przypominał bociana. Młodszy, Dennis Leander, miał dwadzieścia trzy lata i wyglądał jak przekarmiony elf, ale charakterek zdecydowanie należał do złośliwego gremlina. W zakładach McDonnell znani byli jako „Upiorny Duecik”.

W szóstkę usiedli przy stole i zabrali się za rekonstrukcję wypadku, sprawdzając wszystkie znane szczegóły. Po wysłuchaniu dotychczasowych rewelacji Stigler uśmiechnął się.

- Ramjet był tu z rok temu i pocił się przez godzinę.

- Rozwalił się w tym czasie trzy razy - dodał Leander. - Generalnie latał o dziesięć mil za samolotem, z głową w dupie. Sądzę, że możemy zrekonstruować tę krakę bez pomyłek.

Oblatywacz włączył do kabiny na miejsce pilota, starszy z inżynierów zaś na miejsce *wizzo*. Młodszy stanął na wąskiej platformie otaczającejabinę: byli trzy metry nad ziemią. Stigler zamknął drzwi i zapanowała cisza. Obraz na ścianie wskazywał, że są na pasie startowym, gotowi do lotu. Pilot włączył silniki, wystartował i zrobił kontrolną beczkę - obraz wykonał zgodnie z rzeczywistym koziołką i z zewnątrz dało się słyszeć głucho lupnięcie: młodszy z inżynierów zleciał z wrażenia na podłogę.

- Jasna cholera, niedobrze mi - jęknął. - Lepiej mnie wyprowadźcie, zanim wszystko zarzygam.

Leander zatrzymał symulację i czym prędzej otworzył drzwi, po czym obaj ze Stiglerem pomogli nieszczęśnikowi w pośpiesznej ewakuacji.

A potem wzięli się do roboty. Oblatywacz wykonał dwie „walki”: raz jako Locke, raz jako Pontowski. Leander kierował drugą maszyną, której obraz pojawiał się na ścianach tak jak w rzeczywistości.

- Dobra, stop! - polecił w pewnym momencie pilot. - Któryś z was może tym polatać? Chciałbym sobie obejrzeć całość z punktu widzenia Ramjeta.

Ponownie obraz zamarł, otwarto drzwi i uśmiechnięty Stigler zajął przedni fotel, a oblatywacz tylny. Umiejętności Stiglera zaskoczyły pilota i przez kilka sekund zastanawiał się, jak tamten poradziłby sobie w prawdziwym samolocie. Potem skoncentrował się na zadaniu i coś mu zaczęło świtać.

- Stig, zamienimy się miejscami - oznajmił po zakończeniu symulacji. - Kiedy usłyszysz, że mówię: „Przerwać”, złap knypel i naprzyj na niego, ale mocno. Tak, jakbyś chciał obniżyć dziób, żeby móc zobaczyć drugi samolot.

Po zamianie weszli w nożyce odtwarzając dokładne położenie obu maszyn.

- Przerwać! - krzyknął pilot.

Stigler zrobił to, co miał zrobić, czyli pchnął dźwąg w tylnej kabynie, starając się zobaczyć maszynę przeciwnika, która była z przodu i niżej. Pilot odruchowo spróbował skontrolować, co w efekcie wyrwało dźwąg obu i ustawiło go w położeniu bocznym. Samolot runął na lewe skrzydło i w dół, dając dokładnie

te kąty uderzenia, które tak zaskoczyły młodszego pilota.

- Dobra, wystarczy - polecił oblatywacz.

Ponownie zebrali się w szóstkę przy tym samym stole. Głos zabrał pilot.

- Z tylnej kabiny faktycznie wyglądało to groźnie - przyznał ze smutkiem. - Latali wolno i pod ostrymi kątami, ale nadal kontrolowali maszyny i mieli miejsce na manewry. Piloci widzieli się bez kłopotów, ale Raider stracił z oczu drugą maszynę: zasłonił mu ją nos własnego samolotu. Dla doświadczonego czy choćby normalnego *wizzo* żaden problem: od tego jest pilot. Ale nie dla tej dupy. Kiedy Locke polecił przerwać walkę, on wrzasnął to samo, zagłuszając pilota, nie dość na tym: spanikował i pchnął drążek, przejmując na sekundę stery. Locke próbował uratować sytuację, ale było za późno - rąbnęli w skrzydło samolotu Pontowskiego... To jedyne wytłumaczenie, chyba że Locke popełnił samobójstwo!

- To możliwe? - spytał Leander.

- Wykluczone - odparł oblatywacz. - Wracalem z nim z Ras Assanya, gdy wyprowadzał Czterdziestkę Piątkę do domu. Nie ten typ.

Koperta zaadresowana na nazwisko Melissy czekała na nią w skrzynce. Pochodziła od Joannie, starej przyjaciółki, która także poświęciła życie pracy. Zadzwoiła wczoraj z Pentagonu, informując ją o finalnym raporcie o wypadku. Melissa poprosiła, by wysłała go pocztą na jej prywatny adres, omijając tym samym standardowe sześć czy siedem poziomów urzędasów, których jedynym celem było poprawić i wygładzić ów dokument, zanim dotarłby do Białego Domu.

Zaparzyła herbaty i przegoniwszy Cezara ze swego ulubionego fotela, zabrała się za lekturę. Cezar dla przyzwoitości popukał, ale był przyzwyczajony, że fotel jest jego, dopóki pani nie ma w domu, potem następuje zmiana.

Melissa była zaskoczona przejrzystością raportu i jednoznacznością wniosków - dokumenty, z którymi zwykle miała do czynienia, rzadko kiedy można było scharakteryzować tymi

przymiotnikami. Jasne było, że US Air Force nie pozwoli na podanie go do publicznej wiadomości w takiej formie: zbyt wiele głów by się posypało, zwłaszcza wśród osób odpowiedzialnych za dobór inspektorów. Jak to zwykle bywa przy oficjalnych dokumentach, to co najważniejsze było w dodatkach. Melissa odszukała „powód zgonu” i w jej oczach stały łzy: przypomniała sobie słowa jedyne go człowieka, którego kochała oprócz Zacka Pontowskiego. Tom Dennison był pilotem myśliwskim US Navy i zginął w wypadku podczas nocnego lądowania na lotniskowcu. Pamiętała, jak jej kiedyś powiedział z uśmiechem: „Inspekcje gotowości bojowej w czasach pokoju przypominają próbę urzędzenia wytwornego przyjęcia w chlewie: rządzi nimi wewnętrzna sprzeczność. Żadna faktycznie gotowa do akcji jednostka nie zaliczy takiej inspekcji bez uciążliwych problemów”.

- Cóż, znam parę osób, które powinny zobaczyć ten raport bez retuszu - poinformowała kota. - I myślę, że ten dupek Fraser nie jest jedną z nich. Chyba spotkam się z Tosh...

Cezar miauknął z aprobatą.

Furry przeprowadził regularne poszukiwania w jednostce, zanim odnalazł Matta. Pontowski siedział samotnie w jednym z pomieszczeń Wywiadu, zaczytany w raporcie o eksportowej nowince Rosji: myśliwcu Su-27, zwanym Flanker.

- Nadal cię omijają? - spytał *wizzo*, siadając na pobliskim fotelu.

- Jak zadżumionego - przyznał Matt i zmienił temat. - Ten, co tu siedzi na stałe, powiedział, że jestem pierwszym z całego dywizjonu, który to czyta.

- I to, jak widzę, z uwagą. I co myślisz?

- Niezła maszyna, bije na głowę MiG-a 29. Myślę, że w końcu znaleźli przeciwnika dla F-15.

- Technicznie tak - zgodził się Furry - ale praktycznie nie są w stanie właściwie go wykorzystać. Żeby nam dorównać, musieliby szkolić pilotów według takich samych co nasze zasad, a to oznacza, że piloci musieliby nauczyć się samodzielnie myśleć. Nie ma siły: komisarze tego nie zaryzykują za nic w świecie. Niezależne myślenie jest sprzeczne z podstawami ich

doktryny i stanowi szalenie poważne zagrożenie.

- Nie mogą być aż tak głupi - zaprotestował Matt.

- Jak dotąd regularnie udowadniają, że mogą i są. To podnosi na duchu, nie? *Á propos* podnoszenia na duchu: poczytaj sobie. - Ambler podał mu wyjętą z kieszeni kopię protokołu powypadkowego i spokojnie poczekał na efekty.

- Kurwa mać! - wzruszył się Pontowski junior.

Protokół był zupełnie jednoznaczny: winnym wypadku i śmierci trzech lotników (w tym własnej) uznany został pułkownik Raider, którego bezpodstawną próbą przejęcia sterów doprowadziła do zderzenia. Matt poczuł, jak spada mu z serca ogromny ciężar - to nie on był winien. Nie popełnił żadnego błędu.

- Podnosi na duchu, nie? - powtórzył Furry, wstając. - Zostawię kopię w kasynie, niech sobie chłopcy poczytają.

Przez chwilę Matt nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

- Chyba wezmę parę dni urlopu... - wykrztusił. - Babka źle się czuje...

- Możesz się z tym wstrzymać? Chyba przydałoby się nauczyć rozumu paru dupków, a zbliżają się ćwiczenia... - Furry uśmiechnął się złośliwie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Furry chrząknął z zadowoleniem i odwrócił się.

- Amb! Dzięki...

Miło, że przysłaś - powitała ją z uśmiechem Tosh. Siedziała w łóżku i czuła się znacznie lepiej, co było po niej widać i co szczerze ucieszyło Melisę.

- Nie daj się oszukać. - Tosh dostrzegła jej radość. - Ta przekłeta choroba odchodzi i wraca, kiedy jej się żywnie podobą. Teraz była uprzejma pójść sobie do diabła.

Zapraszająco poklepała krawędź łóżka. Melissa doskonale zdawała sobie sprawę, że ostatnią rzeczą, jakiej chora oczekuje, jest współczucie. Walkę z chorobą zwaną *lupus*, co po łacinie znaczy „wilk”, uważała za swoją prywatną bitwę.

Obie były starymi przyjaciółkami, toteż pierwsze minuty spędziły na wymianie najświeższych plotek krążących po Białym

Domu. Widać było, jak szybko rozmowa męczy chorą, Melissa przeszła więc do rzeczy.

- Mam dobre nowiny na temat Matta. Został uniewinniony. To nie on spowodował ten wypadek. Dostałam od przyjaciółki kopię ostatecznego raportu w tej sprawie. Sądziła, iż chcielibyśmy jak najszybciej znać prawdę, a oficjalnie dojdzie dopiero za kilka tygodni. Śmiem zresztą wątpić, aby kiedykolwiek ujrzał światło dzienne w obecnej formie.

Tosh uśmiechnęła się, znając zasady „obijania dupy błachą”, w których celowała biurokracja nie tylko wojskowa.

- To doskonale. - W oczach Tosh zalśniły łzy. - Chciałabym go zobaczyć.

- Mogę to załatwić bez problemów.

- Nie. Jest dorosły i samodzielny. - Chorej nagle coś przyszło do głowy: podobnie jak Zack, była urodzonym politykiem. - Czy Fraser wie o tym raporcie? Albo o tym, że tu jesteś?

Melissa przecząco potrząsnęła głową.

- To mu nie mów - zdecydowała Tosh. - Sama powiem Zakowi. Wiem, że Fraser jest doskonałym organizatorem, ale go nie lubię. Trudno mi nawet powiedzieć dlaczego, ale tak jest.

- Ja jestem gorsza - odparła spokojnie Melissa - ja mu wręcz nie ufam! Owszem, jest doskonałym administratorem i naprawdę ciężko pracuje, ale on do czegoś zmierza i z pewnością nie kieruje nim chęć bezinteresownej pomocy prezydentowi... Ostatnio B.J. Allison wydzwania do niego jak najęta, a jego kierowca powiedział mi, że wczoraj o trzeciej rano zawiózł go do jej posiadłości.

- Może na figle? - zażartowała Tosh. - No nie, nie z tą starą małpą. Wiesz, że ona nadal pracuje do białego świtu?

- Wieść niesie, że zawsze była najefektywniejsza o tej porze - odpaliła Melissa - zwłaszcza gdy była młodsza.

- No, no. Podobno nie należy źle mówić o zmarłych lub stojących nad grobem. Jak ktoś ma osiemdziesiąt sześć lat, to kwalifikuje się już do tej drugiej kategorii, prawda? - spytała Tosh z błyskiem w oku.

Obie się roześmiały, ale chora szybko spoważniała.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak ktoś może być tak chciwy władzy czy pieniędzy - westchnęła. - Ale nie ulega wątpliwości, że ona jest. I że lata temu zaprzedała duszę diabłu, byle tylko stanąć na czele przemysłu naftowego tego kraju. Stanęła i będzie za wszelką cenę bronić swoich interesów na Bliskim Wschodzie. Skądinąd wiem, że chciałaby wpływać na politykę Zacka w tym rejonie, i to też może być powód jej zainteresowania Fraserem. Tylko jakiego ma na niego haka?

10

Pięcioletnie bliźniaczki Megan i Naomi wpadły do pokoju i zawisły Furry'emu na szyi, domagając się buzi na dobranoc. Trochę potrwało, zanim matce udało się zagonić je do łóżek. Matt obserwował to z mieszaniną radości i zazdrości. Furry dostrzegł jego uczucia dotyczące domowego ogniska i spytał:

- Dlaczego, cholera, nie cieszy mnie perspektywa tego, że one za parę lat odkryją istnienie chłopców?

- Jest na to rada - uśmiechnął się Matt. - Kup parę dubeltówek i dopilnuj, aby każdy absztyfikant, jaki się tu zjawi, mógł się im dobrze przyjrzeć.

- Ironia polega na tym, że w niedalekiej przyszłości zamierzam ganiać chłopaków za rzeczy, którymi sam się zajmowałem w wieku lat szesnastu. Radość rodzicielskiego stanu, jak sądzę.

- Cóż, przynajmniej znasz przeciwnika.

- Tego już za wiele! - roześmiał się Furry. - Żeby w takiej sytuacji uczyć mnie jednej z moich własnych zasad.

- Pasuje do sytuacji, więc o co chodzi? A przypomniała mi się, jak zobaczyłem rozkazy operacyjne dotyczące „Gunslinger IV”.

Był to kryptonim manewrów, w których miało brać udział ich skrzydło.

- Rozmawiałem dziś o tym z pułkownikiem Martinem - poinformował go Furry.

Matt jakoś nie lubił nowego zastępcy dowódcy skrzydła do zadań operacyjnych, która to niechęć odmalowała się teraz na jego twarzy.

- Chce, żeby twój dywizjon zaplanował naszą taktykę - ciągnął

niezrażony Furry. - zaproponowałem mu, że ty to zrobisz, jako świeżo awansowany.

- Musiałeś się chyba macać z głupim przez ścianę - zdenerwował się Matt. - Jak niby mam to zrobić? Nie jestem przygotowany...

- Jesteś, a poza tym Martin się zgodził.

- Niech cię cholera weźmie za taką przysługę.

- Do diabła, nie zaprosiłem cię na wyzerkę i ochlaj tak bez powodu. Musimy pogadać.

- Amb, postawmy sprawę jasno: nie mam zielonego pojęcia, jak się za to zabrać.

- Pamiętam, jak Locke powiedział dosłownie to samo. - Furry odczekał, aż Matt przegryzie wzmiankę o zabitym.

- Muddy Waters...

- A ten co ma do tego? Czemu jego nazwisko wraca ciągle jak bumerang?

- Bo był rzadkością: umiał poprowadzić ludzi do walki, a oni chętnie za nim szli. Wierz mi, to się naprawdę nieczęsto zdarza. Nie dał wychnienia Jackowi i to zaprocentowało, gdy brudasy otoczyli nas w Ras Assanya. To Locke planował obronę bazy...

Przez następną godzinę Matt dowiedział się dokładnie i z pierwszej ręki, jak Czterdzieste Piąte Taktyczne Skrzydło Myśliwskie miało się przebijać z Półwyspu Arabskiego, a także tego, czego Furry nauczył się przy tej okazji, płacąc za naukę strachem i śmiercią kolegów.

- A potem Locke pomógł obmyślić plan uratowania tych, którzy dostali się do niewoli - zakończył Furry. - Locke przejął dowodzenie od Watersa i okazał się godnym następcą.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Matt, ja nie jestem taki jak Waters czy Locke... czegoś mi brak... I znam tylko jedną osobę taką jak oni... ciebie!

Matt długą chwilę przyglądał mu się w osłupieniu.

- Pieprzysz - wykrztusił wreszcie z niedowierzaniem.

- Nie. To jest fakt i najwyższy czas, żebyś to udowodnił.

- Co to jest do diabła? Jakaś sesja agitacyjno-promocyjna, czy co?

- Na tym właśnie polega praktyka US Air Force. - Furry był

zupełnie poważny. - Ponosimy straty, uczymy się na błędach i ciągle wykonujemy swoje obowiązki. Teraz przyszła kolej na ciebie.

- Amb, ja nie potrafię...

- Nigdy się nie przekonasz, dopóki nie spróbujesz.

- Słuchaj, zrobiło się późno i muszę lecieć. - Matt zerwał się na równe nogi, a gospodarz odprowadził go do drzwi, gdzie dołączyła doń żona.

Oboje pożegnali go i obserwowali, jak odchodzi.

- Naprawdę wytrąciłeś go z równowagi. Jesteś pewien, że on się do tego nadaje?

- Nadaje się, nadaje, tylko sam jeszcze o tym nie wie - odparł spokojnie Furry.

Następnego ranka Matt zjawił się w sekcji wywiadu i poprosił o rozkazy operacyjne manewrów „Gunslinger IV”. Następnie polecił jednemu z sierżantów rozpiąć na tablicy w sali planowania dużą mapę rejonu ćwiczeń i osłonić ją folią. Potem wyrzucił sierżanta, zamknął drzwi, przygotował przybory do pisania i usiadł na krześle ustawionym przed mapą, zdecydowany czegoś dokonać!

Wasze dłonie - powiedziała niespodziewanie Shoshana.

- Co z nimi? - spytał Gad ze zdziwieniem, nie odwracając wzroku od wyboistej drogi, która co jakiś czas usiłowała wyrwać mu kierownicę z rąk.

Starał się wybierać jak najrówniejsze fragmenty nawierzchni, by oszczędzić rannemu wstrząsów i bólu.

- Nie są spracowane. Mój ojciec wyrósł w kibucu; nadal spędza tam wakacje, więc wiem, jak wyglądają dłonie rolnika.

- Urlop w kibucu? Pogratulować pomysłu - mruknął z drwiną Habish. - Potrzebujemy miejsca na nocleg.

- Mamy za czyste i za delikatne ręce - upierała się. - Jak trafimy na kontrolę, a któryś z żołnierzy będzie ze wsi, możemy mieć kłopoty.

- Dlatego jedziemy po tych wertepach: tu nie powinno być kontroli.

Droga przed nimi rozwidlała się, więc Habish zatrzymał

pojazd. Shoshana odruchowo złapała kompas i jedną z map wydrukowanych przez Avidara i wysiadła. W Iraku tylko wojsko i wywiad posiadają w miarę aktualne mapy, ale na to byli przygotowani: na początku akcji Avidar wymienił twardy dysk w swoim komputerze na jeden z zapasowych, który zawierał kartograficzną bazę danych, dzięki czemu można było wydrukować mapy równie dobre jak rządowe, jeśli nie lepsze. Były na nich zaznaczone boczne i polne drogi, mogli więc swobodnie uniknąć autostrady Bagdad-Kirkuk; ponieważ jednak nic na tym świecie nie ma za darmo, to w czterdzieści osiem godzin pokonali ledwie dwieście kilometrów i zostało im jeszcze około stu.

Shoshana zorientowała się w rozkładzie kierunków, sprawdziła mapę i zaczęła szukać w krajobrazie jakichś punktów charakterystycznych. Habish wskazał okolicę na północ od miasta Tuz Khurmatu i oznajmił:

- Powinniśmy być gdzieś tu.

Zgodziła się z nim, po czym postanowiła sprawdzić, jak czuje się ranny. Avidar miał dreszcze, choć był na wpół przytomny i kąpał się we własnym pocie. Dotknąwszy jego czoła wpadła w panikę - było strasznie rozpalone.

- Gad! Avidarowi skoczyła gorączka!

- Obmyj mu głowę zimną wodą - polecił Habish spod ciężarówki, gdzie po łokcie brudził sobie ręce mieszaniną kurzu i smaru z podwozia pojazdu. - I spróbuj mu dać ze cztery aspiryny.

Posłusznie wytrząsnęła cztery pastylki na dłoń, ale zanim zdążyła wepchnąć je rannemu do ust, Gad zjawił się obok niej.

- Ty ofiaro! - jęknął. - Udławi się! Zetrzyj je najpierw albo połam i rozpuść w wodzie. To powinien przełknąć bez problemów.

Godzinę później trafili na pierwszą kontrolę, złożoną z dwóch żołnierzy, którzy, sądząc z pośpiechu, z jakim zdejmowali broń z ramion, byli bardziej zaskoczeni widokiem ciężarówki na tej drodze niż Gad spotkaniem wojska na takim zadupiu. Broń mieli brudną, mundury wymięte, a sami wyglądali jak po parodniowym pijaństwie.

- Kontrola - ostrzegł Gad półgłosem Shoshanę i posłusznie, jak mu kazali, zatrzymał się.

Starszy kazał mu wysiąść i zabrał się za przeglądanie wymiętych papierów, które Habish podsunął mu pod nos. Młodszy podszedł do paki i zajrzał do środka. Na widok samotnej dziewczyny (Avidara ukryła za stertą koszy) uśmiechnął się oblesnie i rozkazał:

- Wysiadaj!

Znajomość arabskiego nie była jej potrzebna: jego gesty mówiły same za siebie.

- Imię? - warknął.

Tym razem strach tak ją sparaliżował, że zapomniała, jakie dane Avidar wpisał w dokumenty wieśniaczki.

- Ma na imię Zanab - odpowiedział Habish.

- Ja pytałem, psi kutasie! - Młodszy zdzielił Habisha kolbą w brzuch i z satysfakcją patrzył, jak mężczyzna zwija się na ziemi w kłębek, a następnie paroma kopniakami wtoczył go pod samochód.

- Chłopi bardziej się troszczą o swoje kozy niż o żony - zarechotał starszy. - Zostaw go, zobaczymy, co tu mamy.

Szarpięciem zdarł jej z głowy szal, odsłaniając twarz.

- Niebrzydka jak na chłopkę - ocenił.

- Za ładna dla chłopca - zachichotał lubieżnie młodszy. - Niech się rozbierze.

Shoshana niewiele zrozumiała z ich rozmowy, ale zdecydowana była nie odezwać się słowem. Widząc, że stoi nieruchomo, starszy żołnierz wyjął bagnet i przebił jej luźną suknię, rozcinając ją następnie na pasy.

- Chyba ci się narzędzia pomyliły - zarechotał jego towarzysz.

- Cierpliwość jest cnotą - odparł starszy i metodycznie pociął resztę ubrania.

Gdy skończył, obaj zaniemówili z wrażenia, zaskoczeni uśmiechem losu.

Shoshana stała nieruchomo, nie patrząc na nich. Już wcześniej liczyła się z możliwością gwałtu, ale nadal było to szokiem; wiedziała, że nikt jej nie pomoże: Avidar był nieprzytomny, a Habish, z bólu, niezdolny do akcji.

Tymczasem młodszy z wojaków pośpiesznie pozbył się

ekwipunku i spuścił spodnie. Następnie, ku zaskoczeniu dziewczyny, zainteresował się wiszącą na łańcuszku strzykawką - na szczęście tylko po to, by zerwać ją i rzucić koledze.

- Pieprzone przesady - warknął, przypuszczając zapewne, że to jakiś amulet.

Przypomniały się jej słowa instruktora: „Daj im to, czego będą chcieli. Jeśli będą chcieli pieniędzy, to im je oddaj, jeśli ubrania, to je zdejmij, jeśli ciebie, to im się oddaj. Ale jeśli zażądamy czegoś, czego nie możesz im dać, to albo ty zabijesz ich, albo oni zabiją ciebie”. Strzykawka była właśnie tym, czego w żadnym razie nie mogła im dać.

Sprężyła się, gotowa do skoku, gdy nagle rozległo się dobrze jej znane „phut” i oglądający strzykawkę osunął się na ziemię. Drugi klęknął z przerażenia, widząc zakrwawioną i bladą jak śmierć postać stojącą z bronią w ręku nad trupem jego towarzysza. Był to Avidar.

- Nie! - Habish na wpół wytoczył się, na wpół wypelzł spod ciężarówki i z trudem się wyprostował.

Odebrał Avidarowi broń i przykładając ją do czoła niedoszłego gwałciciela, zasypał go lawiną pytań w płynnym arabskim. Avidar osunął się na ziemię i Shoshana czym prędzej podbiegła do niego, ignorując fakt, że jest naga. Miał dreszcze, a jednocześnie znacznie wyższą temperaturę niż dotychczas. Mobilizując wszystkie siły, zaciągnęła go na skrzynię ciężarówki i otuliła kocem, po czym przyłgnęła do niego owijając ich oboje następnym kocem. Miała nadzieję, że pomoże ciepło jej ciała; i rzeczywiście: dreszcze powoli ustąpiły, oddech wrócił do normy. Nagle z zewnątrz dobiegł jej uszu trzask walthera.

- Potrzebuję twojej pomocy - rozległ się głos Habisha. - Musimy to tak urządzić, żeby wyglądało, że ci dwaj zdezerterowali.

Zanim ubrała się w coś, co od biedy mogło uchodzić za strój wieśniaczki, Gad zdążył wykopać w rowie niewielkie wgłębienie, w którym ukrył ekwipunek i broń zabitych oraz resztki ubrania dziewczyny. Przysypał wszystko ziemią i przyrzucił kamieniami, żeby wiatr za szybko nie odkrył tajemnicy.

Trupy załadowali na ciężarówkę, by ukryć je z dala od miejsca stacjonowania posterunku, i ruszyli w drogę.

- Avidar potrzebuje lekarza - oznajmiła Shoshana. - Myślę, że wdało się zakażenie.

Habish nie odpowiedział, skupiony na prowadzeniu wozu. Zatrzymali się na kawałku w miarę równego terenu i Gad polecił dziewczynie poszukać jakiegoś miniwąwozu czy innego zagłębienia niewidocznego z drogi.

- Na otwartym terenie nie będą się zatrzymywać - wyjaśnił.

Sześćdziesiąt metrów od drogi znalazła małe zagłębienie terenu, położyła się w nim i zawołała Habisha. Ponieważ jej nie dostrzegł, wstała i pomachała mu. Przenieśli tam ciała obu zabitych, i upewniwszy się, że są niewidoczne z drogi, odjechali.

- Pamiętaj, że najciemniej jest pod latarnią - przypomniał Gad Shoshanie i podał jej strzykawkę: - Ukryj ją.

Rozpięła bluzkę, ale nagle coś innego przyszło jej do głowy.

- To na nic, zatrzymaj wóz. - Wyskoczyła z szoferki i podbiegła do tylnego zawieszenia, o które dokładnie wybrudziła strzykawkę.

Następnie wsiadła do kabiny i rzuciła usmarowany przedmiot na podłogę. Habish z aprobatą kiwnął głową.

- Potrzebujemy lekarza - przypomniała.

- Strażnik powiedział mi, że w ciągu ostatnich dwóch dni dosłownie wszędzie ustawiono blokady i punkty kontrolne. Mają rozkaz wszystkich sprawdzać, a każdego podejrzanego lub cudzoziemca zatrzymywać.

- Więc co zrobimy?

- To, czego się najmniej spodziewają: wjedziemy na autostradę i będziemy się zachowywać jak wszyscy.

- Trafimy na następną kontrolę...

- Zgadza się, ale będziemy jedną z wielu chłopskich ciężarówek czekających w długiej kolejce. Wątpię, by żołnierze byli zainteresowani gwałtem przy takim tłumie świadków.

- Znajdą Avidara i...

- Powiem im, zanim zaczną szukać, że jest chory: ma delirium i ataki szału, właśnie wieziemy go do lekarza. A jak się zrobią zbyt ciekawscy, to im powiem, że pogryzł go wściekły pies. Oni tutaj panicznie się boją wściekłych pies.

- Może powiedzą nam, gdzie szukać lekarza - ucieszyła się Shoshana.

Habish nie odpowiedział: po co pozbawiać ją złudzeń - Avitar nie mógł trafić do irackiego lekarza, bo ten natychmiast zameldowałby władzom o ranie postrzałowej. Wziąwszy zaś pod uwagę częstotliwość występowania lekarzy w tej okolicy, trzeba stwierdzić bez ogródek, że porwanie czy zabicie go niemal natychmiast wywołałoby alarm.

Prywatność - to właśnie ostatnio było dla Zacka Pontowskiego najtrudniejsze do osiągnięcia, toteż niespodziewana przerwa w spotkaniach, równoznaczna z miłą chwilą samotności, była mu jak najbardziej na rękę. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, splótł dłonie na brzuchu i zamknął oczy - wypisz wymaluj obrazek dziadka drzemiącego na ławeczce w parku. Tylko że Zack nie spał - porządkował w myślach dziesiątki opinii, analiz i przypuszczeń, jakie narosły w ciągu ostatnich parunastu godzin wokół wydarzeń w Rosji i na Bliskim Wschodzie. Oceniał je z własnego punktu widzenia i selekcjonował.

Jego punkt widzenia świata kształtowały liczne i trudne doświadczenia. Efektem było przekonanie, że nie należy interpretować wydarzeń przez pryzmat tego, jak powinny się potoczyć losy świata, albowiem lamenty o przewrotności, wręcz perwersyjności świata, o jego niezgodności z ideałem niewiele mają wspólnego z twórczym przeżywaniem życia i na nic się nie przydają. Wyzwanie, jakim jest tworzenie polityki i decydowanie o stanowisku ojczyzny, uważał Pontowski za równie skomplikowane, przewrotne i wymagające doświadczenia jak realny świat.

Przypomniało mu się spotkanie z Winstonem Churchillem, które zawsze wspominał z przyjemnością i dumą pomimo wpływu lat. Churchill był wtedy u szczytu kariery, Pontowski zaś stawiał pierwsze kroki na drodze, która doprowadziła go do fotela prezydenckiego. Wówczas nie zrozumiał słów Winstona, ale teraz były oczywiste: „Wody, które pokonujemy, są targane sztormami i pełne raf oraz mielizn. Mimo to można dopłynąć do bezpiecznego portu, jeżeli zna się sztukę nawigacji, należy się jednak wystrzeżać pychy, morze bowiem jest żywiołem, który stale się zmienia, a jego moc przekracza naszą wyobraźnię.

Należy przyjmować je takim, jakim jest, a nie takim, jakim chciałoby się, żeby było”. Wpraweczka przed wystąpieniem publicznym, pomyślał Pontowski i złośliwie zachichotał. Ale już po chwili znów był tu i teraz.

- Co mamy w planach, Tom? - spytał przez intercom.

- Spotkanie z NSC. CIA ma nowe wiadomości o berku, w jakiego bawią się na Kremlu.

- Coś nowego z Bliskiego Wschodu?

- Nic, panie prezydencie.

- Proszę wezwać podpułkownika Carrolla, chciałbym dowiedzieć się o szczegółach.

Przez chwilę na linii panowała cisza, zanim Fraser znów się odezwał:

- Nie mieliśmy ostatnio praktycznie żadnych informacji z tego rejonu. Wszystko wygląda spokojnie, poza tym wątpię, czy Carroll będzie gotów bez uprzedzenia. W dodatku nie bardzo mamy czas: zaraz po spotkaniu z NSC ustalona jest wizyta delegacji towarzystw naftowych.

- Przyślij mi Carrolla, gotów czy nie: to jego problem, za to bierze pieniądze - warknął Pontowski i skończył rozmowę.

Omwiając sytuację na Bliskim Wschodzie, Bill Carroll nie był ani nieprzygotowany, ani zdenerwowany, jako że codziennie rano sporządzał świeży raport na tenże temat. Czuł się natomiast trochę nieswojo, bo pierwszy raz występował w poje-dynkę jako strona referująca.

- Ostatnia sprawa: zostały przeprowadzone ćwiczenia połączonych sztabów i systemów łączności Syrii i Egiptu, co nasuwa nieodparty wniosek, że konsolidują system dowodzenia wojskami obu państw przygotowując się do rychłej wojny - zakończył.

Pontowski przyjrzał się uważnie Fraserowi.

- Nie wiem jak inni, ale ja nie odnoszę wrażenia, by na Bliskim Wschodzie nie działo się nic nowego - zauważył. - Czy Rosja zwiększyła wsparcie dla Syrii?

- Jak dotąd nie, choć najprawdopodobniej chciałyby - odparł Carroll. - Sprzedaż broni Arabom to dobre źródło dewiz, których Rosja potrzebuje. Natomiast Irakowi dostarczyli część broni zamówionej przed atakiem na Kuwejt i nieobjętej embargiem, dzięki czemu Irak ma obecnie dywizjon Su-27 bazujący

w Mosulu. Wraz z jednostką z Kirkuku wyposażoną w MiG-i 29 daje im to panowanie w powietrzu na tym obszarze.

- A jak wyglądają postępy w zbliżeniu Egiptu czy Syrii z Irakiem? - spytał Cagliari, rozumiejąc, do czego zmierza prezydent.

- Wolne, acz nieustające.

- Moi ludzie się z tym nie zgadzają - sprzeciwił się Burke. - Poza tym Arabowie zawsze mieli problemy z ustaleniem, kto ma robić za pannę młodą na przygotowanym ślubie.

Zebrani parsknęli śmiechem, a DCI kontynuował:

- Panie prezydencie, wiem, że traktat o wzajemnej pomocy między Syrią a Egiptem przypomina ich wzajemne stosunki poprzedzające wojnę siedemdziesiątego trzeciego roku, ale ogólna sytuacja znacznie się zmieniła. Po pierwsze: Egipt honoruje pokój zawarty z Izraelem pomimo rozmaitych, okresowo wynikających między oboma państwami sporów. Po drugie: Rosjanie zajęci są własnymi problemami i dopóki nie ustalą, kto rządzi na Kremlu, nikt rozsądny nie zacznie strzelaniny na Bliskim Wschodzie. Diabli wiedzą, jaka może być ich reakcja na zagrożenie najważniejszego ich klienta, czyli Syrii.

Powtarzam: nikt myślący tego nie zaryzykuje.

Pontowski nie skomentował rozsądku czy myślenia, których brak od lat charakteryzował szczepową politykę Arabów na Bliskim Wschodzie.

- Panowie, dziękuję za przybycie - oznajmił wstając. - Uważajcie na sytuację na Kremlu. Nie chciałbym także, aby na Bliskim Wschodzie wykluło się coś, co nas zaskoczy. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Gdy zebrani wyszli, powiedział:

- Zabieramy się za nafcjarzy, Tom. Można będzie zrobić kilka zdjęć dla prasy.

Wyszli, kierując się do Gabinetu Ovalnego; Fraser nie był zbyt pewny siebie:

- Czy moglibyśmy przesunąć spotkanie o pięć minut? Mam pewne dokumenty, które chciałbym, aby pan podpisał, panie prezydencie... - wyjąkał.

Pontowski zatrzymał się z ręką na klawce.

- B.J. Allison się spóźnia? - spytał bez uśmiechu.
- Ma swoje lata... - jęknął Fraser. - Może damy jej kilka minut?
- Wprowadź delegację natychmiast. Chcę, żebyś i ty wziął udział w tym spotkaniu. I powiedz Melissie, żeby nie przeszkadzała nam pod żadnym pozorem i nie wpuszczała nikogo.

Sierzanci normalnie pracujący w planowaniu poddali się po dwóch godzinach bezskutecznych prób usunięcia Matta z pomieszczenia, pognani natomiast przez majora przewodzącego wywiadowi, spróbowali uprzętnąć bajzel, jaki Matt zrobił wokół siebie, co skończyło się usunięciem ich przez Matta. Szamocząc się między bezsilnością wobec oporu pilota a uświęconą wiarą US Air Force, że porządek i ład oznaczają pracowitość i skuteczność, zdołali dopaść w jakimś kącie Fergusona i poprosić o pomoc. Ferguson polecił im zamknąć drzwi do pokoju i wywiesić tabliczkę, że wejście wyłącznie dla osób posiadających zezwolenie klasy CNWDI.

- Co to jest CNWDI? - spytali prawie chórem.
- Classified Nuclear Weapons Design Information*. - Ferguson szeroko się uśmiechnął. - Pojęcia nie macie, ile się trzeba nalatać, żeby takie zezwolenie dostać. Dlatego nikt go nie chce i mało kto je ma.

Podoficerowie zrobili tak, jak im polecił, i Matt miał wreszcie spokój.

* Tajne Dane o Projektach Broni Nuklearnych (przyp. tłum.).

Dwa dni później Furry zauważył tabliczkę i dostał ataku śmiechu. Gdy się uspokoił, po prostu włożył do środka, na co i tak nikt nie zwrócił uwagi.

- Co cię tak bawi? - warknął Matt.
- Istny krajobraz po bitwie! Czy myślę się, sądząc, że próbujesz pracować?
- „Próbuję” to właściwe słowo. Przecież to się kupy nie trzyma!
- W czym problem? - zdziwił się Furry, podchodząc do określonej folii osłaniającej mapę.

- W rozkazach. Mamy zaatakować bazę lotniczą Ahlhorn w północnych Niemczech.

- Biedne Ahlhorn - zachichotał Furry. - Odkąd sięgam pamięcią, zawsze jest celem w takich manewrach, bo leży pośrodku terenu, nad którym trzeba nisko lecieć. Ścisłej mówiąc, trzeba szorować brzuchem po krzakach.

- Każą nam atakować z północnego zachodu, co znaczy, że po drodze wystrzelają nas jak kaczki - wyjaśnił ponuro Matt.

- Człowiek miał nadzieję, że US Air Force nauczyły się czegoś w Wietnamie czy Libii w osiemdziesiątym szóstym, nie mówiąc już o wojnie w Zatoce, a tymczasem każą atakować po najoczystszej kursie i tym samym zrobić z naszych ruchome tarcze czy rzutki niczym na strzelnicy.

- Użyj korytarzy - doradził Furry, spoglądając na mapę.

- Otwarcie korytarza, a użycie go to dwie różne sprawy. - I tak będziemy po uszy w pelotkach próbujących nas strącić! Jeśli wejdziemy w korytarz, to mogą strzelać na namiar, bo i tak będą wiedzieli, gdzie nas znaleźć.

- „Kiedy wokół są sami przeciwnicy, to jest to na pewno walka” - zacytował z namaszczeniem Furry.

- Kolejna z twoich zasad? - Matt był coraz bardziej sfrustrowany. - A masz jakąś na taką głównianą sytuację jak ta?

- „Kiedy masz wątpliwości, użyj przewagi technicznej.”

- Przeciw komu, do cholery?

- Przeciw pelotkom, ofiaro! - Furry pośpiesznie się wycofał, zaatakowany gradem pustych puszek i zmiętych papierów. W pomieszczeniu nadal panował bałagan, ale zmieniła się konfiguracja elementów.

Zdajesz sobie sprawę, że łamię właśnie pierwszą „Zasadę Przetrwania”? - spytał Furry przez intercom stojącego na pasie startowym F-15E.

Za nimi majaczyło jedenaście F-15 gotowych do ataku na Ahlhorn.

- „Zawsze pamiętaj, że twój samolot został zbudowany przez najtańszego producenta”?

- Nie. „Nigdy nie lataj z kimś odważniejszym od siebie.”

- Zmieniasz kolejność!

- „Priorytety są dziełem człowieka, nie Boga.”
- Kolejna zasada?
- Owszem. Oraz zdrowy rozsądek.
- Nie upadaj na duchu, to się uda - zapewnił go Matt, mając na myśli plan ataku.

Oparty był na jednej z zasad ROE obowiązujących w tej operacji, głoszącej, że obrońcy muszą zareagować na każde zagrożenie ze strony atakujących, podjąć odpowiednią akcję obronną i zaangażować się w walkę. Matt znalazł w końcu sposób na stworzenie korytarza bez jednoczesnego narażania się na straty - dzięki zróżnicowaniu kursów poszczególnych maszyn. Kiedy będą w pobliżu bazy, taktyka ulegnie zmianie, a samo bombardowanie dokonane zostanie za pomocą bomb GBU-24 - o masie dwóch tysięcy funtów i sterowaniu laserowym - które posiadają doskonałe właściwości ślizgowe.

Zakończono ostatnie kontrole silników i Matt poprosił o zezwolenie na start.

Trzy minuty później cała jednostka była w powietrzu, kierując się nad Morze Północne i kontynent. Reakcja obrońców była taka, jak Matt przewidział: Holendrzy poderwali sześć myśliwców F-16 z bazy w Leeuwarden i posłali je na patrole nad Morzem Północnym, Niemcy wysłali osiem Phantomów z Jever na dwa patrole: niski i wysoki, w okolicy Ahlhorn. Oznaczało to, że F-15 będą musiały wywalczyć sobie drogę do celu, a potem czekał je jeszcze powrót.

F-15 leciały w parach na wysokości dwustu stóp nad szarymi wodami Morza Północnego. Każda para w szyku bojowym, to jest o dwa tysiące stóp od siebie i dwie mile za parą lecącą przed nimi. Z góry formacja przypominała drabinę, tyle że potrafiącą kąsać i przemykającą się z wykorzystaniem wszystkich osłon, jakich mógł dostarczyć teren.

Holendrzy przeżyli pierwszą niespodziankę, gdy „Band Box”, bo taki kryptonim nosiło stanowisko naprowadzania, skierowało F-16, także rozdzielone na pary, na nisko lecące F-15. Jak większość myśliwców latających na maszynach jednoosobowych, holenderscy piloci niezbyt wierzyli, że Eagle faktycznie może stać się pełnowartościowym myśliwcem, i to bez

konieczności pozbycia się ładunku bomb czy rakiet. Nazwali go „Kurą Błotną”, twierdząc, że bombardowanie klasycznymi bombami to „mieszanie błota”. Piloci F-15 zdawali sobie sprawę, że dodatkowe zbiorniki przymocowane do kadłuba nadają samolotom nieco rozdęty wygląd - stąd przydomek „Bulldog”. Holendrzy mieli się właśnie przekonać, że podobnie jak jej psi imiennik, maszyna potrafi dobrze gryźć.

Formację prowadził Matt. Gdy radar wykrył nadlatujące myśliwce, rozdzielili się ze skrzydłowym i każdy zajął się parą F-16. Na początek każdy zasymulował odpalenie po parze AIM-120, co było zbyt dużym zagrożeniem, by można je było zignorować: Holendrzy musieli przerwać atak i zająć się unikami, zgodnie z ROE. Dzięki temu Matt wraz z bocznym poleciełi spokojnie dalej. Zanim Holendrzy uporali się z rakietami AMRAAM, ROE zmniejszyły ich liczbę o połowę, a w kierunku niezestrzelonych dotąd F-16 leciały już następne AIM-120, odpalone przez trzecią z kolei parę F-15. Balet uników powtórzył się i dwa pozostałe F-16 zdecydowały, że wystarczy tego dobrego - poczekają na wracające z nalotu F-15. Co przy okazji dawało im czas na przemyślenie nowej taktyki używanej przez Amerykanów.

W tym czasie prowadzące maszyny amerykańskie przelatywały nad ujściem Wezery.

- Już to gdzieś widziałem - mruknął Furry, mając na myśli poprzedni atak na Ahlhorn, prowadzony przez Jacka Locke'a.

Furry był wówczas porucznikiem, a skrzydło latało na Phantomach. Locke - wschodząca gwiazda - właśnie tym atakiem udowodnił swe umiejętności taktyczne. Wkrótce potem znaleźli się w Zatoce Perskiej.

- Wiele celów na godzinie dwunastej, odległość czterdzieści pięć mil - zameldował skrzydłowy, mając na radarze patrol Luftwaffe.

Matt polecił drugiej i czwartej parze podjąć walkę. Elementem jego planu było to, że maszyny miały mieszane uzbrojenie: część F-15 uzbrojona była wyłącznie w pociski klasy powietrze-powietrze i w ogóle nie miała brać udziału w bombardowaniu lotniska. Ponieważ leciały przemieszane z samolotami uzbrojonymi w bomby, a celem był nalot na cel naziemny, żaden

z obrońców się tego nie spodziewał. Piloci F-4 oczekiwali na nisko lecące F-15 mające za cel bazę lotniczą, a tymczasem kontrola radarowa uprzedziła ich o czterech atakujących ich maszynach, które oddzieliły się od reszty formacji, lecącej dalej nisko ku celowi. Nagle w powietrzu zaroilo się od rakiet i F-15, piloci F-4 mieli pełne ręce roboty z uratowaniem własnej skóry. Naturalnie całkowicie stracili zainteresowanie resztą amerykańskich maszyn, które spokojnie poleciały dalej.

Słuchawki Matta nagle ożyły ostrzegawczymi piskami i chrobotami, gdy TEWS zaczął odbierać rozmaite transmisje radarowe obrony przeciwlotniczej bazy.

- Głównie Hawki - oznajmił, czując zdrowy respekt przed tymi pociskami.

Amerykańskie rakiety klasy ziemia-powietrze były nadzwyczaj skuteczne, a najlepszą obroną przed nimi było trzymanie się poza ich zasięgiem.

Gdy znajdowali się o dziesięć mil od bazy, Furry zidentyfikował cel - czyli bunkier mieszczący stanowisko dowodzenia - na nastawionym na celowanie FLIR i zameldował:

- Przetwarza!

Matt rozglądał się na boki w poszukiwaniu drugiego patrolu Luftwaffe, który mógł im lada chwila wsiąść na kark, gdy usłyszał z tylnego fotela:

- Kurwa mać, w dupę jeża!

Celownik laserowy systemu LANTIRN miał awarię, przez co do ataku musieli użyć podstawowych funkcji FLIR zamiast znacznie dokładniejszego bombardowania laserowego. Furry przeprogramował komputer i naprowadził krzyż celownika na bunkier, ale nie uzyskał namiaru: potrzebny był większy kontrast między celem a otoczeniem, by bomba mogła zacząć samonaprowadzanie.

- Brak namiaru, musimy podejść bliżej - poinformował Matta.

- Hawki... - przypomniał pilot.

Zmniejszenie odległości od celu oznaczało wejście w zasięg rakiet przeciwlotniczych.

- Cholera z nimi! Bliżej! - wrzasnął Furry. - Włączymy symulacyjnie TEWS i oślepimy ich radary.

Ponieważ nie była to faktyczna wojna, nie mogli naprawdę użyć TEWS ofensywnie, ale mogli to udawać, tak samo jak odpalenie rakiet. Matt utrzymał maszynę na kursie, czekając na wieści od Furry'ego.

- Namiar! - zameldował tryumfalnie *wizzo* po kilku sekundach. - Możesz odpalać.

Matt zwiększył pułap do pięciuset stóp i słuchawki eksplodowały ostrzeżeniami o symulowanych odpaleniach rakiet obrony przeciwlotniczej, których byli chwilowo jedynym celem.

- Bomba poszła! - oznajmił naciskając spust.

Gdyby to nie były manewry, odczuliby lekki wstrząs przy oddzielaniu się bomby od samolotu. Matt powrócił na poprzednią wysokość i zmienił kurs na północny zachód, odlatując do Anglii, podczas gdy następne F-15, dla większego ogłupienia obrony, zaczynały naloty z różnych kierunków, gdyż formacja zgodnie z planem rozbiła się na pojedyncze maszyny i każdy pilot bombardował lotnisko indywidualnie.

Phantomy patrolu obrony Ahlhorn próbowały przechwycić F-15 w trakcie opuszczania rejonu bazy, ale tu spotkała je niespodzianka w postaci rozkazu, który Matt przekazał pilotom przed startem. Rozkaz był prosty: „Nie bronimy nikogo ani niczego, więc nie musimy wdawać się w walkę. Jeśli ktoś nas zaatakuje, odpalić rakiety zaczynając od Fox jeden, dać pełen ciąg i rura do domu. Następna para robi dokładnie to samo, a według ROE obrońcy muszą honorować nasze rakiety i unikać ich odpowiednimi manewrami. Będą mieli tego aż za dużo, a my spokojnie wrócimy do bazy”.

Tak też się stało. Po bombardowaniu maszyny łączyły się w pary, w wersji myśliwskiej, i kolejno przebijały przez zaskoczony Phantom, zajęte unikami przed stałą lawiną rakiet średniego i bliskiego zasięgu.

Jako ostatni leciał pułkownik Mike Martin, potężnie zbudowany osobnik o charakterze goryla podczas ruiny. Nic więc dziwnego, że stosowanie się Niemców i Holendrów do ROE - przez co nie miał okazji powalczyć - wywoływało w nim potężną frustrację. Z Jever i Leeuwarden poderwano dodatkowe maszyny, ale nie miały one szans zjawić się na miejscu na czas. Mike zarechotał na myśl o minach ich pilotów, gdy przylecą i

zobaczą puste niebo, a potem zachichotał jeszcze raz, gdy pomyślał o odprawie przed lotem - plan Matta udał się bowiem w pełni, łamiąc kolejną zasadę Furry'ego, o następującej treści: „Plan jest dobry jedynie na pierwsze trzydzieści sekund walki”.

Matt, tym razem dokopaliśmy im w pięknym stylu - rozległ się głos, gdy obaj z Furrym wychodzili z sali odpraw.

Towarzyszył temu chór entuzjastycznych gwizdów i pochwał.

- W kasynie jest piwo! - zawołał ktoś i tłum ruszył we wskazanym kierunku.

Furry trzasnął Matta z uznaniem w plecy i kazał mu się zająć tym, co było w owej chwili najważniejsze:

- Piciem i pieprzeniem pierdoł z pilotami.

W tym momencie do Matta dotarło, że znów jest częścią dywizjonu i że zawdzięcza to samemu sobie, a raczej temu, że dzięki Furry'emu nie zaprzestał próbować; *wizzo* bowiem cały czas wierzył w niego wbrew opinii reszty.

- Amb, dlaczego chciałeś ze mną latać?

- Pojęcia błędnego nie mam. Pewnie był to atak wyjątkowej tępoty - odpalił Furry i nagle spowaźniał. - Myślę, że dlatego, że bardzo przypominasz Jacka. Brałem udział w innym ataku na Ahlhorn, który on zaplanował. Ten dzisiejszy był lepszy.

Niespodziewanie wyszczerzył zęby i pchnął pilota w stronę kasyna.

- Najpierw obowiązek, potem przyjemność! - oznajmił.

11

Wiatr wpadający przez szpary w drzwiach przeganiał falami kurz zalegający podłogę. Shoshana próbowała uszczelnić je zrolowanymi gazetami, ale na nic się to nie zdało - wiatr zawsze znalazł sposób, by wedrzeć się do środka.

- Nienawidzę wiatru - poinformowała Avidara, ale ten w odpowiedzi jedynie słabo się uśmiechnął. - Gdzie jest Habish?

Nade wszystko chciała, aby Gad wrócił i by skończyło się to szarpiące nerwy oczekiwanie w opuszczonej szopie na przedmieściach Kirkuku. Trwało ono już dwadzieścia cztery godziny.

- Wróci - szepnął ranny, czując, jak znów mu skacze gorączka: antybiotyki, które Gad znalazł po przyjeździe, przestały już działać, a więcej nie mieli. - Wybij to sobie z głowy: żadnych lekarzy, mowy nie ma!

- Wiem, wiem - odparła, zmieniając mu okład na czole. - Za duże ryzyko. Uratowałeś Gada w Bagdadzie, mnie po drodze, a my nie możemy nic dla ciebie zrobić! Gdybym chociaż była po kursie pielęgniarskim...

- Ale nie jesteś - przerwał jej, ściskając ją za rękę. - Zaczynając tę akcję, wszyscy znaleźliśmy ryzyko.

Shoshana starała się zapewnić Avidarowi ciepło, lecz i tak wkrótce stracił przytomność; nie mogła uratować tego cichego mężczyzny o łagodnych brązowych oczach. Zdesperowana zaczęła się modlić, po raz pierwszy od wielu lat, ale nie szło jej to zbyt składnie.

Siedziała przy nim, dopóki nie umarł.

Gdy Habish wrócił, prowizoryczny całun był prawie gotów.

- Spóźniłeś się - powiedziała, nie podnosząc oczu znad tkaniny.

Gad z pozbawioną wyrazu twarzą przyklęknął obok zmarłego.

- Powiedz coś, do diabła! - Zerwała się na równe nogi, drżąc z wściekłości.

- Musimy się stąd wynosić.

- A jego wrzucimy do rowu, jak tamtych? Albo zostawimy tutaj, żeby go zjadły szczury? Niech cię wszyscy diabli, Habish! On nam uratował życie! Nigdy mu się za to nie zdołam odwdziżyć, ale mogę go chociaż pochować!

- Shoshano... - Miał ochotę ją przytulić i opowiedzieć o swoim żalu i smutku, ale musiał skończyć to, do czego zobowiązał się w Tel Awiwie, rozpoczynając tę operację.

Niespodziewanie dla samego siebie, zupełnie nagle, powiedział:

- Pochowamy go. - Potem wstał i polecił: - Zostań tu.

- I zniknął za drzwiami.

Habish wrócił godzinę później i bez słowa zabrał ciało z podłogi. Ułożył je delikatnie w ciężarówce i w milczeniu podjechał na cmentarz. Tu, wciąż bez słowa, przeniósł zwłoki i położył je obok wykopanego grobu.

- To muzułmański cmentarz - stwierdziła Shoshana, rozglądając się wokół.

- A jaki ma być? - zdumiał się Gad. - Avidar był druzem.

- Nie Żydem?

- A nie zdziwiło cię, że tak płynnie mówił po arabsku i tak doskonale wtapiał się w tłum? - Habish lekko się zirytował.

- Nie był jednak *aqil*, czyli jednym z wtajemniczonych w misteria ich religii.

- Nie sądziłam, że możemy zaufać jakiemukolwiek Arabowi.

- Muzułmanie uważają druzów za heretyków i nienawidzą ich chyba bardziej niż Żydów. W zamian za ochronę druzowie są całkowicie lojalni w stosunku do Izraela, o czym najlepiej chyba świadczy lojalność Avidara.

Pomogła Gadowi złożyć zwłoki do grobu i przysypać ziemią. Gdy skończyli, uklękła przy mogile i, kołysząc się z żalu, powoli zaczęła odmawiać modlitwę, której słowa jakoś same się jej przypomniały:

- *Shma Yisrael...* Na początku Bóg stworzył... - Urwała, czując na ramieniu żelazny uścisk Habisha.

Rozejrzała się i za plecami zobaczyła mężczyznę w białym turbanie i takich powiewających na wietrze szatach - mułę.

Zack przystanął u progu pokoju żony, nie chcąc zniweczyć swoim wejściem panującego wewnątrz nastroju. Młody ochroniarz z Secret Service, zaskoczony nagłym przystankiem, próbował wtopić się w boazerię na korytarzu. Pontowski udął, że go nie zauważa. Nauczył się to robić stale - i tak wiadomo, że ktoś taki jak prezydent USA nigdy nie jest sam. Ochrona starała się być dyskretna i niewidoczna, ale towarzyszyła Zackowi przez cały czas. Wiedział, że agent odetchnąłby z ulgą, widząc, jak przekracza próg i zamyka za sobą drzwi, ale nie chciał przeszkadzać żonie i wnukowi.

Matt siedział na łóżku babki, trzymając ją za rękę i mówiąc cicho:

- Teraz już wszystko w porządku. Pomógł mi dobry przyjaciel... mój *wizzo*. - Głos też mu się zmienił: spoważniał i zmężniał, jeśli można tak powiedzieć o głosie.

Pontowskiemuomalże nie opadła szczęka. Przyjacieli? *Wizzo*? Jak dotąd tematem wspomnień i opowieści Matta zawsze były aktualne panienki albo planowane imprezy. W dodatku Matt miał na sobie galowy mundur, co dotychczas zdarzało się jedynie przy oficjalnych okazjach. Pośpiech, z jakim się zwykle przebierał w cywilne ubranie po opuszczeniu jednostki, przeszedł już w rodzinie do legendy. A na dokładkę, wyglądał teraz jak skóra ściągnięta z ojca...

- Nie - uśmiechnął się Matt, odpowiadając na pytanie Tosh.
- Nie ma w tej chwili nikogo specjalnego.

Tosh marzył się młody potomek: pragnęła „utrzymać przy życiu” znakomite nazwisko i zachować ciągłość rodu, sięgającego swą genealogią osoby ostatniego króla Polski; Zack wiedział jednak, że mimo owych marzeń jego żona nie będzie Matta o nic nachalnie wypytywać ani na niego naciskać. Co się zaś tyczy błękitnej krwi, to odległych przodków zaszczycono nią najpewniej po lewej stronie łoża - ale też Pontowscy zawsze należeli do tych kochliwych i płodnych zarazem. Matt był teraz

w wieku ojca, gdy ten zginął w Wietnamie, i prywatnie Zack uważał, że już pora, by wnuk wziął się ostro do roboty.

- Poważnie myślisz o karierze w US Air Force? - dobiegło go pytanie żony.

- Na to wygląda. Jakoś się pozbierałem i teraz... - Zack przestał słuchać, gdyż naszła go niespodziewana refleksja.

Prawda, że Matt pozbierał się i zmienił dzięki lotnictwu, ale za jaką cenę? Z tego, czego Zack się dowiedział, wynikało, że Locke był jednym z najlepszych oficerów, doskonałym pilotem i przewidywanym w niedługim czasie generałem... Czy cena nie była zbyt wysoka? Czy nie da się tego zmienić?...

- Cóż... - Matt zawahał się szukając słów. - Jestem w tym dobry, mógłbym latać chyba nawet na miotle i uwielbiam ten związany z lataniem dreszcz emocji. Żyję tym, że latam.

Czyżby to były początki samopoznania i samodyscypliny? - zdumiał się Pontowski senior, znając to uczucie z czasów drugiej wojny światowej, kiedy to pilotował maszyny Mosquito w dywizjonie RAF. Wtedy też poznał Tosh. W duchu przyznał się wreszcie sam przed sobą, że pragnie prawnuka równie silnie jak żona.

- Zack! - Tosh w końcu go dojrzała. - Chodź tu i przestań ignorować rodzinę.

Zachary Matthew Pontowski, prezydent USA, poczuł dziwny spokój i zadowolenie, co każdemu człowiekowi przytrafia się czasem w życiu, choć niezbyt często. Rzecz jednak nie w tym, by domagać się takich samych szczęśliwych chwil coraz więcej, ale w tym, by zauważyć i w pełni wykorzystać te, które są nam dane.

Z uśmiechem wkroczył do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Ładnie tu - przyznała dziewczyna, rozglądając się po eleganckim apartamencie Frasera w Watergate.

Spotkali się na przyjęciu i gdy tylko okazał zainteresowanie, dziewczę łatwo znalazło się w jego kręgu. Nikogo to nie dziwiło, jako że Tara Tyndle była młoda, bogata i piękna, nie wspominając już o sprycie czy inteligencji. Potrzęsnęła blond włosami, gdy odbierał od niej płaszcz, tworząc zamierzony efekt aureoli.

- Miło mi, że ci się podoba. Wypijesz coś?
- Białe wino. - Obeszła pokój, podchodząc do miniwięzy.

Spojrzała pytająco na gospodarza, a widząc jego przyzwalający gest, włączyła radio i wyszukała jedną ze stacji z muzyką taneczną.

- Tańczyłam przy podobnej - przyznała.
- Nie wiedziałem, że jesteś tancerką.
- Byłam. I mogę cię zapewnić, że nie w balecie; ale skończyłam już z tym.
- To dobrze, bo nie lubię baletu, ale szkoda, że skończyłaś, bo chciałbym zobaczyć, jak tańczysz.
- Może coś da się zrobić. - Uśmiechnęła się i uniosła pytająco brwi.

Fraser uwielbiał ten szybki sposób milczącego porozumiewania się. Skinął głową i dziewczyna przeszła przez pokój pewnym siebie krokiem, charakterystycznym dla tancerek z Las Vegas. Gestem zaprosiła go, by usiadł w swoim ulubionym fotelu, co nie zwlekając uczynił, i stanęła na środku pomieszczenia.

Zacząła tańczyć kołysząc się w takt muzyki. Jej dłonie delikatnie muskały biodra, a suknia jak zaczarowana podnosiła się coraz wyżej. Wprawnym ruchem zdjęła ją przez głowę i cisnęła w kąt, czego niemal nie zauważył, zafascynowany jej włosami rozsypującymi się w fale niczym łań pszenicy. Niespiesznie zdjęła staniczek, prezentując biust, ale ledwie przez chwilę, bo oto zaraz odwróciła się tyłem i gdy zajęty był podziwianiem jej zgrabnego tyłeczka, uwolniła się zręcznie z majteczek, zerkając na niego kokieteryjnie przez ramię. Powoli stanąwszy znów przodem do niego, sennym krokiem podeszła do fotela i usiadła okrakiem na lewej nodze Frasera.

W tym momencie rozległ się sygnał bipera. Dziewczyna wolno, nie wypadając ani na moment z rytmu, wycofała się. Kołysząc się łagodnie, zrzuciła z nóg szpilki, a gospodarz spojrzał na numer wyświetlony na ekranie elektronicznego cudeńka.

- O kurwa! Czego ta dziwka znowu chce?! - Zdenerwował się, na ekranie widniał bowiem numer domowy B.J. Allison.

Odczekał, aż oddech wróci mu do normy, i wybrał numer, który znał na pamięć.

- Witaj B.J., widzę, że pracujesz do późna. - Głos Frasera

nie zdradzał śladu jego prawdziwych uczuć. - Ja o tej porze mam już dość. Tak... oczywiście... nie, dlaczego? Mogę przyjechać... nie, nie jestem zajęty...

Dziewczyna podeszła do szafy, wyjęła jego płaszcz i trzymała go niczym szatniarka, chociaż szatniarki z zasady nie tańczą nago w czasie pracy.

- Musisz? - spytała, gdy się ubierał.

Fraser mruknął coś, przytakując, i wyszedł.

Tara metodycznie i z wprawą sprawdziła mieszkanie, szukając pluskiew optycznych lub akustycznych; nie znalazła żadnych. Siadła w ukochanym fotelu gospodarza i sięgnęła po telefon.

- Halo? Tak, zadziałało - zameldowała po uzyskaniu połączenia i ze śmiechem dodała: - O, tak, z całą pewnością jest zainteresowany, ale gdy wróci, już mnie tu nie będzie.

Odłożyła słuchawkę, ubrała się, a następnie nabazgrała swój numer telefonu na kartce i wychodząc, położyła ją przy telefonie.

Fraser doskonale wiedział, że spóźnienie gospodyni jest celowe. Naturalnie, że B.J. go przeprosi, ale, swoim zachowaniem wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że jest wściekła z powodu sposobu, w jaki potraktowano ją w Białym Domu - przecież spóźniła się tylko trzy minuty. Choć spóźnienie było zamierzone, o czym oboje wiedzieli, to Fraser powinien wyjaśnić sprawę z prezydentem: jej pieniądze, wpływy i pozycja upoważniały ją do oczekiwania należnego jej szacunku. Była zdeterminowana wyjaśnić to Fraserowi raz na zawsze.

- Tom, musimy porozmawiać - oznajmiła na powitanie.

Była nadzwyczaj świeża, radosna i ożywiona jak na pierwszą w nocy.

Znów spróbował odgadnąć - bez powodzenia - ile ma lat. Sekretarz przyniósł do salonu srebrny serwis, napełnił dwie filiżanki i na znak szefowej zniknął wraz z dwoma kolegami, zamykając za sobą drzwi.

Fraser przygotował się na ciężką przeprawę.

- Czy prezydent nie rozumie, że my mamy na uwadze jedynie dobro tego kraju? - spytała z wyrzutem, przechodząc od razu do rzeczy.

- Nikt w to nie wątpi, B.J....

- Wobec tego czemu tego nie okazuje? Przecież wie, że importujemy ponad połowę potrzebnej krajowi ropy, i to w większości z Bliskiego Wschodu. Musimy - położyła nacisk na ową liczbę mnogą - zrobić wszystko co tylko możliwe, by zapewnić stały dopływ tej ropy.

- Prezydent doskonale to rozumie, ale...

- Tu nie ma żadnego „ale” - przerwała mu, tupiąc nogą. - Sposób, w jaki wspomaga Izrael, złości innych naszych przyjaciół. Przecież oni mogą, niech Bóg broni, zdecydować się na kolejne embargo, a prezydent ich tak ostentacyjnie ignoruje, że nawet trudno byłoby mieć do nich o to pretensje.

- Ależ zapewniam cię...

- O czym? Że zachęca Izrael do uprawiania swego rodzaju imperializmu? Że nic go nie obchodzi pokój w tej części świata? Że nie interesują go problemy naszych prawdziwych przyjaciół? Że Izrael dyktuje nam naszą politykę zagraniczną? I jeszcze teraz te pomysły z państwową polityką energetyczną! To... to... - zebrała się na odwagę i użyła najgorszego słowa, jakie знаła - to jest... socjalizm!

- On ma szersze spojrzenie na to zagadnienie. - Fraser spróbował wyjaśnić faktyczny stan rzeczy. - Ale państwowa polityka energetyczna jest powiązana z sytuacją na Bliskim Wschodzie, problemami w Rosji oraz naszym bilansem handlowym i deficytem budżetowym.

Za późno ugryzł się w język.

- Jak on śmie myśleć, że my nie płacimy należnych podatków! - Allison wierzyła w to, co mówi, podobnie jak każdy niewiedzący cudotwórca występujący w telewizji.

Wierzyła także w osiągnięcie zysków i wiedziała, jak wykorzystać embargo naftowe. Wolałaby co prawda, aby obecna sytuacja nie uległa zmianie i by mogła spokojnie zarabiać na imporcie ropy, ale nie miała najmniejszego zamiaru rezygnować z innych opcji dochodowych, gdyby Arabowie zdecydowali się na embargo. Państwowa polityka energetyczna nakładała zbyt wiele ograniczeń na te możliwości, co powodowało drastyczny spadek możliwych do zarobienia kwot. Co ją jeszcze bardziej irytowało to fakt, że coraz mniej i mniej senatorów i kongresmanów zgadzało się z jej punktem widzenia.

- B.J., ja nie potrafię robić cudów - jęknął Fraser. - Nie zmienię prezydenckiego punktu widzenia świata. Nikt tego nie zmieni.

- Kogoś chyba przecież słucha?!

- W kwestii Bliskiego Wschodu słucha podpułkownika lotnictwa, który ostatnio wszedł w skład NSC i jest ekspertem od tego rejonu.

- Czy nie przypomina ci to tego miłego *marine* z czasów Reagana? Przecież on może powiedzieć prezydentowi prawdę.

- Ich opinie w tej sprawie są identyczne.

- Więc się go pozbądź! Niech jego miejsce zajmie ktoś odpowiedzialny. - Nacisnęła guzik w oparciu fotela i w drzwiach pojawił się sekretarz. - Proszę podać płaszcz panu Fraserowi.

Po wyjściu Frasera gospodyni pograżyła się w myślach, toteż nie od razu zauważyła wejście Tary.

- I co ciociu? - spytała dziewczyna.

- Nie mogę uwierzyć, jacy oni są głupi! - B.J., wszystkich, którzy się z nią nie zgadzali, szufladkowała do grupy „oni”. - Niestety, trzeba przyjąć, że mamy do czynienia z nieprzyjazną administracją, a Fraser nie ma wystarczającego wpływu na prezydenta, wbrew temu, co mówił... Być może prezydent potrzebuje czegoś, co całkowicie zajęłoby jego uwagę, tak że nie miałby czasu na bzdury w stylu państwowej polityki energetycznej. Pamiętasz tę nieszczęsną aferę Watergate za czasów Nixona? Może podobny skandal byłby godzien czasu i energii pana Pontowskiego. Czy ci dwaj mili dziennikarze nadal pracują dla tego brukowca?

- Nie, ale są inni.

Shoshana siedziała w cieniu rzucanym przez płot fabryki chemicznej Iraq Petroleum Company w pobliżu Kirkuku i koncentrowała uwagę na tym, co się wokół działo. Ponieważ wraz z tłumem innych podróżnych znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie przystanku autobusowego, nie denerwowała się ani nie rzucała w oczy. Było około dziesiątej rano, czyli Habisz miał ponad trzy godziny spóźnienia: powinien był wyjść z zakładu o siódmej, wraz z nocną zmianą. Jak dotąd nie było

alarmu czy paniki, ale coś musiało się nie udać - Gad nie miał zwyczajnie spóźniać się bez powodu.

Rozmyślenia przerwało jej otwarcie bramy zakładów, przez którą wyjechał srebrzystobłękitny Mercedes, wiozący dyrektora fabryki. Rozpoznała go natychmiast, gdyż Mana oprowadzając ją po zakładach przedstawiał jej co ważniejsze osobistości. Teraz jednak żaden z pasażerów samochodu nawet na nią nie spojrział: była częścią szarej masy.

Przez tłum oczekujących przepchnął się policjant i podchodząc do mężczyzny ubranego w dość modny garnitur, zażądał dokumentów. Przejrzał je mechanicznie, spojrział na Shoshanę jak na powietrze i oddał legitymowanemu papiery. Kolejna próba potwierdziła skuteczność przebrania, co znacznie podniosło dziewczynę na duchu. Następnie policjant podszedł do siedzącego opodal Mustafy Sindi i znów zażądał dokumentów.

Mustafa wręczył mu je bez słowa. Shoshana podziwiała jego opanowanie i zdolność błyskawicznej zmiany tożsamości - na cmentarzu, w przebraniu *multy*, zwiódł nawet Habisha, choć to on sam polecił mu zjawić się o tej porze w owym miejscu. Z cmentarza Sindi zabrał ich do domu w Kirkuku, gdzie mogli się ukryć bez obaw. Kąpiel, mycie włosów i pranie ogromnie polepszyły dziewczynie nastrój, a posiłek z pieczonej baraniny, sałaty i świeżutkiego chleba sprawił, że po raz pierwszy od tygodni spała spokojnie.

Następnego ranka wraz z Gadem czekała na powrót Mustafy; wtedy też dowiedziała się, że jest on kurdyjskim powstańcem walczącym z irackimi rządami. Izrael wspomagał Kurdów i przy okazji wzajemnych kontaktów Mossad zwerbował Mustafę do współpracy.

Gdy Kurd wrócił, miał dla Habisha nowe dokumenty i fabryczną przepustkę. Gad po dokładnym wypytaniu dziewczyny o rozkład budynków i wygląd sal nieźle orientował się w terenie; najspokojniej w świecie oznajmił, że ma zamiar wejść do wytwórni.

Protesty Shoshany zostały zignorowane przez obu. Ustalili, że Habish wejdzie z nocną zmianą i opuści zakład rankiem następnego dnia, a oni oboje będą go oczekiwać na przystanku. Jeśli nie wyjdzie, to przynajmniej będą mieli okazję posłuchać

plotek krążących wśród robotników. Jak dotąd zresztą nic nie wskazywało na to, że Habish został złapany, choć nie pojawił się o zaplanowanej porze. Po odejściu policjanta Mustafa wstał i ruszył w stronę parkującej opodal ciężarówka.

- Odejdź - polecił jej półgębkiem, przechodząc obok niej. - Zabiorę cię z drogi.

Wykonała polecenie bez protestów. Dopiero w kabinie spytała:

- I co teraz?

- Wrócimy jutro rano.

Znów owa dobrze jej znana udręka oczekiwania.

Następnego ranka tłum był znacznie bardziej ożywiony, a gdy z fabryki zaczęła wychodzić kolejna zmiana, szmer głosów zamienił się w głośnie, zagorzałą dyskusję. Shoshana zrozumiała tyle, że w zakładach trwają zakrojone na szeroką skalę poszukiwania, ale powstrzymała się od prób znalezienia Mustafy, którego mogłaby wypytać o szczegóły.

A potem zobaczyła Habisha w dużej grupie robotników zbliżających się do bramy. Każdy oddawał wartownikowi zezwolenie na wejście, które ten porównywał z przepustką. Gdy przyszła kolej Habisha, wartownikowi coś się przestało zgadzać: zadał Gadowi pytanie, a potem zaczął machać na kolegę. W tym momencie na przystanek podjechał autobus i tłumek za bramą, który urósł już do sporych rozmiarów - zatrzymanie Habisha spowodowało zator - zaczął się niecierpliwić. Złapawczy Gada za rękaw, wartownik próbował dalej sprawdzać przepustki i zezwolenia, ale krzyki napierającego tłumu były coraz głośniejsze.

Z trudem się opanowując, Shoshana rozejrzała się w poszukiwaniu Mustafy, ale nigdzie go nie dostrzegła; zauważyła natomiast ruszającą ku bramie ciężarówkę. Mustafa, trąbiąc przeraźliwie, przedarł się przez tłum na przystanku, a ona wskoczyła na pakę, starając się zachować zimną krew. Przy bramie rozległy się nagle głośniejsze okrzyki i huknęły strzały. Kurd nacisnął na gaz i klakson, zwiększając ogólne zamieszanie, i w okamgnieniu Habish niespodziewanie wdrapał się na ciężarówkę. Jeszcze ktoś próbował to zrobić, ale Mustafa dodał

gazu, a Shoshana, wciągając Gada za ubranie, skopała dodatkowego pasażera na drogę. Z przodu rozległ się krzyk i łoskot, po czym ciężarówka podskoczyła: musieli przejechać kogoś, kto nie zdążył uciec. Wokół się rozluźniło - wyjechali z tłumu.

- Co się stało? - spytała zasapana.

- Mustafa zastrzelił strażnika i uciekłem korzystając z zamieszania. Gdzie uzi?

Shoshana przelazła przez dziurę w miejscu tylnego okienka i podała mu broń, która była przyczepiona pod deską rozdzielczą.

- Będą nas gonić - ostrzegł Habish. - Musimy pozbyć się wozu i rozłączyć się: nie zdołałem wyrwać strażnikowi papierów, więc mają moje zdjęcie. Słuchaj uważnie: ten gaz już normalnie produkują. To gaz binarny, co jest bez sensu, bo wymaga bardzo ścisłej kontroli jakości, łatwiej by im było produkować normalny gaz paralizujący, coś w stylu sowieckiego VR 55. W tym budynku, do którego Mana cię nie zaprowadził, aż się roi od Europejczyków i Chińczyków.

- Jak tam wszedłeś? - zdziwiła się Shoshana. - Bardzo dokładnie go pilnują.

- Zanim znalazł mnie strażnik, dotarłem do narzędziowni - Habish zignorował pytanie. - Robią specjalne pojemniki z jakiegoś polimeru na jeden z komponentów. Zebrałem trochę ścinków i zaraz dam ci połowę. Teraz najważniejsze to wywieźć te ścinki i strzykawkę za granicę.

Wręczył dziewczynie garść wyciągniętych z kieszeni skrawków plastiku i przekrzykując silnik poinformował Mustafę przez stłuczoną szybę, że muszą się rozdzielić i pozbyć ciężarówki.

- Powiedziałeś, że strażnik cię znalazł - nie ustępowała Shoshana.

- Zabiłem go i wcisnąłem ciało do przewodu wentylacyjnego, ale zanim zdążyłem stamtąd wypełznąć, nastąpił koniec zmiany i musiałem przesiedzieć sześć godzin z trupem. Kiedy wydostałem się z tego bunkra, musiałem poczekać na koniec następnej zmiany, a przy moim cholernym pechu ktoś tego trupa musiał znaleźć, no i zaczęło się sprawdzanie dokumentów wszystkich przebywających na terenie fabryki. Aby móc

wyjsć, trzeba było poddać się kontroli i uzyskać dodatkowe zezwolenie, a więc pożyczylem je od jednego z robotników.

- Jak?

- Jezus, aleś ty naiwna! Uduśiłem go. Resztę widziałaś - zezwolenie nie zgadzało się z moimi dokumentami.

- Habish! - przerwała mu, pokazując jasnobrązową ciężarówkę, która wyłoniła się zza zakrętu o jakieś czterysta metrów za nimi.

Wóz był bez dwóch zdań wojskowy, a przy karabinie maszynowym - zamontowanym na obrotowej podstawie, na dachu szoferki - kulił się strzelec.

- Mustafa! Z tyłu! - ryknął Habish. - Ciężarówka!

Kurd wcisnął pedał gazu i dzięki gwałtownym manewrom udało mu się oddzielić od ciężarówki czterema innymi samochodami. Karabin maszynowy wypluł długą serię i samochód, który jechał przed ścigającym ich pojazdem zamienił się w kulę ognia tarasując część drogi. Jasnobrązową ciężarówka zwolniła, by wyminąć płonący wrak, ale przed sobą miała pustą drogę, gdyż widząc, co się święci, kierowcy pozostałych trzech samochodów czym prędzej zjechali na pobocze.

- Nie patyczkują się - mruknął Habish. - I na pewno mają radio. Nie zostało nam wiele czasu.

Ciężarówka przyśpieszyła, a karabin znów zajazgotał, ale odległość była zbyt duża, by pociski mogły trafić w cel. Zakręt dał im chwilę wytchnienia.

- Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia - ostrzegł Gad, sadowiąc się obok kierowcy.

Obaj z Mustafą wdali się w ożywioną dyskusję, z której Shoshana nie rozumiała ani słowa, ale zaskoczona poczuła, że nagle zwalniają. Mustafa wyminął dwa samochody i jeszcze bardziej zwolnił, a Habish krótkimi, mierzonymi seriami poszatkował dach pierwszego wozu oraz szyby drugiego. Gwałtowny skręt kierownicy i granat zapalający dopełniły dzieła, tworząc całkiem solidny zator - droga za nimi zablokowana została parą szepionych ze sobą, płonących samochodów.

Przez sekundę Shoshana poważnie się zastanawiała, czyby nie zastrzelić Habisha: ich ucieczka była ważna, ale nie za taką cenę!

- Ty bydlaku! - krzyknęła histerycznie. - Zabiłeś niewinnych ludzi! Morder...

Siarczysty policzek przerwał histerię i przywrócił jej trzeźwość umysłu.

- Oni pierwsi zastrzelili swoich rodaków - warknął Habish. - Skoro im nie zależy na życiu współziomków, to dlaczego nam ma zależeć?

Goniąca ich ciężarówka mozolnie przepychała się poboczem. Szło to wolno, ale w końcu się udało i znów zaczęła się do nich niebezpiecznie zbliżać. Shoshana przekazała wiadomość do szoferki.

- Kiedy staniemy, oboje wyskakujecie - polecił Habish. - Słuchaj Mustafy i zrób wszystko, by się wydostać z Iraku. Pamiętaj, że nie mamy wyboru.

Przez moment wydawało się jej, że usłyszała w jego głosie coś ludzkiego, ale przecież to było niemożliwe: według jej norm Gad Habish już dawno przestał być istotą ludzką.

Z piskiem opon wzięli kolejny zakręt i Mustafa nacisnął na hamulec. Zanim wóz stanął, Shoshana była już na ziemi i biegła ku przerwie w zabudowie, z Kurdem tuż za jej plecami. W wozie zgrzytnęła przekładnia biegów i Habish odjechał. Znacznie szybciej, niż się spodziewali, przemknęła drogą ciężarówka z żołnierzami.

- Na podwórzu stoi samochód - poinformował ją Mustafa, wracając z szybkiego rekonesansu.

- A co z Habishem?

- Wie, co musi zrobić. - Dalsze słowa zagłuszył łoskot ka-emu dochodzący z niewielkiej odległości. - Chodź. Czas stać się solidnym małżeństwem pilnującym własnego nosa.

Poprowadził ją do samochodu, przy którym czekała ta sama młodzieńca dziewczyna, która pomogła jej w Kirkuku umyć włosy. Zmarszczywszy lekko brwi, podała Shoshanie nowe dokumenty, mówiąc:

- Spodoba ci się być jego żoną.

Mustafa pogładził ją po policzku, szepcząc coś pieszczotliwie, po czym siadł za kierownicą i włączył silnik.

- Meral naprawdę jest moją żoną - wyjaśnił Shoshanie.

- Spodziewa się naszego pierwszego dziecka.

I ku zaskoczeniu towarzyszyki wyjechał na tę samą drogę i skręcił w tę samą stronę, w którą poprzednio jechali. Kilka minut później utknęli na jakiś czas w stale rosnącej kolumnie samochodów, obok blokującej częściowo drogę, płonącej ciężarówce Habisha, która zderzyła się z inną, jadącą z przeciwka. Ruchem kierował żołnierz, a z jego zachowania jednoznacznie wynikało, że nie będzie tolerował żadnych prób zatrzymania się w celu oglądania wraku. Gdy wolno mijali pogorzelsko, doleciał ich swąd spalonego ciała.

12

Matt stał przed tablicą z rozkładem lotów, przygotowując się do pierwszego lotu w roli instruktora. Miał lecieć jako *wizzo* nowo przydzielonego do jednostki porucznika nazwiskiem Sean Leary, ale nie zdążył jeszcze spisać wszystkich informacji, gdy dyżurny starł z tablicy dane jego skrzydłowego - jako że lot miał być w parze - i wpisał tam nazwisko zastępcy dowódcy do spraw operacyjnych, Mike'a Martina.

- Gratulacje - uśmiechnął się sierżant. - Mieć za bocznego „Szalonego Mike'a” to nie byle co.

- Sądziłem, że nazywają go „Goryl” - mruknął Matt.

- To on sam tak siebie nazywa - wyjaśnił Furry, podchodząc do tablicy. - Oba przydomki pasują jak ulał.

- Wolałbym, żebyś ty leciał.

- Kto kogo by wtedy niańczył? Zobaczysz, jak to miło siedzieć z tyłu i dawać się wozić. Chodź, musimy pogadać o Learym. - Furry wszedł do sali planowania i zamknął drzwi. - Co o nim wiesz?

Matt potrząsnął w milczeniu głową na znak, że nic.

- Jego matką jest znana gwiazda filmowa - wyjaśnił *wizzo* podając nazwisko.

- Cholera, nie sądziłem, że ona jest taka stara - zdumiał się Matt.

- Zaskakujące, nie? Leciałem z nim ostatnio i zarekomendowałem serię lotów z pilotem-instruktorem, czyli już wiesz, komu zawdzięczasz dzisiejszą frajdę. Chłopak w zasadzie lata dobrze, ma tylko skłonność do nienadążania za samolotem, z czym dobry *wizzo* może sobie poradzić. Gorzej, że lubi opuszczać nos i lecieć w dół na mordę w niewłaściwym momencie, co w połączeniu ze zbytnią agresywnością w pobliżu ziemi może

mieć mało wesołe skutki. A najczęściej się wkurza na małej wysokości.

- Dlaczego nie dali na instruktora *wizzo*? - zdziwił się Matt,
- Ktoś taki jak ty spokojnie by sobie z nim poradził.

- A dlaczego zabijać zupełnie dobrego *wizzo*? - zdziwił się z kolei Furry. - Teraz twoja kolej stać się PN.

- Czym?

- Przydział: Nieboszczyk. Witaj w tylnej kabinie F-15 Eagle
- zachichotał Furry i wyszedł.

- Cwaniak!

Sean Leary czekał na Matta w sali odpraw. Wyglądał jak młodszy brat Roberta Redforda i przywiódł Mattowi na myśl jego własne burzliwe przeżycia z Air Force Academy. W ślad za Mattem w drzwiach pojawił się Mike Martin i uśmiechnięty od ucha do ucha Furry, oznajmiający radośnie, że w związku z kolejną zmianą planów leci jako *wizzo* Martina. Leary widząc to zgromadzenie siedział jak trusia, notując, co trzeba, z odprawy prowadzonej przez Matta.

Lot był typowy: podstawowa walka kołowa jeden na jeden. Nieprzyjemnie przypominało to ostatni lot Jacka Locke'a, ale takie już jest życie. Matt zapanował nad sobą i dokończył odprawę bez przerywników.

Kiedy wystartowali, okazało się, że Leary jest dobrym pilotem, tylko zbyt agresywnym i niecierpliwym. Za szybko zaczął manewr i wkrótce brak mu było pomysłu, jak wybrnąć z sytuacji, w którą się przez to wpakował. Wystarczyło go powstrzymać do właściwego momentu i wszystko grało - za trzecim starciem Martin sprowadził walkę na dolny pułap obszaru treningowego, to jest na pięć tysięcy stóp. Obie maszyny dążyły do starcia czołowego, którego Goryl w ostatnim momencie uniknął skrzętem poziomym.

- Zrób beczkę, bo wejdzie nam na ogon - polecił Matt.

- Doskonale... teraz możesz atakować i odstrzelić mu dupę.

Martin celowo pozostawał w poziomym skrzęcie, nie spuszczać wzroku z samolotu Leary'ego, gotów choćby raz tego dnia być celem, by nowy pilot i na tym się czegoś nauczył.

- Odwróć maszynę i obserwuj go do chwili, gdy będzie w połowie skrętu - poleciał Matt. - Poczekaj, aż przekroczy połowę, i ostro nurkuj za nim: będziesz dokładnie za jego ogonem.

Wszystko doskonale przebiegało do chwili, w której Leary znurkował ostro na Martina, włączając przy tej okazji dopalacz - pośpieszył się o mniej więcej pięć sekund. Matt nie oczekiwał manewru, przez co lupnął prawą stronę hełmu w owiewkę, gdy maszyna osiągnęła czterogeeowe przyśpieszenie, i na dwie, trzy sekundy stracił przytomność. Otworzył oczy akurat na czas, by zdać sobie sprawę, że Leary kieruje maszynę dokładnie na kurs zbieżny z F-15 Martina i osiąga prędkość niemal jednego macha. Uratował ich błyskawiczny refleks Goryla: gwałtowna zmiana kursu i F-15 Leary'ego przemknął pięćdziesiąt stóp przed jego samolotem, nadal nurkując na dopalaczach.

- W górę! - ryknął Matt, wyłączając dopalacz. - Wyprowadzaj!

Sięgnął po drążek, ale ten już był ściągnięty.

- Katapulta! - wrzasnął Leary.

- Zabraniam! - odwrzasnął Matt.

Lecieli zbyt szybko: pęd powietrza zmiażdżyłby im żebra, gdyby znaleźli się poza kabiną. Nos maszyny powoli uniósł się w górę, gdy odezwała się „Marudna Betty” - komputerowo uruchamiane nagranie kobiecego głosu z Overload Warning System - oznajmiając, że mają przeciążenie, co było najmniejszym z problemów jakie mieli: dziób co prawda był w górze, ale nadal spadali sześć tysięcy stóp na minutę.

- Dopalacze! - wrzasnął Matt, nie mogąc ich odpalić z tylnej kabiny.

Dwa silniki dwieście dwadzieścia dziewięć ryknęły pełną mocą, a fotele kopnęły ich solidnie, gdy Leary dał pełen ciąg i włączył dopalacz.

- O, kurwa! - Dwa głosy zabrzmiały w słuchawkach jak jeden, gdy na sekundę maszyna zniknęła w chmurze kurzu i Matt miał dziwne uczucie, że ktoś chodzi po jego grobie.

I znów lecieli, tyle że tym razem w górę.

- Ogień w jednym silniku - wykrztusił Matt urywanym głosem, widząc błyskającą na tablicy lampkę.

Leary posłusznie wyłączył lewy silnik, a Matt wywołał dane OWS na ekran: dziesięć i pół „g”, sto trzydzieści procent przeciążenia. Nic dziwnego, że silnik nie wytrzymał, najprawdopodobniej zassał jakieś śmieci z ziemi. Najważniejsze było, że nadal lecieli - na jednym silniku też można dotrzeć do lotniska.

- Straciliśmy wspomaganie hydrauliczne - zameldował Leary.

- To bierz się za ręczne sterowanie! Które systemy straciliśmy i co powinniśmy teraz zrobić?

- Straciliśmy hamulce, musimy lądować w sieć.

- Więc się nie śpiesz i zrób to jak należy - polecił Matt.

Z początku niepewnie, ale szybko odzyskując wiarę we własne siły, Sean sprawdził standardową procedurę US Navy awaryjnego lądowania na liny hamujące zaczepiane przez wysuwany z kadłuba hak. Pozwalało to maszynie szybko wytracić prędkość. Gdyby to się nie udało, w poprzek pasa rozpięta była nylonowa sieć o pionowych pasmach, łapiąca płatowiec i zatrzymująca go z mniej lub bardziej łagodnym wstrząsem. US Air Force przyjęły ten sposób jako metodę lądowań awaryjnych.

Gdy Leary zawiadamiał wieżę o awaryjnym lądowaniu, głos już mu niemal wrócił do normy. Samo lądowanie przebiegło wręcz podręcznikowo: złapali pierwszą linę na tysiąc stóp od początku pasa i grzecznie, bez problemów, stanęli. Matt zerwał z twarzy maskę i głęboko odetchnął; wtedy też poczuł zapach moczu: Leary zlał się w spodnie.

- Zmienimy kombinezony, zanim porozmawiamy z obsługą o przeciążeniu - oznajmił.

Leary nic nie odpowiedział.

Po zebraniu z obsługą obaj wrócili do baraku jednostki, gdzie oczekiwał ich Martin.

- Mamy dwa świeże samoloty - oświadczył bez wstępów. - Powtarzamy.

Leary pobladał.

- Zbieraj dupę do grata! - z wrodzonym wdziękiem warknął na ten widok Goryl. - Już!

- I co teraz? - jęknął Sean, idąc grzecznie za Mattem.

- Wystartujemy, wykonamy walkę albo dwie i wylądujemy - cierpliwie wyjaśnił zapytany.
- I to wszystko?
- Potem pomożemy obsłudze w kontroli przeciążeniowej, co nam zajmie całą noc i większość jutra - oświecił go Matt.
- Tylko tym razem masz mu sprać dupę, jasne?

Najwyraźniej dla porucznika Leary'ego pewne rzeczy istotnie stały się jasne, gdyż tym razem latał niczym prymus akademii. Po wylądowaniu, znacznie bardziej pewny siebie Sean wszedł do sali odpraw, gdzie Matt podsumowywał lot przy milczącym audytorium złożonym z Martina i Furry'ego. Na pytanie o uwagi kończące podsumowanie wstał Martin.

- Poruczniku - warknął, wpatrując się w Leary'ego. - Wykonał pan dziś dwa loty. Pierwszym razem trzymał pan łeb w mapniku, a mapnik w dupie. Słyszał pan to „O, kurwa” w radio? Zawsze tak reaguję, jak widzę jakiegoś kretyna usiłującego jednym z moich samolotów wykopać nowy dół w krajobrazie. Samolot zniknął w chmurze kurzu po włączeniu dopalaczy: tak blisko ziemi byliście. Ponieważ oglądanie samobójstw w wykonaniu durni nie jest moją ulubioną rozrywką, następnym razem bądź pan łaskaw próbować w samotności. Drugi lot nie był niczym nadzwyczajnym, ale chociaż udało się panu wylądować maszyną o mniej więcej takim samym stanie technicznym, z jakim pan wystartował. Teraz proszę łaskawie zebrać dupę w troki i pomóc obsłudze w kontroli przeciążeniowej. I niech pan tam poczeka do jej zakończenia. Ty też, Narwaniec.

Obaj wymienieni wyszli, a Martin zmarszczył czoło. Po dłuższej chwili spojrział wymownie na Furry'ego i skinął głową.

- Wyrobi się - ocenił.
- Leary?
- Pontowski - warknął z politowaniem Goryl i wymaszerował z sali, starannie ukrywając zadowolenie z dobrze wykorzystanego dnia.

Mustafa nie śpieszył się pokonując dwieście pięćdziesiąt kilometrów, jakie dzieliły ich od następnej kryjówki. Wołał

przedzierać się bocznymi drogami i spać w samochodzie, dzięki czemu udało im się uniknąć kolejnych patroli i kontroli drogowych. Często kluczyli, by ominąć punkty kontrolne, o istnieniu których dowiedzieli się w drodze, ale zawsze wracali na poprzedni kurs, kierując się ku północno-zachodniej części Iraku. Siódmą noc spędzili w prowizorycznym zajeździe na przedmieściu Mosulu, gdzie Mustafa zdążył tylko usiąść w fotelu i natychmiast zasnął. Shoshana przykryła go kocem i położyła się spać do wąskiego niczym okrętowa koja łóżka.

Shoshanę obudziły wrzaski dobiegające z korytarza. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła Mustafę gorączkowo szperającego w jednej z walizek.

- Włóż to - polecił, podając jej w ciemności nocną koszulę, po czym usiadł na łóżku i zaczął się rozbierać. - To mojej żony.

Przebrawszy się, ze zdumieniem stwierdziła, że nagi już mężczyzna wczołguje się do łóżka, układa obok i obejmuje ją.

- Co ty wyprawiasz?

- Cicho! - uciął nie bawiąc się w wyjaśnienia, ale z tonu głosu łatwo można się było zorientować, że powoduje nim strach, a nie pożądanie.

W korytarzu zatupotały podkute buty i drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem. Do środka wkroczył żołnierz w wieku Mustafy i włączył światło.

Mustafa jak oparzony wyskoczył z łóżka, wyrzucając z siebie tyradę po arabsku, zdecydowanie zbyt szybko, by Shoshana mogła coś zrozumieć. Żołnierz roześmiał się i zawołał sierżanta.

Do pokoju wpadło dwóch następnych. Gapili się na siedzącą na łóżku dziewczynę, a ta, by nie wypaść z roli, pośpiesznie naciągnęła kołdrę pod brodę w częściowo tylko udawanym przestraszu.

Przez trzech gapiów przepchnął się starszy wiekiem mężczyzna - najwyraźniej właśnie ów wzywany sierżant.

- Dokumenty! - warknął.

Podczas gdy Mustafa szukał papierów, sierżant podszedł do łóżka i gwałtownie zdarł pościel z Shoshany, zdecydowanie bardziej zainteresowany nią niż dokumentami trzymanymi

przez stojącego na środku pokoju nagusa. Widząc to Mustafa wrzasnął coś i z otwartej walizki wyszarpnął niewielki kozik, którym zaczął dziko wywijać, wrzeszcząc przy tym jeszcze głośniej. Sierżant ryknął śmiechem, odwrócił się i podszedł do drzwi.

- Jesteśmy dobrymi żołnierzami - oznajmił. - Nie tak jak tamte świnię.

Miny jego trzech podwładnych mówiły co innego, ale wyprowadził ich paroma celnymi kopniakami i zamknął za sobą drzwi.

Mustafa włożył spodnie, opadł ciężko na fotel i odetchnął.

- Powiedziałem im, że jesteście małżeństwem krócej niż pół roku, a już dwa razy zgwałcili cię żołnierze, więc przysięgłem, że nie pozwolę, aby to się zdarzyło po raz trzeci - wyjaśnił.

- To nie było rozsądne - odparła miękko - kozik przeciw karabinom...

- Nie jestem aż taki głupi - parsknął Kurd. - To ciebie miałem zabić, żeby uniknąć hańby.

Słyszając kroki, dyżurny oficer uniósł wzrok znad biurka.

- Proszę skontaktować się z majorem Furrym, jest u siebie w gabinecie - powiedział na widok Matta.

Matt połączył się z Furrym z jednego ze stojących na biurku telefonów, co absolutnie nie przeszkadzało dyżurnemu w lekturze gazety „Stars and Stripes”.

- Cześć - powitał go Furry. - Widziałeś wiadomość, jaka nadeszła z USAFE?

Dowództwo USAF w Europie mieściło się w Ramstein, w Niemczech.

- Nic nie wiem - odparł Matt.

- To lepiej zjaw się tu, bo dotyczy ciebie, a Goryl nie jest nią specjalnie zachwycony - wyjaśnił rozbawionym tonem Ambler.

Gdy Matt i Furry zameldowali się w gabinecie Martina, w głosie oficera nie było śladu rozbawienia.

- Sądzę, że wie pan, kapitanie, co to takiego PI?

- Wyjaśniono mi to, *sir*. - Matt naprawdę się zdumiał, jako że od wypadku, w którym zginął Locke, starannie unikał nawet wzmianek o dziadku.

- Cuchnie mi to na odległość - warknął Martin, rzucając mu wiadomość do przeczytania. Dowództwo US Air Force w Europie polecało, by Czterdzieste Piąte Taktyczne Skrzydło Myśliwskie bazujące w Stonewood w Wielkiej Brytanii wysłało jedną maszynę typu F-15 Eagle do Izraela z sześćdziesięciodniową wizytą, mającą na celu zademonstrowanie możliwości samolotu lotnictwu izraelskiemu. Załogą miał dowodzić kapitan Matthew Zachary Pontowski III.

- Cholera, nie mam z tym nic wspólnego, *sir* - zaprotestował Matt. - Nigdy nie...

- Kapitanie, gdybym miał coś do powiedzenia w tej sprawie, skończyłby pan jako dyżurny nocnej zmiany latrynowej - przerwał mu Goryl. - Zaraz usłyszę, że jakiś srający ołówkiem duppek w sztabie USAFE przypadkiem podał pana nazwisko, bo mu się obilo o uszy. Taką wizytą z zasady dowodzi pułkownik, a nie byle kapitan. I co pan na to?

- Nie mam pojęcia, *sir*. I wcale nie chcę tam lecieć! - Cichy jęk z boku pozwalał przypuszczać, że Furry chce. - Ktoś w USAFE bawi się w politykę i pewnie pomyślał, że wysłanie mnie będzie niezłym pomysłem z uwagi na dziadka.

- To jest możliwe, ale i tak śmierdzi - obstawał przy swoim Martin. - Uspokój się Furry, wiesz, że jestem zwolennikiem stałych załóg, więc jeśli Narwaniec poleci, to ty także.

Martin należał do entuzjastów zasady US Navy, gdzie formowano stałe pary pilot-*wizzo*; był to jego zdaniem jedyny sposób, by w pełni wykorzystać wszystkie możliwości wersji E. W praktyce oznaczało to utrapienie dla milikratów w jednostce, ale przynosiło spodziewane rezultaty w powietrzu. To, co przed chwilą powiedział, było z jego strony dużym poświęceniem, jako że Furry był najlepszym w jednostce specjalistą od uzbrojenia i taktyki i Martin lubił go na wszelki wypadek mieć pod ręką.

- *Sir* - odezwał się Matt - dlaczego nie zrobić losowania? Niech poleci ten, który będzie miał najwięcej szczęścia.

- Niezłe - zarechotał Martin. - A co mam zameldować w dowództwie?

- Że odmawiam z przyczyn osobistych: na to nie ma rady. I naturalnie nie wezmę udziału w losowaniu.

- To nie fair! - Tym razem Furry nie ograniczył się do jęku. - W sześćdziesiąt dni mogę dowiedzieć się wszystkiego o ich nowych taktykach. Taka okazja może się długo nie powtórzyć, *sir*.

- Dobra, wasze nazwiska też losują. Zorganizuj to na rano, Ambler - zdecydował Martin.

Sala odpraw była zatłoczona jak nigdy: zjawili się bowiem wszyscy piloci i nawigatorzy skrzydła, nie chcąc przepuścić takiej okazji jak losowanie. Furry namówił zgrabną sekretarkę do wystąpienia w roli sierotki, dzięki czemu natychmiast w obieg poszła pogłoska, że jest ona dodatkiem do nagrody. Wśród podekscytowanych okrzyków sięgnęła do wycyganionego od kogoś z cywilnych pracowników kapelusza i wyjęła zeń złożoną karteczkę. Starannie ją rozwinęła i przeczytała:

- Kapitan Pontowski i major Furry.

Salę wypełniły głośnie jęki, gwizdy i oskarżenia, po czym tłum powoli zaczął się rozpraszać.

- Jak twój hebrajski? - spytał Matt, dołączając do Furry'ego.

- Służba to straszna rzecz - jęknął zapytany, jednocześnie chytrze się uśmiechając.

Tall'Uwaynot - mruknął Mustafa, wskazując leżącą przed nimi osamotnioną i zaniedbaną wioskę.

Znajdowała się w najdalej na północny zachód wysuniętym skrawku Iraku i od granicy tureckiej dzieliło ją niecałe czterdzieści kilometrów.

- To nasz cel. - Miał na myśli grupę glinianych budynków na skraju wsi. - Poczekasz tu, a ja poszukam jakiegoś przekupnego żołnierza ze straży granicznej, który cię przeprowadzi; za stosowną opłatą oczywiście.

Jej wrogiem znów był czas: Shoshana mogła jedynie bezczynnie czekać na efekty poczynań Mustafy. Odpoczęła, zrobiła pranie, wzięła kąpiel i koszmarnie się nudziła. Mając więcej czasu niż zajęć, zaczęła też myśleć i doszła do konstruktywnego

wniosku, że cieszy się ze śmierci Habisha, a także do mniej konstruktywnych konkluzji, a mianowicie, że stała się dziwką i morderczynią. Na szczęście zjawiała się Meral, zakurzona i ślaniająca się na nogach po długim marszu od najbliższej drogi. Jej przybycie skutecznie uniemożliwiło Shoshanie dalsze rozmyślanie, a zarazem oznaczało koniec aresztu domowego: z nią mogła bezpiecznie wyjść na rynek, co też następnego dnia zrobiły. Patrol z pobliskiego garnizonu granicznego, stacjonującego w wiosce, sprawdził pobieżnie ich papiery i na tym się skończyło: ignorowano je, podobnie zresztą jak inne kobiety. Życie w wiosce upływało w spokoju i bez pośpiechu, a Shoshana uznała, że tego właśnie trzeba jej zszarganym nerwom.

Pewnego ranka obudził ją dziwnie zdenerwowany Mustafa.

- Szybko! - polecił. - Potrzebuję twojej pomocy!

Shoshana wpadła za nim do małżeńskiej sypialni i od razu zrozumiała, co się święci: Meral groziło poronienie.

- Potrzebujemy lekarza albo pielęgniarki - oznajmiła, a widząc jego przeczący gest dodała: - To w najgorszym razie akuszerki, tylko mi nie opowiadaj, że to zbyt niebezpieczne! Jak ty po nią nie pójdziesz, sama to zrobię!

- Pójdę - warknął i rozpląnął się w szarości świtu.

Niecałe pół godziny później Mustafa wrócił ze starą kobietą, która, jak tylko stanęła w progu, zaczęła komenderować nim i Shoshana. Gdy skończyła swoją robotę, Meral już nic nie groziło - wreszcie mogła wygodnie odpocząć. Tuż przed odejściem stara obrzuciła Shoshanę badawczym spojrzeniem.

- Powiedziałem jej, że jesteś moją siostrą, którą musimy się opiekować, bo jesteś przygłupia - wyjaśnił Mustafa - ale chyba mi nie uwierzyła... Zacznie plotkować, żołnierze coś usłyszą i będziemy mieli kłopoty.

- A więc czas się stąd wynieść...

- Zobaczę, co się da zrobić - przerwał jej i zniknął za drzwiami.

Wrócił po kilkunastu sekundach.

- Nie miałem wyboru - mruknął, uzupełniając amunicję w

pistolecie. - Mieszkała sama, więc przez dzień czy dwa nikt nie zauważył jej nieobecności. Musimy stąd zniknąć... Nie patrz tak na mnie: za wszystko trzeba płacić. Tym razem ceną naszego życia było jej życie.

Shoshana i Meral leżały w zagłębieniu terenu, które było ustalonym miejscem spotkania z Mustafą. Meral opadała z sił i przez ostatnie pięć kilometrów górskiej drogi Shoshana właściwie ją niosła. Nie mogła jej przecież zostawić, a zresztą bez dziewczyny nigdy by nie odnalazła kryjówki. Teraz leżały w niszy skalnej, a na zewnątrz, przed nimi, rozciągała się dolina, gdzieś w oddali przecięta granicą. Granicą, której w żaden szczególny sposób nie oznakowali ani ludzie, ani natura. Mustafa nigdzie nie było widać, toteż Shoshana wpełzła z powrotem do kryjówki i ułożyła się do snu obok śpiącej Meral.

Obudziła ją gardłowa komenda po arabsku i omal nie zerwała się na równe nogi. Usłyszała głos Mustafy - dziwnie nieśmiały i proszący, ale sama obecność towarzysza pozwoliła jej odzyskać panowanie nad sobą. Kolejna wymiana zdań obudziła i Meral.

- Tutaj się ukryły - wyjaśnił Mustafa, prowadząc dwóch żołnierzy straży granicznej, z którymi przystanął u wylotu niszy. - Dostanę nagrodę?

Tak się przymilał i łasił, że tylko patrzeć, a zacząłby merdać ogonem.

- Nie, ale ja dostanę - warknął właściciel chrapliwego głosu, zdejmując z ramienia AK-47 i wpychając jego lufę w brzuch Mustafy, który zwinął się z bólu na ziemi.

Żołnierz wycelował w jego głowę i huknął strzał. Meral jęknęła, lecz wtem okazało się, że na ziemię runął - z roztrzaskaną głową - żądny nagrody strażnik. Drugi żołnierz obojętnym gestem zakładał na ramię automat, a Mustafa próbował oczyścić się z resztek mózgu i krwi zabitego.

- To jego właśnie przekupiłem - wyjaśnił zaskoczonym dziewczętom - ale jego kumpel był za głupi, by uczciwie zarobić.

Żołnierz tymczasem rozebrał zabitego i podał Shoshanie jego mundur.

- Włóż to - polecił Mustafa. - Z daleka będziecie wyglądali jak normalny patrol, a z bliska i tak nic się nie da zrobić...

Mundur cuchnął potem, moczem i dymem papierosowym - od tygodni nie oglądał wody ani mydła, ale dawał szansę przeżycia.

- Co dalej? - spytała wkładając buty.

- Pójdiesz z Kermalem do przejścia granicznego, które spokojnie przekroczysz, i będziesz już w Turcji - wyjaśnił Mustafa.

- Ufasz mu? Nawet ślepy rozpozna, że jestem kobietą, a tu nie ma żeńskich formacji wojskowych.

- Kermalowi zależy na pieniądzach, a posterunek przejdziesz w nocy, więc nie powinno być problemów.

- A gdzie wy będziecie, ty i Meral?

- Niedaleko stąd. Kermal musi dostać drugą połowę zapłaty. Jeśli coś będzie nie tak, to wrócisz tu, gdzie teraz jesteśmy. Odnajdziemy cię, a jemu powiedziałem, że z naszej kryjówki widać posterunek, żeby nie próbował żadnych sztuczek: jak nie wejdiesz sama do Turcji, nie dostanie reszty gotówki.

- Dlaczego mam ryzykować przekroczenie granicy na posterunku? - Shoshanie niezbyt się podobał cały ten plan. - Nie lepiej przejść granicę gdzieś w górach, z dala od żołnierzy?

- Turcy mają wiele patroli granicznych; jeśli złapią cię bez stempla w papierach, że legalnie przekroczyłaś granicę, to dostarczą cię do najbliższego irackiego posterunku i dopiero wtedy zaczną się kłopoty. - Mustafa był wyjątkowo cierpliwy.

- A jak dostanę tę cudowną pieczętkę?

- Od tureckiego wartownika na posterunku, do którego zaprowadzi cię Kermal. On też ma dołą w tym interesie i czeka na ciebie.

- A więc każdy ma cenę albo się go zabija... - mruknęła.

- Nie mamy przyjaciół, a więc musimy kupować sojuszników - odparł Mustafa i dodał: - Zmierzcha, czas na was.

Shoshana nieśmiało dotknęła policzka Meral i ruszyła za Kermalem ku dolinie.

13

Gdy kołowali z pasa w bazie lotniczej Ramon, czekała na nich niewielka furgonetka.

- To musi być wóz „Za mną!” - domyślił się Matt.

Furry mruknął coś w odpowiedzi i wyjął aparat, gotów fotografować wszystko co ciekawe na lotnisku położonym na pustyni Negew.

- Niewiele tu widać - zauważył zgodnie z prawdą Matt.

Baza była podziemna, a na to, co wystawało ponad poziom gruntu, składały się: betonowa wieża kontrolna, pasy startowe wraz z drogami kołowania i para dyżurnych myśliwców, stojąca w alarmie na początku pasa startowego. Obaj byli zaskoczeni szybkością, z jaką furgonetka pilotująca prowadziła ich do wzmocnionych żelbetowych schronów podziemnych, pełniących rolę hangarów.

Rampa wiodąca pod ziemię była dziwnie pusta, a jeśli już coś się po niej poruszało, robiło to wyjątkowo szybko. W pewnym momencie furgonetka zjechała w zatokę z boku rampy i zatrzymała się, Matt posłusznie zrobił to samo, ciekaw, co też się dzieje. Nie musiał długo czekać na wyjaśnienie: po kilku sekundach z usytuowanych po bokach rampy schronów wykołowały dwie pary F-16 i pomknęły ku powierzchni, gdzie nie zatrzymując się na pasie startowym wystartowały „z marszu” w odstępach dziesięciu sekund para od pary. Ledwie samoloty opuściły schrony, natychmiast zasunęły się prowadzące do nich pancerne grodzie przeciwybuchowe.

- Widziałeś? - W głosie Amblera słychać było podziw. - Nigdy nie kołowaliśmy tak szybko ani nie startowaliśmy w szyku bez przystanku.

Furgonetka znów wjechała na rampę, więc Matt posłusznie ruszył za nią.

- Teraz kołujemy - odparł Matt. - Nie powiem, żebym uważał to za bezpieczne.

- Zależy od punktu widzenia. - Furry odzyskał zwykły spokój. - Niewiele czasu spędzają na ziemi, wychodząc z założenia, że samolot jest bezpieczniejszy w powietrzu.

- Pomyślałby kto, że mamy wojnę - mruknął Matt, skręcając na krótką drogę prowadzącą do przydzielonego im bunkra.

Grodzie po obu stronach były otwarte, toteż furgonetka pilotująca przejechała przez całą jego długość i zniknęła, a prowadzenie F-15 przejęła załoga naziemna. Zgodnie ze znakami szefa mechaników, Matt skręcił i podjechał, zatrzymując się na widok skrzyżowanych nad głową rąk. Szef spojrział na wymalowane na betonie znaki i posłał mu niezadowolone spojrzenie: przednie koło podwozia było o piętnaście centymetrów przed znakiem. Do lewej burty przystawiono drabinę i obaj lotnicy z ulgą opuścili kabinę po długim locie.

Maszynę natychmiast otoczył rój mechaników, uzupełniając paliwo i rozładowując zbiorniki podskrzydłowe. Sierżant o niedbałym wyglądzie spytał Matta, czy mieli jakiegokolwiek problemy w drodze, a dowiedziawszy się, że nie, poprosił o formularze obsługi maszyny i zniknął.

- Co się robi? - zdenerwował się nagle Furry. - Załadowują rakiety!

Matt odwrócił się na pięcie i z zaskoczeniem obserwował, jak zbrojmistrze załadowują Sidewindery z wózka na podskrzydłowe pylony. Na kolejnym wózku czekały cztery Sparrowy, które miano załadować na podskrzydłowe uchwyty.

- Sierżancie! - ryknął Matt, dostrzegając wśród załogi rozczochraną czuprynę podoficera. - Co tu się do diabła dzieje?

- Ćwiczenia bojowe - rozległ się głos za jego plecami i Matt ponownie odwrócił się na pięcie.

Właścicielem głosu był mężczyzna jego wzrostu i wieku z dystynkcjami *rav seren*, czyli majora.

- Dave Harkabi - przedstawił się, wyciągając prawicę. - Jestem waszym oficerem łącznikowym.

Matt odruchowo uściśnął podaną mu dłoń, bardziej zaabsorbowany losami samolotu niż czymkolwiek innym.

- Z tego, co wiem, nie jesteśmy stroną walczącą - oznajmił nieśmiało.

- Wykorzystujemy każdą okazję do ćwiczeń - wyjaśnił Harkabi. - Jak skończą, zabiorą się za rozładunek. To nie potrwa długo: jeśli nie wyrobią się w dziesięć minut, to będą ćwiczyli cały dzień, aż dojdą do właściwego czasu.

- Jezus Maria! - jęknął Furry. - Dziesięć minut!

Czym prędzej zrobił zdjęcie mechanikom uwijającym się wokół F-15, ale jeszcze prędzej aparat znalazł się w dłoni uzbrojonego żandarma, który pojawił się nie wiadomo skąd i stanowczo, choć grzecznie, wyjaśnił, że na terenie bazy obowiązuje całkowity zakaz fotografowania.

- Proszę o film - wtrącił Harkabi - wywołamy go i oddamy wszystko to, co nie dotyczy lotniska. I proszę bez zezwolenia nie robić tu więcej zdjęć.

Harkabi miał angielski akcent i na zasadzie odległych skojarzeń Matt wyobraził sobie spotkanie jego i Martina, który dostałby szau na widok tak niechlujnie ubranego oficera: koszula i spodnie aż prosiły się o żelazko, a buty o pastę.

- A nie mówiłem, że się uwiną? - odezwał się obiekt lustracji. - Już skończyli. Chodźmy do samochodu.

Zamknęły się za nimi pancerne wrota i niemal równocześnie otworzyły się przed nimi drzwi windy.

- I co myślisz? - spytał Matt, gdy znaleźli się wewnątrz.

- Obsługa pierwsza klasa - mruknął Furry.

- Czego nie można powiedzieć o mundurach. - Z tą uwagą Matt poczekał aż do chwili, gdy znaleźli się na świeżym powietrzu.

- „Wygrywa armia mająca prostsze mundury.”

- Kolejna zasada? - spytał Matt, wsiadając do wozu.

- Owszem, oraz lekcja historii. Rozejrzyj się uważnie, bo prawdopodobnie nie będziesz miał okazji zobaczyć tego ponownie.

- Czego?

- Bazy lotniczej w stanie wojny.

Avi Tamir spokojnie czekał na swoją kolej, by zobaczyć się z premierem. Normalnie spędziłby ten czas przeglądając któreś z czasopism naukowych, które abonował, a których z zasady nie miał czasu czytać. Dziś jednak zadzwoniła Shoshana i jedynym jego pragnieniem było jak najszybciej wrócić do Hajfy i ucałować długo niewidzianą córkę. Pomieszał mu plany telefon od sekretarki Ben Davida, informujący, że premier chciałby się z nim spotkać po południu, toteż zamiast do Hajfy Tamir musiał jechać do Jerozolimy.

Gdy w końcu wpuszczono go do gabinetu Yaira, Avi nie dał się zwieść tradycyjnym pozorom panującego w Izraelu egalitaryzmu: to, że wszyscy mówili sobie po imieniu, nie zmieniało ani hierarchii służbowej, ani treści wypowiedzi.

- Cieszę się, że udało ci się przyjechać - powtał go Ben David, ściskając mu dłoń. - Wiem, że spieszo ci do domu. Siadaj, proszę.

Gospodarz wskazał mu wygodny fotel samemu zajmwszy sąsiedni, zapalił fajkę, będącą jego wyróżnikiem w zmaganiach politycznych: towarzyszyła mu zawsze i wszędzie.

- Rozmawiałem dziś z Yuridenem - odezwał się po chwili premier. - Zastanawialiśmy się, jak postępują twoje badania.

Tamir poczuł się trochę nieswojo, jak zwykle gdy tematem była jego praca.

- W ciągu trzech najbliższych miesięcy powinniśmy mieć działający model.

- Zapalnika?

- Całości - wyjaśnił Tamir. - Informacje Mossadu znacznie ułatwiły nam pracę,

- Ach, tak. - Ben David wołał nie prostować błędu uczonego: plany technologii jądrowych wykradzione zostały z USA nie przez Mossad, ale przez „Łącznikowe Biuro Naukowe”, jak ktoś eufemistycznie nazwał wywiad wojskowy.

Dzięki penetracji Sandia Corporation zaoszczędzono zespołowi Tamira kilku lat prób i umożliwiono faktyczną konstrukcję broni termonuklearnej, zwanej potocznie wodorową.

- Czas... - mruknął zamyślony premier. - Potrzebujemy więcej czasu, a Arabowie odmawiają nam tego luksusu... Avi, potrzebujemy tej bomby tak szybko jak to tylko możliwe.

- Ale po co? Po co Izraelowi tak straszliwa broń?! Mamy aż nadto bomb atomowych, by zniszczyć naszych wrogów, jeśli nas do tego zmuszą.

Ben David odłożył fajkę i spojrział mu prosto w oczy.

- Żyjemy w bezwzględnym świecie, co często zmusza do podejmowania kontrowersyjnych decyzji - powiedział powoli premier. - Jeden z naszych agentów odkrył, że Irak produkuje nowy, binarny gaz paraliżujący, zdolny do przeniknięcia naszych ubrań ochronnych i masek.

- Ależ to bezsens! Produkcja, transport i użycie gazu binarnego są bardzo trudne. Po co im cała ta komplikacja, skoro wystarczą klasyczne gazy jednoskładnikowe? Poza tym nie bardzo wierzę w tę historię z penetracją odzieży ochronnej.

- Uwierz mi, że zbyt wiele dzieje się w Kirkuku, abyśmy mogli to ignorować. Wiemy, że używają do transportu pojemników z polimeru, który jest bardzo trudny do wytworzenia, ale także bardzo odporny na rozpuszczanie czy korozję. Wiemy też, że produkują nowe antidotum; nasz agent dostarczył automatyczną strzykawkę, taką samą zresztą, jakich my używamy, ale jak dotąd nasi naukowcy nie są w stanie określić składu chemicznego jej zawartości, a to już mówi samo za siebie.

- Ale kiedyś go wreszcie określą i będziemy dysponowali odtrutką, tak że gaz przestanie być groźny.

- Kiedyś... - powtórzył Yair. - Właśnie czas jest jedyną rzeczą, jakiej nie mamy. Radykałowie arabscy zrobili z Husajna bohatera i ofiarę zachodniego imperializmu; skutecznie posługują się tym mitem, by wymusić kooperację wszystkich krajów arabskich. Jak dotąd udało się to z Egiptem, Syrią i Irakiem. Praktycznie Egipt i Syria dysponują już wspólnym dowództwem i systemem łączności. Jeśli Syria i Irak przestaną się na siebie boczyć, na co wszystko wskazuje...

- Rozumiem: nowy iracki gaz zostanie użyty przeciwko nam - przerwał mu Tamir. - Ale oni się nie odważą. Wiedzą, że mamy bombę i użyjemy jej. To byłaby masakra...

- Wiedzą, ale, jak widać nie powstrzymało ich to przed stworzeniem „bomby atomowej biedaka”. Trzeba im wbić do

tych zakutych łbów, że próba jej użycia przeciwko nam jest niewykonalna, gdyż zbyt kosztowna; bomba wodorowa zaś jest nie tylko znacznie silniejsza, ale i o wiele sugestywniej działa na wyobraźnię. I właśnie dlatego jak najszybciej potrzebujemy działającej bomby.

Tamir poczuł nawrót dylematu gnębiącego go od czasu testu morskiego w 1979 roku - czy ma przejść do historii jako Niszczyciel Narodów?!

- Nie chcę cię zatrzymywać. - Ben David wstał. - Avi, musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, by chronić ten kraj i tych ludzi. Idź, zobacz się z córką i bądź z niej dumny.

Pociąg do Hajfy jechał wystarczająco długo, by Tamir zdążył rozgryźć słowa premiera i poskładać w całość resztę układanki. Klnąc na czym świat stoi swój analityczny umysł, musiał jednakże przyznać mu tym razem rację: Shoshana pracowała dla Mossadu, i to bez dwóch zdań, i najprawdopodobniej to właśnie ona była owym „agentem”, który dostarczył rewelacji o gazie. Ben David dał mu to wystarczająco jasno do zrozumienia. Tylko pytanie dlaczego? Premier niczego nie robił bez celu, a w tym wypadku albo chodziło mu o zachęcenie jego, Tamira, do pracy, albo też miał w zanadru nową misję dla Shoshany... O tym ostatnim Avi wolał nie myśleć.

Jestem tu, tato! - zawołała schodząc z balkonu i zatrzymała się.

Dzielił ich pokój, dzięki czemu mógł ją sobie spokojnie obejrzeć: prosta sukienka, sandały, włosy splecione w zwykły warkocz, ani śladu makijażu. W następnej chwili padła mu w ramiona i ze zdziwieniem wyczuł zapach mydła: nie użyła ani perfum, ani dezodorantu.

- Cieszę się, że w końcu zdecydowałaś się wrócić do starego ojca - powiedział czule.

- Tak się cieszę, że jestem w domu.

Chciał, by dodała: „tatku”, ale wiedział, że dziewczynka zniknęła już na zawsze - teraz miał przed sobą dojrzałą kobietę, która wiele przeszła i zmieniła się na tyle, że już nigdy nie nawiąże jej „Shoshe”.

Shoshana uparła się, by zjeść kolację w domu; sama ją zresztą przygotowała.

- Widziałaś Yoela? - spytał Avi, gdy siedli do stołu.

- Nie i nie sądzę, żebym kiedykolwiek chciała. Nie ma po co.

- Cóż... W takim razie opowiedz mi o Hiszpanii. - Przyrzekł sobie, że nie zrobi nic, by dowiedzieć się od niej prawdy, i przez parę minut wysłuchiwał przekonującej relacji z podróży, zastanawiając się jednocześnie, na ile dni córka wróciła do domu.

Ku swemu zaskoczeniu po kilku dalszych minutach usłyszał, że skończyła pracę w firmie owocowej, i nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Nikt nie kończy współpracy z wywiadem inaczej jak tylko kończąc życie.

- Zamierzam wstąpić do *sherut miluim* i zostać pielęgniarką - oznajmiła zdecydowanie.

Sherut miluim była rezerwową formacją wojsk izraelskich, ale może mimo wszystko to było dla jego jedynaczki lepsze niż co innego.

Melissa wsiadła do wozu podstawionego ze „stajni” Białego Domu, zastanawiając się, co się stało: jeśli dyżurny zadzwonił o czwartej rano z informacją, że Fraser wysłał po nią wóz, bo jest mu potrzebna, to musiało wydarzyć się coś ważnego.

- Pierwsza strona - powitał ją kierowca, wręczając jej „The Washington Post”.

Wybity tłustym drukiem nagłówek obiecywał skandaliczne rewelacje. Autor artykułu twierdził, że spore kwoty zasiliły komitety wyborcze, organizacje zajmujące się wyborami i fundusz elekcyjny Pontowskiego. Dziennikarz opisywał, w jaki skomplikowany sposób pieniądze te zostały wyprane, by ukryć ofiarodawców i obejść prawo regulujące dotacje na cele polityczne. Dalej zapewniał, że głosy wyborców po prostu kupiono, a kończył swoje wywody przytoczeniem słów lidera mniejszości w Senacie, Williama Douglasa Courtlanda: „Była to wysoce nieetyczna kampania, w czasie której zbyt wiele pieniędzy trafiło we właściwym czasie do właściwych ludzi. Ktoś, a raczej grupa ktosiów starannie to kontrolowała, łamiąc prawie wszystkie istniejące zasady wolnych wyborów”.

- Jak pani myśli, ile z tego jest prawdą? - spytał kierowca, widząc, że skończyła lekturę.

Melissa potrząsnęła głową, zbyt zaskoczona, by się odezwać. Chciała naturalnie wierzyć, że to stek bzdur; takie afery zdarzały się już niejednokrotnie, i to nie tylko w amerykańskiej polityce, ale jak na to artykuł zawierał zbyt wiele rzeczowych danych, a gazeta miała zbyt dobrą reputację, by powążyć się na niczym nieudokumentowaną potwarz. Ryzyko takiego postępowania wobec prezydenta USA było po prostu zbyt wielkie. Nie miała wątpliwości, że Zack nigdy by nie zezwolił na użycie nielegalnych funduszy wyborczych, ale przecież mógł o tym nie wiedzieć - ktoś w Komitecie Wyborczym przekroczył granicę swoich kompetencji... Jakoś automatycznie przypomniał się jej przyklejony do telefonu Fraser.

Sekretarka poinformowała Melisę, że ma się udać prosto do Gabinetu Ovalnego, gdzie posiedzenie było już w toku: Fraser siedział obok przewodniczącego komitetu wyborczego, a wiceprezydent stał, słuchając, co ma do powiedzenia przewodniczący Izby.

- Kawy? - spytał Pontowski, wskazując srebrny dzbanek stojący na stole.

Nalała sobie filiżankę, dziękując mu uśmiechem, i usiadła z boku.

- Jak już mówiłem, jest zbyt wcześnie, by ocenić, jakie skutki wywołał artykuł w Kongresie i jak one się mają do pańskiej pozycji politycznej, panie prezydencie.

- A w Senacie? - spytał Pontowski.

- Dokładnie to samo: zbyt wcześnie, by ocenić - odparł wiceprezydent. - Mogę spróbować to wyciszyć.

- Nie - zaprotestował stanowczo Zack.

Fraser podskoczył, ale nie odezwał się ani słowem.

- Frank - zwrócił się Pontowski do przewodniczącego komisji - przypominasz sobie jakiegokolwiek podejrzanego pieniądze, które by do nas napłynęły, albo może niewłaściwe kontakty naszych ludzi w trakcie wyborów?

- Oddawaliśmy wszystko, co mogłoby być choćby z lekka podejrzanym, i trzymaliśmy się z dala od grup nacisku czy organizacji

zbierających głosy: na szczeblu stanu odchodzą tam zbyt wielkie kombinacje.

- Masz to wszystko zanotowane? - spytał Fraser.

- Naturalnie - odparł zapytany.

Fraser zmarszczył czoło.

- Melisso, słyszałaś lub widziałaś coś podejrzanego pracując w sztabie wyborczym? - spytał Pontowski.

- Codziennie, ale jeśli miało to cokolwiek wspólnego z dotacjami, kierowałam sprawy do biura pana Fräsera.

- Robiłaś notatki czy ewidencję? - chciał wiedzieć Fraser.

Melissa przecząco potrząsnęła głową.

- Z czym konkretnie miałeś do czynienia, Tom? - Fraser był odpowiedzialny za bieżący, można powiedzieć, codzienny przebieg kampanii, dzięki czemu przewodniczący miał czas, by zajmować się jej przebiegiem długofalowym i załatwianiem legalnych dotacji.

- Z tym, co mi przesała Melissa - mruknął oskarżycielsko zapytany. - Załatwiałem to zgodnie z ogólnymi wytycznymi.

- A ma pan ewidencję spraw? - wtrąciła słodko Melissa.

- Nie była potrzebna - warknął Fraser, przejmując inicjatywę. - Ten artykuł to wstępniak; coś, co zwiększa nakład i z czego niewiele wynika. Wszyscy widzieliśmy podobne na wiele różnych tematów, a „Post” od czasu Watergate gorączkowo szuka czegoś sensacyjnego. W artykule są same ogólniki, więc powinniśmy bez problemów ostro się z nimi rozprawić i odbić piłkę na ich podwórko.

- To może nie być takie proste - wtrącił przewodniczący Izby.

- Nie mają dowodów, a więc nie widzę problemu - nie ustępował Fraser.

- Wystarczy! - uniesiona dłoń Pontowskiego przerwała dyskusję. - Sprawa jest o tyle groźna, że bez poważnych powodów by jej nie wywleczono, a to znaczy, że może nam narobić kłopotów w najmniej odpowiednim momencie. Skoro ktoś coś znalazł, to widocznie do odszukania jest jeszcze więcej, i dlatego zrobimy tak: po pierwsze, ty, Tom, będziesz tym dowodził i na początek napiszesz oświadczenie dla prasy, które ja przed wysłaniem podpiszę. W związku z zaistniałą sytuacją wszczęliśmy

śledztwo, by dojść prawdy, i jeśli w czasie kampanii były jakiegokolwiek nadużycia, to winni zostaną ukarani bez względu na to, jakie w tej chwili zajmują stanowiska. Po drugie: porozmawiaj z prokuratorem generalnym, niech ci da listę kandydatów na stanowisko prokuratora nadzorującego tę sprawę. Po trzecie: niech FBI przesłucha wszystkich, którzy mieli jakiegokolwiek związek z naszą kampanią wyborczą.

- Jezu, przecież to będą tabuny ludzi! - jęknął Fraser.

- Nie szkodzi. - Pontowski doskonale wiedział, czego chce, i nie zamierzał ustępować. - Po czwarte: skontaktuj się ze skarbowką, niech sprawdzą wszystkie odpisy podatkowe na rzecz naszej kampanii i porównają to z naszymi zapisami.

- Nie będą tym zachwyceni - mruknął Fraser.

- Nie wątpię - zgodził się Zack. - Po piąte: chcę, żeby to się zaczęło kręcić dziś, a pierwszy raport ma być gotów, zanim pójdziesz do domu. Po szóste: chcę, żeby to do nas przychodzili dziennikarze po nowości i żeby wszystko, co wygrzebią, było przestarzałe i od dawna znane. Macie jakieś pytania? Nie? No to ślicznie. Tom, co mam dziś w planach?

- Śniadanie z delegacją Kongresu o siódmej trzydzieści, na temat Bliskiego Wschodu. - Fraser podał mu listę trzech kongresmanów i dwóch senatorów.

- Lobby izraelskie - mruknął Pontowski. - Cóż, do wpół do ósmej mamy trochę czasu, a więc nie ma co go marnować.

Śniadanie zaczęło się miło, ale napięcie błyskawicznie rosło w miarę zbliżania się do głównego problemu, jaki nurtował gości.

- Rozwój wydarzeń napawa nas uzasadnionymi obawami co do zagrożenia, jakie obecny stan rzeczy stanowi dla Izraela. - Najstarszy z senatorów wziął wreszcie byka za rogi. - Z tego, co wiemy, Izrael poprosił o zwiększenie pomocy militarnej i sądzimy, że administracja powinna się przychylić do tej prośby.

- Otrzymaaliśmy ją zaledwie kilka dni temu i nadal jest rozważana - wyjaśnił Pontowski.

- Moi wyborcy są zaniepokojeni groźbami wygłaszanymi przez różnych przywódców arabskich, chcących kontynuować

politykę Saddama - zabrał głos młodszy z kongresmanów. - Sądźmy, że Izrael powinien otrzymać dywizjon F-15 Eagle, o który prosi.

- Ma pan doskonałe informacje - zauważył Pontowski.

- Jak już mówiłem, prośba jest rozpatrywana.

- Ponieważ pański wnuk demonstruje możliwości F-15 Eagle przedstawicielom sił zbrojnych Izraela, to czy mogę powiedzieć moim wyborcom, że jest pan przychylnie nastawiony do tej prośby?

- Nie wiedziałem, że Matt jest w Izraelu - zdziwił się Zack.

- Proszę mi wierzyć, że o wysłaniu go tam zdecydowały US Air Force i nie jest ono odzwierciedleniem mojej polityki w tym rejonie.

- Jak rozumiemy, pańska polityka ulega zmianie - nie ustawał kongresman.

- Moja polityka jest odbiciem realiów.

- A jakie one są, panie prezydencie?

- Panowie - Pontowski uśmiechnął się - z przyjemnością podyskutuję na temat mojej polityki zagranicznej na Bliskim Wschodzie, ale przewiduję różnice poglądów, a wołałbym, by nasza rozmowa nie miała charakteru ogólnie znanej. Powiedzmy prasie, że „dyskusja była szczera”: każdy zrozumie, że tarcia były ostre, ale nie doszło do otwartej wojny, gdyż wówczas komunikat by brzmiał: „dyskusja była otwarta”. Zgodna?

Wszyscy obecni przytaknęli.

- Przechodząc do rzeczy, po pierwsze: nie zamierzam pozwolić, by Izrael został zniszczony przez jakąkolwiek koalicję arabską, jednakże nie zamierzam w całości popierać polityki izraelskiej, która sama z siebie powoduje problemy, których rozwiązaniem winien zająć się rząd tego właśnie kraju.

- O jakich problemach pan mówi, panie prezydencie? - zdziwił się młody kongresman.

- O okupacji Gazy i zasiedleniu Zachodniego Brzegu.

- Są to tereny istotne dla bezpieczeństwa Izraela!

- Być może, ale z powodu zajęcia tych terenów Izrael musi dokonywać całej masy wyborów, które w innym przypadku nie byłyby niezbędne. - Oświadczenie prezydenta powitała cisza.

- Na przykład: Czy Izrael chce stać się odpowiednikiem

RPA na Bliskim Wschodzie, gdzie Żydzi rządzą podklasą, jaką staną się Palestyńczycy? Czy też Izrael zamierza być państwem demokratycznym, chcącym w pokojowy sposób ułożyć stosunki z palestyńskimi sąsiadami?

- Ależ Żydzi mają historyczne prawo do tych terenów!

- Do całych? - spytał spokojnie Zack. - A co z prawami Palestyńczyków? Ich historia się nie liczy?

- Panie prezydencie, najwyraźniej nie rozumie pan, jak skomplikowana jest tam sytuacja! - Kongresman nie zdążył się ugryźć w język.

Pontowski jedynie się uśmiechnął i czekał; ponieważ panowała cisza, odparł:

- Można się ze mną nie zgadzać.

Tym samym pouczył młodzieńca, żeby walczył fair, i dał mu do zrozumienia, że skłonny jest zignorować podobną zaczepkę, ale w rozmowie prywatnej.

- Wiem, że istnieje w Izraelu frakcja twierdząca, że Żydzi mają prawo do całej Palestyny, ale są i inne odłamy, pragnące ograniczyć terytorium własnego państwa, by dzielić owe ziemie z Arabami, którzy także urodzili się na tych terenach - dodał Pontowski.

- Panie prezydencie! - Kongresman przypominał buldoga, który złapał gnat i dostał szczękoscisku. - Możliwości, o których pan mówi, mogą być rozważane tylko przez Izrael, podobnie jak tylko rząd izraelski może zdecydować o polityce swego kraju. Dlaczego wewnętrzne sprawy Izraela mają wpływać na naszą politykę w tym rejonie?

- Dlatego, że przebieg tych spraw zdeterminuje moją politykę wobec tych, którzy są za nią odpowiedzialni - odparł zgodnie z prawdą Zack.

Melissa spotkała delegację przy wyjściu z Białego Domu i, jak należało oczekiwać, została przez nią zignorowana, dzięki czemu miała okazję wysłuchać opinii najmłodszego kongresmana:

- Nafta go kupiła! Możecie o tym przeczytać w „The Post”!

Zmęczony Matt rozpiął kombinezon i wlaź pod prysznic,

rozbiegając się po drodze. Furry był zdecydowanie mniej efektywny: zdołał paść na fotel i znieruchomieć, pojękując z cicha. Dobięł końca szósty tydzień współpracy z izraelskimi pilotami i obydwa właśnie wrócili do kwatery po porannym locie.

- Jestem na to za stary - oznajmił Furry, zbierając się w sobie i sięgając po piwo. - Kości mnie boją od przeciążeń... Ale, cholera, byliśmy dzisiaj dobrzy!

- Byliśmy - zgodził się Matt, który z zaskoczeniem stwierdził, że może dotrzymać pola izraelskim pilotom, a w spotkaniu jeden na jeden z zasady z nimi wygrywa.

Z kolei Furry ze swoją elektroniką pokładową - zwłaszcza zaś trafianiem w naziemny cel prawie natychmiast po jego zlokalizowaniu - nie przestawał wpędzać w kompleksy tutejszych nawigatorów i bombardierów.

- Na ziemi ci faceci wyglądają jak ostatnie ofiary - skomentował Matt - ale w samolotach stają się mistrzami.

Furry dokładnie to samo myślał o nim, ale zachował to spostrzeżenie dla siebie.

- Podobno są najlepsi na świecie - mruknął po przerwie.

- Coś za łatwo nam z nimi idzie. Myślisz, że to pic? Że latają z nami sami nowicjusze?

- Możliwe, ale wątpię. - Matt wyszedł spod natrysku. - Zbieraj się, chłopie! Dave ma po nas wpaść za kilka minut.

Furry wstał z jękiem. Dave Harkabi miał ich zabrać na weekend do Hajfy, gdzie mieszkał z rodzicami; na wyraźne życzenie obu zarezerwował im pokoje w usytuowanym nad morzem hotelu. Faktycznie zjawił się punktualnie.

Dwadzieścia minut później trójka lotników jechała przez pustynię Negew, wymieniając uwagi.

- Wasz Eagle jest doskonałą maszyną - przyznał Harkabi - przydałby się nam dywizjon takich samolotów.

- Faktycznie, daje sporą przewagę - zgodził się Matt.

- A ty ją doskonale wykorzystujesz: latasz jak demon!

- W głosie Dave'a słychać było uznanie.

- Jak dotąd po prostu mieliśmy szczęście - zaprotestował Matt. - Jak się za nas teraz weźmiecie na serio, może się to dla nas źle skończyć.

- Tak uważasz?

- Jesteście cholernie dobrzy - przyznał Matt. - Wystarczy spojrzeć na wynik każdej wojny...

- Naczytałeś się naszej propagandy - roześmiał się Harkabi, ale zaraz spoważniał. - Fakt, jesteśmy dobrzy. Dokładnie dobieramy pilotów, szkolimy ich jak diabli i traktujemy każdy lot jako potencjalny lot bojowy. Jak myślisz, dlaczego po każdym lądowaniu natychmiast uzupełniamy paliwo i ostrą amunicję?

- W naszych samolotach też? - spytał Furry.

Zapytany puścił ten wtręt mimo uszu, wołąc nie informować Amerykanów, iż każdej nocy izraelska załoga ćwiczyła na ziemi obsługę F-15 Eagle, a raz nawet oblatwała maszynę. Bezpieczniej było zmienić temat.

- Rozpatrując nasze zwycięstwa, pamiętajcie o tym, kim są nasi przeciwnicy. Weźmy na przykład lotnictwo syryjskie: mają siedmuset pięćdziesięciu pilotów, z czego pięćdziesięciu w niczym nie ustępuje najlepszym pilotom z dowolnego kraju, a reszta to mięso armatnie. Tych pięćdziesięciu znamy z nazwiska, wiemy, gdzie stacjonują i na czym latają. Nasze szczęście polega na tym, że nie ma u nich pilotów średniej klasy. Poza tym prowadzimy regularny nasłuch ich łączności i wykorzystujemy to, kiedy trzeba. Wiemy o każdym starciu każdego z tej pięćdziesiątki, gdyż zostali oni wyszkoleni przez Rosjan i latają jak Rosjanie: polegają na kontroli naziemnej, która kieruje ich na cel. Jeśli ma to miejsce w czasie wojny, to na każdego z nich przypada po dwóch, trzech naszych pilotów i facet musi zostać zestrzelony w pierwszym locie. Daje to reszcie ich pilotów chwilową przewagę w powietrzu, ale dzięki temu eliminujemy prawdziwe zagrożenie, a potem zajmujemy się nowicjuszami.

- Przyjemniaczki - mruknął Furry.

Harkabi parsknął śmiechem.

- Wojna to wojna, przyjacielu, a jak to wy mówicie: „Zestrzelenie jest zestrzeleniem”.

Wyjechali z pustyni i Dave zmienił się w przewodnika, opowiadając im o ciekawostkach, które mijali nie zwalniając tempa jazdy: chciał być w Hajfie, zanim zacznie się szabas.

- Wtedy wszystko dosłownie zamiera - wyjaśnił. - Jeśli nie jest się osobą religijną, najlepiej być wtedy w Hajfie.

Miał idealne wycucie czasu: zdążył wysadzić ich przed hotelem i dojechać do domu przed początkiem święta.

W hotelu okazało się, że pokoje są już zapłacone, co wywołało dyskusję z recepcjonistą - na szczęście krótką - zakończoną tym, że sami uiścili należność, tłumacząc wcale rozsądnie, że nie mogą przyjmować prezentów od rządu obcego bądź co bądź państwa. Na ten skomplikowany tok rozumowania prowadzący do straty gotówki recepcjonista wzruszył ramionami, wypisał symboliczny rachunek i wręczył im klucze.

Następnego ranka Matt obudził się o piątej trzydzieści i ze zdziwieniem stwierdził, że nie chce mu się spać.

Wyszedł na balkon, przeciągnął się i postanowił pobiegać po plaży. Włożył buty, szorty i koszulkę i zrealizował zamiar. Jakieś trzy kilometry od hotelu dostrzegł samotną postać zmierzającą w stronę morza i zaskoczony zauważył w niej coś znajomego. Zanim dobiegł bliżej, dziewczyna zdążyła wypłynąć w morze; dopiero wtedy uświadomił sobie, skąd ją zna: to była spotkana w Marbelli Kanadyjka, Rose Temple, czyli jego pierwszy w życiu kosz, i to na rzecz Araba. Zawrócił na pięcie i pobiegł tak, by znaleźć się na wysokości dziewczyny, płynącej równoległe do brzegu w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów. Gdy skierowała się ku plaży, usiadł na piasku i czekał. Ostatnie wątpliwości rozwiały się, gdy szła przez płyciznę: zgrabna figura, czarne włosy i wspaniałe piersi w połączeniu ze smukłą talią mogły należeć tylko do jednej osoby: Rose Temple.

Dziewczyna tymczasem całkowicie go zignorowała i biegiem ruszyła wzdłuż plaży. Niezrażony tym Matt zerwał się na równe nogi i pobiegł za nią.

- Rose! - zawołał, gdy się zrównali. - To ja, Matt Pontowski! Spotkaliśmy się w Marbelli w Hiszpanii.

Cisza. Oglupiały, wrzasnął za nią jeszcze raz:

- Rose! Proszę, zaczekaj!

Nagle dziewczyna zatrzymała się i odwróciła - jej włosy lśniły w porannym słońcu.

- Mam na imię Shoshana i jestem Żydówką, a nie Kanadyjką - odparła, po czym biegiem ruszyła przed siebie, zostawiając go oszołomionego na plaży.

- Co do cholery? - mruknął, stojąc w zamyśleniu, lecz po chwili czym prędzej znów ruszył za nią.

Nie pomylił się, to musiała być ona - inaczej nie dodałaby, że nie jest Kanadyjką! Tyle że nic z tego wszystkiego nie rozumiał.

Zastanawiał się zbyt długo i zgubił ją z oczu - plaża była pusta.

Zrezygnowany wrócił do hotelu. Wiedział jednak, jak spędzi ten weekend: szukając dziewczyny, którą poznał jako Rose, a która teraz miała na imię Shoshana.

Tłumiąc łzy Shoshana skryła się za koszem plażowym i pozwoliła, by Matt ją minął. Zaskoczyła ją własna reakcja - w końcu nie miała powodu do płaczu. Dała sobie słowo, że już nie będzie więcej płakać, i to trochę pomogło.

Gdy oddech wrócił do normy, ukryła się w bezpiecznych ścianach ojcowskiego mieszkania.

- Tato, wróciłam! - zawołała w progu.

Avi wychylił się z zatroskaną miną z kuchni i bez słowa wskazał jej balkon. Zaintrygowana, ruszyła w tamtą stronę. Na balkonie czekał Gad Habish.

Chce cię natychmiast widzieć - oznajmiła sekretarka, nie podnosząc nawet głowy znad papierów, toteż Habish skierował się niezwłocznie do gabinetu szefa.

- Zrobi to? - spytał Ganef bez zbędnych wstępów.

- Nie wiem. Ona nienawidzi mnie i wszystkiego, co robimy.

- Gad czekał na odzew, który nie nastąpił, więc dodał: - Czy naprawdę jej potrzebujemy?

- Pontowski jest wnukiem prezydenta USA, zapomniałeś? - parsknął starzec. - Jest to okazja stworzenia kanału przepływu informacji, kanału, który potem będziemy mogli wykorzystać!

Przerwał, porządkując myśli: pomysł był świeży, gdyż zainspirował go meldunek o porannych biegach Amerykanina. Z innych raportów wiedział, że Shoshana lubiła rano pływać - wystarczyło połączyć te dwie rzeczy i wykonać telefon do Harkabiego, dzięki czemu obaj Amerykanie znaleźli się w Hajfie. A już szczególnie ucieszył go fakt, że sami płacili za swoje pokoje, chociaż dla dobra sprawy gotów był odżalować na to z funduszy Mossadu.

Pływając w tym samym rejonie co poprzedniego dnia, Shoshana zastanawiała się, dlaczego właściwie przyszła na plażę. Od chwili gdy Habish opuścił ich mieszkanie, targały nią mieszane uczucia. Z jednej strony chciała spotkać się z Mattem - coś pchało ją ku niemu, zupełnie tak jak przedtem w Marbelli. Z drugiej strony ogarniało ją organiczne wręcz obrzydzenie na myśl o ponownej pracy dla Mossadu. Wystarczyło, że gardziła sobą i nienawidziła się zarazem za poprzednie zadanie, które, jak to sobie solennie przyrzekła, miało być równocześnie pierwszym i ostatnim.

Matt siedział w tym samym miejscu co poprzednio. Obserwując, jak dziewczyna podpływa do brzegu, przypomniał sobie legendę o Afrodycie.

- Zawsze sądziłem, że Afrodyta była blondynką - oznajmił na głos.

Shoshana nie odpowiedziała, ale usiadła obok niego.

- Nazywam się Shoshana Tamir i gdy się poznaliśmy, byłam agentką Mossadu - oznajmiła po chwili, zmuszając się, by na niego nie patrzeć. - Wiesz co to takiego Mossad? Nasza wersja CIA. Moim zadaniem było uwieść i wykorzystać Is'ala Manę, co też zrobiłam. Po zakończeniu zadania wycofałam się z Mossadu: było to moje pierwsze i ostatnie zadanie w tej firmie. Teraz szkole się w Zahal, a za miesiąc będę w szkole pielęgniarek.

- Zahal?

- Popularna nazwa Zvah Haganah Le Israel - sił zbrojnych Izraela.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz? - spytał z mieszaniną zaskoczenia i bólu.

- Nie wiem - odparła po chwili ciszy. - Po naszym wczorajszym spotkaniu zjawił się u mnie oficer Mossadu i poprosił, abym się z tobą skontaktowała. To oni zorganizowali wasz weekend i ulokowali was akurat w tym hotelu, mając nadzieję, że się spotkamy.

- Po co tyle zachodu z ich strony?

Wstała, szykując się do odejścia, toteż łagodnie ujął ją za rękę i po raz pierwszy tego dnia odwróciła się ku niemu, spoglądając mu prosto w oczy.

- Nie bądź naiwny! Nie powiedzieli mi dlaczego, ale to chyba oczywiste: twój dziadek... Szukają nieoficjalnej drogi łączności... Zresztą sama już nie wiem. - W głosie dziewczyny była żalność, ale nie było łez.

- Dlaczego opowiadasz mi o tym wszystkim? - ponowił pytanie Matt.

Nie odpowiedziała na to w sumie najważniejsze pytanie, gdyż sama nie знаła odpowiedzi. Uwolniła rękę i odeszła, nie rozumiejąc motywów własnego postępowania, ale Matt - choć podobnie zmieszany i zaskoczony - nie ustąpił jednak tak łatwo.

- Dlaczego? - powtórzył, doganiając ją i łapiąc za ramię.
- Przypatrz mi się! Jestem kurwą, która użyła własnego ciała, by otrzymać to, czego chciała! Musiałam go zabić, by móc uciec - dodała po sekundzie.

Puścił ją pod wpływem nagle rozbudzonego rozsądku, który doradzał natychmiastową zmianę towarzystwa, ale opamiętał się: nie było wojny, a to nie była walka.

- Czy to dla ciebie nic nie znaczy? - spytała zaskoczona. - Całkowicie bezkarnie zamordowałam człowieka!

- Uczestniczyłem w wypadku powietrznym, w którym zginęło trzech lotników - odparł, starannie dobierając słowa. - Tylko ja przeżyłem. Komisja stwierdziła, że to nie ja go spowodowałem, ale gdybym był lepszym pilotem, to kto wie, jak by się potoczyły sprawy... Jeden z nich był moim przyjacielem, a drugi... Cóż, nie licząc dziadka, Jack Locke był najlepszym człowiekiem, jakiego znałem. Miał piękną żonę i dwójkę dzieci... Pamięć bywa najgorszą karą.

Ciszę, jaka zapadła, wypełniał jedynie szum fal.

Tytuł krzyczał tłustą czcionką: POBITY PREZYDENT SZARPIE SIĘ BY PRZETRWAĆ. Melissa podejrzliwie rozejrzała się wokół, ale żadnej szarpaniny nie dostrzegła - biuro działało jak zwykle, podobnie jak i cały Biały Dom. Przeczytała artykuł, chcąc się dowiedzieć, co też się takiego niby dzieje, i ubawiły ją niedyskrecje oraz błędne wnioski dziennikarza. Nagle przed biurkiem wyrósł jak spod ziemi Bill Carroll. Na spotkanie z prezydentem, mające na celu aktualizację raportu sytuacyjnego z Bliskiego Wschodu, zjawił się pięć minut przed czasem.

- Proszę usiąść, wprowadzę pana, kiedy prezydent będzie gotów - poinformowała go oficjalnie.

Żadne z nich nie dało po sobie poznać, że już się kiedyś spotkali.

Dokładnie o wyznaczonej godzinie wprowadziła oficera do Gabinetu Owального, gdzie Zack i pozostała czwórka, stanowiąca NSC, oczekiwali na raport. Nie licząc Frasera, wszyscy wyglądali na spokojnych i odprężonych. Jego zdenerwowanie sprawiło Melissie sporo satysfakcji.

- Dobrze, Bill - odezwał się Fraser. - Co masz dziś ciekawego? Poranne wieści nie były zbyt optymistyczne.

A więc to go trafiło, ucieszyła się w duchu Melissa. Prezydent musiał dowiedzieć się o czymś, o czym Fraser najchętniej by go nie informował. Zamknęła za sobą drzwi i wróciła do biura.

Carroll tymczasem ustawił na stojaku mapę z wykresami, tak by wszyscy zebrani mogli je obejrzeć, i głęboko zaczerpnąwszy powietrza, zaczął:

- Panie prezydencie, Syria przemieszcza swoje jednostki pancerne i zmotoryzowane w sposób stanowiący zagrożenie militarne dla Izraela. - Następnie dokładnie omówił dyslokację trzech korpusów pancernych, zajmujących wysunięte pozycje i rozwiniętych nad granicą izraelską.

Siły usytuowane najbardziej na północ składały się z co najmniej tysiąca czołgów oczekujących wokół miasta Homs i w dolinie Bekáa, wychodzącej na Bejrut. Stąd, po przekroczeniu rzeki Litani, mogły uderzyć na północną część Izraela, prosto na Hajfę. Dolina Bekáa była niczym sztylet wymierzony w północną granicę Izraela.

Środkowe zgrupowanie liczyło około ośmiuset czołgów i kierowało się na wzgórze Golan - którejś biegła linia demarkacyjna - co wywołało dziwne zaniepokojenie liczącego tysiąc dwustu pięćdziesięciu ludzi kontyngentu pokojowego ONZ, którego dowództwo wysłało już zapytanie do ONZ, czy mogą zredukować liczbę wojsk na wypadek rozpoczęcia walk.

Jednakże najgroźniejsze było zgrupowanie południowe, liczące co najmniej tysiąc pięćset czołgów, skupionych przy granicy syryjsko-jordańskiej na wzgórzach Jebel, które z Jerozolimą łączyła nowo wybudowana autostrada, przecinająca rzekę Jordan.

- Skąd oni wzięli tyle czołgów? - zdziwił się Burke.

- Kupili od Rosjan - wyjaśnił Carroll, zdziwiony tępotą DCI.

- Tak więc Syria może zaatakować Izrael w trzech miejscach naraz - stwierdził Pontowski, ignorując tę wymianę uprzejmości.

W odpowiedzi Bill umieścił na stojaku następną mapę, przedstawiającą pustynię Synaj.

- Egipt zmienił lokalizację corocznych manewrów obronnych o kryptonimie „Pustynna Gwiazda”, które mają się zacząć w przyszłym tygodniu - wyjaśnił, pokazując obszar od Kanału Sueskiego do Synaju.

- Ćwiczenia w tym rejonie są pogwałceniem porozumienia z Camp David - oznajmił Cagliari. - Izrael nigdy na to nie zezwoli, podobnie jak siły pokojowe ONZ stacjonujące na Synaju.

- Normalnie, tak właśnie by było, ale Egipt zaprosił zagranicznych obserwatorów na te ćwiczenia, ba, nawet wystosował zaproszenie do Izraela - wyjaśnił Carroll. - Oczywiście to ostatnie zostało zignorowane, a rząd Izraela oprotestował manewry, co nie zmienia faktu, że zajmując się ćwiczeniami, cały czas oglądają się za siebie, ku syryjskim czołgom czekającym nad drugą granicą.

- Czy cokolwiek wskazuje na powiązanie Iraku z tą sytuacją? - spytał admirał Scovili.

- Chwilowo nic - odparł Carroll, a Burke mu przytaknął.

- Jakie są dotychczasowe reakcje Izraela? - To Cagliari.

- Bardzo poważnie traktują całą sytuację: ogłosili stan gotowości „Gimmel”. Według ich reguł istnieją tylko dwa wyższe. Odwołano wszystkie urlopy i przepustki; powołano pod broń część jednostek rezerwowych, a jeśli Egipt będzie kontynuował przygotowania do ćwiczeń, Izrael potraktuje to jako potencjalne zagrożenie. Ogłoszą mobilizację i przegrupują siły na pozycje na Synaju, z których nie ustąpią do ustania zagrożenia. Oni po prostu nie mogą zignorować ćwiczeń wojskowych prowadzonych na taką skalę i tak blisko ich granicy.

- Co to znaczy, przekładając to na ludzki język? - nie zrozumiał Fraser.

- Że wkrótce wybuchnie tam wojna - warknął Scovili. - Ćwiczenia są pretekstem do przegrupowania wojsk na pozycje uderzeniowe, każdy dureń to widzi! Kto obecnie stanowi największe zagrożenie dla Izraela i co możemy na to poradzić?

- Egipt, *sir* - odezwał się Carroll, do którego pytanie było adresowane. - Możemy na nich wyrzucić presję dyplomatyczną i zmusić do odwołania ćwiczeń. Usunie to zagrożenie granicy

południowej i umożliwi Izraelowi koncentrację sił przeciwko groźbie syryjskiej. Sama Syria nie jest w stanie poradzić sobie z izraelskimi wojskami.

Zack potakująco kiwnął głową, nie odzywając się przez chwilę: słowa Carrolla potwierdziły jego własną ocenę sytuacji.

- Proszę skontaktować się z ambasadorem Egiptu i zaprosić go na pogawędkę - polecił Pontowski Cagliariemu. - I przekazać Syrii jasny sygnał, że nie będziemy się beczynnie przyglądać wojnie na Bliskim Wschodzie. Ma pan jeszcze jakieś sugestie, pułkowniku?

- Może to być dobra okazja na sprawdzenie wariantu „Alfa” nowego planu polityki energetycznej - odparł Carroll, zdając sobie sprawę, że jest obiektem testu.

Fraser nie miał takiego wyczucia, miał natomiast świadomość klęski:

- Nie musimy racjonować benzyny z powodu niesprawdzonej teorii! - zaprotestował.

- Tom, trzeba było przeczytać plan - upomniął go Pontowski - zamiast od razu się indyczyć. Stopień „Alfa” to pierwszy krok w przypadku kryzysu naftowego i wymaga uruchomienia struktury rządowej umożliwiającej szybkie wprowadzenie racjonowania benzyny i innych środków zapobiegawczych, a nie wprowadzenie samych tych środków. Sprawdzając ten plan, dajmy jasno do zrozumienia, że nasze wysiłki dyplomatyczne nie są jedyną możliwą reakcją i że nie boimy się następnego kryzysu naftowego.

- Ale to oznacza, że towarzystwa naftowe zostaną poddane ścisłej kontroli rządu - jęknął Fraser. - To polityczny hazard...

- Nie będzie ani racjonowania ropy, ani wtrącania się w czyjekolwiek interesy - przerwał mu Pontowski. - Obecnie sprawdzimy jedynie, jak nasi biurokraci wykonali zleconą im robotę.

Dziesięć minut później Melissa zobaczyła Frasera maszerującego wściekle do biura.

- Ściągnij tu szefa ochrony - warknął zamykając za sobą drzwi.

Wykonała polecenie i po kilku minutach zjawił się Stan

Abbott, liczący pięćdziesiąt cztery lata, atletycznie zbudowany szef ochrony Białego Domu.

- Stan, dzięki, że tak szybko się zjawileś - powitał go Fraser.
- Wiem, że martwi cię to, co gazety wypisują o prezydencie, i chciałem cię zapewnić, że z mojej strony nie będzie żadnych zasłon dymnych. Wręcz przeciwnie: chcemy zrobić wszystko, by wyjaśnić tę sprawę i dojść prawdy. Chcemy, abys jeszcze raz sprawdził te osoby.

Podał mu kartkę z wypisaną na niej krótką listą. Dzięki użyciu sformułowania „my” dawał niedwuznacznie do zrozumienia, że przekazuje opinię prezydenta.

- Chcesz, żebym zlecił ponowne prześwietlenie tych osób?

- Miałem nadzieję, że zajmiesz się tym, ty i twoi ludzie - wyjaśnił Fraser. - Dyskretnie, ale dokładnie. Chcemy wiedzieć, czy przy pierwszej weryfikacji nie zostało przeoczone coś w ich przeszłości.

- Da się zrobić - mruknął Abbott i wyszedł, zastanawiając się, dlaczego lista składa się tylko z dwóch nazwisk: Melissy Courtney-Smith i Williama G. Carrella.

Shoshana z zaskoczeniem stwierdziła, że zachowuje się, łagodnie mówiąc, nienormalnie jak na swoje dwadzieścia siedem lat - odczuwała szczęście, żyła z godziny na godzinę i robiła to, na co miała ochotę. Była z Mattem.

Obiekt jej rozmyślań opierał się właśnie o balustradę balkonu, obserwując rozbłyskujące w mroku światła Hajfy. Oboje byli zmęczeni po trzech dniach zwiedzania, a dziewczyna dodatkowo - usilnymi próbami zaklasyfikowania Matta. W Jerozolimie Wschodniej, zamieszkałej przez Arabów, czuł się jak kolejny radosny turysta, wbrew jej ostrzeżeniom o niebezpieczeństwie. Okazało się, że ostrzeżenia były przesadzone, a wybieżka zakończyła się w małej restauracji, gdzie uprzejmy właściciel wraz z rodziną zaserwował doskonały wręcz posiłek.

- A co jutro? - Pytanie Matta przywróciło ją do rzeczywistości.

- Niewiele: wróci mój ojciec i chciałabym, abys go poznał.

- No, no, poznanie rodziny wybranki to już poważne wtajemniczenie. - Uśmiechnął się. - Chciałbym go poznać.

- Możemy iść na plażę... - Urwała. - Ważne jest pojutrze i właśnie na tym dniu mi zależy. To Jom Hazikaron - Dzień Pamięci. W południe, przy dźwiękach syren, na dwie minuty zamiera cały Izrael. W ten sposób czcimy naszych zabitych w wojnach; jeśli to zobaczysz, być może zdołasz nas lepiej zrozumieć. O zmierzchu wszystko się zmienia: świętujemy Dzień Niepodległości i Hajfa wygląda jak jedno wielkie przyjęcie.

- Brzmi zachęcająco - przyznał, odwracając się ku roztaczającej się w dole panoramie.

Próbowała odrzucić poczucie bezpieczeństwa, jakie wywoływała w niej jego obecność, ale bezskutecznie.

- Matt - szepnęła i wtuliła się w jego ramiona.

Delikatnie pogładził ją po włosach, czując, jak drży.

- Co się stało? - spytał łagodnie.

- Boję się... że będzie wojna. Nie czytasz po hebrajsku, a gazety pełne są informacji o Egipcie i Syrii... Widzieliśmy to już tyle razy... Jesteśmy uwikłani w tysiącletnią wojnę bez szans na pokój... Arabowie nie spoczną, dopóki nas nie zniszczą.

- Mapa jest mapą niezależnie od języka, a wczoraj w telewizji wyraźnie pokazywano, że syryjskie czołgi oddalają się od waszej granicy. Sama mówiłaś, że mój dziadek ma rozmawiać z egipskim ambasadorem. Wątpię, żeby w najbliższej przyszłości była jakaś strzelanina.

Ponieważ właśnie to chciała usłyszeć, nie protestowała. W milczeniu przytuliła się do niego i objęła go mocno, jakby w jego ramionach chciała zapomnieć o wszystkich lękach i niebezpieczeństwach czających się na zewnątrz.

15

Jesteś z siebie zadowolony - zauważyła Tosh sadowiąc się w swym ulubionym fotelu.

- Nie zdarza się to zbyt często, więc pozwól mi się delektować tym uczuciem - odparł Zack, odkładając lekturę. - Wygląda na to, że Bliski Wschód się uspokaja: rozmowy z ambasadorem Egiptu wskazują na to, że manewry na Synaju zostaną odwołane.

- To człowiek godny zaufania?

- Zawsze w przeszłości taki był. Poza tym Syria wycofuje wojska, a Izrael obniżył stopień alarmu.

- A co z Rosjanami?

- Nadal nikt nie wie, co się u nich dzieje. Wiemy tylko dwie rzeczy: Rokossowski ma kłopoty wynikające z kryzysu ekonomicznego i walczy o życie, a stara gwardia wraz z armią próbuje go wykończyć i przywrócić wypracowane przez Breżniewa metody rządzenia państwem.

- Zack, obawiam się tego, co wypisują o tobie w gazetach...

- Wiem, kochanie, ale gazety niczego bardziej nie pragną niż skandalu z udziałem prezydenta. To mogłoby podnieść im nakłady do niebotycznych granic. Prowadzę własne śledztwo, ale jak dotąd nic nie znalazłem. Nawet poprosiłem dziennikarzy, by udostępni mi własne źródła, żeby można było dojść, od czego się to wszystko zaczęło, ale nie zgodzili się na to. Ktokolwiek się tym zajmował, dobrze zatarł ślady i ukrył dowody.

- O ile było co zacierać i ukrywać...

- Obyś miała rację - uśmiechnął się Pontowski - ale coś mi mówi, że prawda jest inna i tylko czeka na odkrycie.

Przerwał mu telefon. Pontowski odebrał, bez słowa wysłuchał krótkiej wiadomości i odłożył słuchawkę. Po sekundzie zerwał się na nogi i zaczął nerwowo spacerować po pokoju.

- Coś się sypie... - mruknęła Tosh, wiedząc z doświadczenia, że taka reakcja oznacza złe wieści.

- Syria wstrzymała wycofywanie wojsk - oznajmił Zack.

Delikatnie pocałował żonę i wyszedł.

Wzrost dawał Mattowi przewagę, gdyż mógł się rozglądać ponad głowami otaczającego go tłumu, który unieruchomił go razem z Shoshaną i Tamirem na wąskiej drodze, prowadzącej w górę zbocza jednego ze wzgórz na przedmieściach Hajfy, na szczycie którego usytuowany był cmentarz. Przy dźwiękach syren, zwykle ogłaszających alarm przeciwlotniczy, dokładnie o dwunastej wszyscy znieruchomieli. Ze zdumieniem stwierdził, że Avi płacze, Shoshana zaś nie. Po dwóch minutach syreny umilkły, ale tłum jeszcze przez kilka sekund trwał w ciszy i bezruchu, po czym powoli wznowił marsz, starając się zachowywać jak najciszej.

Gdy doszli na cmentarz, Shoshana przysiadła obok grobu matki, a Avi zajął się kilkoma chwastami przeoczonymi przez ogrodnika mającego cmentarz w swojej pieczy. Matt cierpliwie czekał, nie odzywając się ani słowem.

- Ledwie pamiętam matkę... - powiedziała w końcu dziewczyna.

- Miriam zginęła podczas wojny Jom Kippur - wyjaśnił Tamir. - Shoshana miała wtedy sześć lat. Obie przebywały w kibucu w dolinie Huleh. Byłeś tam kiedyś? Nie? Powinieneś zobaczyć ten klejnot Izraela... Problem w tym, że leży on u podnóża wzgórz Golan i przy każdej wojnie ostrzeliwuje go syryjska artyleria... Wtedy też tak było. Miriam zaganiała dzieci do schronu, ale sama już do niego nie zdążyła... Shoshana jest do niej bardzo podobna...

W ciszy, jaka zapadła, do Matta dotarło nagle, że kocha tę siedzącą na ziemi dziewczynę i że powie jej o tym we właściwej chwili - obecna zdecydowanie się do tego nie nadawała.

- Nie powinni latać - przywołał go do rzeczywistości gderliwy głos Tamira.

Podążył wzrokiem za jego gestem i dostrzegł dwa myśliwce lecące nie wyżej niż pięćset stóp nad ziemią. Nagle z ziemi wystrzeliła rakietą, ciągnąc za sobą smugę dymu, i jedna z maszyn zniknęła w błysku eksplozji.

- Mój Boże... - jęknął Avi.

- MiG-i! - ryknął Matt. - Na ziemię!

Błyskawicznie rzucił się na dziewczynę, przykrywając ją własnym ciałem. Ocalała maszyna przeleciała nad cmentarzem, unikając kolejnej rakiety typu Hawk, a od strony miasta rozjęczały się syreny - tym razem faktycznie ogłaszając alarm przeciwlotniczy.

- Ma cztery półtonowe bomby - oznajmił Matt - i syryjskie znaki!

Znad miasta doszedł huk eksplozji i pojawił się gęsty dym - najwidoczniej trafili w coś konkretnego, prawdopodobnie w zbiornik ropy. Na niebie nad portem pojawiło się więcej samolotów i przestraszony tłum runął z cmentarza ku domom.

- Zostajemy - polecił Matt, pomagając dziewczynie wstać.

- Celem jest Hajfa, nie cmentarz.

Mieli doskonałą pozycję, by spokojnie obserwować krótką walkę, gdy pierwsza fala syryjskich maszyn nadleciała nad port. Obrońcy zostali niemal całkowicie zaskoczeni - strzelały tylko dwie baterie rakiet, a działa przeciwlotnicze dołączyły dopiero wtedy, gdy pojawiła się druga fala. Ta miała mniej szczęścia: na niebie zabłysła para izraelskich F-15 i Syryjczycy czym prędzej zaczęli się pozbywać bomb, na oślep zasypując nimi miasto.

- Udało się! - mruknął Matt. - Macie szczęście.

- Co się udało?! Jakie szczęście?! - zdenerwował się Tamir. - Tam giną niewinni ludzie...

Matt przerwał mu, wskazując spadający samolot, ciągnący za sobą warkocz dymu, i inny, zmieniający się w ognistą kulę. Coraz więcej izraelskich maszyn pojawiało się nad Hajfą.

- Macie szczęście i tutaj się udało - powtórzył cicho i spokojnie. - Plan mieli dobry i zdołali przejść waszą obronę przeciwlotniczą nad granicą, ale nad celem zawiodły ich nerwy, a wasi piloci zareagowali szybciej, niż się tamci spodziewali.

Na dłuższą metę najbardziej liczy się wynik bombardowania:

większość bomb nie trafiła w wyznaczone cele i pozostaje mieć nadzieję, że gdzie indziej było podobnie.

- Ale zabiły niewinnych ludzi...

- I nie trafiły w cel, dzięki czemu możecie dalej walczyć - przerwał mu Matt.

- Chodźcie, tam na pewno są ofiary. - Shoshana ruszyła w dół stoku. - A to mój obowiązek...

Matt spojrział w niebo: nalot się skończył, a sześć izraelskich F-15 tworzyło parasol nad miastem. Lepiej późno niż wcale, ocenił, ruszając w ślad za dziewczyną.

Gdzie jest największe zagrożenie? - spytał Ben David, stojąc przed naniesioną na szklaną tafłę mapą Izraela, którą operatorzy uaktualniali w miarę napływających meldunków radiowych.

Jako że stali za mapą, musieli pisać od tyłu, ale nie zmieniało to tempa ich pracy; jak w ukropie zwijała się zresztą cała obsługa żelbetowego bunkra, będącego wojenną kwaterą główną rządu i dowództwa Izraela.

Na mapie tymczasem trzy strzały godziły w Izrael z terytorium Syrii. Czołowe oddziały Pierwszej Armii, atakującej wzdłuż doliny Bekáa, były o czterdzieści kilometrów od granicznej rzeki Litani. Trzecia Armia kierowała się na wzgórze Golan, a Piąta przez Jordan zmierzała prosto ku Jerozolimie.

- Jeszcze nie jesteśmy pewni - odparł Benjamin Yuriden, doskonale wiedząc, że nie to chciał usłyszeć premier.

Wszyscy byli zaskoczeni szybkością manewrów przeciwnika, uważanego za tchórza, durnia i technicznego analfabetę. Ben David przysiągł sobie w duchu zniszczyć karierę szefa wywiadu wojskowego; ale na to przyjdzie czas po wojnie. Najgorsza ze wszystkiego była świadomość, że tym razem Egipt i Syria okazały się sprytniejsze: pokazały Izraelowi i całemu światu to, co pokazać chciały, i wszyscy dali się nabrać. Odwrót czołgów upewnił Izrael, że Syria nie ma woli walki, który to brak licował zresztą z wyobrażeniem, jakie Izraelczycy mieli o swoich sąsiadach. Większość sił została wobec tego rozmieszczona nad granicą z Egiptem, a wszyscy odetchnęli z ulgą.

I wtedy Syria dokonała czegoś, co powszechnie uznawano

za niemożliwe; a jeśli nie cała Syria, to przynajmniej jej wojsko: zatrzymali wycofujące się kolumny i na miejscu je zawrócili. Był to manewr, który nawet izraelskich czołgistów sprawił w osłupienie.

Wszystko to składało się na prosty i logiczny wniosek: tym razem mieli do czynienia z doskonale wyszkolonym i pełnym woli walki przeciwnikiem. Ben David jeszcze przez chwilę wpatrywał się w mapę, po czym eksplodował serią pytań:

- Mamy oddziały przesłonowe na Litani?
 - Kończą dyslokację i nawiązały kontakt z atakującymi - odparł Yuriden.
 - Jak długo zdołają się utrzymać?
 - Trudno określić, ale nie dłużej niż kilka godzin: wojsk syryjskich jest po prostu zbyt wiele.
 - Jaka jest sytuacja na wzgórzach Golan?
 - Wymiana nawał artyleryjskich, a syryjski ogień jest zaskakująco celny. Ich czołgi jak dotąd nie ruszyły.
 - Jak dalece Piąta Armia wtargnęła na teren Jordanii?
 - Czterdzieści pięć kilometrów. Są naprzeciw Nablus i kierują się na Jerozolimę.
 - Co robią Jordania i Irak?
 - Jak dotąd nic. Jordania ewakuowała ludność ze strefy nadgranicznej i protestuje w ONZ.
 - Proszę zarządzić naloty na czołgi Pierwszej Armii, gdy będą przekraczały Litani, i Piątej Armii w Jordanii. Jeśli lotnictwo jordańskie będzie interweniować, traktujcie je jako wrogie. Czy możemy zbombardować dowództwo tych trzech armii?
- Yuriden z kamienną twarzą wskazał syryjskie miasto Homs, położone niedaleko granicy z Libanem.
- Tu jest dowództwo Pierwszej Armii: ponad dwieście kilometrów za linią frontu.
- To już pasowało do dotychczasowego obrazu armii syryjskiej.
- Zniszczcie je! - polecił Ben David.

Siedzący w kabinie F-16 Harkabi spojrzął na zegarek: piętnaście sekund do startu. Gdy ów czas minął, z ust Dave'a dobyło się bojowe zawołanie izraelskich pilotów:

- Zanek!

- Okrzyk oznaczał start i czekający przy włączniku wrót sierżant przestawił wajchę. Pancerne odrzwia ruszyły, a Dave odpalił silnik, wykołował ze stanowiska i skierował myśliwiec na prowadzącą ku powierzchni rampę. Za nim to samo zrobili piloci trzech pozostałych F-16, tworzący wydzieloną grupę uderzeniową, której celem był sztab Pierwszej Armii w Homs. Od bazy lotniczej Ramon, skąd wyruszyli, dzieliła go odległość trzystu pięćdziesięciu mil morskich.

Gdy Harkabi przystanął na początku pasa startowego, dołączył doń boczny i obaj wystartowali równocześnie. Następna para odczekała dziesięć sekund i zrobiła to samo.

Był to piąty lot Harkabiego w tym dniu, i trzeci skrzydłowy.

Matt oddał słuchawkę telefonistce szpitalnej i udał się na poszukiwanie Shoshany. Znalazł ją na korytarzu, opatrującą poparzoną kobietę, którą wyciągnięto ze zbombardowanego sklepu.

- Nadal nie mogę się z nikim skontaktować - poinformował ją. - Jeśli nie zdołam odnaleźć Amblera, to muszę albo na własną rękę wracać na lotnisko, albo skontaktować się z naszym attaché lotniczym.

Dziewczyna zignorowała go, koncentrując się na opatrunku.

- Możemy jechać - oznajmiła skończywszy i ruszyła ku drzwiom prowadzącym na zewnątrz.

Na podjeździe stała furgonetka jakiejś piekarni, której używali jako tymczasowego ambulansu. Shoshana wzięła adres od dyspozytora, usiadła za kierownicą i skierowała się ku płonącej dzielnicy portowej. Matt z westchnieniem opadł na sąsiedni fotel.

Prowadzony przez Harkabiego atak zaplanowany został przez „Cytadelę” - usytuowany w Tel Awiwie sztab lotnictwa izraelskiego - a kierowany był przez oficera naprowadzającego ze wzmocnionego bunkra dowodzenia bazy w Ramon. Z bazy tej wystartowały dwa Phantomy F-4E przerobione na wersję „wojna elektroniczna”, to znaczy zdolne zakłócać działanie nieprzyjacielskich radarów, rakiet klasy ziemia-powietrze i

artylerii przeciwlotniczej. Maszyny te były uzbrojone w rakiety samonaprowadzające się na źródło emisji radarowej, dzięki czemu mogły czynnie eliminować radary wroga.

Phantomy były również wyposażone w nowinkę techniczną, od której mogło zależeć życie pilotów F-16: zakłócacz systemu naprowadzania sowieckich rakiet przeciwlotniczych SA-11, zwanych Gadfly, które od niedawna należały do wyposażenia wojsk syryjskich, i to na ruchomych wyrzutniach. Pocisk rozwijał szybkość trzech machów i udowodnił swoją skuteczność przy nalotach na wojska pancerne, jakie lotnictwo syryjskie tego dnia przeprowadziło. Każda wyrzutnia miała cztery rakiety długości osiemnastu stóp, zamontowane w ruchomej wieży na podwoziu czołgu, i mogła strzelać w ruchu.

Wywiad zidentyfikował ponad sto takich wyrzutni towarzyszących trzem armiom i jak dotąd ich ofiarą padło dwadzieścia sześć izraelskich samolotów. Praktycznie wszystko, co znalazło się powyżej stu stóp i bliżej niż osiemnaście mil od wyrzutni, stawało się łupem SA-11.

Efektom był zrodzony z desperacji i braku innych pomysłów plan ataku: lotnictwo czekało poza zasięgiem rakiet, aż syryjskie czołgi znajdą się w zasięgu izraelskiej artylerii, a gdy ta obrabiała wyrzutnie, atakowało.

Wywiad doniósł, iż sztab w Homs otaczają cztery wyrzutnie, i teraz Harkabi musiał im rzucić wyzwanie.

Adres, który otrzymała Shoshana, przynależał do dzielnicy robotniczej w pobliżu doków, gdzie musieli przeciskać się, wyjąc klaksonem, w dół wąskiej uliczki. Kierowali się na słup dymu unoszący się nad rumowiskiem, będącym do niedawna frontową ścianą kamienicy.

- Niech ich piekło pochłonie - mruknęła dziewczyna, zatrzymując się przed zbombardowanym budynkiem - nic ich nie obchodzi, gdzie trafią.

- Wyprowadziliśmy ocalałych - poinformował ją starszy mężczyzna w kurtce strażackiej. - Ogień prawie ugaszony, ale budynek i tak się zawali. Ona mówi, że jej trzyletnia córeczka jest wewnątrz, ale nie możemy się tam dostać.

„Ona” odnosiło się do kobiety gorączkowo próbującej wyrwać

się dwóm trzymającym ją mężczyznom i pobiec do budynku. Matt i Shoshana wysiedli - dziewczyna zaczęła uspokajać kobietę, a Matt rozejrzał się wokół. Otaczający go mężczyźni byli w podeszłym wieku - młodszy walczyli na froncie; do ratowania zasypanych zostali więc tylko starcy i kobiety.

- Gdzie ma być ta dziewczynka? - spytał, nie adresując tego do nikogo konkretnie.

Matka rozumiała po angielsku i czym prędzej wskazała mu tylny narożnik:

- W piwnicy.

- Tam jest niewypał - uzupełnił strażak - prawdopodobnie z opóźnionym zapłonem. Nikt nie wie, kiedy wybuchnie.

- Zaraz... - Matt spróbował odtworzyć w myślach oglądany z cmentarza nalot.

Przelatujący nad nimi MiG miał cztery pięćsetkilogramowe bomby, a on liczył samoloty i wybuchy: z tego, co pamiętał, to jeśli każdy miał po cztery bomby burzące, to osiemdziesiąt procent z nich eksplodowało, co zgadzało się z danymi wywiadu, iż dwadzieścia procent bomb sowieckiej produkcji czy sowieckiej konstrukcji to niewypały.

- Wątpię, żeby używali zapalników zegarowych czy chemicznych, to będzie zwyczajny niewypał. - Odpowiedziała mu cisza. - Daj mi kurtkę i rękawice.

- Matt, to zbyt niebezpieczne! - zaprotestowała Shoshana, ledwie powstrzymując się od dodania, że to ich wojna, a nie jego.

Matt zignorował ją, wkładając grubą kurtkę i rękawice ochronne, podane przez strażaka, i podejrzliwie przyglądając się budynkowi, z którego posypał się tynk i kolejne cegły.

- Ciekawość zawodowa - oznajmił. - Zawsze chciałem zobaczyć, jak to wygląda od strony bombardowanych.

Ostrożnie zbliżył się do budynku, szukając najlepszego sposobu wejścia. W ślad za nim podążył stary strażak, udzielając mu instrukcji co do zniszczeń.

- Wszedłbym tędy - oświadczył w pewnym momencie i Matt posłusznie opadł na czworaki i ruszył do wnętrza gruzowiska.

Sześć metrów dalej zatrzymała go ściana.

- To ściana nośna - dobiegł go głos z tyłu: stary wybrał działanie zamiast bezpiecznego oczekiwania.

- Dlaczego sam tu nie wlałeś? - spytał Matt, zastanawiając się, jak stary zdołał przepchnąć pokaźny brzuch przez wąski otwór wejściowy.

- Jestem na emeryturze.

- Pięknie! - Matt przesłiznął się przez dziurę w podłodze i znalazł się w dość sporej, wolnej przestrzeni. - I co teraz, cholera?

- Jesteś pomiędzy parterem a pierwszym piętrzem, które się osunęło. Czujesz, jak ściany drżą? Za kilka minut to wszystko zwali się do piwnicy.

- To lepiej stąd zmykaj, dziadku.

Zamiast tego stary zaczął przepychać się przez dziurę w podłodze, a Matt usłyszał stłumiony płacz dziecka. Coś gruchnęło i otoczyła go chmura tynku, kurzu i dymu.

- Zawiaż to wokół twarzy - polecił stary, wstając z podłogi i podając Mattowi czerwoną chustkę. - Musisz przebić się przez podłogę - dodał, wręczając mu łom.

Podłoga - a z Matta punktu widzenia, raczej sufit - zadrżała i dał się słyszeć kolejny, pełen przerażenia płacz, dzięki któremu zdołał zlokalizować dziecko. Ostrożnie ruszył ku pozostałościom klatki schodowej.

- Lepiej się pośpiesz. - Stary nadal był za nim.

- Piekło jest wybrukowane dobrymi radami - prychnął Matt, zatrzymując się przed przekrzywioną podłogą.

Spróbował ją rozgiąć łomem, ale wysiłki spęzły na niczym. Dostrzegłszy nad sobą otwór, przełazi przez niego i opuścił się po drugiej stronie sterty desek i drewnianych dźwigarów. Stał na skraju trzymetrowej dziury, w którą zmieniła się piwnica. Wyjął z kieszeni kurtki latarkę, zapalił ją i rozejrzał się wokół: pod nim zaryła się bomba, która przebiła posadzkę i tkwiła do połowy zagrzebana w ziemi, a pozostałą część piwnicy wypełniała sterta różnorakich śmieci, szczątków i fragmentów podłogi.

- Gdzie jesteś? - ryknął, ale odpowiedziała mu cisza.

Stary krzyknął coś po hebrajsku zza drewnianej przeszkody i z przeciwległego krańca piwnicy odpowiedział mu cichy, z początku ledwie słyszalny dziecięcy głos.

- Postaraj się o linę - polecił staremu Matt.

Rzucił łom do piwnicy i zeskoczył w ślad za nim, wpiersz zsunąwszy się po murze i zawisnąwszy na rękach. Wylądował po drugiej stronie dziury wybitej przez bombę i sięgnął po latarkę. Czuł swąd spalenizny, ale zapach był dziwny - bardziej chemiczny niż woń normalnego dymu. Podejrzliwie przyjrzał się zagrzebanej w dziurze bombie, nie mogąc sobie przypomnieć, czy Syryjczycy używają zapalników chemicznych.

Lepiej było nie ryzykować i jak najszybciej się stąd wynosić. Przedostał się do sterty, zza której dochodził płacz, i zaczął ją rozgarniać łomem i nogami, aż w końcu dotarł do otworu w osuniętej ścianie. Wczołgał się tam, przyświecając sobie latarką, i nareszcie ujrzał obiekt poszukiwań - na szczęście dzieciak nie był niczym przysypany.

- Chodź, mała. - Wyciągnął do niej dłoń i delikatnie wycofał się, prowadząc ją za sobą. Wyprostował się, wziął dzieciaka na ręce i wrócił do ściany, z której zeskoczył.

- Dziadzia, gdzie jesteś? - spytał głośno, świecąc latarką w górę.

Z góry spłynęła lina przerzucona z drugiej strony drewnianej barykady, więc czym prędzej ją złapał i szarpnął.

- Zaraz! - dobiegło zza ściany. - Muszę ją przywiązać.

- No to pojedziesz na barana - oznajmił Matt, przekładając dziecko na plecy, ale zaczęło się zsuwać, ledwie je puścił - mała była tak zmęczona, że nie miała siły utrzymać się obejmując go za szyję. Przez moment ogarnęła go panika, ale nie przestał myśleć: zerwaną z twarzy chustką związał jej ręce i przerzucił sobie przez głowę; na szczęście zbyt mało ważyła, by pozbawić go powietrza. Dzieciak zaczął płakać, ale Matt nie zwracał na to uwagi; ponownie szarpnął linę - trzymała. Wspiał się po niej najszybciej, jak potrafił, i podał dziewczynkę staremu, gdy tylko znalazł się na szczycie drewnianego rumowiska. Ten złapał ją w locie i natychmiast zaczął uspokajać, a Matt zeskoczył obok.

- Zjeżdżamy! - oznajmił, odbierając małą. - Coś się pali wewnątrz bomby.

- Ruszaj! - Stary nie tracąc czasu popchnął go w stronę wyjścia i natychmiast zaczął mu deptać po piętach.

Ledwie wydostali się na zewnątrz, stary kazał wszystkim kryć się. Shoshana wskoczyła za kierownicę i zapuściła silnik. Matt z dzieckiem i starym zdążyli wskoczyć i dziewczyna natychmiast ruszyła z piskiem opon. Nie ujechali stu metrów, gdy za nimi kamienica rozleciała się w błysku eksplozji.

- Zwykły niewypał, co? - wrzasnął oskarżycielsko stary, zerkając na Matta.

Oficer naprowadzający z bazy w Ramat David spojrzął na szklaną mapę. Pomieszczenie wypełniał szum aparatury elektronicznej i milczenie - nikt się nie odzywał. Dane radaru natychmiast nanoszono na mapę i były to jedyne rozmowy prowadzone w bunkrze. F-16 osiągnęły punkt zmiany kursu nad Morzem Śródziemnym i oficer naprowadzający włączył mikrofon.

Harkabi potwierdził i zwiększył wysokość do dwustu stóp, kładąc maszynę w skręt prowadzący prosto nad brzeg. Zarówno jego skrzydłowy, jak i będąca bardziej na południe druga para powtórzyli wiernie manewr. Przerobiony Boeing 707, będąc z tyłu i w górze, uruchomił aparaturę zagłuszającą i zaczął transmitować fałszywe dane do radarów obrony przeciwlotniczej. Phantomy miały to samo zadanie, ale w bezpośredniej bliskości Homs. F-16 miały lecieć nad Libanem ku Bejrutowi, używając osłony gór przed syryjskimi radarami.

Radary wczesnego ostrzegania wojsk syryjskich zgłupiały, wyświetlając masę celów zbliżających się od morza, i jedynym, który zachował trzeźwy umysł, był młody kapitan, świeży narybek po rocznym szkoleniu. Wysłał on ostrzeżenie do wszystkich stacji o niewielkiej liczbie faktycznych napastników - reszta była wynikiem wojny elektronicznej. Problem jednak polegał na tym, że nie wiadomo było, które cele są autentyczne. Zaraz potem syryjskie radary przestały pokazywać cokolwiek: aparatura Boeinga dała pełną moc zagłuszania.

Dowódca obrony przeciwlotniczej sztabu Pierwszej Armii Syryjskiej ogłosił alarm i obsadził stanowiska. Uaktywniono radary wyrzutni i sprawdzono łączność radiową z obserwatorami

otaczającymi sztab. Wysunięci najbardziej na południe zameldowali parę F-4 lecącą prosto na Homs. Dwie wyrzutnie zwróciły się w kierunku, z którego nadlatywały.

Harkabi prowadził atak z szybkością pięciuset czterdziestu węzłów i nie wyżej niż sto stóp, gdy ożył system elektronicznego ostrzegania jego F-16, meldując o aktywności radarów wroga: był o cztery i pół minuty od celu. Słuchawki rozbrzmiały rozmowami pilotów Phantomów lecących z przodu: prowadzący namierzył radary dwóch wyrzutni i odpalił dwie rakiety. Równocześnie Syryjczycy wystrzelili po dwa pociski przeciwko każdemu F-4. Gadfly była rakieta naprowadzana półautomatycznie, to znaczy radar wyrzutni musiał mieć cały czas cel w namiarze, by rakietą trafiła. W tym pojedynku zwycięzcą zostawał ten, kto miał szybsze rakiety.

Prowadzący F-4 eksplodował, gdy wygrała SA-11, ale dwie wystrzelone przezeń rakiety były już w drodze i nie potrzebowały radaru pokładowego, by odszukać cel. Dowódca obrony przeciwlotniczej kazał obu wyrzutniom przestawić radary na pracę bierną i zmienić stanowiska, toteż rakiety przełączyły się na pamięć i leciały tam, skąd pochodziły ostatnie emisje. Radary wyrzutni były jednak niezbyt starannie montowane i jeden za słabo ekranowany został namierzony przez izraelską raketę, która natychmiast zmieniła kurs. Ognisty krzak zakończył istnienie pierwszej wyrzutni.

Drugi Phantom odpalił rakiety i starał się uciec syryjskim pociskom. Potem w słuchawkach zapadła cisza. Harkabi miał do celu szesnaście mil. Boczny odsunął się w prawo, zwiększając odległość, a Dave uruchomił celownik. Miał ważącą dwa tysiące funtów bombę sterowaną optycznie - jeśli zidentyfikował cel i namierzył go na ekranie F-16, mógł zrzucić bombę i pryskać - elektronika bomby kierowała ją na wyznaczony cel.

Tylko że, aby zobaczyć sztab, musiał zwiększyć wysokość do dwustu stóp; dla pewności wszedł na trzysta i natychmiast dostał się w wiązkę radaru jednej z wyrzutni. Ale zidentyfikował betonowy bunkier, naprowadził nań celownik, zablokował i zwolnił bombę. F-16 podskoczył, uwolniony od ciężaru, i Harkabi czym prędzej położył maszynę w ośmiogeowy skręt w

lewo, tracąc jednocześnie wysokość: prosto na niego leciały dwie rakiety. Opadł na sto stóp i wyrównał. Rakiety próbowały powtórzyć ten manewr, ale ich lotki miały zbyt małą powierzchnię nośną - jedna uderzyła w wydmnę i wybuchła, druga przeleciała ponad samolotem, tracąc namiar. Za sobą w lusterku dostrzegł pomarańczową kulę: kolejny boczny stracił tego dnia życie. Dave włączył radio i polecił drugiej parze przerwać atak. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że przelatuje nad baterią strzelających doń ZSU-23.

Matka i córka były razem, a Shoshana obmyła i zabandażowała małej zadrapania, mówiąc coś cicho po hebrajsku. Dziecku nic poważnego się na szczęście nie stało, ale mimo to dziewczyna poleciła matce zgłosić się do szpitala po zastrzyk przeciwżółciowy.

Matt i Shoshana usiedli przy furgonetce, zmęczeni kilkoma ostatnimi godzinami.

- Matt Pontowski, ty jesteś... - Shoshana urwała, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć: „cudowny” jakoś nie bardzo pasowało.

- Głupi - dokończył za nią emerytowany strażak i widząc uśmiech Matta, dodał: - Co za oferta... Kroku by beze mnie nie zrobił.

I odszedł.

Oboje wybuchnęli śmiechem, patrząc radośnie na siebie.

- Shoshano... - zaczął niepewnie, gdy się uspokoił. - Muszę zniknąć.

- Wiem.

- Ale wróć!

Samotny F-16 wleciał na wyznaczonej wysokości w korytarz powietrzny prowadzący do bazy w Ramon, nadając jednocześnie znaki wywoławcze. Gdy otrzymał potwierdzenie, wykręcił nad pas i wylądował, kołując od razu do bunkra. Minął rozsunięte wrota i podniósł owiewkę. Ledwie maszyna się zatrzymała, otoczyli ją mechanicy. Szef obsługi przystawił do burty drabinę, by Harkabi zszedł na dół - na wolną maszynę czekał już świeży pilot.

Harkabi zaś był zbyt zmęczony, by się ruszyć: wypił dwie butelki wody, którą zawsze woził w kieszeniach kombinezону, i nadal czuł pragnienie. Z wysiłkiem odpiął maskę... Czterech bocznych jednego dnia... Co najmniej jeden Phantom, a prawdopodobnie dwa... A to tylko straty, które sam obserwował. Nie poruszył się, ogarnął go bezwład i poczucie bezsensu.

Przystawiono drabinkę do drugiej burty; nie pierwszy raz trzeba było pilota wyciągać z kabiny. Pięć lotów bojowych to ponad pięć godzin latania z wykorzystaniem wszystkich umiejętności; pięć godzin koncentracji i przeciążeń dochodzących do ośmiu „g”, odwodnienia i stresu. To wyczerpywało najsilniejszych. Dwaj podoficerowie wspięli się po drabinach, odpięli pilota i ostrożnie unieśli, podając go czekającym w dole mechanikom. Nowy pilot siadł na ciepłym jeszcze fotelu F-16 i zaczął się podłączać do systemów maszyny.

Sierżant pomógł Harkabiemu dojść do ściany bunkra, gdzie mógł spokojnie usiąść i poczekać na transport. Otwarto drzwi i F-16 wykołował do następnego lotu. Uzupelnienie paliwa i amunicji trwało mniej niż dziewięć minut.

Harkabi zataczając się podszedł do furgonetki; przez coraz to węższą szparę w zamykających się drzwiach obserwował start pary F-16 i zastanawiał się, który z nich powróci...

Wojna nie trwała jeszcze dziesięciu godzin.

Korytarz prowadzący do Narodowego Centrum Dowodzenia w Pentagonie zatłoczony był pułkownikami i podpułkownikami, pragnącymi dostać się do środka, by na własne oczy zobaczyć nanoszenie sytuacji w miarę napływu meldunków z Bliskiego Wschodu. Wielu było tu dlatego, że faktycznie ich to interesowało, ale sporo z nich znalazło się tu z powodu plotki głoszącej, iż wewnątrz znajduje się sam prezydent.

Centrum było tym, co popularnie kojarzy się z „pokojem dowodzenia”, czyli miejscem, z którego kieruje się przebiegiem działań wojennych. Bill Carroll miał ochotę się tam znaleźć, ale zrezygnował, widząc, co się dzieje w korytarzu. Zawrócił na pięcie i dosłownie wpadł na generała Coxa.

- Chodź - polecił mu Cox - spróbujemy w Obserwacji. Tam nie powinni się tak namiętnie pchać.

Zeszli do piwnic, gdzie znajdowało się wysokie pomieszczenie zwane Centrum Obserwacji, w którym dokonywano oceny i interpretacji danych nadchodzących z pola walki, przed przekazaniem ich do NCD. Było tu znacznie puściej i spokojniej, mimo że w pomieszczeniu pracowało kilkunastu operatorów, a ekrany monitorów bez przerwy błyskały danymi.

- Cholera, to większa zadyma niż w siedemdziesiątym trzecim - mruknął Carroll po zapoznaniu się z ostatnimi danymi wywiadu.

- Wątpię - odparł Cox. - Jak dotąd zaatakowała tylko Syria, a bez Egiptu sobie nie poradzą. Zobacz: nalot z zaskoczenia, a nie wyeliminowali ani lotnisk, ani stanowisk dowodzenia.

Mapa rozbłysła nowymi danymi: wszystkie trzy armie syryjskie przestały się wycofywać i ruszyły ku granicy Izraela, a atakujące je lotnictwo poniosło ciężkie straty.

- Nie podoba mi się to - oznajmił Carroll. - Syria doskonale to wszystko przygotowała. Zatrzymanie i zmiana kierunku marszu takiej liczby wozów bojowych to bardzo skomplikowany manewr, a oni zrobili to trzema korpusami naraz, i to w koordynacji z manewrami egipskimi. To dobrze zaplanowane i przeciwiczone posunięcie. A na razie nie wiemy jeszcze co z Irakiem.

- Ale Egipt nie włączył się do walki i Izrael może skoncentrować się na Syrii - przekonywał Cox.

- Aktualnie Egipt zawiesił manewry i bardzo przyjaźnie gawędzi z Izraelem; ale nie wycofał wojsk z Synaju. Te ćwiczenia zostały pomyślane jako zagrożenie granicy południowej; zagrożenie, którego Izrael nie może zignorować. Założyłbym się, że Egipt nie wycofa wojsk, a jeśli Izrael zacznie przegrupowywać jednostki nadgraniczne, to Egipcjanie zaatakują. Celem manewrów było zmuszenie Izraela do osłabienia sił na północy poprzez zmuszenie ich do wzmocnienia sił na granicy południowej. Synaj będzie cichy i spokojny dopóty, dopóki jednostki izraelskie się stamtąd nie ruszą, a tymczasem Syria będzie się próbowała przebić na północy.

- Izrael sobie poradzi. - W głosie Coxa brzmiała pewność. - Syria dostanie w dupę w ciągu kilku najbliższych dni.

- Nie byłbym taki pewien. Izrael zawsze dążył do krótkich wojen, a ta zapowiada się na dłuższą rzeź po obu stronach.

- Mam nadzieję, że się mylisz.

- Ja także, sir. Ja także.

Nalot zastał Furry'ego w Hajfie, gdzie bawił się w turystę i fotografował co popadnie. Przy tej okazji zdążył zrobić cztery zdjęcia MiG-ów, zanim policjant nie zagonił go do schronu. Po nalicie wrócił do hotelu i bezskutecznie próbował skontaktować się z Mattem, a potem, z podobnym zresztą wynikiem, z ambasadą w Jerozolimie. W końcu zostawił Pontowskiemu wiadomość i wypożyczonym samochodem dojechał do bazy lotniczej w Ramon.

Wstęp na teren bazy był zabroniony, toteż urządził karczemną awanturę i dał się aresztować żandarmerii. Dopiero wówczas ktoś go rozpoznał i zwolnił, ale już na terenie lotniska.

Jednostka, z którą dotąd latali, była w stałym alarmie bojowym, co rusz wykonując loty, toteż kazano mu nie pętać się pod nogami. Spróbował na własną rękę zorientować się w sytuacji, ale wrodzona skrytość rodowitych Izraelczyków skutecznie mu to uniemożliwiła. Wreszcie, zdenerwowany tym wszystkim, ubrał się w kombinezon, zabrał kombinezon Matta i podjechał do bunkra, w którym parkował ich Eagle. Doszedł bowiem do słusznego wniosku, że należy przygotować maszynę, by jak najszybciej się stąd zbierać, gdy tylko zjawi się Matt. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że F-15 Eagle jest w pełni sprawny, załadowany bombami i raketami i w dodatku kręci się koło niego dwóch izraelskich lotników.

- A wy co tu do cholery robicie? - zdenerwował się Furry.

Nie raczyli mu odpowiedzieć, ale było jasne jak słońce, że mają zamiar przelecieć się jego samolotem. Czym prędzej wspiął się do przedniej kabiny, gdyż było to jedyne rozwiązanie, jakie mu przyszło do głowy.

Jeden z lotników wspiął się po drabinie w ślad za nim i nie odzywając się słowem wyjął z kabury pistolet - przeładował go i przystawił siedzącemu do skroni.

Wartownik sprawdzający przepustki przy wejściu do Białego Domu zatrzymał Carrola grzecznie, ale stanowczo, informując go, że nie może wejść, gdyż jego przepustka została chwilowo unieważniona, podobnie jak i stopień dostępności. Nie bardzo wiedząc, co zrobić, Bill zadzwonił do Coxa, ale generał był właśnie na kolejnej z szeregu narad, na których DIA próbował dojść, co naprawdę dzieje się na Bliskim Wschodzie. Sfrustrowany Carrol zadzwonił więc do Melissy, która obiecała sprawę wyjaśnić i poradziła mu wrócić do biura w Arlington Hall, co było jednak niewykonalne bez stopnia dostępności.

Wściekły udał się do biura personalnego, mając nadzieję tam się czegoś dowiedzieć.

Właśnie dzwonił podpułkownik Carroll. - Melissa złapała Frasera w drzwiach jego gabinetu. - Cofnięto mu przepustkę i stopień dostępności, trzeba naprawić tę pomyłkę.

- Nic nie słyszałem - zdziwił się Fraser. - Choć może lepiej

pozwoleć działać systemowi, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej.

I zadowolony pognał na spotkanie NSC.

Melissa zmarszczyła brwi i wybrała numer domowy Carrol-
la - musiała z nim spokojnie porozmawiać.

Dziewiętnastoletni rezerwista wiozący Matta przez pas startowy w Ramon gadał bez przerwy, dzięki czemu pilot miał okazję dowiedzieć się, że baza była dwukrotnie atakowana, a baterie rakiet przeciwlotniczych zestrzeliły MiG-a i uszkodziły drugiego. Zanim dojechali do bunkra, nad lotniskiem pojawiła się dziwna para: F-16 i F-15 podchodzące do lądowania.

Matt najpierw zgłupiał, a potem popędził do bunkra, ale nie znał kodu, więc, by otwarto drzwi, musiał czekać, aż Eagle będzie wjeżdżał. Ledwie się uchylily, wbiegł do środka i natychmiast został powalony przez parę podoficerów, którzy przytrzymali go na ziemi, dopóki F-15 Eagle nie znieruchomiał na swym zwykłym miejscu i dopóki nie zamknięto wrót. Potem Matt zapomniał języka w gębie, gdyż z tylnej kabiny wygramolił się uśmiechnięty od ucha do ucha Furry.

- Dostaliśmy dwa MiG-i i rozpieprzyliśmy ruchomy punkt dowodzenia - poinformował go radośnie. - Wygląda na to, że dokładnie zapoznaliśmy się z maszyną, kiedy my uganiałymi się za panienkami po Hajfie. Widzisz, dotarłem tu akurat w chwili, gdy mieli szczyry zamiar polecieć nim na lot bojowy.

- Nie mieli prawa! - Matt odzyskał głos.

- Ale mieli potrzebę: potrzebują każdego sprawnego samolotu; latają nawet na maszynach szkolnych, które pilotują gówniarze prosto po kursie! Poza tym pomyślałem sobie, że najlepszy sposób na sprowadzenie grata w całości to mieć w kabinie choć jedną osobę, która ma pojęcie o tym, co robi. Więc polecałem. Cholera, nadal nie wierzę, że to zrobiłem.

- Zarabiając tym samym na sąd polowy - mruknął Matt.

- Mam to w dupie. Zbombardowali mnie w Hajfie, a nie lubię mieć długów. Do diabła, zламаłem nawet własną zasadę: „Nigdy nie lataj z kimś odważniejszym od siebie”.

Dołączył do nich pilot, który prowadził F-15 Eagle.

- Twój nawigator jest doskonały - poinformował Matta,

wyciągając ku niemu dłoń. Takie słowa w ustach izraelskiego lotnika to był nie byle jaki komplement.

Fraser jak zwykle siadł pod ścianą z tyłu, na prawo od prezydenta: nie był członkiem NSC, ale wolał być na miejscu i pod ręką, gdyby okazało się, że jest potrzebny. Z dotychczasowego przebiegu narady widać było, że wśród zebranych przeważa ostrożność i że USA nie będą działały w pośpiechu, wspierając ślepo Izrael bez zwracania uwagi na pozostałe swoje interesy w tej części świata. A to bez dwóch zdań musiało ucieszyć B.J. Allison, tym bardziej że, według zgodnych danych wywiadu, nie istniało bezpośrednie zagrożenie państwa Izrael.

Frasera martwiło co innego: to, że nie rozumiał motywów kierujących postępowaniem wielu z siedzących przy stole. Dla niego wszystko sprowadzało się zawsze do końcowego wyliczenia zysków i strat w dolarach: cokolwiek prowadziło do zmniejszenia dochodów, było złe. Tymczasem część obecnych dochodziła do właściwych wniosków kierując się złymi przesłankami. Nie miał problemów z przesłaniem ich toku rozumowania, ale nie wiedział, co nimi powoduje. W końcu przestał się tym martwić i odprężony rozsiadł się wygodniej - najwyraźniej nieobecność Carrola wywierała zbawienny wpływ; pan podpułkownik był zdecydowanie zbyt proizraelski.

- Kiedy spodziewane jest starcie sił głównych? - spytał Pontowski.

- Może ono w ogóle nie nastąpić - odparł Burke. - Być może jest to tylko manewr ze strony Syrii, mający na celu umocnienie jej pozycji w Libanie. Część moich analityków jest zdania, że wojska syryjskie zatrzymają się przed tym starciem i zaczną negocjacje dotyczące wycofania.

- A co będą negocjować?

- Zgodzą się wycofać z Jordanii, ale zatrzymując większość Libanu. - Tym razem odpowiedział sekretarz stanu. - Łatwo to przewidzieć, jako że jest to jeden z ich historycznych celów. Mogą też domagać się więcej autonomii dla Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy.

- Izrael poniósł ciężkie straty w samolotach - odezwał się

z namysłem Zack. - Czy powinniśmy umożliwić im uzupełnienie sprzętu?

Był to szczytowy punkt spotkania, a zdania właściwie równo podzielone.

- Jak na razie nic nie wskazuje na to, by Izrael nie mógł sobie poradzić z syryjskim zagrożeniem - przemówił w końcu Cagliari. - Poniósł ciężkie straty, ale nie są to straty krytyczne. Najlepiej będzie poczekać na rozwój wydarzeń, zwłaszcza że należy wziąć pod uwagę reakcje Rosjan...

- Których nie wolno lekceważyć - wpadł mu w słowo sekretarz. - Nie wiemy, co się dzieje na Kremlu, a może im się nie podobać bezpośrednia ingerencja na niekorzyść ich głównego klienta w tym rejonie. Kto wie: może to się nawet skończyć zwycięstwem starej gwardii, która czym prędzej udzieli Arabom pomocy. Łatwe zwycięstwo Izraela, po którym nastąpi wkroczenie ich wojsk na teren Syrii, może doprowadzić do rozszerzenia się konfliktu.

- A tego nikt nie chce - dodał Cagliari. - Prawda?

Fraser odetchnął z ulgą, widząc prostujące się ramiona Pontowskiego.

- W takim razie poczekamy - zdecydował Zack. - Niech nasz ambasador w ONZ przedstawi Radzie Bezpieczeństwa propozycję przerwania ognia. Ogłosić alarm dla MAC: niech będą gotowi do rozpoczęcia dostaw dla Izraela.

Wstał, dając znak Fraserowi, żeby mu towarzyszył, i wyszedł, kierując się do Gabinetu Ovalnego.

- Gdzie Carroll? - spytał Pontowski, ledwie znaleźli się na korytarzu.

- Ma chwilowo wstrzymaną przepustkę. Istnieje podejrzenie pewnych nieprawidłowości i chcemy to sprawdzić, zanim wróci do pracy. To raczej nic poważnego, ale przy obecnej sytuacji na Bliskim Wschodzie lepiej dmuchać na zimne.

- Postaraj się o jakieś rozsądne zastępstwo, póki tego nie załatwisz - polecił Zack, postanawiając jednocześnie porozmawiać o całej sprawie z Abbottem.

Lot bojowy, w którym brał udział Furry, okazał się przełomem - obaj Amerykanie zostali przez izraelskich pilotów przy-

jęci jako godni zaufania sprzymierzeńcy, toteż nie zaskoczyło ich zaproszenie na odprawę, przekazane im przez Harkabiego. Celem był ponownie sztab Pierwszej Armii, przesunięty po nalocie na południe i dość silnie zredukowany, ale nadal sprawnie działający. Zniszczenie bunkra przekonało syryjskich generałów, że bliżej linii frontu może być bezpieczniej.

Matt słuchał z zainteresowaniem, ciekaw, jak Izraelczycy poradzą sobie z sowieckimi raketami, przysparzającymi im tyłu kłopotów. W odprawie brała też udział załoga drugiego Phantoma z pierwszego nalotu, który został poważnie uszkodzony, ale zdołał wylądować na własnym lotnisku. Według ich zeznań standardowe środki wojny elektronicznej były nieskuteczne, a najnowsze nie w każdych warunkach ogłupiały radar, jakim posługiwała się Gadfly.

- Dlaczego nie polecą po prostu poniżej pułapu tego cholerstwa? - zdziwił się cicho Matt.

- Bo Syryjczycy jako broni wsparcia używają ZSU-23-4, a dwudziestotrzymilimetrowe pociski przeciwpancerne w takiej ilości, jak toto je wystrzeliwuje, mogą na tej wysokości zrobić z odrzutowca durszlak; oba systemy wzajemnie się uzupełniają, tworząc trudny do przejścia perymetr obronny. Mogą użyć zdalnie sterowanych bomb, dzięki czemu pozostaną poza zasięgiem działek, ale to oznacza wzniesienie się powyżej stu stóp i okazję dla rakiet. Nieciekawy układ.

Do sali odpraw weszła filigranowa dziewczyna mająca nie więcej niż dwadzieścia lat, z dystynkcjami *seren* - czyli kapi-
tańskimi - na uniformie.

- Oto wymarzona matka moich dzieci - stwierdził z zachwytem Furry.

- Masz już matkę swoich dzieci - przypomniał mu Matt, rozumiejąc jednakże uczucia kolegi: dziewczyna miała kruczoczarne włosy, wysokie kości policzkowe i była po prostu piękna.

Podeszła do mapy, uaktualniła sytuację na niej przedstawioną i wyjaśniła zmiany po angielsku; zresztą cała odprawa przebiegała w tym języku - gest w stronę gości.

- Pierwsza Armia przekroczyła Litani i umacnia pozycje na południowym brzegu. Składa się z trzech dywizji pancernych,

które obecnie nawiązały kontakt ogniowy z naszymi wojskami. Na szczęście ich kolumny ciągną się daleko na północnym brzegu rzeki i w dolinie Bekáa. Przemieszczają się jednak szybko i w ciągu dwunastu godzin będą na tyle silni, że mogą się skutecznie wyłamać z przyczółka...

Przerwała, gdyż do pokoju wszedł sierżant i bez słowa podał jej kartkę z najnowszą depeszą.

- Poprawka - oświadczyła, rysując sytuację na mapie. - Ich oddziały już się wyłamały z przyczółka i dotarły do morza.

Teraz skręcają na południe; ich następnym celem jest Hajfa, od której są oddaleni o pięćdziesiąt kilometrów.

Matt poczuł, że zalewa go nagła krew, tylko nie bardzo wiedział na kogo bardziej.

- Oczywiście więc jest - kontynuowała dziewczyna - że musimy ich jak najszybciej zatrzymać. Namierzaliśmy ich sztab w tym rejonie dzięki wzmożonej aktywności radiowej, a to jest zdjęcie rozpoznania lotniczego sprzed niecałych dwóch godzin.

Rejon, który wskazywała, leżał na północnym brzegu Litani, na terenie Libanu, ale to nikomu z obecnych nie przeszkadzało, a wyświetlone przez rzutnik zdjęcie ukazywało zgrupowanie ciężarówek i innych pojazdów wokół niewielkiego wzgórza. Powiększenie rozwiewało złudzenia: był to duży namiot, umiejętnie osłonięty rozciągniętymi siatkami maskującymi, pod którym ledwie-ledwie, ale jednak było widać trzy samobieżne radiostacje.

- Oto wasz cel - powiedziała, wskazując radiostacje - a to wasz przeciwnik.

I kolejno pokazała sześć zamaskowanych ZSU-23-4 i siedem wyrzutni SA-11 Gadfly. W sali zapadła idealna cisza, w której tym wyraźniej zabrzmiał zdecydowany głos Matta:

- Zajmiemy się tym!

B.J. zadzwoniła znacznie szybciej, niż Fraser się spodziewał: o ósmej wieczór, co jak na nią było prawie nienormalne.

- Tom, obawiamy się, że prezydent się zapędzi... - Z punktu przeszła do rzeczy, ale jej przerwał.

- B.J., mam to wszystko pod kontrolą.

- Mam nadzieję. - W jej głosie pobrzmiwała stal. - Słyszeliśmy,

że jego wnuk jest w Izraelu, i mamy nadzieję, że nie jest to oznaką jego nieograniczonego poparcia.

- Tym się nie ma co przejmować. Kapitan Pontowski jest na rutynowej wymianie załóg i dowództwo będzie próbowało wyciągnąć go stamtąd tak szybko, jak tylko się da. - Urwał, ale rozmówczyni milczała. - B.J., można byłoby doskonale wykorzystać ten konflikt do uspokojenia kampanii prasowej o wyborach...

- Pewnie, tylko że ja nie mam z tym nic wspólnego. Wybacz starej kobiecie, ale martwi mnie rozwój sytuacji i byłabym znacznie spokojniejsza, gdybym miała pewność, że nie opuścimy naszych pozostałych przyjaciół na Bliskim Wschodzie.

Fraser wiedział, że zaczęli negocjacje: ona o wpływy, on o zatrzymanie kampanii prasowej.

- Zaufaj mi; prezydent zrobi, co będzie trzeba, jeśli będzie mógł; wiesz, jak media mogą wpływać na decyzje polityczne i ekonomiczne - podkreślił „ekonomiczne”, żeby nie było wątpliwości - zwłaszcza w dobie kryzysu.

- Gdybym mogła być tego pewna...

I B.J. odłożyła słuchawkę.

Dla Frasera sytuacja była jasna - jeśli nie ruszymy jej interesów na Bliskim Wschodzie, to w zamian wyciszy prasę i problemy z kampanią wyborczą umrą śmiercią naturalną. Tylko skąd, do diabła, dowiedziała się, gdzie jest Matt?!

Robi trudności - stwierdziła Allison. - Musiał dobrze ukryć pieniądze, które dałam na kampanię wyborczą. Chciałabym wiedzieć, jak to zrobił.

- Chcesz, żebym się dowiedziała? - spytała Tara Tyndle.

- Byłby to miły gest z twojej strony. - Allison uśmiechnęła się do ulubionej prawnuczki.

Carroll przepchnął się przez kolejkę w restauracji mieszczącej się w podziemiach stacji Union, po której kręciła się masa wycieczek, młodzieży i turystów, co zapewniało możliwość zgubienia się w tłumie. A właśnie tego potrzebował, by spotkać się spokojnie z Melissą. Mary szarpała się z Brettem, idąc w ślad za mężem, i na oko niczym się nie różnili od tłumu wiosennych turystów wypełniających Waszyngton. Przy stoliku zajmowanym przez Melissę i parkę nastolatków

były dwa wolne krzesła, toteż z ulgą usiedli. Aktywność Brettą błyskawicznie wypłoszyła nastolatków, więc mogli spokojnie porozmawiać.

- Słuchałem na krótkich radia kairskiego i rozgłośni z Damaszku - zaczął Bill. - Sprawy mają się znacznie gorzej, niż przedstawia to prasa czy telewizja. To nie jest lokalny konflikt Syria-Izrael.

- CIA i Departament Stanu nie sądzą, by walki potrwały długo.

- Durnie! Arabowie prawie ogłosili *Jihad* ! Gdyby ta banda tłuków w CIA czy w Departamencie znalazła arabski, toby nie opowiadali takich głupot.

- Prezydent próbuje włączyć ONZ w negocjacje o zawieszeniu walk - wyjaśniła Melissa.

- Lepiej niech się pośpieszy, bo Irak szybko dołączy do Syrii. Egipt spokojnie poczeka, aż dość sił izraelskich będzie związanych na północy, i wtedy zaatakuje na Synaju. Arabowie mogą tym razem wygrać.

- Nikt nic nie mówił o Iraku! Ich udział zmienia całą sytuację.

- Od samego początku Irak stał za tym wszystkim i właśnie on wymyślił „arabskie rozwiązanie” problemu izraelskiego. Trzeba ostrzec prezydenta.

- Bill, skąd ta pewność? Przecież zostałeś odcięty od źródeł informacji; nie mogę mu przedstawić przypuszczeń jako faktów.

- Skontaktowałem się ze mną Mossad. Mam nadzieję, że z generałem Coxem także.

- Przecież są w stałym kontakcie z CIA - zdziwiła się Melissa. - Powiedzieliby nam, gdyby to była prawda...

- No i powiedzieli. Ale sama powinnaś wiedzieć, jak działa CIA: szef sekcji bliskowschodniej kieruje tą sprawą, a on nie wierzy Izraelowi za grosz. CIA zresztą jako całość nie lubi Mossadu, sądzą, że to zawodowa zazdrość. Cholera, wszyscy w tym kraju myślą, że po Kuwejcie Irak nadal wygrzebuje się z ruin i jest obiektem pogardy reszty państw arabskich. Niech ktoś wreszcie zrozumie, że opinia i polityka Arabów może się zmienić o sto osiemdziesiąt stopni w ciągu trzech dni: oni mają inną mentalność niż my.

- I sądzisz, że walki przybiorą na sile?

- Bezwzględnie. I to mocno przybiorą.

Melissa skinęła głową, wzięła torebkę i odeszła. Obserwował to, jak i zresztą całe spotkanie, mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku, żałując, że Melissa siedziała tyłem do niego, przez co był w stanie czytać jedynie z ruchu warg Carrolla. Miał wątpliwości, czy jego partner na balkonie zdołał coś usłyszeć, mimo że dysponował mikrofonem kierunkowym: walkmany nastolatków i szafa grająca powodowały zbyt wiele zakłóceń. Zdecydował, że tu się już nic więcej nie dowiedzą i że czas przyjrzeć się bliżej poczynaniom dawnego szefa Carrolla - generała Leo Coxa.

Co się stało z moją Zasadą Numer Jeden? - mruknął Furry programując komputer pokładowy.

Musiał zrobić to ręcznie z powodu braku wyposażenia komputerowego w bazie. W Stonewood cała operacja zajęłaby mu drobną część tego czasu, i to na lotnisku, a do pokładowego komputera załadowałby cartridge i byłoby po sprawie.

- Dobra, możesz kołować - poinformował Matta, wciskając w końcu ostatni klawisz.

- Poczekaj! - Matt wychylił się z kabiny, spoglądając na dwóch techników, nadal zajętych programowaniem TEWS. - Ciągle nie wierzę, że pozwoliłeś im w tym grzebać.

- Dlaczego nie? - zdziwił się Furry. - Niewiele się różni od tych, które mają na swoich F-15, a nam przyda się wszystko, jeśli chcemy z tego wyjść cało.

Technicy zabrali się do roboty zaraz po odprawie, w trakcie której Matt zgłosił na ochotnika swoją i Furry'ego kandydaturę do wykonania nalotu na syryjski sztab. Ambler wpadł na pomysł, by wykorzystać dane przywiezione przez ocalałego Phantoma: mogli spróbować przeprogramować elektronikę obronną ich F-15 Eagle tak, żeby skuteczniej ogłupiała rakiety Gadfly. Technicy zostali sprowadzeni z innego lotniska w ciągu godziny i po zażartej dyskusji, w czasie której wszyscy mówili naraz (przynajmniej w odczuciu Matta), zabrali się ostro do roboty, która jeszcze trwała.

Harkabi zapewnił obu lotników, że jest to normalna metoda

stosowana często w Izraelu, a zwłaszcza w lotnictwie, i że często daje wyniki graniczące z cudem. Mimo to Matt czuł się jak świnka morska przed kolejnym testem.

Jeden z techników wychylił się spod skrzydła, pokazując uniesiony kciuk, drugi zamknął klapę pojemnika - mogli kołować.

- Dalej nie wierzę, że pracowali przy włączonych silnikach - mruknął Matt i wykołował na rampę.

Nigdy dotąd nie robił tego z taką szybkością, mając zarazem podwieszki pełne ostrej amunicji. Skręcił przy początku pasa startowego, kątem oka dojrzał zielone światło na bunkrze dowodzenia i wykręcił na pas, dając pełen ciąg bez zatrzymywania się. Eagle niczym ptak, od którego zaczerpnął nazwę, wystartował w poranną szaróvkę.

Oficer naprowadzający bazy w Ramat David zanotował czas startu amerykańskiej maszyny, sprawdzając rozpisany dokładnie plan, którego jedynym celem było umożliwienie dotarcia nad cel pojedynczemu F-15 Eagle. Sprawdził rozmieszczenia samolotów wsparcia, które miały pomóc Amerykanom przełamać pierścień syryjskiej obrony przeciwlotniczej, i nadał przez radio hasło do rozpoczęcia operacji.

Ten sam Boeing 707, który zakłócał syryjskie radary w czasie nalotu Harkabiego - znajdujący się obecnie nad Morzem Śródziemnym - zabrał się do roboty, otrzymawszy sygnał. Równocześnie krążący niedaleko Harkabi w F-16 i Phantom ruszyły w kierunku brzegu, tym razem jednak lecąc czterysta stóp nad morzem.

Syria odpowiedziała namierzeniem źródła zagłuszania i użyciem własnych środków radioelektronicznych. Dwa radary pomimo zagłuszania wykryły nisko lecące maszyny izraelskie. Boeing zwiększył moc emisji i Syryjczycy stracili namiar. Zdecydowali na podstawie zaobserwowanego kursu, że izraelskie maszyny lecą nad Homs, i pogratulowali sobie przeniesienia sztabu we właściwej chwili oraz sprytu, jaki okazali oszukując Żydów.

Obserwator na wybrzeżu Libanu zameldował o przelocie maszyn Harkabiego, ciągle utrzymujących kurs na Homs, w

efekcie czego syryjska OPK szukała ich dokładnie tam, gdzie chcieli być szukani. Jeden z syryjskich radarów namierzył pojedynczy samolot szybko lecący z Izraela nad przyczółek nad rzeką Litani, co zostało uznane przez oficera dyżurnego za lot zwiadowczy. Ponieważ jednak Izrael do tego typu zadań używał z zasady bezpilotowych automatów, oficer profilaktycznie uprzedził baterie rakiet przeciwlotniczych nad Litani o pojedynczym napastniku i wrócił do tego co ważniejsze, czyli do nalotu na Homs.

Duża aktywność radarowa przed nami - oznajmił Matt, gnając wzdłuż rzeki Jordan w podnóże stoku wznoszącego się w oddali i przechodzącego we wzgórze Golan; jednocześnie próbował obserwować TFR i TSD. - Nigdy nie widziałem tego tyle naraz.

Faktycznie, ilość aktywnych radarów pokazywana przez MPD sprzężony z TEWS była imponująca, a nie ogłuchli od elektronicznych ostrzeżeń tylko dlatego, że pilot wyłączył wcześniej dźwięk, by słyszeć Furry'ego.

- Zupełnie jak ostatnim razem - ucieszył się Ambler. - Miło, że nas nie niesie w tamte rejony.

Furry tak wytyczył kurs, by wykorzystać dolinę, którą płynął Jordan aż do podnóże wzgórze Golan i wtedy dostać się prosto do Libanu.

- O, kurwa! - jęknął nagle Ambler. - Sześć aktywnych Flap Lidów!

Flap Lid to potoczna nazwa radarów namierzających, w jakie wyposażono wyrzutnie Gadfly i ZSU-23-4.

- Uważaj... uwaga... Teraz!!! - polecił Furry i Matt położył maszynę w ciasny skręt w prawo, włączając jednocześnie dopalacz i unosząc nos samolotu, by nabrać wysokości.

Przemknęli nad granicą prowadzącą do wzgórze Golan o pięćdziesiąt stóp i TEWS rozbłysł niczym choinka, gdy radary przeciwlotnicze Trzeciej Armii na wzgórzach Golan zaczęły ich namierzać.

Oficer odpowiedzialny za obronę przeciwlotniczą Pierwszej Armii w Libanie zauważył zmianę kursu samotnego

samolotu i przekazał sprawę swemu koledze z Trzeciej Armii, który zresztą miał już maszynę na radarach. Teraz TEWS F-15 Eagle ożył, wysyłając fałszywe sygnały oglupiające wrogie radary, ale nie zmieniało to klasyfikacji - samolot został uznany za zagrożenie dla Trzeciej Armii albo Damaszku.

Na dany sygnał ożyły izraelskie bunkry na szczycie góry Hermon, uruchamiając wszystko, co tylko mieli do zakłócania i zagłuszania radarów nieprzyjaciela. Działanie to okazało się tak skuteczne, że Syryjczycy rozpoczęli kolejny ostrzał artyleryjski szczytu, który tak jak i poprzednie na nic się nie zdał: bunkry były dobrze zaprojektowane, ukryte i wykonane, i nadal umożliwiały obrońcom doskonały wgląd w sytuację na wzgórzach Golan i równinie prowadzącej do Damaszku.

Matt przeleciał przez powstałe zamieszanie poniżej pocisków syryjskiej artylerii i na sygnał komputera położył samolot w ostry skręt na północny zachód. Obleciał w ten sposób górę Hermon, wracając nad rzekę Litani. Cały manewr pomyślany był jako fałszywy alarm: chodziło o to, by Syryjczycy uznali, że celem jego lotu jest Damaszek.

Operatorzy syryjskich radarów próbowali zlokalizować F-15 Eagle, co im się nie udało, i zgłupieli. Powinni byli natychmiast poinformować dowództwo obrony przeciwlotniczej Pierwszej Armii o utracie kontaktu, ale tego nie zrobili. Trzy baterie zgłosiły zestrzelenie, wprowadzając dodatkowe zamieszanie, jako że był tylko jeden wrogi samolot, i ponownie Pierwsza Armia nie została o niczym powiadomiona. Sprawdziło się to, o czym mówili Izraelczycy: brak koordynacji pomiędzy wielkimi jednostkami syryjskimi, który wykorzystano wręcz idealnie - Eagle był o dwie minuty od celu.

Lecząc górską doliną wychodzącą prosto na cel, Matt nawet o tym nie myślał. TFR i FLIR umożliwiały lot w mroku i w górach, a szary elektroniczny obraz na ekranie HUD pozwalał widzieć, co jest z przodu. Pilot uzbroił bomby i przełączył ekran na funkcję bombardierską FLIR, dzięki czemu świat nabrał

zielonkawej barwy. Jak dotąd nie było jeszcze widać celu.

- Jesteśmy za nisko - oznajmił Furry - wzgórze przed nami zasłania cel.

W słuchawkach rozległ się głuchy świergot (Matt włączył dźwięk, gdy wyszli z rejonu wzgórz Golan).

- Flap Lid nas namierzył. - Głos Furry'ego był o oktawę wyższy niż zwykle.

Matt sprawdził TFR - byli na stu stopach, czyli minimalnej granicy skuteczności rakiet, i o mniej niż minutę od celu. Od ziemi oderwały się poczwórne koraliki pocisków smugowych z działek dwadzieścia trzy milimetry i pomknęły ku maszynie.

Harkabi przerwał atak o sześć kilometrów od celu i zawrócił nad wybrzeże. Obie maszyny odpaliły flary i elektroniczne markery, a Boeing wyłączył zagłuszanie, by Syryjczycy mogli podziwiać odlatujące samoloty. W dowództwie Pierwszej Armii zapanowała atmosfera odprężenia i samozadowolenia.

Matt działał odruchowo, jak każdy dobry pilot nie zastanawiając się świadomie, tylko reagując na rozwój sytuacji i dane, dostarczane przez komputer pokładowy i sprzężoną z nim elektronikę. Nie dość, że wiedział, gdzie się znajduje (co samo w sobie było niezłym osiągnięciem, jako że lecieli dziewięćset stóp na sekundę przez góry i w mroku), ale jeszcze zdawał sobie sprawę, gdzie są zlokalizowane wrogie baterie. Był za nisko, by wykorzystać FLIR, i namierzył radar jednej z ich wyrzutni, ale byli poniżej pułapu wykrycia. Koraliki wystrzelwane przez ZSU zostały z tyłu z uwagi na ich szybkość, a TEWS ostrzegwał o wielu aktywnych radarach w sąsiedztwie. Pozostała do zrobienia tylko jedna rzecz, jeśli Matt miał umieścić bombę w celu, i na to się właśnie zdecydował: zwiększył wysokość, uzyskując bezpośredni kontakt wizualny z syryjskim sztabem, i jednocześnie wszedł w zasięg rakiet przeciwlotniczych.

- Namiar! - wrzasnął Furry, który błyskawicznie odnalazł cel i zblokował na nim celownik.

Reszta należała teraz do elektroniki i pilota. Na parę sekund

Matt opadł na sto stóp, po czym ponownie zwiększył wysokość, włączając automatyczny zrzut bomb. Komputer wziął poprawkę na ich własną trajektorię, obliczył najoptymalniejszą dla każdej bomby i zwolnił je. F-15 Eagle podskoczył, uwolniony od ciężaru dwóch bomb.

Cztery jasne punkty zbliżały się z boków do samolotu - rakiety. Matt zniżył maszynę, ale poszarpany górski teren nie był odpowiedni do lotu na małej wysokości. Zwrócił więc dziób maszyny ku nadlatującym pociskom - pierwszą parę powinien bez większego trudu wymanewrować, druga to inna sprawa, ale spokojnie, po kolei.

Niespodziewanie wszystkie cztery rakiety eksplodowały, nawet nie osiągając celu.

- Jasna kurwa! - wkurzył się Furry.

- Co do diabła... - zaczął Matt, ale przerwał mu obłąkańczy śmiech Amblera, który dopiero po wylądowaniu wyjaśnił mu to, co sam zrozumiał w owej chwili.

Otóż poprawki uczynione przez techników, bazujących na danych uzyskanych przez Phantoma, pozwoliły ich własnemu TEWS określić odległość, jaka dla Gadfly była „poblizem celu”, i dostosować do tego własną emisję radarową. W efekcie rakiety otrzymały polecenie detonowania, co też wykonały, nie robiąc nikomu krzywdy.

Mrok za ogonem F-15 Eagle rozjaśniła podwójna eksplozja, gdy obie jego bomby dotarły do celu.

Furry dokładnie się stosował do procedur lądowania obowiązujących w Ramon: znał rakiety przeciwlotnicze typu Hawk, jako że były amerykańskiej produkcji, i żywił dla nich uzasadniony szacunek; a obronę przeciwlotniczą bazy stanowiły baterie tych właśnie rakiet. Przelecieli więc wyznaczonym korytarzem z szybkością dwustu pięćdziesięciu węzłów, transmitując podany kod wywoławczy, by nie kusić losu i izraelskich operatorów, mających zwyczaj najpierw strzelać do każdego podejrzanego obiektu, a potem sprawdzać, w co trafili, i ewentualnie się tłumaczyć.

Wylądowali z krótkiego nalotu i Matt od razu skręcił na rampę prowadzącą do ich bunkra, mając na liczniku trzydzieści

mil na godzinę. Odruchowo wyłączył zegar operacyjny, włączony w chwili startu, i wierzyć mu się nie chciało w jego wskazania: lot trwał pięćdziesiąt pięć minut, a nie zdarzyło się im lecieć wolniej niż pięćset czterdzieści mil (naturalnie nie licząc lądowania) i wyżej niż czterysta stóp. Matt odpiął maskę i wierzchem rękawicy otarł twarz - ze zdumieniem stwierdził, że pada z nóg ze zmęczenia i jest cały mokry od potu.

- Wygląda na to, że dosłownie nic nie zostało uszkodzone. - Furry skończył sprawdzać aparaty.

Pierwszy lot bojowy maszyna i załoga zdały celująco. Drzwi bunkra rozsunęły się przed nimi. Matt podkołował na stanowisko i wyłączył silniki. Wewnątrz zamiast ekipy mechaników czekały na nich dwie osoby: izraelski dowódca bazy i pułkownik (z lekką nadwagą) amerykańskiego lotnictwa w galowym mundurze. Srebrny sznur na lewym ramieniu był oznaką funkcyjną attaché lotniczego, czyli gość pochodził z ambasady USA w Jerozolimie.

- Pieprzeni kowboje!... Co wy sobie właściwie wyobrażacie?!
- wydarł się retorycznie pułkownik. Jego skamieniała z gniewu twarz nie wróżyła nic dobrego.

Ganef od trzech dni nie opuszczał swojego gabinetu, kierując rzadko spotykaną w historii wywiadu aktywnością Mossadu. Przez cały ten czas trzęsła nim bezsilna wściekłość na własną klęskę. Agenci co prawda donieśli o tym, że Syria poprawia jakość i wyszkolenie swojej kadry oficerskiej, ale nie udało im się dowiedzieć, jak głęboko sięgają te zmiany. Wyszło w praniu, że głębiej, niż można było śnić w koszmarnych snach: armia syryjska była dobrze wyszkolonym i wyposażonym przeciwnikiem, dokonującym manewrów dotąd zgodnie uważanych za niewykonalne przez jakąkolwiek armię arabską. Pukanie do drzwi przerwało te niewesołe rozmyślenia. Ganef zsunął okulary na czubek nosa, rozsiadł się wygodnie na krześle i badawczo spojrzął na stojącego przed biurkiem Habisha.

- I co?
- Przekazałem sprawę Pontowskiego Mordechajowi.
- Sam się nią zajmę - zdecydował Ganef. - Jak przebiega?
- Przebiegała doskonale jeszcze pięć minut temu. Zaraz po wylądowaniu odnalazł go pułkownik Gold, attaché lotniczy ambasady amerykańskiej - wyjaśnił krótko Gad.
- Dobrze by było, gdyby poleciał jeszcze raz - mruknął Złodziej.

Habish milczał: obaj byli przekonani, że Matt Pontowski najlepiej by się przysłużył Izraelowi zostając jeńcem wojennym. A w ostateczności nawet trupem. Szum, jakiego by wokół tego narobiła światowa prasa, zmusiłby po prostu USA do pomocy i poparcia Izraela.

- Shoshana Tamir bardzo się przydała - ocenił stary. - Musimy doprowadzić do ich ponownego spotkania.

- Natura się o to zatroszczy - uśmiechnął się Habish. - O ile oczywiście zdołamy go zatrzymać w Izraelu. Wyjeżdżam za godzinę. Wszystko przygotowane, tak jak ustaliliśmy.

- To mi się nie podoba. - W głosie Ganefa było coś więcej niż zawodowa obawa. - Cała sprawa jest robiona na łapu-capu.

- Nie da się inaczej. Szef stacji w Kairze potrzebuje pomocy i ma ważny trop: może uda się tak ogłupić Egipcjan, że nie wezmą udziału w tej wojnie.

O baj macie chyba żylaki na mózgach - jęknął pułkownik Steven Gold, miotając się w tę i z powrotem po niewielkim pokoiku, do którego zaprowadził ich Harkabi.

Matt i Furry zajęli jedyne wolne krzesła w pomieszczeniu, przypinając się do półtoralitrowych butli wody mineralnej. Obecnie butelki były prawie puste, za to porozpinane kombinezony - mocno przepecone.

- Spójrzcie na siebie! - wybuchnął Gold. - Czytał któryś z was regulamin mundurowy?

- „Wygrywa armia mająca prostsze mundury” - mruknął Furry.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

- Latałeś kiedyś bojowo? - Matt nie miał ochoty bawić się w tytułowanie czy inne oficjalne uprzejmości.

Właśnie wrócił z prawdziwej walki, która strasznie mu się spodobała, i czuł, że coś się w nim zmieniło. Dopiero teraz zrozumiał, jak wiele w nim zaszło od tamtego pierwszego rugania, które sprawił mu Locke, i uśmiechnął się na wspomnienie dawnego Matta: przemądrzałego durnia, sądzącego, że jest pępkiem świata.

- A co to ma do rzeczy? - zdziwił się Gold, wkurzony uśmieżkiem Matta, który źle zinterpretował, i brakiem „służbowego stosunku”. - Nie dość, że naraziliście na zniszczenie odrzutowiec wart trzydzieści milionów...

- Dwadzieścia dziewięć - poprawił Furry.

Przez kilka sekund Gold walczył o odzyskanie panowania nad sobą. Tym razem skutecznie.

- ...ale w dodatku wplątaliście Stany Zjednoczone w konflikt, po stronie Izraela. Zdajecie sobie sprawę z reperkusji,

gdybyście zostali zestrzeleni? Albo, niech Bóg broni, wzięci do niewoli?! Zwłaszcza ty, Pontowski!

Gold dla ułatwienia przyjął maniery Matta - zawsze prościej jest kogoś opieprzyć, jak nie mówi mu się per „pan”.

Matt miał dość papierowego lotnika, który nie miał pojęcia o lataniu i o prawdziwym życiu US Air Force.

- A niewiele brakowało - przyznał. - Cholernie niewiele.

- Kapitanie! - Gold odruchowo wrócił do przepisowych form. - Pan zdaje się zapominać, kim jest pański dziad! Otrzymałem konkretne rozkazy, by pana odnaleźć i upewnić się, że opuści pan Izrael najszybciej, jak jest to możliwe. Pańska dal-sza tu obecność jest politycznym nieszczęściem, które...

Przerwało mu pojawienie się w drzwiach młodej panny kapitan z izraelskiego wywiadu, która oświadczyła z uśmiechem:

- Matt, Ambler, mamy wyniki waszego nalotu. Chcecie obejrzeć? - Nie trzeba im było tego dwa razy powtarzać. - A pan, pułkowniku Gold?

Zapytany czym prędzej wypadł z pokoju w ślad za Furrym.

- Pan pierwszy raz w naszej bazie? - spytała niewinnie dziewczyna, prowadząc ich korytarzem do sali odpraw.

Na taką jawną zaczepkę Gold mało się nie potknął. Jako oficer wywiadu, dziewczyna musiała doskonale wiedzieć, że pomimo dwóch lat w Jerozolimie, posługiwania się hebrajskim i niewątpliwie żydowskiego pochodzenia Gold nie zdołał jak dotąd zobaczyć nic, co miałyby choć trochę wspólnego z tajemnicą wojskową. A attaché wojskowy to oficjalnie uznany szpieg, więc Izrael stosował równą taryfę wobec wszystkich. Szukając Matta Pontowskiego, Gold dowiedział się więcej ciekawych rzeczy niż w ciągu poprzednich dwóch lat służby. Jedną z większych tajemnic był system wczesnego ostrzegania i obrony przeciwlotniczej, na który składały się orbitujące samoloty i ruchome stanowiska radarowe, żelbetowe bunkry dowodzenia i zdublowany, a często i potrójny system łączności komputerowej. Newralgicznym jej punktem była składana antena radarowa na szczycie Hermon. Z uwagi na stałą możliwość ostrzału artyleryjskiego wymyślono szybki mechanizm

rozkładający i wysuwający urządzenie (składający naturalnie też), aby umożliwić skuteczne operowanie nią i utrzymać stały dopływ danych do komputerów przetwarzających, z którymi współpracowała. Operacja wyglądała następująco: wpierv okolicę przepatrywał niewielki radar artyleryjski - jeśli nie wykrył ognia baterii wroga, z ochronnego bunkra wysuwano główną antenę, jednocześnie ją rozkładając. Zlokalizowana na wysokości dziewięciu tysięcy dwustu stóp antena jednym obrotem przepatrywała równinę od Damaszku i płaskowyżu Transjordanii aż do Ammanu. Potrzebowała na to dziesięciu sekund.

Gdy Amerykanie szli do sali odpraw, artyleria syryjska otworzyła ogień na izraelskie stanowisko na górze Hermon. Radar artyleryjski wykrył pierwszą salwę, toteż antenę zwinięto, a obrońcy ukryli się w bunkrach. Kapitana dowodzącego stanowiskiem radarowym mocno to zaskoczyło, gdyż jak dotąd Trzecia Armia mimo dojścia i rozwinięcia się na linii natarcia zachowywała się wyjątkowo cicho i spokojnie. Polecił więc komputerowi rozwinąć antenę przy pierwszej dłuższej przerwie w ostrzale. Radar artyleryjski (było ich kilka, i to ruchomych, tak że zawsze jeden był w pełni sprawny) wykrył sześciosekundową lukę w ostrzale, dzięki czemu antena zdołała wykonać obrót o sto dziesięć stopni i bezpiecznie się schować, a komputery zajęły się analizą dostarczonych przez nią danych.

Natychmiast też ogłoszono alarm: pod osłoną nawaly artyleryjskiej Trzecia Armia przegrupowywała się, a Piąta Armia wystrzeliła tymczasem czterdzieści sześć taktycznych pocisków raketowych.

Gdy Gold dotarł do sali odpraw, rozległ się sygnał alarmu przeciwlotniczego. Korzystając bowiem z kolejnej przerwy w ostrzale (tym razem osiem sekund), antena znów pojawiła się na stanowisku, a dane pozwoliły na ustalenie trajektorii rakiet, a co za tym idzie i celów, na które zostały skierowane: osiem z nich zmierzało ku bazie lotniczej w Ramon.

W bunkrze dowodzenia koło Tel Awiwu naniesiono na mapę cele. Komputer początkowo zidentyfikował pociski jako

sowieckiej produkcji Scud B, ale dystans pomiędzy miejscem odpalenia a Ramon wynosił trzysta dwadzieścia kilometrów, co znacznie przekraczało zasięg Scuda, wobec tego rakiety musiały być typu Scaleboard, być może z głowicami zawierającymi dwa tysiące funtów materiałów wybuchowych. Powiadomiono o tym lotnisko, a nieszczęśliwy generał poszedł poinformować premiera, że Syria używa znacznie nowocześniejszych i silniejszych rakiet taktycznych, niż sądzono, i że bitwa o wzgórze Golan może zacząć się lada chwila.

Młoda panna kapitan zignorowała ostrzeżenie krótkim stwierdzeniem:

- Jesteśmy tu tak samo bezpieczni jak gdziekolwiek indziej w bazie.

Jeden komplet zdjęć dała Mattowi, drugi Goldowi. Pilota pochłonęły one bez reszty, attaché zaś zaczął się pocić: był to pierwszy prawdziwy kontakt pułkownika Golda z wojną.

Fraser siedział w wannie, z trudem łapiąc oddech i ociekając potem. Zastanawiał się przy tej okazji, jak niewiele dzieliło go od zawału dzięki umiejętnościom panienci i ile jej powiedział. Niejasno sobie przypominał, że im więcej nazwisk bogatych i wpływowych osób wymieniał, tym bardziej dziewczę stawało się podniecone. Przrzekł sobie nigdy więcej nie wchodzić z nią do wanny.

Inna rzecz, że aż miło było na nią popatrzeć, gdy rozkosznie pluskała się w wodzie, z nogami przełożonymi przez jego brzuch. Fascynowała go wprawa, z jaką posługiwała się brzytwą przy goleniu łydek.

- Gdzie nauczyłaś się tej sztuczki? - spytał.

- Siostra mojej prababki była w młodości naprawdę wyzwolona - odparła, wyciągając korek z kolejnej butelki szampana i wylewając pieniący się płyn na nieskazitelną już gładką skórę.

Wiedział, co w tej chwili czuła. W ogóle wiedział znacznie więcej niż godzinę temu, choć przecież uważał się za zorientowanego, by nie powiedzieć wyrafinowanego, w sprawach seksu. Tara Tyndle zniszczyła te wyobrażenia w ciągu godziny. Wciąż zdumiewał go fakt, że kobieta jej urody i klasy zdecydowała się

zostać nowoczesną kurtyzaną (tylko to określenie było dla niej odpowiednie).

- Chcesz polizać? - spytała, podsuwając mu pod nos mieniącą się bąbelkami stopę.

Godzinę później byli ubrani i gotowi do wyjścia. Przy filiżance kawy Fraser nie mógł się nadziwić metamorfozie partnerki: znów była stylową kobietą interesu o sporych pieniądzach, taką, jaką poznał na owym pamiętnym przyjęciu.

- Zjemy dziś kolację? - spytał.

- Przykro mi, ale wyjeżdżam na kilka dni do Szwajcarii.

- Dlaczego do Szwajcarii? - zdziwił się Fraser, uważający oczywiście zegarków za jedno z nudniejszych miejsc na świecie i serdecznie nie cierpiący pyszałkowatych Szwajcarów (zwłaszcza bankierów).

- Interesy. Muszę dopilnować kilku spraw.

Zrozumiał sytuację natychmiast - tajne konta i transfer pieniędzy. Jeżeli chodziło o pranie gotówki, to mógł jej pomóc - w tym faktycznie był ekspertem.

- Jeśli to jest związane z bankowością, to nie musisz lecieć do Szwajcarii, mam trochę kontaktów...

- Nie sądzę, abym mogła uniknąć tego wyjazdu. Choć wolałabym kolację z tobą. - Znacząco oblizła wargi. - Kwoty, które wchodzi w grę, są niebagatelne.

- Już mówiłem, że znam ludzi, którzy mogliby pomóc.

- Dzięki za ofertę, ale nie chcę być nachalna. - Podniosła się i wyszła, bardzo z siebie zadowolona: Fraser połknął przynętę.

Godzinę później Fraser siadł za biurkiem w swoim gabinecie, nadal myśląc o Tarze. Doszedł do wniosku, że najbardziej interesuje ją władza i że za nią gotowa jest dać wszystko. Uwielbiała obracać się w kręgach ludzi wpływowych, a to znaczyło, że w zamian za kilka drobnych uprzejmości mógł mieć wszystko za darmo. Zachichotał i aż zatarł ręczki z zadowolenia.

Steven Gold wyjął z kieszeni niewielki, choć doskonałej jakości aparat fotograficzny i pytająco spojrzął na dziewczynę.

- Niech się pan nie krępuje - powiedziała, wzduszając ramionami - to wasz samolot.

Gold obszedł F-15 Eagle i zrobił sześć zdjęć uszkodzeń, jakie maszyna odniosła w trakcie ataku raketowego, a następnie wyszedł na zewnątrz i sfotografował bunkier. Był to pierwszy raz, kiedy nie odebrano mu aparatu przy wjeździe do izraelskiego obiektu militarnego, toteż korzystał z okazji. Tuż przed schowaniem aparatu zrobił jeszcze dwa zdjęcia okolic wjazdu do bunkra i wrócił do wnętrza, gdzie Matt i Furry oglądali samolot.

- I co sądzicie? - spytał, autentycznie zaintrygowany.

Furry wygramolił się spod maszyny i otrząpiał kombinezon.

- Jak widać, chwilowo nigdzie nie polecą - oznajmił - ale da się naprawić. Zdoła pan przekonać Izraelczyków, żeby to zrobili?

- Wątpię, mają pełne ręce roboty ze swoimi maszynami bojowymi.

- Cholera, nadal w to nie wierzę. - Matt nie mógł wyjść z podziwu. - Bezpośrednie trafienie głowicą z dwoma tysiącami materiałów wybuchowych, a cały efekt to wyrwane drzwi przeciwybuchowe i trochę betonu z sufitu. To właśnie te drzwi załatwiły naszego F-15.

- Nie zapominaj o tej cegle - Furry butem wskazał blok betonu o wymiarach trzydziści na sześćdziesiąt centymetrów - która urwała nam nos. Mając odpowiednie części i mechaników, da się go naprawić w dwadzieścia cztery godziny.

- Zobaczę, co się da zrobić - obiecał Gold.

- Jak oni zbudowali to чудо? - zdziwił się Ambler. - Biorąc pod uwagę linie paliwowe, wszystko się tu powinno spalić. A w ogóle to powinna zostać tylko twarzowa dziura w ziemi: za tymi drzwiami jest magazyn amunicyjny.

- Mogę się rozejrzeć? - Po doświadczeniach z podoficerami Matt wolał spytać o pozwolenie, choć tym razem towarzyszyła im tylko dziewczyna-kapitan.

Dziewczyna skinęła głową, więc pokręcił się chwilę, wykazując sporą znajomość budownictwa, po czym wszyscy wyszli. Widząc startujące F-16, Gold starał się zachować obojętność, ale dało się zauważyć, że widok czterech lądujących F-16 wstrząsnął nim: od ataku upłynęło ledwie dwadzieścia minut,

a pas startowy był w pełni sprawny. Jeszcze z dziesięć minut, pomyślał, a wszystko tu wróci do normy, jakby nic się nie stało.

- Panowie, musimy poważnie porozmawiać - poinformował zdecydowanie obu lotników.

Chłodzony powietrzem diesel V-12, serce średniego czołgu amerykańskiej produkcji M60A1, zaskoczył od pierwszego wciśnięcia startera przez kierowcę. Nazzi Halaby odruchowo ustawił obroty na tysiąc dwieście i wystawił głowę przez właz, by posłuchać, jak chodzi rozgrzewający się silnik. Wyszło mu, że świetnie, czyli że ekipa remontowa dobrze się spisała. Zasmiał się widząc trzech pozostałych członków załogi biegnących ku niemu od czołgu naprawczego M88 na dźwięk silnika ich własnego pojazdu. Pozostało jeszcze założyć lewą gaśnicę, którą zerwali w ostatnich sekundach bitwy, jaka toczyła się tu cztery godziny wcześniej, i będą gotowi do walki. Według Halaby'ego za trzy kwadransy powinni być w drodze.

- Dlaczego ten druz się z nas śmieje? - warknął Amos Avner, ładowniczy.

Ignorując pytanie, Mosze Levy podrapał się po czarnej brodzie hodowanej przez ostatnie miesiące i z wdzięcznością przyjrzał się M88, podjeżdżającemu do zerwanej gaśnicy. Dobrze, że ten wóz - podobny do okrętowej nadbudówki na czołgowym podwoziu - był w pobliżu, gdy oberwali. Gdyby ich szybko nie ściągnął w bezpieczne miejsce, mogliby zginąć w tych ostatnich minutach boju.

Levy miał trzydzieści sześć lat i jako dowódca czołgu był weteranem - zaczynał w osiemdziesiątym drugim, walcząc z syryjskimi czołgami w Libanie. Był niewysoki - sto sześćdziesiąt pięć centymetrów - i krępy, co dobrze pasowało, bo czołg wyglądał podobnie; doskonale wiedział, ile mieli szczęścia przeżywając zerwanie gaśnicy i bezpośrednio trafienie z RPG w silnik.

Co się zaś tyczy stosunków między członkami załogi, to trudno było mówić o szczęściu. Choć Nazzi mimo drobnej postury był najlepszym kierowcą czołgu, jakiego Levy w życiu spotkał, to każdemu się mogło zdarzyć zgubienie gaśnicy. Tylko Avner jak zwykle znalazł powód, by przyczepić się do

Bogu ducha winnego kierowcy i zrobić mu karczemną awanturę. Gdyby nie Dave Bielski, wysoki i chudy działonowy, jak nie skoczyliby sobie do gardeł. Nie dało się dłużej ukryć smutnej prawdy, że jeden z tamtych dwóch będzie musiał odejść. Levy zdawał sobie sprawę, że każdy zacieklej walczy z drugim niż z Syryjczykami, a to było niedopuszczalne. Wybór był prosty: najłatwiej zastąpić ładowniczego, czyli przegrał Amos, co było ironią samą w sobie, bo nie dość, że Levy pozbywał się jedyne-go żydowskiego ortodoksa, jakiego miał w załodze, to jeszcze na korzyść arabskiego druza.

Trzej Amerykanie siedzieli przy stole w gabinecie panny kapitan, oglądając kolejny zestaw zdjęć wykonanych przez automatyczny samolot zwiadowczy w godzinę po nalocie na sztab Pierwszej Armii. Zdjęcia o wysokiej rozdzielczości dokładnie przedstawiały śmierć i zniszczenie spowodowane przez dwie dwutonówki i przypomniały Amblerowi inną misję sprzed lat.

- Nic tylko zęby, flaki i klaki - mruknął.

Gold oglądał zdjęcia przez szkło powiększające, toteż wywarły na nim głębokie wrażenie, zwłaszcza przy komentarzu Furry'ego: na jednym wyraźnie było widać trzy spalone, rozewrane na strzępy ciała. Sam był poniekąd dumny z własnej urody i zdecydowanie przywiązany do życia, a jego jedyne doświadczenia pilotażowe związane były z MAC, toteż ani z wojną, ani z pilotami bojowymi nie miał dotąd okazji się zetknąć. W połączeniu ze świadomością, iż to on mógł (i może) znaleźć się na podobnych zdjęciach, wywołało to spory szok dla jego systemu psychicznego.

- Do raportu potrzebuję wszystkich szczegółów i informacji o tym, czego się nauczyliście. - Aby zachować resztki równowagi, wołał jak najszybciej wrócić do czystej i bezpiecznej pracy. - To może być prawdziwa skarbnica!

- Po prawdzie, to znacznie więcej dowiedziałem się w czasie pierwszego lotu, ale skoro pan nalega... - Ambler nie zdążył dokończyć, bo Golda aż podniosło z krzesła.

- Latał pan dwa razy na rzecz Izraela? Tak... Proszę zamilknąć! - Gold desperacko próbował odzyskać panowanie nad sobą, ale ten drugi szok był zbyt silny. - Kurwa mać! Kim myślisz, że

jesteś? Za ten numer wylądujesz na sądzie polowym, i to takim piorunem, że ci się woda w dupie zagotuje!

- A ja? - spytał niewinnie Matt, wybijając Golda z niezłej się zapowiadającej tyrady. - O sądzie to pogadamy potem i z wyższymi rangą, teraz ważniejsze jest to, czego się dowiedzieliśmy, prawda?!

Golda wpieryw zatkąło, a potem olśniło - bezczelność bezczelnością, ale Matt miał rację.

Przez następne dwie godziny Matt i Ambler opowiadali mu o wszystkim, co widzieli i zrobili. Furry zapełnił cztery strony diagramami i równaniami na temat możliwości rakiet Gadfly i izraelskiej modyfikacji ich własnego TEWS.

- Wiecie, że to wszystko może być użyte w sądzie przeciwko wam? - Gold wrócił już do jakiejś takiej równowagi.

- I co z tego? - zdziwił się Matt. - Nie będziemy ukrywali tego co ważne ani wmawiali nikomu, że się tu cały czas dupczyliśmy.

- Zwłaszcza jeśli to ważne może uratować skórę innemu pilotowi - dodał Furry.

Gold w zamyśleniu popatrzył na leżące na stole zdjęcia, mapy i wykresy i niespodziewanie spytał:

- Nie macie pojęcia, co tu się naprawdę stało, prawda?

Zapytani spojrzeli po sobie w lekkim osłupieniu i zgodnie przyznali, że nie mają zielonego pojęcia, do czego zmierza.

- Dzięki wam mam więcej aktualnego i sprawdzonego materiału o izraelskim lotnictwie niż niesprawdzonych plotek, jakie zbieraliśmy przez ostatnie cztery lata - wyjaśnił. - Same dane o wzmocnionych bunkrach warte są dywizjonu F-15. Ale dopiero teraz do mnie dotarło, dlaczego oni na to wszystko pozwolili i dlaczego naszym oficerem łącznikowym jest najseksowniejsza panienska, jaką spotkałem w tym kraju. Odpowiedź jest tak oczywista, że aż trudno na nią wpaść. Za wszelką cenę chcą was tutaj zatrzymać, a zwłaszcza pana, kapitanie Pontowski. Pomyślcie tylko: wnuk prezydenta USA zabity w trakcie lotu bojowego na rzecz Izraela. Takie nagłówki muszą pchnąć USA w ich objęcia.

- W takim razie trzeba się stąd wynosić - stwierdził Furry. - I to natychmiast!

- Może nie. - Gold uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili, gdy się poznali. - W tę grę mogą się bawić obie strony. Ceną, którą muszą zapłacić za wasz dalszy pobyt w Izraelu, są informacje. Przez parę najbliższych dni nigdzie nie polecicie, bo nie macie na czym: wasz Eagle jest uszkodzony, a Izrael ma tylko podstawową wersję F-15, więc do naszego modelu brak części. Spróbuję tak to zorganizować, byście zostali oficjalnymi obserwatorami ze statusem dyplomatycznym. Będziecie przydzieleni do mojego biura.

- Czy faktycznie możemy się aż tyle dowiedzieć? - zdziwił się Matt. - Dlaczego?

- Bo sądzę, że tym razem dostaną w kość, i to porządnie. I zdają sobie z tego sprawę. Bez naszej pomocy to oni już przegrali tę wojnę, a ta pomoc zależy od dokładnych informacji, jakie otrzyma pański dziadek, kapitanie. No a z drugiej strony, musimy też dokładnie wiedzieć, jak się sprawy mają, jeśli mamy skutecznie zlikwidować tę gównianą wojnę!

Levy stał w otwartym władze, mocno trzymając się kłapy - grzali pełną szybkością po nadbrzeżnej drodze i mniej solidny chwyt mógł się zakończyć lądowaniem wewnątrz wieży lub na zewnątrz czołgu, co byłoby bolesne i zbędne zarazem. Podobnie jak większość izraelskich czołgistów, wołał widok z otwartego władu niż znacznie bezpieczniejszy, ale ograniczony, jaki osiągało się przy użyciu peryskopu. Według zasad Levy'ego, pierwszy wybór charakteryzował myślącego dowódcę czołgu, drugi zaś zmieniał go w ruchomy cel. Co go zdziwiło to fakt, że podczas trzech stoczonych dotąd walk większość syryjskich dowódców robiła to samo; niegdyś aż do samego zwarcia zwykli jeździć w szczelnie zamkniętych wozach. Przed sobą Mosze widział i słyszał toczącą się już walkę.

Gwałtowne szarpnięcie rzuciło nim o krawędź luku, ale kamizelka z kevlaru złagodziła siłę zderzenia. Przy tej szybkości wystarczał mały wybój, by spowodować takie efekty, a to, co Levy usłyszał w radio, nie pozwalało na zmniejszenie tempa: przed nimi trwała walka i liczył się każdy czołg i każdy człowiek. Jechali z prędkością przynajmniej czterdziestu mil na godzinę, czego amerykańscy konstruktorzy M60 nigdy nie

przewidywali, ale izraelscy specjaliści przekonstrowali, co tylko się dało. Silnik zamiast dziewięciuset koni fabrycznych miał ponad tysiąc, zmieniono też układ transmisyjny.

O przedni pancerz zrykoszetował pocisk karabinowy, co było najlepszym dowodem zbliżania się do pola walki. Najprawdopodobniej snajper polujący na takich jak on dowódców; Mosze ocenił, że strzelano z przodu i nieco z lewa, przesunął więc w tym kierunku zamontowany na wieży karabin maszynowy. Wyprał z niego krótką serię bez nadziei na trafienie, ale z myślą, że powinno to zmusić przeciwnika do ukrycia się na czas ich przejazdu.

Radio zatrzeszczało, przynagając ich do pośpiechu, więc nie zwolnili, mimo że zapadł zmrok - już raz jechali tą drogą i mieszanina doskonałej pamięci i instynktu pozwalała Nazzemu w miarę bezpiecznie prowadzić. Na szczęście Amos trzymał głębę zamkniętą, nie obwiniając o wszystko kierowcy, jak to miał w zwyczaju. Levy poprawił noktowizor, klnąc w duchu - nie lubił gogli i nie lubił nocnych działań.

Bitwa, do której się śpieszyli, była częścią kontruderzenia mającego powstrzymać syryjski atak z przyczółka nad Litani. Syryjskie czołgi atakujące na południe w kierunku Hajfy wyszły poza parasol ochronny rakiet przeciwlotniczych i artylerii i nadziały się na dwie izraelskie dywizje pancerne - wkopane w ziemię i zdeterminowane nie cofnąć się ani o milimetr. Izraelska artyleria wyłączyła z walki nieliczne wyrzutnie Gadfly, które zdołały towarzyszyć wozom pierwszej linii, i wreszcie lotnictwo mogło się zabrać do roboty. Wozy izraelskie były wkopane na przygotowanych zawczasu pozycjach, mając wsparcie artylerii i piechoty gotowej je osłaniać. Syryjczycy musieli się zatrzymać.

Bitwa przetaczała się w przód i w tył o setki, a czasami dziesiątki metrów, a napastnicy dopiero podciągali artylerię i resztę broni wsparcia.

Z przodu zamigotało błękitne światełko i Levy kazał zatrzymać wóz. Ledwie stanęli, na burtę wspiął się żołnierz, kierując ich na stanowisko na pobliskim wzgórzu. Pokazał i na mapie, i w terenie to, co miał pokazać, i zniknął. Halaby skreślił z drogi, kierując się na wzgórze, zgodnie ze wskazówkami Levy'ego.

W pobliżu szczytu minęli się z czołgiem-buldożerem, który właśnie skończył przygotowywać ich stanowisko i zmierzał do następnego. Powoli wjechali w przygotowany wykop, osłaniający burty i przód maszyny.

Obok czołgu pojawił się oficer, który okazał się ich nowym dowódcą plutonu, i szybko podał Levy'emu nowe częstotliwości radiowe oraz wprowadził go w sytuację.

Po kilkunastu sekundach porucznika już było słyhać w radio, jako że zboczem wychodzącym na stanowiska plutonu zbliżały się syryjskie czołgi i transportery opancerzone. Dziwne, że nie poprzedzała ich nawała artyleryjska, ale Levy nie martwił się tym. Martwił się natomiast brakiem kontaktu wzrokowego z przeciwnikiem, polecił więc Nazziem podjechać do końca wykopu. Saperzy dobrze wykonali swoją robotę: na szczycie wzgórza, gdzie kończył się okop, miał doskonałą widoczność, a z jego M60 widać było jedynie wieżę. Z lewej ogłuszająco huknęła armata czołgowa, a z przodu nadleciał pocisk, eksplodując kilkadziesiąt metrów za nimi.

Zaczęło się.

Po zboczu, widocznym jak na dłoni, wspinało się dwanaście czołgów i dziewięć BMP w formacji z grubsza przypominającej „V”. Szczyt klina skierowany był w lewo od stanowiska ich wozu, a najbliższy czołg - sowieckiej produkcji T-72 - dzieliło od nich dwieście pięćdziesiąt metrów.

Levy opadł do wnętrza wieży, zamykając właz i wrzeszcząc:

- Działonowy - IMI - czołg przed nami!

Tymi kilkoma słowami uprzedził załogę, że wchodzi do walki; Avner zrozumiał, że ma załadować pocisk przeciwpancerny zwany IMI i że celem jest czołg, który mieli przed sobą. Amos wsunął więc pocisk w zamek brytyjskiego działa sto pięć milimetrów, w które przebrojono w Izraelu stare M60, i odsunął się, odbezpieczając działą, by nie oberwać przy odrzucie.

- Gotów! - zameldował.

Od chwili, gdy Levy dostrzegł czołg, upłynęło mniej niż pięć sekund. Bielski przesunął wieżę, zgrywając celownik termiczny z celem, i włączył laserowy dalmierz w chwili, gdy Avner skończył ładowanie. Komputer zrobił poprawkę na warunki atmosferyczne i własności balistyczne pocisku. W celowniku widać

było obracającą się w ich kierunku wieżę T-72, gdy wewnątrz M60 prawie równocześnie rozległy się trzy okrzyki :

- Namiar! - Bielski.

- Ognia! - Levy.

- Poszedł! - Bielski.

Działem szarpnęło i Levy polecił:

- Do tyłu!

Halaby natychmiast wrzucił wsteczny i cofnął się w dół wykopu. Levy zdołał jeszcze dostrzec w peryskopie wystrzał syryjskiego czołgu, potem brzeg wykopu zasłonił obraz. Syryjski pocisk przeleciał w miejscu, w którym byli przed chwilą, a ich własny trafił w cel, zmieniając T-72 w płonący wrak. Załoga Levy'ego mogła się klócić jak diabli, ale faktycznie stanowiła zgrany zespół bojowy.

- Naprzód! - polecił Levy. - IMI ładuj!

IMI był najlepszym pociskiem przeciwpancernym w tym rejonie i jednym z najlepszych na świecie. Opracowano go w Israeli Military Industries, stąd nazwa, i był to pocisk przeciwpancerny typu sabot, stabilizowany lotkami, osiągający dużą szybkość i zdolny do wyeliminowania jednym trafieniem każdego czołgu, z jakim miała do czynienia armia izraelska.

Zatrzymali się w tym samym co poprzednio miejscu, Bielski przesunął wieżę w prawo w ogólnym kierunku, gdzie były czołgi przeciwnika, i znów komendy prawie zwały się w jedną:

- Cel: czołg z prawej! - Levy.

- Namiar! - Bielski.

- Gotowe! - Avner.

- Ognia! - Levy.

- Poszedł! - Bielski.

Odrzut wstrząsnął maszyną, działo cofnęło się na miejsce i Levy polecił:

- W tył!

Mniej niż piętnaście sekund byli widoczni dla nieprzyjaciela i nadal żyli.

- Ani razu więcej! - przypomniał Halaby.

Levy zastanowił się przez chwilę - w walce kierowca jest mikrotaktykiem zwracającym uwagę na położenie czołgu, bo zostali członkowie załogi zajęci są strzelaniem i niszczeniem

wrogich czołgów. Ostrzeżenie Halaby'ego znaczyło, że według jego rozeznania reszta syryjskich maszyn zdążyła zlokalizować ich stanowisko i z załadowanymi działami czeka, by pokazali się ponownie.

- Gdzie? - spytał Levy.

Wypracowali swój własny język skrótów myślowych oszczędzający czas i znacznie upraszczający rozmowę w trakcie walki.

- W lewo - odparł Halaby.

- Jazda! - polecił Levy.

Czołgiem szarpnęło i powoli ruszyli wpieryw w tył, potem w przód; Nazzi jakby znała pamięć usiane głazami zbocze.

- Jeżeli teraz pójdzie gąsienica... - zaczął Avner.

- Zamknij się! - warknął Levy. - Ładuj IMI!

Wysunęli się na grzbiet o sześćdziesiąt metrów od poprzedniego stanowiska i powtórzyli procedurę strzału. Gdy się wycofywali, nad ich wieżą przeleciała sowieckiej konstrukcji rakiet przeciwpancerna typu Sagger, ciągnąc za sobą cieniutki drut, za pomocą którego operator nią sterował.

- Czekali, aż wyjedziemy w starym miejscu - wyjaśnił Levy załodze. - Nazzi właśnie uratował nam wszystkim życie.

Avner parsknął niedowierzająco, ale nie odezwał się ani słowem.

Następne minuty zdawały się wiecznością, gdy przemieszczali się po szczycie wzgórza - wyjeżdżając, strzelając i cofając się za osłonę ziemi i skał. Pierwsze promienie wschodzącego słońca zaczęły się przebijać przez dym ścielący się nad polem walki, kiedy w radio zabrzmiał rozkaz przerwania ognia.

Levy ostrożnie wysunął czołg na szczyt i dokładnie rozejrzał się przez peryskop i szczeliny obserwacyjne, zanim otworzył właz i wystawił na zewnątrz głowę. Otwarcie włazu wymagało zresztą użycia siły, gdyż górę wieży dosłownie spowijały przecinające się pod rozmaitymi kątami druty sterujące Saggerów; już to samo dobitnie pokazywało, ile razy udało im się uniknąć śmierci. W końcu zdołał jednak otworzyć właz i rozejrzeć się bez żadnych ograniczeń. Na pobojoisku przed sobą naliczył dziewięć płonących wraków T-72 i pięć rozbitych BMP. Smród płonącej ropy, gumy i ludzkiego mięsa był wszechobecny. Z le-

wej płonął izraelski M60, z prawej rdzennie izraelskiej konstrukcji Merkava.

Levy spróbował się połączyć z dowódcą plutonu, ale dopiero po dłuższej chwili zgłosił się jakiś nieznany mu głos.

- Co z poręcznikiem? - spytał Mosze. - Straciłem z nim kontakt, gdy Syryjczycy się przełamali.

- Zabity. Prowadził kontratak, który ich odrzucił. Ile masz amunicji i paliwa?

- Avner - Levy przełączył się na intercom - ile nam zostało pocisków?

Odpowiedziała mu cisza: Avner i Bielski zasnęli tam, gdzie siedzieli. Levy policzył pozostałe pociski w podręcznym składziku ładowniczego: cztery normalne przeciwpancerne, ani jednego IMI. Tym razem faktycznie byli blisko śmierci. W radio rozpełtało się pandemonium, ale na szczęście któryś z dowódców szybko zaprowadził w eterze jaki taki porządek.

- Nazzi, ile mamy paliwa? - Levy skorzystał z tego, by sprawdzić drugą istotną kwestię, ale ponownie odpowiedziała mu cisza.

Zdecydował nie budzić chłopaka; zameldował o czterech pociskach i o tym, że są na rezerwie paliwa. Po czym sam też zasnął, nadal siedząc w otwartym włązie.

Otaczający Ben Davida ludzie nie czuli się zbyt pewnie, gdyż premier nie spał od siedemdziesięciu dwóch godzin i efekty przemęczenia zaczynały być widoczne w jego zachowaniu. Jak dotąd nie miały jeszcze bezpośredniego wpływu na podejmowane decyzje, ale w każdej chwili mogło się to zdarzyć. Właśnie napłynęły najnowsze meldunki z północy - wyglądało na to, że wreszcie udało się zatrzymać syryjską Pierwszą Armię, częściowo dzięki zniszczeniu jej sztabu, a częściowo dzięki determinacji obu dywizji pancernych. Obie strony poniosły w tym starciu ogromne straty.

- Nie możemy sobie pozwolić na wojnę wyniszczającą - mruknął Ben David i natychmiast spytał o sytuację na wzgórzach Golan.

- Cisza i spokój - padła równie natychmiastowa odpowiedź.
- Syryjczycy siedzą w umocnieniach i nie wychylają się poza

ochronny parasol raket przeciwlotniczych i artylerii, choć tę ostatnią przegrupowują do przodu wraz ze sprzętem saper-skim. Sądzymy, że atak zacznie się w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

- Sytuacja w Jordanii?

Przez chwilę w bunkrze panowała absolutna cisza, którą przerwał dopiero Yuriden:

- Niespecjalna. Znacznie zwolniliśmy tempo natarcia Piątej Armii, ale nadal posuwa się ona do przodu i jeśli nie zdołamy ich zatrzymać, to w ciągu trzydziestu sześciu godzin Jerozolima znajdzie się w zasięgu ich artylerii. Ponieśliśmy ciężkie straty, a transport rezerw jest problemem, gdyż na Zachodnim Brzegu z powodu ataków Palestyńczyków mogą to być tylko konwoje, co znacznie opóźnia całą sprawę.

Ta nowina aż podniosła Davida z krzesła.

- Wiem, jak należy postępować z arabskimi terrorystami

- warknął, waląc pięścią w stół. - Kiedy nasz następny konwój zostanie zaatakowany, trzeba zrównać z ziemią wioskę, w której będzie to miało miejsce.

- Ciężarówka są atakowane na terenie niezabudowanym - wtrącił jeden z oficerów.

- W takim razie z najbliższej wioski weźcie dziesięciu zakładników. Jeśli nie wskażą napastników, to ich rozstrzelać!

I tak do skutku: prędzej skończą się im ludzie niż nam amunicja. To powinno w krótkim czasie załatwić problem ataków terrorystycznych.

Ten leń zawsze sobie znajdzie coś łatwiejszego do roboty - narzekał Avner, odbierając od Dave'a Bielskiego kolejny pocisk podawany przez właz.

Każdy pocisk ważył ponad pięćdziesiąt funtów i musiał być ręcznie załadowany do magazynków amunicyjnych czołgu, co nie było lekką pracą, zwłaszcza że w M60 mieściły się sześćdziesiąt trzy pociski. Narzekania Avnera jak zwykle dotyczyły Nazziego.

- Do kierowcy należy uzupełnianie paliwa - mruknął Dave, zwiększając tempo, by zamknąć usta wiecznemu malkontentowi.

Levy zostawił załogę przy cysternie i ciężarówce z amunicją,

przywołany na naradę pozostałych przy życiu dowódców czolgów. Narada miała miejsce obok wozu dowódcy kompanii. Wrócił z niezbyt szczęśliwą miną, akurat gdy kończyli uzupełnianie zapasów.

- Co dalej? - spytał Bielski, wyczuwając kłopoty.

- Zrobili mnie dowódcą plutonu - wyjaśnił niepewnie Levy, czekając na reakcję załogi.

- Dostałeś awans? - jęknął Avner. - Na *segen mishneh*? No nie! *Shma Yisrael*...

- Zamknij się! - warknął wściekły działonowy. - Jeszcze żyjemy!

Amos przestał recytować modlitwę za zmarłych, ale się nie zamknął:

- Praktycznie to już jesteśmy martwi. Wiesz, że najwięcej ginie poruczników i podporuczników. I to z zasady razem z załogami.

Avner miał świętą rację, gdyż zgodnie z doktryną izraelskich wojsk pancernych młodszy oficerowie jako dowódcy powinni dosłownie prowadzić swych ludzi do walki, co też faktycznie robili i dzięki czemu wiedli życie dość urozmaicone, tyle że na polu bitwy nie było ono zbyt długie. Polowa promocja Levy'ego nie wróżyła nic dobrego.

- Do wozu - polecił Levy. - Kontratakujemy.

Gwizdki dobiegające od strony obserwatorów z pierwszej linii oznaczały rozpoczęcie ostrzału artyleryjskiego, a w górze słychać było huk odrzutowców. Rozpoczął się dobrze zaplanowany i skoordynowany atak, mający na celu wyszukanie słabych punktów formacji syryjskiej, na które można by następnie skierować silniejsze uderzenie.

Halaby uśmiechnął się złośliwie, przesłał Avnerowi całusa i zniknął we włązie. Był tak samo przerażony jak ładowniczy, ale silniejsze od strachu było pragnienie, by tego nie okazać. Nazzi za wszelką cenę chciał zadać kłam głębokiemu przekonaniu Amosa, że wszyscy Arabowie to tchórze.

Młoda dziewczyna w mundurze przepchnęła się przez tłum wchodzących i wychodzących, kłębiący się w drzwiach budynku, w którym nieoficjalnie mieściła się siedziba Mossadu,

wywołując, jak zwykle, pełne podziwu spojrzenia mężczyzn i zazdrosne spojrzenia kobiet. Znała drogę, toteż bez problemów dotarła do gabinetu Ganefa, który już na nią czekał. Bez słowa wskazał jej krzesło i spróbował zignorować kształtne nogi, dochodząc w końcu do wniosku, że długość spódnic mundurowych jest - mimo ich zdecydowanie niższych niż dawniej cen - jawną prowokacją.

- I co? - spytał jak zwykle.

- I nic - odparła panna-kapitan z bazy lotniczej w Ramon.

- Żaden nie próbował, choć z początku sądziłam, że Furry jest zainteresowany. Niestety ma żonę i dwie córki, do których tęskni. Dlaczego Amerykanie zawsze noszą w portfelu zdjęcia rodzin i podtykają je każdemu pod nos? A Pontowski tylko spytał, czy przypadkiem nie znam Shoshany Tamir.

- A Gold?

- Tak był zajęty tym, co widział, że nic innego przez myśl mu nawet nie przeszło. Poza tym gdybym to ja zaczęła, od razu by się domyślił, o co chodzi: on może wyglądać na durnia, ale to naprawdę dobry oficer wywiadu.

Ganef przez chwilę milczał, rozważając usłyszane nowiny.

- A więc by ich tu zatrzymać, potrzebujemy czegoś więcej niż seksu - oznajmił w końcu. - Jaka jest cena?

- Informacje. Pontowski musi stać się ich jedynym i najlepszym źródłem informacji. Im więcej Amerykanie się od niego dowiedzą prawdy, tym szybciej mu uwierzą, kiedy przekaze im, czego potrzebujemy.

- W takim razie musimy zapłacić - zdecydował Ganef.

- Trzeba przekonać Golda, że Matt Pontowski spadł mu z nieba i że koniecznie trzeba go tu zatrzymać jako obserwatora.

I być może nakłonić go, aby jeszcze raz poleciał dla nas, do dał w myślach.

Prowadząc swój pluton ku celowi, jaki mieli zająć, Levy bardziej wyczuł, niż wiedział, że starannie zaplanowany kontratak rozłazi się w szwach. Celem była grań górująca nad nadmorską drogą biegnącą przy granicy. Jak dotąd jego trzy czołgi i cztery transportery napotykały znikomą opór, ale coś mu się w tym wszystkim nie podobało. Z rozmów radiowych wynikało,

że para F-15, która miała bombardować znalezione cele, nie dostała zezwolenia na atak i czekała na oczyszczenie terenu z rakiet przeciwlotniczych. Nawała artyleryjska, która miała się toczyć przed nimi, nie toczyła się nigdzie, chyba że eksplodujące wokół pociski były ich własne, a nie, jak sądził początkowo, syryjskie.

Kurz przesłał peryskop, a wstrząsy czołgu uniemożliwiły korzystanie ze szczelin obserwacyjnych, tak że nie miał pojęcia, czy po bokach są czołgi tylko jego plutonu, czy też i inni sprzymierzeńcy. Ba, nie wiedział nawet, gdzie jest przeciwnik. Dym, kurz i te piekielne podskoki praktycznie uczyniły go ślepy.

Jedyną radą było zaryzykować, toteż otworzył właz, wychylił się i rozejrzał na tyle, na ile mógł, dopóki nie usłyszał pierwszego brzęku pocisku karabinowego o pancerz. Czym prędzej opadł w dół, a o wieżę zadzwoniła cała seria, rykoszetując od pancerza. Potwierdziło się jego najgorsze przypuszczenie: jego pluton atakował samotnie, na skrzydłach nie było nikogo.

- Nazzi - polecił przez intercom - skieruj się na to niskie wzniesienie po prawej i spróbuj znaleźć jakąś osłonę dla kałduba.

Halaby posłusznie skręcił w prawo. O przedni, najgrubszy zresztą, pancerz zrykoszetowała kolejna seria z karabinu maszynowego, którego stanowisko na szczycie wzgórza dopiero teraz zauważył. Zignorował nagle zamieszanie w intercomie, gdy z boku pojawił się syryjski czołg, i skoncentrował się na prowadzeniu swojego wozu. Byli już prawie na miejscu, gdy ze zdumieniem stwierdził, że obsługa karabinu maszynowego zamiast przyskać gdzie pieprz rośnie nadal bezsensownie ostrzeliwuje czołg. Pociski nie były w stanie przebić pancerza M60 w żadnym miejscu ani też zaszkodzić mu w jakikolwiek inny sposób. Mógł im jednak zaszkodzić, i to poważnie, żołnierz, który pojawił się obok stanowiska - targał bowiem RPG. Byli w odległości sześćdziesięciu metrów od szczytu, gdy żołnierz odpalił RPG-7 i głowica kumulacyjna trafiła z szybkością stu stóp na sekundę w przedni pancerz, powodując detonację jednego z segmentów. Eksplozja aktywnego pancerza zniszczyła pocisk, ale Blazer, jak powszechnie nazywano ten typ pancerza, miał z przodu dziurę. RPG nie był w stanie przebić

pancerza czołgowego, Sagger natomiast mógł to zrobić. Nazzi zaklął po arabsku i skierował czołg prosto na niefortunnego strzelca, wduszając pedał gazu do oporu. Pokonując szczyt, pięćdziesiąt ton stali opadło na stanowisko karabinu maszynowego i operatora RPG, zmieniając wszystkich trzech żołnierzy w krwawą miążgę rozbryzganą po kamieniach.

Halaby bez rozkazu cofnął wóz pod osłonę skarpy, ale nie zdążył dokończyć manewru, gdy w prawe koło nośne trafił Sagger, zrywając gąsienicę i urywając koło. Chłopak zdołał wykorzystać bezwładność i przyspieszenie czołgu, by cofnąć go jeszcze o parę metrów, zanim na dobre znieruchomiał.

W czołgu tymczasem zawrzało: Bielski przesunął wieżę, szukając transportera, który odpalił raketę, Amos załadował, Levy odpalił. Dopiero gdy BMP eksplodował, uspokoiło się na tyle, by Levy mógł przez radio zawiadomić resztę plutonu, co się dzieje, otworzyć właz i rozejrzeć się przez lornetkę po pobojowisku. Zadowolony zwołał dowódców czołgów i drużyn na odprawę - chwilowo byli bezpieczni, toteż mógł sobie pozwolić na ten luksus. Zebrali się koło jego wozu, a Levy nawiązał kontakt z dowództwem kompanii: jak oczekiwał, kazali mu utrzymać zdobytą rubież i czekać na rozkazy.

Bielski i Halaby zajęli się tymczasem oglądaniem uszkodzeń.

- Gdzie my do diabła jesteśmy? - spytał Avner, dołączając do nich.

- Jak widać, w środku jakiegoś zadupia, skazani na łaskę Boga i ludzi - odparł pogodnie Bielski.

- I co mamy robić? - Amos był pełen wątpliwości.

- Postarać się o nowy czołg, bo ten wymaga generalnego remontu, zanim gdzieś się ruszy o własnych siłach - odparł rzeczowo Dave.

Avnera jakby ktoś kopnął - odwrócił się do Nazziego i wrzasnął:

- Niech cię piekło pochłonie! Nikt ci nie kazał pchać się na sam szczyt. Gdybyś został po tej stronie, nie trafiliby nas tą raketą. To wszystko przez ciebie!

Halaby wzruszył ramionami, co zawsze miał zwyczaj czynić w odpowiedzi na ataki zapalczego dziewiętnastolatka, i spytał:

- Żyjesz, nie?

Fraser czekał przed biurkiem Pontowskiego, by odprowadzić go do ulokowanego w piwnicy Pokoju Operacyjnego. W praktyce wyglądało to dość zabawnie, gdyż musiał niemal biec, by jego krótkie nóżki zdołały dotrzymać kroku bocianim nogom Zacka.

- Kto prowadzi dzisiejszą odprawę? - spytał prezydent, gdy byli już w korytarzu.

- William Hogan z CIA.

- Kiedy wróci Bill Carroll?

- Nie wróci; sprawdziliśmy go i okazało się, że ma nieautoryzowane kontakty z Mossadem.

- Pracuje dla nich? - zdziwił się Zack.

- Nic na to nie wskazuje, ale same kontakty wystarczą, żeby nie ryzykować. Daliśmy go w odstawkę i obserwujemy. Przy okazji wyszło na jaw jeszcze coś ciekawego: Carroll kontaktował się po pracy z Melissą.

Pontowski przystanął i przez chwilę uważnie przyglądał się Fraserowi, jakby zobaczył coś dziwnego, a wysoce interesującego, po czym bez słowa wszedł do sali, w której czekali członkowie National Security Council oraz nerwowy referent z CIA. Pontowski usiadł w fotelu i zwrócił się do Hogana:

- Mam nadzieję, że ma pan dla nas dobre wiadomości, panie Hogan.

- Chciałbym, aby tak było - zaczął referujący i przystąpił do omawiania sytuacji, używając oddzielnej mapy dla każdej z atakujących armii.

Fraser siedział pod ścianą, słuchając jednym uchem - nie ulegało wątpliwości, że tym razem Izrael dostaje cięgi, a to powinno zadowolić B.J., i jej arabskich przyjaciół. Z samozadowolenia wyrwała go wzmianka na temat Matta.

- Nasz attaché lotniczy odnalazł kapitana Pontowskiego i majora Furry - poinformował zebranych admirał Scovili. - Okazali się oni, i nadal zresztą są, najlepszym źródłem informacji wywiadowczych o Izraelu, jakie nam się trafiło od czterech lat. Informacje są tak wartościowe, że zarówno pułkownik Gold, jak i ambasador zwrócili się z prośbą, by nadać im status oficjalnych obserwatorów z immunitetem dyplomatycznym.

- To zbyt niewygodne politycznie - wtrącił sekretarz stanu.

- Status oficjalnego obserwatora dla pańskiego wnuka może zostać zrozumiany jako wyraz pańskiego osobistego poparcia dla Izraela, panie prezydencie. A to jest groźne: gdyby stał się zakładnikiem lub został zabity...

Nie dokończył zdania, bo i tak wszyscy wiedzieli, o co mu chodzi.

- Co proponujecie? - spytał Pontowski.

Wszczął się gwar, gdyż okazało się, że zdania są podzielone. W końcu głos zabrał DCI.

- Sądzę, że powinni zostać na miejscu. Izrael nie raz twierdził, że sytuacja jest tragiczna, gdy wcale tak nie było, po to tylko, by otrzymać od nas więcej broni i innej pomocy. Mając dobre źródło informacji, możemy znacznie lepiej ocenić, czego potrzebują i jaka naprawę jest ich sytuacja.

- Jeśli ambasador ich chce, to niech ich na razie ma - zdecydował Zack. - A jeśli staną się zakładnikami, w niczym nie zmieni to sytuacji. Kolejna sprawa: jak wygląda sytuacja w ONZ?

- Brak postępu - odparł ponuro sekretarz stanu. - Blok arabski czuje zwycięstwo i robi, co może, by nie dopuścić do zawieszenia broni. Zbierają wszystkie uprzejmości, przysługi, grzeczności i wykorzystują wszystkie układy. Krótko mówiąc, sytuacja jest taka, że dopóki Izrael nie zacznie wygrywać, to w ONZ nie da się nic zrobić.

W sali zapanowało wymowne milczenie.

- W takim razie powraca pytanie, czy zacząć dostawy broni już, czy nadal czekać - przerwał ciszę prezydent.

Tym razem zebrani byli zgodni, że dostawy należy zacząć już - zwłaszcza rakiet kierowanych Stinger i pocisków przeciwpancernych klasy TOW.

- Trzeba tylko pamiętać, że to, co im wyślemy, zostanie wykorzystane przeciwko klientowi Rosji - wtrącił sekretarz stanu. - Biorąc pod uwagę zamieszanie na Kremlu, lepiej będzie poinformować ich, że rozpoczynamy dostawy, i zapewnić, że nie dopuścimy, by Izrael podbił Syrię. Diabli wiedzą, jaka może być reakcja twardogłowych na zagrożenie interesów: może to nawet stanowić pretekst do zamachu stanu.

Zewnętrzne zagrożenie jako powód umocnienia dyktatury

już często wykorzystywano w Rosji, i to skutecznie. Chyba nikt nie chce, by ta wojna zmieniła się z lokalnej w regionalną albo i coś gorszego.

Przez dłuższą chwilę obecni przetrawiali jego słowa. Nie ulegało wątpliwości, że Stany muszą zacząć działać, albo Izrael zostanie pokonany, a USA nie mogły sobie na to pozwolić. Problemem były reakcje na tę pomoc - i to tak Egiptu czy Iraku, jak i samego Izraela, gdy przejdzie do kontrofensywy. Yair Ben David był bezwzględny i wierzył w zemstę; serdecznie nienawidził Arabów. Poza tym było jeszcze jedno pytanie: czy Syria działa na własną rękę, czy też za cichym przyzwoleniem Rosji, nie wspominając już o tym, że nie wiadomo było, kto w Rosji rządzi. Zbyt wiele pytań pozostających bez odpowiedzi...

- Panie prezydencie - odezwał się sekretarz stanu - ponieważ ambasador sowiecki został odwołany, proponuję użyć Gorącej Linii, by przekazać informację jeszcze przed rozpoczęciem dostaw. Pozwoliłem sobie napisać depezę...

Podsunał Pontowskiemu kartkę maszynopisu, gdyż Gorąca Linia - wbrew powszechnemu przekonaniu - nie była połączeniem telefonicznym, tylko teleksowym.

- I proponowałbym przesłać także tłumaczenie, żeby...

hm... - sekretarz spróbował znaleźć odpowiednio dyplomatyczne określenie, ale nie udało mu się - żeby jakiś kretyń tam czegoś nie przekreśli!

Zack przeczytał propozycję - była zwięzła i konkretna, dosłownie podając, że dostawy zostaną wstrzymane po osiągnięciu sytuacji sprzed syryjskiego ataku i przywróceniu równowagi sił.

- Proszę to przetłumaczyć i wysłać - polecił i wyszedł, kierując się do Gabinetu Ovalnego.

Siadaj. - Pontowski wskazał Fraserowi fotel, samemu opadając na drugi. Czuł się bardzo stary i samotny: Tosh miała nawrót choroby; tym razem niedomagala na serce.

- Słucham? - Pytanie Frasera przywołało go do rzeczywistości. - Zamówić lunch?

Pontowski skinął głową, ale zanim Fraser zdążył wykonać

polecenie, zadzwonił telefon. Kolejne skinienie głowy i szef kancelarii podniósł słuchawkę: im dłużej słuchał, tym bledsza stawała się jego twarz.

- Gorąca Linia nie działa - oznajmił w końcu grobowym głosem - nikt się nie zgłasza.

- Niedobrze - mruknął Zack.

Kryzys na Kremlu musiał sięgnąć zenitu, przez co on musiał podejmować decyzje w ciemno, nie mogąc nawet poinformować Rosjan o swych zamiarach.

- Ilu sowieckich doradców jest w Syrii? - spytał niespodziewanie.

- Ponad półtora tysiąca - odparł Fraser.

- Wobec tego nie do uniknięcia jest, by nasza broń któregoś nie zabiła.

Mosze Levy doskonale zdawał sobie sprawę, że najbardziej niebezpieczne jest nieznanie, toteż w pierwszej kolejności zajął się rozstawieniem plutonu na nowych pozycjach i przygotowaniem do obrony. Niezbyt mu się podobał pomysł zamiany czołgu z inną załogą, ale jako dowódca plutonu musiał być mobilny, o ile miał przeżyć. Jego stary czołg stał na wzgórzu z nieźle osłoniętym kadłubem i nadal czynnym działem, ale w przypadku ataku syryjskiego byłby pierwszym celem. Dowódcę zdziwił fakt, że druga załoga bez protestów zgodziła się na zmianę; Avner otwarcie przyznał, że na ich miejscu nie posłuchałby takiego rozkazu. Levy zbył to milczeniem.

Przeładowano pozostałą amunicję tak, by wszystkie czołgi miały jej mniej więcej po równo, a piechota z transporterów zajęła stanowiska wzdłuż granicy położonej na zachód od gór, która zbiegając ku morzu, tworzyła naturalną granicę między Libanem i Izraelem. Zgodnie z sugestią dowódcy jednej z drużyn, wysłali ubezpieczenie flank w postaci zespołów obserwacyjnych i, jak tylko zapadnie zmrok - dwuosobowy zwiad na przedpole. Gdy Levy wrócił do swego nowego czołgu, znalazł Dave'a zgrywającego przyrządy celownicze armaty.

- Celownik termiczny przestał działać - poinformował go Bielski - został tylko zapasowy.

Halaby siedział pod czołgiem, sprawdzając zawieszenie i jakość gąsienic. Było to zajęcie dla dwóch osób i Amos powinien był mu pomóc, ale Levy dopiero po dłuższej chwili odnalazł go za jakąś skalą, spokojnie jedzącego kolację. Z dziką rozkoszą przerwał mu tę idyllę i wykopał go do pomocy kierowcy.

Powoli zapadł zmrok i Levy skoncentrował się na nasłuchu radiowym. Choć nade wszystko chciał się dowiedzieć, jaka jest

sytuacja ogólna, nie nadawał, gdyż wiedział, że im dłuższa przerwa w walce, tym prawdopodobniejsze jest użycie przez przeciwnika radiolokatorów do ustalenia pozycji jego wozów. A to oznaczało nawałę artyleryjską, na którą zupełnie nie miał ochoty. Po dłuższych poszukiwaniach odnalazł w czołgu gogle noktowizyjne i czym prędzej nałożył je na helmofon. Ze zdumieniem stwierdził, że dowódcy brakuje czasu na zajęcie się własnymi problemami - szkoda, że nikt mu o tym wcześniej nie powiedział. Po wejściu na szczyt przyjrzał się przez noktowizor okolicy: na przedpolu było cicho i pusto; za to na południu, czyli z tyłu, gdzieś w oddali poruszały się niewyraźne zielonkawe sylwetki - przez moment Levy był pewien, że zostali otoczeni. Po kilku sekundach paniki dostrzegł charakterystyczną bryłę M88 i serce wróciło mu na miejsce. Kilka minut później mógł już rozpoznać sześć czołgów typu Merkava i tuzin ciężko opancerzonych Centurionów przerobionych na transportery opancerzone. Zmierzały w kierunku jego plutonu. Po dotychczasowych doświadczeniach wyglądało to tak, jakby z odsieczą śpieszyła co najmniej brygada pancerna.

Dwadzieścia minut później Levy stał w otwartej tylnej kłapie Merkavy, czołgu należącego do *aluf mishneh* dowodzącego brygadą, w skład której wchodził pluton Levy'ego.

- Gratuluję! - Pułkownik uściśnął dłoń nieco oszołomionemu Levy'emu. - Atak zmieniał się w całkowitą klęskę, dopóki nie skręciłeś w prawo i nie oczyściłeś tego grzbietu. Syryjczycy najwyraźniej chcieli go użyć jako podstawy do zaatakowania naszej flanki, ale rozmyślili się, gdy jak spod ziemi wyrosłeś ty ze swoim plutonem.

- Nie sądzę, aby im aż tak bardzo zależało na tym pomysłe - odparł Levy, przypominając sobie, jak bez zbytnich trudności zdobył grzbiet.

- Skutecznie ich do tego zniechęciłeś. Ostatni zwiad lotniczy wskazuje, że się wycofali, prawdopodobnie po to, by się przegrupować, a my ruszamy do przodu, żeby nawiązać kontakt ogniowy i utrudnić im zadanie. - Pułkownik popatrzył na mapę wręczoną przez jednego z oficerów. - To tutaj wygląda na dobre

miejsce na chwilową kwaterę główną. Mosze, dziś uratowałeś skórę nam wszystkim i posłałem już prośbę o awans na *segen* dla ciebie. W dywizji na pewno się zgodzą, jak usłyszą o tym, czego tu dziś dokonałeś.

Levy'emu opadła szczeka: fart sprawił, że został porucznikiem; jak tak dalej pójdzie, do końca wojny będzie kapitanem, co oznaczałoby dowodzenie kompanią, a tego sobie zdecydowanie nie życzył.

Wieść o pogorszeniu się stanu zdrowia Tosh błyskawicznie obiegła Biały Dom i Kapitol, wywołując przygnębienie wszystkich pracowników. Nawet przeciwnicy polityki Pontowskiego, kłócący się z nim o każdy drobiazg, przysłali jej życzenia szybkiego powrotu do Białego Domu. Tosh była jedną z tych nielicznych osób, które nie przysparzają sobie w życiu wrogów, a nawet wręcz przeciwnie - są ogólnie lubiane i szanowane.

Melissa rozplakała się w łazience, ale gdy Zack wszedł do pokoju, wydawało jej się, że zdołała już nad sobą zapanować. Jednak gdy wstała, by powiedzieć mu coś na pocieszenie, okazało się, że nie może wykrztusić ani słowa. Pontowski skinął głową w podzięcie, wyczuwając jej dobre intencje, po czym oznajmił cicho:

- Musimy porozmawiać.

Kiedy znaleźli się w jego gabinecie, zamknął starannie drzwi, wskazał jej fotel i spytał:

- O czym rozmawiałaś z Billem Carrollem?

W pierwszej chwili chciała spytać, skąd o tym wie, ale powstrzymała się, przekonana, że i tak jej nie odpowie.

- O wojnie na Bliskim Wschodzie - odparła. - Billa martwi jej przebieg i twierdzi, że Irak wkrótce się do niej przyłączy po stronie Syrii. Uważa, że Arabowie dążą do *jihad* i że jeśli w ciągu kilku najbliższych dni nie będzie zawieszenia broni, to mogą zniszczyć Izrael.

- Dlaczego mówił o tym tobie?

Melissa doskonale zdawała sobie sprawę, że to właśnie było najważniejsze i że mogła stracić pracę za mieszanie się w nie swoje sprawy, ale nie miała zamiaru kłamać ani próbować się osłaniać.

- Bo obawia się, że nie ma pan pełnego obrazu sytuacji. Tak wewnętrzne układy i zawiści w CIA, jak i interesy polityki naftowej skutecznie filtrują to, co do pana dociera.

- Skąd Carroll czerpie swoje informacje? - spytał Zack, choć Stan Abbott dostarczył mu już odpowiedzi. Nie zaszkodzi jednak być ostrożnym, nawet wobec kogoś, kogo się bardzo długo zna.

- Od Mossadu.

- A nie przyszło mu do głowy, że Izrael też może na swój sposób filtrować informacje, chcąc, abyśmy spełnili ich oczekiwania? Sortowanie i ocena potopu danych trafiających do naszych agencji wywiadowczych to zajęcie, którego nie życzę żadnemu normalnemu człowiekowi. Ktoś to jednak musi robić i odrzucać to co zbędne lub fałszywe. Ludzie są ludźmi i mogą się mylić. - Uśmiechnął się. - Wiem, że nie lubisz Frasera i sądzisz, że trzyma stronę towarzystw naftowych. Ale czy zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego zgodziłem się, aby został szefem mojej kancelarii?

Ponownie ją zaskoczył, gdyż zawsze bardzo starannie ukrywała tę niechęć.

- Przyznaję, że nigdy nie udało mi się tego zrozumieć.

- Bo lubi władzę i chce rządzić, a ma taki charakter, że trudno go lubić, za to łatwo się go bać. To mój zły duch, w oczach opinii. Ale jest dobrym organizatorem i generalnie zna swoje miejsce: wie, na ile może sobie pozwolić. Wracaj do siebie, Melisso, i, bawiąc się w politykę, przysyłaj mi wiadomości zawsze, kiedy uznasz to za konieczne. A ja wykorzystam je najlepiej, jak będę potrafił.

Wstając, słabo się uśmiechnęła - tyle lat znała Pontowskiego, a mimo to nie doceniła go.

- Kto według ciebie powinien zastąpić Billa w NSC? - spytał niespodziewanie Zack.

- Generał Leo Cox - odparła bez wahania.

- Powiedz Fraserowi, żeby tu przyszedł - polecił prezydent i głęboko się zamyślił.

Gdyby Melissa wiedziała, jak nią manipuluje... albo gdyby Fraser wiedział. Bez Toma kampania wyborcza skończyłaby się po tygodniu, góra po dwóch. Bez kogoś takiego jak on - potra-

fiącego znaleźć, wyprać i wykorzystać nielegalne pieniądze – opozycja bez problemów rozprawiłaby się z Pontowskim. A znalezienie kogoś takiego wcale nie było łatwe, musiał to bowiem być ktoś nie bojący się działać we własnym imieniu i nie dający się złapać. Co nie zmienia faktu, że Zack gotów był go poświęcić bez chwili wahania, gdyby tylko zaszła taka konieczność, twierdząc, że o niczym nie wiedział i że stał się ofiarą machinacji i zdrady współpracownika. Jedynie Tosh wiedziała, że Matthew Zachary Pontowski był równie bezwzględny politykiem co wszyscy pozostali, a znacznie od nich sprytniejszym.

Wejście Frasera przerwało mu rozmyślenia.

- Kto pierwszy? - spytał Pontowski, podchodząc do biurka.

- Delegacja z Kapitolu: dwóch senatorów i trzech kongresmanów.

- Lobby izraelskie - uśmiechnął się Zack. - Spodziewałem się ich. Niech wejdą.

Senator przewodniczący niewielkiej delegacji mającej na względzie interesy Izraela w Kongresie był całkowicie zadowolony z tego, co usłyszał. Jeśliby udało mu się zmusić młodego kongresmana do milczenia, to mogliby z godnością i spokojem wycofać się z Gabinetu Ovalnego.

- Doceniamy fakt rozpoczęcia dostaw do Izraela - rezonował tymczasem młodzian - ale wysyłane ilości są całkowicie niewystarczające, by uzupełnić straty poniesione przez wojska izraelskie.

Pontowski z kamiennym obliczem przyglądał się mówiącemu, dzielając pragnienia senatora. Chyba coś zadziało, bo młodzieniec wreszcie zamilkł.

- Nie lubię się powtarzać, ale cóż... - odparł spokojnie Zack.

- Jak już powiedziałem przy naszym ostatnim spotkaniu, nie pozwolę, by Izrael został zniszczony lub okupowany przez wrogów. Jak słyhać, ta obietnica panu nie wystarcza... Cóż, pragnę przypomnieć panu, że istnieją także inne problemy...

- Których pan używa jako wymówki, by nie wysłać Izraelowi potrzebnego wsparcia - wtrącił kongresman.

- Przepraszam za nieodpowiednie zachowanie kolegi - wtrącił

czym prędzej senator, mając już dość i solennie obiecując sobie nauczyć gówniarza dobrych manier przy pierwszej okazji.

- Nie ma sprawy, John. Ja też kiedyś byłem młody - uśmiechnął się Pontowski. - Wracając do tematu: zanim zrobię cokolwiek z tym konfliktem, muszę brać pod uwagę reakcję krajów arabskich z powodu ropy i reakcję Rosji z przyczyn oczywistych. Tak się nieszczęśliwie składa, że nie możemy nawiązać łączności z Kremlem, a więc nasze czyny muszą mówić same za siebie, aby nieufni z natury przywódca sowieccy nie spanikowali. Musimy respektować ich interesy, bo nawet w obecnej sytuacji może dojść do poważniejszego konfliktu, na którym nikomu rozsądnemu chyba nie zależy, prawda?

- Nie wierzę w ani jedno słowo - zdenerwował się kongresman. - Uważam, że bardziej pana interesuje to, czego chcą szejkowie naftowi na Bliskim Wschodzie, a Rosja to tylko wymówka. Inwazja Kuwejtu i nasza na nią reakcja były punktem zwrotnym naszej polityki na Bliskim Wschodzie. Poświęca pan naszego jedyne wartościowego sprzymierzeńca i jedyne faktycznie demokratyczne państwo w tym rejonie za baryłkę ropy. I zamierzam to udowodnić!

Oczy Pontowskiego przypominały kawałki błękitnego lodu.

- Ach, tak. Proszę więc dać mi znać, czego się pan dowie, sam chciałbym znać prawdę o nielegalnych funduszach wyborczych - oznajmił zimno.

Stary senator próbował ratować sytuację i po kilku minutach udało mu się wyprowadzić delegację na korytarz bez dalszych scysji czy wpadek. Gdy wsiadali do czekających limuzyn, kazał kongresmanowi wsiąść ze sobą, a wewnątrz zapewniającego dyskrecję pojazdu przestał się bawić w uprzejmość:

- Synu, cierpisz na wyjątkowy przypadek tępoty umysłowej i braku logicznego myślenia. Zack Pontowski doskonale wie, co robi, a robi, co może, by pomóc Izraelowi. Na przyszłość zamknij dziób i słuchaj, co się do ciebie mówi, albo nie dość, że urwę ci łeb przy samej dupie, to jeszcze przetnę twoją karierę polityczną, tak że za miesiąc nikt nie będzie o tobie pamiętał!

- Ależ...

- Żadnych „ależ”! Rybki albo akwarium: następny tego typu występ będzie twoim ostatnim. A co do tego, że nie wie, co robi: powiedział, że czyny mówią same za siebie, pamiętasz? Jak myślisz, dlaczego jego jedyny potomek jest w tej chwili w Izraelu? Naucz się słuchać i myśleć, albo będzie po tobie, i to nawet bez mojej pomocy!

Pułkownik Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych dowodzący placówką odbiorczą MAC, która instalowała się właśnie na Lotnisku Ben Guriona przypominał Mattowi superaktywnego szympansa, którego kiedyś widział w zoo. Facet należał do tych, których z natury rozsadza wola walki, więc zupełnie nie był w swoim żywiole, chociaż robił, co mógł. Matt prowadził wóz ambasady przez zorganizowany chaos, jakim była rampa rozładunkowa, a Furry udawał, że notuje polecenia siedzącego z tyłu pułkownika.

- Część rampy ma być zarezerwowana dla naszych samolotów, a ten hangar czasowo zostaje zajęty na magazyn, w którym będzie się sprawdzało ładunek z listami przewozowymi, zanim nastąpi pisemne przekazanie go Izraelczykom.

- Zobaczę, co się da zrobić, pułkowniku Walters. - Furry starannie ukrył ironiczny uśmiech.

- Tu nie ma co patrzeć, to trzeba wykonać! - warknął Walters, po czym spróbował z innej beczki. - Wiem, że wy, piloci myśliwscy, nie macie zbyt często do czynienia z MAC, ale transport powietrzny opiera się na dwóch zasadach: dokładne rozliczenie i bezpieczeństwo lotów. Kiedy wyląduje pierwszy C-5, pokażę wam, jak to działa. Rozładujemy go, wypytamy załogę i, jeśli będzie trzeba, damy nową z puli rezerwowej, a wszystko to w mniej niż trzy godziny. Sprawdzimy ładunek ze spisem i jutro będzie do wydania. Pułkownik Gold to stary wyjadacz MAC, a i tak, jak sądzę, zrobi to na nim wrażenie.

Furry napisał coś w trzymanym na kolanach notesie i pokazał Mattowi: „Izraelczycy nie będą pod wrażeniem”. Matt zgadzał się z tym w zupełności, ale ponieważ Walters był tu nowy, postanowił, że najprościej będzie dać mu lekcję pogładową bez uprzedzenia. Tymczasem dojechali na miejsce i wysiedli.

Po kilkunastu sekundach podjechała brudna jak nieszczęście furgonetka, z której wysiadł zmęczony i wymięty podpułkownik lotnictwa izraelskiego. Przedstawił się jako szef rozładunku, odpowiedzialny za jak najszybsze rozładowanie samolotu i zwolnienie miejsca dla następnych maszyn. Waltersa zirytowało tak jego zachowanie, jak i podejście do tematu i spróbował wyjaśnić nowo przybyłemu, że to on jest odpowiedzialny za całość operacji MAC na lotnisku. Został jednak zignorowany, gdyż radio w furgonetce ożyło i podpułkownik dopadł go pośpiesznie. Po krótkiej wymianie zdań odłożył mikrofon i bez słowa wskazał na zachód: na wysokości czterystu stóp, z szybkością trzystu węzłów podchodził do lądowania C-5B.

- Co tu się dzieje?! - wrzasnął Walters, czerwony jak piwnia. - MAC nie zezwala na takie lądowania! Już ja dopilnuję, żeby dupa tego pilota nigdy więcej...

- Panie pułkowniku - przerwał mu Matt, tłumiąc śmiech - obrona przeciwlotnicza tego lotniska, podobnie jak i pozostałych w Izraelu, ma wolną rękę w ostrzeliwaniu wybranych celów.

- Pewnie, że mają, bo za broń płacą Stany...

- To nie o to chodzi! Wolna ręka oznacza, że mogą zestrzelić każdą maszynę, która nie jest ponad wszelką wątpliwość zidentyfikowana jako własna, a, jak sądzę, zna pan skuteczność raket Hawk. Pilot musi lecieć ściśle wytyczonym kursem i korytarzem, jaki podają mu z ziemi. Proszę mi wierzyć, taka jest prawda.

- Nie muszę wierzyć w ani jedno cholerne słowo! - warknął Walters i zamilkł, obserwując transportowiec, który położył się we wznoszący skręt w lewo.

Po dotarciu na tysiąc stóp samolot okrążył lotnisko i podszedł do lądowania z tego samego co pierwotnie kierunku, po czym z krótkiego dolotu przyziemił i zaczął kołować w stronę rampy.

- Kapitanie - sapnął Walters, wykazujący wszystkie objawy nagłego ataku furii - to, co pan właśnie widział, łamie wszelkie możliwe regulaminy MAC. Obiecuję, że za to posypią się głowy i stolki!

- Dla mnie wyglądało to na całkiem dobry pokaz pilotażu.

Poza tym proponuję, aby najpierw porozmawiał pan z pilotem: jak już mówiłem, nie miał on wyboru.

Walters spojrział na Matta z politowaniem i pognał komen-derować rozładunkiem.

- Jak się nie będzie oszczędzał, to dostanie wylewu - podsumował Furry.

Transportowiec podkołował tymczasem do rampy i nie wyłączając silników siadł na podwoziu; otworzywszy podwozie i tylne drzwi załadunkowe, wypuścił ze swego wnętrza kolejno: dziesięć Hummerów z przeciwpancernymi pociskami TOW na dachach, transporter opancerzony M2 Bradley i niskopodwoziową platformę wyładowaną stertą skrzyń.

- Ten ma możliwości - mruknął z uznaniem Furry - na tej platformie, jak znam życie, są Stingery i TOW-y.

Walters przyklusował do nich i oznajmił:

- Złapcie tego podpułkownika, niech każe wyłączyć silniki. Załoga twierdzi, że mają w obsłudze Kod 2, i nie pozwolę im startować, dopóki to nie zostanie naprawione.

- Ale samolot jest zdolny do lotu? - Matt spróbował przekrzyczeć silniki, wiedząc, że Kod 2 oznacza drobną awarię.

- Gównu mnie to obchodzi! Nie wypuszczę niesprawnego samolotu, złapcie tego faceta przez radio, niech wyłączy silniki.

Drzwi załadunkowe C-5 zamknęły się tymczasem, a silniki zmieniły ton. Maszyna podniosła się na podwoziu i spokojnie wykołowała w kierunku pasa startowego.

- Pułkowniku Walters, tu jest strefa wojenna będąca w zasięgu taktycznych pocisków raketowych. Najbezpieczniejszym miejscem dla pańskich transportowców jest powietrze nad Morzem Śródziemnym o sto mil stąd.

- Kapitanie, przeszkadza mi pan - warknął Walters. - Tu trzeba wprowadzić porządek, i to już!

C-5 tymczasem spokojnie wykołował na pas, sprawdził silniki i wystartował. Był na ziemi niespełna kwadrans. Waltersowi odjęło mowę. Odwrócił się w kierunku rampy i prawie go sparaliżowało: furgonetka szefa rozładunku właśnie odjeżdżała w ślad za Bradleyem, zamykającym kolumnę znikającego za bramą sprzętu. Na wręcz wzorowo wyczyszczonej rampie pozostało czterech mężczyzn i paleta z narzędziami i częściami

zamiennymi do F-15 Eagle. Pułkownik dłuższą chwilę spoglądał na przemian to na odlatujący samolot, to na pustą rampę, próbując zrozumieć, co się stało z jego szczegółowo zaplanowaną i zorganizowaną operacją.

- Tam toczy się wojna - wskazując na północ, spróbował mu to wyjaśnić Furry, choć bez wiary w skuteczność swoich wysiłków - o mniej niż sto kilometrów stąd pochłaniając ludzi i sprzęt w tempie trudnym do uwierzenia. Sytuacja jest prosta: wygra ta strona, która szybciej będzie w stanie uzupełnić straty. Izraelczycy doskonale to rozumieją i nie mają czasu na jakiegokolwiek bzdurne regulaminy czy przerzucanie się papierkami.

- Amb - przerwał mu Matt, wskazując czterech podoficerów tkwiących przy palecie z częściami - to chyba nasza brygada remontowa. Weź ich do bazy i dopilnuj, żeby naprawili ptaka. Ja uzgodnię resztę w ambasadzie.

- Z dziką radością - ucieszył się Furry. - Zobaczymy, co tu byłby jeszcze wymyślili w sprawie taktyki walki powietrznej. Tylko nie szalej, Matt. Zasada Numer Dwanaście głosi: „Wiedz, kiedy trzeba pryskać”, a już najwyższy czas, by ją zastosować.

Matt skinął głową i wsiadł do wozu, zostawiając na pustej rampie załamanego pułkownika Waltersa.

Dopiero po półgodzinie Matt zdołał znaleźć sprawny telefon i uzyskać połączenie z Goldem, przebywającym w ambasadzie w Jerozolimie. Reakcją na raport z operacji MAC był wybuch serdecznego śmiechu.

- Pewnie, że znam „Rykoszeta” Waltersa - stwierdził Gold, skończywszy rechotać do słuchawki. - I nie dziwi mnie, że go tu przysłano: na papierze wygląda doskonale. Zaraz się zajmę zastępstwem: MAC ma masę pułkowników wiedzących, co to znaczy operacja w strefie wojennej. Teraz kolejna sprawa: mamy podpułkownika wojsk lądowych jako obserwatora w Hajfie. Izraelczycy poprosili, by zjawił się on na wzgórzach Golan, gdzie lada chwila zaczną się walki. Chcę, żeby pan go zastąpił, wprowadzi pana w detale, jak tylko się spotkacie.

Matt zapisał adres i wskazówki, jak doń dotrzeć, i odłożył słuchawkę.

Wytyczne Golda zaprowadziły Matta prosto do sfrustrowanego pułkownika US Army, siedzącego na wysuniętym stanowisku dowodzenia sztabu Okręgu Północnego IDF. Oficer siedział w namiocie służącym za meszę, pogrążony w całkowitej beczynności. Zdumionemu pilotowi wyjaśnił, że jest trzymany na tak krótkiej smyczy, że prawdopodobnie więcej by się dowiedział o przebiegu działań wojennych z prasy niż z tego, co tu robił.

- To najbliższa syryjska pozycja, na jaką cię wypuszczą - ostrzegł Matta i zniknął, mając nadzieję na więcej akcji na wzgórzach Golan.

W ciągu paru minut Matt zorientował się, że nikt tu nie ma dla niego czasu, ale też nikt go nigdzie nie puści. Przyglądając się czerwonemu poblaskowi salw artyleryjskich rozjaśniających mrok nocy i nasłuchując odległego huku armat, doszedł do wniosku, że skoro tak się sprzeciwiają jego jeździe w przód, to pojedzie do tyłu.

Kwadrans później był na przedmieściu Hajfy, kierując się ku mieszkaniu Tamirów.

Mieszkanie pełne było dzieci i babć (w liczbie czterech), wyglądających na solidnie przygłuszone tym przedszkolem. Jedna z nich mówiła płynnie po angielsku, toteż wyjaśniła zaskoczonemu Mattowi, że są ewakuowanymi z kibucu w dolinie Huleh, leżącej u podnóży wzgórz Golan, i zapewniła, że na otwartym terenie dzieciaki zazwyczaj nie są tak męczące. W trakcie owego tłumaczenia skutecznie przekonała jakiegoś czterolatka, że poręcz balkonu nie nadaje się do chodzenia, w efekcie czego maluch nie bardzo mógł usiąść i podniósł jeszcze większy ryk. Matt przypomniał sobie opowieść Aviego o śmierci żony i połączył fakty, dzięki czemu pojął nalot nieletniej szarańczy na mieszkanie. Natomiast pytanie o Shoshanę spotkało się z głuchym milczeniem. Ponieważ niełatwo się zniechęcał, zdołał w końcu wydusić z rozmówczyni radę, żeby spróbował w szpitalu; w którym jednak - tego już nie był w stanie z niej wydrzeć.

Gdy chłopak wyszedł, stara kobieta wybrała numer telefonu i powiedziała, co następuje:

- Tu Lillian, młody Amerykanin właśnie wyszedł... Tak, wie, gdzie szukać... Nie, nie jestem głupia, nie ułatwiłam mu życia...

Po czym odłożyła z trzaskiem słuchawkę, mając nadzieję, że Ganef od tego ogłuchnie.

Tara wiedziała, co jest grane, gdy tylko weszła do salonu. Skuleni w kącie i gorączkowo szepczący sekretarze mogli oznaczać tylko jedno: B.J. Allison miała jeden z niezwykle rzadkich, ale morderczych napadów wściekłości. Jeśli należało się do jej podwładnych, najlepiej było wówczas nie pokazywać się jej na oczy. Nie chcąc narażać żadnego z nich na utratę posady, sama wpuściła się do gabinetu ciotecznej prababki.

- Chyba nieco rozerwałaś swój personel - stwierdziła, siadając wygodnie. - Chciałabyś porozmawiać o naszym wspólnym znajomym nazwiskiem Fraser?

- Fraser - prychnęła Allison - nie jest problemem. Problemem jest ten głupi Polaczek Pontowski. Czy wiesz, co on zrobił?! Kongres zamierza dać mu prawo wprowadzenia krajowej polityki energetycznej, czyli oddać mu nasze dochody.

Aż ją podniosło z fotela na samą myśl o tym. Tara siedziała w milczeniu, wiedząc, że napady są tyle gwałtowne, co krótkotrwałe. B.J. zwykła odzyskiwać panowanie nad sobą w ciągu kilku minut.

- Pomyślałby kto, że to my jesteśmy wrogiem, a nie... - B.J. w ostatniej chwili ugryzła się w język, by nie rzec „Żydzi”, bo nie chciała, żeby Tara odniosła wrażenie, iż ma do czynienia z bigotką. - I jakby jeszcze tego było mało, to zaczął zaopatrywać Izrael w broń! Wiesz, że jego wnuk jest w Izraelu? Pojęcia nie masz, jak mnie denerwuje fakt, że Żydzi mają w kieszeni prezydenta USA. Jeśli Pontowski nie będzie się zajmował prawdziwymi problemami naszego kraju, to nie ma innej rady, tylko trzeba się go pozbyć!

- Wkrótce powinienam się dowiedzieć, jak twoje pieniądze dotarły do Pontowskiego. Oprócz Frasera jest jeszcze jeden pośrednik, którego nazwiska niestety na razie nie znam.

- Dobrze się składa. - Allison usiadła, już znacznie spokojniejsza, i zamówiła przez intercom herbatę. - Fraser traci

zainteresowanie sprawą, co jest zrozumiałe przy wieściach z Bliskiego Wschodu. Musimy im dać konkrety, albo temat się wypali.

Rozległo się pukanie do drzwi i w progu pojawił się nieco jeszcze wystraszony sekretarz z informacją, że dzwoni właśnie pewien kongresman, który chciałby się spotkać z B.J.

- Czy to nie ten miły Żydek, który...? - spytała z uśmiechem Allison, patrząc wyczekująco na Tarę.

- Ten - przytaknęła zapytana - z lobby izraelskiego. Fraser twierdzi, że jest strasznie nieszczęśliwy z powodu postępowania Pontowskiego.

Gospodyni w lot zwietrzyła okazję - powody, dla których młodzian nie lubił prezydenta, były zupełnie nieistotne, już sam fakt, że chciał porozmawiać, dowodził, że nie wszystko jest w porządku między lobby a Pontowskim.

- Czyżby coś wiedział o nieprawościach naszego prezydenta? - zastanowiła się głośno B.J.

- Być może. Choć, ciociu, lepiej bądź ostrożna: prawdopodobnie podejrzewa, że to ty nakręciłaś prasę, lub wręcz zna źródło tych pieniędzy. Jak dobrze ukryłaś ślady?

- Moja droga, ja nigdy nie popełniam błędów - uśmiechnęła się Allison. - Cóż, wolałabym się z nim nie spotykać, ale może ty nie miałabyś nic przeciwko nawiązaniu.... hm... znajomości?

- Ależ ciociu! On jest...

- Wiem, ale...

- Cóż, skoro to konieczne...

Obie wymieniły uśmiechy, rozumiejąc się doskonale.

- Jest dosyć przystojny - dodała Allison.

Recepjonistka w szpitalu powiedziała Mattowi, żeby pogadał z kierowcami ambulansów, parkujących z tyłu przy ustawionych przez wojsko namiotach. Próba przebicia się przez szpital spełzła na niczym: korytarze zatłoczone były rannymi żołnierzami i cywilami. Jedna z sal, do których zdołał dotrzeć, rola się od rannych dzieci, co dokładnie go zaskoczyło: nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że w czasie działań wojennych dzieci też mogą zostać ranne i że uratowanie przez niego

uwięzionej w piwnicy dziewczynki było wyjątkiem, a nie regułą. Znużona pielęgniarka kazała mu albo pomóc, albo wynosić się do diabła.

- Wkrótce będzie ich więcej - wyjaśniła. - Ofra na Zachodnim Brzegu została ostrzelana rakietami... Syryjczycy ostrzelują osady na Zachodnim Brzegu, nie wiem dlaczego. Ambulanse powinny tu być lada chwila.

Nie było się co zastanawiać, toteż Matt poszedł z pielęgniarką, gdy dotarła wiadomość o przyjeździe pierwszego ambulansu.

Wóz podjechał pod namiot, w którym była izba przyjęć. Na pierwszych noszach leżał dzieciak pięcio- lub sześćioletni, ale tak spalony, że Matt nie zdołał stwierdzić, czy był to chłopiec czy dziewczynka. Ogarnął go potworny smród spalonego ciała i środków dezynfekcyjnych, unieruchamiając go na dłuższą chwilę.

- Rusz się, do diabła! - Warknięcie pielęgniarki obudziło go z odrętwienia: pomógł dziewczynie wnieść nosze do namiotu, gdzie czekali lekarze.

Szybko stracił rachubę, sam już nie wiedział, ile ambulansów rozładowano, i wkrótce dźwigał nosze do pobliskich domów i biur, gdyż w namiotach, nie mówiąc już o budynku szpitalnym, brakowało miejsca. Podjechał kolejny ambulans, rozładowując kolejny transport nieletnich biedactw. Na ostatnich noszach był trup z odstrzeloną dolną szczęką.

- Zanieś ją do kostnicy. Nosze będą potrzebne, więc przynieś je z powrotem - polecił mu znajomy głos.

Shoshana.

- Co tam się stało? - Matt nadal nie mógł przyjść do siebie.

- Bezpośrednie trafienie w szkolny schron - wyjaśniła. - Prawdopodobnie Scud, nie da się ich wszystkich przechwycić. Nie myśl o tym, po prostu rób coś... cokolwiek. To pomaga.

Ona też przeszła przez piekło i dała mu jedyną radę, jaką sama znalazła i zdołała zastosować.

Delikatnie wziął martwe dziecko na ręce i powiedział na poły prosząco, na poły rozkazująco:

- Nigdzie nie odchodź; zaraz będę z powrotem.

Zmęczona, usiadła na podłodze w otwartych drzwiach karetki i oparła głowę o burtę wozu. Matt wrócił dokładnie po czterech minutach, nadal jeszcze wstrząśnięty, i usiadł obok.

- Miałem szczęście, że cię znalazłem - szepnął cicho.
- Wiem - odparła i umilkła.

Spojrzał na nią zaskoczony - w jednej chwili zasnęła, oparta o burtę furgonetki. Poszukał w ambulansie koca, ostrożnie ułożył dziewczynę na podłodze, przykrył ją, usiadł obok i delikatnie podniósł jej głowę, piastując ją na swoich kolanach.

Tamir! - Głośny okrzyk przywołał Matta do przytomności.

Stwierdził, że zdrzemnął się przy śpiącej Shoshanie, na której nawet własne nazwisko nie wywarło żadnego wrażenia: ani drgnęła.

- Tutaj! - odkrzyknął znacznie ciszej.

Z mroku wyłoniła się młoda kobieta w nieznanym mu uniformie.

- Jest potrzebna - wyjaśniła. - Tym razem na północy.
- Jest wykończona - zaprotestował Matt.
- Obudź ją. Wszyscy jesteście wykończeni.
- Nie śpię - wtrąciła Shoshana. - Gdzie?

Nowo przybyła wyjęła z mapnika mapę i obie zajęły się jej studiowaniem.

- Syryjczycy kontratakują wzdłuż wybrzeża, spychając naszych. Są ciężkie straty, więc nie masz na co czekać.

Shoshana bez słowa wspięła się za kierownicę, a jej partnerka, ciemnowłosa i szczupła nauczycielka z Hajfy w wieku trzydziestu sześciu lat, uruchomiła silnik kijem specjalnie wozonym w tym celu.

Matt z niedowierzaniem potrząsnął głową, wspiął się do środka i zamknął tylne drzwi: taka podróż to był niezły sposób, żeby zobaczyć front.

Zbliżamy się - oznajmiła Shoshana. - Ale nie budź jeszcze Hanni: ostatnim razem ona prowadziła niemal całą drogę.

Jej partnerka przeszła na tył karetki, gdy Matt przejął kierownicę, i natychmiast zasnęła. Shoshana, znając drogę, pilotowała, a pierwszy brzask poranka rozjaśniały na horyzoncie błyski armatnich wystrzałów, po których słychać było głuchy huk dział.

- Czegoś tu nie rozumiem - przyznał Matt. - Dlaczego te

wszystkie dzieciaki nadal były w Ofrze? Powinny zostać dawno ewakuowane, jak te, które widziałem u was w mieszkaniu.

- Rząd próbował to zrobić - odparła po chwili - ale tamtejsi osiedleńcy nie chcieli się ruszyć. Obawiają się, że jak odejdą, rząd nie będzie bronił ich domów, tylko każe wojskom wycofać się na lepsze pozycje obronne. Nie ruszając się, zmusili władzę, by broniła ich osiedli.

- Durnota!

- Nie dla nich. Nie rozumiesz? Oni osiedlili się po zajęciu Zachodniego Brzegu w wyniku wojny w sześćdziesiątym siódmym roku. Każda z tych osad jest nielegalna.

- A to dlaczego? - zdziwił się Matt.

- Bo podpisaliśmy Konwencję Genewską w Sprawie Terytoriów Okupowanych, w której zakazane jest osiedlanie się na tych terenach.

- Ależ to trwa od dwudziestu pięciu lat! - osłupiał Matt.

- Rząd ich do tego zachęcał i zachęca.

- Durnota! - powtórzył.

- Nie dla nich - obstawała przy swoim Shoshana. Znaczna część mieszkańców jest przekonana, że Palestyna należy do Izraela.

- A co ty o tym sądzisz? - spytał niespodziewanie.

- Ja chcę tylko, żeby skończyli się bić - odpowiedziała, zbyt zmęczona, by wdawać się w dalszą dyskusję.

Przed samochodem zamajaczył jakiś ciemny kształt, toteż Matt czym prędzej nadusił na hamulec, jednocześnie ostro skręcając w bok. Zatrzymali się o metr od wypalonego wraku Merkavy blokującego drogę.

- Jezusie! - jęknął Matt. - Prawie w niego wjechałem.

Ostrożnie się cofnął i objechał spalony czołg.

- Ktoś leży na drodze - stwierdził hamując. - Lepiej sprawdzimy, czy żyje.

- Nie! - Zanim zdążyła dokończyć, wyskoczył z szoferki.

Shoshana nie śpieszyła się, wiedząc już z doświadczenia, co Matt znajdzie. Gdy się zbliżyła, znieruchomiał, pochylony nad spalonym ciałem izraelskiego czołgisty, leżącym na plecach z wyciągniętymi przed siebie ramionami.

- Jasna kurwa! - szepnęła, słysząc jej kroki.

- Pułkownik - stwierdziła, sprawdzając nieśmiertelnik zawieszony na łańcuszku okalającym szyję zabitego. - Prawdopodobnie dowódca brygady zaatakowany przy zmianie punktu dowodzenia.

- Jak to się stało?

- A skąd do cholery mam wiedzieć? - warknęła, odciągając go do ambulansu. - Mamy pracę do zrobienia, a dotyczy ona żywych, nie martwych!

Trzy kilometry dalej, przy niskim budynku, dostrzegli pięć karetek. Podjechali w pobliże, a obudzona Hanni poszła na zwiady. Wróciła po chwili z informacją:

- Jesteśmy na miejscu, ale chwilowo nie ma nikogo do ewakuacji. Czekają, aż wrócą wozy wysłane na pierwszą linię.

- Dlaczego nie używacie do tego helikopterów? - zdziwił się Matt.

- Używamy, kiedy się da - odparła Shoshana - ale po pierwsze jest ich za mało, po drugie łatwiej je zniszczyć niż transporter opancerzony, a Arabowie nie respektują Czerwonego Krzyża.

Matt zjrzał do wnętrza budynku i ze zdumieniem stwierdził, że jest tam sporo siedzących czy leżących rannych. W sąsiednim pokoju było jeszcze więcej poszkodowanych, a ich stan wyglądał na poważny.

- Co jest, do kurwy nędzy? - wybuchnął, czując, jak ogarnia go złość.

- Jankes? - spytał lekarz dający jednemu z rannych zastrzyk.

- Tak. Właśnie tu dotarłem z karetką i jakiś idiota powiedział, że nie ma nikogo do transportu. To co ci biedacy tu robią?

- Tym tutaj nikt już nie zdoła pomóc, można im tylko ulżyć w bólu - poinformował go spokojnie lekarz.

- A tamci? - Matt wskazał na pomieszczenie pełne lżej rannych.

- Odjadą za parę godzin.

- A dlaczego nie możemy ich zabrać od razu?!

- Odjadą do jednostek - wyjaśnił cierpliwie lekarz - mogą walczyć, a są niezbędni na linii.

Matt oniemiał.

Wyszedł po chwili, oszołomiony tym, co usłyszał, i natknął się na czekającą nań Hanni.

- Musisz wracać - oznajmiła. - Shoshana znalazła opuszczony M113 i udało jej się go uruchomić. Ma oznaczenia ambulansu, choć to niewiele daje. Jedziemy na front po rannych.

- Dlaczego sama mi tego nie powie?

- Nie może. - Hanni potrząsnęła głową. - Matt, ona chciałaby być z tobą ale...

- Dobra już, jadę z wami - zdecydował i pomimo protestów wgramolił się do pudła transportera.

Prowadziła Shoshana, ubrana tak jak pozostali w kamizelkę kuloodporną i helm, a o celowości tego zabezpieczenia świadczyły kule rykoszetujące od burt, na których wymalowano czerwone krzyże. Wewnątrz stalowego pudła rykoszety brzmiały ogłuszająco, a maszyną szarpało na wykrotach. Po kolejnym, znacznie silniejszym niż poprzedni wstrząsie Shoshana poleciała:

- Wysiadać! Syryjskie czołgi!

Matt z ulgą wyskoczył ze stalowego pudła, które Shoshana ukryła w suchym korycie strumienia, leżącym dwa i pół metra poniżej poziomu okolicy - nareszcie coś widział i słyszał. Znad krawędzi dobiegał charakterystyczny klekot gąsienic dochodzący z odległości nie większej niż siedemdziesiąt metrów.

Przed nimi z M113 wylądowała się drużyna izraelskiej piechoty z pociskami przeciwpancernymi typu Dragon i przyczyła się na dnie. Jej dowódca wskazał rozcapierzonymi palcami na swoje oczy, potem na Matta, a potem w głąb wadi. Amerykaninowi nie trzeba było powtarzać - pobiegł wzdłuż koryta dobre trzysta metrów, ostrożnie wspiął się na skarpe i delikatnie wysunął głowę ponad brzeg. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że jest tylko jeden czołg plus dziewięciu żołnierzy idących w jego cieniu - po przeciwległej niż wadi burcie o dobre pięćset metrów od niego.

Ponieważ nie znał sygnałów ręcznych używanych przez armię izraelską, wrócił czym prędzej do czekających żołnierzy i zdał dowódcy meldunek z tego, co zobaczył. Ten posłał pięciu ludzi w lewo, a Dragona z obsługą tam, gdzie Matt obserwował

czołg. Gdy oba zespoły były na miejscu, uniósł zwiniętą pięść i gwałtownie ją opuścił. Wysłani na lewo otworzyli ogień do idących obok czołgu, a obsługa wysunęła Dragona nad krawędź wadi i odpałała. Matt nie musiał się wychylać by stwierdzić, że trafili - huk przetoczył się nad okolicą.

- Ostatni pocisk - oznajmił sierżant. - Mieliśmy szczęście.

Huk czołgowego działa nie potwierdzał jego słów. Czym prędzej ruszyli biegiem w kierunku obsługi Dragona.

- Zerwali mu gąsienicę, ale działo ma gnojek w porządku - mruknął podoficer.

Shoshana i Hanni niosły rannego do transportera.

- Lepiej, żeby się stąd wyniosły, dopóki nie będzie wiadomo, ilu się ich jeszcze pojawi - wyjaśnił sierżant i Matt zrozumiał, że w walce na ziemi jest bezradny jak dziecko: nie wiedział, jak się ruszać ani co konkretnie mu grozi.

- Macie działko na transporterze, dlaczego nie spróbować go użyć? - zaproponował.

- Transportery nie zaczepiają czołgów - warknął sierżant, wdrapując się na piaszczysty stok, by rozejrzeć się w sytuacji.

Pocisk zerwał lewą gąsienicę, ale poza tym czołg był sprawny, a karabin maszynowy zamocowany przy armacie omiatał wyjazd z wadi krótkimi seriami. Byli w pułapce.

Matt naturalnie wyglądał obok sierżanta. Nie zauważył żadnego z żołnierzy poprzednio osłaniających czołg, zauważył natomiast coś na wieży - coś, co nie wyglądało właściwie, choć nie bardzo wiedział dlaczego. Wskazał owo coś sierżantowi, który wyjaśnił bez entuzjazmu:

- Właz jest wgnieciony, to wszystko.

Natchnęło to Matta pomysłem: skoro właz był uszkodzony, to może uda się go otworzyć od zewnątrz i wrzucić do środka granat, co przy braku żołnierzy osłony mogło się udać. Podbiegł do transportera po łom, który walając się po podłodze w czasie jazdy nabił mu guza, i wrócił do sierżanta, ignorując dziewczyny opatrujące rannego w połowie drogi między nim a wozami pancernymi.

- Daj mi granat - zażądał, wyglądając nad krawędź wadi.

Czołg przeniósł ogień na transportery, choć jak dotąd tylko karabinowy. Teraz Matt rozumiał, dlaczego - gdy rakietą nie

zniszczyła czołgu - czym prędzej wynieśli się z ich sąsiedztwa: transportery mogły nie zaczepiać czołgów, ale czołgi z przyjemnością zaczepiały transportery.

Wsunął granat do kieszeni kurtki, zebrał resztki odwagi i przerzucił ciało ponad krawędź, ale w tej samej chwili sierżant złapał go z tyłu za kamizelkę, więc Matt stracił równowagę i wyładował na plecach na dnie zagłębienia.

- Czemu chcesz to zrobić? - zdziwił się podoficer, który dopiero teraz połapał się w zamiarach Matta.

- Bo transportery nie zaczepiają czołgów - odpalił zapytany.

- Głupie - ocenił sierżant, pomagając mu wstać i wskazując za siebie.

W ich kierunku zbliżał się Hummer z wyrzutnią TOW.

- Poprosiliśmy o pomoc - wyjaśnił sierżant. - Przez radio, wiesz...

Matt stwierdził ostatecznie, że nie nadaje się do walki lądowej.

Uroczyście przysięgam, że nie będę więcej próbował grać Rambo - oznajmił Matt nadrabiając humorem.

Oparci plecami o karetkę siedzieli we trójkę na podwórzu szpitala w Hajfie, przegryzając coś po szóstym kursie w pobliżu linii frontu. Matt z trudem wierzył, że może być tak zmęczony, jak był, a mimo to jeszcze się ruszać.

- Mam na myśli ten jednoosobowy popis z czołgiem - wyjaśnił.

- Zostałbyś zabity. - W głosie Shoshany zabrzmiała troska, która go szczerze wzruszyła.

- Tamir! - Matt rozpoznał ostry głos dyspozytorki, która sama była bliska fizycznego wycieńczenia. - Jest przerwa w walce i trzeba przywieźć paru rannych... na razie tylko paru.

Dziewczęta zabrały się za sprzątanie, a Matt poprosił dyspozytorkę, by zadzwoniła do ambasady amerykańskiej i poinformowała pułkownika Golda, gdzie on jest.

- Jak długo jeszcze wytrzymacie? - spytał, siadając za kierownicą.

Był na nogach trzydzieści sześć godzin, a wiedział, że ich dyżur trwał już znacznie dłużej.

- Jak długo będziemy musiały - odparła Shoshana.
Hanni już spała zwinięta na noszach.

Droga wyjazdowa z Hajfy na północ wypełniona była nieprzerwanym ciągiem pojazdów, poruszających się w uporządkowany sposób ze stałą prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Matt wcisnął się między ciężarówkę i świeżo wyremontowany M60, którym dowodziła kobieta, stojąca w otwartym włązie. Jeśli na pierwszą linię jako dowódcy czołgów szły kobiety, to sytuacja musiała być faktycznie rozpacзлиwa. Chciał o tym powiedzieć Shoshanie, ale zdążyła już zasnąć, więc tylko popatrzył na nią z czułością i skoncentrował się na prowadzeniu wozu. Od czasu do czasu z przeciwka mijaly ich karetki lub ciężarówki wiozące rannych, z których każdy miał broń i stare wybrudzone opatrunki oprócz nowych bandaży - byli to lekko ranni, którzy wróciwszy do walki oberwali powtórnie.

Minęli miejsce, w którym Matt omal nie wpadł na spalony czołg - teraz już przetransportowany na pobocze, gdzie uwijali się przy nim mechanicy. Obok leżało sześć worków na zwłoki - pełnych worków. Wtedy do Matta dotarło, że robi dokładnie to, na co liczył Gold - zbiera faktyczne dane wywiadowcze o sytuacji Izraela.

W górze przemknęła para F-4 na patrolu, tworząc fragment parasola ochronnego drogi. Po raz pierwszy od wielu godzin milczała artyleria - była trzecia czterdzieści i najwyraźniej obie strony potrzebowały dłuższej przerwy na uzupełnienie i przegrupowanie. Izrael gonił resztkami sił, ale oznaczało to również, że Syria ma zdecydowanie dość - skoro natarcie straciło impet, to widocznie jednostki pierwszoliniowe zostały zmasakrowane. Rysowały się szanse na kontratak.

Przy punkcie opatrunkowym ruchem kierował żandarm z typową, czerwoną opaską na rękawie. Nietypowe było to, iż żandarm był płci pięknej i kazał Mattowi jechać dalej na północ.

- Pobudka! - obudził Shoshanę. - Zmiana planów.

Kolejny damski żandarm skierował ich ku terenowi otoczonemu drutem kolczastym.

- Jeńcy - mruknęła dziewczyna, całkiem już przytomnie.

Przy bramie pojedynczy żandarm, tym razem mężczyzna, pilnował leżącej na ziemi pary noszy. Shoshana i Hanni załadowały rannego, żandarm wsiadł wraz z nimi i zamknął drzwi. Shoshana wróciła do szoferki z dziwnie ściągniętą twarzą.

- Nie lubisz wozić rannych jeńców? - spytał Matt.

- Robiliśmy to już.

- Więc o co chodzi?

- Ten jest w irackim mundurze!

Johar Adwan wśliznął się do sali odpraw; usiadłszy z tyłu przy samej ścianie, rozejrzał się ostrożnie wokół - na szczęście obecni byli tylko zwykli piloci, czyli tacy, którzy jak on byli nikim. Mosul, podobnie jak każda iracka baza lotnicza, miał swoją dawkę takich pilotów: bez znajomości czy pochodzenia byli oni i na zawsze pozostaną nikim. Johar miał dwadzieścia dziewięć lat i pogodził się z tym, że w hierarchii jednostki jest na szarym końcu. Był porucznikiem bez szans na awans powyżej kapitana, a fakt, że nad nim znajdowali się ludzie o mniejszych kwalifikacjach, to rzecz całkiem naturalna, takie już było życie irackiego pilota, który był nikim. Życie to miało jednak i swoje dobre strony: latał na najnowszym typie myśliwca, jaki posiadał Irak - sowieckiej produkcji Su-27, zwanym w kodzie NATO Flanker. Ale Johar wołał inną nazwę - tę, którą nadali maszynie sowieccy piloci od nazwiska Wiktora Pugaczewa, jednego z konstruktorów i głównego oblatywacza maszyny: „Kobra Pugaczewa”.

Do sali wśliznął się kolejny pilot: kolejny nikt - Samir Hamshari, o rok młodszy przyjaciel łysiejącego Johara.

- Dziś nici z prób - szepnął, siadając obok.

Obaj byli tolerowani, choć uważano ich w jednostce za lekkich narwańców - ślęczeli nad udostępnionymi przez sowiecki wywiad danymi o zachodniej technice walk powietrznych i egzemplarzami „Fighter Weapons Review”, jakie Rosjanie rąbnęli US Air Force i przesłali Irakowi. O tym wiedzieli wszyscy, nikt natomiast nawet nie podejrzewał, że obaj piloci ćwiczą zupełnie inne style walki niż oficjalnie przyjęte. Z uwagi na zainteresowanie amerykańską taktyką nazywano ich z kpina Joe i Sam.

Praktykowali nową taktykę, gdy tylko mogli, starając się o

maksymalne zachowanie tajemnicy: trenowali zawsze z wyłączonymi IFF i tylko na wysokości poniżej tysiąca stóp, by nie znaleźć się na ekranach radarów.

- Dziesięć minut temu przybył z Bagdadu generał Mana - szepnął Samir.

Hussan Mana był dowódcą bazy w Mosulu i, jeśli wierzyć prasie, czołowym pilotem myśliwskim lotnictwa irackiego.

- Jestem pod wrażeniem - mruknął Johar. - Nie myślisz chyba, że jutro poleci?

Mana latał regularnie raz na miesiąc, niezależnie od tego, czy było to komuś do czegoś potrzebne, czy nie.

- Słyszałeś ostatnie wieści? - spytał po chwili Johar.

- Że lecimy do Syrii?

- Że młodszy brat Many został zabity przez agentkę Mossadu. Podobno piękną.

- Mana interesujący się kobietami? - uśmiechnął się złośliwie Samir. - Myślałem, że w ich rodzinie prokreacja stanowi wyłącznie uciążliwy obowiązek..

W drzwiach zjawił się młodzieniaszek z dystynkcjami podpułkownika i oznajmił:

- Dowódca wkrótce przybędzie. Proszę zająć miejsca.

Piloci ustawili się w dwa szeregi, prowadzące od drzwi do środka sali, gdzie była mównica, uszeregowani według stopni: niższe rangi najbliżej drzwi, czyli Johar i Samir jako pierwsi. Młodzieniaszek sprawdził, jak stoją, i wydał komendę „baczność”. Wszyscy znieruchomieli.

Dobre pięć minut później do sali wkroczył generał Hussan Mana w nieskazitelnie skrojonym, galowym mundurze, porbrzękując medalami. Każdy mijany przez niego pilot strzelał obcasami i skłaniał głowę w krótkim ukłonie. Mana nie zauważał poruczników, kapitanów i majorów; istnienie podpułkowników kwitował spojrzeniem, a kiwnął głową jedynie czterem pułkownikom stojącym na końcu.

- Myślisz, że oni mają własne kombinezony? - spytał półgębkiem Samir, mając na myśli pułkowników i generała.

- Tak głosi plotka.

Mana tymczasem przyjrzał się wyprężonemu dwuszeregowi i oznajmił uroczyście:

- Jest dla mnie zaszczytem poinformować was, że weźmiemy udział w bitwie ze zniechęconym wrogiem. Wkrótce będziemy mieli okazję pokazać światu, że ich lotnictwo składa się z półkwi małych barbarzyńskiego pochodzenia, bezprawnie zwanych się pilotami. - Generał uśmiechnął się kwaśno. - Osobiście poprowadzę was do bitwy i udowodnię, że nasze Su-27 są lepsze od amerykańskich F-15 i F-16, dzięki którym wróg dominuje na razie nad naszymi syryjskimi sprzymierzeńcami. Zaatakujemy wypróbowaną formacją „etażerki”, którą poprowadzę. Miejsca pilotów zgodnie z hierarchią.

„Etażerka” była nazwą przejętą od lotników sowieckich, w NATO nazywano taką formację „namiar na pierwszego”. Była doskonała do dokładnej kontroli radarowej, ale uniemożliwiała pilotom jakkolwiek inicjatywę, której zresztą nikt ich nie uczył. Każdy następny samolot trzymał się sztywno dwie mile za i o pół mili powyżej ogona maszyny lecącej przed nim i powtarzał wszystkie manewry poprzednika.

- Zwycięstwo należy do nas! - oznajmił Mana. - *Itbach al-yahud!*

To ostatnie znaczyło: „Śmierć Żydom!” i było w Iraku bardzo popularnym hasłem. Generał wymaszerował z sali, a piloci mogli się wreszcie przestać prężyć niczym rekruci na paradzie.

Owego popołudnia Irak miał dziewięciuset czterech pilotów zdolnych latać na odrzutowych myśliwcach. Dwaj z nich nosili przyzwiska Joe i Sam.

Kierując się wskazówkami żandarma, Matt skręcił pod budynek sztabu w Acre, gdzie oczekiwali ich lekarz i tłumacz. Doktor wspinał się do wnętrza karetki i zajął się badaniem jeńca przy pomocy tłumacza, który w pewnym momencie oznajmił:

- Mówi, że jest z Drugiej Dywizji Pancерnej.

Żandarm i lekarz wymienili niezbyt pewne siebie spojrzenia.

- Nadaje się do przesłuchania - stwierdził w końcu lekarz i wyszedł.

Czas i droga zlewały się Mattowi w jedno w miarę kursowania pomiędzy frontem a szpitalem. Od rannych dowiedział

się o przygotowywanym kontrataku, a potem o wycofaniu się na pozycje wyjściowe. Z relacji różnych osób stworzył sobie wcale zgodny z rzeczywistością obraz terenów, na których toczyły się najciekawsze walki. Co prawda jedni twierdzili, że bito się o wzgórze, inni, że o grzbiet. Jednak wszyscy byli zgodni co do tego, że wypukłość owa leżała w pobliżu północnej granicy i panowała nad nadbrzeżną równiną, na której miało się rozwinąć syryjskie natarcie. Jeśli Izraelczycy straciliby to wzniesienie, droga do Hajfy stałaby otworem.

Działania ustały, gdy obie strony wyczerpały pierwszolinowe zapasy czołgów, paliwa i amunicji. A potem do Matta zaczęły docierać informacje o niewielkim oddziale pancernozmotoryzowanym zwanym Levy Force, który wpiery zdobył ów grzbiet, a potem utrzymał go mimo wielokrotnych ataków.

Był wczesny ranek, gdy ambulans dotarł do szpitala z ostatnim ładunkiem rannych. Przy rozładunku Hanni zemdląła i Matt zaniósł ją na ocieniony skrawek wolnej przestrzeni, nie mogąc się nadziwić, jak jest w rzeczywistości drobna: obszerny kombinezon starannie maskował jej figurę. Przykrył dziewczynę kocem.

Gdy wrócił do karetki, Gold powitał go radosnym:

- Dostałem pańską wiadomość!

Matt usiadł, a raczej klapnął na ziemię i sięgnął po plastikową butelkę z zimną wodą. Wytrąbił wszystko co do kropli i poczuł się na tyle przytomny, że powoli zaczął relacjonować to, co widział i o czym słyszał.

Gold słuchał nie przerywając mu, za to notując jak zawodowa sekretarka. Gdy Matt skończył, pułkownik zadał mu serię pytań, po czym zamyślił się i stwierdził:

- Dostałem rozkaz, by osobiście pana odszukać i jak najszybciej odesłać z Izraela. Północ to jedyny obszar, gdzie udało im się zatrzymać wojska syryjskie. Trzecia Armia zepchnęła ich na skraj wzgórz Golan i zajęła górę Hermon. W Jordanii jest jeszcze gorzej, Jerozolima jest wręcz pod ostrzałem artyleryjskim.

- A Egipt?

- Bez zmian. Izrael zresztą nie wycofał z Synaju żadnej

jednostki; gdyby mógł to zrobić, Syryjczycy wracaliby do domu ze skopanymi dupami, ażby się kurzyło.

- Skoro Irak włączył się do walki, Egipt też zaatakuje - oznajmił Matt ponuro.

- Wiem; dlatego właśnie musi pan stąd wyjechać. Furry twierdzi, że Eagle będzie gotów jutro. Proszę być na lotnisku i jak najszybciej stąd zniknąć. Nie mam czasu bawić się w niańkę, szczególnie po pańskich rewelacjach o Iraku: muszę wrócić do ambasady i przekonać Waszyngton, że sytuacja jest krytyczna, a pan w tej chwili nie nadaje się do niczego, a już na pewno nie do pilotowania F-15. Proszę odpocząć i na własną rękę dotrzeć do Ramon. Jeśli byłyby jakieś kłopoty, to tu jest mój nowy zamiar: przeniosłem się na Lotnisko Ben Guriona.

Gold uściśnął mu dłoń i pognał do samochodu, a Matt powoli się podniósł.

Drzwi otworzyła starsza kobieta, z którą Matt rozmawiał poprzednio; spojrzała na Shoshanę i na wpół wniosła, na wpół zaciągnęła ją do łazienki.

- Do kuchni - rozkazała Mattowi. - Zostaw tam ubranie i umyj się choćby gąbką.

Na rękach wyniosła z łazienki śpiącą w wannie parę brzdąców, a potem napełniła wannę gorącą wodą i rozebrała półprzymotną Shoshanę, która dopiero w kąpeli odzyskała zdolność kojarzenia, gdzie jest i co się dzieje.

- Ciociu Lillian - wymamrotała - to on, Matt.

- Wiem, Shoshe.

- Ciociu Lillian - Shoshana już znowu zasypiała - czy będę kiedyś taka ładna jak ty?

- Jesteś piękniejsza niż ja, Shoshe - odparła Lillian, delikatnie obmywając dziewczynę.

- Powinnaś się moczyć z tydzień - rzuciła na odchodnym, kierując się do kuchni.

Znalazła tam czwórkę rozchichotanych dzieciaków, nie bardzo wiedzących, co mają począć z półnagim Amerykaninem leżącym na środku podłogi. Lillian rozebrała go do kąpielówek i zagoniła dzieciaki do gąbki i mydła. Z większą ochotą niż wiedzą zabrały się do dzieła, a Lillian opróżniła tymczasem starą

sypialnię Shoshany z koczującego tam nieletniego stada, a następnie przeniosła do niej dziewczynę i ułożyła ją w jej własnym łóżku.

Po powrocie do kuchni zakończyła radosną działalność czworga entuzjastów gąbki i przy pomocy najstarszej z grona niewiast przeniosła Matta do sypialni, gdzie złożyły go bez ceregieli w łóżku, obok Shoshany.

- Marna noc poślubna - mruknęła Lillian do siebie, zamykając drzwi, po czym dodała zawzięcie: - Prędszej mnie diabli wezmą, niż zadzwonię do Złodzieja.

Syपालnię wypełniał ciepły blask popołudniowego słońca, a za drzwiami panowała kojąca cisza, gdy Shoshana obudziła się, próbując przypomnieć sobie, co się zdarzyło i jak się tu znalazła. Ostatnie, co pamiętała, to wszechobecny dotyk czystej, ciepłej wody. Przewróciła się na bok i dostrzegła Matta.

- Matt... śpisz?

- Nie.

- Nie, nie całuj mnie tu... nie... nie przestawaj...

- Może byś się na coś zdecydowała?

- Przestań się ze mnie śmiać.

- Kocham cię.

- Wiem. To dobrze... nie... przestań żartować...

- Nie żartuję.

- Ooch... Matt, ja też cię kocham.

Wraz z powrotem Lillian, pilotującej gromadkę nieletnich barbarzyńców, nastąpił niestety kres błęgiego spokoju.

- Myślałaś kiedyś o własnych? - spytał Matt, dotrzymując Shoshanie towarzystwa na balkonie.

- Każda kobieta myśli o dzieciach - odparła z uśmiechem.

- Pobierzmy się - zaproponował. - Zaraz.

Delikatnie dotknęła jego policzka, targana mieszanymi uczuciami: pragnęła uciec od tego obłędu, który ogarnął wszystkich wokół, a zarazem nie mogła tego zrobić pomimo miłości, jaką czuła do Matta.

- Gdybyśmy mogli... Ale w Izraelu to niemożliwe: nie istnieją tu śluby cywilne. Żyd może wziąć ślub tylko u rabina, a prawa

religijne zabraniają ślubów z nie-Żydami. Musielibyśmy wyjechać do innego kraju, a na to nie mamy teraz czasu.

- A więc zrobimy to, jak tylko wojna się skończy - zdecydował. - To nie może tak dłużej trwać.

Przez kilka minut milczeli, zadowoleni, że są razem i że towarzyszy im spokojne, zachodzące słońce.

- Matt, musisz się zbierać: noc to najlepsza pora na podróż. A ja muszę odszukać Hanni.

- Skorzystam z twojego telefonu, by skontaktować się z Goldem - mruknął zrezygnowany. - Może rozkazy się zmieniły albo diabli wiedzą co...

Złapanie Golda zajęło ponad godzinę ciągłego wydzwania, ale okazało się, że przez ten czas sytuacja rzeczywiście uległa zmianie.

- Furry napotkał trudności - poinformował go Gold. - Naprawa potrwa co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Chcę, żeby pan natychmiast pojechał do bazy lotniczej w Ramat David. Oczekują tam pana, więc proszę się pośpieszyć.

Matt odłożył słuchawkę i łobuzersko się uśmiechnął:

- Niech mnie diabli, miałem rację: jadę do Ramat David. Ale wróć. Masz moje słowo, że wróć.

Przy bramie wejściowej czekała na Matta kobieta w średnim wieku ubrana w mundur bez dystynkcji. Gdy podjechał, wsiadła i przyjrzała mu się podejrzliwie. - Musisz być kimś ważnym - stwierdziła i zajęła się pilotowaniem wozu przez betonowy labirynt przejść i punktów kontrolnych jednego z najsilniej strzeżonych obiektów w całym Izraelu. - Jesteś pierwszym cudzoziemcem, jaki się tu kiedykolwiek znalazł. Sam Ben David wydał zezwolenie na twój pobyt. Chcą, abyś obserwował nalot.

Ton jej głosu jednoznacznie sugerował, co ona sama o tym sądzi, niemniej po dziesięciu minutach wprowadziła Matta przez pancerne drzwi do dużego i pogrążonego w półmroku pomieszczenia, wypełnionego silnym odorem potu i niemytych ciał.

Powitało go parę zmęczonych spojrzeń, ale większość obe-

nych nie zwróciła nań uwagi, skupiona na trzech półkolistych ustawionych rzędach konsol komputerowych, tworzących wycinek koła wokół stanowiska oficera naprowadzającego. Jedną ze ścian zajmowała namalowana na szklanej tafli mapa Izraela i okolic, na którą nanoszono aktualną sytuację w miarę spływu meldunków. Na bocznej ścianie umieszczono trzy duże ekrany komputerowe, na których wyświetlane były siły atakujące obronę przeciwlotniczą kraju i stan tejże obrony. W ostatniej ścianie usytuowane były wnęki ze sprzętem łączności i stanowiska radarów.

Matt skoncentrował się na ekranach komputerowych i po kilku sekundach dotarła do niego wymowa tego, co widzi: Izrael rozpoczął wojnę mając dwadzieścia pięć pierwszoligowych dywizjonów myśliwskich, dysponujących sześćset dwoma samolotami etatu i stu pięćdziesięcioma zapasu. Czteryście trzydzieści sześć z nich zostało zniszczonych. Pozostałe trzysta szesnaście przeformowano w dwadzieścia jednostek o niepełnych stanach: straty wynosiły pięćdziesiąt osiem procent!

- Po wejściu do akcji Iraku mamy przeciwko sobie ponad osiemset myśliwców - poinformowała go przewodniczka. - Oplaciło się im prysnąć do Iranu!

- Czy USA rozpoczęły już dostawy samolotów?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- To właśnie chcieliście mi pokazać.

- Chyba tak. To oraz nalot na ich nową fabrykę gazu koło Kirkuku - dodała, wprowadzając go w szczegóły.

Lotnictwo izraelskie przypuściło dwa symultaniczne ataki na lotniska syryjskie w Shayrat i Tiyas jako osłonę przelotu czterech F-16, których celem były zakłady w Kirkuku. Plan był dobrze skoordynowany i tuż przed przybyciem Matta zaczęto jego realizację. F-16, wraz z powietrznym tankowcem, czekały na pozycji nad Morzem Śródziemnym pomiędzy Syrią a Cyprzem.

Automaty zwiadowcze posłużyły jako przynęta, przenikając głęboko na teren Syrii: gdy syryjskie radary zaczęły je namierzać, Izrael był w stanie ustalić lokalizację radarów i F-4 miały zaatakować je rakietami samosterującymi na źródło emisji. Równocześnie miało się zacząć pełne zagłuszanie ocalałych

radarów łączności radiowej. Gdy oficer naprowadzający bazy Ramon - kierujący całą akcją - uzna, że wróg jest dostatecznie zdezorientowany, da sygnał znajdującym się już w powietrzu Phantomom i rozpocznie się atak na lotniska.

Planujący operację założyli, iż lotnictwo irackie skoncentruje się na tych atakach i zostanie częściowo osłepione zagłuszeniem skierowanym przeciwko Syrii. Do oficera naprowadzającego należało wybranie momentu, w którym F-16 powinny ruszyć do akcji. Na jego sygnał miały zniżyć lot i skierować się przez Syrię prosto do Iraku. Trasa liczyła czterysta mil morskich i nie należała ani do przyjemnych, ani do łatwych.

- Dlaczego nie użyjecie rakiet Jerycho z konwencjonalnymi głowicami? - zdumiał się Matt po zapoznaniu się z całym planem.

- Z dwóch powodów: Irak nie użył dotąd rakiet taktycznych i nie chcemy dawać mu do tego pretekstu; poza tym chwilowo wolimy trzymać je w rezerwie - odparła przewodniczka.

Był też trzeci powód, którego nie podała pilotowi - najważniejszy: rakiety typu Jerycho miały zbyt słabe osiągi, by przy użyciu konwencjonalnych głowic zniszczyć położone w tak wielkiej odległości, wzmocnione, żelbetowe bunkry, w których mieściła się podziemna wytwórnia gazu.

Matt uważnie przyjrzał się kobiecie: to, co usłyszał, miało podwójne znaczenie - Izrael zostawiał w odwodzie rakiety na wypadek konieczności użycia broni nuklearnej; i to był kolejny powód jego tu obecności: przekazanie wiadomości, że nie wahają się przed tym krokiem.

- *Madam* - nagle stał się oficjalny - mogę spytać, jaki pani ma stopień?

- *Aluf mishneh*.

- Chce pani poznać moją opinię, pani pułkownik? - Matt nie dostał odpowiedzi, ale ponieważ jej nie oczekiwał, i tak dodał: - F-16 mają lecieć pięćdziesiąt minut na minimalnym pułapie, a to jest stanowczo za długo. Irak będzie miał czas oprzytomnieć po nalotach na lotniska i ktoś tam po prostu musi się domyślić, o co wam naprawdę chodzi. W Kirkuku mają dywizjon MiG-ów 29, a w Mosulu Su-27. Pomimo nocy piloci F-16 będą musieli wywalczyć sobie drogę do celu, jak i drogę ucieczki.

Powiedziałbym, że mają niewielkie szanse, by dotrzeć do zakładów, i żadne, by stamtąd wrócić.

Wolał nie dodawać, że jest to zadanie dla F-15 Eagle, albowiem Izrael nie miał tych maszyn.

- Sądzę, że przeceniasz Irakijczyków - powiedziała. - A poza tym, jaki mamy wybór?

Matt nie zacytował przez grzeczność, co może spotkać tego, kto nie docenia przeciwnika.

- Piloci mają jaja - przyznał. - Kto nimi dowodzi?

- Major Dave Harkabi.

Zanim Matt zdążył oprzytomnieć po tej nowinie, oficer naprowadzający spojrział na mapę i rzucił w mikrofon:

- *Zanek!*

Cztery F-16 były w połowie drogi do Kirkuku lecąc nisko nad ziemią z szybkością czterystu dwudziestu węzłów. Dave celowo zdecydował się na mniejszą prędkość w pierwszej fazie lotu, by zaoszczędzić paliwo. Dopóki znajdowali się w zasięgu E-2C Hawkeye, zaskoczenie było praktycznie niemożliwe - Hawkeye miał na pokładzie aparaturę radarową, z którą nie mogły się równać żadne z istniejących radarów myśliwskich. Dzięki temu Harkabi mógł skupić uwagę na prześlizgnięciu się przez nieprzyjacielską obronę przeciwlotniczą. Sądząc z całkowitego braku informacji od Hawkeye, ataki na lotniska spełniły swoje zadanie, ogłupiając tak Syryjczyków, jak i Irakijczyków.

Przed sobą dostrzegł koniec warstwy niskich chmur, pod którą dotąd lecieli. Rozlewające się po niebie światło księżycyca było i złe, i dobre: dobre, bo łatwiej znaleźć i zbombardować cel, złe, bo łatwiej zostać zauważonym. Meteo twierdziło, że chmury ciągną się prawie do samego celu, ale jak wiadomo, czarodzieje od pogody nie zawsze mówią prawdę. Sprawdził pozycję i wyszło mu, że są już poza zasięgiem Hawkeye, i po raz pierwszy w swej karierze Harkabi poczuł się niemile osamotniony.

Do celu pozostało dwadzieścia minut drogi, toteż zwiększył szybkość do czterystu osiemdziesięciu węzłów, gdy tylko wyszli spod osłony chmur. Cztery myśliwce oświetlone blaskiem księżycyca rozciągnęły się w powiększony kwadrat.

Johar, poganiany wyciem syren, rzucił się biegiem do stojącego samolotu. W kilka sekund pokonał drabinę przytrzymywaną przez szefa mechaników, opadł na fotel, przypiął się i włączył prawy silnik typu AL-31F. Wzorem amerykańskich pilotów, zawsze zostawiał w kabinie spadochron, gdyż oszczędzało to czasu. Naciągnął kask i włączył lewy silnik. W sąsiedniej maszynie Samir uniósł kciuk na znak gotowości - mogliby śmiało wystartować jako pierwsi, ale ponieważ startowano zgodnie z pozycją w szyku, wystartowali jako ostatni.

Duża liczba celów przed nami, odległość czterdzieści pięć mil. - Skrzydłowy Dave'a przerwał ciszę radiową, co było pierwszym sygnałem aktywności przeciwnika w powietrzu. Na szczęście radary F-16 były znacznie dokładniejsze i nastawione na działanie pulsacyjne, więc niewielkie było prawdopodobieństwo przechwycenia ich transmisji przez urządzenia arabskie z tak dużej odległości.

Jego własny radar wykrył przeciwnika w odległości trzydziestu mil na pułapie sześciu tysięcy stóp. Samolotów było pięć i, co go totalnie zaskoczyło, leciały w formacji „etażerki”. Uaktywnił Sidewindera, gdy na ekranie pojawił się szósty przeciwnik.

- Ilu? - spytał przez radio.

- Sześciu - padła zwięzła odpowiedź bocznego, po której nastąpiły dwa trzaśnięcia, przerwa i znów dwa trzaśnięcia.

Trzaski takie powstawały przy włączeniu mikrofonu i były doskonałą formą łączności - o ile je, oczywiście, wcześniej uzgodniono; tym razem właśnie tak było i oznaczały one, że dwaj pozostali piloci mają takie same odczyty. Harkabi sprawdził odczyt RWR - urządzenie pokazywało wiele aktywnych radarów na godzinie dwunastej. Symbole miały kształt skrzydeł nietoperza, co oznaczało albo MiG-i 29, albo Su-27. Oba typy mogły odpalać rakiety z góry dzięki wykorzystaniu radarów pulsacyjnych eliminujących zakłócenia powstałe w wyniku odbicia fal od ziemi i koncentrowaniu się na obiektach poruszających się z inną niż teren prędkością. System pokładowy ECM, w jaki wyposażone były F-16, powinien sobie z tym dość łatwo poradzić.

- Rozdzielamy się! - polecił przez radio Harkabi, kładąc maszynę w trzydziestostopniowy skręt w lewo.

Jego boczny powtórzył manewr, a druga para wykonała skręt o czterdzieści pięć stopni w prawo. Był to manewr wielokrotnie używany przeciwko syryjskim pilotom i dobrze przećwiczone. Jednocześnie włączyli ECM na zagłuszanie, co osłaniało ich przed radarami wroga. Manewr kończył się atakiem na formację syryjską z dwóch stron, popularnie zwanym „kleszczami”. Atak zaczynał zawsze dowódca odpaleniem Sidewindera, gdy był już na kursie spotkaniowym z wrogiem, i przelecaniem w ślad za nim przez formację arabską. Drugi element robił to samo z przeciwnej strony dwadzieścia sekund później.

Taktyka ta zawsze wywoływała wśród syryjskich pilotów takie zamieszanie, że zanim zdolali zorientować się, co się dzieje, uporządkować szyk i zacząć pogoń, izraelskie maszyny docierały do celu po połączeniu formacji. Jako że ECM zostały specjalnie przestrojone, by działać najskuteczniej przeciwko radarom pulsacyjnym, manewr powinien przynieść takie same wyniki przeciwko Irakijczykom. Przy maksymalnym obniżeniu lotu piloci iraccy musieliby zejść równie nisko, by móc ich zauważyć wzrokowo, bo radary były bezużyteczne, a na to się ze strony Irakijczyków nie zanosilo. W najlepszym wypadku rzucą się na ślepo w pogoń, znając przypuszczalny cel, ale przybędą za późno. W słuchawkach Dave’a rozległ się świergot oznaczający, że Sidewinder złapał namiar. Harkabi wybrał drugi z kolei samolot i odpalił rakietę.

Plan udałby się znakomicie, gdyby nie pewien drobiazg: napastników było nie sześciu, a ośmiu, a ostatnie dwie maszyny nie leciały w szyku, tylko nisko nad ziemią w odległości dwóch tysięcy stóp od siebie...

Gdy Izraelczycy zaatakowali, radio nagle eksplodowało arabskimi krzykami. Johar zobaczył dwa samoloty zmieniające się w kule ognia i włączył mikrofon.

- Zmiana! - polecił.

Był to chwyt, którego pilot nauczył się czytając amerykańskie raporty: on i Samir dostroili radia na nieużywaną częstotliwość i gdy zaczynało się zamieszanie, przechodzili na nią, dzięki czemu mogli się spokojnie porozumiewać.

- W prawo, już! - wykrzyknął Johar i obie maszyny położyły się w dwudziestostopniowy skręt. - Szukamy.

Samoloty zaczęły latać jakby niedokończonymi ósemkami, przecinając wzajemnie swoje kursy. Po chwili piloci zmienili kierunek lotu. Johar był pewien, że Izraelczycy wrócą na swój właściwy kurs, ale na wysokości mniejszej niż trzysta stóp.

Sądząc z zamieszania panującego na ekranach radarów pokładowych, byli zagłuszani przez wyspecjalizowane ECM, toteż nie chcąc zdradzać pozycji, przełączyli rad ny na wyczekiwanie, wyrażając wzrok, by dostrzec przeciwnika w powietrzu, nie na ekranie. Tak jak uzgodnili wcześniej, przełączyli uzbrojenie na rakiety AA-11, bardziej ufając im niż większym, sterowanym radarem AA-10. Z tego, co czytali i ćwiczyli, wynikało, że spotkanie będzie typową walką kołową, a do tego zdecydowanie bardziej nadawały się pociski R-60, w kodzie NATO zwane AA-11 Archer.

Prawdę mówiąc, mieli nikłe nadzieje na znalezienie napastników w nocy bez pomocy naziemnych radarów i na niewielkiej wysokości, ale to ich nie zniechęcało. Była to i tak efektywniejsza próba niż bycie ruchomym celem, do czego sprowadzała się w praktyce rola pozostałych samolotów dowodzonych przez generała Manę.

Kątem oka Johar dostrzegł ruch z prawej. To musiał być przeciwnik, gdyż Samir był z lewej! Równocześnie w słuchawkach usłyszał głos kolegi:

- Dwóch bandytów na drugiej, nisko, atakuję!

Tak jak uzgodnili wcześniej, jako pierwszy atakował ten, który wcześniej dostrzegł przeciwnika. Samir skręcił więc gwałtownie ku F-16, będącym o kilometr od nich. Pomimo blasku księżycy oba Fighting Falconsy były niewiele widoczniejsze niż cienie.

Johar zwiększył wysokość i wykonał skręt o prawie sto osiemdziesiąt stopni, by nie stracić z oczu maszyny Samira, po czym runął w ślad za nim, włączając dopalacze.

Prowadzący F-16 skręcił gwałtownie, kierując się ku nim, a jego boczny odbił w prawo, zanim zrobił to samo, chcąc wziąć oba Su-27 w kleszcze; ale Samir był na to przygotowany: skręcił równocześnie z prowadzącym i przestał martwić się

bocznym, wiedząc, że zadaniem Johara jest zająć go i uniemożliwić dokończenie manewru. Skrzydłowy miał właśnie odpalić Sidewindera, gdy Archer - wystrzelony przez fohara o sekundę wcześniej - eksplodował w dyszy jego F-16. Izraelski pilot nawet nie zauważył irackiego myśliwca.

AWACS Sił Powietrznych USA był o sto pięćdziesiąt mil na północ od miejsca spotkania. Znajdował się w obszarze powietrznym Turcji, i to na wszelki wypadek w bezpiecznej odległości od granicy. Specjalnie skonstruowana wersja E-3A pasażerskiego Boeinga 707 mogła bez zatankowania przebywać w powietrzu przez osiemnaście godzin, a ten niedawno skończył tankowanie z latającej cysterny. Olbrzymia, umocowana nad kadłubem antena obracała się z szybkością sześciu obrotów na minutę, przeczesując obszar o promieniu dwustu pięćdziesięciu mil kompleksowym zespołem radarów i innych czujników.

Wewnątrz operator przy centralnej konsolce przywołał oficera taktycznego, zaniepokojony niecodziennym zamieszaniem na ekranie.

- D sto pięćdziesiąt mil w namiarze sto osiemdziesiąt stopni toczy się niezła walka, *sir*. Wygląda na to, że te cztery Falcony, które śledziliśmy, nadziały się na osiem Flankerów z Mosulu!

- Nagraj to porządnie - polecił oficer, sprawdzając, czy RC-135 nasłuchu radiowego jest na stanowisku i nagrywa łączność obu stron.

Praktycznie rzecz biorąc, z nagrań dokonanych przez oba samoloty można było odtworzyć przebieg walki tak, jakby się było jej naocznyim świadkiem.

Harkabi zorientował się, że jest w kłopotach, gdy dostrzegł drugi Su-27 goniący jego skrzydłowego. Skręcił ostro o sto czterdzieści stopni, a mimo to pierwszy Flanker nadal siedział mu na ogonie. Rosjanie! To muszą być sowieccy piloci, żaden Arab nie jest w stanie tak latać, zdecydował, zrzucając dodatkowe zbiorniki paliwa oraz obie bomby. Instynktownie przeszedł we wznoszenie, z Flankerem nadal wiszącym za ogonem.

- Trafili mnie! - rozbrzmiał w słuchawkach głos bocznego.
- Katapultuję się!

Harkabi znurkował, kładąc maszynę w ostry skręt, i odpalona przed sekundą rakietą przemknęła niegroźnie obok samolotu.

- Przerwać zadanie! Powtarzam: przerwać zadanie! -nadał Dave. - Walczę z dwoma bandytami.

Miał nadzieję, że pozostałe dwie maszyny zdołają bezpiecznie dotrzeć do bazy. Zbyt wiele niespodzianek napotkali w trakcie tego zadania, aby można było liczyć na sukces nalotu. Teraz ważniejsze było ocalenie samolotów i ludzi. Uspokojony nieco, wyrównał na dwustu stopach i skręcił ku Flankerowi.

Joe! - nadał Samir. - Podaj pozycję.

- Na twojej ósmej z tyłu - zatrzeszczał głos w słuchawkach, gdy Samir i izraelski pilot weszli w nożyce zaledwie pięćset stóp nad ziemią. - Odejdź w prawo.

Oba samoloty zwolniły, starając się zająć dogodną pozycję za ogonem przeciwnika. Samir miał odbić sprawiając wrażenie niewyrabiającego manewru, a Johar tymczasem znalazłby się w pozycji dogodnej do strzału i odpalił raketę. Chodziło o to, by nie zgubić przeciwnika i nie pozwolić mu nabrać wysokości - prędzej czy później któryś z nich musiał trafić.

- Kończę - nadał Samir.

- Zaczynam - odparł Johar.

Tak jak oczekiwiał, przeciwnik - widząc Samira przerywającego manewr i kładącego się w ostry skręt w prawo - odbił w lewo i na dopalaczu wyprysnął w górę, starając się przerwać walkę. Johar bez trudu wszedł mu na ogon i nacisnął spust. Archer z prawoskrzydłowej podwieszki z łatwością złapał namiar rozgrzanej użyciem dopalaczy dyszy F-16 i, ignorując flary odpalone przez Harkabiego, wleciał w nią i eksplodował. Sekundę po pierwszej Johar odpalił drugą raketę, ale ta nie miała już celu...

Matt siedział przy stoliku pod tylną ścianą stanowiska dowodzenia bazy lotniczej w Ramat David i był wściekły jak cholera: dla rasowego pilota myśliwskiego jedną z najtrudniejszych rzeczy jest beczynne słuchanie o tym, jak w walce ginie przyjaciel. A Harkabi nie miał szans i nikt nie mógł nic na to

poradzić. Meldunki potwierdzały to co do joty: dwa F-16 nie wróciły, jego skrzydłowy katapultował się, a on walczył z dwoma Su-27, gdy urwała się łączność.

- Czy dość już widziałeś? - Przewodniczka przerwała jego ponure rozmyślenia.

Matt skinął głową i wstał od stolika, gdy nagle coś mu się przypomniało.

- Przepraszam, ale nie dosłyszałem pani nazwiska.

- Harkabi - odparła po chwili pani pułkownik. - David jest moim siostrzeńcem. Muszę powiadomić jego matkę.

Na zewnątrz Matt stał dłuższą chwilę w chłodnym powietrzu nocy, dochodząc do siebie - jak na jeden dzień miał dość niespodzianek. Poza tym latał z Dave'em i wiedział, że był on dobrym pilotem; bez problemu powinien by przysnąć dwóm brudasom, jeśli robiło się za gorąco. A w dodatku Su-27 nie był ani lepszy, ani gorszy od F-16.

Wracając wstąpił do mieszkania Tamirów. Zmartwiło go, że nie zastał Shoshany, ale nie zaskoczyła go jej nieobecność. Byłoby dziwne, gdyby pozwolili jej na tak długie lenistwo. Po drodze Matt podjechał do hotelu i teraz wręczył Lillian niezbyt gustowny pakunek.

- Lillian, dopilnuj, proszę, żeby Shoshana dostała go jak najprędzej: to ognioodporny kombinezon z nomexu, przypomina kombinezony waszych czołgistów. Jej mundur nie jest ognioodporny, więc to się może przydać.

Decyzję podjął natychmiast po zobaczeniu spalonego trupa czołgisty, tylko potem wyleciało mu to z głowy.

- Matt, uważaj na siebie i wróć - powiedziała miękko Lillian, biorąc od niego pakunek. - Ona cię potrzebuje.

- Wiem, i wrócę - obiecał z uśmiechem.

- *Shalom*.

Droga prowadząca na południe od Tel Awiwu była zapchana ciężarówkami i furgonetkami wszelkiej maści, wielkości i marki. Ponieważ ruch na północ miał bezwzględne pierwszeństwo, pokonanie stu kilometrów dzielących Matta od lot-

niska zajęło chłopakowi pięć godzin, które spędził na staranym notowaniu ilości i rodzaju sprzętu wojskowego widzianego po drodze. Przeważały czołgi i transportery ze świeżo zamalowanymi znakami amerykańskimi - najwyraźniej MAC nie ustawało w wysiłkach. Natomiast znaczną część wojska stanowiły kobiety i dziewczęta, co było mniej optymistycznym sygnałem.

Golda znalazł śpiącego z głową na biurku - obudził się natychmiast, gdy usłyszał swoje nazwisko, i zaklął.

- Chyba przejdę na dietę kawową - mruknął, odbierając z rąk Matta dymiący kubek i notatki z drogi, które natychmiast przejrzał. - Zgadza się: albo rybki, albo akwarium... Jak Egipt ruszy...

- ...to będzie po wojnie i po Izraelu w ciągu kilku godzin - dokończył Matt.

- Gówno prawda - skrzywił się Gold. - Sięgną po atomówki!

- Cholera, fakt - przyznał Matt, przypominając sobie o rakietach Jerycho.

Opowiedział, co widział i słyszał w bunkrze, na co Gold pokiwiał smętnie głową i sięgnął po telefon.

- Muszę ci załatwić helikopter do Ramon - wyjaśnił. - Im szybciej wyniesiesz się z Izraela, tym lepiej.

Korytarze bunkra mieszczącego kwaterę główną były dziwnie ciche, jakby wszyscy obecni czekali na coś, wstrzymując oddech. Avi zszedł na trzeci poziom za żandarmem pełniącym rolę przewodnika, nieco zdziwiony faktem, że ma obstawę - znał budowlę na tyle dobrze, że nie trzeba było go odprowadzać na miejsce.

- Dwie osoby miały załamanie nerwowe - wyjaśnił żandarm. - Jedna z nich zaatakowała premiera.

Mijani na korytarzu ludzie sprawiali wrażenie zmęczonych i zubożonych, ale zadbanych - co było dobrą oznaką: dopóki pamiętali o higienie osobistej, dopóty nie było jeszcze całkiem źle.

Przed kolejnymi drzwiami stał na warcie inny członek żandarmerii polowej. Widząc Tamira i jego przewodnika, bez słowa otworzył drzwi: wewnątrz był Yair Ben David. Sam.

- Mamy już broń termonuklearną? - spytał chrapliwie, nie bawiąc się w ceregiele.

- Jeszcze nie - odparł Avi, który pomimo rozterek moralnych harował jak wół, pędząc swój zespół do pracy niemal bez wytchnienia.

- Kiedy?

- Za dwa, może trzy tygodnie.

- Opieprzasz się!

- Ja...?! - Tamirowi na chwilę mowę odebrało. - Nie masz pojęcia, ile... Dobrze, opieprzam się. Znajdź więc na moje miejsce kogoś, kto tego nie będzie robił.

- Przepraszam, Avi... - Premier ciężko opadł na krzesło. - Wcale tak nie myślę. Proszę, wybac mi, ale sytuacja jest... krytyczna. Ledwie trzymamy się na północy... Irak wprowadził do Jordanii trzy nowe dywizje pancerne i dwie do Libanu... Wycofałem rezerwy z Synaju i powinniśmy się utrzymać, ale najnowsze dane wywiadu wskazują, że Egipt przerzuca na Synaj nowe jednostki pancerne. Jeśli zaatakują, nie pozostanie nam żadna inna broń...

- Przecież mamy atomowe, po co nam nuklearne...

- Nie rozumiesz psychiki Arabów - przerwał mu Ben David - użycie taktycznej broni nuklearnej na polu walki dla nich się nie liczy. Natomiast jeśli Egipt zaatakuje, odpłacę im za zdradę: jedna bomba i nie będzie już Kairu, a wtedy reszta zacznie nas uważniejsze słuchać.

- Naprawdę to zrobisz? Jeśli przekroczymy barierę dzielącą zwykłą wojnę od nuklearnej...

- A mamy inną możliwość?

Gdy Matt wysiadł z helikoptera, Furry czekał już na płycie, wraz z mikrobusem, do którego obaj wsiedli.

- Musimy się pośpieszyć - wyjaśnił, ruszając z piskiem opon. - Mniej więcej co dwadzieścia minut walą w nas Scudy, a przy ostatniej okazji skończyły się Patrioty. Inżynierowie dokonują cudów, ale jak im wyjdzie następnym razem, tego nikt nie wie.

Dojechali do rampy i biegiem ruszyli w dół.

- Jak samolot? - spytał Matt.

- Gotów. Nasi też mają parę cudów na koncie: był bardziej uszkodzony, niż sądziłem.
- Masz gdzieś zapasowy kombinezon?
- Mam. Kapitan chce nas zobaczyć, zanim znikniemy.

Panna kapitan kończyła pakować kasetę pancerną, gdy weszli. Mimo polowego munduru i zmęczenia nadal była jedną z najpiękniejszych dziewcząt, jakie Matt czy Ambler widzieli w życiu.

- Przenosimy się na lotnisko polowe - wyjaśniła. - Autostrada na pustyni Negew.

- Aż tak źle? - spytał Matt.

Skinęła głową i punkt po punkcie przedstawiła mu sytuację na wszystkich frontach: jej wersja zgadzała się z tym, co powiedział mu Gold - poza kwestią broni nuklearnej.

- Dlaczego nam to wszystko mówisz? - zdziwił się Matt.

- Bo otrzymałam takie rozkazy. Musicie uświadomić prawdę komu trzeba.

- Znaczący mojemu dziadkowi?

Ponownie skinęła w milczeniu głową.

- Wątpię, abym go zobaczył, ale na pewno zadzwonię. Obaj napiszemy także raporty i postaram się dopilnować, by trafiły do właściwych osób - obiecał. - Ambler, czas w drogę.

- *Shalom* - powiedziała dziwnie miękko.

- *Shalom* - odparł Matt i obaj lotnicy wyszli, cicho zamykając za sobą drzwi.

Ganef siedział za biurkiem w swoim gabinecie, trzymając w dłoniach czarno-białą fotografię. Odłożył ją na blat i przesunął okulary na czoło, nienawidząc się za to, co musiał zrobić. Prościej i lepiej byłoby po prostu powiedzieć USA, jak się sprawy mają, i poprosić o to, co jest potrzebne - a nie bawić się w kłamstwa i pozwalać im odkrywać prawdziwy stan rzeczy na własną rękę (w tym przypadku *via* młody Pontowski). Nie lubił tego zajęcia, a by je dobrze wykonywać, musiał traktować ludzi jak pionki i grać ich życiem.

Poza tym mógł się mylić: niewielu ludzi było w stanie zrozumieć obecnego prezydenta USA. Czy specjalnie przysłał tu

wnuka? Czy użycie tej Tamir było słuszne i rozsądne? Zbyt wiele było pytań, na które dopiero czas mógł przynieść odpowiedzi, a czas to było właśnie to, czego Izrael już nie miał.

Ganef zsunął okulary i ponownie wziął do ręki fotografię. Ostatnie zdjęcie jedynej bliskiej mu osoby. Spoglądał na nie, choć obraz i tak miał wbity w pamięć - przedstawiało bowiem Gada Habisha powieszonoego na jednym z placów Kairu.

Reputacja generała brygady Leo Coxa z zasady wyprzedzała jego osobę. Także więc i dla NSC był on postacią znaną; ale trzeba przyznać, że żaden z członków rady nie spodziewał się tak mistrzowskiej interpretacji faktów i tak błyskotliwej inteligencji, jakie Cox zaprezentował podczas porannej odprawy. Zack był bardziej niż zadowolony i postanowił przenieść generała z DIA do NSC, co zresztą wiązało się z awansem. Bobby Burke próbował dopatrzeć się luk w rozumowaniu Coxa, ten jednak z łatwością zrobił zeń durnia, i to w nader uprzejmy sposób. Należało podziękować Melissie za tę kandydaturę, zdecydował w duchu Pontowski, przysłuchując się ostatniemu aktowi dialogu.

- Generale - parsknął DCI - po prostu nie akceptuję pańskiego wniosku, że Egipt zamierza wziąć udział w tej wojnie.

- Panie Burke... - Twarz Coxa, z natury przypominająca oblicze nieboszczyka, czyniła jego grobowy ton jeszcze bardziej ponurym. - Chętnie zgodziłbym się z panem, ale to sprzeczne ze wszystkim, co słyszymy i widzimy. Jedyne wyjście, jakie pozostało Izraelowi w tej sytuacji, jest eskalacja...

- A jak to do diabła zrobić, jeśli wszędzie oberwą, zgodnie z pańskimi analizami?

- Za pomocą broni atomowej - odparł spokojnie Cox i Burke usiadł bez słowa.

Wszyscy pozostali też zresztą milczeli - nikt nie wątpił, że Cox ma rację.

- Nie można na to pozwolić - przerwał ciszę Pontowski.

- Co proponujecie, panowie?

Następny kwadrans upłynął na omawianiu różnych opcji, aż w końcu Pontowski z lekka się zirytował czczą gadaniną i za-

brał się za wydawanie rozkazów tonem, jakiego dotąd nie miał okazji usłyszeć żaden z obecnych.

- Chcę natychmiastowego działania na trzech frontach: dyplomatycznym, logistycznym i militarnym. Departament Stanu ma zrobić wszystko, co może, by doprowadzić do zawieszenia walk na wszystkich frontach, i nie interesują mnie wymówki. Gorąca Linia nadal milczy, ale są chyba jakieś inne możliwości porozumienia się z Rosjanami. Proszę je odszukać i wykorzystać. Nic mnie nie obchodzi, z kim trzeba będzie rozmawiać i ile to będzie kosztowało zabiegów. Logistycznie: należy dostarczyć Izraelowi wszystkiego, czego potrzebuje, i to już. Militarne: proszę postawić w stan gotowości Siły Szybkiego Reagowania. Jeśli będę musiał, to wzmocnię nimi wojska ONZ na Synaju - niech Egipt spróbuje je zaatakować! Aha, i proszę natychmiast wezwać tu ambasadora Egiptu. - Zack wstał i dodał: - Kiedy mówię o natychmiastowej akcji, mam na myśli działanie zaraz, nie dziś po południu. Generale Cox, pozwoli pan?

Gdy znaleźli się na korytarzu, Pontowski spytał:

- Leo, jak dobre są twoje źródła?

- Zawsze w wywiadzie są „szумы”, czyli informacje, które do niczego nie pasują, powodowane na przykład celowym działaniem przeciwnika - odparł po chwili wahania Cox. - Większość danych, jakie do nas napływają, traktujemy jako taki „szum” maskujący prawdziwy obraz, który dopiero trzeba odkryć. Tym razem jednak jestem pewien swego: zarówno zdjęcia satelitarne i rozpoznanie lotnicze, jak i źródła w Izraelu i Egipcie są zgodne co do postępowania Egiptu, a reakcja Izraela to już logiczne następstwo przegranej wojny.

- Jak wiarygodne są te źródła?

- Attache wojskowi i obserwatorzy, a jednym z najlepszych jest kapitan Pontowski - odpalił Cox.

- Gdzie Matt jest teraz?

- W jednostce w Anglii, od mniej więcej trzech godzin.

- Chciałbym zobaczyć jego raport, i to szybko. I bez cięć. - W głosie prezydenta wyraźnie słychać było ulgę.

- Dostarczę go w ciągu godziny.

Zack zatrzymał się przed drzwiami swego gabinetu i spytał z uśmiechem:

- A co się stało z Billem Carrollem?
- Dostał reprimendę za nieautoryzowany kontakt z obcym rządem i przydział do jednostki operacyjnej, naturalnie po przywróceniu stopnia dostępności - odparł ze złośliwym uśmiechem Cox. - Ponieważ chciał wrócić do starej jednostki, wylądował w Czterdziestym Piątym Skrzydle.
- Cieszę się, że go ochroniłeś, to dobry chłopak.
- Cox ledwie zdołał zapanować nad opadającą szczęką: tego, że prezydent w tak krótkim czasie domyśli się, jak Bill został użyty i przez kogo, naprawdę się nie spodziewał.
- Panie prezydencie... - wybawił go z zakłopotania głos Frasera - ambasador Egiptu będzie tu za godzinę.
- Dzięki, Tom. Jak przyjdzie, przyprowadź go. - Pontowski otworzył drzwi i gestem zaprosił Coxa, po czym starannie je zamknął. - Leo, czy znasz attaché lotniczego Egiptu?

Para pilotów wyprężona przed biurkiem generała Mana była zaskoczona, że generał nadal jest w kombinezonie; to, że go poprawiono, by leżał na przełożonym jak ułaz, było w tej chwili sprawą drugorzędną. Adiutant wręczył generałowi teczkę, na co Mana zareagował uśmiechem. Adiutant miał dwadzieścia siedem lat i stopień podpułkownika, co mówiło samo za siebie. Johar i Samir z kamiennymi twarzami wpatrywali się w ścianę nad głową siedzącego.

Mana przejrzał zawartość teczki, wyjął z niej zdjęcia dwóch rozbitych F-16 i cisnął je na blat.

- Nie przestrzegając rozkazów, pozbawiłście mnie zestrzeleń, które prawnie mnie się należały - oznajmił Mana. - Czekam na wyjaśnienia.

- Nie wiem, czy zdołamy ich udzielić - wyjąkał Johar - to wszystko działo się tak szybko... Po prostu wlecieli prosto na nas. Można to jedynie wytłumaczyć tym, że przestraszyli się pańskiego agresywnego pilotażu i uciekając nadziali się na nas. Była noc, zamieszanie... odpaliliśmy rakiety... to był po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności...

Samir energicznie potakiwał, trzymając jednak głębę na kłódkę. Mana z dużym namysłem przyjrzał się połączanemu sztyletowi, służącemu do otwierania listów.

- Otuchą napawa mnie fakt, że zrozumieliście swój błąd - stwierdził po chwili. - Co i tak nie zmienia ostatecznego wyniku: to były moje zestrzelenia!

Sztylet ze stukiem wbił się w blat, podkreślając wykrzyknik.

- Tak jest - zgodził się natychmiast Johar. - Wiemy o tym.

- W takim razie rozumiecie, dlaczego zostały mi przypisane. Nie jest to zresztą mój pomysł: pozostali piloci tak silnie nalegali, że musiałem się zgodzić.

- Tak też powinno się stać - stwierdził Johar przy milczącym, acz zagorzałym potakiwaniu Samira.

- Dziś w bazie zjawia się dziennikarze, by nasz lud dowiedział się o zwycięstwie - uśmiechnął się Mana. - Sądzę, że najrozsądniej byłoby, gdybyście w tym czasie znaleźli sobie jakieś zajęcie.

- Tak jest - pośpieszył z odpowiedzią Johar. - Dziękujemy za wyrozumiałość.

- Możecie odejść.

Obaj piloci czym prędzej wyszli. Dopiero przy hangarze odważyli się uśmiechnąć i odprężyć. Faktycznie mieli szczęście, ale takie już było to życie w irackim lotnictwie.

Ambasador Egiptu był wręcz pokazowym egzemplarzem idealnego dyplomaty. Nienaganna reputacja, wspaniała prewencja, doskonały gust i znakomity ubiór, jak również nieskazitelne maniery czyniły z niego nietuzinkowego członka społeczności dyplomatycznej Waszyngtonu. Taż aureola godności i elegancji otaczała go, gdy po godzinie od wezwania - zwanego uprzejmie zaproszeniem - Matsom Hamoud al-Dasud zjawił się w gabinecie Pontowskiego.

Prezydent wstał na jego powitanie, wyciągając dłoń.

- Dziękuję, że zjawił się pan tak szybko - rzekł z poważną miną. - Pojawiły się jednakże krytyczne problemy, które całkowicie uzasadniają ów pośpiech.

- Zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji i mój rząd polecił mi być do pańskich usług - odparł Hamoud.

Przez kilka następnych minut obaj wymieniali zwyczajowe uprzejmości, aż Pontowski doszedł do wniosku, że czas przejść do rzeczy.

- Panie ambasadorze, mam zamiar wzmocnić siły pokojowe ONZ na Synaju do chwili, w której ambasador USA w ONZ zdoła doprowadzić do zawieszenia broni w konflikcie izraelsko-syryjskim.

- To nie jest konieczne - Dasud uniósł prawą brew - zamiary mego kraju są takie same jak dotąd: jesteśmy zdecydowani utrzymać pokój i rozwój tego rejonu świata.

Pontowski spojrział na zegarek, co było kolejnym dowodem pośpiechu.

- Kończy nam się czas na zatrzymanie tego konfliktu, zanim dojdzie do eskalacji - wyjaśnił.

- Nie myśmy wywołali tę wojnę, panie prezydencie.

- W takim razie dlaczego nie odstąpicie od tych manewrów i nie przestaniecie umacniać swoich wojsk na półwyspie Synaj? Nasilacie owe działania, w miarę jak Izrael wycofuje rezerwy, by sprostać nowemu zagrożeniu, jakie stanowi Irak.

- Musi pan pamiętać o pełnej historii naszych państw, panie prezydencie. Jesteśmy zdecydowani utrzymać traktat pokojowy z Izraelem, ale jest w Egipcie wiele frakcji politycznych domagających się zachowania silnej pozycji obronnej wobec toczącej się w sąsiedztwie wojny.

- Panie ambasadorze - Pontowski zdecydował, że czas zdjąć jedwabne rękawiczki - moi analitycy twierdzą, że Egipt przygotowuje się do ataku na Izrael.

- Pańscy ludzie są w błędzie.

- Mam taką nadzieję, bo jeśli się nie mylą, to będę zmuszony zobaczyć nasze stosunki z Egiptem w zupełnie odmiennym świetle. Nałożę na was całkowite embargo i zamknę Kanał Sueski. Zostaniecie odcięci od jakiegokolwiek handlu zagranicznego do czasu przywrócenia *status quo ante*.

Dasud poblądł: Pontowski oznajmił tym samym, że zamknie granice Egiptu, zmuszając go do całkowitej samowystarczalności (która była fizycznie niewykonalna) aż do chwili ustania walk i przywrócenia granic Izraela sprzed ataku syryjskiego. Naturalnie o ile Egipt przystąpi do wojny. Do obowiązków ambasadora należało natychmiastowe zawiadomienie rządu o twardym stanowisku USA i próba ratowania sytuacji. Bez importu żywności Egipt był bowiem na straconej pozycji, i to z punktu.

- Musi pan zapewne zdawać sobie sprawę, że tego typu postępowanie oznaczać będzie światowe embargo naftowe i potępienie ONZ.

Zero reakcji ze strony Pontowskiego, należało więc próbować inaczej.

- Jeśli istnieją inne opcje dla mego kraju, które USA mogłyby wesprzeć...

Pontowski skinął głową i Dasud wyraźnie odetchnął: nie wszystko jeszcze przepadło.

- Szeroko znane jest przekonanie Egiptu do pokoju i sukcesy w roli mediatora - odparł Pontowski, wracając do języka dyplomatycznego.

- Byłoby wielce pomocne, gdybym mógł przekazać do Kairu coś konkretniejszego...

- Zamiast bezsensownych ćwiczeń wojskowych wolałbym rozmowy o zwiększonej pomocy dla rolnictwa i dodatkowych kredytach handlowych...

Tym razem zero reakcji ze strony Dasuda, więc Zack podbił stawkę:

- Jeżeli Egipt przedstawi propozycję zawieszenia ognia w ONZ, przy najbliższych rokowaniach nasz ambasador poprze wasze roszczenia odnośnie Strefy Gazy.

Sytuacja była jasna: Egipt wycofa wojska i rozpocznie działania na rzecz zakończenia wojny, a w zamian dostanie więcej zagranicznej pomocy i być może Strefę Gazy. To była niezła propozycja. W dodatku tuż przed jego wyjściem attaché lotniczy ambasady egipskiej dostał ze źródła zbliżonego do DIA raport o izraelskich zdolnościach nuklearnych i zamiarach ich wykorzystania.

Dasud wiedział, kto jest owym „źródłem zbliżonym do DIA”, i nie potrzebował tłumacza, by zrozumieć wymowę owego dokumentu.

- Panie prezydencie, proszę pozwolić mi jak najszybciej przekazać pańską opinię mojemu rządowi. Wiem, że będzie ona przedmiotem uważnego rozważenia.

Pontowski wstał, kończąc tym samym część oficjalną.

- Matsom, jeszcze raz dzięki, że przybyłeś tak szybko - stwierdził, ściskając gościowi prawicę, w końcu byli przecież

starymi przyjaciółmi. - Potrzebuję energicznej akcji, albo będziemy sprzątać radioaktywne gruzy.

- Wiem, Zack. Zrobię, co tylko będę mógł.

Szalony Mike Martin jak zwykle czuł wszechogarniającą chęć działania, pragnienie dojścia do sedna i rozwalenia kilku łbów - choć w tym konkretnym dylemacie ostatni punkt był niewykonalny. Jako wielce zorganizowany osobnik, Martin potrafił trzeźwo ocenić, co może, a czego nie, i jak najkorzystniej spożytkować rozpierającą go energię. Pokojowa rutyna już mu dojadła, a teraz miał okazję - czy choćby cień okazji - do działania, toteż krążył po swym gabinecie w Stonewood niczym goryl po klatce. Porównanie tym trafniejsze, że facet był z niego masywny, wysoki i dobrze, by nie rzec obficie owłosiony. A przy tym, oczywista, doskonały taktyk i pilot myśliwski.

- Carroll - warknął niespodziewanie - wykopali cię z NSC, dobrze. Poprosiłeś o przydział tutaj; dlaczego?

- Czterdzieste Piąte Skrzydło to moja stara jednostka, *sir*. Myślałem, że przydam się jako pański szef wywiadu.

Martin chrząknął uspokojony i po chwili spytał:

- Czytałeś wypociny Pontowskiego i Furry'ego? Obaj zgodnie twierdzą, że Izrael dostaje w dupę, aż się pierze sypie.

- Czytałem. To się dokładnie zgadza z danymi z innych źródeł.

Goryl szczeknął coś, co przypominało wielopiętrową wiązanekę, i wduśli przycisk intercomu.

- Przysłać mi tu Furry'ego i Pontowskiego - rozkazał.

Dokładnie siedem minut później w progu gabinetu Goryla stanęli obaj wezwani. Furry na widok Carrolla zignorował dowódcę i uściśnął przybysza ze słowami:

- Dobrze cię znów zobaczyć, Bill. Trochę trwało od ostatniego razu...

- Operacja „Warlord” była ładną chwilę temu - uśmiechnął się Carroll.

Martin nie przerwał powitania pary weteranów jednostki, w końcu jednak nie wytrzymał i, siląc się na ciepło, wtrącił:

- Skończyliście czułości? Fajnie. No to do roboty. Chcę postrzelać do brudasów.

- To nie będzie łatwe - mruknął Matt.

- Wiem - warknął Goryl, wracając do swych zwykłych manier. - Dlatego ściągnąłem was trzech. Chcę wiedzieć, czy jest jakiś odpowiedni sposób, czas lub miejsce, jeśli byśmy zostali wplątani w tę gównianą wojnę, w której braliście udział.

- Kirkuk - bez namysłu odparł Matt.

- Dzięki, Tępaku - warknął Martin.

- Uroczy facet. - Carroll mówił cicho, na tyle jednak wyraźnie, by Furry usłyszał go bez problemów.

- Wszystkich tak nazywa - wyjaśnił Ambler.

- Kapitanie Pontowski, ma pan na myśli wytwórnię gazu paraliżującego i magazyn w zakładach chemicznych? - spytał głośno Carroll.

Matt skinął głową.

- Może ktoś zadałby sobie łaskawie trochę trudu i mnie też oświecił?! - parsknął rozeźlony Martin.

- Irak zbudował nową wytwórnię gazów bojowych i arsenał pod pretekstem odbudowy starych zakładów chemicznych, które zniszczyliśmy podczas wojny w Zatoce, o trzydzieści kilometrów od miasta Kirkuk. Izrael próbował zbombardować te zakłady, ale nie zdołali się przebić nad cel. Brudasy sporo się nauczyli w dziewięćdziesiątym pierwszym, to im trzeba przyznać. Poza tym to misja, do której wprost stworzony jest F-15 Eagle.

- Niezłe miejsce na początek. - Goryl wyraźnie się uspokoił.

- Przygotujcie mi analizę celu i akcji. Za godzinę chcę być pod wrażeniem. Nazwijmy to sobie ładnie operacją „Święta Trójca”. Za dwa dni chcę mieć na biurku gotowy plan ataku. Żegnam.

Ledwie znaleźli się na korytarzu, Matt złapał Amblera za guzik:

- To ten sam Carroll, o którym opowiadałeś?

- We własnej osobie. Najlepszy oficer wywiadu w całych zasranych Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Premier zanurzył się w swoim fotelu w pokoju dowodzenia Cytadeli. Był świeżo ogolony, w czystym ubraniu i po sześciu godzinach snu. Przestudiował mapę i ekrany komputerowe i po raz pierwszy poczuł miłe ciepło zwycięstwa. Prowadziła do niego jeszcze daleka droga, ale było ono osiągalne - po raz pierwszy w tej wojnie.

Upił łyk herbaty z podanego mu kubka i rozejrzał się wokół - operatorzy byli wyczerpani, a pomieszczenie przesycone zapachem niemytych ciał, ale w powietrzu czuło się zmianę: optymizm zastąpił wszechogarniające przygnębienie, które jeszcze kilka godzin wcześniej wisiało tu jak gradowa chmura.

Dyżurny nanosił na pleksiglasową mapę nowe dane i w pokoju zapadła cisza - wszyscy z uwagą obserwowali rysowane przez sierżanta symbole. Gdy skończył, odezwały się oklaski

- Egipt wycofał wszystkie jednostki do garnizonów, rezygnując z „manewrów”. Południowa granica Izraela była bezpieczna i wszystkie pierwszoliniowe oddziały można było przegrupować na północ. Naturalnie poza jednostkami granicznymi stacjonującymi na Synaju. W połączeniu ze stałymi dostawami z USA zwycięstwo zaczynało rysować się już dość wyraźnie.

Na granicy z Libanem bitwa przeszła prawie w pozytywną

- zatrzymano atak arabski i trwała teraz przepychanka lokalnych ataków i kontrataków, których osią była granica.

Na wzgórzach Golan spadochroniarze odbili górę Hermon przy stratach przekraczających siedemdziesiąt procent. Gdyby nie dostarczane Blackhawkami posiłki z zapasów US Army w Niemczech, zostaliby wybici bez odzyskania celu. Ponad połowa z tych helikopterów spoczęła zresztą na zawsze na stokach Hermon.

Najpoważniejsza była sytuacja na Zachodnim Brzegu. Syria - wzmocniona trzema irackimi dywizjami pancernymi - przekroczyła rzekę Jordan i była w odległości mniejszej niż szesnaście kilometrów od Jerozolimy, która znajdowała się pod stałym ostrzałem artyleryjskim. Dzięki dostawom sprzętu i wycofaniu rezerw z półwyspu Synaj udało się co prawda zatrzymać wojska syryjskie, ale nic więcej - nie odzyskano ani kilometra.

Pojawiły się kolejne dobre wieści: pierwszy z dziewięćdziesięciu pięciu dostarczonych przez USA F-16 był gotów do walki, co rozwiązywało problemy sprzętu lotniczego, choć nie kończyło trosk głównodowodzącego Hel Aviru, które to miejsce cierpiało także na brak pilotów. Obecnie latał każdy, kto tylko mógł, a na przeszkolenie powołano właśnie pilotów rezerwy w wieku do pięćdziesięciu lat. Umieszczenie ich w kabinach odrzutowych myśliwców było gestem czystej rozpacz.

Ben David przeniósł wzrok na „stan strat”, jak określano ekran ukazujący liczbę ofiar. Potwierdzał on to, czego premier najbardziej się obawiał: długotrwały konflikt wyniszczający, którego Izrael nie mógł wygrać na dłuższą metę. Yair wiedział, że jego rodacy wytrwają tak długo, jak będą musieli, ale cena była straszliwa.

- Więcej dobrych wieści - oznajmił adiutant, podchodząc.

- Ambasador egipski przy ONZ przedłożył Zgromadzeniu Ogólnemu rezolucję z propozycją natychmiastowego zawieszenia broni!

Premiera poderwało z miejsca - teraz miał pewność zwycięstwa. Inicjatywa pokojowa Egiptu była pierwszą wyrwą w dotąd solidnym bloku arabskim, a długoletnie doświadczenie jednoznacznie wskazywało, że Arabowie potrafią błyskawicznie zmieniać front i dochodzić do porozumienia z Izraelem. Ale pozostawało jeszcze coś: zanim nastanie przerwanie ognia, musiał odzyskać i zabezpieczyć granice, a jeśli się da, to i trochę więcej. Jako głowa tego państwa musiał myśleć nie tylko o tej, ale i o przyszłej wojnie, która z pewnością nastąpi. No i ukarać Arabów: liczba ofiar była dlań czymś osobistym, podobnie jak dla każdego w Izraelu. W tak niewielkim kraju każda rodzina za każdą wojnę płaciła jeśli nie w zabitych, to w jeńcach lub rannych. A kobiety, które dostały się do arabskiej

niewoli, czekał najczęściej los gorszy od śmierci. Chcieli zepchnąć jego naród do morza! Ślicznie, niech więc lepiej zaczynają się oglądać na piaski, które mają za plecami, bo tam właśnie zamierzał ich wysłać.

- Przyprawdźcie Aviego Tamira - polecił i sięgnął po telefon.

Skończywszy rozmowę z Ganefem, zaczął wydawać rozkazy, które spełniano błyskawicznie i z radością. Wszyscy czuli, że pomimo udziału Iraku sytuacja na froncie ustabilizowała się; teraz zbliżała się ich kolej na atak.

Tamir był wykończony zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Wchodząc do Cytadeli, z zaskoczeniem stwierdził, że nie przydzielono mu przewodnika, a wewnątrz panowała atmosfera przywodząca na myśl czasy sukcesów i zwycięstw: głośne dyskusje, pośpiech, a gdzieś tam śmiechy.

- Wreszcie - mruknął do siebie, podchodząc do otwartych drzwi gabinetu Ben Davida. - A już się bałem, że tej wojny nie wygramy!

Ben David powitał go bardzo ciepło i wskazał mu miejsce obok starego, zasuszonego osobnika, który burknął coś zdawkowo na powitanie, ale nie przedstawił się. Tamir po raz pierwszy od tygodni poczuł ulgę - zaczęli zwyciężać, a więc nie będzie potrzeby użycia broni atomowej. Premier zamknął drzwi i spytał:

- I jak postępy, Avi?

- Rozwiązaliśmy ostatni problem. - Tamir przez moment miał ochotę opowiedzieć mu, jak dopracowali metodę wprowadzania litu sześć bezpośrednio do rdzenia, dzięki czemu następowała reakcja termojądrowa, i jak za pomocą trzech przelączników można będzie zmienić rodzaj bomby z atomowej na termojądrową; ale zrezygnował z tych wynurzeń. - Będzie gotowa za pięć dni - powiedział tylko.

- Jaka duża? - spytał premier.

- Zmieści się w głowicy Jerycho Dwa - odparł Avi, nie bardzo pewien, czy o to chodziło.

- Chodzi mi o to, jak wielka... - Ben David przerwał, nie wiedząc, jak sformułować pytanie, by naukowiec je zrozumiał.

- Yair chce wiedzieć, jakiej mocy będzie ta bomba - wtrącił stary, nie patrząc na Tamira.

- A, to może wybierać: od dwa koma dwa przez trzydzieści, pięćdziesiąt czy sto dwadzieścia kiloton.

- Miałem nadzieję, że będzie mocniejsza - mruknął Ben David.

- Jest masa problemów technicznych... - zaczął Tamir i nagle zrozumiał w czym rzecz. - Człowieku, nie masz zielonego pojęcia, jaką moc ma sto dwadzieścia kiloton.

- Avi, to nie była krytyka. Zrobiłeś doskonałą robotę - pośpieszył z wyjaśnieniem premier. - Sytuacja się stabilizuje i nie sądzę, abyśmy musieli uciekać się do takich środków. Wiesz, że zawsze planowałem użycie broni jądrowej jako ostatni sposób uratowania Izraela od zniszczenia.

Tamir odetchnął z ulgą: nie przyczynił się do kolejnego Holocaustu! Ben David zauważył to i czym prędzej sprowadził naukowca na ziemię.

- Należy jednak pamiętać, że wojna nadal trwa i że nie możemy pozwolić sobie na to, by ją przegrać. Za pięć dni... To znaczy, że będzie ją można za pięć dni zamontować w rakiecie? Tak? To wspaniale. Nie obawiaj się, Avi: jak długo wygrywamy, tak długo nie ma potrzeby użycia jej, ale musimy zabezpieczyć się na każdą ewentualność... Nasze straty są tak olbrzymie... Ta wojna musi się szybko skończyć. - Ben David wstał, co było dla Tamira sygnałem do opuszczenia gabinetu.

Gdy za Avim zamknęły się drzwi, Ben David podszedł do intercomu i zarządził spotkanie Rady Obrony za dziesięć minut.

- I po co niby miałem być obecny przy tej rozmowie? - parsknął Ganef, wycierając nos.

- Wierzysz w przezorność? I w to, że czeka nas wiele niebezpieczeństw?

- Oczywiście.

- Chcę mieć pewność, że Arabowie nie zaczną następnej wojny podobnej do tej. Ciekawe, jak zareagują, gdy stworzymy lepsze do obrony granice i strefy buforowe bezpośrednio przy nich.

- To może nie być takie łatwe, jak myślisz: nasz sukces może skłonić ich do użycia broni chemicznej.

- Zdaję sobie z tego sprawę. I chcę, żebyś ty zapobiegł tej ewentualności. Zamierzam załadować bombę Tamira do Jerycho Dwa i zaprogramować jako cel albo Bagdad, albo Damaszek. Odpalę ją bez wahania na pierwszego, który będzie na tyle głupi, by użyć broni chemicznej.

- Chcesz, żebyś...

- Powiadomił Arabów; tak by uwierzyli, co mamy, i dokładnie wiedzieli, jak zareagujemy na użycie przez nich gazów.

To miało sens, co Ganef musiał przyznać z odrobiną podziwu.

- Jaką moc zdradzić? - spytał na wszelki wypadek.

- Największą.

Wojna przybrała niezbyt fortunny obrót - powiedział szejek Mohammed al-Khatub, obserwując reakcję starej znad kubka z kawą.

Khatub był jednym z niewielu nie będących pod wrażeniem B.J. Allison, jej posiadłości, klejnotów czy władzy, a to z tego prostego powodu, że miał wszystkiego więcej. Nie przeszkadzało mu to jednak lubić pobytów w jej domu i doskonałych obiadów, jakie podawano, oraz nie cierpieć dyskusji, które niestety miały miejsce po posiłku.

B.J. zaś lubiła i szanowała szejka, i zawsze miło wspominała jego wizyty. W dodatku gość był przystojny i ledwie po trzydziestce, przypominając z wyglądu młodego Omara Sharifa. Poza tymi wszystkimi zaletami Khatub był na dodatek ministrem finansów OPEC.

- Tak też słyszałam - przyznała, wracając do tematu.

- Nie możemy zignorować prawdy, że dzieje się tak dzięki poparciu waszego rządu - dodał Khatub. - I mając na względzie nasze interesy, rozważamy możliwe reakcje.

- Nie zamierzacie chyba wprowadzać kolejnego embarga naftowego?

- Jest to jedna z bardziej prawdopodobnych możliwości - wyznał bez ogródek.

- Czy mogę w jakiś sposób przekonać was do innej... hm... możliwości?

Zapytany uśmiechnął się, umiejętnie maskując uczucia, jakie żywił do gospodyni: w jego świecie kobiety zajmowały ściśle

określoną pozycję i nigdy by się nie ośmieliły zabierać głosu w tak ważnych sprawach. Rozmowa z Allison uwłaczała jego godności, z czego B.J. zupełnie sobie nie zdawała sprawy.

- Mieliśmy nadzieję, że skandal związany z nielegalnymi funduszami wyborczymi na tyle zajmie waszego prezydenta, że wasza pomoc dla Żydów będzie miała rozsądniej sze granice - westchnął szejk. - Ale tak się nie stało, a w dodatku wygląda na to, że skandal umrze śmiercią naturalną...

- Gdyby prasa odkryła nowe dowody, czy przekonałoby was to, że są w tym kraju ludzie będący zwolennikami stosowniejszego zakończenia tej wojny?

Khatub z uśmiechem poprosił o kolejną filiżankę kawy. Rozumieli się wręcz doskonale.

Wpełni gotowa, Tara czekała tylko na telefon, toteż mimo wczesnej godziny w trzy minuty po odłożeniu słuchawki była w drodze na helipad, by złożyć wizytę cioci, która okazała się jak zwykle na tyle miła, że przysłała po nią helikopter.

Rozpieszczasz swoją starą ciotkę - powitała Tarę Allison, gdy dziewczyna weszła do jej gabinetu.

Przystojny sekretarz, który wprowadził Tarę, wyszedł, zamykając za sobą drzwi, toteż B.J. od razu przeszła do rzeczy.

- Muszę ograniczyć pomoc, jaką Pontowski wysłał do Izraela, albo będziemy mieli kolejne embargo. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? - Pytanie było retoryczne, więc B.J. ciągnęła dalej: - Kontrola rządu nad moim towarzystwem! Nie pozwolę na to za nic na świecie! Tara, ja go zniszczę!... Czego jeszcze dowiedziałas się o finansach jego kampanii wyborczej?

Tara opowiedziała jej, jak Fraser przepuścił pieniądze przez szereg zagranicznych korporacji i wybrane banki na Bahamach, po czym połączył wszystko elektronicznymi transferami funduszy *via* Hongkong. Nadal jednak nie wiedziała, jak wprowadził je z powrotem do USA na fundusz wyborczy.

- On jest bardzo sprytny, ciociu, i robił to wszystko w pamięci; nie ma żadnych notatek, a poza tym użył pośrednika, by przelać pieniądze na rzecz kampanii w różny sposób w najważniejszym momencie. Nie byłaś jedynym ofiarodawcą, myślę,

że Fraser zdołał także nakłonić do współpracy mafię. No i naturalnie nie został nigdy zapłacony żaden podatek od tych kwot. B.J. Allison zajaśniała, jakby opromieniona słonecznym blaskiem.

- Proszę, proszę: kampania prezydencka finansowana przez Mafię i będąca obiektem śledztwa Urzędu Skarbowego. Czysta poezja! Będziemy potrzebowały dowodu. Jestem pewna, że ten pośrednik jest jedyną osobą łączącą Pontowskiego z finansami. Możesz go znaleźć?

- Myślę, że tak.

- Kiedy się zobaczysz z Fraserem?

- Dziś wieczór; jemy kolację w jego apartamencie w Watergate.

- Co za zbieg okoliczności... Będiesz coś miała dla tych miłych reporterów na jutro? Doskonale. Spotkałaś się z tym młodzieńcem, o którym rozmawialiśmy?

Tara poinformowała ją, że tak i że kongresman połknął przynętę razem z haczykiem.

- Zostaw go - poleciła B.J. - Gdy skończysz z Fraserem, powinnaś poznać kogoś znacznie bardziej interesującego. Ale to trzeba dokładnie zaaranżować.

Martin krążył po kwaterze wywiadu bazy RAF w Stonewood niczym tygrys na przymusowej diecie; a w dodatku całkiem wyraźnie kulał. Biodro sztywniało mu w trzech przypadkach, powodując widoczne kuśtykanie: gdy się martwił, głęboko myślał albo gdy następowało oberwanie chmury. Wszystkie te okoliczności miały miejsce równocześnie, kiedy słuchał sprawozdania Matta o irackiej obronie przeciwlotniczej, którą będą zmuszeni sforsować przed dotarciem do Kirkuku.

Furry pochrapywał na sofie, znając plan i trudności na pamięć: spędził wiele godzin z Carrollem i Mattem, próbując sklecić coś, co zadowoliłoby rozpieranego energią Goryla, który z uporem godnym lepszej sprawy przywracał teraz ich plan do stanu początkowego. Gdy Matt skończył relacjonować losy ataku prowadzonego przez Harkabiego, Martin zmełł w ustach przekleństwo i spytał Carrolła:

- Królik Roger, teraz ty. I co masz do tej pory?
- DIA przesłał nam taśmę z nagraniem radarowym walki, o której mówił Matt. - Carroll uśmiechnął się, słysząc swój nowy pseudonim. - Nigdy czegoś takiego u brudasów nie widziałem. Więc lepiej obejrzyjmy ją wszyscy.

Wsunął kasetę do magnetowidu - była to taśma nagrana przez operatora AWACS po edycji: echa F-16 i Su-27 oznaczono różnymi kolorami dla lepszej identyfikacji oraz dodano krótkie opisy poszczególnych sekwencji i podłożono dźwięk zsynchronizowany z akcją. Były to rozmowy radiowe Samira z Joharem, przechwycone przez RC-135.

- Pomocne jak cholera - warknął Martin, gdy projekcja dobiegła końca. - Psiakrew, nie rozumiem ani słowa po arabsku!

Carroll przewinął taśmę i puścił ją ponownie, tłumacząc rozmowy obu pilotów, co rozbudziło nawet Furry'ego.

- Puść ją jeszcze raz - poprosił Matt. - Czy mi się zdaje, czy jeden z nich mówił do drugiego „Joe”?

Tym razem wszyscy się przysłuchiwali w napięciu, a Furry kreślił coś na kartce.

- Jasna cholera! - mruknął, gdy walka się skończyła. - I to było w nocy? Kurczę, ta parka jest naprawdę niezła. Kto to jest Joe, tak na marginesie?

- Generał brygady Hussan Mana. - Carroll wyjął z torby bagdadzką gazetę i jakiś magazyn ilustrowany. - Według tych artykułów zestrzelił oba F-16. Z taśmy wynika, że faktycznie zrobił to jeden pilot. Myślę, że to on.

Bill streścił oba artykuły, a gdy skończył, Martin usiadł na najbliższym krześle i oznajmił poważnie:

- Panowie, właśnie mieliście okazję zobaczyć zawodowego myśliwca-zabójcę w akcji. Żarty się skończyły, trzeba się zabrać do roboty. - I przez następne dwadzieścia minut przedstawiał punkt po punkcie plan ataku.

Bazą było tureckie lotnisko Diyarbakir, położone o dwieście czterdzieści mil morskich na północny zachód od Kirkuku, uwzględniając udział tankowców KC-135, systemu AWACS i RC-135. Plan był spójny i dopięty do najdrobniejszego detalu - efekt praktyki zdobytej w czasie dwudziestu lat służby w Ta-

ktycznych Siłach Powietrznych, tak w kabinie samolotu, jak i w symulatorze. Żaden oficer sztabowy o Bóg wie jakim przygotowaniu teoretycznym nie byłby w stanie stworzyć takiego planu - do tego potrzebne było doświadczenie wynikające z praktyki. Co zresztą było całkowicie zgodne z zasadami działania US Air Force.

- To byłoby na tyle - zakończył. - Teraz doszedł problem tego Joe i jego skrzydłowego.

- Dave Harkabi opowiedział nam, jak oni to załatwiają - odezwał się Matt. - To wymaga koordynacji, ale jak się go zaskoczy we trzech...

- Dobra! - Martin stuknął palcem w fotografię na okładce magazynu. - Ten facet musi zwiększyć grono aniołków i zamierzam osobiście do tego doprowadzić. Następna kwestia to trening. Przeprogramujcie symulator na ten nalot, każda załoga ma go zaliczyć minimum cztery razy, aż wszystko będą mieli w małym palcu. Nie chcę żadnych debiutów i niespodzianek, jasne?

- Tego się nie da tak łatwo zrobić - zaprotestował Furry.

- Po pierwsze program nalotu z niskiego pułapu opracowany jest do nalotów jądrowych. Potrzebujemy zgody na zmianę, i to naprawdę z samej góry.

- „Priorytety są dziełem człowieka, nie Boga”, to chyba jedna z twoich zasad, nie? - warknął Martin.

- Owszem - przyznał Ambler. - Poza tym przeprogramowanie komputera sterującego symulatorem to nie taka prosta sprawa. Potrzeba na to ze trzy, cztery tygodnie.

Martina poderwało. Przespacerował się kilka razy tam i z powrotem i spytał niespodziewanie:

- Słyszeliście kiedyś, cwaniaki, o „Upiornym Dueciku”?

- Widząc zaskoczone spojrzenia obecnych uśmiechnął się tryumfalnie i wyjaśnił: - To para programistów rządzących symulatorem McDonnella w St Louis. Mogą go przeprogramować, na co chcą i kiedy chcą, i to piorunem, a dysponują danymi o każdym istniejącym systemie przeciwlotniczym na świecie.

- Ich symulator to cudo w stosunku do tego, co my tu mamy - zaprotestował Furry.

- I co z tego? Chcę, żeby ten tandem przeprogramował nam symulator. Załogi, które wybiorę, będą najpierw musiały dokończyć tym dwóm tępakom w symulacji lotu, a to nie będzie łatwe - obiecał Goryl. - Obaj będą tu jutro, przyrzekam!

Dennis Leander ze złośliwym uśmiechem satysfakcji sterował ręczną kontrolą symulatora lotu McDonnell Aircraft Company, wewnątrz którego pocilo się dwóch poruczników Air Force, przeżywających właśnie pierwsze w życiu spotkanie z MiG-iem 29. Dzięki programiście sromotnie je zresztą przegrywali, co ani jemu, ani Larry'emu nie sprawiało większej frajdy. Wygrali już ze zbyt wieloma pewnymi siebie asami i potrzebowali nowego typu wyzwania, by coś mogło rozbudzić ich zainteresowanie. Stigler przeciągnął się z chrzęstem stawów, ponownie udowadniając, że przezwisko „Bocian” idealnie doń pasuje.

- Daj im szansę - mruknął do Leandera.

- Dlaczego? Lepiej, że tu im skopię dupę, niż jakby to naprawdę zrobił jakiś brudas czy żółtek - odparł Denny, zabierając się za wsadzenie Archera w dyszę pechowych lotników. Nagle drzwi prowadzące na korytarz otworzyły się i do pokoju wszedł wiceprezes, firmy odpowiedzialny za produkcję F-15.

Symulacja została natychmiast zatrzymana, załoga poinformowana o krótkiej przerwie, a obaj operatorzy zaczęli się gorączkowo zastanawiać, co na nich spadnie i co się wydało. Numery, jakie podczas symulacji wycinali różnym szychom, były zbyt liczne, by próbować je wymienić, i od czasu do czasu któryś z urażonych oficerów uciekał się do oficjalnego protestu.

- Może zastanowią się przez ten czas i jeszcze z tego wyjdą - mruknął gość, spoglądając na ekrany z zatrzymaną symulacją. - Coście znowu wymyślili, he?

Stigler i Leander wymienili niepewne spojrzenia i pierwszy mruknął niechętnie:

- Ten pułkownik, co tu wczoraj był z przystojną kapitan... Wyszło nam, że on chce się po prostu przed nią popisać, więc...

- Więc za każdym razem wyszło wam, że nie może tankować w powietrzu przez różne usterki i w efekcie musiał się

katapultować. Tylko nie udawajcie zawstydzonych. Tak na marginesie: nie wywarł na niej najlepszego wrażenia. Tak na serio: pamięta może któryś z was pułkownika Mike'a Martina, który był tu z rok temu?

Obaj zgodnie przytaknęli, czemu trudno było się dziwić -ich przeżycia z Martinem były, łagodnie rzecz ujmując, niecodzienne: nie dość, że spokojnie ich pokonał, to jeszcze zabrał ich na nocną popijawę w mieście, skojarzył z trzema panienkami, spił do nieprzytomności i wrócił świeży i radosny następnego ranka na powtórkę lotu, który też wygrał.

- Dostaliśmy telefon jakieś dziesięć minut temu - wyjaśnił wiceprezes. - Martin chce was w bazie lotniczej RAF w Stone-wood, i to na wczoraj. Do jakiegoś projektu specjalnego. Co wy na to?

Leander obrócił się wraz z fotelem i włączył mikrofon:

- Panowie, jesteście wolni i szczęśliwi!

Po czym MiG-iem przeleciał ogłupiałym pilotom przed nosem dając im okazję do czystego strzału, a gdy Fulcrum eksplodował na ich oczach, Dennis i Larry pracowali już gorączkowo nad wyłączeniem całej aparatury.

Gdy obaj nieco oszołomieni porucznicy wyszli z atrapy kabiny F-15 i z pomieszczenia symulatora, przy konsolce nie było już nikogo, a drzwi prowadzące ze sterowni na korytarz stały otworem.

M113-ambulans podjechał do polowego punktu opatrunkowego. Opadła z trzaskiem tylna klapa i Hanni wraz z Shoshaną wyniosły nosze z ciężko ranną.

- Była w strefie niczyjej przez trzy dni - wyjaśniła Shoshana czekającemu doktorowi. - Miałśmy szczęście, że ją znalazłyśmy.

Tego, że straciły sześć godzin, by ponieść ranną w dół stoku pod ostrzałem wyjątkowo złośliwego snajpera, już nie mówiła - bo i po co.

- Proszą o transport dla rannych jeńców - odezwał się szeregowy obsługujący polowy telefon.

Shoshana wzięła od niego namiary, powtarzając je parokrotnie - telefonista był rezerwistą zdrowo po sześćdziesiątce

i wołała się upewnić.

- Na froncie spokój, więc wzięli się za jeńców - wyjaśnił na koniec telefonista. - Pewnie chcą ich przesłuchać.

Doświadczenie uczyło, że łagodne zadawanie pytań przez lekarza w trakcie zakładania rannemu jeńcowi opatrunku dawało znacznie lepsze rezultaty niż typowe przesłuchania. Lekarz musiał przy tym być mężczyzną i władać arabskim, inaczej jeńcy nie pisnęli ani słowa.

Dla Shoshany wojna była teraz nieskończonością krótkich kursów między linią frontu a punktem opatrunkowym. Dla oszczędności czasu wyjeżdżała dwunastotonowym transportem na pole walki i często pod ostrzałem ładowała rannych, używając M113 jako tarczy. Ona i Hanni stanowiły zgrany zespół i cała operacja - od podjechania do rannego do załadowania go na pokład i ruszenie - zajmowała im mniej niż minutę.

Do obozu dotarli wraz z kolumną zaopatrzeniową, w ciszy i spokoju. Hanni siedziała w otwartym wózku, a przez całą drogę nie padł ani jeden strzał.

Podjechały pod klatkę z drutu kolczastego, która z oddali do złudzenia przypominała tymczasowy obóz jeniecki, i zjadły śniadanie, czekając, aż Żandarmeria Polowa przyprowadzi jeńców.

- Myślę, że szykujemy się do dużego kontrataku - stwierdziła Hanni, przelitykając ostatni kęs.

- Kiedy?

- Za jakieś czterdzieści osiem godzin. Nadal wycofują uszkodzone czołgi i niewiele świeżych wojsk jedzie ku linii frontu.

- Przydałoby się trochę wyspać i wziąć prysznic - rozmarzyła się Shoshana, oparta wygodnie o burtę transportera, rzucającą zbawczy cień.

- I wyprać rzeczy - dodała Hanni.

Shoshana podwinęła rękawy kombinezonu dostarczonego przez Lillian.

- Trzeba ci się postarać o coś takiego - zdecydowała - jest wygodniejszy i szybciej schnie niż normalny mundur.

- I tak nie będę w nim tak szykownie wyglądać jak ty - uśmiechnęła się Hanni.

-

Dalszą wymianę uprzejmości przerwało im pojawienie się żandarma z czterema jeńcami niosącymi parę noszy, które zostały przypięte do uchwytów na burtach transportera. Żandarm skuł jeńców i spytał:

- Macie broń?

W odpowiedzi Hanni przeładowała galila, który zawsze miały ze sobą. Karabinek automatyczny to dobra broń, a woziły już rannych jeńców bez straży, jako że każdy zdrowy potrzebny był na froncie.

Podróż powrotna minęła bez incydentów - jeńców odstawili do obozu na tyłach, a same pojechały zatankować paliwo. Dyżurny mechanik uparł się obejrzeć silnik, w którym „coś stukalo”, jak to precyzyjnie określił, toteż gdy on zajmował się dieslem, one zabrały się za sprzątanie wnętrza transportera, w którym pełno było arabskich gazet, pustych pojemników żywnościowych i innego śmiecia pozostawionego przez jeńców.

- Dlaczego pozwalają im zatrzymać ten cały śmietnik? - zdziwiła się Hanni.

- To są rzeczy osobiste, a w dodatku oni dopiero co dostali się do niewoli - wyjaśniła Shoshana, biorąc do ręki pierwszą z brzegu gazetę.

Odruchowo spojrzała na wydrukowane na pierwszej stronie zdjęcie i nogi się pod nią ugięły.

- Co się stało? - spytała przestraszona Hanni, widząc, jak koleżanka słańia się i osuwa na kolana.

- Znałam go - wykrztusiła Shoshana, pokazując zdjęcie Habisha powieszzonego na kairskim placu.

Hanni przeczytała artykuł dotyczący fotografii i streściła go w kilku zdaniach.

- Nazywał się Gad Habish - dodała Shoshana. - I pracował dla Mossadu.

- Ktoś bliski? - spytał mechanik, zwabiony nagłym zamieszaniem.

- Ktoś, kogo znałam, ale nie powiedziałabym, żeby mi był bliski... - Umilkła, próbując dojść do ładu z własnymi uczuciami w stosunku do Gada.

Zawsze winiła go za śmierć Many i za to, czym się sama stała: morderczynią i dziwką. Starła się o nim nie myśleć i przez dłuższy czas całkiem skutecznie jej się to udawało; tylko dlatego w takim razie na wieść o jego śmierci nie odczuła ulgi? Prawdę mówiąc, nie czuła zupełnie nic. Czyżby stałe obcowanie ze śmiercią wypaliło w niej uczucia? Nagle otworzyły się jakieś wewnętrzne drzwi i uczucia załazy ją niczym przypływ. Przypomniała sobie słowa Habisha: „W naszej pracy trzeba nauczyć się ignorować uczucia, ale należy pamiętać, że one nadal istnieją. Będą ci potrzebne, gdy skończysz zadanie. Dzięki nim bowiem pozostaniesz istotą ludzką. Nie ma innej możliwości”.

Powoli uspokoiła się, uświadamiając sobie, gdzie jest.

- Czy my mamy jakiś wybór? - spytała i dopiero wtedy dotarło do niej, że zadała to pytanie na głos.

- Nie, dziecko. - Hanni klęczała obok, obejmując ją i tuląc. - Nie mamy wyboru.

Mechanik odwrócił wzrok, nie chcąc przeszkadzać, i zauważył zielonkawy przedmiot w kącie wozu.

- A to co znowu? - zdziwił się, wygrzebując to coś butem i turlając w stronę klęczących.

Shoshana rozpoznała ową rzecz natychmiast i czym prędzej podniosła.

- Myślałam, że to byli syryjscy jeńcy - szepnęła.

- Bo byli - stwierdziła Hanni.

- To skąd się to wzięło? - spytała Shoshana, pokazując towarzysze automatyczną strzykawkę zawierającą antidotum na najnowszy iracki gaz paraliżujący.

Trzydzieści pięć kilometrów to obiektywnie niewiele, dla Shoshany i Hanni jednak taka odległość oznaczała radykalną zmianę otoczenia: obie brały właśnie prysznic w łazience internatu należącego do kompleksu szkolnego położonego o trzydzieści pięć kilometrów na południe od granicy. Czternaście godzin wcześniej wycofano je z linii, załadowano wraz z dwunastoma innymi kobietami na ciężarówkę i przysłano tu właśnie na odpoczynek. Aż trudno było uwierzyć, jak cudowny wpływ na ich morale miał ciepły posiłek, dwanaście godzin nieprzerwanego snu i prysznic. Po raz pierwszy od wielu tygodni Shoshana cieszyła się świetnym samopoczuciem i znów chciało jej się żyć.

- Łap!

Hanni rzuciła jej szampon i Shoshana rozplotła warkocz, pozwalając włosom opaść swobodnie, po czym zaczęła je zaciekle myć.

- Są za długie - przyznała po chwili ze smutkiem, który nie zdołał zakłócić ogarniającego ją poczucia odprężenia i świeżości.

Wyszła z kabiny i zajęła się praniem ubrania w wannie, którą to zbożną czynnością zajmowały się już trzy inne dziewczyny. Kombinezon Matta wyprał się świetnie, ale bieliznie nie dało się przywrócić pierwotnej czystości.

Otulona w ręcznik kąpielowy, podobnie jak Hanni, wyszła potem na boisko, gdzie rozłożyły ubrania i same wyciągnęły się na trawie. Ciepłe słońce szybko ukołysało je do snu.

Hanni obudziła Shoshanę, potrząsając ją za ramię.

- Musimy przenieść się w cień, albo spieczemy się na raka. Zebrały rzeczy i torby i wróciły na taras. Wszystkie krzesła

i leżaki były zajęte, rozsiadły się więc na podłodze. Shoshana zaczęła szcزتkować włosy i skrzywiła się z niesmakiem:

- Muszę coś z nimi zrobić - oznajmiła.

- Spróbuj je jakoś związać zamiast zaplatać w warkocz - doradziła Hanni.

Shoshana po krótkich poszukiwaniach wygrzebała z torby nożyczki i dokładnie obejrzała długi suwak z przodu kombinezonu.

- Ta klapka za suwakiem okropnie mnie drapie - wyjaśniła zaskoczona Hanni. - Diabli wiedzą, po co w ogóle ją przyszyli.

Metodycznie odcięła pas materiału, dzięki czemu uzyskała całkiem pokazną wstążkę, którą przy pomocy Hanni związała z tyłu włosy w koński ogon. Obie ubrały się w wysuszone rzeczy i Shoshana poszukała lustra, przed którym określiła się, studiując własne odbicie.

- Głupota - mruknęła. - I pomyśleć, że kiedyś strój i wygląd były dla mnie najważniejsze na świecie.

- Po prostu wydorosłaś - poinformowała ją Hanni. - Chodź, zjemy coś.

- Znowu? Będziemy grube jak becзки!

- Mocno w to wątpię - odparła Hanni, maszerując do stolówki.

W głośniku wiszącym na ścianie coś zgrzytnęło, charknęło i metaliczny głos oznajmił, że za dziesięć minut przed wejściem będzie czekał autobus. W jadalni zapadła ciężka cisza.

Shoshana wprowadziła transporter pod osłonę siatki maskującej, w gęstym mroku ledwie widząc naprowadzającego ją żołnierza. Wyłączyła silnik i wystawiła głowę przez właz, zaskoczona panującą wokół ciszą.

- Jak myślisz, gdzie jesteście? - spytała stojącą w górnym luku Hanni.

- W pobliżu frontu, za granicą Libanu.

- Potwornie tu cicho...

Z ciemności wyłonił się mężczyzna i polecił stłumionym głosem:

- Jedna z was pójdzie ze mną; tylko, na litość boską, cicho i bez świateł.

Shoshana wydostała się z M113 i ruszyła za mężczyzną uważając, by go nie zgubić, gdyż ostro kluczył - najwyraźniej dobrze znał teren. Po drodze zebrali dwóch dowódców kompanii i dowódców plutonów wchodzących w ich skład i dotarli wreszcie do batalionowego punktu dowodzenia, mieszczącego się w jaskini położonej na przeciwstoku.

Wnętrze było jasno oświetlone, a przewodnik okazał się człowiekiem niskim i dziwnie przypominającym łasicę.

- Mam wszystkich, Mosze - zameldował Nazzi Halaby mężczyźnie siedzącemu na skrzynce po pociskach sto pięć milimetrów.

Shoshana dokładnie mu się przyjrzała: wszystkie zmysły informowały ją, że jest w nim coś dziwnego, coś, co wyróżniało go spośród obecnych. Sądząc z nierównej opalenizny musiał chyba niedawno ćgolić pokąźną brodę; był równie niewysoki jak Halaby, ale bardziej korpulentny; miał dziwnie magnetyzujące oczy, a jego zachowanie pozwalało się od razu domyślić, kto tu rządzi.

- Nie wszyscy mnie znają, zacznę więc od przedstawienia się - powiedział niskim głosem, wstając. - Jestem Mosze Levy i podobno jestem już podpułkownikiem, co zresztą i tak nie ma znaczenia.

Stojący obok Shoshany chłopak drgnął, słysząc to nazwisko, i dopiero ta reakcja otworzyła w jej umyśle jakąś klapkę: to był ten Levy, żywa legenda północnej granicy. Jego batalion oficjalnie zwano Levy Force, a plotka głosiła, że kierowano go wszędzie tam, gdzie walki były najcięższe, a sytuacja najbardziej krytyczna. Levy utrzymywał pozycje uznane za nie do obrony, kontratakował w sytuacjach, w których powinien się bronić, i wygrywał. Podoficerowie wymyślili określenie „Szczęście Levy’ego”, które błyskawicznie znalazło się w użyciu, nawet w oficjalnych raportach z udanych zadań.

- Znaczenie ma co innego - ciągnął tymczasem Levy - powód, dla którego tu jesteśmy.

Wskazał na wiszącą na ścianie mapę.

- Dowództwo naszej brygady spodziewa się, że przeciwnik,

czyli iracka dywizja pancerna, przed świtem rozpocznie kontratak. Dlatego jesteśmy wkopani na tym wzgórzu zamykającym południowe wyjście z długiej doliny. Irakijczycy powinni atakować wzdłuż niej i nadziać się prosto na nas, a naszym zadaniem jest powstrzymać ich na tyle długo, by artyleria i lotnictwo zrobiły z nich miazgę. Następnie, w zależności od stanu, w jakim będziemy się znajdować, albo poprowadzimy kontratak, albo przepuścimy przez nasze pozycje resztę brygady.

Nikogo nie zaskoczyło, że brygada ma kontratakować dywizję, ale gdzieś z tyłu jaskini dało się słyszeć niskie zawrozczenie.

- Zamknij się, Avner - polecił Levy, nie podnosząc głosu.

- To mój ładowniczy, który sądzi, jak to słychać, że prowadzenie kontrataku nie pozwoli mu dożyć starości. Osobiście zgadzam się z nim i dlatego nie będziemy tego robić.

Następnie, posługując się mapą, dokładnie wyjaśnił, jak będą walczyć. Batalion został podzielony - on sam wraz z jedną kompanią blokował wylot doliny, dwie zaś pozostałe kompanie miały przesunąć się pod osłoną ciemności na zachodnią stronę doliny, by wzmocnić placówki utrzymujące zachodni stok, skryć się za grzbietem wzniesienia i oczekiwać na rozkaz ataku. Zamiast ataku czołgowego da to kontratak na prawe skrzydło irackiej dywizji pancerniej, a zaskoczenie umożliwi rozcięcie arabskiej formacji. Celem było pasmo wzgórza po wschodniej stronie doliny, gdzie po przegrupowaniu zostaną wyznaczone nowe cele.

- Kiedy ruszamy? - zapytał jeden z dowódców kompanii.

- Jeśli Irakijczycy będą zachowywać się rutynowo, to na godzinę przed atakiem wyślą trzy, cztery automaty rozpoznawcze. Pozwolimy pierwszemu przelecieć spokojnie i zobaczyć to, co zobaczyć powinien, a resztę zestrzelimy. Zaraz potem ruszacie. Przy odrobinie szczęścia nie będą mieli o niczym pojęcia.

Podporucznik, świeżo po Szkole Wojsk Pancernych, poruszył się niespokojnie, najwyraźniej niezadowolony z tego, co usłyszał.

- Czy nie powinniśmy przedyskutować innego planu? - spytał poważnie, co było najlepszym dowodem, że jeszcze nie brał

udziału w walkach. - Ten zajmuje się tylko początkowym etapem operacji, a co dalej? Chciałbym wiedzieć, co mam robić oprócz tego, że dotrę na drugą stronę doliny.

Przemawiał przez niego brak doświadczenia i obawa, a raczej strach przed mimowolnym dopuszczeniem się najgorszego, co można powiedzieć o izraelskim oficerze: że uciekł z pola bitwy. Obiektywna informacja ani brak informacji nie były tu żadnym usprawiedliwieniem.

- Nie myśl o tym w kategoriach pierwszego, drugiego czy trzeciego etapu natarcia, bo może to być etap jedyny - wyjaśnił Levy. - Myśl o trzech czy czterech opcjach, jakie możesz wykrzesać po przegrupowaniu po wschodniej stronie doliny.

Shoshana jęknęła w duchu: zaczynała się standardowa dyskusja nad rozkazami. Albowiem dla typowego izraelskiego oficera rozkazy były punktem wyjścia do dyskusji, która mogła się ciągnąć w nieskończoność, jeśli tylko były ku temu warunki.

- Wiem, co ci chodzi po głowie - dodał Levy. - Niekompetentne zaplanowanie akcji.

Milczenie podporucznika było wystarczającym potwierdzeniem.

- Proponuję, abyś zastanowił się nad sytuacją, w której jesteśmy - odezwał się po kilku sekundach Levy. - Mamy połowę etatowych stanów ludzi i sprzętu, jesteśmy zmęczeni jak diabli i mamy kontratakować! Nie wydaje ci się to nieco absurdalne?

- Naszym zadaniem jest atakować - odparł podporucznik, niemal cytując główną zasadę izraelskich pancerniaków.

- Bo nie mamy miejsca, by się cofnąć, prawda? - dokończył za niego Levy, który podobne argumenty słyszał już wielokrotnie.

Ci świeżo po szkole zawsze byli niecierpliwi i chcieli walczyć zgodnie z regulaminem. On sam chciał jedynie przeżyć.

- A wszystkie nasze wojny winny być krótkie i rozstrzygające, prawda? - dodał. - I nigdy definitywnie nie zdołamy pokonać naszych arabskich wrogów, tak?

Były to podstawowe zasady, zgodnie z którymi funkcjonowały izraelskie siły zbrojne.

- No to popatrz na naszą sytuację: w wyniku ataku przenieśliśmy walkę na teren wroga i jesteśmy w doskonałej pozycji obronnej, dzięki czemu siłami brygady o niepełnych stanach możemy powstrzymać dywizję. Jeśli w dodatku przetniecie ich zgrupowanie, to co osiągniemy?

- Artyleria i lotnictwo zniszczą zdolność bojową pierwszego eszelonu, a my drugiego.

- I?

- Dolina stanie się pułapką bez wyjścia. - Młodemu oficerowi zaczynało coś świtać.

- Powiedziałem, że po przegrupowaniu masz zastanowić się, jakie opcje ci zostały. Co nastąpi, jeśli wtedy zaatakujesz?

- Wdamy się w walkę z trzecim eszelonem, który będzie nas oczekiwał, a my będziemy osłabieni dotychczasowymi walkami i możemy w wyniku tej walki ponieść bardzo ciężkie straty.

- A czy istnieje lepsze wyjście? - spytał Levy, przełamując stopniowo programowanie wbite młodzieńcowi do głowy w Szkole Wojsk Pancernych.

- Jeżeli trzeci eszelon wejdzie w dolinę, należy zmiękczyć go nawałami artyleryjskimi i bombardowaniem, a potem zaatakować albo od czoła, albo z flanki - odparł myślący intensywnie porucznik.

- A jak zdecydujemy, kto ma atakować?

- Po rozpoznaniu, gdzie jest najmniejszy opór.

Dyskusja kończyła się, a podporucznik dobrowolnie „robił” właśnie to, co polecił mu kilka minut temu Levy.

- Spieszę piechotę zmotoryzowaną, ubezpieczę pozycję i ponieważ prawdopodobnie stracę kontakt przy przekraczaniu doliny, odtworzę go jak najszybciej. Aha... - do młodzieńca w końcu dotarło, o co chodziło Levy'emu - w zależności od sytuacji w dolinie albo będą siedział cicho, albo włączyć się do ogólnej egzekucji.

- I pamiętaj, by utrzymywać straty w ludziach na jak najniższym poziomie - dodał Levy. - Panowie, jesteście wolni.

Obecni zaczęli wychodzić, a Levy zatrzymał gestem Shoshanę.

- To twój pierwszy raz? - spytał.

- Nigdy nie brałam udziału w walkach - przyznała.

Levy ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Po zwiadzie lotniczym możemy się spodziewać ostrzału artyleryjskiego, więc wycofamy się nieco, zostawiając tu kilku obserwatorów i patrole przeciwpancerne, aż do chwili gdy nasza artyleria zdoła zniechęcić ich artylerię do ostrzeliwania naszych pozycji. Skomplikowane, nie? W każdym razie mój czołg będzie koło waszego transportera, więc wystarczy, żebyście uważały na to, co robię, i robiły to samo. Trzymajcie się blisko, dopóki nie będziecie potrzebne.

Radiostacja w jaskini nagle ożyła, meldując o zdalnie sterowanych samolotach zwiadowczych.

- Cholera! - zaklął Levy. - Jest ich za dużo. To rakiety!

Ostrzec wszystkich, żeby nałożyli maski przeciwgazowe i odzież NBC!

Shoshana wypadła z jaskini - jej maska i reszta ubioru ochronnego były w transporterze. Biegając, zastanawiała się, dlaczego Levy sądził, że to atak gazowy, i miała jednocześnie nadzieję, że się pomylił.

Kiedy o tym mówisz, wszystko wydaje się takie proste - szepnęła gardłowo Tara, głaszcząc Frasera po udach.

Leżeli nadzy w łóżku w jego apartamencie, gdzie skłoniła go do opowiedzenia jej, jak kierował kampanią wyborczą Pontowskiego, wpompowując odpowiednie kwoty komu i kiedy było trzeba. Do pełnego obrazu brakowało jej jedynie nazwiska pośrednika.

- Jesteś geniuszem - przyznała, kładąc się na nim.

Fraser mruknął coś zadowolony i przez głowę przemknęła mu myśl o małżeństwie, ale natychmiast ją porzucił. Tara natomiast zdecydowała, że najwyższy czas dowiedzieć się tego ostatniego szczegółu i skończyć z Fraserem. Wyśliznęła się z łóżka, wzięła butelkę szampana i prowokacyjnie kręcąc dupcią oddaliła się do łazienki, skąd dobiegł go wkrótce szum wody i odgłos strzelającego w sufit korka.

Po kilkunastu sekundach pojawiła się w drzwiach osnuta parą, kiwnęła na leżącego palcem i znów zniknęła w łazience. Podekscytowany i ciekawy, posłusznie poszedł za nią.

Podprowadziła Frasera do wpuszczonej w podłogę wanny i położyła na plecach w płytkiej, ale gorącej wodzie. Następnie wyszorowała go ostrą gąbką, aż skóra się zaczerwieniła, po czym zniknęła na chwilę, by wrócić z czarnym etui. Przysiadła na brzegu wanny, przerzucając nogi nad leżącym, i otworzyła etui, z którego wyjęła brzytwę i oselkę. Zabrała się za ostrzenie oszczędnymi ruchami wskazującymi na długoletnią praktykę, od czasu do czasu spoglądając na Frasera. Po chwili zadowolona przejechała ostrzem po nodze i schowała oselkę.

Fraser półdrzemał, ukojony ciepłą wodą i bezruchem, toteż jęknął zaskoczony, gdy Tara, niczym na koniu, siadła mu okrakiem na brzuchu zwrócona twarzą ku jego stopom. Odrzuciła w tył włosy i spojrzała na niego wymownie przez ramię, obliczając znacząco wargi.

- Żadne takie - zaprotestował, próbując wstać, ale ścianki wanny były zbyt śliskie, by mógł się na nich wesprzeć. Zignorowała to przesuwając pośladki na jego pierś i silniej obejmując go nogami. Pochyliła się i przejechała ostrzem brzytwy po wewnętrznej stronie jego uda, po czym złapała butelkę szampana i wylała nieco pianistego płynu na świeżo ogolone miejsce.

- Nie - jęknął, gdy zlizywała alkohol, ale znów go zignorowała, zabierając się za krocze.

Fraser z trudem łapał oddech, czując łomot serca, ostrze na przyrodzeniu i pośladki dziewczyny na piersiach. Potem zimny szampan i gorący język na erekcję, i nagły ból w piersiach.

- Przestań... proszę - wykrztusił i doznania zawirowały niczym w kalejdoskopie.

Ból w piersiach powrócił, tym razem mocniejszy, łapiąc niczym kleszcze.

Zanim zmarł, zrozumiał, o co naprawdę chodziło Tarze.

Dziewczyna poczuła jego bezwład i obejrzała się przestraszona. Wytrzeszczone oczy, otwarte usta i znieruchomiałe rysy Frasera powiedziały jej wszystko. Pośpiesznie wyskoczyła z wanny, pobiegła do pokoju i ubrała się, co ją nieco otrzeźwiło. Opadła na podłogę i przez prawie kwadrans siedziała tam nieruchomo, uspokajając oddech i porządkując myśli.

Już opanowana, wstała i doprowadziła do ładu mieszkanie, usuwając ślady swej obecności. Zostawiła odpowiednio niezastłane łóżko na dowód, że Fraser z kimś w nim baraszkował, sugerując zarazem, że owa anonimowa towarzyszka zabawy wyszła na długo przed jego śmiercią na zawał.

Wypuściła wodę z wanny, obmyła trupa z lepkich resztek szampana i ogolonych włosów, po czym napełniła wannę gorącą wodą, by zmyć patologa co do faktycznego czasu zgonu. Starannie wytarła odciski palców ze wszystkiego, co przyszło jej do głowy, wypisała notatkę: „Zadzwoń rano”, którą położyła na nocnym stoliku, i jeszcze raz dokładnie sprawdziła całe mieszkanie, chcąc mieć pewność, że niczego nie przeoczyła.

Po czym zadowolona z własnej przebiegłości wyszła, zatrzaśnięta za sobą drzwi.

Shoshana i Hanni były w transporterze, gdy eksplodowała pierwsza rakietą. Obie przywarły do peryskopu, rozglądając się gorączkowo.

- Levy miał rację - mruknęła Hanni - zbyt słaby wybuch jak na konwencjonalną głowicę. Trzy... cztery... - liczyła. - Nie rozumiem: padają zupełnie przypadkowo! Pięć... sześć...

- Gaz jest bronią obejmującą swym zasięgiem duży obszar - wyjaśniła Shoshana, próbując stłumić panikę. - Nie muszą trafić punktowno, by zadziałał tam, gdzie chcą. Nie znają naszego dokładnego położenia, więc strzelają według mapy w kwadrat, w którym musimy być.

Zdecydowała się nie mówić Hanni o nieskuteczności masek i ubiorów ochronnych, bo i tak nic na to nie mogły poradzić. Jedyne nadzieje leżała w tym, że nie był to ów najnowszy gaz binarny z Kirkuku.

- I co zrobimy? - spytała Hanni.

- To samo, co planowano, tylko w maskach i kombinezonach NBC.

Radio zatrzeszczało, ostrzegając o kolejnej fali rakiet, ale okazało się, że tym razem były to automaty zwiadowcze, których spodziewał się Levy. Kolejny raport identyfikował gaz jako VR55, stary sowiecki gaz paraliżujący, przeciwko któremu

izraelskie maski i ubrania ochronne były doskonałym zabezpieczeniem.

- No to posiedzimy sobie w tej gumie - stwierdziła Shoshana.

- Słyszę dziwną ulgę w twoim głosie... - zaczęła Hanni, ale przerwał jej kolejny komunikat, rozkazujący wycofanie się.

Shoshana uruchomiła silnik, a Hanni niespodziewanie spytała:

- Jaki jest ten Mosze Levy?

- Inny, niż się człowiek spodziewa... cichy i jakby zamknięty w sobie, ale kiedy do ciebie mówi... Nie potrafię tego wytłumaczyć... Jakoś chce się go słuchać i wykonywać jego rozkazy.

- Żonaty?

- Hanni, bądź poważna!

- A niby czemu?

Twarz Ben Davida przypominała granitową maskę, gdy usłyszał pierwszy meldunek o użyciu przez wojska irackie gazów. W dodatku oznajmiono mu to w centrum operacyjnym i wszyscy odruchowo zwrócili się ku niemu, czekając na rozkazy.

- Ile? Gdzie? Jakie? Ofiary? - warknął, waląc pięścią w oparcie fotela.

Minęło kilkanaście sekund, zanim nad sobą zapanował - akurat teraz była najgorsza pora na wpadanie w furję.

Kolejno napływały nowe dane: ograniczony atak taktyczny w liczbie sześciu rakiet, i to na terytorium Libanu, nie Izraela. Strat w ludziach nie było, a gaz okazał się starym sowieckim specyfikiem, na który od dawna posiadano odtrutkę.

- Irak sprawdza naszą reakcję - mruknął Ben David. - Ale dlaczego rakiety? Zawsze sądziłem, że najlepsze są bomby lotnicze albo pociski raketowe.

- To próba oszukania nas - wyjaśnił siedzący obok generał lotnictwa. - Chcieli, by wojsko uznało je za bezpilotowe automaty używane do zwiadu lotniczego i aby gaz złapał ich nieprzygotowanych. Mieli pecha, bo znów zadziało „Szczęście Levy’ego”.

- Ten człowiek jest chyba zaczarowany - zgodził się premier.

- Odpowiemy im jakoś?

- Jakie ponieśliśmy straty?
- Żadnych.
- Więc poczekamy - zdecydował Ben David, starannie ukrywając przepelniającą go wściekłość.

M₁₁₃ podjechał do przodu na starą pozycję, kierując się ruchami czołgu Levy'ego. Prowadzenie sprawiało Shoshanie sporą trudność, gdyż peryskop i maska gazowa dziwnie się nawzajem wykluczały, a kombinezon NBC był niczym łaźnia parowa: dziewczyna zaczynała kąpać się we własnym pocie. Hanni lepiej sobie radziła w tych warunkach, więc wymieniły się miejscami. Gdy znalazły się pod siatką maskującą na swoim poprzednim stanowisku, na wschodzie zamigotały pierwsze promienie słońca.

W dolinie widać było ruch zbliżających się ku nim pojazdów, lecz radio nadal milczało.

Tara siedziała przy kominku w bibliotece ciotki, rozgrzewając się ciepłem płomieni.

- Kochanie, takie rzeczy się zdarzają - pocieszała ją B.J., nalewając nową filiżankę herbaty. - Na twoim miejscu zrobiłabym dokładnie to samo.

Był to jak na nią jeden z największych komplementów.

- Teraz musimy porozmawiać o przyszłości - oznajmiła Allison rozsiadając się w swym ulubionym fotelu i pograżając w myślach.

Siłą B.J. była zdolność błyskawicznej oceny sytuacji w miarę jej rozwoju i szybkość, z jaką znajdowała nowe możliwości czy rozwiązania. Zamiast myśleć utartymi kategoriami, że A plus B daje C, krążyła myślami wokół problemu, atakując go ze wszystkich stron i w końcu znajdując coś, co można było wykorzystać.

Równocześnie oceniała Tarę, zupełnie zresztą niezależnie od analizowanej sytuacji. Gdyby dziewczyna okazała się przeszkodą, pozbyłaby się jej bez wahania, choć z żalem - była bowiem do niej nie tylko przywiązana: była z Tary dumna. Wiek nie przytępił jej umiejętności dedukcji, za to dodał doświadczenia, dzięki czemu była naprawdę groźną przeciwniczką.

- Kiedy gazety rozdmuchają sprawę, sądzę, że najlepiej będzie, jak zadzwonisz do pewnego porucznika policji, którego nazwisko ci podam, i powiesz mu, że to ty byłaś ową „tajemniczą kobietą”, ale gdy wychodziłaś, Fraser spał we własnym łóżku - zdecydowała. - Ujawnij mu swoje nazwisko, ale nie od razu: niech je z siebie wyciągnie.

Zanim Tara zadzwoni, rzeczony porucznik „odkryje” już świadka, który przysięgnie, że Tara wyszła z budynku grubo przed śmiercią Frasera.

- Musimy zmienić kierunek - stwierdziła Allison, odstawiając filiżankę. - Te pieniądze przepadły i należy o nich zapomnieć. Pamiętasz, mówiłam ci o kimś, z kim moim zdaniem powinnaś się spotkać. Chciałabym tego. To szejk Mohammed al-Khatub. Sądzę, że o nim słyszałaś? Doskonale. Zorganizuję wszystko tak, byście się mogli spotkać jutro wieczorem. Bardzo ważne jest, by nabrał do ciebie zaufania, i to szybko. Musimy znać termin nowego embarga naftowego!

Allison wiedziała bowiem, że na tym także można zarobić, o ile oczywiście jest się uprzedzonym przed faktem; szkoda tylko, że mogła jedynie reagować na wydarzenia, a nie kontrolować ich przebieg. Co się zaś tyczy Pontowskiego, to przyrzekła sobie, że rozliczy się z nim przy innej okazji, a w to, iż takowa się nadarzy, nie wątpiła ani przez chwilę.

Radio ożyło, gdy pierwsza salwa artylerii izraelskiej rozerwała się wśród arabskich czołgów. Levy nakazał kompaniom wstrzymać ogień do przerwania nawały artyleryjskiej. Działa musiały po określonym czasie zmienić pozycje, jeśli nie miały stać się celem ostrzału irackiego, a wtedy przyjdzie pora czołgistów. Nagle ostrzał ustał i Shoshana usłyszała zbliżający się huk odrzutowców.

Trzy stuknięcia w tylną klapę przywołały ją do rzeczywistości, toteż czym prędzej przekręciła peryskop. Żołnierz w pełnym stroju ochronnym zmywał transporter, trzymając oburącz węża podłączonego do niewielkiej cysterny, a dwóch innych szorowało maszynę szczotkami na długich kijach. Jak zwykle drużyna odkażająca działała w trakcie walki.

Gdy skończyli, polewający dał jej znak ręką, by opuściła

rampe. Sprawdzili wnętrze nie zdejmując maski, i dowódca przybliżył głowę do głowy Shoshany i powiedział głośno:

- Czysto, ale w maskach i kombinezonach zostańcie przez pół godziny. Zresztą lepiej w ogóle nie zdejmować kombinezonów: tamci zawsze mogą powtórzyć ostrzał. Zamknijcie rampę i poczekajcie, ten gaz rozkłada się szybciej, niż sądziliśmy.

I zespół zabrał się za kolejny pojazd.

Radio ożyło gwałtownym wezwaniem o pomoc, gdy żołnierze utrzymujący północne brzegi doliny znaleźli się pod ostrzałem, a chwilę później - pod zmasowanym atakiem irackich czołgów. Levy nie odezwał się. Gdy Phantomy skończyły atak, najbliższy czołg był o dwa kilometry od stanowiska transportera. Dwa irackie czołgi eksplodowały, gdy ostatnie Mavericki trafiły w cel i było po nalocie.

W tym dopiero momencie w radio rozległ się głos Levy'ego, nakazujący otwarcie ognia - i w istocie wzgórze eksplodowało skoncentrowanym ogniem. Shoshana ograniczyła obserwację do tego, co leżało bezpośrednio z przodu, a tym czymś były trzy irackie czołgi posuwające się w odwróconym trójkącie prosto na jej M113. Wóz Levy'ego wyszedł z wykopu, hamując ostro, ledwie wieża znalazła się ponad grzbietem. Odpalił dwa pociski i cofnął się błyskawicznie. Dwa irackie czołgi okryły się dymem, ale trzeci wyminął płonący wrak wozu dowódcy i nadal posuwał się prosto ku niej, obracając wieżę, aż wylot lufy spojrział Shoshanie prosto w oczy.

- Hanni! Do tyłu! - zawołała, obserwując z przerażeniem, jak T-72 daje ognia.

Transporter szarpnął w tył i znieruchomiał - silnik zgasł. Pocisk eksplodował o trzydzieści metrów przed wozem, a lufa T-72 uniosła się nieco, by oddać łuskę. Shoshana słyszała od weteranów bitew pancernych, że T-72 wpierv lekko unosi lufę, by pozbyć się łuski, a potem pochyla ją, by automatyczna karuzela ładująca mogła wprowadzić nowy pocisk do komory naboju. Gdy następnie lufa trochę się unosi, oznacza to, że wóz gotów jest do kolejnego strzału, wystarczy jedynie wybrać cel i nacisnąć spust. Słyszając próby czynione przez Hanni, by uruchomić silnik, Shoshana obserwowała wszystkie te etapy po kolei i była pewna, że zginie.

Czołg Levy'ego wyjechał, gdy lufa T-72 była opuszczona, a wycelował, gdy zaczynała się podnosić powtórnie. Stopiątka M60 zagrzmiała, gdy lufa znieruchomiła patrząc prosto w peryskop, by w następnej sekundzie zniknąć wraz z resztą czołgu w chmurze ognia. Iracki czołg zapalił się, a silnik M113 ożył i transporter ruszył w tył.

- Karetka, jesteście cali? - odezwało się radio głosem Levy'ego.

- Cali - odparła Shoshana, dotykając mikrofonu maską, która na szczęście zniekształcała głos.

Inaczej Levy na pewno by usłyszał jego drżenie.

- To dobrze - ucieszył się Levy. - Poczekajcie, bo będziemy was potrzebować...

Hanni czym prędzej zatrzymała maszynę - charyzma Levy'ego działała nawet przez radio.

- Karetka - odezwał się ponownie - placówka TOW o czterysta metrów w lewo i sto metrów w dół zbrocza potrzebuje medyka. Ruszajcie!

Transporter ruszył do przodu i gdy znaleźli się na grani, Shoshana po raz pierwszy miała przed sobą pełną panoramę bitwy. Dolinę zaścieniały kłęby czarnego dymu z płonących czołgów i transporterów. Z prawej dostrzegła irackie wozy przegrupowujące się do kolejnego natarcia, toteż profilaktycznie przestawiła peryskop do tyłu, by sprawdzić, jak wygląda ewentualna droga odwrotu. Wtedy dotarło do niej, że kilka minut wcześniej zupełnie niepotrzebnie spanikowała: ich transporter był tak dobrze ukryty w wykopie pod siatką maskującą, że z miejsca, w którym się teraz znajdowała, było go widać tylko wtedy, kiedy ktoś wiedział, czego szuka. To, że przez uniesiony peryskop widziała iracki T-72, wcale nie oznaczało, że czołg widział ją. Najprawdopodobniej jego załoga nawet nie podejrzewała istnienia M113, koncentrując się na M60, który sekundę wcześniej zniszczył dwa wozy ich plutonu.

Od wspomnień przywołał ją do rzeczywistości łoskot rykoszetów, gdy po prawej burcie przejechała seria z karabinu maszynowego. Transporter pokryty był przez izraelskie zakłady zbrojeniowe pancierzem Toga, a te lekkie płyty ze spieku węglowego były w stanie zatrzymać pociski kalibru czternaście

koma pięć milimetra. Normalny karabin maszynowy był więc całkowicie niegroźny.

- Skąd strzelali? - spytała Hanni, koncentrując się na prowadzeniu wozu.

Shoshana przekreśliła peryskop w prawo: iracki BMP gnał ile mocy w silniku ku temuż patrolowi TOW, do którego i one zmierzały. BMP został trafiony w wieżę, co wyłączyło z akcji jego gładkolufowe działo kalibru siedemdziesiąt trzy milimetry i wyrzutnię Saggerów, ale przez strzelnicę w burtach przedziału desantowego któryś z żołnierzy próbował wyłączyć z akcji izraelski ambulans.

- Czy te gnoje nie widzą czerwonego krzyża? - Hanni najwyraźniej dostrzegła, co się dzieje.

Odpowiedzią były kolejne pociski, gdy towarzysze strzelca przystąpili do akcji, trafiając w jaskrawoczerwony znak wymalowany na węglowym panczerzu.

Oba wozy były na kursie zbieżnym i do kolizji musiało dojść w miejscu, w którym okopany był izraelski patrol z wyrzutnią TOW. Shoshana zobaczyła, jak z jednej ze strzelnic znika lufa karabinu maszynowego, a pojawia się gruszkowaty kształt pocisku RPG. Toga i trzydziestomilimetrowy kadłub ze zgrzanego aluminium, jaki miał M113, nie były w stanie wytrzymać trafienia raketowo napędzanego pocisku kumulacyjnego sowieckiej produkcji.

- W prawo! - ryknęła.

Hanni skrzyła w chwili, w której strzelec odpalił RPG, i granat przemknął tyłem.

- Staranuj skurwiela! - krzyknęła Shoshana, gorączkowo usiłując zaprzeć się jakoś we wnętrzu transportera.

Hanni dała pełen gaz i transporter z rykiem runął w dół zbocza, z każdą chwilą nabierając pędu i kierując się prosto na burtę BMP. Zapiierając się o przednią ściankę działową, Shoshana padła na podłogę i czekała. Grawitacja, bezwładność i kąt pochylenia zbocza działały na ich korzyść, toteż kiedy opancerzony przód M113 rąbnął w lewą burtę BMP, iracki wóz przewrócił się na prawą i zjechał w dół stoku.

Przez dłuższą chwilę żadna z kobiet nawet się nie poruszyła, zbyt były potłuczone i oszołomione, by reagować. Gdy szok

minął, Hanni zapuściła silnik i wcisnęła gaz do dechy, taranując ponownie BMP - tym razem w podłogę, co doprowadziło do kompletnego przewrócenia. Z przedziału silnikowego irackiego wozu zaczęły się wydobywać płomienie, a M113 skręcił w miejscu i podjechał do rannych piechurów.

Shoshana opuściła rampę, gdy wóz stanął, i wyskoczyła do płytkiego osypiska, gdzie stał Hummer. Zostali trafieni punktowo jednym granatem moździerzowym, ale to wystarczyło, by tylko jeden z obsługi pozostał przy życiu. Próbowała założyć mu opatrunek, ale rękawice ochronne były zbyt grube, a szkła maski zachodziły mgłą, toteż zdarła jedno i drugie, pozostawiając jednakże rękawiczki chirurgiczne, które nosiła pod kombinezonem. Teraz założenie opatrunku poszło jej piorunem. Odlamek trafił rannego w lewy bok, na szczęście kamizelka z kevlaru przyjęła na siebie większą część odłamka. Hanni wydostała się na zewnątrz, gdy Shoshana kończyła opatrunek, i obie wniosły rannego do transportera. Shoshana zamknęła rampę, a Hanni ruszyła ku następnej lokalizacji podanej przez radio.

Mając sześciu rannych, pojechały na tyły do punktu opatrunkowego usytuowanego w rejonie wyczekiwania brygady. Gdy przejeżdżały przez szczyt wzniesienia, Shoshana rozejrzała się, wystawiając głowę przez górny właz. Dwa kilometry z boku dostrzegła izraelskie czołgi zjeżdżające z zachodniego stoku i rozcinające prawą flankę drugiego eszelonu irackiego. Potem skały zasłoniły widoczność.

Gdzie się wszyscy podziali? - spytała Shoshana lekarkę na punkcie opatrunkowym brygady.

- Wycofano wszystkich, by wzmocnić rejon wzgórz Golan. - Lekarka była nieco przestraszona. - Zdołaliśmy się tam przełamać i chcę odrzucić Syryjczyków tak daleko, jak tylko się da.

- Boże, zostaliśmy sami! - jęknęła Shoshana. - Levy wie o tym?

- Wie. Podjedźcie tam. - Lekarka wskazała stały punkt dekontaminacji. - Wyczyśćcie wóz i zmieńcie ubrania. Gaz nie był tak groźny, jak sądziliśmy, ale lepiej nie ryzykować.

Dwadzieścia minut później podjechały na swe wyjściowe stanowisko w pobliżu pierwszej linii. Za czołgiem Levy'ego odbywała się narada, w której oprócz niego brała udział kobieta i dwóch mężczyzn. Wszyscy mieli rozpięte kombinezony, zdjęte maski. Shoshana dołączyła do nich, starając się nadążyć za potokiem słów, przerywanym wystrzałami artyleryjskimi. Na szczęście była to izraelska artyleria. Dopiero po chwili do dziewczyny dotarło to, co mówił Levy: Irakijczycy wycofywali się.

Powoli odtworzyła sytuację: zatrzymali atak w chwili, w której nadszedł rozkaz wycofujący resztę brygady w rejon wzgórz Golan. Było zbyt późno, by powstrzymać kontratak drugiej kompanii na prawe skrzydło irackie, którego początek widziała odjeżdżając. Kontratak się powiódł, ale przy niespodziewanie ciężkich stratach, a po przegrupowaniu od poważnych kłopotów uratowało ich tylko wycofanie się Irakijczyków. Znowu dało o sobie znać „Szczęście Levy'ego”.

Polegli obaj dowódcy kompanii, a z dowódców plutonów tylko dwaj tu obecni pozostali przy życiu. Ilu dokładnie było rannych w dolinie, tego nikt nie wiedział, toteż Shoshana - widząc wymowne spojrzenie Levy'ego - czym prędzej ruszyła w drogę.

Takiej rzezi czołgów żadna z nich dotąd nie oglądała. Oprócz ich transportera jeszcze dwa M113 z czerwonymi krzyżami uwijały się po polu. Shoshana i Hanni podjechały na wschodnią stronę doliny, gdzie między płonącymi wozami pancernymi nie było żadnego ruchu. Pierwsze cztery zniszczone czołgi były irackie, a po ich lekarzach czy sanitariuszach nie było nawet śladu na całym poboju. Jak zwykle, Arabowie troskę o swoich rannych przerzucali na Izraelczyków.

Usytuowanie zniszczonych pojazdów mówiło samo za siebie: trzy izraelskie czołgi i dwa transportery walczyły z iracką kompanią w składzie dwunastu czołgów i dwunastu transporterów. Izraelskimi wozami dowodził młody podporucznik, ten sam, który w nocy dyskutował z Levym. Shoshana znalazła go poparzonego, ale jeszcze przytomnego obok płonącego czołgu. Jedyne, co mogła zrobić, to dać mu solidną porcję morfiny, by złagodzić agonię.

- Powiedz Levy'emu... - wychrypiał po zastrzyku - że nie miałem szansy na przegrupowanie... I powiedz mu, że nie uciekłem...

- Powiem - odparła wstając.

Ranny skinął głową, wiedząc, co to oznacza: jemu nikt już nie mógł pomóc, szkoda więc było czasu; można go było lepiej spożytkować opatrując kogoś innego, kto miał szanse przeżyć.

W pomieszczeniu leżącym w piwnicy Białego Domu nocny oficer dyżurny sortował komunikaty i wiadomości nadeszłe w ciągu nocy, gdy zadzwoniono z policji. Odebrał telefon, starając się maskować uczucia i zachowywać zgodnie z oczekiwaniami, to znaczy poważnie, ale niezbyt mu się to udawało - poczuł się wręcz wyśmienicie. Odłożył słuchawkę i podszedł do centralki telefonicznej.

- Łącz z prezydentem - polecił operatorowi.

- Bez uzgodnienia z Fraserem? - zdziwił się operator.

- Wątpię, by ktokolwiek uzgadniał jeszcze cokolwiek i kiedykolwiek z Fraserem - odparł dyżurny, uśmiechając się promiennie.

Pontowski w milczeniu wysłuchał meldunku o śmierci Frasera, podziękował za wiadomość i odłożył słuchawkę. Jak zwykle rankiem, był przy łóżku Tosh, która - choć poważnie chora - zachowała jednak pełnię władz umysłowych. Z doświadczenia wiedział, że niewiele tak pomaga jak zajęcie umysłu czymś innym niż choroba, toteż zdjął okulary i poinformował żonę:

- Właśnie znaleźli Frasera w jego mieszkaniu. Zmarł na zawał.

- To się pechowo składa - szepnęła. - Nie mogło się zdarzyć w gorszym czasie.

- Przetrywamy, ale musimy znaleźć kogoś na jego miejsce. Godnego zaufania i nieulegającego panice w sytuacji kryzysowej.

Wstał odruchowo i przespacerował się po pokoju, co było nieomylnym sygnałem wytężonej pracy umysłowej. Śmierć Frasera powinna zakończyć aferę funduszy wyborczych: facet był, jaki był, ale tajemnicę tej operacji z pewnością zabrał ze sobą do grobu. Tylko kogo wybrać? I wtedy przypomniał mu

się raport o Carrollu, jaki wręczył mu Abbott w wyniku dochodzenia wszczętego przez Frasera, uwzględniający też osobę przełożonego Billa.

- Tosh, co sądzisz o generale brygady Leo Coxie jako o następcy Frasera?

Przez chwilę panowała cisza, najwyraźniej zapytana zastanawiała się.

- Sądzę, że to może być doskonały wybór. Każ go zweryfikować.

- Nie ma potrzeby, zrobił to przypadkiem Fraser.

Transporter stanął, tylna kłapa opadła, wznecając chmurkę kurzu, i na pokład wmaszerowała para sanitariuszy z ostatnim z rannych Irakijczyków. Tak jak wielokrotnie dotąd, zadziałała rutyna - Shoshana i Hanni reagowały odruchowo, wdzięczne, że nie muszą myśleć. Podjechały do punktu opatrunkowego, rozładowały rannych, potem do polowego warsztatu, gdzie Shoshana uzupełniła paliwo, mechanicy sprawdzili silnik i zawieszenie, a Hanni wymyła przedział desantowy. Następnie uzupełniły zapasy medyczne i poszukały sobie jakiegoś spokojnego miejsca. Zjadły pierwszy w ciągu dwudziestu czterech godzin ciepły posiłek i zaczęły poważnie myśleć o drzemce, gdy nagle radio ożyło i kazało im się zgłosić na stanowisku dowodzenia.

Levy czekał na nie, toteż ledwie M113 wjechał do wykopu, obie wysiadły i Shoshana przedstawiła Hanni.

- Widziałem, jak załatwiłyście ten BMP, to była dobra robota - pogratulował.

Shoshana przekazała mu słowa podporucznika i Levy zwiesił głowę.

- Ilu jeszcze zdołam ich poświęcić? - szepnął.

- Wiadomość ze sztabu Dowództwa Północnego - przerwał mu żale zastępcy - major, który prowadził kontratak - wręczając depezę. - Chcą natychmiastowej odpowiedzi.

Levy przeczytał długą wiadomość i twarz mu stężała.

- Czytałeś to? - spytał majora.

Ten skinął głową.

- I co sądzisz?
- Niewiele...
- Ci idioci chcą wiedzieć, dlaczego dalej nie atakowaliśmy, i żądają natychmiastowego wznowienia akcji zaczepnej! - parsknął Levy, widząc zaskoczenie Shoshany i Hanni.
- I co im odpowiesz? - spytał major.
- Zapytam uprzejmie, czym mam atakować, a potem poślę do wszystkich diabłów. Okopujemy się tu i czekamy, teraz albo wojna przyjdzie do mnie, albo będziemy mieli chwilę spokoju.
- Nie będziemy! - mruknął major. - Wywiad donosi, że Irakijczycy podciągają nowe jednostki na pierwszą linię!

Johar i Samir znów stali wyprężeni przed biurkiem w gabinecie generała Many, wpatrzeni w ścianę nad jego fotelem. Trzydzieści cztery minuty później usłyszeli w sekretariacie gwałtowne odsuwanie krzeseł i trzask obcasów - nieomylny znak, że generał raczył się pojawić.

- Są? - warknął.

- Według rozkazu - zameldował adiutant, otwierając drzwi.

Mana dziarsko wkroczył do środka, obszedł wyprężonych oficerów i z pietyzmem położył na biurku szpicrutę, czapkę i skórkowe rękawiczki. W końcu usiadł, wziął w dłoń otwieracz do listów i po paru sekundach podniósł wzrok, zauważając obu pilotów.

- Widziano was wczoraj, jak ćwiczyliście walkę kołową zamiast patrolować wzdłuż tureckiej granicy - oznajmił, przyglądając się ostrzu, które uznał za zdecydowanie ciekawszy obraz dla oczu niż widok prężących się przed nim pilotów.

- W dodatku robiliście to całkiem nisko... Na jakiej byliście wysokości w czasie zajmowania się tymi głupotami?

Pytanie zostało zadane stanowczo, wręcz agresywnie, ale Johar szybko się połapał, jak może je obrócić na swoją korzyść: ten, kto ich widział, najwyraźniej nie był lotnikiem, bo w innym razie Mana wiedziałby od razu, że lecieli nie więcej niż dwieście metrów nad ziemią - każdy iracki lotnik zwróciłby na to uwagę, jako że była to wysokość zakazana przez wszystkie regulaminy.

- W trakcie wczorajszego patrolu zwrócił naszą uwagę jasny rozbłysk na ziemi; nasz kontroler nie odezwał się po prośbie o zgodę na zbadanie jego źródła, więc przejąłem inicjatywę i zniżyłem się na sześćset metrów nad rejonem błysku - wyrecytował Johar, obserwując reakcję Many.

Legenda była o tyle wiarygodna, że kontrolerzy z zasady ignorowali meldunki pilotów, gdyż przy granicy z Turcją od momentu zakończenia wojny w Zatoce nie działa się absolutnie nic. Co zaś do wysokości, to choć sześćset metrów było zdecydowanie zbyt niskim pułapem jak na gust Many, regulaminy jednak nic o tej wysokości nie wspominały, za to była ona już poniżej dolnej granicy irackich radarów.

- Następnie poleciliśmy na zmianę zygzakiem nad drogą, szukając źródła owego rozbłysku, ale niestety nie udało nam się zauważyć niczego podejrzanego lub odbiegającego od normy - dokończył Johar.

Wyjaśniało to manewry, które nie wyznający się w tych sprawach obserwator mógł wziąć za walkę kołową. Gdyby Mana znał prawdę - że ćwiczyli ostrzał z broni pokładowej jako głównego uzbrojenia na wysokości około dwustu metrów... Na samą myśl o tym Johara ciarki przeszły.

Mana długą chwilę siedział nieruchomo, po czym oznajmił:

- Rozpoznanie wzrokowe? Lot zygzakiem? I to bez zezwolenia? Waszym jedynym zadaniem było lecieć zgodnie z poleceniami kontrolera naziemnego, a znaleźliście się w powietrzu wyłącznie po to, by zmniejszyć różnicę czasu dzielącą wtargnięcie wroga w naszą przestrzeń powietrzną od przechwylenia celu. Jest to jedyny powód istnienia regularnych patroli powietrznych przy granicy i obaj o tym wiecie. To już wasze drugie z kolei nieodpowiedzialne zachowanie i przyrzekam wam, że ostatnie. - Sztylet wbił się w blat biurka. - Do czasu dalszych rozkazów pozostajecie obaj w stanie alarmu bojowego. Odmaszerować!

Obaj piloci strzelili obcasami, skłonili się i wymaszerowali z gabinetu.

Mogło być gorzej - mruknął Johar, gdy dotarli do hangaru.

- Teraz będziemy siedzieć na tyłkach albo w swoich pokojach, albo w baraku jednostki i czekać na niespodziewany alarm. Pamiętasz, żeby coś takiego miało kiedykolwiek miejsce?

- Nie.

- Dlaczego powiedziałeś mu o sześciuset metrach? - zainteresował się Samir. - Omal się nie złał ze strachu. Jedyne przypadki,

w których Mana jest na sześciuset metrach, mają miejsce w czasie startów i lądowań.

- Musiałem mu powiedzieć coś, w co by uwierzył, a nie mogłem mu przecież powiedzieć prawdy, nie?

- W nią by nie uwierzył. Nauczyłeś się tego z meldunków CHECO.

Obaj niedawno odkryli w bazie raporty amerykańskiego lotnictwa zwane CHECO*, które lata temu sowiecki agent ukradł w jednej z baz USAF w Niemczech. Sporządził je zespół historyków wojskowych w czasie wojny w Wietnamie, a podstawą były wywiady z pilotami lub załogami, które faktycznie brały udział w walkach. Lotnicy dali się przekonać i opowiedzieli, jak to tam było naprawdę, a ich wyznania okazały się zgodne z przewidywaniami: ROE i wytyczne z góry miały się do praktyki jak kwiatek do kożucha: by skutecznie zbombardować cel i przeżyć, piloci robili wszystko, co uważali za stosowne, a jako ludzie rozsądni trzymali gęby na kłódkę. W ten sposób wszyscy byli szczęśliwi, ale tak się niefortunnie złożyło, iż z powodu braku zajęć raporty przeczytało paru generałów Sił Powietrznych USA. Ponieważ nie udało im się ich zniszczyć, zaklasyfikowali je jako tajne i dobrali się do skóry głównie historykom, którzy jako ludzie nieustępujący rozsądkiem pilotom poszli po rozum do głowy i na wzór lotników zaczęli opowiadać generałom dokładnie to, co ci ostatni chcieli usłyszeć. Przez głupi przypadek sowiecki agent natknął się na owe raporty, a jako że były „ściśle tajne”, rąbnął je, mocno uradowany. W Moskwie oceniono je jako mizerny przyczynek do poznania tajemnic USA i udostępniono sprzymierzeńcom.

Contemporary Historical Evaluation of Combat Operations - Porównawcza Ocena Historyczna Operacji Bojowych (przyp. tłum.).

Johar i Samir mieli teraz masę czasu, toteż bez pośpiechu ruszyli ku kwaterom. Po kilku krokach spojrzeli na siebie i parsknęli śmiechem - znów im się udało.

Mamy tu do czynienia z klasycznym przypadkiem łagodnej paranoi wojskowej, w stylu: „powiedz mi, jakie są zagrożenia, to ci powiem, jaką obrałem taktykę” - podsumował Matt,

zamknięty wraz z Furrym, Martinem, Carrollem i Upiornym Duecikiem nad planami nalotu na Kirkuk. - Krótko mówiąc: dla własnego bezpieczeństwa należy założyć, że będziemy mieli do czynienia z co najmniej takim zestawem obrony przeciwlotniczej, z jakim ja i Ambler zetknęliśmy się w Libanie, rozbijając ten syryjski sztab.

- Gadfly i ZSU? - spytał Dennis, czyli przekarmiona połowa Dueciku.

- Właśnie - przytaknął Furty. - Dopóki byliśmy poniżej stu stóp i poza zasięgiem ZSU, wszystko było O.K, w trakcie dolotu nad cel. Ale ZSU otaczały cel pierścieniem i żeby nie oberwać od nich, musieliśmy wejść na sto stóp, a wtedy rakiety stały się problemem. Podleciliśmy wyżej, by namierzyć cel, potem wróciliśmy na sto stóp, ale znów musieliśmy zwiększyć wysokość, by móc zrzucić bombę, a właściwie by komputer mógł to zrobić, i wtedy skończyły się żarty, a zaczęły schody.

- Ale teraz mamy broń i taktykę, by to zrównoważyć - dodał Matt.

- Masz na myśli GBU-24 i izraelską *B'nai*? - spytał Martin.

- Tłumacza, poproszę - wtrącił Stigler, czyli zagłodzona połowa Dueciku. - Zgubiliście nas.

- Wyjaśnijcie to tym tępakom - warknął Martin - i opanujcie nalot z niskiego pułapu. Jak symulator będzie gotów, przeleć się pierwszy.

Po czym wstał i wyszedł, zatrzaszkując za sobą drzwi.

- Polubił was - poinformował zaskoczonych programistów Furry.

Drzwi otworzyły się niespodziewanie, wpuszczając głowę Martina, która oznajmiła:

- Symulator ma być gotów na jutro, tępaki!

Po czym głowa zniknęła, a drzwi zatrzasnęły się z kolejnym hukiem, tym razem definitywnie.

- On nas nie lubi - stwierdził z przekonaniem Leander. - Wasz symulator będzie chodził nie wcześniej niż za pięć dni; w krótszym terminie przeprogramowanie jest po prostu fizycznie niewykonalne.

- Chcesz mu to powiedzieć? - spytał niewinnie Carroll.

- Spróbujemy coś na jutro przygotować - jęknął Stigler.

- Lepiej nam powiedzcie, co to jest GBU-24 i *B'nai*.

Wyjaśnieniami zajął się Furry, a brzmiały w sposób następujący:

GBU-24 to ważąca dwa tysiące funtów bomba lotnicza, zaopatrzona w system naprowadzania i rozkładane skrzydła. Można ją było zrzucić, a raczej wyrzucić we wznoszącej fazie lotu i z niewielkiej wysokości, a i tak dolatywała około pięciu mil, sterując się automatycznie. Mikrokomputer pokładowy mógł obliczyć optymalną trajektorię, by uzyskać najlepszy kąt trafienia. Zdolna była się przebić przez cztery i pół metra gruntu albo metrową warstwę cementu, zanim wybuchła.

Aby jednak uzyskać dużą dokładność, należało przez ostatnie sekundy lotu bomby oświetlić cel laserem - wtedy bomba kierowała się prawie na punkt odbicia energii i eksplodowała o centymetry od niego. GBU-24 była faktycznie sprytną bombą i wykazywała wręcz bezgraniczną odwagę.

Taktyką dla odmiany zajął się Matt.

Taktyka *B'nai* polegała na użyciu dwóch maszyn przeprowadzających skoordynowany atak ludzako podobny do kleszczy. Samolot zrzucający bombę leciał szybciej i dokonywał zrzutu poza zasięgiem ZSU-23, które stanowiły wewnętrzny pierścień obrony z uwagi na stosunkowo niewielki zasięg. Bombę zrzucił z pułapu niewiele wyższego niż minimalny pułap *Gadfly*. Drugi F-15 Eagle nadlatywał z drugiej strony kleszczy i z odległości ośmiu tysięcy stóp od najbliższego ZSU oświetlał cel laserem. W ten sposób był poza zasięgiem działek i poniżej pułapu rakiet.

Stigler przeciągnął się i wstał, gotów do pracy. Ale coś się zmieniło w jego wyglądzie - zamiast bociana bardziej przypominał głodnego sokoła.

- Kiedy możesz nam dostarczyć lokalizację każdej wyrzutni rakiet i baterii ZSU? - spytał Carrella.

- Za pół godziny.

Uśmiech Leandera przypominał wypisz wymaluj grymas zadowolonego z siebie gremlina.

- No to Martin jutro zobaczy, kto tu jest tępak - oznajmił wymownie.

Ganef z ponurą satysfakcją stwierdził, że wyniki walk mają kolosalny wpływ nawet na morale oficerów sztabowych - nie ulegało wątpliwości, że Izrael wygrywa na dwóch z trzech frontów, i widać to było w Cytadeli. Oficerowie poruszali się, jakby ktoś ich nakręcił, ogoleni, umyjni i świeżutcy, podobnie jak pomieszczenie, które niedawno starannie posprzątało.

Co się tyczy sytuacji na frontach, to odzyskano wzgórze Golan i przygotowywano się na Damaszek, leżący osiemdziesiąt kilometrów od obecnej linii frontu. Koło Jerozolimy Arabowie zostali zepchnięci za rzekę Jordan i miasto nie było już pod ogniem ich artylerii. Natomiast próba przekroczenia rzeki Jordan z marszu, za wycofującym się przeciwnikiem, nie powiodła się.

Jedynie na froncie libańskim nie było żadnych postępów: w jednej z dolin zatrzymano iracki atak, ale przegrupowanie sił - by wykorzystać sukces w rejonie wzgórz Golan - uniemożliwił skuteczny kontratak. Bitwa zmieniła się w spotkaniowy bój czołgów, co zawsze oznaczało rzeź, i tylko wycofanie się Irakijczyków uratowało sytuację. Ben David domagał się kontrataku, twierdząc, że skoro irackie czołgi się wycofały, to widocznie ta dywizja pancerna była poważnie przetrzebiona. Ganef zjawił się, by przekazać mu najnowsze dane wywiadu: dywizja faktycznie była zdziesiątkowana, ale wycofanie miało na celu uzupełnienia i reorganizację przed nocnym atakiem. Z Iraku strumieniem płynęły czołgi i transportery.

W tym momencie rozbłysły alarmy przeciwlotnicze - antena na wzgórzach Golan została już naprawiona (Arabowie mieli zbyt mało czasu, by ją poważnie uszkodzić), toteż system Obrony Przeciwlotniczej Kraju był znów w pełni sprawny. Na jednym z ekranów wyświetliło się zagrożenie, przykuwając uwagę wszystkich obecnych: szesnaście rakiet typu Scud B i Scaleboard w pierwszej fali kierowało się ku schronom mieszczącym izraelskie Jerycho. W drugiej fali było ich dwanaście, a w trzeciej dziewiętnaście.

- A więc chcą eskalacji! - wykrzyknął Ben David.

Reakcja ta zwróciła uwagę Ganefa bardziej niż sam atak. Wszystko w zachowaniu premiera wskazywało na to, że jest on na krawędzi psychicznego i fizycznego wyczerpania. Yuriden właśnie go uspokajał, zalecając poczekać na rezultaty ataku.

- Jeśli użyją gazu na terytorium Izraela... - warknął Ben David, nerwowo zaciskając i rozkurczając prawą dłoń.

- Wątpię - odparł Yuriden. - Ostrzeżliśmy ich, czym to grozi. Logiczne więc jest, że próbują zniszczyć nasze środki przenoszenia broni jądrowej, czyli rakiety Jerycho.

Kolejno spływały meldunki wyświetlane od razu na tablicy: wszystkie głowice zawierały konwencjonalny ładunek wybuchowy, a celami były wyrzutnie rakiet Jerycho. Co zaskoczyło Ganefa to dokładność rozpoznania celów - mocno mu to wygłądało na uprzejmość ze strony Rosjan: użyczenie danych z rozpoznania satelitarnego.

- Załadować głowice jądrowe! - wściekł się Ben David, gdy zobaczył, że dwadzieścia osiem procent wyrzutni zostało zniszczonych.

Yuriden sprzeciwił się, twierdząc, że za wcześnie na to i że jest to zbyt niebezpieczne. Premier rąbnął pięścią w blat, przyrzekał się jej przez chwilę uważnie i, znacznie spokojniejszy, przyznał Yuridenowi rację.

Ganef zdecydował, że najbezpieczniej będzie chwilę odczekać z wieściami z Libanu, i wymknął się na korytarz. Doświadczenie nakazywało ostrożność i stopniowe dawkowanie nowin premierowi, który pilnie potrzebował odpoczynku i nie pannał nad emocjami. Poza tym dowództwa frontu i podległych mu jednostek wiedziały o tym, o czym on miał dopiero poinformować premiera.

Z przeciwnika nadszedł korytarzem Avi Tamir.

- Musimy porozmawiać - zatrzymał go Ganef. - Gotowe?

Tamir rozejrzał się nerwowo: Cytadela Cytadela, ale to była jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic Izraela. Uspokoił się nieco, rozpoznając starego, który był przy jego ostatniej rozmowie z premierem, ale nie do końca: nadal nie wiedział, z kim ma do czynienia.

- Jestem szefem Mossadu - wyjaśnił Ganef, trafnie odgadując powody wahania rozmówcy.

- Musimy pogadać - rozległo się za ich plecami.

Benjamin Yuriden zgarnął obu z korytarza i zaprowadził do pierwszego z brzegu biura, z którego bezceremonialnie wyprosił dotychczasowych użytkowników.

- Jak wygląda broń? - spytał, zamykając za nimi drzwi. - Gotowa?

- Gotowa - odparł Tamir. - Teraz jest przewożona i za jakieś trzy dni będzie zamontowana na rakiecie.

- Jeżeli Arabowie zastosują gaz na terenie Izraela, to on jej użyje - oznajmił minister obrony mając na myśli premiera.

- Myślałem, że Irak już użył gazu. - Tamir był zaskoczony.

- Owszem, ale w Libanie, bo tamtędy przebiega front, to raz; na skalę taktyczną, to dwa; i starego sowieckiego, to trzy - wyjaśnił Yuriden. - Co śmieszniejsze, wywiad doniósł, że ucierpieli od niego bardziej niż my, co najprawdopodobniej było powodem zaprzestania dalszego użycia. „Szczęście Levy’ego.” Teraz natomiast zaczynamy wygrywać i Arabowie jęli się skłaniać ku propozycji zawieszenia broni wysuniętej przez Egipt w ONZ. Przedtem jednak Ben David chce konkretnego zwycięstwa militarnego i zabezpieczenia granic, by kolejna wojna nie wstrząsnęła od razu Izraelem. Trudno nie przyznać mu racji, ale obawiam się, że gdy Arabowie stracą większy kawałek ziemi, to użyją broni chemicznej na szeroką skalę.

- Wiedzą, że my użyjemy wówczas broni atomowej - mruknął Ganef.

- A kto powiedział, że w walce ludzie kierują się tylko rozsądkiem? - spytał minister. - Poza tym skoro VR55, którego użyli w Libanie, okazał się nieskuteczny, a tylko kłopotliwy, to jestem pewien, że następnym razem użyją nieco nowego gazu binarnego, przeciwko któremu nie mamy żadnej ochrony. Dzięki Bogu zresztą, że dotąd go nie użyli na polu walki.

- Dlaczego w takim razie nie zniszczymy zapasów gazu, zanim go dostarczą na front? - spytał Ganef. - Jerycho z konwencjonalną głowicą powinny to załatwić.

- Konwój bez problemów, ale, jak sam wiesz, nie mamy informacji, kiedy takowy ruszy, o ile już nie ruszył i nie mają gazu gdzieś w pobliżu linii frontu. Co się zaś tyczy samej fabryki, to odległość do Kirkuku jest zbyt duża i głowice nie zdołają przebić wzmocnionego betonu osłaniającego podziemne magazyny i wytwórnie.

- Ktoś się może tym zajął? - spytał Tamir. - Chodzi mi o

skonstruowanie takiej głowicy konwencjonalnej, która przy tej odległości zdołałaby wykonać zadanie?

- Oczywiście. Tylko jak dotąd nie doszli do niczego, co... - Yuriden przerwał, gdyż Tamir wypadł z pokoju niczym ukłuty ostrogą.

- Pognał stawić czoło nowemu wyzwaniu - wyjaśnił Ganef, widząc ogłupiałą minę ministra.

Yuriden przez dłuższą chwilę spoglądał w milczeniu na otwarte drzwi.

- Zamierzam nakazać jeszcze jeden nalot na te zakłady, choć wiem, że to samobójstwo - powiedział, powoli się prostując. - I zamierzam osobiście go poprowadzić.

Był pilotem myśliwskim, latał na pierwszym F-16, jaki dotarł do Izraela, i gdy tylko miał okazję, siadał za stery wojskowych odrzutowców.

- Za co należeć ci się będzie pierwszy Medal Za Głupotę, jaki nadadzą w tym kraju - parsknął Ganef. - Chyba wiem, jak załatwić te zakłady, a może i zapas gazu, przed dostarczeniem na front.

- Byle szybko. Nie wiem, jak długo jeszcze uda się ograniczać tę wojnę do poziomu konwencjonalnego.

Ganef zamknął drzwi, zbliżył się do Yuridena i cicho, ale wyraźnie powiedział mu, co zamierza zrobić...

Leander pocił się przy konsolce sterowniczej symulatora, próbując pokazać Szalonemu Mike'owi Martinowi, kto tu jest tępak. Goryl był wewnątrz symulatora, a Stigler spał na podłodze sterowni po czterdziestu ośmiu godzinach pracy, jaką włożyli w zaprogramowanie nalotu na Kirkuk. Nie zdążyli na rano, dzięki czemu mieli okazję zapoznać się z obfitym słownikiem wyzwisk Martina. Teraz Leanderowi nadarzyła się sposobność do zemsty i był żądny krwi, tyle że nie bardzo mu ta wendeta wychodziła.

- O, kurwa! - jęknął zawiedziony, gdy Martin uniknął ostatniej kombinacji SA-6 i SA-11, w którą przed chwilą wpędził go Dennis. - Stig, do cholery! Zbierz dupę i chodź mi pomóc.

Stigler wstał z jękiem i przyjrzał się rzędowi barwnych

ekranów ukazujących to, co widział pilot wewnątrz symulatora. *Wizzo* Martina miał fabrykę w celowniku FLIR, a Martin był w trakcie nalotu bombowego z wykorzystaniem własnego naprowadzania laserowego.

- Mieli używać tej całej *B'nai*, nie? - zdziwił się Bocian, hałaśliwie rozprostowując kości. - To jego boczny powinien oświetlać cel.

- Zestrzeliłem go. - Leander radośnie wyszczerzył zęby.

Stigler przez moment zastanawiał się, czy nie wyciąć pilotowi któregoś z numerów, z których słynął Duecik, ale z żalem zrezygnował - tym razem sprawa była zbyt poważna, by goić urażoną dumę.

- Nie daj mu luzu, ale bez numerów - poleciał Dennisowi.

- A może on by mi dał trochę luzu? - wrzasnął Leander i parsknął śmiechem. - Jest naprawdę dobry.

Bez słowa obserwowali, jak pierwsza bomba eksploduje w celu.

Trzydzieści pięć minut później Goryl wylądował w Diyarbakirze, który miał być bazą całej akcji, i wydostał się z atrapy kabiny, cały aż mokry od potu. Gdy wyszedł z symulatora, Duecik czekał już na niego z niewinnymi minami. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Martin niespodziewanie oznajmił:

- Te SA-6 to była całkowita niespodzianka, ale realistyczna. Podobało mi się. Przepuście przez to każdego pawiana z mojej jednostki, i to dziś! - Po czym oddalił się na zewnątrz.

Po sekundzie wsadził głowę przez uchylone drzwi i dodał:

- Dobra robota, chłopaki, dziękuję.

Cox siedział obok prezydenta na jednej z sof stojących w Gabinetce Owalnym, przeglądając rozkład spotkania National Security Council, które miało się zacząć za kilka minut. Był to jego pierwszy dzień na nowym stanowisku szefa kancelarii prezydenckiej i generał pozostawał pod wrażeniem skuteczności organizacji, którą stworzył Fraser. Przejęcie tego sprawnie działającego i praktycznie samodzielnego tronu organizacyjnego nie stanowiło żadnego problemu. Co nie zmieniało faktu konieczności wprowadzenia zmian.

- To jest punkt widzenia CIA na aktualny stan i przebieg wojny arabsko-izraelskiej - odezwał się generał, podając Pontowskiemu cienki folder.

- Nie sądzę, żebyś się z nim zgadzał - stwierdził Zack, zaskakując go po raz kolejny tego dnia.

- Nie całkiem, ale to u mnie normalne, jeśli chodzi o analizy CIA dotyczące Bliskiego Wschodu.

- Dlaczego?

- Cóż... Burke powiedziałby, że jestem proizraelski i anty-agencyjny. - Cox doskonale wiedział, że włączył się w kompetencje DCI, przez co mógł przysporzyć sobie wroga, ale niewiele go to wzruszało: kariera polityczna go nie interesowała, a wojskowa i tak dobiegała końca.

- A jesteś? - zainteresował się Zack.

- Jestem. Pewnie dlatego, że znam wielu pracowników Mossadu i wywiadu wojskowego i jak dotąd nigdy się na żadnym nie zawiodłem, czego raczej nie mogę powiedzieć o CIA ani innych naszych służbach.

- A co teraz mówią ci twoje izraelskie kontakty?

- Dziś rano powiedziały mi, że Izrael dysponuje już bronią

termojądrową i że pierwsza rakietą jest już wycelowana na jedno z dwóch miast...

- Bagdad albo Damaszek - wtrącił Pontowski. - I że użyją jej, jeśli Irak użyje gazów przeciwko ludności Izraela. Jak się trzyma Ben David?

Coxowi chwilę zajęło oswojenie się ze zdolnością nowego szefa do błyskawicznej dedukcji - szefa, o którym, jak się coraz bardziej przekonywał, jeszcze sporo będzie się musiał dowiedzieć.

- Niespecjalnie. Chce rozwiązania militarne, które gwarantowałyby bezpieczeństwo Izraela w przyszłości, i chce zająć jak najwięcej terenów arabskich, zanim zostanie zmuszony do przyjęcia zawieszenia broni.

- Arabowie nie zaakceptują takiego rozwiązania - mruknął Pontowski. - Użyją wszystkiego, czym dysponują, by powstrzymać wojska izraelskie, a więc i gazu binarnego. Leo, za kilka minut będę musiał podjąć kilka ważnych decyzji. Muszę wiedzieć, kto jest twoim najważniejszym kontaktem.

Pontowski znał odpowiedź - był to pierwszy z prywatnych testów nowego współpracownika.

- Szef Mossadu - odparł bez wahania Cox.

Prezydent wstał bez słowa, a Cox zapytał:

- Panie prezydencie, dlaczego wybrał mnie pan na szefa swojej kancelarii?

- Myślę, że sam do tego dojdiesz - odparł Zack z błyskiem w oku.

Odprawa dobiegła końca, toteż oficerowie, a wraz z nimi Shoshana, wyszli z polowego sztabu batalionu. Dziewczyna oparła się o burtę M60 Levy'ego i poczekała na Hanni, która ostatnio zaczęła przejawiać wzmożone zainteresowanie legendarnym dowódcą. Obserwowała przy okazji, jak ładowniczy i kierowca czyszczą i składają filtr powietrza: Amos cały czas wymyślał i marudził, a Halaby pracował w spokoju, wykonując zresztą lwią część roboty. W końcu z wieży wysiadł działonowy, zlął na dół i ryknął:

- Avner, na litość boską, zamknij się!!!

- Chyba niespecjalnie się ze sobą zgadzają - zauważyła Shoshana.

- Dlatego, że Halaby jest druzem, a Avner ortodoksem - wyjaśnił Bielski. - Ortodoksi żydowscy nie ufają druzom.

- Znałam jednego druza - powiedziała powoli, myśląc o Avidarze i Iraku, i prawie zacytowała słowa Habisha: - Jego lojalność mówiła sama za siebie.

- Podobnie jak Halaby'ego. Tylko Avner ma tak zakuty łeb, że to do niego nie dociera.

Podeszła do nich Hanni.

- Levy sądzi, że Irakijczycy wkrótce zaatakują - oznajmiła.

- Zwykle ma rację - mruknął Bielski.

- Jak to jest być w jego załodze? - spytała Hanni.

- To trudno opisać - uśmiechnął się zapytany. - Kiedyś miał już tak dość ciągłych sprzeczek, że oznajmił Amosowi o zmianie składu załogi: Avner miał odejść. Rozpłakał się jak dziecko i przysiągł, że zrobi wszystko, byle zostać. Dobili targu: Avner zostaje po warunkiem, że powstrzyma się od uwag na temat pochodzenia i przekonań religijnych Halaby'ego i przestanie opowiadać dowcipy o Arabach. Wiesz, nigdy nie wyrażamy się o nich per „brudasy” ani nic w tym stylu.

Przeszli obok burty M60, ukrytego w wykopie wychodzącym na dymiące jeszcze tu i ówdzie pobojuwisko, w jakie zmieniła się dolina. Od przodu wykop i czołg osłaniała siatka maskująca, przez którą Dave dokładnie zlustrował dolinę za pomocą lornetki.

- Wygląda na to, że wszystkie ekipy techniczne zniknęły z doliny - mruknął.

Wszyscy wiedzieli, że oznacza to niechybny początek walk. Radio ożyło, ostrzegając o nisko lecących pociskach.

- Pewnie automaty zwiadowcze, żeby sprawdzić, czy coś się u nas zmieniło. - Bielski ruszył z powrotem do czołgu.

Dziewczęta skierowały się do stojącego w pobliżu transportera, by przeczekać nalot i wycofać się, zanim artyleria iracka rozpocznie ostrzał.

- Levy powiedział, że łatwo przewidzieć kolejne posunięcie Arabów na początku walki - odezwała się Hanni.

- Oby to nam było pociechą - mruknęła Shoshana, nakładając ubiór przeciwchemiczny.

Sekretarz stanu posiłkował się notatkami, wygłaszając swoje sprawozdanie na posiedzeniu NSC, co nie było ani niczym nowym, ani niezwykłym.

- Podsumowując: Arabowie są obecnie jednomyślni w kwestii natychmiastowego zawieszenia broni, które w formie rezolucji winna ogłosić ONZ. Jednak Izrael jest temu przeciwny, gdyż zaczął wygrywać tę wojnę. Być może nadszedł czas, byśmy nieco zmienili stanowisko i zmusili ich do podjęcia rozsądniejszej decyzji.

- Co pan proponuje? - spytał Cagliari.

- Natychmiastowe przerwanie dostaw broni do Izraela.

- To może pomóc - przyznał admirał Scovili - ale jak dotąd otrzymali wystarczające wsparcie logistyczne, by utrzymać obecny poziom walk przez co najmniej tydzień.

- A co mogą osiągnąć w ciągu tego tygodnia? - zainteresował się Pontowski.

- Według naszych ocen - zabrał głos Bobby Burke - zdołają przekroczyć Litani, wyjść z rejonu wzgórz Golan, znaleźć się o mniej więcej piętnaście kilometrów od Damaszku i okrążyć wszystkie jednostki syryjskie i irackie, które nie wycofają się z Jordanii. Wygląda na to, że front arabski koło Jerozolimy lada chwila zostanie przełamany.

- Prawdopodobna reakcja Arabów? - spytał Zack.

- Użycie broni chemicznej do stabilizacji sytuacji - odparł Scovili.

- Co oznacza użycie broni jądrowej przez Izrael - dodał Cagliari.

- Tego nie możemy być pewni - zaprotestował Burke.

- Ale również nie możemy tego wykluczyć - dodał Pontowski. - Jak możemy do tego nie dopuścić?

- Udzielając pełnego wsparcia dyplomatycznego inicjatywie zawieszenia broni - odparł sekretarz stanu. - To trochę potrwa, ale jeśli zostanie połączone ze wstrzymaniem dostaw...

- Proszę to zrobić - przerwał mu prezydent.

- Jest inna możliwość. - To był Scovili. - Możemy im dać rakiety, które pozwolą zniszczyć zakłady w Kirkuku, co zlikwiduje zagrożenie użycia gazu. Biorąc pod uwagę ostatnie próby

użycia w Libanie starego typu gazu, bez nowego gazu binarnego nie odważą się użyć broni chemicznej.

- Nie możemy tego zrobić! - Sekretarz stanu był bliski paniki. - Nie możemy użyć tego typu rakiet z uwagi na sytuację na Kremlu. Wszystko wskazuje na to, że wygrywają Twardogłowi, z marszałkiem Stanisławem na czele, a dla nich użycie taktycznych rakiet równa się eskalacji skierowanej przeciwko sojusznikom Rosji i jest preludium do wojny jądrowej.

Nie możemy sobie pozwolić na taką pomyłkę, o może to być doskonały pretekst do stabilizacji sił na Kremlu i być może ich aktywnego udziału w tej wojnie. Twardogłowi niczego bardziej nie pragną niż zewnętrznego zagrożenia, którym można wymusić wewnętrzny spokój i wziąć naród za mordercę.

Obecni w większości podzielali ten pogląd, co dało się zauważyć.

- Wierzę, że Yair Ben David nie użyje broni termojądrowej, jeśli Arabowie nie użyją gazu przeciwko ludności Izraela

- powiedział po chwili ciszy Pontowski. - By temu ostatniemu zapobiec, zrobimy co w naszej mocy na froncie dyplomatycznym, żeby obie strony przyjęły zawieszenie broni. Natomiast dla zabezpieczenia chcę być w stanie zniszczyć iracki arsenał i wytwórnię tego gazu bez użycia rakiet. Jak możemy tego dokonać?

Pytanie było skierowane do admirała Scovilla, który jako szef Połączonych Sztabów był ekspertem od rozwiązań militarnych. Admirał w odpowiedzi sięgnął do teczki z dokumentami i po chwili wyłowił z niej potrzebny papier.

- Siły Powietrzne przygotowały się na taką ewentualność - oznajmił w końcu. - Czterdzieste Piąte Taktyczne Skrzydło Myśliwskie, bazujące obecnie na lotnisku RAF w Stonewood...

Przerwał na sekundę, widząc, jak Pontowski sztywnieje - wszyscy obecni wiedzieli, w jakiej jednostce służy jego wnuk.

- ...eee... przygotowało plan, poetycko nazwany „Trójca Święta”, który wymaga użycia F-15 Eagle z tureckiej bazy Diyarbakir. Szkolenie do tej misji jest w toku, a maszyny mające ją wykonać mogą się znaleźć w Turcji w ciągu dwunastu godzin. Wymagana jest jedynie nasza zgoda i zgoda rządu tureckiego.

- Kto kazał Czterdziestemu Piątemu Skrzydłu przygotować tę operację? - spytał Zack.

W jego głosie brzmiało coś, co Scovillowi zjeżyło resztki włosów na łysinie, ale odparł spokojnie:

- Inicjatywa własna dowódcy skrzydła, pułkownika Michaela Martina. Z tego, co wiem, to dość nietypowy oficer, zawsze gotów do akcji, gdziekolwiek jest po temu sposobność.

- Proszę uzyskać zgodę Turcji na tę operację - polecił Pontowski, godząc się z losem, choć nie przyszło mu to łatwo. - Niech Czterdzieste Piąte Skrzydło tam przebazuje i będzie gotowe do akcji na mój osobisty rozkaz.

Pontowski mówił spokojnie, ale gdy wstał, krzesło, na którym dotąd siedział, z łoskotem wylądowało na podłodze.

- Czy przygotować jakieś specjalne rozkazy, być może personalne?... - zaryzykował Scovili.

- Żadnych - uciął Pontowski. - Pułkownik Martin jest dowódcą, przygotował i zaplanował to wszystko, więc niech sam wybierze także wykonawców.

Po czym wyszedł, dając znak Coxowi, by mu towarzyszył.

- Leo, chcę, żebyś swoimi kanałami przekazał wiadomość Ben Davidowi - oznajmił, stojąc przy oknie na korytarzu i spoglądając na park. - Przekaż mu, że spróbujemy zniszczyć fabrykę i zapasy gazu bojowego i że będę rad, jeśli spokojnie przyjmie lokalne jego użycie, gdybyśmy nie zdołali zniszczyć wszystkich zapasów. Powiedz mu też, że jeżeli użyje broni jądrowej na polu walki bez konsultacji ze mną, to zerwę wszystkie kontakty z Izraelem, a jeżeli użyje bomby termojądrowej na arabskie miasto, to poważnie wezmę pod uwagę podjęcie aktywnych kroków przeciwko państwu Izrael.

Cox w szoku wpatrywał się w plecy Pontowskiego; nagle zrozumiał, dlaczego ten wybrał go na swojego nowego szefa kancelarii.

Ostrzał irackiej artylerii był znacznie cięższy, niż oczekiwano, i transporter trząśł się od pobliskich eksplozji. Na szczęście Levy wycofał większość batalionu z okolic doliny, dzięki czemu nie był on narażony na ostrzał. Mimo to część pocisków docierała do ich stanowisk, jako że arabscy artylerzyści nigdy

nie słynełi z przesadnej celności. Sądząc z meldunków radiowych, artylerzyści izraelscy odgryzali się zajadłe i irackie działa stopniowo przenosiły ogień na ich stanowiska, przez co ostrzał zmieniał się w pojedynkę artyleryjski. Odezwały się wezwania o pomoc medyczną, toteż Shoshana włączyła silnik.

- Powiedz Levy'emu, że ruszamy - poleciała koleżance i po chwili usłyszała głos Hanni:

- Życzy nam szczęścia.

Będziemy go potrzebowały, przemknęło Shoshanie przez głowę.

Matt i Furry odbywali drugą turę w symulatorze, gdy obraz zamarł i rozległ się głos Stiglera, informujący, że mają ważny telefon. Matt wygramolił się z kabiny i wszedł do sterowni. Leander spał na podłodze, a Stigler wyglądał jak własny cień. Matt odebrał, posłuchał chwilę i odkładając słuchawkę, ryknął do wnętrza symulatora:

- Amb, zbieraj dupę! Martin chce nas na gwałt, i to pięć minut temu!

Zanim wyszedł, głowa Stiglera opadła na konsolę - też już spał.

Sala odpraw zabezpieczona była po brzegi, a Martin spacerował w tę i z powrotem przed mapą, na której wyrysowana była trasa przelotu do Turcji. Gdy przystanął, w pomieszczeniu zapanowała absolutna cisza.

- Dla odmiany, ktoś w Pentagonie czyta przysyłaną korespondencję zamiast od razu wypieprzać ją do kosza - zaczął.

- Powiedzenie, że zaczęli tam myśleć, może być zbyt radykalne, ale na razie: kupili „Trinity” albo, jak kto woli, „Tróję Świętą”.

W sali rozległy się owacje, gwizdy, tupania i inne oznaki żywiołowej radości.

- Spokój - napomniał wyjątkowo uprzejmie Martin. - Tu są załogi biorące udział w akcji. Start za godzinę, więc nie ma co marudzić.

Na tablicy wypisano dwanaście załóg. Listę otwierał Martin, czyli Viper 01, i jego boczny, Sean Leary (Viper 02). To, że

Leary został skrzydłowym dowódcy, zaskoczyło wszystkich poza Mattem - od czasu, gdy prawie udało mu się zabić siebie i paru innych w niedoszłej kraksie, Leary udowodnił, że jest naprawdę dobrym pilotem. Matt i Furry byli Viper 03 i mieli dowodzić drugą parą, gdyż całą jednostkę podzielono na pary jako samodzielne elementy uderzeniowe.

Pokój błyskawicznie opustoszał, a Martin kiwnął na Matta i Carrola, by zostali.

- Bill - po raz pierwszy użył imienia zamiast któregoś ze złośliwych przezwisk - chcę, byś poleciał pierwszą cysterną, która po zatankowaniu nas wylądjuje w Atenach, gdzie będzie na ciebie czekał RC-135. Wyrobisz się?

Plan przewidywał, że Carroll będzie na pokładzie samolotu podsłuchu radiowego, by na bieżąco korygować akcję, jeśli usłyszy coś ciekawego w irackiej łączności. Miał przekazywać informacje do AWACS kierującego operacją. Problemem było to, że Carroll musiał być na pokładzie przez cały czas, bo nie wiadomo było, kiedy nadejdzie rozkaz rozpoczęcia akcji, a RC-135 miał zdolność długi czas przebywać w powietrzu. Wsiąść miał przy okazji zmiany załogi i tankowania, ale maszyna zaraz potem startowała i mogła pozostać w powietrzu nawet kilka dni, tankując w razie potrzeby w locie. Martin obawiał się, czy Carroll nie padnie na nos ze zmęczenia.

- Nie ma strachu - zapewnił z uśmiechem Bill. - RC-135 był moim pierwszym przydziałem, a Muddy Waters - pierwszym dowódcą; mogę spać bez problemów, byle był jakiś wolny śpiwór na pokładzie.

- Ślicznie! - ucieszył się Goryl. - Gdzie nasz duet informacyjny?

Pytanie było adresowane do Matta, który odpowiedział zgodnie z prawdą:

- Gdy wychodziliśmy, spali grzecznie w sterowni.

- Niech śpią. Dzięki nim jest cień szansy, że się uda - mruknął Martin, niemający złudzeń co do stopnia trudności czekającego ich zadania; podobnie zresztą jak pozostali w sali odpraw.

Dwadzieścia minut później furgonetka rozwożąca załogi podjechała do rzędu oczekujących F-15 Eagle. Gdy pierwsze

cztery załogi wysiadły, Martin ryknął śmiechem - pod jego maszyną obaj informatycy, przebrani w cywilne ubrania, kończyli właśnie kaligrafować na jednej z podwieszonych GBU-24 czerwony napis: DZIĘKI UPRZEJMOŚCI TĘPAKÓW.

M₁₁₃ stanął przed punktem opatrunkowym, opuszczając rampę. Przy wtórze eksplodujących wokół pocisków para czekających sanitariuszek wpadła do środka z ostatnim pacjentem.

- Jeszcze nie widziałam takiej nawaly - stwierdziła jedna z nich, gdy Shoshana zamknęła rampę. - Jak w dolinie?

- Stały ostrzał, ale niezbyt ciężki. Jedynie paru rannych.

- „Szczęście Levy’ego.”

Shoshana skinęła głową, mając nadzieję, że tak jest w istocie.

Radio zachrypiało, ostrzegając o nalocie, toteż Shoshana pośpiesznie wskoczyła na miejsce kierowcy i z rykiem silnika ruszyła do najbliższego wykopu osłoniętego siatką maskującą, jakich kilkanaście zrobiły w okolicy buldożery. Stając pod siatką, zdołała zgasić silnik, gdy pierwszy z syryjskich MiG-ów 23 wszedł w lot nurkowy, zrzucając dwie pięćsetkilogramowe bomby.

Eksplozje wstrząsnęły transporterem, posyłając wszystkich na stalową podłogę, po czym zapadła cisza. Shoshana przełknęła ślinę, energicznie potrząsając głową - powoli słuch zaczął wracać. Została po prostu ogłuszona przez bliskie wybuchy. Kolejne eksplozje były już bardziej oddalone, za to radio poleciło przywdzianie kombinezonów ochronnych.

Bombardowanie skończyło się, a zaczął ostrzał artyleryjski i wezwania o pomoc. Shoshana uruchomiła silnik i ruszyła ku dolinie, zastanawiając się, ile jeszcze potrwa ta karuzela, zanim przeciwnik zaatakuje.

Tymczasem Syryjczycy i Irakijczycy wytrwale dokładali starań, by zmieńczyć obronę i przełamać słynne „Szczęście Levy’ego”.

Panie prezydencie, doktor Smithson - przedstawiła Melissa mężczyznę w mundurze kapitana US Navy, wprowadzając go do Gabinetu Ovalnego.

Cox wstał, przychylnie kiwając głową na znak, że aprobuje sposób wprowadzenia gościa, i wyszedł.

- Zostań, Melisso - poprosił Pontowski, widząc, że kobieta chce zrobić to samo.

Cox zamknął za sobą drzwi, a gość oznajmił bez wstępów:

- Obawiam się, że pańska żona czuje się znacznie gorzej niż ostatnio, panie prezydencie...

Pontowski pobladł i spróbował skupić się na tym, co mówił lekarz, ale docierały do niego tylko pojedyncze słowa niemające większego sensu:

- ...nadzieję, że... ma silną wolę, ale... to mogą być dni albo godziny... trzeba... pogorszenie... szpital...

Melissa stała bezradnie, nie wiedząc, co powiedzieć lub zrobić, i nienawidząc się za to.

Powoli Pontowski opanował się i wstał.

- Pojadę z nią do szpitala - oznajmił. - Melisso, proszę, jedź ze mną i zostań z nią. Jak wrócę, będę w Gabinetce Ovalnym. Dzwon, jeśli cokolwiek się wydarzy.

Wyszli w trójkę i Zack Pontowski rozpoczął najtrudniejszą podróż w życiu.

RC-135 z Carrollem na pokładzie odbywał drugi przelot. Lot wzdłuż południowej granicy Turcji trwał sześć godzin i stał się rutyną dla operatorów i załogi, jako że nic nie zakłócało jego monotonii. Irak w żaden sposób nie zareagował na przylot do Diyarbakiru dwunastu amerykańskich F-15 Eagle, a lotnisko to leżało zaledwie siedemdziesiąt pięć mil morskich od granicy.

Zanim samoloty wylądowały, Carroll zdążył się dowiedzieć, że Irak nauczył się ignorować stałe loty RC-135 czy E-3A AWACS wzdłuż granicy, jak również wszystko, co działo się na tureckich lotniskach. Przez tak długi czas nic groźnego z tego nie wynikało, że przestali poważnie traktować ten rejon. Rutyna i nadmierna pewność siebie dały Amerykanom pierwszą przewagę.

Sierżant przeszedł przez wąskie przejście między konsolami, ekranami i regałami ze sprzętem elektronicznym, wypełniającymi wnętrze kadłuba, szukając Carrolla. Znalazł go, gdy potknął się o bezkształtny tobół w tyle kabiny - był to Bill po uszy zawinięty w śpiwór.

- Przejęliśmy łączność, którą chyba powinien pan zobaczyć, *sir* - oznajmił podoficer, podając Carrollowi kartkę, gdy ten nieco oprzytomniał.

- AWACS nadal monitoruje ruch pojazdów do arsenału w Kirkuku? - spytał Bill, biorąc kartkę.

- Nie wiem, *sir*, zaraz sprawdzę.

Na kartce było surowe tłumaczenie przechwyconego sygnału - prośby o eskortę helikopterów dla konwoju ciężarówek, który miał wyjechać z Kirkuku za cztery godziny.

Sierżant już był z powrotem.

- Rozmawiałem z nimi przez Have Quick: nie mają żadnego ruchu drogowego na radarze.

Have Quick było zmyślnym połączeniem radia i komputera, błyskawicznie w czasie połączenia zmieniającym częstotliwość, co skutecznie uniemożliwiało podsłuch czy zagłuszenie, jeśli się nie dysponowało podobnym urządzeniem. Posiadały je wszystkie samoloty biorące udział w operacji „Trinity”.

Radar, w jaki wyposażony był AWACS - a raczej jeden z jego radarów, APY-1 - mógł zostać tak skalibrowany, by wychwytywał wolno poruszające się cele na powierzchni.

- Cholera - mruknął Carroll. - Irak za parę godzin zamierza wywieźć gaz z fabryki.

Nieprzestrzeganie dyscypliny łączności dało Amerykanom drugą przewagę.

Pokój Operacyjny w Białym Domu mieści się w piwnicy i wcale nie jest duży - jakieś cztery i pół metra na sześć. I wcale nie robi wrażenia. Wrażenie wywiera natomiast system łączności, jaki jest w nim zainstalowany. Jednym z odbiorników jest coś, co nazywa się po prostu Apple Wave, i owo coś jest obsługiwane przez technika z takim wysokim stopniem bezpieczeństwa i dostępności, iż podobny ma zaledwie trzydzieści siedem innych osób w całych Stanach. Odbiornik podłączony jest do drukarki, a ponieważ informacje często są kodowane, a zawsze dotyczą kwestii wywiadu, przekazuje się je dyżurnemu oficerowi błyskawicznie. Właśnie coś takiego miało miejsce i kolejna kartka wylądowała przed Bobbym Burke, siedzącym obok prezydenta.

- Panie prezydencie - odezwał się Burke po jej przeczytaniu.
- RC-135 wspomagający operację „Trinity” przechwycił prośbę o osłonę helikopterową dla konwoju opuszczającego arsenał w Kirkuku za trzy i pół godziny.

- Logicznym jest założyć, że chcą przetransportować gaz w pobliże frontu. - Zack przejrzał podaną mu wiadomość.

Pozostali przy stole milcząco przytaknęli.

- Pytanie, czy go użyją - dodał Pontowski.

- Sądzę, że tak - odparł Cagliari. - Izraelczycy wyszli ze wzgórz Golan, a walki w Jordanii zmieniły się w ucieczkę Arabów. Tylko

w Libanie nie posuwają się jeszcze do przodu, ale aktualnie toczy się tam zacięta bitwa. Jeśli Ben David nie wykorzysta tam ostatnich rezerw, to jej wynik może się w każdej chwili stać niekorzystny dla Izraela. Tyle że Irak nie ma już rezerw w pobliżu linii frontu.

- I należy sądzić, że Ben David zacznie to robić, o ile tylko zdoła wycofać jakąkolwiek jednostkę z Jordanii - dodał Scovili.
- Jeśli nie będzie szybkiego zaprzestania walk, wojska arabskie załamią się do reszty i Irak użyje broni chemicznej na dużą skalę, by ratować, co się da.

- Są durni, ale nie są samobójcami - sprzeciwił się Burke.

- Proszę wziąć pod uwagę, że mogą być przekonani, iż Izrael nie użyje broni jądrowej przy obecnej sytuacji na Kremlu, a także dlatego, iż wygrywa tę wojnę - stwierdził sekretarz stanu.
- Jeśli Arabowie użyją broni chemicznej, to mogą w ten sposób skłonić Izrael do zawieszenia broni.

- Chce pan powiedzieć, że oni mogą myśleć, iż użyciem gazu skłonią Ben Davida do negocjacji? - spytał Cagliari, mając chwilowo dość języka dyplomatycznego, z zasady nie nazywającego rzeczy po imieniu.

- Jest to wielce prawdopodobne.

- To są głupsi, niż sądziłem - mruknął Cagliari. - Znam Ben Davida: w takiej kwestii bez dwóch zdań użyje wszystkiego, co ma, by wyrównać rachunki.

Dyżurny oficer wręczył kolejną wiadomość Coxowi, który po przeczytaniu oddał ją Pontowskiemu.

- Panowie, wystarczy! - Zack uniósł dłoń i oznajmił: - Jest zbyt wiele niewiadomych i trudno założyć, że wszyscy uczestnicy wydarzeń będą postępować racjonalnie. Problem jest prosty: musimy powstrzymać Irak od użycia gazu do momentu zawieszenia broni. I na dodatek nie mamy czasu. Wyjście jest także proste: zniszczyć gaz, zanim opuści on arsenał.

Wstał ze ściągniętą twarzą, nagle wyglądając na swoje siedemdziesiąt cztery lata i mając świadomość, że wydarzenia albo los, jak kto woli, zwróciły się przeciwko niemu i że być może za władzę będzie musiał zapłacić rodziną.

- Proszę nadać rozkaz wykonania „Trinity”, natychmiast! - polecił i wyszedł.

Pozostali spoglądali na siebie zaskoczeni.

- To była wiadomość od Melissy - wyjaśnił Cox. - Prosiła, by niezwłocznie zjawił się w szpitalu.

Shoshana straciła poczucie czasu i rachubę kursów z rannymi. Dla niej i dla Hanni wojna oznaczała punkt opatrunkowy i stanowisko na południowym krańcu doliny, skąd obserwowały kolejne ataki irackie, rozbijające się o izraelską obronę. Ich świat ograniczał się do M113 - śmierdzącego ropą, potem, krwią i środkami opatrunkowymi.

- W lewo! - Hanni używała peryskopu, by skierować ją po kolejnego rannego, i Shoshana wróciła do rzeczywistości, koncentrując się na prowadzeniu transportera w dół stoku, w rosnących cieniach zbliżającej się nocy.

Wyjechały znad brzegu wadi i przód maszyny opadał właśnie na równiejszy teren, gdy Shoshana usłyszała przeraźliwy krzyk Hanni:

- Niecee!

I przedział silnikowy obok niej eksplodował. Poczowała ogarniającą ją falę gorąca i wylądowała na lewej burcie maszyny. Jak przez mgłę zdała sobie sprawę, że ktoś ciągnie ją do przedziału desantowego i potem na świeże powietrze. Dopiero tu odzyskała pełnię świadomości i dotarło do niej, że Hanni na wpół niesie, na wpół ciągnie ją do wadi, z którego przed paroma sekundami wyjechały.

- Cooo...? - wykrztusiła, nadal oszołomiona nagłością wydarzeń.

- Trafili nas z RPG - wyjaśniła Hanni. - W prawy przedni róg; na szczęście silnik zlągodził eksplozję. Zobaczyłam rakietę w ostatniej chwili, choć nadal nie wiem, skąd się wzięła...

Przerwał jej wybuch ropy ze zbiorników, który zmienił transporter w pochodnię.

- Miałyśmy szczęście, że trafili w silnik. - Hanni gadaniem próbowała zagłuszyć panikę. - Dobrze, że masz ten kombinezon z nomexu, nie mogłam uwierzyć, że jesteś cała: płomienie ogarnęły cię zaraz po wybuchu i myślałam, że już nie żyjesz.

Shoshana pomacała prawą stronę hełmofonu - nawet przez rękawiczki czuła, że jest gorąca. Zdjęła rękawice i kask i dotknęła szyi.

- Wygląda jak silne porażenie słoneczne, nic więcej - pocieszyła ją Hanni. - To chyba jedyny fragment skóry, który miał kontakt z ogniem.

- Nic mi nie jest - zapewniła Shoshana i usiadła.

Poruszenie spowodowało, że poczuła na ciele rozgrzany zamek błyskawiczny - teraz już wiedziała, po co był ten pas materiału, z którego zrobiła sobie wstążkę do włosów. Cóż, szkoda, ale nic już nie mogła na to poradzić. Ostrożnie podczołgała się do krawędzi skarpy i wyjrzała. Gorąco buchające z płonącego M113 szybko zmusiło ją do cofnięcia głowy.

- Widziałś jeden z naszych transporterów? - spytała. - Stoi w dolinie niedaleko stąd.

Hanni podpełza do koleżanki i wyjrzawszy, błyskawicznie cofnęła głowę.

- Arabowie - szepnęła - pięciu albo sześciu...

Shoshana zerknęła ponownie i w świetle rzucanym przez płonący transporter dostrzegła, że Arabów jest czterech, pozostali dwaj byli rannymi Izraelczykami. Jeden z Arabów wydał rozkaz i pozostali pchnęli rannych na ziemię i nacisnęli spusty. Wszystko to trwało ledwie parę sekund i Shoshana nie zdążyła się nawet ruszyć. Gdy umilkły strzały, Irakijczycy dla pewności poderżnęli leżącym gardła i ruszyli w stronę wadi. Na ten widok dziewczyna ożyła: zsunęła się na dno wyschniętego strumienia, gestem nakazując Hanni milczenie, i czym prędzej podążyła ku miejscu, w którym widziała ambulans, bliźniaczo podobny do tego, który właśnie płonął. Obie zniknęły w mroku, zapominając o hełmofonie i rękawicach Shoshany.

Wadi wychodziło na płaski fragment terenu, na którym o trzydzieści metrów od końca wyschniętego koryta stał poszukiwany przez nie transporter. Shoshana gestem kazała Hanni poczekać i schylona podbiegła do maszyny. Dopiero z bliska dostrzegła, że lewa gaśienica jest zerwana, prawdopodobnie pociskiem RPG. Poza tym wóz wyglądał na nieuszkodzony i był

taki sam jak ich transporter, łącznie z porysowanym przez kule czerwonym krzyżem. Przywołała Hanni ręką i po chwili obie kulily się w cieniu rzucanym przez burtę M113.

Shoshana ruszyła ku tyłowi transportera, ale ledwie wysunęła głowę za krawędź burty, cofnęła się i zgięta wpol zaczęła gwałtownie wymiotować.

- Nie patrz tam! - wychrypiała do śpieszącej z pomocą Hanni.

Ta nie posłuchała i po chwili obie robiły to samo.

Trudno, żeby było inaczej: o kilka metrów od nich leżały rozciągnięte na piasku ciała dwóch izraelskich sanitariuszek, przymocowane za ręce i nogi do wbitych w ziemię kołków. Obie zostały zgwałcone, a potem rozpruto im brzuchy, z których wypływały wnętrzności.

Shoshanie i Hanni niełatwo przyszło opanowanie obrzydzenia i strachu. Widziały wiele przerażających rzeczy, różne rodzaje śmierci i zniszczenia, z którymi nauczyły się żyć. Po raz pierwszy jednak spotkały się z całkowicie bezsensownym okaleczeniem prowadzącym do śmierci. Był to czysty sadyzm, niemający nic wspólnego z wojną. Do przytomności doprowadziły je odgłosy ruchu dobiegające od strony wadi.

Wczołgały się pod transporter, skąd dostrzegły tych samych irackich żołnierzy, którzy kilka minut wcześniej zamordowali rannych Izraelczyków. Cała czwórka wyszła z mroków wadi i ruszyła w dół doliny, szerokim łukiem omijając unieruchomiony transporter.

- Wiedzą, co tu jest - szepnęła Shoshana i znieruchomiła.

Gdy Arabowie zniknęli i dziewczęta przestały słyszeć jakiegokolwiek odgłosy ich kroków, wczołgały się spod wozu.

- Nie ruszamy ich - zdecydowała Shoshana. - Dopóki tu leżą, brudasy będą się trzymać z daleka.

Obie weszły do środka ambulansu. Hanni zwinęła się w kłębek na podłodze, podciągając kolana pod brodę i uspokajając prywatne demony rozbudzone tym, co zobaczyła. Shoshana zaś po omacku skierowała się do przedziału silnikowego i po chwili rozległ się cichy szum prądnicy, a następnie trzaski w głośniku radiowym, gdy odszukała właściwe przełączniki.

- *Mayday!* - powiedziała cicho do mikrofonu. - Tu karetka w dolinie. *Mayday!*

- Słyszę cię, karetka - rozległ się głos Levy'ego. - Podaj pozycję... Tak, mam... Wydostaniemy was, czekajcie.

Hanni rozpląkała się, a demony wróciły do podświadomości.

- Musimy czekać. - Shoshana przykleknęła obok koleżanki i objęła ją. - To może potrwać, ale mamy całą noc.

Stanowisko USA jest jasne - powtórzył minister spraw zagranicznych. - Chcą, byśmy zgodzili się na zawieszenie broni.

- To nie do przyjęcia - warknął Ben David. - Interesy USA nie muszą być i nie są naszymi interesami.

Premier wędrował w tę i z powrotem po sali konferencyjnej, będącej największym pomieszczeniem Cytadeli. Odbywało się tu nagłe posiedzenie rządu, spowodowane odcięciem dostaw ze Stanów. W ciszy, jaka panowała, wyraźnie słychać było szum przeciążonej klimatyzacji. Ben David odwrócił się gwałtownie.

- Jak ktoś może się spodziewać, że nie skorzystamy z okazji ostatecznego zwycięstwa, które na pokolenia zapewniłoby pokój naszemu narodowi? - wybuchnął. - Czy wszystkie ofiary i poświęcenia ostatnich dni mają iść na marne?!

- Ryzyko jest zbyt wielkie - ostrzegł minister.

- Wiem, jakie jest ryzyko - warknął Ben David. - Na razie walczymy dalej.

Zebrani właściwie odebrali to jako koniec posiedzenia i wyszli. Wszyscy z wyjątkiem Ganefa i Yuridena.

- Myślisz, że Pontowski blefuje - stwierdził Ganef.

- Słyszałem już takie teksty - odparł spokojnie premier. - Uważa, że jego lotnictwo zniszczy iracką fabrykę, jeśli naszemu się to nie udało? Dureń. Mamy najlepszych pilotów na świecie.

- Wierzysz naszej własnej propagandzie, a to błąd - ostrzegł Yuriden.

- Nie popełniam błędów! - Ben David rąbnął pięścią w stół.

- A poza tym, co mają znaczyć „aktywne środki”?! Co? Niech mi który wytłumaczy, co on miał na myśli?

- Nie używaj broni atomowej, że nie wspomnę o termoją-

drowej - powiedział dobitnie Ganef. - Konsekwencje są całkowicie nieopłacalne.

- Użyję wszystkiego, czym dysponuję, by ochronić ten kraj i jego mieszkańców. I nikt mi tego nie zabroni. - Premier umilkł i przespacerował się po sali. - Ten kij ma dwa końce... mamy przyjaciół w Kongresie.

- Posłuchaj sam siebie - jęknął Ganef - tylko uważnie. Mówisz jak kliniczny egomaniak.

- Będę chronił swój lud.

- Być może najlepiej to zrobić czekając. - Yuriden wyraźnie próbował uspokoić Davida. - Poczekajmy na wynik amerykańskiego nalotu. Sprawdźmy, jak daleko zdołamy odepchnąć Arabów korzystając z już dostarczonej przez USA broni. Zobaczmy, jak bardzo wzmocni to naszą pozycję.

- Prędej czy później będziemy musieli przerwać walki i zacząć negocjacje - dodał Ganef.

- To prawda - przyznał spokojniejszy już Ben David. - Możemy trochę poczekać.

Żaden z pozostałych nie kontynuował tematu zawieszenia broni, choć obaj doskonale wiedzieli, jak desperacko tego posunięcia potrzebują.

Piloci jak zwykle przeżyli się w sali odpraw, uszeregowani według stopni, gdy dostojnie wmaszerował generał Mana. Ignorując ukłony, dotarł do podwyższenia.

- Siadajcie! - polecił, wykazując nadzwyczajną wręcz uprzejmość, gdyż zwykle trzymał ich na baczność przez całą przemowę.

Gdy siedli, kontynuował.

- Otrzymałiliśmy wiadomość z Al Mukhabaret, że Amerykanie w tajemnicy skierowali dwanaście F-15 Eagle na tureckie lotnisko Diyarbakir. Ich celem są zakłady w pobliżu Kirkuku. Jak możecie dostrzec na tej mapie, położenie Mosulu sprzyja przechwyceniu wroga. Co więcej, Al Mukhabaret twierdzi, że wystartują w ciągu godziny, i ma dwóch agentów w okolicy, którzy mają podać dokładny czas startu.

- Nie wiedziałem, że te świnię instalują agentów za granicą - szepnął półgębkiem Johar.

- Wszystko zdarza się kiedyś pierwszy raz - odparł Samir.
- Moim zadaniem jest przechwycić i zniszczyć amerykańskie samoloty - zakończył Mana i ustąpił miejsca dowódcy jednostki, który podał plan lotu.

Formacja ta sama co zwykle, prowadzona też jak zwykle przez Manę. Johar i Samir mieli pozostać w bazie na wypadek niespodziewanego alarmu, toteż leniwie obserwowali gorączkową krzątaninę pozostałych pilotów, którzy pognali do maszyny, by czekać w nich na rozkaz startu.

- Czy Mana niczego się nie nauczył? - zdziwił się Johar.
- „Etażerka”! To przekracza ludzkie pojęcie!
- Wolałbym w tym szyku nie spotkać F-15 - dodał Samir.
- Nasze samoloty są równie dobre jak Eagle, dlaczego nie używamy ich we właściwy sposób?
- Pojęcia nie mam. Choć z bólem, ale jedno muszę przyznać: Mana może być durniem, ale nie jest tchórzem.

Baza w Diyarbakirze na dobrą sprawę składała się z trzech hangarów i dwóch budynków usytuowanych po drugiej stronie pasa startowego, dzielonego z cywilnym portem lotniczym. Turcy używali jej jako wysuniętego lotniska polowego i punktu dostaw dla pobliskiego garnizonu USA. Nikt nie wiedział, czym w zasadzie on się zajmował, ale sądząc z niewielkiej liczebności i imponującej ilości anten zwykłych, satelitarnych i radarowych, musiało to być spore stanowisko nasłuchowe. Lotnisko jak zwykle pogrążone było w bezruchu, a jedyną oznaką obecności Amerykanów były cztery samoloty parkujące w cieniu hangarów; pozostałe wraz z obsługą zdołano upchnąć wewnątrz.

Spoza ogrodzenia obserwował je przez lornetkę mężczyzna znający się na rzeczy na tyle, by stwierdzić, że każdy samolot ma podwieszane po dwie bomby i osiem rakiet (cztery mniejsze i cztery większe). Bombami były GBU-24, raketami zaś Sidewindery (te mniejsze) i AMRAAM-y (większe). Poza tym w mroku rzucanym przez ściany kryła się dobrze uzbrojona i liczna ekipa ratownicza.

O drugiej piętnaście czasu lokalnego uchyliły się wrota

środkowego hangaru, skąd wyszło dwudziestu czterech mężczyzn w lotniczych kombinezonach i rozeszło się do czekających w różnych miejscach samolotów. Drzwi zamknęły się i przez kwadrans panowała cisza.

O drugiej trzydziści rozległ się podobny do syreny ryk starterów F-15 i po chwili powietrze wypełnił huk silników dwunastu samolotów.

O drugiej trzydziści pięć pierwsza para podkołowała na początek pasa startowego i na sygnał zielonego światła z wieży kontrolnej wystartowała o drugiej czterdziści. Pozostałe poszły w jej ślady w trzydziestosekundowych odstępach.

O drugiej czterdziści trzy lotnisko znów było takie jak zwykle: senne i pogrążone w ciszy i bezruchu.

Dwanaście samolotów Czterdziestego Piątego Skrzydła Myśliwskiego Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej leciało pod wodzą pułkownika Martina w stronę Kirkuku z prędkością pięciuset czterdziestu węzłów, na wysokości czterystu stóp. Nad celem powinni się znaleźć o trzeciej dziesięć.

Obserwator wsiadł do samochodu, podjechał do pobliskiej restauracji i wykonał krótki telefon.

Wyście klaksonu alarmowego obudziło Johara, śpiącego w swoim pokoju. Zanim ryk pierwszego zapuszczanego silnika Su-27 przeszył noc, chłopak był już w pełni przytomny i odruchowo spojrzął na zegarek: druga pięćdziesiąt jeden. Wstąpił, wstał, niespiesznie włożył kombinezon i poszedł do mesy na śniadanie. Samir już tam na niego czekał.

Start ośmiu myśliwców Su-27 prowadzonych przez generała Manę zarejestrował AWACS krążący o dziewięćdziesiąt mil morskich od Mosulu, w trójkącie wyznaczonym przez zbiegające się granice Turcji, Iraku i Iranu. Dyżurny włączył Have Quick i nadał krótki, uzgodniony wcześniej sygnał ostrzegawczy do F-15 o tym, że wróg jest już w powietrzu. Martwiła go nieco owa zadziwiająco szybka reakcja brudasów.

TEWS w maszynie Matta ożył tuż po ostrzeżeniu o bandytach z Mosulu.

- Niech mnie diabli - zdziwił się Furry. - Toż to SA-3.

W słuchawkach faktycznie słychać było wysoki gwizd oznaczający uruchomienie radaru naprowadzającego SA-3 Goa, starego typu sowieckich rakiet klasy ziemia-powietrze. Miała zasięg osiemnastu mil, a swoją świetność przeżyła w Wietnamie; z zasady wystrzeliwana z sześciorakietowej wyrzutni, której radar mógł śledzić do sześciu samolotów i kierować po dwie rakiety na jeden cel.

Matt i Furry niespecjalnie się nią przejęli, ale zagrożenie jest zagrożeniem, jak im to uporczywie powtarzał Martin.

- Matt, zajmij się tą wyrzutnią SA-3. Jest na twojej drugiej o dwanaście mil - rozległ się w Have Quick głos Martina, jak zwykle ignorującego kodowe zawołania i inne formalności.

Była to praktyka dyktowana zdrowym rozsądkiem: w czasie walki numerki mogą się pomylić, własnego imienia zaś nikt nie zapomina.

- Jasne, szefie, robi się! - Mówiąc „szefie”, jasno adresował odpowiedź.

Na ekranie TEWS pojawił się kolejny znaczek - druga wyrzutnia SA-3, także prawie prosto przed nimi.

- Sean, zajmij się lewą - polecił Martin skrzydłowemu, którym w tej akcji był Leary.

Jak ustalono na odprawie, prowadząca para zajmowała się każdym zagrożeniem naziemnym, jakie się uaktywniło, tworząc korytarz dla pozostałych samolotów i pozwalając na skoncentrowanie się na samym nalocie i bezpiecznej drodze powrotnej. Korytarz miał liczyć dwadzieścia mil szerokości i prowadzić od granicy nad cel. Na krótki okres musieli także używać przewagę w powietrzu.

Matt skierował dziób F-15 prosto na prawą wyrzutnię, przestawił przełącznik uzbrojenia na bomby i przeniósł wzrok na HUD, na którym był obraz wyświetlony przez FLIR w jedenaście odcieniach szarości. Pod nosem pilot dostrzegł rozbłysk odpalenia SA-3, która błyskawicznie odpadła w lewo jakimś dziwnie koślawym kursem.

- Ogłupiłem ją - zachichotał z tyłu Furry, mając na myśli podanie fałszywych danych systemowi sterującemu rakieta.

- Namierzam - oznajmił po sekundzie Furry, przełączając FLIR na celowanie i naprowadzając krąg celownika na wyrzutnię.

Po wciśnięciu blokady reszta należała do komputera.

Matt nacisnął przycisk zwalniający bombę i czekał, aż komputer zwolni zaczep po skończeniu obliczeń. Wstrząs oznajmił odczepienie ważacej dwa tysiące funtów bomby spod lewego skrzydła.

Furry włączył laser, poprawiając nieco położenie celownika. Druga rakietka przemknęła za ich ogonem, wznosząc się w niebo i zupełnie ich ignorując, a potem na ziemi rozbłysł oślepiający wybuch.

- To było marnotrawstwo zupełnie sprawnej GBU - skomentował Furry.

- „Nigdy nie lekceważ zagrożenia” - zacytował w odpowiedzi Matt.

Dwie kolejne eksplozje oznaczały koniec wyrzutni, którą zajął się Leary, oraz nowej, uaktywnionej przed chwilą SA-6, którą to zajął się Martin.

W Have Quick rozległ się głos operatora z AWACS.

- Viper 01, masz ośmiu bandytów w natarciu 0-9-0, odległość czterdzieści mil, kurs 2-3-0, wysokość dziesięć. Są na kolizyjnym.

Proste działania matematyczne (naturalnie proste dla pilota) pozwalało stwierdzić, że spotkanie nastąpi za mniej więcej dwadzieścia pięć mil.

- Aldo, zidentyfikowałeś bandytów? - spytał Martin, wyjątkowo używając kodu oznaczającego AWACS.

- Sprawdzam z Dusterem.

„Duster” był kryptonimem RC-135, na którego pokładzie znajdował się Carroll. Jego zadaniem było dowiedzieć się, czy Mana jest w powietrzu, a jeśli tak to gdzie.

- Viper 01! - Operator znów był na linii. - Duster potwierdza, że dowódca bandytów jest celem. Rozkaz ZABIĆ. Powtarzam: ZABIĆ.

- Rozumiem 01. Wykonuję - potwierdził Martin. - Sean, od-
suń się!

Oznaczało to, że Leary ma lecieć obok, ale w większej odle-
głości niż dotąd. Ponieważ zapowiadała się gorąca sytuacja i
porucznik będzie miał pełne ręce i oczy innych zajęć, Martin
włączył światła pozycyjne, by ułatwić mu znalezienie swojej
maszyny w mroku, po czym skręcił o czterdzieści stopni w lewo
na kurs zbieżny z przyjętym przez Manę.

- Prowadzący zajęty - nadał następnie, informując Matta, że
od tej chwili prowadzi nalot na Kirkuk, jak planowali.

- Tu Aldo - odezwał się operator - wielu bandytów startuje z
Kirkuku.

Sytuacja stawała się coraz ciekawsza: będą musieli sobie
wywalczyć zarówno drogę nad cel, jak i powrotną.

Martin i Leary zbliżali się do Many od przedniej prawej
ćwiartki. Martin zaplanował rozpoczęcie ataku przez rozdzie-
lenie formacji i zaatakowanie Many z dwóch stron. Gdy ten
wda się w walkę z jednym z nich, drugi będzie osłaniał walczą-
cego lub, jeśli tak się sytuacja rozwinie, wykona atak jako dru-
gi. Wybór przeciwnika należał do Many.

Manewr, jak większość rzeczy prostych, był trudny w dzień,
w nocy zaś graniczył z niemożliwością, ale Goryłowi nigdy nie
brakowało pewności siebie.

Oba F-15 zniżyły lot, będąc o tysiąc stóp od siebie z radara-
mi przełączonymi na wyczekiwanie - nie było sensu ułatwiać
życia przeciwnikowi informacją o swej obecności. *Wizzo* Mar-
tina skoncentrował się na obrazie FLIR i gdy dostrzegł ruch na
ekranie, przełączył urządzenie na celowanie, nakierowując
jednocześnie na wykryty obiekt. Na ekranie pojawiła się syl-
wetka Su-27. Ponieważ FLIR był urządzeniem pasywnym -
działając na zasadzie rozpoznania emisji ciepłych konkret-
nych typów maszyn - przeciwnik nie miał żadnego ostrzeżenia,
że jest namierzany.

- Bandyta w niarze FLIR - oznajmił blokując celownik.

Martin przełączył obraz na swój ekran i zaczął oglądać świat
w odcieniach zieleni. Obraz był wąskim Wycinkiem całości przed
nosem, ale za to niezwykle wyraźnym. W ślad za pierwszym na

ekranie ukazał się drugi Flanker i Martin uśmiechnął się radośnie, rozpoznając szyk, w jakim leciał przeciwnik - zapowiadało się strzelanie do kaczek.

Przestawił przełącznik uzbrojenia w tylne położenie, co uruchomiło radar, który natychmiast namierzył najbliższego przeciwnika, czyli Manę, po czym przesunął go w poprzednie położenie, odbezpieczając AIM-120 AMRAAM, i nacisnął spust. Spod kadłuba oderwała się rakietka i pomknęła ku Su-27. Martin oczekiwał dzikich manewrów, gdy Mana zobaczy zbliżający się pocisk, a właściwie nie tyle pocisk, ile ogień wydobywający się z dyszy rakiety, ale się zawiódł: nie było żadnej reakcji.

Ponieważ był już bliżej niż dziewięć mil od celu, przesunął przełącznik w środkowe położenie i słuchawki wypełnił świergot Sidewindera mającego zamiar przeciwnika. Martin ponownie nacisnął spust i rakietka wyskoczyła z lewej zewnętrznej podwieszki, kierując się ku Flankerowi.,

Reakcja Many nadal zerowa.

Widząc, co się święci, Leary wziął w zamiar drugi Su-27 i powtórzył poczynania Martina: najpierw AMRAAM, potem Sidewinder, tyle że tego drugiego w pośpiechu i podnieceniu odpalił za wcześnie, a pilot drugiego Flankera w przeciwieństwie do Many miał głowę w kabinie, nie we własnej dupie, i nie słuchał ślepo poleceń kontrolera z ziemi. Widząc zbliżającą się rakietkę, czym prędzej położył samolot w ciasny skręt w lewo, akurat w chwili, w której AMRAAM Martina wleciała pod prawe skrzydło Many. Czujnik bliskości celu zadziałał niczym na pokazach i rakietka eksplodowała, tnąc brzuch Su-27 niczym sito tysiącem stalowych odłamków.

Przez chwilę Mana próbował opanować maszynę, która odpadła w lewo. Su-27 miał potrójne systemy sterowania i był nadal zdolny do lotu, ale pilot spanikował i katapultował się. Tysiąc czterysta funtów ciągu, jaki przez kilka sekund dawał silnik katapultujący, wypchnęło go z kabiny wraz z czterystupięćdziesięciopuntowym fotelem K-36 w chwili, gdy Sidewinder Martina wleciał do prawej dyszy Su-27 i eksplodował.

Pilot drugiego Flankera wystrzelił świecą w górę, nie uważając, iż Mana znalazł się między nim a rakieta AMRAAM Leary'ego. Radar rakiety bez trudu wykrył nabierający wysokości myśliwiec i natychmiast go namierzył. Natomiast Sidewinder Leary'ego był co nieco oglupiony: stracił ślad, za którym leciał i przeszedł w wyczekiwanie. Wtedy czujnik cieplny złapał emisję silnika fotela i natychmiast wziął go w namiar.

Mana nawet nie zobaczył rakiety, która go zabiła.

Jak planowano, oba F-15 przeleciały przez zbliżającą się formację niszcząc ją, jak i to, co zostało z morale irackich pilotów po zestrzeleniu prowadzących maszyn. Martin stracił drugi Su-27 Sidewinderem.

Naprowadzający darł się, by piloci utrzymywali pozycję, dzięki czemu mógłby zrobić z pozostałych pięciu kopertę i użyć ich broni, ale Martin i Leary nie mieli na to najmniejszej ochoty, podobnie jak iraccy piloci, którym rola ruchomego celu przestała odpowiadać. Taktyka iracka była skuteczna przeciw bombowcom, ale nie miała prawa się udać w stosunku do myśliwców, zwłaszcza tak wszechstronnych jak F-15 Eagle i pilotowanych przez doświadczonych pilotów. Naprowadzającemu zresztą nigdy nie przyszło do głowy, że iraccy piloci wyczyniają owe dzikie ewolucje, które widział na radarze, nie po to, by dopaść Amerykanów, ale by ująć z życiem. Dlatego też Martina, który widział to z bliska, zaskoczył okrzyk *wizzo*:

- Bandyta na siedem koma dwie mili od nas atakuje!

Faktycznie: ledwie widoczna w mroku sylwetka Su-27 wchodziła im na ogon, by po sekundzie odpalić raketę. Była to albo AA-11, albo AA-8 - obie z pasywnym naprowadzaniem na podcierwień.

- Flary! - zameldował *wizzo*, odstrzeluwając serię, która rozbłysła za ich ogonem.

Instynktownie Martin wykonał ciasną pętlę, by znaleźć się za atakującym, a przy okazji odwrócić wyloty dyszy od rakiety, która oglupiona skierowała się ku flarom i wybuchła, nie robiąc nikomu krzywdy. Jednocześnie zastanawiał się, jakim cudem Flanker ich znalazł bez ostrzeżenia TE WS. Po paru sekundach go olśniło: zapomniał wyłączyć światła pozycyjne

po załatwieniu Many! Czym prędzej naprawił ten błąd, zmniejszył ciąg i przełączył uzbrojenie na działko.

Gdy zgasył światła F-15 i samolot wtopił się w noc, napastnik zwątpił, ale po chwili położył się w ciasny skręt - sądząc, że poszukiwana maszyna powinna być w pobliżu miejsca, w którym widział ją ostatnio - i włączył radar. Ponieważ jednak Martin nie znajdował się w wiązce liczącej sześćdziesiąt stopni przed jego nosem - gdyż tak był ustawiony dziobowy radar Su-27 - nie został on wykryty. Natomiast ożył system ostrzegania radarowego irackiego samolotu, gdy Goryl włączył radar F-15. Będąc za Flankerem, nie miał problemów z uzyskaniem namiaru i nacisnął spust. Iracki pilot obejrzał się po to, by dostrzec linię pocisków smugowych sięgającą jego samolotu. Co prawda tylko co siódmy pocisk był smugowy, ale przy szybkostrzelności, jaką Martin wybrał - sześć tysięcy strzałów na minutę - wyglądało to niczym ciągłą czerwoną linią. Dziewięć pocisków kalibru dwadzieścia milimetrów wystrzelonych z wielolufowego Gatlinga eksplodowało w kabinie Su-27, zmieniając go w dymiący wrak.

Martin trzecie zwycięstwo przyjął zupełnie spokojnie - na świętowanie przyjdzie czas później. Sprawdził paliwo, skontaktował się z Seanem, polecając mu, by dołączył, i skierował maszynę ku uzgodnionemu punktowi, z którego mieli rozpocząć kolejny atak. Coś mu jednak nie pasowało: Mana zginął zbyt łatwo jak na asa. Intuicja mówiła Martinowi, że Joe cieszy się dobrym zdrowiem i gdzieś czeka na niego.

Matt zdecydował, że jest za wcześnie, by reagować na ostrzeżenie o drugiej grupie bandytów: byli jeszcze oddaleni o prawie dziewięćdziesiąt mil, a w dodatku Furry miał problemy. Żyroskop laserowy wewnętrznego systemu nawigacyjnego zgłupiał - po piętnastu minutach lotu mieli odchylenie trzech mil w stosunku do elektronicznej mapy zamiast ośmiuset jardów po godzinie, jak to było dopuszczalne.

- Muszę zrobić mapę i nanieść naszą pozycję - stwierdził Furry po powtórным sprawdzeniu namiarów i elektronicznej mapy.

- Więc zrób - odparł spokojnie Matt.

Znając Furry'ego, prawdopodobieństwo, że Irakijczycy odkryją ich radar przy sporządzaniu przez niego mapy, było minimalne. Matt i Furry mieli okazję świetnie się poznać i nabrali do siebie wzajemnie absolutnego zaufania, co było podstawą istnienia w pełni zgranego zespołu. Pilot nie przejmował się więc poczynaniami *wizzo*, obserwując świat na HUD (w jedynastu odcieniach szarości), i wziął się do roboty dopiero, gdy usłyszał:

- Gotowe!

Matt przecesał radarem niebo w poszukiwaniu drugiej grupy bandytów, ale ekran pozostał czysty; przełączył radar na wyczekiwanie i mruknął sam do siebie:

- Gdzie oni są, do cholery?

- Spytaj Aldo - poradził Furry.

- Racja - przyznał Matt i przełączył radio. - Aldo, podaj pozycję bandytów z Kirkuku.

- Proszę podać, kto woła Aldo - odparł dyżurny.

- Viper 03! - Matt w ostatniej chwili nie dodał czegoś w stylu: „a kto by miał wołać i pytać o coś takiego, i to jeszcze przez *Have Quick?*” Izraelscy piloci nigdy nie traciliby czasu na takie pierdoły, za to operator znalazłby pilotów po głosie.

- Viper 03, tu Aldo. Bandyci nadal startują, ale formacja kieruje się na zachód, tak że masz czystą dupę. Poczekaj! - Matta zatkało: ma do celu osiem minut, a tu jakiś kretyń każe mu czekać nie wiadomo na co.

Zanim jednak zdążył się odezwać, rozmówca znów był na linii:

- Viper 03, tu Aldo. Duster potwierdza, że bandyci zostali skierowani na pozycję wyczekującą, trzydzieści pięć mil na południowy zachód od celu. Para bandytów kieruje się na ciebie: namiar 1-6-0, odległość siedemdziesiąt, kurs 0-2-5.

Dzięki obu samolotom wczesnego ostrzegania Matt miał tak doskonale rozeznanie w otaczającej go sytuacji jak nigdy dotąd. Co więcej - prawdopodobieństwo tego, że przeciwnik zdoła się doń zbliżyć niepostrzeżenie, było tak minimalne, że praktycznie równe zero.

Teraz ożył ekran TEWS, wskazując pierwsze uaktywniające się radary wroga, głównie baterii *Gadfly* otaczających cel.

- Kurwa! - Furry'ego nagle oświeciło. - Chcą nas zaatakować tuż przed tym, jak wejdziemy w zasięg parasola raketowego nad Kirkukiem.

- Więc zobaczymy, jak ich obrona przeciwlotnicza potrafi identyfikować cele - uśmiechnął się Matt. - Doc i Wedge, ta parka jest wasza.

- *Roger* - odpowiedziały słuchawki i Viper 05 i 06 dali pełen ciąg.

- Szefie, podaj pozycje! - Matt wywołał dowódcę.

- Przeganiem Flankery na północ - odparł rzeczowo Martin.

- Pilnujemy, żeby nie wlażyły wam na kark.

Rozdzielili się z Learym i atakowali każdy Su-27, jaki się nawinął. Kontroler iracki nie był w stanie poradzić sobie z gwałtownie zmieniającą się sytuacją i dwa F-15 w zupełności wystarczały do osłony nalotu.

Matt, uspokojony, skoncentrował się na nalocie.

- Skid, ty zrzucaasz, my oświetlamy - polecił skrzydłowemu, - A potem nogi za pas i pełen ciąg.

- Rozumiem, wykonuję.

- Brzmi obiecująco - dodał Martin.

Matt omal nie wypuścił knypla: jakim cudem Goryl zdołał zająć się irackimi myśliwcami i jeszcze zwracać uwagę na to, co się dzieje z resztą jednostki?!

Zaczęli dołot do celu. Ekran TEWS był masą symboli, a słuchawki wypełniał jazgot, świergot, wycie i inne sygnały informacyjno-ostrzegawcze. Matt wyłączył dźwięk, koncentrując się na celowaniu.

- Cel zidentyfikowany - oznajmił Furry.

Matt przełączył ekran i z zaskoczeniem stwierdził, że fabryka i magazyny wyglądają tak znajomo, jakby przelatował nad nimi z dziesięć razy.

Przed maszyną pojawił się rój poczwórnych koralików - ZSU-23-4.

- Łatwizna - skomentował sytuację Furry, słysząc przyśpieszony oddech Matta.

Z przodu pojawiły się kolejne koraliki, tym razem z dwóch samobieżnych działek przeciwlotniczych, a z boku podwójny rozbłysk znaczył start dwóch rakiet typu Gadfly.

Matt wyłączył autopilota i położył maszynę w ostry skręt - zaczęli naloć.

- Bomby poszły - oznajmił spokojny głos Skida, którego celem była fabryka.

Eksplozja rakiety Gadfly rozświetliła niebo, ukazując na sekundę F-15 Eagle Skida, przelatujący poniżej wybuchu, i goniący za nim serie z działek. Druga rakietka wybuchła po paru sekundach, ale tym razem nigdzie nie było widać bocznej.

- Oświetlam! - krzyknął Furry i Matt skoncentrował się na wskazaniach FLIR.

Wszystkie systemy pracowały bez zarzutu, toteż nie miał problemów z utrzymaniem celu w krzyżu celownika. O mniej niż sto stóp nad nimi przeleciała kolejna Gadfly, ale z jakichś powodów zapalnik zbliżeniowy nie zadziałał i rakietka poszybowała w górę.

Zakłady rozbłysły w eksplozji pierwszej bomby, która trafiła o centymetry od miejsca oświetlonego laserem przez Furry'ego. Bomby były z opóźnionym zapłonem, toteż pierwsza dotarła do piwnicy, zanim wybuchła, a druga przeleciała przez wybitą w podłodze dziurę i dotarła do trzeciego podziemnego poziomu, przed eksplozją grzęznąć w betonowej podłodze. Laboratoria, komora testów i cała reszta podziemnej wytwórni zmieniły się w ogniste piekło. Na nieszczęście nie usmażyli się w nim chińscy naukowcy - którzy wymyślili ów gaz binarny - gdyż tydzień wcześniej zadowoleni wrócili do kraju. Spalili się za to dyżurni technicy i cała dokumentacja. Seria eksplozji wywołanych gorącym i wstrząsami targnęła resztą zakładów i zbiorników, wywołując ognisty grzyb wysokości stu metrów i zmieniając całą fabrykę w marzenie piromana.

- Jazda! - ryknął Furry, widząc ścianę pocisków smugowych wyrastającą przed samolotem.

Matt położył samolot w najciaśniejszy skręt, jakiego mógł dokonać nie zwiększając wysokości. Nadal będąc poniżej stu stóp, obleciał wieżę radiową i ruszył pełnym ciągiem ku granicy tureckiej. Za nimi bomby Vipera 07 sterowane przez 08 trafiły właśnie w pierwszy z podziemnych magazynów.

A potem płonące piekło zostało za ogonem i Matt zdał sobie sprawę, że radio wre od rozmów, krzyków i rad. Jakoś zdołał

zignorować te informacje w czasie nalotu, zdając sobie jednocześnie sprawę ze wszystkiego, co działo się wokół. Teraz spokojnie sprawdził stan paliwa, włączył autopilota, zbadał uszkodzenia. Okazało się, że nie ma żadnych - dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że loty w symulatorze obsługiwany przez Upiorny Duecik były znacznie trudniejsze.

- Skid, podaj pozycję - polecił.

- Na północ od celu - szybko odparł zapytany. - Lecę do domu, trafili mnie po zrzucie z ZSU-23.

- Potrzebujesz pomocy?

- Nie. Poradzę sobie. To czołg nie samolot.

- Aldo, tu Viper 03, coś nowego? - spytał Matt, zmieniając kanał.

- Nie, 03. Lecisz nad drugi cel?

- Tak - odparł Matt, zmieniając kurs na północno-zachodni, prowadzący ku Mosulowi.

- Sean, podaj pozycję - rozległ się w radio głos Martina. Ci-sza.

- Aldo, tu Viper 01, macie gdzieś Vipera 02?

- Mamy. Viper 02 wraca do bazy.

Martin i Matt odetchnęli - najwyraźniej Leary miał tylko kłopoty z radiem.

Dla Matta celem drugorzędym, to znaczy aktualnym w wypadku niewykorzystania wszystkich bomb, było lotnisko w Mosulu, dla pozostałych zaś - baza w Kirkuku. Użyć mieli szynkowcowych właściwości GBU, oświetlając cel, jak się dało, ale z dużej odległości i bez narażania się na zbędne ryzyko. Ponieważ nie było też wiadomo, ilu samolotom i którym zostaną bomby po ataku na fabrykę, zaniechano taktyki *B'nai* i każdy miał bombardować indywidualnie.

Furry przejął radar, uaktualniając mapę i poprawiając pozycję, po czym sprawdził wszystkie systemy i zwątpił.

- Niech to cholera - stwierdził w końcu. - Wszystkie irackie radary są wyłączone. Wyrzutnie, działka, stałe stacje. Ani jeden nie próbuje nas znaleźć.

- Nie podoba mi się to - przyznał Matt - pewnie czekają na meldunek o kontakcie wzrokowym i włączą wszystko, co mają, na nasze powitanie.

Coś mu mówiło, że przeciwnik stosuje nową taktykę, i to taktykę zdecydowanie niebezpieczną.

- Amb, tu zrzucamy na namiar radarowy z maksymalnej odległości. Żadnych laserów i ryzyka - zdecydował Matt. - Coś mi się wydaje, że najwyższa pora stąd pryskać.

- Zgadzam się - przytaknął Furry, zabierając się do roboty i po raz kolejny uaktualniając pozycję.

Matt włączył funkcję radarowego bombardowania i czekał. Furry skończył nawigację i ustawił celownik na pas startowy w Mosulu. Matt zwiększył nieco szybkość, ale tak, by utrzymać się tuż poniżej jednego macha. Faktycznie byli zgranym zespołem.

- Coś tu śmierdzi - mruknął Matt.

- Gotów - odparł Furry, gdy maszyna osiągnęła punkt automatycznego zrzutu.

Matt nacisnął spust i potrzymał go, by umożliwić komputerowi automatyczne odłączenie bomby w najdogodniejszym momencie. Poczul skok maszyny, gdy bomba odpadła od prawoskrzydłowej podwieszki i jednocześnie ekran TEWS rozbłysł niczym choinka na Boże Narodzenie, a noc eksplodowała pociskami smugowymi.

- SAM na trzeciej! - ryknął Furry.

Matt też dostrzegł rakietę i położył maszynę w ciasny skręt o sto stóp nad ziemią, tak by mieć rakietę przed sobą. Pociski smugowe wykwitły przed nimi, gdy odczekał, aż rakieta wyrówna lot na ich pułapie. Po sekundzie znurkował, robiąc jednocześnie częściowy skręt na siedemdziesięciu pięciu stopach, i ze strachem dostrzegł rakietę powtarzającą manewr; ale mając znacznie mniejszą powierzchnię nośną nie zdołała go powtórzyć do końca i rąbnęła w ziemię, eksplodując. Matt odetchnął i skoncentrował się na HUD, na którym był obraz FLIR niezbędny do pilotowania maszyny w nocy tak nisko nad ziemią.

- Cholerna pułapka przeciwlotnicza - warknęła Furry. - To chyba była pieprzona SA-9.

Matt zaklął w duchu: nie dość, że ZSU-23 i Gadfly, to jeszcze SA-9. Te ostatnie były raketami o krótkim zasięgu, ale o pułapie mniejszym niż sto stóp i używające pasywnego namiaru na źródło ciepła.

- Viper 03 do pozostałych - oznajmił przez radio Matt.
- Zastępcze cele to pułapki przeciwlotnicze. RTB. Powtarzam: RTB.

- Dziewięć minut do granicy. - Furry wrócił do równowagi. Dopiero po przeleceniu granicy napięcie zaczęło opadać.

Wspięli się na dwanaście tysięcy stóp, by choć te ostatnie sześćdziesiąt mil przelecieć na uczciwej wysokości, i Matt zwrócił się do Furry'ego, notując coś w przypiętym do kolana notesie:

- Amb, co ty pieprzyłś nad Kirkukiem o łatwiźnie?
- Kłamałem - odparł najspokojniej w świecie Furry.

Johar i Samir stali przed wejściem do budynku dywizjonu, obserwując to, co po nalocie zostało z ich jednostki.

- Nie mogę uwierzyć - szepnął Samir, nie odrywając oczu od ściany ognia. - Jedna bomba.

GBU-24 eksplodowała w połowie długości pasa startowego, wybijając dziurę o średnicy prawie dziesięciu metrów. Odlamki sięgnęły promienia osiemsetmetrowej długości, zabijając ludzi i rozbijając sprzęt. Dwa Flankery zostały zniszczone: jeden kończył lądowanie i fala eksplozji urwała mu ogon, zmieniając go w ognistą kulę; drugi podchodził do lądowania i fala uderzeniowa cisnęła go o beton pasa. Paliwo i płonące resztki rozciągały się na przestrzeni ponad półtora kilometra.

Obok pasa wylądował kolejny Su-27, co było możliwe dzięki niemal obsesyjnej trosce sowieckich konstruktorów, by ich maszyny mogły startować i lądować na nieprzystosowanych do tego terenach.

- Ostatni - powiedział Johar. - Nie widziałem nigdzie Many. Jak myślisz, dostali go?

Samir wzruszył ramionami: ani go to nie cieszyło, ani nie martwiło. Interesowało go za to coś innego:

- Słuchaj, oni chyba użyli nowego typu inteligentnej bomby - stwierdził.

- Może. A może po prostu mieli niesamowite szczęście... Tylko dwóch wróciło...

Johar poczuł, jak wzbiera w nim żądza zemsty i nieopano- wana chęć wyrównania rachunków.

Po odprawie załogi znalazły się w hangarze zamienionym w polowe stanowisko dowodzenia. Większość poroziadała się

pod ścianami, koncentrując się na wykańczaniu lokalnych zapasów kawy i coca-coli. Martin zaś krążył po wolnym fragmencie podłogi niczym tygrys po klatce. Wędrówkę przerwał mu jeden z radiooperatorów, informując, że RC-135 podchodzi do lądowania.

- Cholera, musi być coś ważnego! - mruknął Martin i zajął się rozstawieniem kordonu wokół maszyny po jej wylądowaniu.

Na szczęście żandarmów przywieźli ze sobą, tak że nie musiał się użerać z Turkami, którzy - choć chętni do pomocy - w niektórych sprawach zachowywali się z rozbijającą wręcz beztróską.

- Czego się gapicie? - zdenerwował się nagle Goryl, widząc zainteresowanie pilotów. - Ten nalot to była dziecinada. Proste i łatwe, jak po maśle.

- Jak to była dziecinada - mruknął jeden z pilotów - to nie chciałbym brać udziału w zabawie dla dorosłych.

Matt w zupełności się z nim zgadzał: nalot był znacznie trudniejszy niż bombardowanie sztabu syryjskiej Pierwszej Armii. Furry nie odezwał się ani słowem, ale jego kamienna twarz mówiła sama za siebie.

- Dobra, Tępaki, zobaczmy, czy rozpoznanie potwierdzi wasze wyczyny. Jeśliby wierzyć meldunkom, to przerobiliście zakłady na sieczkę, a ten tu jeszcze zniszczył lotnisko w Mosulu. - Martin wskazał Matta. - Przyznaję, że decyzja odwołania nalotów na cele zastępcze była rozsądna, co ci się rzadko zdarza. Muszą mieć cholernie dobrą sieć obserwatorów wokół lotnisk. Gadfly i SA-9 doskonale się uzupełniają... Ktoś tam, cholera, w końcu zaczął myśleć.

Do hangaru wszedł major - szef ekipy technicznej - z meldunkiem, że Have Quick w samolocie Leary'ego jest sprawne. Do naprawy użyli części z radia samolotu Skida, który doznał takich uszkodzeń, że przez dłuższy czas nie poleciał o własnych siłach. Radio Leary'ego nawaliło w trakcie spotkania z Su-27, ale samo z siebie, a nie, jak pierwotnie sądził pilot, w wyniku uszkodzenia wywołanego trafieniem. Oprócz myśliwca Skida dwa inne były uszkodzone i przez parę dni niezdolne do lotów. Pozostałe maszyny były w pełni sprawne, zatankowane i gotowe do powrotu do Stonewood.

- A kto ci powiedział, że wracamy? - zdumiał się Martin. -
Lepiej sprawdź, jakie bomby możemy tu znaleźć, zamiast zajmować się pierdołami.

Piloci zaskoczeni umilkli, a major czym prędzej się wycofał.

- Duster ląduje, *sir* - przerwał ciszę meldunek radiooperatora i Martin wypadł na zewnątrz, dając znak Mattowi i Furry'emu, by szli za nim.

Ledwie RC-135 dokończył kołowania, w otwartych drzwiach pojawił się Bill Carroll, zapraszając ich do środka. Żandarm wchodzący w skład stałej załogi sprawdził ich tożsamość, a Bill przeprowadził ich przez labirynt sprzętu i stanowisk do niewielkiego bufetu, w którym podgrzewano posiłki. Tu dołączył do nich pułkownik dowodzący załogą.

- Mam złe nowiny - zagał Carroll. - Tuż przed waszym atakiem magazyny opuścił konwój ciężarówek. Nie informowałem was w trakcie lotu, bo była szansa, że zdążycie, a potem zrobiło się już za duże zamieszanie. AWACS przekalibrował radary na obiekty mające szybkość większą niż sześćdziesiąt mil na godzinę, bo to było istotne w chwili nalotu. Sprawa wyszła, gdy byliście już bezpieczni, a my zaczęliśmy wszystko sprawdzać. Konwój liczy dwadzieścia pięć wozów i jedzie na zachód. Są teraz na autostradzie o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Kirkuku i możemy być pewni, że wiozą ten cholerny gaz.

- A więc dlatego maszyny z Kirkuku nas nie atakowały!

- Fragmenty łamigłówki ułożyły się wreszcie w całość w umyśle Matta. - Trzymali się sześćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Kirkuku, bo byli osłoną konwoju.

- Zgadza się z łącznością, jaką przechwyciliśmy - powiedział pułkownik, podając Martinowi mapę z zaznaczoną pozycją konwoju.

- Co to jest? - warknął Goryl, przyglądając się jej przez chwilę i wskazując punkt leżący o jakieś sto kilometrów przed znacznikiem symbolizującym konwój.

- Prom przez Eufrat - wyjaśnił Carroll. - Powinni tam być za godzinę i trzy kwadranse.

Martin wyrzucił z siebie serię rozkazów z szybkością szanującego się karabinu maszynowego:

- Matt, ty i Furry opracujecie atak na ten konwój razem z promem. Lepiej złapać ich na wschodnim brzegu. Spróbujcie to tak zrobić, żeby wyglądało na powtórny atak na arsenał. Część maszyn ma lecieć wyłącznie jako osłona i dorwać każdego brudasa, jaki wystartuje z Kirkuku czy Mosulu. Carroll, musisz dokonać cudu i przekonać tych bezmózgich durni w Pałacu Łamigłówek, że trzeba wykonać drugi nalot. Nie mamy czasu, więc postaraj się, by tym razem w Pentagonie zrozumie-li, co się święci.

- Spróbuję - obiecał Carroll, ale obaj wiedzieli, jak wolno potrafią się kręcić koła wojskowej biurokracji.

- Naprawdę się postaraj. - Martin spowaźniał. - Najpóźniej za siedemdziesiąt pięć minut musimy być w powietrzu, jeśli chcemy ich złapać, zanim przepłyną rzekę. Dobra, muszę znaleźć jakieś bomby i zabrać się za mechaników, żeby je załadowali.

Najważniejszy jest czas - oznajmił Cagliari. - Musimy zniszczyć ten konwój, zanim przekroczy Eufrat.

- Zniszczyliśmy fabrykę, wypadaloby poczekać na reakcję Iraku. - Jedyne Burke nie był przekonany. - Poza tym nie mamy pewności, że te ciężarówki przewożą gaz.

Pontowski odchylił się wygodnie w fotelu i spytał:

- Co pan o tym sądzi, generale Cox?

Zapytany wstał i podszedł do mapy.

- Kiedy przekroczą Eufrat - powiedział wskazując prom - od linii frontu nadal dzieli ich ponad sześćset kilometrów. Konwojowanie nie ma sensu, powinni użyć drogi powietrznej. Istnieje duża szansa, że to zrobili. Baza lotnicza Al Sahra znajduje się o trzydzieści kilometrów na południe od przeprawy promowej. Część lub cały konwój może zostać tam skierowany; proponowałbym sprawdzić dane AWACS.

- Proszę się tym zająć. - Ledwie Pontowski to powiedział, Coxa wymiotło do sąsiedniego pomieszczenia, będącego siedzibą centrali łączności Białego Domu.

Zaczynamy polowanie na duchy - skrzywił się Burke. - Musimy poczekać na rzetelne dane wywiadowcze. I musimy także wziąć pod uwagę reakcję Rosjan. Pewien jestem, że na Kremlu wygrają twardogłowi, a to oznacza powrót zimnej wojny.

- Doprawdy? - zdziwił się Zack. - Zastanawiam się...

Przerwało mu światełko na konsolecie telefonicznej usytuowanej przed Cagliariem.

- To Melissa ze szpitala... - Cagliari prawie natychmiast oddał mu słuchawkę.

Prezydent wysłuchał krótkiej relacji i odłożył słuchawkę, gdy w drzwiach pojawił się Cox.

- AWACS zanotował dużą aktywność wokół Al Sahry - oznajmił generał. - Kilka minut temu wylądowały tam dwa samoloty transportowe. Konwój nadal jest na autostradzie, zmierzając w stronę promu.

Pontowski powoli wstał i przyjrzał się mapie.

- Proszę przekazać Czterdziestemu Piątemu rozkaz zaatakowania konwoju i lotniska - polecił. - I podstawić helikopter: wracam do szpitala.

Wyszedł.

Burke w bezsilnej złości rąbnął pięścią w stół i spojrzał wściekle na Coxa - jeszcze tydzień temu generał był jego podwładnym, a teraz prezydent słucha Coxa, nie jego. Jak każdy biurokrata, Burke nie lubił, gdy ktoś naruszał jego przywileje.

Turecki pułkownik, dowódca bazy lotniczej Diyarbakir, jak to się szumnie nazywało, stał nos w nos z Martinem wewnątrz jedyne go na terenie lotniska magazynu broni, mieszczącego się w bunkrze.

- Pułkowniku Martin, nie mogę panu wydać naszego uzbrojenia bez rozkazu mego przełożonego - stwierdził kategorycznie.

- Proszę więc go obudzić i otrzymać to zezwolenie.

- Ale on też będzie musiał obudzić swojego przełożonego - uśmiechnął się Turek. - Nie mogę panu pomóc.

Warknął jakąś komendę i grupa żołnierzy spisująca stan

magazynu pośpiesznie wyszła, gasząc światło i zamykając ciężkie podwójne drzwi prowadzące do bunkra. Kolejna wrzaskliwa komenda i odmaszerowali, zostawiając za sobą chmurkę kurzu i wściekłego Martina.

- Kurewski dupek! - warknął Goryl. - A ze mnie kretyn: trzeba było zabrać zapasowe uzbrojenie którymś Herkulesem! Cholera, zawsze człowiek coś przeoczy.

- Właśnie, *sir* - zgodził się niespodziewanie major, towarzyszący mu na wszelki wypadek. - W krzakach.

- Niech mnie diabli! - Martin czym prędzej pobiegł za róg bunkra, tam gdzie wskazywał szef mechaników.

Stało tam sobie spokojnie sześć wózków bombowych, a na każdym leżały po cztery pięćsetfuntowe bomby. Major obejrzał je w świetle latarki.

- Kompletne, łącznie z zapalnikami! - Wskazał niewielkie pudełka stojące obok. - Możemy je sami przyciągnąć.

Wskakując do Jeepa, major wyjaśnił:

- Jadę po chłopaków.

- Lepsze Snakeyes niż nic - mruknął pod nosem Martin, dając sobie w duchu słowo, że zrewanżuje się Turkowi przy pierwszej okazji.

Jak widać, co kraj to obyczaj.

Pprzed bramą czekali na Martina Matt i Carroll.

- Mamy zgodę - oznajmił Matt.

- Ja się zabiję! - jęknął Goryl. - Same pieprzone niespodzianki.

- Jest jeszcze jedna - dodał Matt. - Chcą, abyśmy zniszczyli też lotnisko Al Sahra.

- Zbierzcie wszystkich w hangarze - polecił Martin. - Start za czterdzieści minut! Matt, wymyśl, jak rozwalić lotnisko mając dwie maszyny, każda z sześcioma Snakeyes. Majorze: jak przyciągniecie bomby, załadować je na cztery maszyny, po sześć na każdą. Zapalniki natychmiastowe, uderzeniowe. Pierwsze dwie maszyny mają być gotowe za pół godziny, pozostałe za czterdzieści minut.

- Trzy maszyny wróciły z bombami - wpadł mu w słowo Matt - mamy razem sześć GBU-24. Należy ich użyć.

- Dobra, dostajesz grata z dwiema. Leary dołącza do ciebie.
Zwołane przez Furry'ego i Carrolla załogi zeszyły się tymczasem do hangaru.

- Słuchajcie, Tępaki - zagaił Martin - wracamy, więc wytyście uwagę...

Przez następne dwadzieścia minut on i Matt przedstawiali plan improwowanego ataku. Nikt nie zadawał pytań - stawka była jasna, plan też. Gdy rozbiegli się do maszyn, Martin spojrział na zegarek: była piąta zero dziewięć - powinni zdążyć.

Wstań! - Szept i potrząsania Hanni sprawiły, że Shoshana błyskawicznie się obudziła.

Była zziębnięta i zeszytywniała od leżenia na stalowej podłodze M113, w którym się ukryły. Z zewnątrz doleciał słodkawy odór rozkładających się ciał, toteż drgnęła odruchowo, ale natychmiast znieruchomiła na ostrzegawczy szept Hanni:

- Cicho! Słyszałam ruch.

Z zewnątrz dobiegał odległy ryk silników czołgowych.

- Czas im dać znać, że żyjemy - zdecydowała Shoshana i ruszyła w stronę radia.

Radiostację pomimo ciemności odnalazła bez zbyteńgo trudu - pamięć zawsze miała dobrą. Przesłuchiwała kilka częstotliwości, ale poza szumem, wskazującym na sprawność urządzenia, nie usłyszała nic. Obie strony muszą widać zachowywać ciszę radiową, pomyślała i nastroiła aparat na częstotliwość awaryjną.

- Tu karetka, nadal żyjemy i czekamy - nadała.

Odpowiedziały jej dwa wyraźne trzaski, jakby ktoś włączył mikrofon.

- Czekamy na rozkazy.

Kolejne dwa trzaśnięcia.

- Nie chcę z nami gadać - poinformowała Hanni. - Może powinniśmy spróbować na własną rękę... Mamy jeszcze z pół godziny do świtu.

- Levy powiedział, że po nas przyjdzie - przypomniała Hanni, sprawdzając coś na swoim zegarku.

Na przybliżający się klekot gąsienic i ryk silników przerażone dziewczyny znieruchomiły.

Gwizd przelatujących górą pocisków izraelskiej artylerii przełamał paraliżujący je strach: obie padły na podłogę, a po kilku sekundach transporter zatrzęsł się od wybuchów. Izraelskie działa ostrzeliwały nacierające czołgi irackie ponad transporterem, stojącym na ziemi niczyjej.

Ostrzał urwał się równie nagle i niespodziewanie, jak się rozpoczął, natomiast dał się słyszeć huk silników samolotowych. Shoshana nie wytrzymała i wyjrzała przez górny peryskop.

- Nasze - oznajmiła tryumfalnie i zajęła się obserwowaniem izraelskiego kontrataku.

Odrzutowce obrabiały bombami i raketami południowe i wschodnie stoki doliny, a zamontowane na Hummerach wyrzutnie TOW, wysunięte przed okopane czołgi, niszczyły czołowe wozy irackie. Płomienie płonących T-72 i BMP rozświetliły mroki chybotliwym i migoczącym blaskiem.

Zachodnie zbocza rozbłysły wystrzałami i w dolinie rozległ się charakterystyczny trzask wystrzałów izraelskich armat czołgowych kaliber sto pięć milimetrów. Shoshana jęknęła, widząc rozmiary irackiego ataku - cała dolina była dosłownie wypełniona irackimi wozami pancernymi, które nie zważając na straty parły na południe. Znów odezwała się izraelska artyleria, lecz tym razem iracka jej odpowiedziała, próbując wymacać stanowiska izraelskich dział.

- Będziemy musiały... - zaczęła Shoshana, ale przerwała jej bliska eksplozja studwudziestodwumilimetrowego pocisku z irackiej haubicy.

W ślad za nią nastąpiły jeszcze dwie, coraz dalej jednak od transportera.

- Co się dzieje?! - wykrzyknęła Hanni, znów czując paraliżujący strach.

Shoshana ugryzła się w język: nie było sensu mówić jej, że atak był zbyt silny, by resztki batalionu Levy'ego mogły go powstrzymać. Ponownie się rozejrzała, przeczesując okolicę przez peryskop i wybierając najlepszą drogę ucieczki. Jej uwagę zwrócił ruch po zachodniej stronie zbocza - część irackich wozów skręcała w tamtą stronę, by zająć się obrońcami skutecznie masakrującymi prawą flankę natarcia. Radio nagle ożyło - Levy

zezwał czołgom na walkę manewrową według rozeznania dowódców.

Zza grzbietu po zachodniej stronie wypadły trzy Merkavy i runęły klinem ku zbliżającym się Irakijczykom. Wewnątrz formacji gnały dwa transportery, trzymając się pod osłoną czołgów. T-72 stanął w płomieniach, potem następny, gdy pędzące w dół Merkavy otworzyły ogień. Po bokach szarżującego klina pojawiły się kolejne wozy - Merkavy i M60 - strzelając w ruchu do zaskoczonych przeciwników. Znając liczebność grupy, Shoshana uświadomiła sobie, że atakują wszystkie zdolne do ruchu czołgi, jakie Levy miał do dyspozycji. Jasne też się stało, dlaczego nie chciał z nią rozmawiać: Levy skrycie przegrupował wozy na nowe pozycje, spodziewając się irackiego ataku, i nie chciał ich zdradzić nadawaniem.

Znad grzbietu wyjechały dwa M60, Hummer z wyrzutnią TOW i M113 i skierowały się prosto na ich unieruchomiony transporter. Przecięły pod ostrym kątem nadal sunące na południe główne siły irackie, strzelając ze skutecznością mogącą być wynikiem tylko długoletniej praktyki. Dotarły do połowy irackiego zgrupowania, gdy M113 został trafiony i znieruchomiał. Jeden z M60 zawrócił ku niemu, a pozostałe dwa pojazdy nadal zmierzały ku dziewczętom. Iracki T-72 odpalił z odległości mniejszej niż pięćset metrów i bok M60 eksplodował ogniem. Wóz nawet nie zwolnił: pocisk kalibru sto dwadzieścia dwa milimetry został przechwycony przez aktywny pancierz, którego eksplozja w chwili trafienia unieszkodliwiła iracki ładunek. Wieża M60 obróciła się błyskawicznie, odpowiadając ogniem, i trafiony pod wieżę T-72 stanął, dymiąc obficie. Wład dowódcy otworzył się i wyskoczyła z niego ciemna postać, ale krótka seria z karabinu maszynowego z wieży M60 rozciągnęła ją na piasku.

Hummer wjechał w koryto wadi i stanął, prawie całkowicie ukryty - jedynie wyrzutnia TOW wystawała, czujnie się obracając, a M60 podjechał do transportera. Obie dziewczyny podbiegły do niego. Czołg zwolnił, ale się nie zatrzymał, za to jego armata plunęła ogniem. Shoshana skoczyła na pancierz czołgu, łapiąc się lewą ręką osłony reflektora, a lewą stopę opierając na pierścieniu holowniczym. Prawą dłonią złapała Hanni za

kolnierz, by wciągnąć ją na pancierz, gdy czołgiem targnął od-
rzut kolejnego strzału z głównego działa.

Hanni wysunęła się z jej uchwytu i padła jak długa prosto
przed M60.

Czołg szarpnął w lewo i dodał gazu, prawie zrzucając przy
tej okazji Shoshanę, ale nie miażdżąc leżącej. Shoshana złapała
się oburącz osłony reflektora, gdyż noga osunęła się jej z pier-
ścienia i stopy wlokła po ziemi. Wóz skręcił w prawo, strzelając
jednocześnie z działa i karabinu maszynowego. Oddalony o
niespełna trzysta metrów iracki czołg stanął w płomieniach.
Maszyna kontynuowała skręt, aż znalazła się przodem do leżą-
cej, która na ten widok dzwignęła się i ruszyła biegiem na spo-
tkanie.

Dwie rzeczy zdarzyły się równocześnie: seria karabinu ma-
szynowego z BMP rozorała plecy biegnącej, a armata M60
odpalila, trafiając transporter. Hanni ponownie znalazła się na
ziemi, tyle że tym razem już ani drgnęła. Czołg przystanął na
sekundę, Shoshana zeskoczyła z pancierza i podbiegła do towa-
rzyszki. Wóz ruszył, zataczając wokół nich kręgi i strzelając na
prawo i lewo.

Hanni była martwa: dwie kule z karabinu maszynowego ro-
zerwały jej piersi, trzecia strzaskała nausznic hełmu. Shoshana
delikatnie go zdjęła i przytuliła głowę zabitej; łzy płynęły jej
strumieniami: Hanni tak wiele dla niej znaczyła, była jej pierw-
szą prawdziwą przyjaciółką...

Ledwie zwróciła uwagę, że czołg stanął i strzelił. Otworzył
się właz wieżyczki dowódcy, z którego wysunęła się głowa w
kasku.

- Chodź!

Tylko tyle powiedział, i to niegłośno, ale za to tak katego-
rycznie, że Shoshana posłuchała natychmiast. Ostrożnie złoży-
ła głowę Hanni na piasku i jak we śnie podbiegła do czołgu, nie
zdając sobie sprawy, że trzyma w dłoniach hełm zabitej.

- Pośpiesz się - polecił Levy.

Shoshana wspięła się na burtę i dalej na wieżę; wóz ruszył,
gdy Levy zniknął wewnątrz, a Shoshana podążyła w ślad za
nim, zamykając za sobą właz.

Za biurkiem Many siedział pułkownik, rozkoszując się władzą i przywilejami, jakie się z nią wiązały. Miał jedynie nadzieję, że jego awans na dowódcę bazy lotniczej Mosul nie był chwilowy.

Oficer dokładnie obejrzał złoty sztylet-otwieracz do listów, podziwiając finezję roboty snycerskiej na rękojeści, i przeniósł wzrok na parę prężących się przed biurkiem pilotów.

- Dlaczego miałbym anulować jeden z ostatnich rozkazów generała Many? - spytał. - Wydanie tego rozkazu było jak najbardziej uzasadnione. Teraz zostało nam pięć samolotów, a wy chcecie, żebym wam zaufał. Nie jestem głupcem! - Jakby dla dodania wagi swoim słowom - dziabnął ostrzem blat, na którym było już kilkanaście podobnych śladów.

- Panie pułkowniku - odezwał się Johar - proszę pamiętać, że to właśnie my mieliśmy szczęście zestrzelić te dwa izraelskie F-16...

Pułkownik spojrział podejrzliwie - nie miał najmniejszej ochoty wracać do tej sprawy.

- Jak pan wie - kontynuował Johar - stało się tak dzięki doskonałemu dowodzeniu generała Many, który był świetnym lotnikiem. Dlatego też najważniejsze było, by to jemu przypisano wszelkie zasługi związane z tymi zestrzeleniami. Taka była wola Allacha... Być może pod pańskim dowództwem Allah ponownie nam pobłogosławi...

Johar umilkł, czekając na reakcję, a pułkownik rozważał ofertę: jeśli pozwoli im latać, to zestrzelenia będą jego, co mogłoby mu zapewnić stałe dowództwo bazy. To było proste, problemem było tylko, dlaczego ci dwaj tak się palą do spotkania z Amerykanami, którzy niedawno udowodnili, jak bardzo są groźni w powietrzu. On osobiście nie miał najmniejszej ochoty na ponowne spotkanie z F-15 Eagle. Coś się za tym musiało kryć... byli przecież nikim.

- Dlaczego tak wam zależy na tym, by móc latać? - spytał.

- Zemsta - odparł Johar z takim wyrazem twarzy, że pułkownik od razu mu uwierzył.

Przerwał im dzwonek telefonu. Pułkownik podniósł słuchawkę i wysłuchawszy krótkiej wiadomości, z trzaskiem odłożył ją na widelki.

- Amerykanie ponownie startują załadowani bombami - powiedział, taksując wzrokiem obu pilotów. - Polecicie jako numery Cztery i Pięć.

Uraczywszy pułkownika nader głębokim ukłonem, zarezerwowanym zwykle dla generałów, obaj porucznicy wyszli w ślad za swoim nowym szefem z pokoju.

Ludzki łańcuch podawał pociski sto pięć milimetrów do wnętrza wieży, a Halaby ręczną pompą napelniał bak. Shoshana siedziała na szczycie wieży, podając pociski Avnerowi, który ładował je do szarych, aluminiowych kieszeni rozmieszczonych przy wewnętrznych ścianach.

- Żebyśmy mieli więcej IMI... - sarknął Avner.

- Zamknij się! - nie wytrzymał Bielski. - Dobrze, że mamy chociaż te.

Pozostałości batalionu przeformowały się w skalistej dolince prowadzącej do głównej doliny, którą nacierali Irakijczycy. Jakimś cudem udało im się tu przebić i teraz odbywało się rozdzielanie amunicji między czołgi, a Levy starał się zreorganizować skład, który mu został do dyspozycji.

Shoshana zakończyła robotę, bo skończyły się pociski, i siedząc na błotniku obcinała powyginane resztki osłony ucha z kasku Hanni. Przejażdżka wewnątrz czołgu przysporzyła jej dość guzów i dziewczyna nie miała najmniejszej ochoty na powtórkę. Kask jednak był na nią za mały, toteż poirytowana wyjęła z kieszonki na lewym przedramieniu nożyczki chirurgiczne i zabrała się za ścinanie włosów, które nie mieściły się pod osłoną.

- Powinam była to zrobić lata temu - mruknęła pod nosem, czując dziwną ulgę, jakby wraz z włosami odcinała się od przeszłości.

Levy skończył reorganizację, odłożył mikrofon i skinął na dowódców siedmiu czołgów, jakie mu pozostały.

- Nie jest dobrze - poinformował ich, wyciągając mapnik. - Jesteśmy odcięci: iracki atak wzdłuż doliny przełamał nasze stare pozycje. Dowództwo przyśle posiłki, ale sytuacja jest

nadzwyczaj krytyczna. Rozkazano nam kontratakować i zwolnić tempo posuwania się irackich czołgów.

- Czym? - wybuchnął jeden z pancerniaków. - Czym, do cholery, mamy atakować? Ośmioma czołgami i sześcioma transporterami, bez artylerii i lotnictwa?!

- Arabowie też nieźle oberwali i gonią resztkami - przypomniał mu Levy. - Poza tym faktycznie nie mamy wyboru. Musimy ich nękać dopóty, dopóki nie przybędą posiłki.

- Jak chcesz to zrobić? - spytał ten sam czołgista.

- Przebijając się ponownie przez dolinę i biorąc kurs na morze. To będzie manewrowa bitwa czołgów, a oni tego nie lubią. - Levy paroma ruchami nakreślił oś ataku i cel, jaki mają osiągnąć.

- Chyba bardzo dzisiaj wierzysz w swoje szczęście - stwierdził z rezygnacją w głosie dowódca czołgu. - Cóż, do roboty.

Shoshana przymierzyła hełm Hanni - pasował teraz doskonale. No właśnie: kombinezon Matta i kask Hanni... Przyjaciele nadal jej pomagali. Miała tylko nadzieję, że ufność i dobre przecucia Levy'ego nie okażą się fałszywą obietnicą losu.

Szalony Mike Martin był w swoim żywiole. Robił to, do czego przygotowywał się przez całe życie: prowadził myśliwce do walki, mając szansę napotkać rzeczywiście dobrego przeciwnika pilotującego samolot nie gorszy niż jego własny. Mike stanowił jednoosobową osłonę myśliwską wyprawy bombowej, na którą składały się pozostałe F-15 Eagle. Miał do dyspozycji cztery rakiety AMRAAM, cztery Sidewindery i dziewięćset czterdzieści pocisków do dwudziestomilimetrowego wielolufowego działka typu Gatling. AWACS informował go na bieżąco przez Have Quick i Mike był pewien, że poradzi sobie z każdym brudasem, który mu wejdzie w drogę.

Nie musiał zresztą specjalnie długo czekać.

- Viper 01, tu Aldo. Pięciu bandytów wystartowało z Mosulu, pozycja 0-9-0, o sześćdziesiąt mil od ciebie. Duster melduje gotowość startową w Kirkuku - oznajmiło radio i Martin obiecał sobie pogadać po locie z pyskatym dyżurnym.

W powietrzu ceniono zwięzłość wypowiedzi, a nie słowotok.

- Aldo, tu Viper 01. Podaj szyk bandytów.
- Trzy w „namiarze prowadzącego”. Dwa ostatnie lecą równolegle o milę od siebie. Moment... Viper 01, te dwa są poniżej pięciuset stóp... - W głosie dyżurnego było niedowierzenie.

Martin uśmiechnął się zimno: to właśnie chciał usłyszeć. Tamto zestrzelenie było zbyt łatwe, kogokolwiek on i Leary załatwili, z pewnością nie był to Joe. Za to teraz...

- Rozumiem, Aldo. Zagrożeniem są te dwa z tyłu. Nie zgub ich.

I skierował maszynę na pięć nadlatujących Su-27, mrużąc pod nosem:

- Dobra, Tępaki. Dla każdego coś miłego, tylko nie spartaczcie roboty.

Zniżył lot na dwieście stóp i dodał gazu, by osiągnąć pięćset węzłów.

Nigdy nie czuł się tak ożywiony jak teraz, spoglądając na ekran HUD, ukazujący szary obraz FLIR, i koncentrując się na prowadzeniu F-15 Eagle nisko nad ziemią. Nie zdawał sobie sprawy nawet z tego, że od stóp do głów ocieka potem.

Pozostałe F-15 Eagle leciały na południowy wschód, trzymając się korytarza powietrznego otwartego podczas pierwszego ataku. Martin na odprawie ujął rzecz dość bezceremonialnie, ale za to logicznie: „Każdy zasrany wojak z ichniej rakietówki, który ceni swoje jaja, będzie robił, co może, by nie zwrócić na siebie naszej uwagi”. Poza tym znali położenie stałych wyrzutni (niewiele ich zostało) w tym rejonie, a małe było prawdopodobieństwo, by w tak krótkim czasie Irakijczycy zdolali przerzucić w ten rejon samobieżne. O ile w ogóle mieli zamiar to zrobić - z równym bowiem powodzeniem mogli uznać, iż Amerykanie zbombardowali to, co chcieli, i już się nie pojawiają.

Matt sprawdził ekran TSD - minęli granicę i zbliżali się do miejsca rozdzielenia. Maszyna gwałtownie skręciła w prawo, gdy je osiągnęli. Skrzydłowy poszedł ich śladem, a ponieważ horyzont zaczynał się rozjaśniać blaskiem wschodzącego słońca, Matt bez trudu dostrzegł kolegę: był o dwa tysiące stóp w

lewo. Element drugi leciał nadal prosto, kierując się ku Mosulowi i Kirkukowi, a trzeci i czwarty odbiły na południe ku przeprowie promowej.

- Cholera, mam nadzieję, że się uda - mruknął pilot.
- Nie upadaj na duchu - odburknął Furry. - Nie czas i miejsce na to.

Bandyci na kursie 0-9-0, odległość czterdzieści pięć, wysokość osiemnaście - zameldował AWACS. - Zagrożenie nadal z tyłu.

- *Roger* - potwierdził Martin, zastanawiając się, jak zacząć.

To, że chciał walczyć, nie znaczyło, że był durniem lub że chciał zginąć. Zawsze lubił zaskakiwać i tym razem także miał zamiar niepostrzeżenie podkraść się do przeciwnika. Wysokość dwustu stóp i wyłączony radar powinny to zapewnić. Być może „rycerz przestworzy” tak się nie zachowywał, ale też era powietrznych dżentelmenów dobiegła końca podczas pierwszej wojny światowej, a zresztą Martin nigdy nie myślał o sobie w takich kategoriach.

- Aldo, tu Viper 01, podaj kurs bandytów.

- Skręcają na południe, zaraz, niech ustalę... - Goryl nie słuchał dalej, gdyż tylko ta informacja była mu potrzebna.

Irackie radary pokładowe były bowiem teraz skierowane w przeciwną stronę niż on i nie istniała możliwość, że go namierzą. Wątpił, by w okolicy były jakieś zdolne do tego urządzenia naziemne, a on, mając do dyspozycji AWACS, nie musiał nawet włączać swojego radaru i zdradzać pozycji.

Był już w zasięgu rakiet AMRAAM, ale zdecydował się poczekać i podejść bliżej: któryś z przeciwników musiałby wykryć jego radar, jeśli by odpalił tę długodystansową raketę, a po co przed czasem uprzedzać owego tajemniczego Joe o swej obecności. Przetawiał przełącznik uzbrojenia na Side-windera, a po usłyszeniu znajomego świergotu namiaru na działko - wpierw Gatling, potem nawrót i rakiety.

- Aldo, tu Viper 01, podaj pozycję dwóch ostatnich maszyn - zażądał, nadal nie mając kontaktu wzrokowego.

- Viper 01, bandyci są w skrócie o sześć mil przed tobą. Nie mogą na razie rozróżnić maszyn.

- Nadal są nisko? - spytał spokojnie Martin, ale coś w jego głosie kazało dyżurnemu zapomnieć o regułach używania kodów.

- Nie wiem... poczekaj... - Radar systemu AWACS mógł rozróżnić wysokość, ale przestrojenie zajmowało kilka sekund, których Martin już nie miał.

- *Tallyho!* - oznajmił radośnie, dostrzegając na tle różowiejącego nieba sylwetki irackich samolotów.

Ściągnął drążek, nabierając wysokości, i wszedł na ogon najbliższemu Su-27. Przeciwnik nadal był cztery tysiące stóp nad nim, gdy Goryl uruchomił radar, który zgodnie z wcześniejszym poleceniem namierzył najbliższy cel. Symbole na HUD przeskoczyły na walkę powietrzną i celownik objął Flankera. Martin nacisnął spust, posyłając wabinę i silniki przeciwnika długą serię, po czym natychmiast skręcił gwałtownie w lewo, zmniejszając wysokość. Joe już wiedział, że zaczęła się zabawa.

- Zestrzeliłeś brudasa - poinformował go *wizzo*, potwierdzając czwarte strącenie.

- Jasna kurwa! - wzruszył się Martin, nie tyle z powodu jednego zwycięstwa dzielącego go od wpisu na oficjalną listę US Air Force, ile dlatego, że na radarze zobaczył dwie maszyny lecące niżej.

W jednej z nich musiał być Joe!

- Jedno przejście i dupa w troki - obiecał.

Johar rozglądał się gorączkowo po niebie nad głową, szukając wroga, który musiał gdzieś tam być. Świadczyła o tym ognista kometa zmierzająca ku ziemi, w którą zamieniła się maszyna ostatniego dowódcy bazy lotniczej w Mosulu. Pytanie było, ilu wrogów jest w górze. Należało bowiem zająć się nimi kolejno i bez paniki. System ostrzegania radarowego nagle ożył i na ekranie pojawił się symbol myśliwca za ogonem.

- Samir, mam bandytę na szóstej. Bez skrzydłowego, bez kontaktu.

- Bez kontaktu - potwierdził Samir.

Nadal utrzymywali poprzedni kurs, starając się dojrzeć nurkujący ku nim myśliwiec.

- Widzę go! - wrzasnął Johar, dostrzegając ciemny kształt na tle porannego blasku. - Skręć i świeca... teraz!

Była to taktyka walki na małej wysokości, jaką uzgodnili ostatnio, siedząc w alarmie bojowym. Ponieważ nakazał ją fona, on miał skręcić jak najniżej w prawo, Samir zaś, nie zwiększając szybkości, miał gwałtownie zacząć wznoszenie. Celem było zmuszenie przeciwnika do lotu za jednym z nich, a którego wybierze, było całkowicie bez znaczenia.

- Leci za mną - oznajmił Johar, czekając na rakiety i prowadząc zwalniając do mniej niż dwustu węzłów dzięki wysuniętym hamulcom.

Tak jak oczekiwał, spod skrzydła F-15 wystrzelił Sidewinder i pomknął ku niemu. Samir tymczasem spokojnie dodał gazu, zakończył pętlę i był na najlepszej drodze, by z góry włączyć się do walki. Johar, nie spuszczać wzroku z rakiety, lewą ręką odpalił serię flar, a prawą ściągnął drążek. Lecąc z prędkością mniejszą niż sto czterdzieści węzłów, maszyna nie była w stanie zwiększyć wysokości, toteż obróciło ją w miejscu, dzięki czemu nie dysze, lecz burta znalazła się w polu sensorów Sidewindera równocześnie z eksplodującymi flarami. Nic więc dziwnego, że rakieta wybrała większe źródło ciepła, czyli flarę.

Johar tymczasem obserwował rozwój wydarzeń. Jak się spodziewał, Amerykanin dostrzegł nurkującego Samira i postanowił przerwać walkę. F-15 zwiększył prędkość, kierując się prosto na niego, by krótką serią z działka przegonić go i zająć, a samemu mieć otwartą drogę do wolności. Ze zwykłym pilotem ta taktyka udałaby się doskonale.

Johar dodał nieco ciągu i, nadal mając ściągnięty drążek, wyskoczył na tysiąc stóp z nosem wysoko w górze - w owej chwili Su-27 przypominał kobrę gotową do ataku. Pilot F-15 nie miał już żadnych szans na krótką serię i na dopalaczu przemknął pod maszyną Johara, chcąc skończyć walkę i martwić się głównie Samirem, wchodzącym mu na ogon. Johar właśnie liczył na to, że Amerykanin potraktuje go jak kompletnego osła, który unikając rakiety pozwolił maszynie osiągnąć prędkość przepadania.

Tyle że Flanker daleki był od prędkości przepadania. Johar przesunął drążek do przodu, schował hamulce aerodynamiczne

i nos maszyny opadł niczym u atakującej kobry. Wycucie czasu było doskonałe i Johar odpalił R-60 w ślad za uciekającym F-15 Eagle. Amerykanin dostrzegł rakietę, ostro skreślił w lewo, odpalając flary, lecz rakietę, zwana w kodzie NATO Archer, zignorowała je, nadal podążając za samolotem. Odległość była tak niewielka, że rakietę wciąż przyspieszała, wlatując w lewą dyszę F-15 i eksplodując. Eagle jak płonący głaz runął w dół, roztrzaskując się o ziemię.

- Samir, podaj pozycję - nadał Johar, okrążając płonący wrak.

- Na twojej szóstej po prawej.

Obie maszyny wykonały pełne okrążenie zniszczonego F-15, a Johar próbował zanalizować taktykę użytą przez przeciwnika i skuteczność ich własnej. Amerykanin chciał wykorzystać okazję i po próbie trafienia natychmiast prysnąć. Próbował trafić jego, gdy wyglądało, że Samir zrezygnował z walki, a mała szybkość Johara skłoniła go do użycia działka po odpaleniu Sidewindera. Gdyby pilot był mniej pewny siebie i przerwał walkę zaraz po odpaleniu rakiety, nadal by żył. Ciekawe czy udało się to przypadkiem, czy też można ten sposób skutecznie stosować wobec innych Amerykanów - tego Johar nie wiedział.

Radio wyrzuciło z siebie serię gniewnych pytań - kontroler naziemny zbierał pozostałe maszyny i domagał się, by piloci kolejno się meldowali.

- Zmiana - zarządził Johar i obaj przeszli na własną częstotliwość.

- Co teraz? - spytał Samir.

- Kontroler jest całkowicie bezużyteczny - odparł Johar, sprawdzając poziom paliwa, którego Su-27 mógł zabrać ponad dwadzieścia dwa tysiące funtów. - Znamy korytarz, którego używają Amerykanie. Poczekajmy, aż będą wracać.

Caagliari i Cox pochylali się nad operatorem teleksu w niewielkim pokoiku mieszczącym amerykańską stację Gorącej Linii. Po martwocie ostatnich dni maszyna wypluła z siebie wiadomość, co oznaczało, że walka o władzę na Kremlu dobiegła końca. Operator biegłe władał rosyjskim, toteż czytał tekst linijka po linijce, ledwie ten pojawiał się na papierze.

- Daj drugiego tłumacza - polecił w pewnym momencie asystentce, gdy maszyna umilkła.

Obaj konferowali przez chwilę, chcąc mieć absolutną pewność właściwego zrozumienia tekstu, gdy urządzenie ponownie ożyło, drukując tekst po angielsku.

- Obawiają się, że coś mogłoby się nam pomylić - uśmiechnął się pierwszy operator.

- Wyślijcie potwierdzenie przyjęcia - zarządził Cagliari. - Przepiszcie tłumaczenie i dostarczcie mi.

Po czym złapał oryginały obu wersji i pognął do Pokoju Operacyjnego. Cox zaś udał się do centrum łączności, skąd zadzwonił do szpitala i poinformował prezydenta o całym wydarzeniu.

Sekretarz stanu przeczytał na głos angielską wersję, po czym starannie odłożył notatkę na stół i spytał Bobby'ego:

- Co myślisz?

- To oczywiście, że nie wiemy, co mu chodzi po głowie, ale mogę się założyć, że nic miłego - odparł chmurnie Burke.

Wiadomość podpisał bowiem Grigorij Fiodorowicz Stanilow, obecnie prezydent Republiki Rosyjskiej, a zarazem główny twardegłowy na Kremlu.

Levy nakazał czołgom rozproszyć się po obu stronach przejścia prowadzącego do głównej doliny. Wolał prześliznąć się niepostrzeżenie, ale między pojazdami dostrzegł z dala jakiś ruch. Zaskoczenie przy tak ciasnym przejściu oznaczałoby pułapkę i masakrę, o której lepiej było nie myśleć. Halaby podjechał szeroką granią na szczyt wzniesienia: planował skryć za nim kadłub i zrobić sito ze wszystkiego, co by wlazło sprawdzając, czy nie ma tu przeciwnika... Ruch, jaki zdawało mu się, że widział, okazał się dziełem trzech ciekawskich T-72.

- Jazda!!! - krzyknął Levy, widząc wyłaniającą się z cienia prowadzącą maszynę.

Diesel ryknął pełną mocą i wóz z chrzęstem przetoczył się przez szczyt, opadając z jękiem amortyzatorów na przeciwstok. Prowadzący T-72 dostrzegł ich i strzelił, ale było za późno -

pocisk przeszedł górą. Halaby zwolnił, wyszukując ostrożnie drogę na usypisku, i nagle stanął.

- Zrzuciłem gąsienicę - rozległ się jego spokojny głos.

Amos złapał przedłużacz intercomu, otworzył właz i wygramolił się z czołgu, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać. Shoshana natychmiast podłączyła się do gniazdka, którego używał, i usłyszała, jak mówi dziwnie spokojnie:

- Nazzi, to prawa gąsienica. Nie zrzuciłeś jej do końca, zaczęła się wysuwać od góry, ale nadal jest na rolkach i częściowo pod błotnikiem. Jeśli będziesz ostrożnie cofał, powinno się udać naciągnąć ją na miejsce. Już tak kiedyś zrobiłeś, pamiętasz? Zaczniј powoli cofać, poprowadzę cię.

Zaskoczona całkowitą zmianą tonu i brakiem wyzwisk, jakie zwykle towarzyszyły ich rozmowom, Shoshana ostrożnie wyjrzała przez otwarty właz. Podłączony do przedłużacza komunikacyjnego, Avner szedł przy cofającej wolniutko maszynie, pilotując Halaby'ego, który wolno manewrował, starając się nasunąć gąsienicę na koła nośne.

- Czołg na szczycie! - Okrzyk Levy'ego zlał się z gwałtownym obrotem wieży w lewo.

Shoshana opadła do wnętrza wieży, nie zamykając włazu, gdyż odebrałaby drogę powrotu Amosowi, który ani na chwilę nie przestał pilotować Halaby'ego.

Kierowca zresztą także ani na chwilę nie zaprzestał manewrów.

- Spokojnie, Nazzi, prawie ją masz... jeszcze trochę...

- Ładuj IMI!!! - krzyknął Levy.

- Gotów! - zameldował Avner z zewnątrz.

Załadował pocisk przeciwpancerny, kiedy zaczęły się kłopoty, jak to zwykle robił w ostatnich dniach.

- Cel! - zameldował Bielski.

- Ognia! - rozkazał Levy.

- Poszedł! - To znów Bielski.

Czołgiem szarpnął odrzut, w wieży echem zahuczał wystrzał, a pocisk trafił w podłogę T-72, przejeżdżającego właśnie szczyt wzniesienia.

- Gąsienica na miejscu! - krzyknął Avner. - Udało ci się, Nazzi!

- Ładuj IMI! - ryknął Levy, widząc drugi czołg wyjeżdżający na szczyt obok płonącego wozu dowódcy.

Maszyna pokonując wzniesienie miała odsłoniętą podłogę i stanowiła idealny cel, ale Amos nadal był na zewnątrz. Shoshana obserwowała go w akcji, toteż wiedziała, gdzie umieścił rozmaite typy amunicji. Wyszarpnęła IMI z uchwytu i z wysiłkiem wsunęła ważący pięćdziesiąt funtów pocisk do otwartej komory działa. Zamek zasunął się automatycznie, tak że ledwo zdążyła cofnąć dłoń.

- Gotowe! - krzyknęła.

Ponownie huknął wystrzał i pusta łuska zadźwięczała, dybiąc o podłogę wieży, automatycznie wyrzucona po strzale.

- Amos - wrzasnął Levy - gdzie jesteś?!

Odpowiedziała mu cisza, Amos bowiem, akurat gdy strzelili, wdrapywał się na wieżę i wstrząs rzucił nim o ziemię, przerywając przy okazji połączenie.

Levy zobaczył kolejny czołg i Shoshana złapała kolejny IMI, ale straciła równowagę i pocisk z hukiem upadł na podłogę. Zamiast go podnieść, sięgnęła po następny, ale zwłoka okazała się zbyt długa: T-72 zdołał pokonać szczyt wzniesienia i strzelić.

- Cel! - krzyknął Bielski na ułamek sekundy wcześniej, niż iracki pocisk trafił w lewą stronę wieży.

Płyty aktywnego pancerza zadziałały, niszcząc pocisk bez szkody dla pojazdu, ale na wieży powstała łata niechronionego niczym zwykłego pancerza. Następny pocisk, który tu trafi, będzie ostatnim...

- Ognia!

- Poszedł!

Wozem ponownie zatrzęsło i Shoshana ze zdumieniem odkryła, że nic im się nie stało. Przywarła do peryskopu, szukając kolejnego celu, ale szczyt wzgórza wieńczyły jedynie trzy płonące wraki. Levy otworzył właz, chcąc znaleźć ładowniczego, co było raczej niewykonalne: Amos bowiem znalazł się zbyt blisko podwójnej eksplozji, ponownie próbując wrócić do czołgu akurat w chwili trafienia M60, i jego ciało po prostu przestało istnieć jako rozpoznawalna całość. Levy spojrzął na smętne szczątki, sprawdził przez radio resztę wozów i poinformował załogę, co się stało.

W ciszy, jaka później nastąpiła, dał się słyszeć jęk Hala-by'ego.

- Jesteś ranny? - zaniepokoiła się Shoshana.

Nazzi odparł, że nie, ale tak dziwnym głosem, że nic nie rozumiejąca dziewczyna spojrziała pytająco na Bielskiego.

- Byli przyjaciółmi - wyjaśnił. - Tylko nie wiedzieli o tym.

- Ruszamy - rozkazał Levy. - Droga czysta.

Znów dało o sobie znać „Szczyście Levy'ego”, lecz tym razem - za cenę życia Amosa Avnera.

Al Sahara jest prawdopodobnie taką samą pułapką przeciwlotniczą jak Mosul, więc trzymaj się najdalej, jak możesz - polecił Matt, używając Have Quick.

- *Roger* - padła spokojna odpowiedź Leary'ego.

- Mam nadzieję, że zrozumiał - stwierdził Matt, przełączając się na intercom.

- Znasz go: mógł, ale nie musiał - mruknął Furry.

Zaplanowano nalot w ten sposób, że Leary z niskiego pułapu miał zwolnić obie GBU i czym prędzej odlecieć poza zasięg rakiet i artylerii przeciwlotniczej, a Matt miał zbombardować pas startowy. Istniało spore prawdopodobieństwo, że obrona przeciwlotnicza skoncentruje ogień na maszynie Seana.

- Jedziemy! - Głos Seana w słuchawkach oznaczał początek ataku. - Trzydzieści sekund.

Matt dał pełen ciąg i mając sześćset węzłów na liczniku, pomknął do ataku. Ekran TEWS rozbłysł wielobarwną kombinacją symboli, gdy obrona zauważyła drugiego napastnika.

- Poszły! - wrzasnął Leary. - Zmiotam stąd.

Ziemię rozświetliły starty kilku rakiet, ale ich celem był Eagle Leary'ego, toteż Matt skoncentrował się na odszukaniu celu. W dole hangar zniknął w osłepiającej eksplozji - pierwsza GBU Seana trafiła w cel.

- W lewo - zakomenderował Furry. - Mam je w celowniku!

- *Tally!* - mruknął Matt, dostrzegając na ekranie sześć transportowców czekających przy rampie. Nacisnął spust i po paru sekundach poczuł, jak komputer zwolnił sześć Snakeyes. Matt włączył dopalacze i przeskoczył szybkość dźwięku, a Furry odpalił flary, obracając się jednocześnie, ile mógł, by na własne oczy zobaczyć wynik bombardowania.

- Dostaliśmy je! - wrzasnął, gdy przelatywali nad sprzężonymi działkami.

Potem były dwie ogłupiałe wyrzutnie, kolejne działko przeciwlotnicze i nagle znaleźli się poza strefą rażenia obrony przeciwlotniczej lotniska.

- Sean, podaj pozycję - polecił Matt.

- Na północ od celu. Maszyna uszkodzona. - W głosie Seana słychać było napięcie.

Matt przełączył radar i skierował samolot na północ. O trzydzieści mil dalej pojawił się pojedynczy, wolno lecący samolot zidentyfikowany przez komputer jako F-15 Eagle.

- Już leczę, Sean. Możesz zwiększyć szybkość?

- Nie.

- Podaj uszkodzenia.

- Problemy ze sterownością. Dym i opary w kabinie. Zasilanie awaryjne. MPDP nie działa - wyrecytował Leary.

MPDP był procesorem odpowiadającym za sprawne działanie HUD i pozostałych ekranów w obu kabinach F-15 Eagle.

- Jest ślepy jak szczeniak i leci na zapasowych instrumentach - streścił meldunek Leary'ego Furry. - Musiał zdrowo obebrać.

Matt poczuł, że mu zaschło w ustach: on zaplanował atak i przydzielił role - przez niego Leary był w kłopotach, jego więc zadaniem było doprowadzić kolegę bezpiecznie do bazy.

- Trzymaj się, Sean, już jesteśmy blisko - nadał, by podtrzymać tamtego na duchu.

- Mam go na FLIR, przełącz na celowanie - oznajmił Furry.

Nadał znajdowali się poza zasięgiem wzroku, ale na ekranie w zielonkawych barwach widać było obraz uszkodzonej maszyny: z prawego silnika szedł dym, a prawy statecznik pionowy prawie przestał istnieć.

- Aldo, tu Viper 03... - Matt przekazał uszkodzenia i informację, że osłania skrzydłowego w drodze do bazy.

Poza tym spytał o wynik akcji. Okazało się, że oba pozostałe cele - przeprawa promowa i konwój - zostały zniszczone, a wszystkie maszyny wracały już na lotnisko, choć trzy były uszkodzone.

- Podaj pozycję Vipera 01 - polecił na koniec Matt.

W eterze zapadła cisza, którą przerwał dopiero inny głos, prawdopodobnie oficera dyżurnego AWACS.

- Viper 03, tu Aldo, straciliśmy kontakt z Viperem 01 w czasie jego walki z dwoma bandytami. Należy przyjąć, że go dostali.

Determinacja Matta przybrała na niezłomności: Martin ich tu przyprowadził, a teraz jego zadaniem było wyprowadzić ich stąd.

- *Roger*, Aldo. Podaj pozycję bandytów - powiedział spokojnie.

- Dwóch bandytów przed tobą w odległości stu trzydziestu mil. Lotnisko w Kirkuku wypuszcza niezidentyfikowaną jeszcze liczbę maszyn.

- Ci dwaj są między nami a granicą - dodał Furry. - Chcą nas wziąć w kleszcze razem z tymi z Kirkuku... Kurczę, to oni dostali Goryla... Pomyliliśmy się: Joe musi być tam!

- Pierdolić Joe! Mamy sporo paliwa i Aldo. Zadanie wykonane, a teraz niech nas szukają w krzakach - warknął Matt, polecając by AWACS podał i utrzymywał trasę lotu omijającą z dala wszystkich bandytów.

Kolejno zgłaszały się F-15 i AWACS podawał im nowe kursy, omijające zarówno parę czekającą przy granicy, jak i MiG-i startujące z Kirkuku. Tymczasem Matt zbliżył się do maszyny Leary'ego.

- O cholera! - westchnął Furry z podziwem. - To cud, że on jeszcze lata!

Matt podleciał bliżej i przyznał koledze rację - FLIR wychwytał najważniejsze uszkodzenia, ale nie były one jedynymi. Eagle został trafiony przynajmniej jedną rakieta, a ile w niego weszło pocisków i odłamków, to będzie można policzyć dopiero na ziemi: prawy płat przypominał skrzyżowanie durszlaka z serem szwajcarskim, a z kadłuba co najmniej w dziesięciu miejscach wyciekało paliwo.

- Sean, podaj stan paliwa - polecił Matt.

- Może dociągnę do granicy...

- Aldo, niech zaraz za granicą czeka tankowiec.

- *Roger*, Viper 03.

Matt sprawdził przyrządy: lecieli na wysokości ośmiuset

stóp z prędkością dwustu osiemdziesięciu węzłów - to wszystko, na co było stać F-15 Eagle Leary'ego.

- Viper 03, tu Aldo - głos operatora brzmiał niespokojnie - ta para bandytów jest teraz przed tobą o osiemdziesiąt mil na kursie zbliżeniowym.

Ekran TEWS potwierdzał te dane: oba Su-27 miały włączone radary i leciały w ich kierunku.

- To musi być Joe! - dobiegło Matta z tylnej kabiny.

Dym i kurz pokrywające szczyt niskiego wzgórza skryły osiem czołgów i sześć transporterów, poruszających się przy maksymalnym wykorzystaniu osłony dawanej im przez teren. Zachowując całkowitą ciszę radiową, zbliżyły się do miejsca, z którego miały rozpocząć atak. Głośne wybuchy z przodu spowodowały pojawienie się Levy'ego w otwartym włązie. Izraelskie Phantomy kończyły kolejny nalot na irackie czołgi.

- Możesz wjechać za te głazy? - spytał Levy Halaby'ego, unosząc jednocześnie nad głowę połączone dłonie, co było sygnałem „stop” dla pozostałych wozów.

- Mogę zrobić coś lepszego - odparł Nazzi i powoli wprowadził czołg pod nawis skalny, gdzie nie dość, że był cień, to jeszcze piaskowy kamuflaż pojazdu doskonale zlewał się z tłem.

Levy wysiadł i wspiął się na wzgórze, pełznąć przez ostatni fragment drogi między głazami. Gdy wrócił, jego twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

- Nie wiedzą, że tu jesteśmy - oznajmił. - Nadal posuwają się doliną, akurat mija nas jakiś batalion pancerny. Przejeździemy po jego tyłach. Nazzi, wjedź na ten niski obszar o dwieście metrów na prawo.

Halaby wycofał wóz, a Levy, stojąc w otwartym włązie, wyciągnął w bok lewą rękę, po czym wykonał nią wyraźny łuk nad głową, wskazując dłonią kierunek marszu. Gdy było potrzeba, reszta dowódców przekazała sygnał dalej i ruszyła w ślad za nim. Kiedy wyjechali zza zasłony terenu, Levy wyciągnął ramię w kształcie litery „V”, dając znak do przejścia w klin. Halaby zwolnił, pozostałe czołgi dołączyły do szyku, a transportery wjechały do wnętrza klina pod osłonę czołgów.

Wyjechali na otwarty teren i dodali gazu, kierując się ku wyłotowi prowadzącemu do głównej doliny. Irakijczycy nadal ich nie widzieli. Levy uniósł zaciśniętą pięść nad głową i opuścił ją szybko, dając sygnał do szarzy.

Shoshana nie zdążyła się złapać, gdy ostro ruszyli do przodu, i łupnęła hełmem o bok wieży - na szczęście kask złagodził uderzenie. Zresztą koncentrowała się na poleceniach Levy'ego i na tym, żeby automatyczny zamek nie uszkodził jej dłoni. W pewnym momencie rozległ się głośniejszy od innych huk z przodu wozu - bezpośrednie trafienie, zamortyzowane przez aktywny pancerz, w którym powstała kolejna wyrwa. Jak przez mgłę - bo od huku dzwoniło jej w uszach - usłyszała Levy'ego, rozkazującego jednemu z transporterów zniszczyć iracki czołg rakietą. Potem znów jechali, strzelali, a jej świat ograniczał się do ładowania.

Nagle Halaby skręcił gwałtownie w prawo, naciskając jednocześnie na hamulce, i Shoshana poleciała do przodu, przelatując pod zamkiem działa i lądując na akumulatorach stojących za fotelem kierowcy. Czołg zatrzęsł się od silnej eksplozji i wypełnił dymem.

- Sagger! - krzyknął Halaby.

Zdalnie sterowana rakietą trafiła w wieżę, złośliwie uderzając tam, gdzie nie było już pancerza aktywnego. Kolejna eksplozja targnęła stojącym czołgiem - tym razem pocisk z T-72, ale zneutralizowany przez fragment Blazera pokrywającego kadłub. Wnętrze czołgu wypełniała biaława mgła.

- Gaśnica! - krzyknął Nazzi.

Shoshana zdała sobie sprawę, że jest skąpana w zielonym płynie hydraulicznym.

- Spalę się! - wrzasnęła.

- Nie panikuj! - wrzasnął jeszcze głośniej Halaby. - Nic ci nie będzie, to jest cholernie trudno zapalić!

Powoli mgła zniknęła i Shoshana stwierdziła, że sama także jest pokryta białawym nalotem. Zajrzała do wieży: Dave Bielski od szyi do pasa był miazgą mięsa i krwi, przyjął bowiem główną siłę Saggera, a raczej to, co z niej zostało po przebicciu pancerza. Nogi Levy'ego zaś zwisały bezwładnie z fotela dowódcy. Nagle drgnęły, a więc żył. Złapała apteczkę i prześliznęła się

pod zamkiem działa. Chwilę później Halaby zrobił to samo; otworzył luk działonowego i rozejrzał się wokół.

- Bądź gotowa pryskać, jak tylko powiem - uprzedził, ale potem zamilkł.

Pojawił się znów po dłuższej chwili, zamykając właz, i zwięźle ją poinformował:

- Nie palimy się, a wokół nas same T-72 i BMP. Nasi się przebili, a ci tu myślą, że wszyscy zginęli, więc na razie mamy spokój.

Z zewnątrz dobiegł klekot gąsienic i ryk czołgowych silników, a Shoshanie stanęły przed oczami trupy dwóch sanitariuszek. Odegnęła wizję i czym prędzej zwróciła się ku Levy'emu. Większość ciała osłoniła kamizelka kuloodporna, ale nogi i dolne partie brzucha miał pocięte drobnymi odłamkami. Głowę i ramiona osłoniła wieżyczka dowódcy, gdyż w chwili trafienia wyglądał przez peryskop.

- Halaby - wychrypiał - rusz nas stąd.

I zemdlął.

Podczas gdy Shoshana zajmowała się Levym, Halaby zajął się czołgiem.

- Straciliśmy hydraulikę wieży - poinformował po chwili. - Nie możemy wieży obrócić, ale możemy strzelać. Silnik jest w porządku, gąsienice też. Jakoś sobie poradzimy.

- Musimy jak najszybciej dostarczyć go do punktu opatrunkowego - dodała Shoshana.

- Będziemy musieli zrobić to siłą, jak znam życie - mruknął Halaby. - Wzgórza są o dwa, trzy kilometry stąd. Nie lepiej poczekać do zmroku?

- Umrze bez natychmiastowej pomocy.

- A możemy go przenieść? Potrzebuję jego miejsca.

Ostrożnie przenieśli rannego na podłogę. Halaby wspiął się na fotel dowódcy. Dokładnie wytarł instrumenty i peryskop z krwi i resztek ciała Bielskiego. Następnie rozejrzał się i poinformował dziewczynę:

- Mija nas kilka transporterów, dalej jest pusto. Nie... z dwa kilometry wolnego i czołgi... Potrafisz celować i strzelać?

- Nie, ale jak uruchomisz silnik, to potrafię prowadzić.

Halaby pomyślał chwilę, mruknął coś i przecisnął się na swoje zwykłe miejsce. Coś tam strzeliło, zawarczało, pstryknęło i silnik z parsknięciem zaskoczył, pracując równym, głębokim rytmem. Halaby szybko wywinął się z fotela, na który natychmiast wcisnęła się Shoshana, i usiadł w fotelu dowódcy. Dziewczyna ujęła dźwignię biegów i wyjrzała przez półkolisty wizjer ze szkła pancernego, usytuowany na wysokości twarzy.

- Halaby, jadą na nas dwa czołgi! - krzyknęła, widząc parę T-72 wylaniającą się zza niskiego pagórka.

- Jedź! Prosto na nich! - polecił Nazzi.

Przestawiła dźwignię na wysokie obroty i pognąła prosto na dwa irackie czołgi. Pocisk zrykoszetował o przedni pancierz, krzesząc snop iskier i chwilowo ją oślepiając. Tym razem faktycznie mieli szczęście.

- W prawo! - ryknął Halaby, toteż posłusznie skrzyła.

- Trochę w lewo - polecił po chwili i dopiero teraz zrozumiała, że, nie mogąc obrócić wieży, Nazzi celuje całym czołgiem.

- Poszedł! - krzyknął Halaby, odpalając armatę.

IMI trafił prowadzący czołg w przedni pancierz - czyli najgrubiej opancerzoną część wozu - z rezultatem mało spektakularnym, za to oszałamiająco skutecznym: T-72 stanął jak wryty, a ze wszystkich możliwych otworów zaczął buchać gęsty, czarny dym. Shoshana wołała nie wyobrażać sobie rzezi, jaka musiała odbyć się w jego wnętrzu.

- Kieruj się na drugi! - polecił Halaby, złażąc z fotela i załadowując nowy pocisk.

Iracki czołg strzelił, a Shoshana, widząc błysk, skrzyła ostro w lewo i pocisk minął ich o centymetry. Lufa T-72 uniosła się, wypluwając łuskę.

- Halaby, ognia! - krzyknęła, ale nie dostała odpowiedzi: nadal ładował pocisk.

Lufa uniosła się po chwilowym opuszczeniu i Shoshana ostro skrzyła w prawo, próbując zejść z linii ognia.

- Wróć w lewo! - rozległ się głos Halaby'ego równocześnie z irackim strzałem.

Oba wozy dzieliło niespełna pięćset metrów, gdy pocisk z

irackiego działa kaliber sto dwadzieścia dwa trafił w burtę M60 na wysokości przedziału silnikowego, przebił pancierz i eksplodował wewnątrz silnika. Eksplozja urwała wieżę, odrzucając ją o dwadzieścia metrów, a Shoshanę objęły płomienie, gdy eksplodowało paliwo. Na szczęście zdołała otworzyć właz i wyjść pomimo bólu lewej dłoni, która dziwnie nie chciała puścić dźwigni otwierającej właz. Szarpnęła i straszny ból przeszył całe ciało, ale była już na zewnątrz. Kombinezon oblany płynem hamulcowym zaczął się palić, ale jakby niechętnie i bez pośpiechu - wystarczyło, że przetoczyła się po ziemi, i ogień zgasł.

Zdała sobie sprawę, że kask nadal się pali, toteż czym prędzej go zdjęła i odrzuciła, po czym znieruchomiała na plecach, obserwując obojętnie przejeżdżający obok T-72. Sprawca nie-szczęścia minął płonący wrak i pojechał dalej.

Matt wiedział, że nie uniknie walki z dwiema irackimi maszynami.

- Wyłącz radar, przełącz TEWS na pasywny - polecił Furry'emu. - Niech myślą, że o nich nie wiemy.

- Aldo, tu Viper 03, podaj kurs, odległość i wysokość bandytów - polecił, przełączając się następnie na Have Quick.

Jak długo AWACS był w stanie dostarczać mu tych danych, jego własny radar nie musiał pracować.

- Kurs 3-2-0, odległość czterdzieści pięć mil, wysokość taka jak twoja, Viper 03.

- Cholera! - sarknął Furry. - Żebyśmy mieli AMRAAM-y!

Z rakiet mieli jedynie cztery Sidewindery, poza tym pełen zapas pocisków do Gatlinga. Dopiero uwaga *wizzo* olśniła Matta: mieli AMRAAM-y! Konkretnie miał je Leary.

- Sean, możesz odpalić wszystkie AMRAAM-y na mój rozkaz? - spytał Matt.

- Chyba mogę.

Matt podleciał najbliżej, jak się dało, do jego maszyny i poleciał:

- Amb, jak odpalimy rakiety, zagłusz ich na całego.

Przełącznik uzbrojenia ustawił tak, jakby sam miał odpalić kierowane radarem rakiety dalekiego zasięgu, i włączył radar,

który automatycznie namierzył i zablokował namiar bliższego celu. System zadziałał jak należy, ignorując fakt braku takowych rakiet.

- Sean, odpalaj! - polecił Matt.

Cztery AMRAAM-y kolejno wystartowały z podskrzydłowych podwieszek uszkodzonego F-15 Eagle, a ich głowice sterujące złapały odbicie fal wysyłanych przez radar samolotu Matta. Reszta poszła już tak, jakby to jeden samolot i jeden pilot wykonywali całą akcję. Matt oddalił się od maszyny Leary'ego, nadal mając Irakijczyków na radarze, a rakiety pognąły ku nim, biorąc własne namiary celu.

- Wyłącz radar - polecił po chwili Furry'emu, nurkując.

- No to zobaczymy, jak sobie poradzicie z komitetem powitalnym!

Widząc nadlatujące rakiety, Samir wykonał ostry skręt w prawo, Johar zaś - w lewo i w dół. Po kilku sekundach Samir skręcił w lewo, by widzieć pociski. Uważał, że jeśli widzi rakietę, to może ją pokonać. Skręcił o dwadzieścia stopni, jednocześnie unosząc nos samolotu. AMRAAM skorygowała kurs i szła na zbliżenie, wobec czego Samir skręcił ku niej i znurkował. Rakietą ruszyła w ślad za nim. Samir wszedł w świecę i dał pełen ciąg. Dziewięciogeowe przeciążenie wbiło go w fotel, ale zgubił prześladowcę. Zapalnik zbliżeniowy zadziałał i rakietą eksplodowała siejąc wokół odłamkami, lecz Su-27 był już poza strefą rażenia.

Samir powtórzył manewr z drugą rakietą, ale kosztem szybkości, która spadła poniżej stu osiemdziesięciu węzłów. Dwie następne rakiety dostały go bez trudu.

No to zostaliśmy we dwóch, dupku - mruknął Matt, widząc eksplozję i resztki Flankera opadające na ziemię.

Włączył radar i przestawił przełącznik uzbrojenia na Side-windera.

Po śmierci Samira Johara ogarnęła furia - tym groźniejsza, że lodowato spokojna. Skierował maszynę ku F-15 i wybrał Archera. Obaj piloci gnali wprost na siebie, zdecydowani zestrzelić przeciwnika najszybciej, jak tylko się da.

Rakiety odpalili niemal równocześnie, oddaleni o dziewięć mil od siebie. Matt wystrzelił świecą w słońce, widoczne już nad horyzontem, poczekał na raketę i znurkował nad ziemię, kierując się ku przeciwnikowi. Równocześnie Furry odpalił flary. Oglupiony Archer stracił sygnał F-15 i pomknął ku słońcu.

Johar z kolei opadł na sto stóp, po czym gwałtownie skręcił ku rakiecie i nabrał wysokości. Sidewinder próbował zrobić to samo, ale, mając mniejszą powierzchnię nośną, nie zdołał dokończyć manewru i rąbnął w ziemię. Stara sztuczka udała się kolejny raz. Teraz Johar skierował maszynę ku F-15 i minął go o włos, będąc w odwróconej pozycji, tak że kabiny obu maszyn przemknęły obok siebie.

Jedynie błyskawiczny refleks pilotów uratował ich przed kolizją.

Obaj wyprysnęli w górę, przenosząc walkę na płaszczyznę pionową. Ze świecy Johar wyszedł ku F-15, który zrobił to samo, i od nożyc zaczęła się klasyczna walka kołowa, w której celem każdego było wejście na ogon przeciwnika i rozstrzelanie go z broni maszynowej. W pewnej chwili minęli się w klasycznej powtórcie sytuacji, która zakończyła się śmiercią Jacka Locke'a, ale obaj byli zbyt dobrzy, by tak skończyć.

Zanurkowali i Matt wykręcił beczkę, próbując wejść przeciwnikowi na ogon. Dostrzegł, że tym razem przeleci poniżej Su-27, co powinno dać mu dogodną szansę do wyjścia za przeciwnika. Nagle dziób Flankera uniósł się, gdy maszyna gwałtownie wytraciła szybkość, znów do złudzenia przypominając łeb szykującej się do ataku kobry. Matt gwałtownie skręcił w lewo, by uniknąć kolizji, ale był zbyt blisko: końcówka prawego płata trafiła w brzuch Su-27. Wyglądało to na delikatne muśnięcie, ale okazało się fatalne w skutkach.

Eagle wpadł w korkociąg, z którego Matt z najwyższym trudem go wyprowadził, a Flanker - z brzuchem rozprutym na długości ponad dwóch metrów - runął w dół, rzygając paliwem. Zanim uderzył o ziemię, był już ognistą kulą.

- Żadnych dopalaczy! - ostrzegł Furry, gdy Matt zaczął zwiększać szybkość. - Z prawego płata paliwo leci jak głupie! Zaraz... przestaje. Zawory samouszczelniające musiały zadziałać.

- Sprawdź prawe skrzydło - polecił Matt, wyglądając za spadochronem.

Dostrzegł to, czego wypatrywał: Johar zdążył się katapultować.

- Jasna kurwa! - wzruszył się Furry. - Nie mamy skrzydła!

Meldunki napływające do Cytadeli były zupełnie jednoznaczne: głosiły zwycięstwo. Ben David nawet nie próbował ukryć radości i dumy, jaką go napawały, natomiast informacje Ganefa o zniszczeniu przez Amerykanów zakładów w Kirkuku przyjął bez komentarza. Z poczuciem dziejowej sprawiedliwości wpatrywał się w ekrany, na których podawano dane: Arabowie tak w Jordanii, jak i w rejonie wzgórz Golan masowo się poddawali. Jedynie w Libanie walki nadal się toczyły, ciągle w tym samym rejonie, przechodzącym z rąk do rąk w zależności od tego, której stronie powiódł się kolejny atak czy kontratak. Wkrótce już Izrael będzie mógł wzmocnić zdziesiątkowane jednostki na tym froncie, co zapewni całkowite zwycięstwo.

Ben David z optymizmem wpatrywał się w ekrany, planując przyszłość, gdy jego uwagę zwróciło wejście ministra spraw zagranicznych.

- Yair, właśnie otrzymaliśmy komunikat z ONZ. Nacisk na osiągnięcie zawieszenia broni jest tak wielki, że nie możemy go dłużej ignorować.

- Jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny możemy i będziemy - odparł premier głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Te dwadzieścia cztery godziny dawały mu zwycięstwo w Libanie i zwycięstwo ogólne, którego jak dotąd nie odniósł żaden z jego poprzedników. Nawet w wojnie osiemdziesiątego drugiego roku.

- Może to jest najlepszy czas, by zacząć negocjacje - wtrącił Yuriden. - Arabowie nadal mogą wmówić swoim, że gdzieś wygrywają i że zawieszenia broni nie wymusiła na nich totalna porażka na wszystkich frontach, tylko jest to gest dobrej woli z ich strony.

- Nie wygrywają nigdzie! - zdenerwował się Ben David. - Zepchniemy ich na pustynię i...

- Zacznij negocjacje! - przerwał mu Ganef, łapiąc go za kark i obracając w stronę listy ofiar. - Jak ci się wydaje, ile jeszcze

zdoła znieść ten naród? Kto ma przez te dwadzieścia cztery godziny walczyć na froncie? Już walczą kobiety i starcy!

Ben David opanował się najwyższym wysiłkiem woli, wiedząc, że szef Mossadu ma rację. Premier był pewien, że świat nie dopuści do całkowitego pokonania Syrii, a przy takim tempie strat oznaczało to, że następną wojnę będą prowadzić przedszkolaki i kaleki, co było nie do pomyślenia, gdyż oznaczało koniec Izraela.

- Zaczynjcie negocjacje, ale utrzymujcie parcie na wszystkich frontach do ostatniej chwili - zdecydował. - Tylko nie w Libanie, to za dużo kosztuje. Niech wojsko zajmie dogodnie do obrony pozycje i nie puści Irakijczyków dalej.

Ponownie spojrzął na listę ofiar: faktycznie, Izrael poświęcił nie tylko kwiat młodzieży. Nie należało przeciągać struny - nie miał prawa prosić o więcej.

Około trzystu węzłów, wszystko wygląda w porządku - ocenił Matt po sprawdzeniu sterowności F-15 Eagle. - Poniżej dwustu pięćdziesięciu i powyżej trzystu pięćdziesięciu zaczyna głupieć i przepada na to skrzydło, którego nie mamy.

- Niezła szybkość do lądowania.

- Chcesz się katapultować?

- Ani mi się śni, dopóki to pudło lata. Za co nam płacą, do diabła?

- Na pewno nie za latanie z jednym skrzydłem - odpalił Matt, sprawdzając poziom paliwa, ale zegar meldował, że baki są puste. - Jak daleko do Diyarbakiru?

- Pięćdziesiąt pięć mil, czyli jedenaście minut. Myślisz, że starczy nam paliwa?

- Cholera wie. Zegar twierdzi, że już nic nie mamy.

- No, cóż... - mruknął Furry. - Mamy proste podejście i siatkę na pociechę.

- Zastanawiam się, czy hak wytrzyma takie szarpnięcie...

- Pozostaje tylko sprawdzić empirycznie - stwierdził pogodnie Furry.

Wieża dała im zezwolenie natychmiast, jak tylko się zgłosili. Matt próbował zmniejszyć szybkość, ale ledwie zszedł

poniżej dwustu siedemdziesięciu węzłów, maszyna zaczęła przepadać na brakujące skrzydło. Zwiększył prędkość do dwustu osiemdziesięciu węzłów i maszyna leciała prosto. Wysunął podwozie, osłona przedniego urwała się z trzaskiem, ale goleń zaskoczyła. Następnie opuścił hak i z duszą na ramieniu dotknął kołami ziemi. Hak zaczepił o pierwszą z rozciągniętych lin, by po kilku sekundach urwać się wraz z mocowaniem przy szybkości stu dziesięciu węzłów. Matt nacisnął na pedały, opuszczając oba stateczniki, i wypuścił klapy, maksymalnie redukując szybkość. Gdy mieli pięćdziesiąt węzłów, strzeliła jedna z opon głównego podwozia i maszyna skręciła z pasa na trawę, na której zatrzymała się z chrzęstem łamanej nogi przedniego podwozia. Ledwie dziób znieruchomiał, otworzyła się osłona kabiny i obaj lotnicy wyskoczyli, obawiając się ognia, pomimo iż Matt wyłączył silniki. Ponieważ ogień się nie pojawił, ostrożnie obeszlą samolot.

- Jakim cudem... - mruknął z podziwem Furry.

- Inżynierowie będą mieli niezły ubaw, próbując się doliczyć, jak to się stało - powiedział figlarnie Matt. - Sądzę, że wloty powietrza dały trochę, no i przydała się ta duża powierzchnia statecznika poziomego, ale to tylko przypuszczenia...

- Możliwe, że akurat ten egzemplarz nie został zbudowany przez najtańszego producenta - przyznał ostrożnie Furry.

Łopaty helikoptera jeszcze się obracały, gdy otwarto boczne drzwi i opuszczono schodki. Prezydent wysiadł, odruchowo schylając głowę, i długimi krokami ruszył w stronę wejścia do Białego Domu. Na twarzy miał zmęczenie, jasno wskazujące na napięcie, w jakim żył przez ostatnie dni. Idący za nim byli dziwnie cisi, podobnie jak oczekujący przy drzwiach Cox, który poprowadził ich do salki z wyjściem Gorącej Linii. Generał chciał w pierwszej chwili spytać o zdrowie Tosh, ale coś go powstrzymało.

Operator teleksu wstał, widząc prezydenta, lecz ten gestem kazał mu usiąść i polecił:

- Powiedz Stańlowowi, że tu jestem, Larry.

Palce operatora przebiegły po klawiaturze i wszyscy obecni pogrążyli się w milczącym oczekiwaniu. Po prawie minucie teleks ożył, drukując po angielsku:

WITAM PANIE PREZYDENCIE. PROPONUJĘ BYŚMY WSPÓLNIE ZAKOŃCZYLI TĘ BEZSENSOWNĄ RZEŻ NA BLISKIM WSCHODZIE.

Shoshana była w szoku. Leżąc na ziemi, zastanawiała się mgliście, czyje czołgi suną teraz na północ, ale tak naprawdę niewiele ją to obchodziło. Uniosła lewą rękę i obejrzała spaloną dłoń: brakowało w niej dwóch palców, choć nie czuła żadnego bólu. W ogóle nic nie czuła. W oddali dostrzegła poruszające się czołgi o niższych i bardziej kanciastych sylwetkach niż T-72: Merkavy. Ale to także było bez znaczenia - jej wojna skończyła się, gdy skończyło się „Szczęście Levy’ego”, a ogień oczyścił ją, wypalając całe zło, jakie zdarzyło się w przeszłości. Z ulgą powitała ciepłą mgłę nieświadomości.

EPILOG

Zack Pontowski siedział przy łóżku żony, jak co rano przeglądając grubą teczkę papierów, ale zupełnie nie mógł się skoncentrować i w końcu odłożył ją na kolana. Spojrzał z uśmiechem na śpiącą; ponownie nastąpiło polepszenie i choć organizm - a zwłaszcza serce - był silnie nadszarpnięty ostatnim atakiem, przyszłość rysowała się zdecydowanie optymistyczniej niż jeszcze parę dni wcześniej.

- Przestań udawać - złażał dobrodusznie żonę, widząc drżenie jej powiek. - Wiem, że już nie śpisz.

Powoli otworzyła oczy, po czym zamrugła gwałtownie, mimo iż pokój szpitalny wypełniało łagodne światło; ujęła dłoń męża.

- Kocham cię - szepnęła i przez chwilę żadne z nich się nie poruszyło ani nie odezwało. - Dokonałeś tego? Przestali walczyć?

- Na razie. Niewiele brakowało, ale teraz będzie tam chwila spokoju.

- A Matt?

- Cały i zdrowy w Izraelu. Szuka Shoshany Tamir. Wyjeżdżając, oznajmił mi, że zamierza się z nią ożenić.

- To mamy szansę doczekać się prawnuków - uśmiechnęła się Tosh.

Odpowiedział jej uśmiechem, Bogu dziękując w duchu, że żona nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bliscy byli katastrofy, ani że musiał użyć jedynego wnuka, by móc coś zrobić bez Kongresu z jednej strony, a izraelskiego lobby z drugiej. Wszyscy uważnie patrzyli mu na ręce. Tylko dureń mógł sądzić, że Matt przypadkiem znalazł się w Izraelu. To, że Izraelczycy uczynili z niego źródło informacji, chcąc wpłynąć na prezydenta,

było do przewidzenia, i wszystko przebiegałoby zgodnie z planem, gdyby nie talent wnuka do pakowania się w kłopoty. W rezultacie został bohaterem, więc pół biedy. No i miał jeszcze talent do znajdowania ładnych dziewczyn.

- Co ci znowu chodzi po głowie? - spytała podejrzliwie Tosh.

- Myślę o nadziei rodu Pontowskich.

- I o tym, jak go wykorzystałeś - dodała.

Westchnął z żalem - skoro domyśliła się już tyle, to lepiej było wyjaśnić jej resztę.

- Prawda, ale nie planowałem, że weźmie udział w nalocie na Kirkuk. To już była zasługa jego świętej pamięci dowódcy, który zapalił się do tego pomysłu. Wiesz, że nie mogłem Matta z tego wyłączyć: znasz go, gdybym to zrobił, nigdy by mi nie wybaczył.

- Jak się stoi zbyt blisko ognia, można się sparzyć nawet o tym nie wiedząc - powiedziała cicho Tosh.

- Dlatego potrzebujemy lepszych barier...

Wiceprezes do spraw produkcji F-15 Eagle w McDonnell Aircraft Company wszedł cicho do sterowni symulatora, w której znany i zgrany tandem upokarzał kolejnego młodzieńca, myślącego, że jest pilotem myśliwskim.

- I co nowego wykombinowaliście? - spytał spokojnie.

Leander natychmiast zamroził obraz, informując pilotów, że wróć do tematu za chwilę.

- No? - naciskał wiceprezes, starając się zachować powagę.

- Nic - odparł Stigler.

- Wam, błaznom, zawsze coś nowego chodzi po głowie.

- Tępakom - poprawił Leander. - Nie błaznom, tylko Tępakom.

Stigler wskazał na umieszczoną nad konsolą, całkiem sporych rozmiarów plakietkę z mosiądzu, na której ładnym krojem pisma wytłoczono: TĘPAKI MARTINA.

- Też ładnie - zgodził się gość. - Wracając do pracy: może będzie tak dali trochę luzu następnemu kongresmanowi, jaki tu się zjawi?

Obaj zapytani zwiesili głowy w marnej imitacji zawstydzenia.

- Kiedy skończycie z tymi wewnątrz, Stary chce was widzieć.

Powiedział, że zamierza wam pogratulować, choć pojęcia nie mam dlaczego... - Wiceprezes uśmiechnął się i wyszedł.

Poobijany Jeep jechał piaszczystą drogą, omijając spalone wraki czołgów, transporterów i ciężarówek, w większości zepchniętych na pobocze. W pewnym momencie skręcił w objazd, omijając nierozminowane jeszcze, ale oznaczone pole minowe, przez co prawie wjechał na prowizoryczny cmentarz żołnierzy syryjskich. Wokół rozciągał się kraj, przez który przeszła wojna: a właściwie jedno wielkie pobojuwisko. W oddali, przy zachodnich wzgórzach u krańca doliny Huleh widać było ruiny zniszczonego kibucu.

Matt stanął, by sprawdzić kierunki i znaki rozpoznawcze - pokonywał tę trasę w czasie nalotu na syryjski sztab. Wyjął z kieszeni mapę, odszukał dolinę i kibuc, który Avi Tamir nazwał „Klejnotem Izraela”. Na wschodzie wznosiła się stroma skarpa przechodząca w wyżynę i dalej we wzgórze Golan. Widząc je z ziemi, bez trudu zrozumiał, dlaczego tak ważne było panowanie nad nimi. Sądząc po ilości zniszczonego sprzętu, musiały się tu toczyć naprawdę ciężkie boje, i to nie tylko na równinie. Prawdopodobnie w samym kibucu także.

Wrócił tu po zakończeniu walk, ale w zamieszaniu, jakie panowało, poszukiwania Shoshany były, łagodnie mówiąc, frustrujące, czasochłonne i niemal beznadziejne. Już samo dostanie się na pokład dostarczającego lekarstw C-5B Sił Powietrznych graniczyło z cudem. Zziąjany izraelski oficer rozładunkowy kazał mu nie pałętać się po lotnisku i odlecieć, jak tylko samolot zostanie rozładowany. Matt zamiast się kłócić po prostu odszedł, gdy nikt nie zwracał na niego uwagi, i rozpoczął poszukiwania.

Pierwsze kroki skierował do mieszkania Tamirów w Hajfie, ale zamiast Lillian i jej przedszkola znalazł tam dwie rodziny uchodźców z Zachodniego Brzegu, niemówiące po angielsku. Dopiero życzliwy sąsiad poinformował go, że słyszał, iż Avi Tamir pracuje podobno w starym kibucu w dolinie Huleh.

Ten, do którego teraz zmierzał, był czwartym, jaki odwiedził w tej dolinie.

Zaskoczyło to Matta, ale na warcie stała tylko jedna dziewczyna, a ponieważ nie wyglądał na Araba i jechał izraelskim Jeepem, wpuściła go bez kontroli. W czasach pokoju mogłoby to mieć przykre następstwa dla obojga, teraz i tutaj nikt nie spodziewał się terrorystów, bo i po co mieliby się męczyć z podkładaniem bomb w zrujnowanym przez wojnę Izraelu. Na dziedzińcu ledwie co ukończonej szkoły bawiły się dzieciaki - ich śmiechy i piski były miłą odmianą po usianej wrakami drodze i zniszczonej okolicy, przez którą przejeżdżał. Matt wyłączył silnik i pochylił się nad kierownicą: był brudny, zmęczony i chciało mu się pić, choć znajdował się zaledwie osiemdziesiąt kilometrów od Hajfy.

Osiemdziesiąt kilometrów wypełnionych nowymi świadectwami wojny i zniszczenia oraz tego, że jak dotąd niczego nie osiągnął. Nie znalazł bowiem ani śladu Aviego czy Shoshany. Ten kibuc był ostatnim, jaki miał zaznaczony na mapie, i najbardziej zniszczonym, ale także kręciło się po nim najwięcej ludzi, i to celowo i z ochotą. Widać zresztą było, że realizują przygotowany z głową plan odbudowy - najważniejsza była szkoła.

- Potrzebujesz pomocy? - rozległ się młodzieńczy głos.

Obok wozu stała para: dziewczyna i chłopak, zmęczeni i brudni, ale trzymający się za ręce. Nawet nie usłyszał, kiedy się zblizyli. Matt opisał poszukiwanych i zdziwił się, że słuchacze parsknęli śmiechem.

- Weź młotek - poradził mu chłopak. - Avi ciągnie instalację w tym budynku i przyda mu się pomoc.

Po czym odeszli, wciąż chichocząc.

Avi Tamir. - Matt ni to oznajmił, ni zapytał, zwracając się do mężczyzny mocującego przewody elektryczne do sufitu.

Rozpoznał go, choć stojący na drabinie naukowiec był wychudzony i ogorzały od słońca. Avi też go poznał, ale nie odezwał się słowem, nadal umocowując kable. Matt cierpliwie czekał. W końcu Tamir zszedł z drabiny i oparł się o nią, odpoczywając.

- Chodź, czas na kolację - stwierdził.

Zaprowadził Matta do łaźni, w której do rzędu umywalek stała kolejka obojga płci: woda nadal była problemem. Gdy się

umyli, pomaszerowali do szkoły, która wieczorami służyła za świetlicę, i stanęli w kolejce do kuchni.

Jedzenie podawała Lillian, której twarz na widok Matta przybrała na moment wyraz, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widział i nie był w stanie rozszyfrować. Nakładając mu jedzenie, nie powiedziała jednak ani słowa, toteż i on się nie odzywał. Obaj z Tamirem wcisnęli się na ławki przy jednym ze stołów. Wszędzie wokół toczyły się ożywione, by nie rzec zacięte dyskusje po hebrajsku, z których Matt nie rozumiał ani słowa.

- Nasze dyskusje brzmią jak kłótnie - zauważył Tamir z uśmiechem. - Mówią, że trzech Żydów to cztery opinie.

Ponieważ brak światła uniemożliwia dalsze prace, zamierzam się tym zająć po posiłku.

Pracowali razem, przy czym Tamir zasypywał pomocnika gradem rad, wskazówek i poleceń. Gdy skończyli, było dobrze po dwudziestej trzeciej. Tamir usiadł na jednej z ławek stojących na szkolnym podwórzu. Widać było, że jest zmęczony i ma ochotę pogadać.

- Dlaczego? - spytał po prostu.

- Szukam Shoshany.

- Nie masz po co.

Słowa zagrzmiały jak grom - jedyne, czego Matt się bał przez cały czas poszukiwań i czego podświadomie się spodziewał, to była wiadomość o jej śmierci.

- Chcę iść na jej grób - odparł głucho, ale spokojnie.

Tamir milczał. Dopiero po dłuższej chwili odwrócił się, spojrzał na Matta i zapytał:

- Co tu widzisz?

- Życie toczy się dalej - odpowiedział nieco zdziwiony tym pytaniem Matt, słysząc muzykę i śpiewy dochodzące ze szkoły.

- Swoją drogą, to zaskakujące: wojna widziana z powietrza jest bezosobowa i czysta. Nie widzi się śmierci ani ruin. Wiesz, co jest najgorsze w wojnie? Zapominasz o grozie i zniszczeniu, jakie ze sobą niesie, i jeśli cię nie zabiją lub nie okaleczą, wojna jest najbardziej podniecającym przeżyciem, jakie może się człowiekowi trafić. Nic dziwnego, że nie umiemy z nią skończyć.

- My tutaj zabijamy się z innych powodów - powiedział powoli Tamir, spoglądając w gwiazdy. - Zbyt wiele różnic, zbyt wielu ludzi chce mieć ten kawałek ziemi i nie dzielić się nim... Ta wojna niczego nie rozwiązała... będziemy znowu walczyć.

Tamir zwiesił głowę.

- To dlaczego jesteś tu, w kibucu? Znacznie skuteczniej mógłbyś pomóc swemu krajowi gdzie indziej: przygotowując nową broń na wypadek wojny.

Tamir uniósł głowę - jak miał mu wytłumaczyć, że tu jest jego dom, tu urodziła się córka i zginęła żona?

- Tu jest kompas moralny Izraela, jego sumienie - powiedział wolno. - Jeśli to stracimy, zostaniemy nikim. I pomyśleć, że dałem temu krajowi broń jądrową, niemal doprowadzając do drugiego Holocaustu.

- To nie byłaby twoja wina - zaprotestował Matt.

- A gdzie zaczyna się i kończy odpowiedzialność? - W głosie Aviego brzmiał ból. - Powiedz mi, bo nie mam pojęcia.

- Sądzę, że wie to mój dziadek - odparł z wahaniem Matthew Zachary Pontowski III, wnuk prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. - Nie odpowiedziałeś mi jednak na pytanie... No więc, dlaczego tu jesteś?

- To jest mój dom i tu najlepiej mogę pomóc Izraelowi. - Nagle jego zdecydowanie pękło. - I gdzie Shoshana może pomóc.

Przez chwilę Matt stał jak sparaliżowany.

- Przecież powiedziałeś... - wykrztusił wreszcie.

- Powiedziałem, że nie masz po co, a nie, że ona nie żyje. Została ciężko ranna... poparzona. Nie wyjdzie za ciebie, przynajmniej nie teraz.

- Niech mi to sama powie.

- Jest w szpitalu w Tel Awiwie - ustąpił Avi. - Jutro cię tam zawiozę.

Tatusiu, co czytasz? - spytała Megan, wdrapując się na fotel obok Furry'ego i wyciągając mu z ręki kartkę papieru, którą następnie obrzuciła baczynym, acz niewiele rozumiejącym spojrzeniem dziecka.

- Rozkazy przenoszące mnie do innej bazy - odparł Ambler.
 - Daleko?
 - Daleko, Meggie. Do USA, tam gdzie się urodziłaś.
 - I wszyscy pojedziemy? - Małe dziewczynki potrafią prowadzić zadziwiająco poważne rozmowy.
 - Wszyscy - potwierdził Furry, biorąc ją na ręce i zanosząc do sypialni, którą dzieliła z siostrą bliźniaczką.
 - Śpij spokojnie - dodał, kładąc ją do łóżka i sprawdzając, czy Naomi się nie odkryła.
 - Tato... dlaczego musimy tyle jeździć? - Głos Megan był już senny.
 - Bo taką mam pracę.
 - Ale ja mam koleżanki... będzie mi ich brak... Nie mógłbyś robić czego innego?
 - Chyba nie. Śpij, Meggie.
- Furry zgasił światło i zamknął za sobą drzwi, po czym zawahał się i uchylił je troszkę. Na wszelki wypadek.

Lekarz był wcieleniem efektywności i zgodził się ich przyjmując tylko dlatego, że kazał mu to zrobić przełożony.

- Shoshana doznała poparzeń trzeciego stopnia na lewej stronie twarzy - wyjaśnił, prowadząc ich do izolatki, w której leżała pacjentka. - Część cebulek włosowych i fragment lewej małżowiny usznej uległy spaleniowi, tam, gdzie uszkodzony kask nie uchronił jej przed płomieniami, ale to może naprawić nawet średnio zdolny chirurg plastyczny za pomocą przeszczepów skóry. Na szczęście większość jej ciała ochronił przed ogniem kombinezon z nomexu. Na brzuchu, od krocza do mostka będzie miała bliznę w formie suwaka błyskawicznego, co z jakichś powodów mocno ją bawi. Czego nie możemy naprawić to lewa dłoń, która najgorzej zniosła spaleniowi czołgu, w wyniku którego pacjentka odniosła te wszystkie obrażenia; brak w niej dwóch palców: małego i serdecznego. Tędy, proszę.

Otworzył drzwi, przepuszczając ich przodem. Shoshana odłożyła książkę i wpatrzyła się w Matta.

- Obiecałem ci, że wrócę - powiedział ciepło i naturalnie.

Zdał sobie sprawę, że naprawdę ją kocha i że najważniejsze

jest to, że żyje - bandaż spowijający jej głowę i część twarzy były bez znaczenia. Ujął wyciągniętą ku niemu prawą dłoń i przysiadł na łóżku.

- Wolałabym... - zaczęła z wysiłkiem - wolałabym, żebyś nie przychodził.

- To nieważne - uśmiechnął się - chirurgia plastyczna czyni cuda... to naprawdę nieistotne.

- W tym się zgadzamy - odparła z błyskiem w oczach.

- Kapitan Pontowski ma rację co do chirurgii - wtrącił lekarz. - Ustaliliśmy już termin pani wyjazdu do Genewy. Szwajcaria ma najlepszych na świecie specjalistów od poparzeń.

- Nigdzie nie pojedę!

- Dziecko, musisz! - szepnął Tamir.

- Znam ciekawsze sposoby tracenia czasu i pieniędzy - upierała się.

- Pieniądze są państwowe, tym proszę się nie martwić - uspokoił ją lekarz.

- A co do czasu... - mruknął Matt. - Kiedy za mnie wyjdiesz?

Ucisnęła jego dłoń, ale z uporem potrząsnęła głową, mimo że go kochała.

- Jeszcze nie teraz. Mamy tu zbyt wiele do zrobienia.

- Wiesz, że wrócę? - spytał z uśmiechem.

Wiedziała.

„Zasady Przetrwania” Furr’ego

Pamiętać należy, że ten zbiór mądrości majora USAF Amblera Furry’ego nie jest wytworem jego umysłu i doświadczeń, tylko efektem wiedzy wydestylowanej przez pokolenia ludzi walczących w rozmaitych wojnach od niepamiętnych czasów. Bez wątplenia wiele z tych sentencji było znanych, gdy Hetyci dawali nauczkę starożytnemu Egipcjowi, a większość - gdy odkrył je i spisał Murphy. Szczególnie popularne okazały się one w Azji Południowej i w Zatoce Perskiej. Należy też pamiętać, że wszystkie zasady są tak samo istotne, a ich kolejność jest dowolna: ta prawda, która akurat najbardziej odpowiada jakiemuś stanowi rzeczy, staje się w danej chwili najważniejsza.

1. Zawsze pamiętaj, że twój samolot został zbudowany przez najtańszego producenta.
2. Trenuj tak, jak chcesz walczyć.
3. Kiedy wokół są sami przeciwnicy, to jest to na pewno walka.
4. Wygrywa armia mająca prostsze mundury.
5. Nigdy nie lataj z kimś odważniejszym od siebie.
6. Priorytety są dziełem człowieka, nie Boga.
7. Plan jest dobry jedynie na pierwsze trzydzieści sekund walki.
- 2.

8. Jeśli to co głupie jest skuteczne, to wcale nie jest to głupie.
9. Walcz, jeśli możesz wygrać; jeśli nie możesz, to uciekaj i walcz z innymi przeciwnikami.
10. Nigdy nie lekceważ zagrożenia.
11. Znaj przeciwnika.
12. Wiedz, kiedy trzeba pryskać.
13. Wiedz, jak trzeba pryskać.
14. To co ważne jest zawsze proste.
15. To co proste jest zawsze trudne.
16. Kiedy masz wątpliwości, użyj przewagi technicznej.

Słownik

W książce użyłem wielu terminów, które dla kogoś nie znającego wojskowego żargonu lub techniki wojskowej będą niezrozumiałe. Mam nadzieję, że podane poniżej definicje pomogą czytelnikowi zrozumieć szczególnie język, jakim posługują się US Air Force. Definicje pochodzą z rozmaitych źródeł, jak na przykład: *Dictionary of Military and Associated Terms* (Słownik terminów wojskowych), opublikowany przez Komitet Połączonych Sztabów, oraz odtajnione instrukcje obsługi rozmaitych typów broni i wyposażenia.

Autor

Słownik ten dostosowany został do wymogów polskiego tłumaczenia, to znaczy znajdują się w nim objaśnienia skrótowców bądź nazw angielskich pozostawionych w tekście w wersji oryginalnej (głównie z uwagi na brak polskich odpowiedników lub niecelowość ich stosowania).

Tłumacz

AIM - Air Intercept Missile - pocisk raketowy klasy powietrze-powietrze, taki jak Sidewinder lub AMRAAM.

APDS - Armor-Piercing Discarding Sabot - pocisk przeciwpancerny Sabot.

AWACS - Airborne Warning and Control System - Powietrzny System Wczesnego Ostrzegania i Kontroli, umieszczony na pokładzie specjalnie przystosowanego samolotu.

Bandit - bandyta - cel powietrzny rozpoznany jako wrogi samolot.

BDA - Bomb Damage Assessment - Ocena Zniszczeń, mająca na celu ustalenie skuteczności bombardowania; Stopień Zniszczenia Celu.

BMP - BWP (Bojowy Wóz Piechoty) - sowieckiej konstrukcji transporter opancerzony na gąsienicach ważący dwanaście ton, uzbrojony w gładkolufowe działo kaliber siedemdziesiąt trzy milimetry, pocisk przeciwpancerny zdalnie sterowany kaliber siedem koma sześćdziesiąt dwa; mieści dwunasty żołnierzy.

Bogie - cel powietrzny niezidentyfikowany, ale najprawdopodobniej wrogi.

CAS - Control Augmentation System - system sterowania powierzchniami płatów samolotu w zależności od szybkości poziomej i pionowej, kąta ataku, przyspieszenia, przeciążenia i wykonywanych manewrów; urządzenie bardzo pomocne pilotowi.

DCI - Director of Central Intelligence - Dyrektor Wywiadu: osobnik powołany przez prezydenta USA i zaaprobowany przez Senat, koordynujący działalność wszystkich rodzajów wywiadu, jakimi dysponują USA.

DIA - Defense Intelligence Agency - Wywiad Obrony, departament wywiadu wojskowego.

Dragon - zdalnie sterowany przeciwpancerny pocisk raketowy, który może przenieść i odpalić jedna osoba; sterowanie odbywa się poprzez cieniutki drut połączony z wyrzutnią, który rakietę ciągnie za sobą.

ECM - Electronic Counter-measures - wojna radioelektroniczna.

EMIS - obwód wyłączający (lub włączający) elektroniczne sygnały (nadawane przez rozmaite urządzenia pokładowe samolotu), które mogą zostać przechwycone przez nieprzyjaciela.

Flanker - oznaczenie NATO sowieckiego samolotu Su-27, będącego odpowiedzią na F-15 Eagle.

FLIR - Forward Looking Infrared - system obserwacji w podczerwieni terenu przed samolotem wspomagany komputerową obróbką obrazu.

Flogger - oznaczenie NATO sowieckiego myśliwca MiG-23.

Fox jeden - w łączności radiowej pilotów skrót oznaczający

odpalenie samonaprowadzającego pocisku klasy powietrze-powietrze sterowanego radarem.

Fox dwa - w łączności radiowej pilotów skrót oznaczający odpalenie samonaprowadzającego pocisku klasy powietrze-powietrze sterowanego na podczerwień (źródło ciepła).

Fox trzy - w łączności radiowej pilotów skrót oznaczający użycie pokładowych karabinów maszynowych lub działka.

Fulcrum - oznaczenie NATO sowieckiego samolotu MiG-29, będącego odpowiedzią na F-16.

Gadfly - oznaczenie NATO najnowszej rakiety klasy ziemia-powietrze SA-11 produkcji sowieckiej, według zgodnych opinii z różnych źródeł - bardzo skutecznej.

GBU - Glide Bomb Unit - bomba szybująca wyposażona w system naprowadzania i ruchome stabilizatory, dzięki czemu jest bardzo celna, poza tym posiada „nieograniczoną odwagę”.

HUD - Head-Up Display - urządzenie wyświetlające wszystkie niezbędne do lotu dane na (lub przed) wewnętrzną powierzchnię owiewki, dzięki czemu pilot nie musi schylać głowy i sprawdzać wskazań przyrządów; doskonałe w walce powietrznej.

Hummer - czterodrzwiowy, napędzany na cztery koła wóz terenowy, będący następcą Jeepa; z zasady wyposażony w wyrzutnię kierowanych pocisków przeciwpancernych.

IDF - Israel Defense Forces - Armia Izraelska.

IFF - Identification Friend or Foe - Identyfikacja Swoj czy Wróg - elektroniczne urządzenie wysyłające zakodowany impuls, gdy samolot znalazł się w wiązce własnego radaru.

IP - Initial Point - Punkt Początkowy - charakterystyczny punkt w terenie, łatwy do wykrycia tak wzrokowego, jak elektronicznego, używany jako punkt rozpoczęcia dolotu bombowego na cel.

Kilotona - jednostka miary mocy wybuchu atomowego lub nuklearnego, będąca odpowiednikiem siły wybuchu tysiąca ton trotylu.

LANTIRN - Low-Altitude Navigation and Targeting Infra-red for Night System - elektroniczny system nawigacyjny używany przy lotach na niskiej wysokości do celowania i określania pozycji za pomocą podczerwieni; może być użyty w nocy.

LAW - Light Antitank Weapon - lekka broń przeciwpancerna.

M-113 - amerykańskiej konstrukcji transporter opancerzony na gąsienicach, ważący dwanaście ton i mogący przewieźć drużynę piechoty.

MAC - Military Airlift Command - Dowództwo Lotniczego Transportu Wojskowego.

Mark-82 - pięćsetfuntowa bomba lotnicza.

Maverick - samonaprowadzający pocisk raketowy klasy powietrze-ziemia, skuteczny zwłaszcza przeciwko czołgom, transporterom opancerzonym i fortyfikacjom polowym.

MPCD - Multi-Purpose Color Display - wielofunkcyjny barwny ekran, na którym wyświetlane są informacje w trakcie lotu.

MPD - Multi-Purpose Display - wielofunkcyjny ekran, taki jak MPCD, ale czarno-biały.

NBC - Nuclear, Biological and Chemical - broń masowego rażenia ABC - Atomowa, Biologiczna i Chemiczna.

NSA - National Security Agency - Narodowa Agencja do spraw Bezpieczeństwa - amerykańska agencja wywiadowcza odpowiedzialna za nasłuch i deszyfrowanie wiadomości przesyłanych elektronicznie lub radiowo; dekodacja nie zależy od rodzaju łączności.

NSC - National Security Council - Narodowa Rada do spraw Bezpieczeństwa - organ przy prezydencie USA powołany do opiniowania i doradztwa w sprawach międzynarodowych, szczególnie aktywny w wypadku kryzysów politycznych.

ORI - Operational Readiness Inspection - Kontrola Gotowości Operacyjnej, czyli ocena zdolności bojowych i efektywności jednostki, przeprowadzana przez zespół inspektorów z Inspektoratu Generalnego (rzadko kiedy nie jest biurokratyczną bzdurą i naprawdę oddaje faktyczny stan gotowości i zdolności bojowych).

PI - Political Influence - Wpływy Polityczne - termin już nie używany w US Air Force, ponieważ osoby dysponujące takimi wpływami mogły zaszkodzić tym, którzy ośmielili się im przypiąć podobną etykietkę.

Red Flag - Czerwona Flaga - nader realistyczne ćwiczenia

przeprowadzane regularnie w bazie lotniczej Nellis, przygotowujące US Air Force do przetrwania pierwszych dziesięciu dni wojny, kiedy to straty wśród personelu latającego są największe.

ROE - Rules of Engagement - Zasady Walki; w czasach pokoju zestaw całkiem logicznych zasad prowadzenia walk powietrznych, wymyślony, by utrzymać lotników przy życiu, w czasie wojny zaś - stek nonsensów.

RPG - Rocket-Propelled Grenade - RGPpanc - sowieckiej produkcji Ręczny Granatnik Przeciwpancerny podobny do LAW.

RTB - Return to Base - Powrót do Bazy - rozkaz oznaczający natychmiastowe przerwanie wykonywania zadania.

SA - rodzina kierowanych pocisków raketowych klasy ziemia-powietrze produkcji sowieckiej; według wszystkich meldunków SA-11 jest bardzo skuteczną bronią przeciwlotniczą, utrudniającą pilotom (zwłaszcza myśliwskim) przeżycie.

Sagger - sowieckiej produkcji przeciwpancerny pocisk raketowy sterowany przez operatora.

SAM - pocisk raketowy klasy ziemia-powietrze.

SITREP - Situation Report - Raport Sytuacyjny.

Snakeye - bomba Mark-82 przystosowana do zrzutu z małej lub dużej wysokości, obecnie wycofywana z użycia.

Tallyho - w łączności radiowej kryptonim wizualnego dostrzeżenia samolotu wroga lub innego celu.

TEWS - Tactical Electronic Warfare System - system urządzeń do prowadzenia wojny radioelektronicznej; w przypadku F-15 pozwalają wykryć i zneutralizować zagrożenie stwarzane przez radary lub inne podobne urządzenia wroga.

TFR - Terrain-Following Radar - Radar Śledzący Powierzchnię, umożliwiający pilotowi (lub autopilotowi) utrzymywanie stałej wysokości w stosunku do rzeźby terenu; w opinii starszych oficerów sztabowych (nielatających) najlepiej, by owa wysokość była jak najbardziej zbliżona do wysokości krzaków ową rzeźbę terenu porastających.

TSD - Tactical Situation Display - Ekran Sytuacji Taktycznej, czyli komputerowa mapa przesuwająca się w miarę ruchów samolotu umieszczonego w jej centrum, na której zaznaczone są dane nawigacyjne i taktyczne.

UFC - Up Front Controller - klawiatura i system komputerowy w F-15 sterujący wieloma urządzeniami pokładowymi.

WSO - Weapon Systems Officer - nawigator; drugi członek załogi samolotu myśliwskiego (nie jednoosobowego) wykonujący wiele istotnych funkcji, takich jak drugi pilot, radarzysta i tym podobne, zajmujący tylny fotel w kabinie; WSO zazwyczaj umiera w odległości niecałych dwóch metrów od pilota.

Wizzo - powszechnie stosowany w US Air Force skrót WSO.

ZSU-23-4 - samobieżne, poczwórnie sprzężone działko przeciwlotnicze produkcji sowieckiej, dysponujące czterema działkami kalibru dwadzieścia trzy milimetry o dużej szybkostrzelności, sterowanymi radarem; bardzo groźne dla samolotów na niewielkich wysokościach, dla helikopterów wręcz zabójcze.